



PHILIP SINGTON

# Sprawa Einsteina

«Książnica»

**PHILIP SINGTON**

# **Sprawa Einsteina**

*Przełożyła z angielskiego Barbara Cendrowska - Werner*

Dla Uty i Lea

Kto [...] nie potrafi żyć we wspólnocie albo jej wcale nie potrzebuje, będąc samowystarczalnym, bynajmniej nie jest członkiem państwa, ale zatem jest albo zwierzęciem, albo bogiem.

Arystoteles, *Polityka*, przeł. Ludwik Piotrowicz

Wszyscy zgodnie uznajemy, że pańska teoria jest szalona. Różni nas tylko pytanie, czy jest na tyle szalona, by była poprawna.

Niels Bohr, "Odpowiedź na prezentację Wolfganga Pauliego"

Zurych, 18 października

Najdroższa Elżbieto, w paczce tej przesyłam Ci rękopis książki, którą w dzień po naszym pożegnaniu wreszcie skończyłem.

Nazywam ten tekst książką, choć w istocie jest to zaledwie stos kartek, który nie ma nawet tytułu. I póki żyję, nic się tu nie zmieni. Nie odważę się szukać wydawcy z przyczyn, które staną się dla Ciebie jasne, nim doczytasz do końca. Ale nadal będę nazywał moje pisanie książką, nie z próżności, lecz dlatego, że trudno trzymać moment, w którym książka staje się książką, podobnie jak nie wiadomo, kiedy ciąg nut staje się melodią. O charakterze pisanego tekstu decyduje umysł konkretnego czytelnika, podobnie jak dopiero umysł konkretnego słuchacza wychwyci melodie.

Proszę, byś wyjeżdżając, wzięła ze sobą mój tekst. Wiem z doświadczenia, jak długa czeka Cię podróż, i mam nadzieję, że moja opowieść przynajmniej na jakiś czas oderwie Twoją uwagę od stukotu kół, zatęchłego powietrza i męczącego wścibstwa funkcjonariuszy. Innymi słowy, że skróci dzielącą nas odległość, a czas szybciej Ci zejdzie - że ta lektura zbliży nas do siebie.

Mam też nadzieję, że moja książka pomoże Ci w przygotowaniach do Twojej misji w Berlinie. O wielu rzeczach powinienem był Ci powiedzieć już wcześniej. Ale doszedłem do wniosku, że prawdę swobodniej mówi się w opowieści fikcyjnej, choćby dlatego, że po fikcji nikt się prawdy nie spodziewa ani też nie wymaga od niej rzetelnych świadectw. Prawdę łatwo tu zamaskować,

tak by rozpoznano ją znacznie później, gdy opowieść i jej bohaterowie pogrążą się w mroku.

Mam jeszcze jedną nadzieję, nawet bardziej egoistyczną niż poprzednie - że kiedy skończysz lekturę, podsuniesz mi pomysł tytułu. Jeśli sam się tym nie zajmę, tytuł zostanie wybrany po mojej śmierci. Nie chcę tego za nic w świecie, choć leżąc w grobie, nie będę doznawał doczesnych namiętności.

Lecz wszystko to dotyczy końca Twojej podróży. Na razie książka będzie bezimienna, co w tych niespokojnych czasach jest największą gwarancją bezpieczeństwa.

Bezimienna

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Berlin, maj 1933 roku

Dwa tygodnie po zniknięciu narzeczonego Alma Si egei jechała przez rojne miasto na skraj zachodnich przedmieść, by obejrzeć fotografie anonimowych zwłok. Wystawiono je rzędem w szklanych gablotach w korytarzu komendy głównej policji. Pod każdym zdjęciem widniała wypisana na skrawku papieru informacja podająca miejsce i datę znalezienia ciała: pusta działka w pobliżu Danziger Strasse, 24 stycznia; publiczna toaleta przy Anhalter, 7 lutego; kanał Landwehr przy moście Kottbusser, 15 kwietnia. Na korytarzu było tłoczno. Interesanci przychodzili na policję z naj rozmaitszych powodów - by zameldować się w biurze rejestracji cudzoziemców, otrzymać wizę, szukać rzeczy zagubionych bądź zgłosić kradzież. Potrącali Almę, spiesząc mimo niej za własnym interesem, i ani im w głowie nie powstało, by rzucić okiem na rzędy zastygłych twarzy wyzierających na nich zza szklanych gablot.

Stary przyjaciel Robert uparł się, by jej towarzyszyć. To właśnie on poznał Almę z Martinem Kirschem. Obaj mężczyźni znali się z kliniki psychiatrycznej Charité i Robert bez wątpienia poczytywał sobie za obowiązek, by wspierać młodą kobietę.

W każdym razie zapewniał ją, że wyprawa na policję jest czystą formalnością. Na pewno wśród twarzy za szkłem nie ma jej narzeczonego. Znajdują się tam zdjęcia robotników, imigrantów, pokojówek i "kobiet szukających zajęcia" - którym to mianem zapewne określał prostytutki. Martin, doktor psychologii, nie obracał się w takich kręgach. I okazało się, że miał rację. Białe sztywne kołnierzyki członków klasy średniej rzadko okalały szyje bezimiennych zwłok. Na zdjęciach widniały rozpięte koszule, w ciemnych barwach, by nie znać było brudu. Szorstkie, obdarte, świadczyły nie tylko o

stanie odzienia ich właścicieli.

Zwłoki fotografowano na miejscu zdarzenia, w razie potrzeby przewracając je na plecy. W jaskrawym błysku magnezji ich skóra wydawała się przeraźliwie biała na tle bezdennych czarnych cieni. Siła ciężenia wsysała im policzki, targała włosy, jakby nagle przetoczyła się nad nimi burza; oczy mieli przymrużone bądź przymknięte, usta otwarte, zda się, by zaczerpnąć ostatni oddech. Od początku roku zgarnięto ich z ulic Berlina ponad setkę.

Wyłącznym celem tej wystawy było ustalenie tożsamości zmarłych. Na karteczkach nie podano, czy śmierć nastąpiła w wyniku morderstwa, którego sprawcy nie znaleziono, czy też samobójstwa bądź z wyczerpania - choć czasami przyczyna nie ulegała wątpliwości: strużka krwi ciekąca po twarzy, skórzana opaska zadzierzgnięta na kobiecej szyi. Najgorzej wyglądali topielcy - oblepieni mułem, ciała mieli rozpadłe z opuchlizny, jakby pękli z przejedzenia. Zwłoki trzymano w kostnicy przez parę tygodni, po czym się ich pozbywano. Większość bezimiennych zmarłych w rzeczywistości przestała już istnieć w sensie fizycznym. Wszystkim, co z nich pozostało, jedynym śladem ich istnienia na ziemi były zdjęcia fotografów policyjnych przypięte w korytarzu. Ale i tych względów nie świadczone im długo. Po paru miesiącach zdjęcia zdejmowano i chowano w piwnicy, gdzie nigdy już nie spoczęło na nich ludzkie oko.

Alma przyniosła ze sobą fotografię, na której Martin w trzyczęściowym garniturze prezentował się niezwykle elegancko.

Włosy, nieco dłuższe niż nosił zazwyczaj, wdzięcznie opadały mu na czoło. Uśmiechał się, mrużąc oczy przed światłem. Policjanci uważnie przyjrzeni się zdjęciu i oświadczyli, że nigdy tego człowieka nie widzieli.

- Nosi okulary - poinformowała ich Alma. - Do czytania.

- Nadal jednak potrzęsali głowami.

Powracała co parę dni, już sama. Policjanci przyzwyczaili się do jej wizyt i gdy pojawiała się w drzwiach, witali ją uśmiechem.

W tłumie petentek jej rudoblond loczki, śliczny zadarty nosek, szyte na

miarę żakiety i szale w groszki od razu rzucały się w oczy. Cała jej postać świadczyła o zamożności: karnacja, szczupłe, wąskie w kostkach nogi, wyprostowana postawa, dźwięczny stukot obcasów. Policjanci troskliwie prowadzili ją do gablot.

Czasami pokazywano jej zdjęcia jeszcze niewystawione, wymagające dopiero należytej biurokratycznej obróbki. Niekiedy pozwalali jej obejrzeć fotografie nieprzeznaczone na widok publiczny ze względu na swą drastyczność: ciała przecięte na pół na torach kolejowych, spalone na węgiel w pożarze albo zakopane w płytkich grobach, rozkładające się, z zębami wyszczerzonymi w upiornym uśmiechu.

- To przykry widok - uprzedzali ją, otwierając teczki.

A potem bacznie przyglądali się Almie, gdy ciemne stężałe masy w jej oczach zaczynały nabierać kształtów; kości obrastały w ciało, przeobrażając się w ludzkie postaci. Choć udostępniali jej owe okropieństwa z demonstracyjną niechęcią, wyczuwała, że sprawia im to tajoną przyjemność, tak jak uwodziciela raduje deprawacja niewinności. Wspólne zgodne oglądanie tych cielesnych ruin wytworzyło między nimi więź. A może cieszyli się, widząc, jak Alma chwieje się na swym społecznym piedestale.

Przysługę tę wyświadczali jej tym chętniej, że współuczestniczyła w swym poniżeniu, powracając raz po raz, jakby chciała zaspokoić jakąś wynaturzoną żądzę.

Starszy sierżant miał na twarzy lśniąca gładką bliznę. Opadała mu powieka.

- Dlaczego uważa pani, że on nie żyje? - zapytał ją któregoś dnia, kiedy stali przed gablotami. - No, ten pani doktor Kirsch?

Od ostatniej wizyty Almy zdjęcia trochę poprzestawiano. Potrzebowała chwilkę, by się w tym wszystkim zorientować. Jedna z topielic powędrowała do dolnego rzędu, jakby ściągnięta własnym ciężarem, w górnym rzędzie widniało teraz puste miejsce.



- Mieliśmy się pobrać - odparła.

- Tak, fraulein, ale czy coś mówił? Coś, co by dawało powody do niepokoju? Czy na przykład miał wrogów?

Alma potrząsnęła głową. Nachodziły ją różne myśli, miała przeczucia, lecz nie potrafiła powiedzieć nic konkretnego. Jej uwaga skupiała się na pewnej pacjentce Martina, młodej kobiecie słowiańskiego pochodzenia. Gazety tygodniami rozpisywały się o tym przypadku, snując wiele drastycznych przypuszczeń.

O Kirschu, jako o doktorze poszkodowanej, często pisano i napstrykano mu mnóstwo zdjęć. Alma była wówczas rada z tego zainteresowania, tyle że wtedy właśnie Martin zaczął się zmieniać. Ta historia działała na niego jak narkotyk. Uwiodła go, zatrula. Robert skarżył się, że Martin zamknął się w sobie, stał się tajemniczy. Jakby go coś opętało. Alma go nie poznawała.

Nikt go nie poznawał.

Jego przełożeni nie chcieli rozmawiać o tej sprawie. Nie wiedzieli, czy ma ona coś wspólnego ze zniknięciem Martina. Uprzejmie zbywali wszelkie próby wyjaśnień, jakby skrywali jakiś wstydlivy sekret zawodowy. Lecz brak jakichkolwiek oznak niepokoju ze strony zwierzchników świadczył o ich przekonaniu, że Martin zniknął z własnej woli. Być może padł ofiarą przestępstwa - coś poszło nie tak podczas napadu ulicznego, porwano go bądź zamordowano - nie zamierzali jednak w to wnikać.

Martin wynajmował pokój przy Schonhauser Allee, w odległości około dwu i pół kilometra od szpitala. Alma nie bywała tam często - raz wpadła na chwilę - ale wiedziała, że okolica nie cieszy się dobrą reputacją. Na północ ciągnęły się czynszówki Pankow, na południe roilo się od podejrzanych nocnych lokali skupionych gęsto wokół stacji Alexanderplatz. Martin wyjaśniał, że jest tam tanio i wygodnie mu się pracuje. Lecz gdy Alma znalazła mu bardziej odpowiednie mieszkanie w zachodniej dzielnicy Charlottenburg, ociągał się z przeprowadzką.

- Przywykłem do tych starych kątów. A poza tym po co, skoro w przyszłym roku wyprowadzamy się z miasta?

Wytłumaczyła sobie, że jako stary kawaler jest nieruchawy i nie dba o pozory. W zupełności wystarczał mu cichy pokój do pracy, w którym mieściły się jego książki. Jednakże w parę dni po zniknięciu Martina to założenie zaczęło budzić w niej wątpliwości. Zastanawiała się, czy prawdziwa jest powszechna opinia, że w tej części miasta kryją się pokusy, o których nie miała pojęcia.

Jej rodzice nie rozumieli, dlaczego brnie w to wszystko. Ich zdaniem im szybciej zapomni o Kirschu, tym lepiej. Wynajęli na lato dom nad Bałtykiem i namawiali ją, by do nich przyjechała.

Alma znalazła sobie pracę jako recepcjonistka wyłącznie po to, by przestali zawracać jej głowę.

Po pracy wsiadała w kolej miejską, która wznosiła się nad dachami domów i zapadała w działki po wyburzonych budynkach, sunąc tak blisko osiedli mieszkaniowych, że Alma widziała, jak jej odbicie tańczy w szybach. Przebywała drogę, którą pokonywał jej narzeczony, by spojrzeć na miasto jego oczyma. Z kolejki widzi się rzeczy niedostrzegalne z ulicy - samotne drzewo wiśni kwitnące w podwórzu, dzieci, które myją się w miednicy, dziewczynę rozwieszającą turkusową suknię na balkonie czynszowej kamienicy. Kolejka po części działała jak skalpel, po części jak kamera filmowa; przecinając miasto, odsłaniała jego mechanizmy w tempie pięćdziesięciu klatek na sekundę. W kolejce Alma nie czuła się taka opuszczona, miała wrażenie, że podróż cofa zegar, przybliżając ją do utraconej przyszłości.

Czasami jechała tramwajem za Alexanderplatz, do miejsc, które dotąd były dla niej pustymi dźwiękami, do dzielnic zasiedlonych przez emigrantów, gdzie turysta nie miał czego szukać.

Po wojnie stolica się rozrosła i stała bardziej bałaganiarska. Przerzuty zagarnęły pola i lasy, masy proletariackie przyrosły o hordy ludzi ze wschodu: Rosjan i Polaków, Cyganów i Żydów. Jej ojciec twierdził, że w porównaniu z

każdym innym miastem w Niemczech nie jest to już miasto niemieckie.

Alma gapiała się na dziwne, obce ulice wypełnione czujnym tłumem, na skryte pod dachami targi i świątynie. Prześladowała ją myśl, że jej narzeczony znał te miejsca, a być może nadal go tam widują. Pewnego razu ujrzała go - pochylony, zapalał papierosa przed wystawą sklepową. Wskoczyła z tramwaju, przebiegła przez ulicę i dopiero wtedy się zorientowała, że to nie on.

- Och, najmocniej przepraszam. Myślałam...

Nieznajomy uśmiechnął się, uchylił kapelusza i powiedział coś w języku, którego nie rozumiała.

Alma poszła do Pruskiej Biblioteki Państwowej, by przejrzeć stare gazety. Grupa ochoczych studentów w marynarkach z naszywką uniwersytetu pomagała przestawiać książki na półkach.

Pchali wózki po korytarzach, rozmawiając głośno i żartując. Berlin mógł się poszczycić dziesiątkami gazet. Alma zasiadła w czytelni czasopism, przeglądając stronice, wdychając oleisty zapach farby, a jej palce i dłonie powoli czerniały. Gdzieś wśród zgłętku aktualności dnia muszą się kryć jakieś ziarna prawdy, jakieś zapowiedzi jej prywatnej katastrofy.

Pacjentkę Martina znaleziono w lasach pod Poczdamem, dwadzieścia kilometrów na południowy zachód od miasta. Natrafiło na nią dwóch chłopczków, którzy wybrali się na wycieczkę rowerową. Ich zdjęcia zamieścił „Berliner Morgenpost”. Hans i Ernst Weise stali sztywno, trzymając rowery i wpatrując się w obiektyw. Wyruszyli wcześniej w ten sobotni ranek pod koniec października, zamierzając dotrzeć do miasteczka Caputh, gdzie jak słyszeli, wielki Albert Einstein mieszka i żegluje po pobliskim jeziorze. Ale zapadła mgła i zabłądzili. W końcu młodszy zauważył coś na brzegu.

SZUKALI GENIUSZA, A ODKRYLI ZBRODNIĘ NA TLE SEKSUALNYM - krzyczało pierwsze zdanie reportażu. Znaleziona dziewczyna była półnaga i przemoczona do nitki. Nogi miała pocięte i podrapane. Inne, niewymienione ślady przemocy, stwierdzono na całym jej ciele, tak bladym, że

chłopcy uznali je za martwe.

Gdy na szyi wymacali słaby puls, okryli ją marynarkami, a starszy Hans popedałował po pomoc. Wrócił dopiero po godzinie z policją.

Pełen polotu felieton w „Berliner Illustrierte Presse” skupił się na udreće Ernsta Weisego, ośmioletniego chłopczyka, który został w spowitym mgłą lesie sam z piękną umierającą kobietą.

Mając głowę nabitą opowieściami o upiorach i złych duchach, Icdwo ważył się odetchnąć ze strachu, by go nie zauważyły. Chłopiec powiedział później, że dziewczyna odezwała się, nim znowu straciła przytomność, lecz nie potrafił powtórzyć jej słów. Wyjawił nawet, że ją pocałował w nadziei, że to pomoże utrzymać nieszczęsną przy życiu.

Dalsze losy dziewczyny wyszły na jaw dopiero później. Większość szczegółów Alma znalazła w prasie tygodniowej, w zamieszczanych tam krzykliwych tekstach, których sensacyjne doniesienia wzmocniano niewyraźnymi czarnobiałymi zdjęciami. Taką prasę czytał HansPeter, kierowca jej ojca, czekając na swego chlebobawcę.

Policjanci, którzy pojawili się na miejscu zdarzenia, nie bardzo wiedzieli, co robić. Odwieźli nieprzytomną kobietę do punktu pierwszej pomocy w Caputh, gdzie dysponowano tylko kocami, bandażami i środkiem dezynfekującym, a potem do sanatorium w Poczdamie. Tamtejszemu personelowi również brakowało doświadczenia, gdyż opiekował się głównie gruźlikami i pacjentami cierpiącymi na schorzenia górnych dróg oddechowych. Obawiając się wyziębienia organizmu, medycy zanurzyli dziewczynę w gorącej kąpieli, by podnieść temperaturę jej ciała, co jak uznali później lekarze z Charité, tylko pogorszyło jej stan. Nagłe ciepło spowodowało rozszerzenie się zwężonych naczyń krwionośnych w rękach i nogach. Krew o niskiej temperaturze z kończyn popłynęła do korpusu i mózgu, obniżając jego temperaturę. Ta sama krew przeniosła podwyższony poziom toksyn i kwasów. Prawdopodobnie z powodu kwasicy dziewczyna zapadła w śpiączkę.

Dostała też ataku konwulsji. Personel przypilnował, by nie połknęła języka. Potem źrenice się jej zwężyły i straciła przytomność. Ponieważ puls chorej słabł, wezwano z jadalni kapelana, bo a nuż była rzymską katoliczką. Otrzymała ostatnie namaszczenie. Wreszcie koło drugiej, gdy nad miastem rozpętała się burza, przybyła karetka, by odwieźć pacjentkę autostradą Avus do Berlina. Kiedy dziewczyna w końcu odzyskała świadomość, nic nie pamiętała. Nie wiedziała nawet, jak się nazywa.

Następnego dnia policja pospiesznie rozpoczęła poszukiwania. W lasach wokół stolicy często powstawały kolonie namiotów, które zamieszkiwali bezrobotni z rodzinami - był to drobny ułamek milionów ludzi bez zajęcia, niczym ludzkie szczątki przepływających z jednego zespołu miejskiego do następnego.

Gazety spekulowały, że prawdę odnajdzie się w którejś z tych "enklaw rozpaczy". Pod baczным okiem prasy szesnastu policjantów przeczesano lasy koło Caputh w poszukiwaniu dowodów.

Wtorkowe wydanie *Berliner Morgenpost* zamieściło zdjęcie mężczyzn w sztormiakach, pochylonych ku ziemi bądź przykucniętych, by dokładnie przyjrzeć się wgnieceniom w zasypanej liśćmi ziemi. Ale nie natrafiono na kolonię namiotów ani na żadne ślady świadczące, że kiedykolwiek tu istniała. Z punktu widzenia medycyny sądowej operacja nie przyniosła wielkich rezultatów - znaleziono zaledwie parę skrawków materiału, wsuwkę do włosów, oblepiony błotem prawie nowy but. Odkryto także rozmoczone resztki ogłoszenia o publicznym wykładzie w sali filharmonii. Wykład nosił tytuł "Obecny stan badań nad teorią kwantową". Głównym mówcą był profesor Albert Einstein.

Bibliotekę zamykano o szóstej. Alma wyszła na Unter den Linden, przysłaniając oczy przed popołudniowym słońcem. Gdy siedziała w środku, spadł deszcz. Kocie łby były ciemne i śliskie. Z pobliskiego głośnika ryczała muzyka, echa męskich głosów i maszerujących orkiestr odbijały się od pokrytych sadzą fasad z epoki cesarstwa.

Robert czekał na nią w nowym daimlerze. Kiedy tylko ją dostrzegł, wysiadł i z pełnym nadziei uśmiechem otworzył przed nią drzwi.

Studenci wywieźli z biblioteki pełne wózki książek i teraz ładowali je na ciężarówki. Jeden z nich mrugnął do schodzącej ze schodów Almy. Odsłonił w uśmiechu garnitur zębów białych jak trójkąt chusteczki wystającej mu z kieszonki marynarki na piersi. Alma zmarszczyła z niezadowoleniem brwi, bo wrzucał książki na ciężarówkę tak obojętnie jak węglarz wygarniający łopatą swój ładunek.

- Co oni robią? - zapytała.

- Najwyraźniej dobrze się bawią - odparł Robert.

Położył jej rękę na ramieniu. Zdziwił ją swoją troskliwością. Zawsze był pogodny, lecz nigdy go nie podejrzewała o takie pokłady prawdziwej czułości. Ostatnie wydarzenia w podobnym stopniu wytrąciły ich z równowagi, a teraz oboje starali się przyjąć do wiadomości zniknięcie Martina Kirscha, co ich do siebie zbliżyło.

Gdy przejeżdżali obok skwerku przed gmachem opery, Alma znowu dojrzała książki. Ułożono je w stosy wysokie na dwa metry. I wtedy zrozumiała - przeznaczone były na spalenie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Październik 1932 roku

Martin Kirsch usłyszał to w toalecie - urywany metaliczny wrzask. Dochodził jakby z otworu odpływowego - przeraźliwy krzyk bólu i przerażenia. Martin zastygł przed umywalką z rękoma ociekającymi wodą, wpatrując się w zardzewiały krąg ciemności.

Przyszedł wcześniej, by w ciszy i spokoju nadgonić zaległe prace. Przez cały tydzień po Schonhauser Allee mknęły ciężarówki wyładowane kandydatami startującymi w wyborach i członkami organizacji paramilitarnych,

którzy jak opętani naciskali klaksony, śpiewali i żartowali na cały głos. Gdy nie było akurat żadnego policjanta na widoku, dochodziło do starć. Wybite zęby i pogruchotane kości. Gospodyni Martina, frau Schirmann, przez cały czas trzymała drzwi zamknięte i zaryglowane. Musiał ją budzić, by się wydostać na zewnątrz.

Na dworze ledwo świtało. O tej godzinie pacjenci jeszcze spali. Zresztą ich sypialnie i tak znajdowały się po drugiej stronie budynku. Nadal jednak stał jak sparaliżowany, nasłuchując, czy krzyk nie rozlegnie się ponownie. Ale słyszał tylko, jak krople wody skapują na popękana białą porcelanę.

Rury, to coś świszczcze w rurach. Podgrzewacz nawala. Korek powietrzny. Cóż z niego za głupiec. Wyprostował się, sięgnął po ręcznik. Te stare budynki skrzeczą i jęczą gorzej niż starcy.

Znowu głos, lecz teraz inny, szybszy i cichszy. Dyszy - czy może szlocha? Wstrzymał oddech, pochylił się niżej.

- Nie nie nie nie nie nie nie nie.

Gdzieś rurami spływa woda. Korek powietrzny się odetkał.

To w ogóle nie jest ludzki głos.

Na powrót włożył okulary i zajrzał pod rząd umywalek. Instalacja wodnokanalizacyjna ma z pięćdziesiąt lat - ciężkie galwanizowane żelazo, powłoka szarej farby łuszczy się od rdzy. Od studzienki kontrolnej ujście zataczało ostry łuk ku kabinom, nim zniknęło pod podłogą. Pod umywalnią na parterze znajdowały się biura, a niżej pod nimi piwnica, częściowo uprzątnięta na cele badań doświadczalnych zastępcy dyrektora. Przypomniawszy sobie, że w starej pralni stoją tam zlewy. Wszystkie urządzenia wodno-

- kanalizacyjne były z sobą połączone niczym gigantyczna centrala telefoniczna.

Spojrzał na zegarek - siódma. Pochylił się znowu i ochoczo przyłożył ucho do otworu odpływowego.

Teraz tylko szepty, odległy gulgot. Kap, kap, kap. Potem znowu głosy

przelewające się przez metal - głosy kobiece.

- Wstrętny świntuch.

Odskoczył. Głos był bardzo wyraźny.

Brzęk kurków. Woda z sykiem sunąca przez system.

Z tyłu gwałtownie otwarły się drzwi. Postukując obcasami o płytki podłogi, wkroczył zastępca dyrektora, doktor Heinrich Mehring. Na szyi odznaczał się kołnierzyk koszuli frakowej, nieskazitelna łysina lśniła, pod pachą jak zwykle dzierżył.Kreuz-

- Zeitung”.

- Dzień dobry, doktorze Kirsch. - Kirsch się wyprostował.

- Znowu zapomniał pan fartucha?

Podczas pełnienia obowiązków służbowych cały personel obowiązkowo musiał nosić białe fartuchy. Dyrektor pilnie tego przestrzegał. Uważał, że musi istnieć wyraźny rozdział między pacjentem i lekarzem.

- Nie, panie doktorze. Nie będę się dziś widział z żadnymi pacjentami.

Mehring otworzył drzwi jednej z kabin i uniósł się na palcach.

Lubił dokładnie obejrzeć muszlę klozetową, nim oddał się stosownym czynnościom.

- Ale oni mogą pana zobaczyć. I o to przecież chodzi, prawda? W razie potrzeby mam dodatkowy fartuch w gabinecie.

Najwyraźniej inspekcja muszli klozetowej wypadła pomyślnie. Mehring zamknął drzwi i przekręcił zamek. Kirsch usłyszał, jak otwiera gazetę.

Nie był w piwnicy, odkąd zajął ją Mehring. Przypomniawszy sobie labirynt pomieszczeń magazynowych, skład zbędnych tekstów medycznych, przestarzały podgrzewacz do wody, którego pilnował czujny wartownik, mąż niewielu słów i jeszcze mniejszej liczby zębów. Mehring wolał piwnice od pokoi, które mógłby otrzymać do swej dyspozycji na górze. Chciał prowadzić eksperymenty w warunkach naukowego odosobnienia, jakby kontakt z resztą kliniki podważał wiarygodność jego odkryć.



Głównym przedmiotem badań Mehringa była nowa forma leczenia, którą zaproponowano w odległym o paręnaście kilometrów sanatorium Lichterfelde. Tamtejszy psychiatra, Manfred Sakel, palaczom opium wychodzącym z nałogu wstrzykiwał insulinę, hormon obniżający poziom cukru we krwi. Objawy towarzyszące odstawieniu narkotyku - drgawki, wymioty, niepokój - wydawały się słabsze. Lecz najlepsze rezultaty Sakel uzyskiwał przy dawce tak wysokiej, że pacjenci doznawali wstrząsu hipoglikemicznego. Mając niedocukrzony mózg, zapadali w śpiączkę, z której wybudzano ich wysokimi dawkami glukozy.

Sakel nie wiedział, czy pozytywne rezultaty należy przypisać terapii szokowej czy wynikającym z niej śpiączkom, ale stwierdzał, że zachowanie pacjentów ulegało znacznej poprawie. Byli mniej kłótlivi, przyjaźniej nastawieni, chętniejsi do współpracy. Sakel kontynuował badania na Uniwersytecie Wiedeńskim, stosując te same metody wobec pacjentów ze stwierdzoną *dementia praecox* - czy też schizofrenią, jak ją początkowo nazywać. Choć ciągle czekano na oficjalne ogłoszenie wyników, krążyła wieść, że osiągnął równie znakomite rezultaty. Pacjentów, których wprowadzano w śpiączkę pięć, sześć razy tygodniowo, nie dręczyły już psychotyczne myśli. Urojenia zniknęły, a przynajmniej nie oddziaływały już na chorych tak silnie. A choć nadal byli zdezorientowani i mieli zaniki pamięci, nie wpatrywali się już tak intensywnie we własny pępek i znacznie mniej gwałtownie przejawiali niestosowne emocje. Jak ujmował to Sakel, stawali się "mniej skomplikowanymi przypadkami".

Doktor Mehring z zainteresowaniem śledził prace Sakela.

Gdy tylko zwolniła się posada pielęgniarki, przyjął siostrę z dawnego zespołu Sakela w Lichterfelde. Miał własne teorie na temat dalszych badań nad terapią wstrząsową. Sądził, że wyniki, które uzyskał Sakel, należy przypisać zmianom w elektrycznej działalności mózgu, co otwiera perspektywy nowych, obiecujących metod leczenia.

Kirsch czytał sprawozdania z tego postępowania. Pacjenta budzono każdego ranka o szóstej i natychmiast zabierano do pokoju bez okien. Tu personel układał go na łóżku, podpierając mu głowę poduszkami. Potem przeciągano natłuszczoną gumową rurkę przez jego lewe nozdrze i dalej przez przewód pokarmowy do pustego żołądka. Drugi koniec rurki zanurzony był w podwieszonym za łóżkiem szklanym zbiorniku z posłodzoną wodą. Cukier miał wydobyć pacjenta ze śpiączki w wyznaczonym czasie.

Na tacy leżały przybory niezbędne do szybszej interwencji: strzykawki i szczelnie zamknięte butelki trzydziestoośmioprocentowego roztworu glukozy.

O siódmej w żyłę w lewym przedramieniu pacjenta wstrzykiwano glukozę w dawce codziennie zwiększanej - od czterdziestu do osiemdziesięciu jednostek, aż zacznie zapadać w śpiączkę. Niektórzy pacjenci wykazywali niezwykłą oporność na insulinę. Za nic nie chcieli usnąć, wymachiwali trzęsącymi się rękami i nogami, jakby utrata świadomości napawała ich przerażeniem. Kiedy ich ciała ulegały wstrząsowi, ręce pokrywały im się gęsią skórą, zaczęli się pocić, usta wypełniały się śliną, tak że trzeba ich było obracać na bok, by się nie zachłysnęli.

Kirsch poprosił, by jego schizofreników wyłączyć z eksperymentów Mehringa. Był pewien, że poddawanie ich takim udrękom zniweczy rezultaty jego terapii, która polegała na zdobyciu zaufania pacjentów. Poruszył tę sprawę w rozmowie z dyrektorem, doktorem Bonhoefferem, a skoro nic to nic dało, poinformował o wszystkim rodziny pacjentów. O ile się orientował, Mehring w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

Służbowa winda się zatrzymała. Kirsch zostawił drzwi otwarte i ruszył głównym korytarzem. Z sufitu zwisały żarówki. Świeciły to jaśniej, to ciemniej w zależności od zmiennej mocy szpitalnych generatorów. Powietrze było gęste, przesycone ostrym zapachem farby.

Wszystkie książki zniknęły. Skład i starą pralnię przerobiono na pokoje dla chorych. Świeżo zamontowano ciężkie drzwi automatyczne. Kirsch uchylił

najbliższe na parę centymetrów. Dwie pielęgniarki Mehringa stały nad żelaznym łóżkiem. Jedna trzymała w ręku gąbkę, druga notatnik. Między nimi leżał pacjent, spod wełnianego koca wystawały jego sękaty gołe stopy.

Stopy skierowane były ku sobie, palce mocno zaciśnięte niczym pięści. Nazywa się to objawem scyzoryka i zazwyczaj świadczy o spastyczności bądź zmianach mózgowych.

Stopy drgnęły.

- Później go obmyjesz. Znowu to zrobi.

Siostrę Reginę Honig przejęto z sanatorium Lichterfelde.

Wykonywała tylko polecenia doktora Mehringa. Była wysoka, mocno zbudowana, o bladej skórze, która wyglądała na wiecznie poparzoną od słońca. Druga siostra nazywała się Ritter. Ta chuda nerwowa kobieta zapewne cierpiała na bezsenność, o czym świadczyłby wyraz głęboko osadzonych oczu. Kirsch nie słyszał, by, kiedykolwiek się odezwała, przynajmniej podczas rozmowy.

Miał wrażenie, że jest chorobliwie nieśmiała..

Siostra Honig spojrzała na swój zegarek kieszonowy i zanotowała coś. Pacjentem zaczęły wstrząsać drgawki. Kirsch rozpoznał Jednego ze swych podopiecznych, Andreasa Stoehra. Z jego gardła dobywało się zduszone bulgotanie.

Siostra Ritter pochyliła się nad nim.

- Myśli pani, że powinniśmy go przewrócić?

Kirsch nie mógł się przyglądać temu beczynnemu. Wszedł do pokoju.

- Co tu się dzieje?

Siostra Honig spojrzała nań, zmarszczyła brwi, po czym pomaszerowała ku niemu z ręką wyciągniętą przed siebie.

- Doktorze Kirsch, jesteśmy w trakcie zabiegu. Czy z łaski swojej...

Uprzedzono ją, że Kirsch może się wtrącać.

Przeszedł mimo niej. Stoehra przypięto pasami do łóżka.

Od nadgarstków do łokci ręce miał sine od zastrzyków insuliny,

purpurowoczarne kręgi stanowiły coś na kształt wykresu postępu choroby. Twarz mu się wyciągnęła, jakby skonał przed chwilą. Gęste nastroszone włosy przetykane były kępkami siwizny. Przed chwilą zabrudził piżamę, z której unosiła się woń moczu.

Głowa Stoehra kołysała się z boku na bok, usta miał wykrzywione, jakby chciał zwymiotować gumową rurkę, którą przeciągnięto mu przez przełyk.

- Wszystko jest jak należy - wyjaśniała siostra Honig.

- Wybudza się ze śpiączki. To tylko faza przejściowa.

- Dławi się - rzekł Kirsch.

Siostra Honig stanęła mu tuż przed nosem.

- Nie może się dławić, doktorze Kirsch. Nie ma się czym dławić.

Stoehr zaczął gwałtownie poruszać szczękami. Usiłował przegryźć rurkę, wypluć ją z ust. Po policzku spływała mu strużka śliny.

Siostra Ritter rzucała nerwowe spojrzenia, obracając obrączkę na palcu.

- Położyć go na boku, siostrze? - spytała ponownie.

Stoehr wydał zduszony dźwięk. Mrugnął.

- Cz... czarne psy!

Ryknął, szarpiąc pasy.

- Ma atak - rzekł Kirsch. - Wyprowadźcie go z tego.

Z ust Stoehra bryzgała piana jak z gotującego się garnka. Ten bulgot był nie do zniesienia.

- Wszystko idzie zgodnie z planem. - Siostra Honig położyła ręce na ramionach Kirscha, usiłując go odwrócić.

- Zaraz tu przyjdzie zastępca dyrektora. Chyba lepiej, żeby...

Słyszając gwałtowny zduszony dźwięk, pobiegła z powrotem do łóżka.

- Przesuń mu głowę. - Rzuciła notatnik i przytknęła miskę Stoehrowi pod brodę, siostra Ritter zaś rozplaszczonymi dłońmi przekręciła mu głowę na lewo. Jego uwięzione ręce drgały nerwowo.

Kirsch obrzucił wzrokiem wózek na przybory medyczne, szukając

strzykawki do zastrzyków podskórnych. Na wszelki wypadek winni mieć pod ręką zastrzyki glukozy. Zastrzyk dożylny szybciej działa na mózg niż przyjęcie środka przez żołądek.

Dwie strzykawki leżały obok siebie, wypełnione glukozą i gotowe do użytku.

Całym ciałem Stoehra szarpnęło. Nogi żelaznego łóżka zaskrzypiały o podłogę. Siostra Ritter zatoczyła się do tyłu.

- Trzymaj go! - Siostra Honig rzuciła Kirschowi wrogie spojrzenie, jakby on był winien temu wszystkiemu. - Nie wiem, dlaczego tak się rzuca.

Kirsch wziął do ręki strzykawkę, wypompowując powietrze.

- Proszę się odsunąć.

- Doktorze, niech pan tego nie robi. Jesteśmy w trakcie...

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

- Ale program doktora Mehringa...

Kirsch ujął rękę Stoehra, wyprostowując mu ramię. W żyły powierzchniowe wbijano się już tyle razy, że nie było żadnego nietkniętego miejsca.

Ręka Stoehra nagle zacisnęła się na jego dłoni. Uścisk był zadziwiająco silny jak na tak chudego człowieka.

- Znaleźli mnie. - Wpatrywał się w Kirscha tak intensywnie, że oczy wychodziły mu na wierzch. - I to pan im powiedział.

Pan.

- Niech się pan odpręży.

Przez ciało Stoehra przebiegły drgawki. Z jękiem opadł na plecy. Kirsch usiłował rozpiąć mu pasek na nadgarstku. Będzie musiał zrobić mu zastrzyk w przedramię, jak przy szczepieniu.

- Doktorze, nie radzę. - Twarz siostry Honig poczerwieniała. - Rozwiązany może...

- Uciec? Trudno byłoby mu się dziwić.

- Doktor Mehring wyraźnie polecił, by glukozę podać dopiero...

Chwyła Kirscha za ramię. Strząsnął jej rękę.

- Doktora Mehringa tu nie ma.

- Niemniej...

Siostra Ritter wrzasnęła. Stoehr wyciągnął wolną rękę i chwycił ją za włosy. Teraz przyciągał pielęgniarkę ku sobie.

- Czarne psy!

Furiat przyginał głowę siostry Ritter, aż zleciał jej czepek i długie brązowe włosy rozsypały się na nich oboje.

Stoehr rozdziawił usta. Kirsch ujrział kły i siekacze, popękane i zażółcone, niezdrowo biały język. Chory miał oczy otwarte, lecz wzrok błędny, była w nim zwierzęca pustka.

- Cz... czarne.

Zanim ktokolwiek zdołał go przytrzymać, wbił zęby w ciało pod uchem siostry Ritter. Rozległ się chlupot i trzask. Na jego policzek prysnęło parę kropel krwi.

Siostra Ritter z wrzaskiem upadła na podłogę, przyciskając krwawą ranę. Do pokoju wbiegł doktor Mehring.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Kirsch szczególnie się interesował Andreasem Stoehrem. Był to trudny przypadek - żaden z jego kolegów nie palił się do leczenia go - ale gdy tylko Kirsch zapoznał się z dokumentacją, wiedział, że musi się nim zająć.

Stoehr miał trzydzieści cztery lata i kiedyś służył jako sierżant w 140. Pułku Piechoty. Został aresztowany przed budynkiem opery z dwoma granatami ręcznymi i puszką parafiny, za pomocą których, jak twierdził, zamierzał zniszczyć budynek. Podczas przesłuchania twierdził uparcie, że gmach opery skrywa wyjście z tajemnego tunelu łączącego powierzchnię Ziemi z dziewiątym

kręgiem Piekła, w którym uwięzieni są zdrajcy i spiskowcy knujący obalenie prawowitego Boga. Jak utrzymywał, te mściwe dusze, które zwerbował Szatan, wracają przez operę, by podbić Ziemię. Stoehra skierowano na badania do kliniki psychiatrycznej Charité, gdzie stwierdzono u niego dementia praecox podtypu paranoidalnego.

Chorego dręczyły koszmary, w których prześladowało go widmo utonięcia. Dzień i noc bał się uduszenia. Nie jeździł kolejką z obawy, że ugrzęźnie w tunelu. Przechodząc przez most, drżał ze strachu na myśl o ciemnych wodach przepływających pod jego stopami. Budził się w środku nocy z krzykiem, że mu duszno.

Kirsch często stwierdzał te fobie u weteranów wielkiej wojny.

Dopadały ludzi, którzy przeżyli atak gazu trującego albo z bliska zaobserwowali skutki jego działania; widzieli, jak chlor wyżera wewnętrzną wyściółkę płuc, sprawiając, że ofiary toną we własnych płynach.

Stoehr zgłosił się do wojska na ochotnika w wieku piętnastu lat. Okłamał oficera werbunkowego co do swego wieku i został wysłany na zachód, w sam czas, by wziąć udział w bitwie pod Verdun. Kirsch starał się jak najstaranniej poskładać te dane, choć wspomnienia Stoehra często były mętne. We Francji zapadł na dyzenterię po wypiciu wody z leju po pocisku naszpikowanego zwłokami. W pewnym momencie otrzymał odznaczenie za dzielność i awansował na sierżanta. Podczas ataku na Fort Sauville został postrzelony w biodro i mającąc, leżał bez opieki przez pół dnia, a może i dłużej, wśród błagań i krzyków innych rannych.

Po wojnie powrócił do rodzinnej Bremy, gdzie przez rok pracował jako tragarz na kolei, po czym za siostrą wyjechał do Berlina. Tu miał się różnych zajęć, aż wreszcie znalazł posadę nocnego stróża w składzie odzieżowym braci Sklarek. Ta praca chyba mu odpowiadała. Wreszcie zaczął regularnie i odpowiedzialnie wykonywać swe obowiązki. Lecz po paru latach firma Sklarek zniknęła z rynku w wyniku afery finansowej, likwidując zapasy i zamykając

skład. Jak twierdzi siostra Stoehra, wtedy jego dziwaczne zachowanie zaczęło budzić niepokój. Podejrzewała na przykład, że zabił psa sąsiada. Po kłótni ze szwagrem Stoehr wyprowadził się do wynajętego pokoju w Pankow. Potem rodzina usłyszała o nim, gdy został aresztowany przed gmachem opery.

Jeśli się dobrze zastanowić, w szaleństwie Stoehra można wykryć pewien wzorzec. Wedle niego cała groza, wszelki strach kryją się pod jego stopami, w zrytej ziemi i cuchnącej wodzie.

Mówił, że w lejach po pociskach leżały trupy, ale to wcale nie był jego wymysł. Pod Verdun podczas dziesięciu miesięcy wojny artyleryjskiej działa wryły w ziemię kilka tysięcy ton poległych żołnierzy. Sierżant Stoehr wdychał smród zwłok, czołgał się między nimi, walczył na ich szczątkach, wypełniał żołądek ich gnijącą krwią. Ich ciała przeszły w jego ciało.

Kolegów Kirscha zdumiewało jego zainteresowanie bredzeniami sierżanta. Uważali, że różne choroby neurologiczne dają różne objawy. Po charakterze szaleństw pacjenta można się zorientować, na jaką chorobę cierpi, do czego służył system klasyfikacji. Jednak formy, w jakich przejawiało się szaleństwo, poszczególne urojenia i fantazje, które opanowywały umysł chorego, nie miały znaczenia. Psychiatra miał zastosować odpowiednie leczenie, w razie konieczności metodą prób i błędów, by pacjent powrócił na swoje miejsce w społeczeństwie. Czyż psychiatria mogłaby się uważać za dziedzinę medycyny, gdyby nie szukała odpowiedniej terapii?

Co wszakże oznacza terapia w przypadku Andreasa Stoehra?

Jaki aspekt jego umysłu, sposobu myślenia czy zachowania miałyby zmienić? Na czym polega istota jego choroby, jeśli rzeczywiście jest chory? U źródeł jego kłopotów leżały przeżycia wojenne. To wydaje się najbardziej prawdopodobne. Tyle że przeszłości nie da się naprawić, można ją tylko zapomnieć. Na ile Kirsch się orientował, żadna szkoła psychologiczna nie uznawała wywoływania amnezji za dopuszczalną formę leczenia.

Siostrę Ritter odwieziono na wózku do głównego budynku szpitala. Tak



się trzęsła, że nie mogła zrobić kroku. Jak tylko poziom cukru we krwi Stoehra wrócił do normy, pacjenta przywiązano pasami bezpieczeństwa i zamknięto w południowym skrzydle, w jednej z sal, którą przeznaczono dla niebezpiecznych przypadków. Kirsch zaglądał do niego co godzinę, lecz Stoehr najwyraźniej już go nie poznawał. Siedział na materacu z kolanami pod brodą, tępo wpatrując się w ścianę.

Resztę poranka Kirsch spędził w swoim gabinecie, czekając na powrót doktora Mehringa. W zamieszaniu, które nastąpiło po zranieniu siostry Ritter, nie miał okazji, by wytłumaczyć swe postępowanie - dlaczego oswobodził rękę Stoehra, co kazało mu przeszkodzić pielęgniarkom. Nie sądził, by Mehring uznał jego wyjaśnienia, ale spodziewał się, że przełożony ich zażąda.

Nie tylko wszakże jego zachowaniu należało bacznie się przyjrzeć. W końcu doktor Mehring nie pojawił się przy niebezpiecznym zabiegu. Siostry może i były kompetentne, lecz kluczowe decyzje nie leżały w ich gestii. Mehring codziennie zwiększał dawki insuliny, wywołując coraz dłuższe i głębsze śpiączki.

Każdy etap winien podlegać ścisłemu nadzorowi. Czy odważyłby się zniknąć w ubikacji (i to bez wątpienia z gazetą) w powszedni dzień, gdy jego niedbalstwo mógłby zauważyć liczniejszy personel medyczny?

Mijały godziny, a Mehring się nie pojawiał. Na dworze zrobiło się ciemno. Kropelki deszczu uderzały o brudne wąskie okno.

Kirsch zapalił światła, trudno jednak mu było skupić się na pracy. Postanowił poszukać Mehringa, czego może wymagała różnica w hierarchii służbowej. Tymczasem poszedłszy do gabinetu zastępcy dyrektora, stwierdził, że jest on zamknięty. Nie powiodło mu się też na oddziałach ani na terenach rekreacyjnych.

Kiedy zapytał o siostrę Honig, powiedziano mu, że poszła do domu.

A zatem Mehring nie chciał omawiać tego incydentu - a przynajmniej nie z nim.

Kirsch pospieszył do swego gabinetu. Musi znaleźć kogoś, kto potwierdzi jego wersję wydarzeń, przyzna, że konwulsje Stoehra dawały powód do niepokoju. I musi zdążyć z tym przed Mehringiem.

Wróciwszy do gabinetu, podniósł słuchawkę telefonu. Centrala połączyła go z izbą przyjęć.

- Chciałem zapytać o siostrę Ritter.

- Teraz śpi. Daliśmy jej luminal. Strasznie ją bolało.

- W głosie doktora Oswalda Brennera, który udzielał mu informacji, słychać było zdenerwowanie. - Założyliśmy jej tylko pięć szwów, ale są głębokie. I jest bardzo posiniaczona. Na razie trudno powiedzieć, czy wda się zakażenie.

Kirsch przypomniał sobie trzask chrząstki i wytrysk krwi - zadziwiająco jasnej jak na kobietę o tak anemicznym wyglądzie.

- Czy nie potrzeba jej czegoś? Może mógłbym...

- Przede wszystkim musi wypocząć. Rano ponownie ją zbadamy.

Kirsch przypomniał sobie minę siostry Ritter, gdy Stoehr zaczął toczyć pianę z ust - była przerażona. Jest iskierka nadziei, że spojrzy na tę sprawę jego oczyma.

- Nic nie mówiła o tym wypadku?

- Pytaliśmy ją o okoliczności. To normalne postępowanie.

- I?

- Jak się zorientowałem, ktoś ją pobił. Jakiś szaleniec.

- A tak, pacjent. Tyle że chyba... nie wiedział, co robi.

Doktor Brenner chrząknął.

- Później przejdziemy do szczegółów. Poradziłem jej, żeby została na noc w szpitalu.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Na wszelki wypadek. Rany od ugryzienia często są zanieczyszczone i grożą infekcją. Zwłaszcza w tym wypadku.

- W głębi rozległy się jakieś głosy. - Przepraszam, ale...
- Jeszcze jedno. Czy był tam doktor Mehring? Szukam go wszędzie.
- Zajrzał tu jakiś czas temu. Powiedziałem mu to co panu: z siostrą Ritter można będzie porozmawiać jutro w godzinach odwiedzin.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy jego pociąg wjechał na Alexanderplatz, było już po piątej. Godzinny deszcz wypłoszył tłumy z ulic. Większość kandydatów startujących w wyborach dała już sobie dzisiaj spokój. Rozmokłe resztki ich materiałów agitacyjnych zwisały smętnie z murów i latarni. Przy wyjściu samotna grupka dziewcząt wręczała ulotki, krzycząc urywanym chórem: "Niemcy! Obudźcie się!". Ich blond warkocze i opalone twarze odstawały od tego miejsca. Większość ulotek wylądowała w ścieku.

Tramwaj numer 64 sunął krętym torem na północ, ku Schönhauser Allee, ale Kirch przepuścił przystanek i jechał dalej. Nie wrócił do domu najkrótszą drogą, tylko poszedł naokoło przez Grenadierstrasse, w dzień gwarną ulicę pełną małych sklepików i straganów, w nocy natomiast ulubione miejsce prostytutek i bezdomnych kotów.

Na Grenadierstrasse czuł się jak u siebie. Zimą unosił się tu w powietrzu zapach pieczonych kasztanów i palonego cukru.

Oferowanych na tej ulicy towarów nie kupiłoby się nigdzie indziej - zwierzęcych szkieletów, lekarstw bez recepty, bryłek bursztynu i czerwonego złota. Pod wiatami zbierali się brodaci mężczyźni - pewnie by poplotkować, choć marszczyli brwi i kiwali głowami, jakby dumając o przedwczesnej śmierci przyjaciela. Hebrajskie pismo na szyldach i tabliczkach z nazwiskami było postrzępione i monumentalne - zda się, że kryło w sobie wagę boskich edyktów bądź szyfrów tajnego towarzystwa. Kirscha nikt tu nie znał, prawdopodobieństwo natknięcia się na kolegę czy znajomego wydawało się

bardzo nikłe. Okolica była na to zbyt nędzna, zbyt wielu cudzoziemców ją zamieszkiwało.

Na drugim krańcu ulicy, naprzeciwko taniego hotelu, w zagłębieniu jezdni zawsze zbierała się woda, tworząc ogromną kałużę przy chodniku. To tam w poniedziałek w zeszłym tygodniu po raz pierwszy ujrzał Elżbietę.

Koło piątej wracał akurat ze stacji kolejki. Kupił właśnie od zwykłego dostawcy salwarsan na kiłę i przystanął przed sklepem z płytami. Spoglądał przez szklaną wystawę na krążki rozłożone na czerwonym gniecionym welurze, gdy pochwycił jej odbicie na szybie. Mignęła mu tylko przelotnie jej twarz - pełna, o rozchylnych ustach i ciemnych oczach - lecz na myśl, że na niego spojrziała (choć może na płyty) - serce mocniej zabiło mu w piersi. Obrócił się. Podchodziła do krawężnika, gdzie drogę zagradała jej nieprzebyta kałuża. Miała na sobie zwykły brązowy kapelusz w kształcie hełmu. Jej płaszcz był zbyt obszerny na obecną modę. Wyglądała jak biedna dziewczyna ze wsi, która dopiero co wysiadła z pociągu, by zatrudnić się w wielkim mieście jako pomoc domowa. Pod pachą ścisnęła grubą białą kopertę z wypisanym adresem.

Każdy inny obszedłby kałużę. Tymczasem ona wyciągnęła nogę - Kirsch dostrzegł ciężkie czarne sznurowane buty - i przeskoczyła z gracją baletnicy. A gdy druga noga wylądowała na samym skraju kałuży, powodując delikatne pluśnięcie, dziewczyna zamiast wykrzywić się czy bluznąć, roześmiała się tylko.

Pomaszerowała ulicą, przyspieszając kroku, kiedy przez Hirtenstrasse potoczyła się taksówka. Kirsch gonił za nią wzrokiem, mając nadzieję, że ten baletowy skok zrobiła ze względu na niego i że się obejrzy, by się przekonać, jakie wywarł na nim wrażenie.

Jednak po paru chwilach zniknęła wśród tłumu i ruchu ulicznego, zostawiając za sobą tylko leciutki wir błota w wodzie.

Kirsch tkwił ciągle w tym samym miejscu, spoglądając na swe odbicie, ciemne na tle blasku świateł ulicznych.

Właściciel nareszcie go zauważył i specjalnie dla niego otworzył sklep. Kirschowi trudno się było skupić na zakupach.

W końcu zdecydował się na nagranie koncertu fortepianowego Artura Schnabla, które polecił mu właściciel, po czym ruszył do domu. Może z powodu zapadającej ciemności, a może po prostu bujał myślami gdzie indziej, w każdym razie po chwili się zorientował, że idzie jakąś zupełnie nieznaną ulicą.

Nie było kogo zapytać o drogę, więc maszerował dalej; minął stację benzynową i synagogę, po czym skręcił w alejkę, która jak sądził, doprowadzi go do głównej ulicy. Gdy doszedł na róg, ledwo rozróżniając majaczące z przodu mury cmentarza, nagle otworzyło się nad nim okno. Znowu ujrzał tę dziewczynę.

Do jej mieszkania przylegał mały, otoczony żelazną balustradą balkon, na którym ledwo znalazłoby się miejsce na suszarkę do bielizny czy parę doniczek. Dziewczyna wychyliła się, podniosła butelkę mleka, podważyła kapsel i powąchała zawartość.

Nie miała kapelusza, ale nawet w półmroku Kirsch wiedział, że to ona. Wyglądała na południową Europejkę o nieładnej szerokiej twarzy i brwiach, które rodowita mieszkanka Berlina wyskubałaby w nienaturalne łuki. Zorientował się, że po prostu wyskoczyła na chwilę, by wrzucić do skrzynki list, który trzymała pod pachą, i wróciła do domu, gdy on tkwił w sklepie.

Zamknęła okno.

- Przepraszam! Na Schonhauser Allee to tędy?

Zdziwiła go własna śmiałość. Serce mu waliło. Denerwował się jak uczeń umawiający się na pierwszą randkę.

Okno niepewnie otworzyło się znowu.

- Fraulein?

Wystawiła głowę nad balustradę balkonu. Piętro wyżej zapaliło się światło.

Zdjął kapelusz.

- Zabłądziłem. Jak trafić na Schonhauser Allee? Przepraszam, że zawracam głowę.

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym wskazała w górę ulicy.

- To sto metrów stąd. Najpierw prosto, potem w lewo.

- Miała obcy akcent.

- Dzięki. Bardzo dziękuję.

Dojrzał, że spogląda na niego z uśmiechem. Na kilka sekund - bo nie mogło to trwać dłużej - oboje znieruchomieli. Potem dziewczyna zamknęła okno.

Stojąc na rogu Grenadierstrasse, zastanawiał się, co go podkusiło. Naprawdę zabłądził. I należało zapytać o drogę. Ale nie dlatego to zrobił. Przed sklepem muzycznym zaszła w nim jakaś zmiana. Intensywność jego uczuć spadła nań jak objawienie - radosne i niepokojące zarazem. Obawiał się... nie, wiedział na pewno, że nigdy nie przeżył takiego uniesienia względem narzeczonej mimo jej niezliczonych zalet. Od dawna stracił wiarę, że coś takiego w ogóle można odczuwać, a przynajmniej że stanie się to jego udziałem.

Teraz przemierzał tę samą trasę. Rzut oka na mapę uliczną uzmysłowił mu, gdzie wtedy zbłądził, który zakręt minął. Przechodził obok stacji benzynowej i synagogi, potem ku murom cmentarnym, gdzie skręcał w Wortherstrasse. Maszerował tak prawie dzień w dzień - to zdrowsze niż jazda zatłoczonym tramwajem, wśród tłumu kaszlących i kichających współpasażerów.

I jak codziennie przystanął przed domem z pokojami do wynajęcia, by spojrzeć w okno dziewczyny.

Od trzech dni nie widział w nim światła.

Do Cafe Tanguero przyszło sporo gości, jak to w niedzielę, ale dziewczęta siedzące wokół parkietu niewiele z tego miały.

Wszystkie stoliki obsiadły pary szukające tu schronienia przed deszczem. Zapach mokrej wełny i skóry mieszał się ze smrodem papierosów i rozlanego

piwa.

Kirsch usiadł przy barze. Na przeciwległym krańcu sali, pod łuszczącym się freskiem ukazującym wiejską sielankę, staruch w prążkowanej koszuli przyciskał ręczną harmonię. Melodia była wolna i smętna, lecz gdy jedna z dziewcząt przechyliła się i potrząsnęła go za kolano, przerzucił się na polkę.

Dziewczyna obecnie zwała się Carmen, choć Kirsch wiedział z dobrego źródła, że naprawdę ma na imię Ludmiła i pochodzi z Warszawy. Niedawno przeobraziła się w Latynoskę: włosy mocno ściągała do tyłu, porzucając niemodną fryzurę”na pazia”, a całości dopełniała czarna suknia i wysokie sznurowane buty.

Podchwyciła jego spojrzenie i podeszła do baru.

- Wrócił pan? Chyba się tu panu podoba. - Łokciami wywalczyła sobie miejsce koło niego i położyła mu rękę na przegubie. - Zatańczymy?

Znał tę śpiewkę - za tańce płaciło się postawieniem kolejki napitków, zazwyczaj kosztownych, koktajlu czy koniaku albo kminkówki, jeśli z forszą było krucho. To szło do kieszeni właściciela. Po wypiciu i tańcach można było dokonać mniej niewinnej transakcji, gdzie w grę wchodziło sam na sam w którymś z pokojów albo wypad do pobliskiego hotelu.

Potrząsnął głową.

- Nie tańczę.

- Bzdura. Wszyscy tańczą.

Dwie inne dziewczyny wyszły na parkiet i teraz wieszały się nawzajem na sobie, usiłując przyciągnąć uwagę. Płaszcz deszczowe i peleryny ociekały wodą na podłogę. Dziewczęta wiły się i kusząco potrząsały ciałami, skrzecząc wymuszonym śmiechem.

- Ja nie.

Barman postawił przed nim kufel piwa. Carmen wydeła wargi. Nadal trzymała mu dłoń na ręce. Przesunęła nią do łokcia i z powrotem.

- Nie kłam. To nieładnie.

Czuć było od niej alkohol. Była już lekko podchmielona.

- Janie kłamię.

- Widziałam, jak tańczysz.

- Tu?

- Nie udawaj, że nie pamiętasz. Trochę ci zeszło, zanim poprosiłeś panienkę.

Była to prawda. W poprzednim tygodniu, po bardzo pracowitym wtorku, zaszedł do Tanguero na jednego. Dziewczyna z Grenadierstrasse siedziała w rogu, w tym samym obszernym płaszczu i w butach jak do obory, a jej prostota i niewinność były tak ze sobą splecione jak końce jej sznurowadeł. Gdy tylko ją ujrzał, poczuł, że puls szybciej mu uderza. Siedziała sama przy stoliku, mając przed sobą kieliszek, i przyglądała się tańczącym.

W końcu poprosił ją do tańca. Bez słowa podniosła się i podała mu rękę.

Nie bardzo sobie przypomina, co działo się dalej. Nie pamięta muzyki, tłumu gości ani innych tancerzy. Zapamiętał ramię dziewczyny, ciemny plisowany materiał pod karczkiem sukni, waniliową słodycz jej włosów, lekkość jej ciała - było tak zwiewne, że zdołałby unieść je jedną ręką, a przynajmniej tak mu się wydawało. Kilkakrotnie potknęła się o niego. Nie znała kroków i musiała się skupić na tańcu.

- Usiądziemy? - zapytał po drugim kawałku.

Potrząsnęła głową, nie chcąc się poddać.

- Pani tu sama? - zapytał, kiedy kolejny taniec dobiegał końca.

Skinęła twierdząco.

- Ja też.

Trwali w tanecznym uścisku, spoglądając nawzajem zza swoich ramion.

- Pan nietutejszy? - zapytała.

- Owszem, tutejszy.

- Więc dlaczego? Dlaczego jest pan sam?

Zapomniał języka w gębie. Wokół pary rozdzielały się i łączyły,



opuszczały parkiet bądź nań wchodziły. Zanim zdążył odpowiedzieć: "Nie mam pojęcia", orkiestra znowu zaczęła grać.

Pamiętał, że akurat wtedy dziewczyna rzuciła mu spojrzenie, tuż zanim sala pogrążyła się w ciemności.

Znowu wyłączyli prąd. Rozległ się jęk, któremu towarzyszyły ironiczne wiwaty. Personel, przyzwyczajony do awarii elektryczności, zaczął zapalać latarnie nad barem. Orkiestra znowu podjęła grę, trochę jakby ód niechcenia.

Kirsch poczuł, jak czoło dziewczyny ociera się o jego policzek.

Pocałował ją w mroku.

Trwało to zaledwie sekundę, może dwie. Odskoczyła od niego z przestachu czy odrazy. Poczul się głupio, zrobiło mu się wstyd za siebie. Lecz zanim zdążył wybąkać przeprosiny, znowu się pocałowali, tym razem dłużej i mocniej. W jego ramionach jej ciało było ciemnym łagodnym żarem.

Światło zamigotało i znowu się zapaliło. Tłum przy barze zgęstniał. I nagle Kirsch ujrzał, że łokciami toruje sobie ku niemu drogę Robert Eisner w towarzystwie pielęgniarki z Charité.

Że też akurat on musiał się napatoczyć.

Eisner dojrzał go i pomachał ręką. Kirsch odpowiedział takim samym gestem.

- Przepraszam - rzekł do dziewczyny. - Muszę... Za chwilę będę z powrotem.

Dziewczyna najwyraźniej zrozumiała sytuację. Skinęła głową i odwróciła się. Kirsch ledwo zdążył zapytać, jak ma na imię.

Zawahała się chwilę, jakby ta kwestia wymagała namysłu.

- Elżbieta - odparła wreszcie.

Od razu przyszło mu do głowy, że nie jest to jej prawdziwe imię, lecz wymyśliła je sobie na poczekaniu.

Trudno było się uwolnić od Eisnera, który najwyraźniej wcale nie pragnął zostać sam ze swą partnerką. Kątem oka Kirsch zauważył, że Elżbieta tańczy z

innym mężczyzną, a potem jeszcze z następnym. Obaj byli pijani i nachalni, przyciskając ją mocniej, niżby sobie życzyła. W końcu Eisner ruszył na parkiet, lecz wtedy po Elżbiecie nie było już śladu.

Kirsch zaszedł do Tanguero następnego wieczoru, jeszcze kolejnego, a potem ciągle tam wpadał. Ale już nigdy więcej nie ujrzał Elżbiety. Może wróciła tam, skąd przybyła. Bardziej prawdopodobne jest, że poznała kogoś, kto dał jej widoki na lepsze życie w lepszej dzielnicy.

Tak będzie dla niej najlepiej, powtarzał sobie. Jego zainteresowanie było objawem przedmałżeńskiej paniki, epizodem, o którym najlepiej zapomnieć.

Zajrzał w głąb kufła. Carmen bawiła się swoim wielkim srebrnym kolczykiem.

- A więc byłaś tu wtedy - stwierdził.

- Zawsze tu jestem.

- Pamiętasz tę dziewczynę, z którą tańczyłem?

Carmen spojrzała nad jego ramieniem na gościa, który właśnie wszedł.

- Nie bardzo.

- Spróbuj sobie przypomnieć.

- A zatańczysz ze mną?

- No spróbuj. Mówiła, że ma na imię Elżbieta.

Carmen przyglądała mu się chwilę.

- A, ta. Ta ciemna.

- Właśnie.

Carmen zachichotała.

- Wyglądała, jakby sama sobie obcinała włosy.

- Powiedz mi, jak się nazywa, imię i nazwisko.

- Dlaczego? Chcesz ją odwiedzić?

- Może.

- Niestety, nie mogę ci pomóc. Nie jest... - Carmen zniżyła głos. - Nie pracuje tu.

- Wiem. Myślałem tylko, że może zamieniłaś z nią parę słów. Skoro zawsze tu jesteś.

Carmen rzuciła Kirschowi chytre spojrzenie. Nachyliła się i zdjęła mu okulary.

- Wiesz co? Zatańcz ze mną, a opowiem ci wszystko, co Wiem. Jednak z jej tonu jasno wynikało, że nic nie wie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Robert Eisner stał przed świetlicą z dwiema młodszymi pielęgniarkami. Kiedy tylko na przeciwległym krańcu korytarza ujrzał Kirscha, pospieszył mu na spotkanie. Marszczył niespokojnie brwi, z czego można było wnosić, że wieści o siostrze Ritter wyciekły na zewnątrz.

- A, jesteś. A już myślałem, że się nie pojawisz.

Kirsch zamierzał przyjść wcześniej, lecz nieprzespana noc zniweczyła ten zamiar.

- Niby dlaczego? Nie jestem chory.

Uzmysłowił sobie, że trzyma się za lewe ramię. Zastrzyk salwarsanu spowodował nieustający ból, którego nawet alkohol nie mógł przytłumić. Nie zatrzymując się, maszerował do swego gabinetu.

- Mówię o wczorajszej historii - rzekł Eisner. - Co cię napadło, na miłość boską?

Kirsch nie mógł się zdecydować, czy to wścibstwo sprawia mu przykrość czy przyjemność.

- Nic mnie nie napadło. Po prostu przechodziłem koło gabinetu...

- W piwnicy?

- Pacjent dostał konwulsji, a Mehringa nie było.

W milczeniu wchodzili po schodach, na czole Eisnera pojawiła się nieznana głęboka zmarszczka.

- Wiem, że nie podoba ci się ta kuracja insulinowa, ale...

- zaczął.

- Dziesięć procent pacjentów zapada w nieodwracalną śpiączkę. Reszta reaguje tak, jakby walnięto ich w głowę.

- Tak, tak. Nie rozumiem tylko, dlaczego ty i siostra Honig... - Eisner bezradnie wzruszył ramionami. - Musiałeś ją uderzyć?

Kirsch przystanął.

- Ona tak opowiada? Ja ją uderzyłem?

- Tak słyszałem.

Kirsch wyobraził sobie ich spotkanie twarzą w twarz, siostra Honig rozgorączkowana i opuchnięta, o wybałuszonych oczach okolonych czerwoną obwódką. A przecież mógł najwyżej odepchnąć ją łokciem.

- Mehring. On ją do tego namówił.

- Mehring? - Eisner głęboko wsunął ręce w kieszenie fartucha. - A więc ty jej nie...

- Wszystko zmyśliła.

Gdy doszli do korytarza, Eisner został nieco w tyle.

- Ona i Mehring trzymają ze sobą.

- Otóż to. Załatwił jej posadę.

Eisner zdecydowanym ruchem skinął głową.

- A zatem siostrę Ritter...

- Ja ją ugryzłem. Tak mówią?

- Nie. Sierżant Stroehr, jak go odpiąłeś... - Eisner podszedł i położył mu rękę na ramieniu. - Rzecz w tym, czy ktokolwiek potwierdzi twoją wersję wydarzeń.

Pospiesznie przeszedł naprzeciwko, do głównego szpitala.

Eisner nie odstępował go ani na krok. Godziny odwiedzin wypadały po południu, postanowili więc pominąć formalności i od razu pójść na oddział ratunkowy.

- Ten doktor Brenner to straszny formalista - odezwał się Eisner, przechodząc przez drogę. - A do tego uważa wszystkich psychiatrów za konowałów. Na pewno odeśle nas z kwitkiem.

Przed wejściem stała karetka. Do środka wnoszono rannego.

Miał rozdartą koszulę, na ramieniu widniała czarnopurpurowa opuchlizna. Poszli za nim, ranny wpatrywał się w nich znieruchomiałym wzrokiem, w którym widniało przerażenie.

Na oddziale ratunkowym wszystkie łóżka były zajęte. Zespoły lekarzy i pielęgniarek uwijały się po obu stronach sali, wszyscy mówili jednocześnie, starając się ustalić stan pacjentów; sprawdzali drogi oddechowe, podłączali kroplówki, podawali morfinę.

Szare linoleum pomazane było krwią. W nocy znowu wybuchły walki uliczne we Friedrichshain i Neukölln, Doszło do strzelaniny w piwiarni w Pankow. Eisner rzekł, że niektóre załogi karetek odmawiały zabierania rannych przed świtem.

Na drugim końcu sali ktoś zaczął krzyczeć. Zza przepierzenia wybiegła pielęgniarka, wpadając na Kirscha. Sterylne naczynie i narzędzia z trzaskiem upadły na podłogę.

- Och! Ty... sch... schwein! - rozległ się parszkający ze złości głos.

Pielęgniarka się pochyliła, by pozbierać swoje rzeczy. Spod czepka wysunęło się jej pasmo włosów i przylgnęło do czoła.

Przez szparę w przepierzeniu Kirsch dostrzegł kopiającą szaleńczo parę nóg w workowatych brązowych spodniach.

Dwóch posługaczy usiłowało przytrzymać pacjenta. Był młody, mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, od stóp do głów odziany był w pseudowojskowy strój naśladowujący mundur SA.

Teraz, niemy z wściekłości, wpatrywał się w resztki podartej koszuli i podkoszulka okrywających przesiąknięty krwią opatrunek, który opasywał mu brzuch.

Kirsch patrzył, jak lekarze i pielęgniarki dwoją się i troją.

Wyglądali na zdenerwowanych i wytraconych z równowagi - choć może dlatego, że obrażenia były poważne, a ranny utracił wiele krwi. Dwa tygodnie wcześniej do szpitala w Lichterfelde przywieziono żołnierza oddziału szturmowego z ranami głowy po uderzeniu żelazną sztabą. Zmarł kilka godzin później. Następnego dnia w szpitalu pojawiła się paczka jego kompanów, oskarżając etatowego chirurga o celowe zaniedbania, które doprowadziły do śmierci ich towarzysza. Bili lekarza pałkami, aż upadł na ziemię, po czym nieprzytomnego wyrzucili z okna drugiego piętra. Umarłby, gdyby nie spadł na brezentowy dach samochodu zaparkowanego na dole. Zdarzenie to widziało co najmniej kilkanaście osób, ale nie dokonano żadnych aresztowań.

Wszyscy w Charité znali tę historię, choć nieczęsto o niej wspomiano. Polityka, a nawet przemoc polityczna to nieodpowiedni temat do konwersacji, jakby dyskusja mogła prowadzić tylko do niezgody i podziałów, a co za tym idzie, jedynie pogorszyć sprawy. Wygłaszano wyłącznie takie poglądy polityczne, które zgodne były z ogólnymi przekonaniem klas wykształconych - że państwo się rozpada, przemoc polityczna jest przejawem jego upadku i że prędzej czy później trzeba będzie coś przedsięwziąć.

Szaman pobladł. Z wolna zamrugał, głowa opadła mu na poduszkę. Dookoła niego personel zwijał się jak w ukropie, przygotowując rannego do operacji.

Kirsch poczuł rękę Eisnera na swym ramieniu.

- Nie nasz kłopot, co?

Po wyjściu z oddziału ratunkowego skręcili nie tam, gdzie trzeba, i znaleźli się na terenie magazynu. Na trzech wózkach leżały ciała. Spod prześcieradła wyglądało umazane czoło i grzywa skołtunionych włosów.

Na wyższym piętrze panował większy spokój. Sufity były wysokie, ściany białe, zewsząd dobiegał pogłos miarowych kroków i ściszonych głosów. Kirsch zaczynał mieć wątpliwości, czy zdoła przeciągnąć siostrę Ritter na swoją

stronę. Owszem, postąpił niezgodnie z przepisami, a ona z tego powodu doznała obrażeń.

Może najlepiej byłoby pójść wprost do dyrektora i wytłumaczyć się, lecz Eisner stanowczo mu to odradzał.

- Atak jest najlepszą obroną. Przyłap starego drania na kłamstwie i będziesz czysty jak łąza.

Portier ciągnął po korytarzu wózek z brudną bielizną. Zapytali go o oddziały kobiece. Z roztargnieniem wskazał drogę, którą właśnie przyszli.

- Przywieziono tu wczoraj pielęgniarkę - rzekł Kirsch.

- Nazywa się Ritter. Była ranna. - Dotknął palcem miejsca kawałek za uchem. - Młoda ciemnowłosa kobieta.

Portier cuchnął tytoniem. Miał dziobatą twarz i farbowane włosy.

- Wiem, o kogo panom chodzi - odparł.

Pochylali się nad nią niczym patolodzy nad interesującymi zwłokami. Doktor Brenner świecił jej w oczy latarką, a siostra oddziałowa robiła notatki. Coś poszło nie tak. Siostra Ritter leżała nieruchomo, najwyraźniej straciła przytomność. Do jej przegubu podłączono kroplówkę.

Brenner miał pięćdziesiątkę, wyglądał niechlujnie i był krótkowidzem, a jego mięsista twarz się pofałdowała, gdyż bezustannie mrużył oczy. W klinice psychiatrycznej znano go dość dobrze. Przez wiele lat opiekował się tymi samymi pacjentami co doktor Bonhoffer, głównie przypadkami neurologicznymi spowodowanymi obrażeniami głowy. Ale to nie był przypadek neurologiczny ani psychiatryczny, tylko zwykła rana.

Z twarzy Kirscha odpłynęła cała krew. Kiedy ostatnio rozmawiali, doktor Brenner obawiał się infekcji. Rany od ugryzienia to brudne rany. Infekcja jednak dałaby objawy dopiero po paru dniach. Nawet ugryzienie wściekłego psa nie wprowadziłoby siostry Ritter tak szybko w stan śpiączki.

Brenner westchnął i pochylił się niżej. Pacjentka leżała z ramionami wyciągniętymi wzdłuż tułowia i dłońmi skierowanymi na zewnątrz.

- Odruch źreniczny obecny - powiedział. - Przynajmniej pień mózgu funkcjonuje.

Pień mózgu. Kawałek szarej materii wielkości orzecha, który decyduje o funkcjonowaniu żywotnych organów: biciu serca, pracy płuc. Wykonuje szereg zasadniczych zadań niewymagających udziału świadomości ani myśli.

- Przejdziemy do głębokiego odruchu ścięgnistego. - Brenner wyprostował się, uświadomiwszy sobie, że nie są sami z pielęgniarką. - Czym mogę panom służyć?

Kirsch zbliżył się do łóżka. Myślał tylko o ranie po ugryzieniu.

Jej brzegi przywiodły mu na myśl płatki kwiatu wyciągające się ku sieci szwów, purpurowe, napuchnięte i zaropiałe - ugryzienie cerbera, posmak wewnętrznego świata sierżanta Stoehra.

- Przepraszamy, doktorze - odezwał się Eisner. - Weszliśmy nie do tego pokoju.

Kirsch nie poruszył się. Po raz pierwszy ujrzał teraz twarz pacjentki. Nie była to twarz siostry Ritter.

Eisner pochylił się ku niemu.

- To nie ta osoba, Martinie. Idziemy?

Brenner zmarszczył z niezadowoleniem brwi i wrócił do pracy, wyciągnąwszy z kieszeni fartucha drewniany młoteczek.

Siostra oddziałowa odkryła chorą. Będą teraz badać odruchy, by ustalić uszkodzenia mózgu.

- Martin? O co chodzi?

Skórę miała woskową, bezkrwiste wargi popękane i obrzmiałe, powieki spuchnięte. Ale to ona - Kirsch nie miał wątpliwości, że to dziewczyna z Grenadierstrasse. Ubrali ją w szpitalną koszulę sznurowaną na plecach jak kaftan bezpieczeństwa.

Rozmazane czarne sińce pozbawiły jej szyję naturalnego kolorytu.

Nigdy w świecie nie spodziewałby się, że tu ją znajdzie. Poczł przyplw



paniki, nagle zabrakło mu tchu. Lepsza dzielnica.

Miała się przenieść do lepszej dzielnicy.

Brenner odwrócił dłonie dziewczyny.

- Jesteście od Bonhoffera, tak? On was tu przysłał?

Eisner rzucił Kirschowi lekko zdziwione spojrzenie.

- Szukamy siostry Ritter. Powiedziano nam...

- Siostrę Ritter wypisano dziś do domu - oznajmiła pielęgniarka.

Kirsch stał u stóp łóżka. Dziewczyna trwała w przerażającym bezruchu.

Bezruchu śmierci.

- Co jej się stało?

Brenner delikatnie uderzył młoteczkiem w przegub pacjentki. Nie było reakcji.

- Nie wiadomo. Gdy ją znaleziono, była nieprzytomna. Tymczasowe uszkodzenie nie wygląda groźnie, więc podejrzewam, że wpadła w śpiączkę z powodu wyziębienia.

- W śpiączkę? Od jak dawna...

- Nie mamy pewności. Koło czterdziestu ośmiu godzin.

Może dłużej. - Brenner znowu postukał młoteczkiem. Ręka zadrgała. - Odruch promieniowy obecny, tyle że słaby.

Pielęgniarka zanotowała. Brenner pochylił się nad łóżkiem i powtórzył próbę na lewym ramieniu.

- Ale wyjdzie z tego. Wyjdzie z tego?

- Trudno powiedzieć. Zależy od rozległości obrażeń mózgu. Wedle mojego doświadczenia, im dłużej trwa śpiączka, tym gorsze rokowania. - Brenner kontynuował badanie, postukując i obmacując ręce dziewczyny od łokcia do palców, by zbadać, czy nie doszło do uszkodzenia centralnego systemu nerwowego, a czynił to z precyzją strojącego instrument skrzypka. - Najprawdopodobniej nie wyżyje.

Kirsch oparł się o poręcz w nogach łóżka, by nie stracić równowagi.

Zdumiała go siła własnej reakcji. Była nieproporcjonalnie wielka, nienormalna. Fizyczna. Przecież ledwo znał tę kobietę.

Brenner ugiął nogę pacjentki i przełożył ją na drugą, ujmując w dłoń jej stopę, gdy uderzył w ścięgno Achillesa. Palce miała posiniaczone. Jeden chyba złamany. Pod paznokciami widać było zaschniętą krew.

- Wie pan, jak ona się nazywa?

Brenner podciągnął dziewczynie koszulę do kolan. Sądząc z zadrapań i siniaków, upadła.

- Jeszcze nie - odparł Brenner. - Policja ma nadzieję, że ktoś się zgłosi.

- Chwileczkę. - Eisner znalazł się u jego boku. - Pisali o tym w gazetach. Sam czytałem. Dwóch chłopaczków natrafiło na nią w lesie koło Caputh. - Pielęgniarka rzuciła mu niezadowolone spojrzenie znad notatnika. - Policja znalazła tylko program wykładu z fizyki.

- Z fizyki? - zapytał Kirsch. - Jesteś pewien?

- Nie czytaliście o tym? To był wykład Alberta Einsteina.

- Eisner założył ręce, obrzucając dziewczynę wzrokiem z góry na dół, jakby się przyglądał nowej marce samochodu stojącego na podjeździe sąsiada. - Dlatego nazywają ją dziewczyną od Einsteina.

Kwanty

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Doktor Oswald Brenner ocknął się nagle. Nadal siedział za biurkiem, wpatrując się w budżet wydziału na nadchodzący rok - choć przez cały wieczór zmniejszał i obcinał wydatki, końcowa kwota ciągle była zbyt wysoka. Usłyszawszy pospieszne kłapanie stóp na korytarzu, na oślep poszukał okularów. Szybko założył je za uszy i mrużąc oczy, spojrzął na zegar. Dochodziła jedenasta. Spał od...

Trzasnęły drzwi. Usłyszał podniesione głosy. Kroki zaszurały głośniejsze, po

czym przystanąły przed jego gabinetem.

- Na miłość boską...

Rozległo się gwałtowne stukanie, po czym któraś młodsza pielęgniarka wsunęła głowę przez drzwi.

- Doktorze Brenner? Chyba powinien pan przyjść.

Siostra Friedrich - bardzo młoda, niezwykle nerwowa i niedostatecznie wyszkolona.

- Sostro Friedrich, proszę nie biegać po szpitalu. Wpadnie pani na jakiegoś pacjenta i tylko go pani wystraszy.

- Przepraszam, panie doktorze. Chodzi o tę pacjentkę w śpiączce. Dziewczynę... pacjentkę, którą znaleziono...

Była tak zadyszana, że ledwie mogła wykrztusić słowa.

- Wiem, o kogo pani chodzi. Co się dzieje?

Ktoś przebiegł po korytarzu. Kroki dudniły po schodach w kierunku oddziałów kobiecych.

- Ona... - Siostra Friedrich ugięła nogi w kolanach, jakby chciała powstrzymać przepelniony pęcherz. - Niech pan sam zobaczy.

Ktoś dał znać do gazet. Dziennikarze zaczęli oblegać szpital jeszcze przed przybyciem policji, choć doktor Brenner zabronił im wstępu na teren placówki. Wiele godzin później nadal snuli się w pobliżu, nagabując każdego, kto mógłby cokolwiek wiedzieć. Z okna świetlicy Kirsch widział, jak chodzą w tę i z powrotem koło samochodu inspektora policji - chudzi mężczyźni o wygłodniałym wyglądem, jak zbite psy.

Robert Eisner opowiedział mu całą historię, którą poznał od pielęgniarek. Dziewczyna od Einsteina nagle wybudziła się ze śpiączki, krzycząc na cały głos. Pospieszyła do niej dyżurna pielęgniarka, ale pacjentka najwyraźniej wpadła w histerię. Stłukła szklankę stojącą przy łóżku i usiłowała cisnąć ją pielęgniarce w twarz. Siostra pobiegła po pomoc, lecz gdy wróciła, pacjentki nie było. Po gorączkowych poszukiwaniach odnaleziono ją przy schodach pożarowych.

Zdaniem Eisnera nie było wiadomo, czy się ukrywała, czy też chciała się rzucić z wysokości. Wprowadziło ją w końcu do środka dwóch pielęgniarzy wspomaganych działaniem zastrzyku fenobarbitalu. Od czasu tego incydentu stale podawano jej środki uspokajające.

Eisner siedział teraz w świetlicy rozparty w zniszczonym skórzanym fotelu, z nosem w "Neue Berliner Zeitung". Pierwszą stroną zajmowały wyniki wyborów. W Reichstagu zapanował kolejny pat. Wszystkie partie z wyjątkiem komunistów straciły mandaty. W sumie nie robiło to szczególnej różnicy, zwłaszcza że prezydent Hindenburg powoływał rząd bez zgody parlamentu.

- Chyba von Papen długo się nie uchwyci - rzekł Eisner.

- Wojsko ma go dosyć.

Jeden z reporterów zaszedł nieśpiesznie na tył zaparkowanej ciężarówki i zaczął obsikiwać koło.

- Wolisz Hitlera?

- Na kanclerza? - Eisner przewrócił kartkę. - Hindenburg prędzej poderżnąłby sobie gardło. Hitler jest zbyt wielkim prostakiem.

- W takim razie kto?

- Generałowie są jak kłujące pokrzywy. Wytniesz jednego, wyskoczy następny. Wojsko dostanie, kogo sobie zażyczy.

Zawsze się ktoś znajdzie.

Przyszły teść Kirscha ostrożnie wspierał Franza von Papena, obecnego kanclerza Rzeszy, i to, co berlińska prasa szyderczo określała mianem "gabinetu baronów". Postawa ta bywała powodem pewnych napięć podczas przyjęć u Sieglów. Pod pozorem przywracania porządku i jedności narodowej niegdysiejszy oficer kawalerii i amatorski jeździec wyścigowy, którego długa twarz uderzająco przypominała koński pysk, przy użyciu wojska usunął rząd pruski. Najwyraźniej był to pierwszy krok do całkowitej likwidacji pogardzanej republiki. Ale stan gospodarki ciągle się pogarszał, akty przemocy zaś zyskiwały na sile.

Oddech Kirscha zaparował zimny kufel. Po raz kolejny ludzie w mundurach podejmowali wszystkie decyzje, tak samo jak w czasie wojny. Nie budziło to naj mniej szych protestów mimo wyniku ostatniego konfliktu. Bo niby dlaczego? Dryl i wyglansowane obuwie to nieodzowne atrybuty dobrego rządu. Wiedzieli to wszyscy.

Przed szpitalem wszczął się jakiś ruch, zapłonęło jaskrawe światło, po czym zapadł mrok. Reporterzy ruszyli naprzód, odrzucając papierosy.

Inspektor policji był wymizerowany i tyczkowaty. Większość energii życiowej najwyraźniej wyciągnął z niego wąs, gęsty i lśniący.

Policjant warknął ze złością, gdy kolejny reflektor zaświecił mu w twarz, gniewnymi potrząśnięciami głowy odmawiając odpowiedzi na wszelkie pytania. Kiedy dotarł do krawężnika, Kirsch wspiął się na palce.

- Co się dzieje? - zapytał Eisner, zerkając zza gazety.

Przy samochodzie inspektor odwrócił się do reporterów. Chyba jednak zdecydował się odpowiedzieć na pytania.

Kirsch głęboko wsunął ręce w kieszenie.

- Chyba muszę odetchnąć świeżym powietrzem - rzekł.

Zaczęło padać. Potężne, lecz rzadkie krople uderzały w runda kapeluszy i płaszcze. Kierowca policyjny zapalił reflektory, akurat gdy Kirsch przebiegał przez jezdnię.

- Doktor Brenner zapewnił mnie, że pacjentce bezpośrednio nic nie grozi. Jej stan fizyczny jest dobry. - Inspektor odkaszlnął i z niechęcią spojrzał na niebo. - Obecnie jednak jest zdezorientowana.

- Co to znaczy? - krzyknął któryś reporter. - Że zwariowała?

- To znaczy, że jest zdezorientowana.

Inny reporter, robiąc notatki, uśmiechnął się z wyższością.

Musiał mieć pewną pozycję zawodową, bo pozostali słuchali w milczeniu jego słów.

- Inspektorze Hagen, czy wpadł pan na jakiś ślad napastnika?

Inspektor się skrzywił.

- Panie Lehnert, nie mamy twardych dowodów, że została napadnięta. Doznała lekkich obrażeń w wyniku upadku.

- W lesie? Z czego spadła, inspektorze?

Inni reporterzy się roześmiali.

- Musi dopiero wnieść skargę - odparł Hagen. - Nie wiemy, o co wystąpi.

Reporterzy nie wierzyli własnym uszom. Jak na komendę wszyscy zaczęli krzyczeć.

- Przecież to jasne, że została porwana - stwierdził dobitnie Lehnert. - Bo gdzie by się podziało jej ubranie?

- Jeszcze go nie znaleźliśmy. Co nie znaczy...

- Czy policja zakłada, że ofiara poszła popływać? - Inni reporterzy zaśmiali się, tym razem głośniej. - Czy też uznano, że opalała się na tym drzewie, z którego rzekomo spadła?

Reporterzy nie mogli się opanować. Inspektor Hagen z niesmakiem pokiwał głową, najwyraźniej żalując, że w ogóle się odezwał.

Ostatnimi laty policja cywilna miała bardzo słabe wskaźniki wykrywalności przestępstw, co stało się przedmiotem drwin prasy niemieckiej. Głównie szło o ściganie seryjnych morderców.

Najpierw wybuchła sprawa Karla Denkego, drobnego urzędnika kościelnego i dostawcy wędzonej wieprzowiny z Miinsterbergu, którego po drobiazgowym śledztwie oskarżono o trzydzieści morderstw. W jego piwnicy znaleziono beczki pełne wędzonego ludzkiego mięsa, kości, wyprawioną skórę oraz garnki ludzkiego tłuszczu. W samym Berlinie działał Carl Grossmann, niegdysiejszy rzeźnik i domokrażny sprzedawca, który przyznał się do zamordowania dwudziestu czterech kobiet świeżo przybyłych do miasta. Zbrodniarz zatrudniał je u siebie w charakterze pomocy domowych, po czym zabijał, ćwiartował i sprzedawał jako kawałki mięsa w nierzucających się w oczy paczkach. Z kolei Georg Hartmann, tajny agent policji z Hanoweru,

zawierał znajomość z młodymi przyjezdnymi robotnicami na dworcu. Następnie zabierał je do domu, wykorzystywał seksualnie i zabijał, przegryzając im gardła. Potworności tej dopuścił się co najmniej dwadzieścia pięć razy. Wtedy właśnie rzeka Leine zaczęła wyrzucać na brzeg ludzkie czaszki. Hartmann również nie marnował zwłok, lecz zręcznie je ćwiartował, po czym mięso gotował i sprzedawał na czarnym rynku jako gotowe porcje cielęciny i wieprzowiny.

Jak po innych zatrzymaniach, tak po jego aresztowaniu w całym mieście niejedna osoba doznała torsji, choć zachowywano dyskrecję.

Kirscha zastanawiało, że morderców nie trapiły wyrzuty sumienia. Nie ustalono jeszcze, czy byli umyślowo chorzy. Bez wątplenia nie potrafili współodczuwać ani z ofiarami, ani z ich rodzinami. Badania wykazały, że w ogóle doznawali jedynie ograniczonej gamy uczuć. Cechowało ich emocjonalne ubóstwo, nie umieli się włączyć w główny nurt ludzkiego życia. Amerykański psychiatra Partridge zaproponował, by takich osobników nazywać socjopatami, ponieważ na stan ich psychiki wpłynęły warunki społeczne. Do tego wniosku uczony doszedł po długotrwałych badaniach nad przestępczością nieletnich.

Kirsch pragnął się dowiedzieć, czy proces ten można odwrócić, lecz prasa skupiała się na sprawach bieżących. W reportażach i artykułach redakcyjnych stale się przewijał wątek niekompetencji policji cywilnej. Choć nie ma pewności, czy było to działanie zamierzone, w sumie uzasadniało istnienie grup paramilitarnych, które często wymiar sprawiedliwości brały we własne ręce.

Lehnert i inni reporterzy nadal zanosili się śmiechem. Inspektor z wypiekami na policzkach odwrócił się, po czym znowu spojrzał im prosto w twarz, z gniewem celując w nich palcem.

- Mogą sobie panowie snuć jakieś fantazje. Ja zajmuję się faktami. Ta młoda kobieta przeżyła coś strasznego, ale nic nie wskazuje na udział w tym innej osoby.

Usadowił się na tylnym fotelu samochodu, odmawiając odpowiedzi na dalsze pytania. Okno po drugiej stronie było uchylone.

Kirsch zastukał w szybę.

- Jak ona się nazywa, inspektorze? Zna pan jej nazwisko?

Inspektor spojrzał na Kirscha i zauważywszy biały fartuch, zdał sobie sprawę, że nie jest to kolejny reporter. Rysy mu złagodniały.

- Niestety nie, panie doktorze. Mówi, że nie pamięta.

- Kierowca zaklął, gdy wewnątrz samochodu rozświetlił oślepiający błysk flesza. - Moim zdaniem to...

Kirsch nigdy się nie dowiedział, kim zdaniem inspektora jest ta dziewczyna, samochód bowiem odjechał.

Parę godzin później w jadalni wybuchła bójka. Nie pierwsza.

Od początku kampanii wyborczej pacjenci kliniki wykazywali oznaki coraz większego podniecenia. Zjadłość walk partyjnych i gwałtowna retoryka kandydatów oraz ich popleczników podniecała chorych, choć ze światem zewnętrznym kontaktowali się jedynie sporadycznie.

Szczególnie zniewalający urok miała dla nich propaganda narodowosocjalistyczna. Kilku pacjentów oświadczyło, że są czołowymi członkami partii (choć zdecydowanie nimi nie byli), i zażądało, by reszta pacjentów poddała się ich władzy. Inni wśród chorych wykrywali zdrajców, domagając się czystek i kar. Prawie codziennie Franz Scheck, dentysta cierpiący na depresję maniackalną, stawał na szczycie schodów, ogłaszając się fuhrerem. Przysięgał zemstę diabłom i Żydom z kręgów finansjery, którzy doprowadzali Niemcy do ruiny, a pewnego razu na zakończenie swych uwag od niechcienia obsikał wyciągnięte ku niemu twarze słuchaczy. Niektórzy pacjenci doznawali obrażeń, na posiłkach zjawiali się z rozbitymi wargami i opuchniętymi twarzami, lecz nie można było dojść, kto ich poturbował. Kirsch podejrzewał kilku posługaczy. Kilkakrotnie musiał ich zganić za krzyki czy nadmierne użycie siły. Usiłował się pozbyć znanego ze swej brutalności pielęgniarza Jochmanna, ale jego notatki do przełożonych, domagające się wszczęcia kroków w tej sprawie, pozostały bez odpowiedzi. Wypełniły się izolatki, podwojono



dawki środków uspokajających, a mimo to nocami wybuchały szatańskie perory, którym towarzyszyły gwizdy i kocia muzyka. Hałasy te rozchodziły się echem po całym budynku. Ponieważ dyrektor był chory na gripę, a jego zastępca miał bzika na punkcie eksperymentów z insuliną, istniało spore prawdopodobieństwo, że cała instytucja się rozleci.

Minął już ponad tydzień, a Kirsch nie usłyszał nic więcej o ranie siostry Ritter czy rzekomej napaści na siostrę Honig.

Zaczął mieć nadzieję, że cała sprawa rozeszła się po kościach i w końcu go jednak nie zwolnią. Jak dotąd nikogo nie powiadomił o swej niepewnej pozycji - ani rodziny, ani Almy. Wiedział, że będą się martwić. A po co, skoro może się okazać, że nie ma powodu psuć sobie krwi?

Cały dzień poświęcił na swe przypadki, odnotowując postęp lub jego brak, planując następne posunięcia. Atmosfera zagrożenia oddziaływała na wszystkich. Nawet chętniej poddający się leczeniu pacjenci traktowali go nieufnie, jakby bali się rozmawiać z nim szczerze. Ciągle łapał się na tym, że myśli o dziewczynie od Einsteina rozciągniętej na szpitalnym łóżku. Mógłby przyspieszyć poszukiwania policyjne, wyjawiając swoje informacje, w tym prawdopodobny adres dziewczyny przy Wortherstrasse.

Dzięki temu ustalono by przynajmniej jej tożsamość. Ale jak wytłumaczy, skąd to wszystko wie? Co by o tym napisały gazety, co by powiedziała jego narzeczona i jej rodzina? Mężczyzna z jego pozycją nie powinien wiedzieć takich rzeczy.

Pragnął, by dziewczyna jak najszybciej odzyskała pamięć.

Pragnął - choć sam przed sobą się do tego nie przyznawał - by odzyskała pamięć o nim. A jeśli go sobie przypomni, co wtedy?

Co się może zdarzyć? Nic, oczywiście. Nic dobrego. Ma poważny zawód i niebawem się ożeni. Jego przyszłość z Alną rysuje się bardzo wyraźnie. To szansa na nowy początek, na życie rodzinne i dzieci - godne, obiecujące widoki, które oczyszczą jego "ja" z zaszłości. Czymże wobec tego jest ta dziewczyna od

Einsteina, jakaś obca, której nieszczęśliwe przejścia jakimś sposobem trafiły do gazet?

Nic dla niego nie znaczy, czy zachowa go w pamięci czy nie - urojona bezcielesna kochanka. Tylko gdy myślał o niej, zamknąwszy oczy, czuł pociąg i pożądanie naj zupełnie cielesne, palące i jak najbardziej prawdziwe.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przenieśli ją z oddziału kobiecego na najwyższe piętro budynku, gdzie w oknach widniały kraty, a drzwi zamykano na klucz. Było to miejsce przeznaczone dla pacjentów cierpiących na najbardziej zakaźne choroby albo z jakichś przyczyn zagrażających płynnemu funkcjonowaniu szpitala.

- Doktor Brenner uznał, że tak będzie najlepiej - wyjaśniła pielęgniarka, wprowadzając Kirscha - po tym wszystkim, co się wydarzyło. I tak niedługo ją wypiszą.

- I gdzie ona się podzieje?

Siostra wzruszyła ramionami.

- Doktor Brenner powiada, że już nic więcej nie może zrobić.

Ściany, z których łuszczyła się szara farba, obwieszane były wyblakłymi rysunkami anatomicznymi. Nad łóżkiem wisiał mały drewniany krucyfiks okolony wianuszkiem zwiędłych kwiatów wyblakłych do barwy słomy. Do sufitu przykręcona była pojedyncza żarówka. Odgłos kroków siostry cichł na korytarzu.

Dziewczyna spała na łóżku z głową odwróconą od drzwi.

Obcięli jej włosy. Dzięki temu zyskała młodzieńczy chłopięcy wygląd, jej uroda zdała się odmienna, androginiczna. Pęknięta warga prawie w całości się zrosła, zeszyły jej też sińce z twarzy, cienie na kościach policzkowych i pod oczami. Wydawała się jeszcze bardziej krucha."Doznała lekkich obrażeń w wyniku upadku" - stwierdził inspektor Hagen.

Kirsch postąpił krok do przodu. Dziewczyna westchnęła nagle z przerażeniem. Całe jej ciało szarpnęło się i skręciło, jakby za wszelką cenę usiłowała się uwolnić z więzów. Z jej gardła dobył się szloch, po czym równie niespodziewanie znieruchomiała na powrót.

To nocne strachy, które znał na wylot. Niedawno powróciły, co miało pewien związek z przypadkiem Stoehra - straszliwe wizje, które ledwo pamiętał za dnia, lecz czuł, że czyhają na niego po nocy. Coraz później kładł się spać - długo czytał, pił, krążył od baru do baru - by jak najdłużej odwlec perspektywę ich powrotu. Najlepiej mu się spało, gdy skrajnie wykończony nie miał siły już o niczym myśleć.

Usiadł przy łóżku i ujął dłoń dziewczyny. Była to ręka miękka i gładka, nie miała zgrubień charakterystycznych dla pomocy domowej czy robotnicy. Nie było na niej zadrapań, zaledwie lekka rysa i opuchnięty nadgarstek. Wymacał puls zdumiony, że ciało dziewczyny jest tak chłodne. W pokoju było zimno. Nie zauważył tego, bo miał na sobie palto. Wyżej podciągnął jej koc, podwijając go pod brodą. Potem znowu ujął jej rękę, spojrział na zegarek i zaczął liczyć. Tętno było urywane, Kirsch zdziwił się, że doktor Benner pozwolił na podanie pacjentce barbituratów. Choć były po temu wskazania, łatwo mogły ją wprowadzić z powrotem w stan śpiączki. I nie trzeba by wiele, aby już się z niej nie wybudziła; umarłaby, pozostając anonimową ofiarą.

Na ramieniu miała sińce. Podrażnione od cewników żyły wystąpiły jej na ręce, odznaczając się ciemno niczym końce rozrastającego się guza.

Siedemdziesiąt dwa uderzenia na minutę - tętno trochę przyspieszone, ale nie ma powodów do niepokoju. Bardziej zmartwiło go nierówne tempo. Spojrzawszy dziewczynie w twarz, dostrzegł, że powieki nie są już zaciśnięte. Za ciemnymi rzęsami poruszały się maleńkie punkciki odbitego światła.

Powieki zadrzały, po czym otworzyły się.

- Dzień dobry - odezwał się Kirsch.

Usiadła gwałtownie, przyłożyła ręce do ust, pospiesznie pomacała wargi,

na zewnątrz i w środku, przygryzając palce. Była przerażona.

- Śniła pani koszmar - rzekł Kirsch. - Teraz jest pani bezpieczna.

Odjęła dłonie od twarzy, spojrzała na nie, potem na niego.

Miał nadzieję, że go poznaje, lecz nic w jej wzroku na to nie wskazywało.

- Czy pani wie, gdzie się znajduje?

Odchyliła się przerażona, podciągając przykrycie pod brodę.

- Jeśli chce pan książkę, to już za późno.

- Za późno?

- Nie mam jej. Odesłałam.

- O jakiej książce pani mówi?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nie zdołała wydobyć z siebie ani słowa. Z wolna potrząsnęła głową.

- To tylko sen.

- Na pewno?

Nie odpowiedziała. Powędrowała wzrokiem do okna. Na twarz bez wyrazu zstępowała nieruchomość, którą Kirsch często widywał u pacjentów w demencji bądź ogarniętych psychozą. Siła ciężenia wewnętrznego świata w pewnych stanach staje się nieodparta, zniekształcając geometrię świadomej myśli, jej proste linie i kąty. Wspomnienia zataczają kręgi, nie mogąc osiągnąć celu. Bez dyscypliny chronologii przecinają się i zawracają, niwecząc nieodzowną logikę przyczyny i skutku. Od obecności do półobecności i zaniku obecności - tak to widział. Szaleństwo w ogóle wydawało mu się czymś na kształt odchodzenia. Najbliżsi też tak to odbierali. Pacjent był fizycznie obecny, tyle że jego umysł poruszał się odmienną drogą, po której nie może zdążyć żadna inna istota, nawet najbardziej kochająca.

Kirsch musi na powrót podłączyć ją do świata zewnętrznego, przywrócić do obecnej rzeczywistości.

- Pozwoli pani, że się przedstawię - rzekł. - Jestem doktor Kirsch, Martin Kirsch. Pracuję w klinice psychiatrycznej Charité. - Kiwnął głową w kierunku

okna. - Naprzeciwko.

- Kirsch. - Wzrok miała utkwiony w niebo, które granatowiało pod wieczór. Spod szpitala ruszyła karetka z włączoną syreną. - Wygląda pan inaczej, niż się spodziewałam.

- Spodziewała się mnie pani?

- Czytałam o panu w książce. Myślałam, że jest pan starszy.

Najwyraźniej miała mętlik w głowie.

- Widzieliśmy się kiedyś przelotnie - rzekł. - Nie poznaje mnie pani?

Zmarszczyła brwi, przełknęła ślinę.

- Czy ja zwariowałam?

Kirscha znowu uderzył ten akcent - chyba słowiański.

A może z kraju gdzieś dalej na południe, z Grecji czy Włoch?

- Skądże. Nic dziwnego, że w tej sytuacji czuje się pani nieco... - Szukał jakiegoś eufemistycznego określenia -... zdezorientowana. Czy pamięta pani, jak się tu dostała?

- Karetką. Pamiętam syrenę.

- A wcześniej?

- P... podobno mnie znaleziono. W lesie.

- Ale tego pani nie pamięta?

Potrząsnęła głową.

- Amnezja. Tak to się nazywa?

- Utrata pamięci, zgadza się.

Skinęła twierdząco.

- Mam amnezję. - Mówiąc to, uniosła lekko brodę, jakby ze swego stanu czerpała pewną pociechę. - Może mnie pan wyleczyć?

Rzuciła mu jasne przejrzyste spojrzenie.

- Sęk w tym... - Jej szczery wzrok zbijał go z tropu. - Nie jestem pani lekarzem. Pani nie jest moją pacjentką. Opiekuje się panią doktor Brenner. Ja tylko...

Dziewczyna się nachmurzyła.

- Tylko co?

- Byłem ciekaw.

Kirsch przypomniał sobie o czyhających na zewnątrz reporterach i pożałował swych słów. Dziewczyna spuściła wzrok na przykrycie. Palcami bezwiednie błędziła po gardle.

- Pewnie chce się pani pić - rzekł. - Przyniosę wody.

Nie czekając na odpowiedź, poszedł na dół po szklankę. Kiedy wrócił, dziewczyna oczy miała zamknięte. Naga stopa wystawała spod koca na zimnie. Kostka nadal była spuchnięta, na palcach pozostały ślady zaschłej krwi. Przypomniał sobie, jak ujrzał ją po raz pierwszy, gdy z wyciągniętą stopą przeskakiwała przez szeroką czarną kałużę na Grenadierstrasse i wybuchnęła śmiechem, chlupnąwszy w wodę. Szła wysłać list. Kim był adresat? Może to kochanek? W taki razie gdzie się podziewa teraz?

A co z jej rodziną? Dlaczego nikt po nią nie przyszedł? Z jakiej przyczyny jest zupełnie sama?

Starannie okrył ją kocem i poutykał go pod materacem.

- Niech się pani teraz prześpi - rzekł, ale ona już zasnęła.

Doktora Brennera znalazł na wydziale anatomii.

- Jej amnezja jest wsteczna. Pacjentka pamięta wszystko, co jej się przydarzyło, odkąd wybudziła się ze śpiączki, także to, co personel powiedział jej dziś rano. Nie bardzo pamięta, co się działo, nim wpadła w śpiączkę. Gdy pytałem ją o przeszłość, nie potrafiła odpowiedzieć.

- Albo nie chciała - mruknął pod nosem Brenner. - Trzeba wziąć wszystko pod uwagę. - Zawahał się, po czym zaprowadził Kirscha do magazynu.

- Nie chciała?

Brenner potrząsnął głową.

- Nieważne. Widzę, że pan się tym zainteresował. Poproszę doktora Bonhoeffera o ocenę psychologiczną. Prócz amnezji nie widzę nic, co by

świadczyło o urazie głowy czy jakimś innym uszkodzeniu. Zrobiłem jej sprawdzian zdolności umysłowych.

Wypadła nawet lepiej niż przeciętna.

- Czy coś świadczyło o alkoholizmie?

- Nie. Pobraliśmy próbkę krwi do badania, jak tylko ją przywieźli, ale oczywiście minęło trochę czasu. Nie można tego wykluczyć.

- Zauważyłem, że się trochę jąka, lecz mogła mieć to już wcześniej.

- W rzeczy samej. To się często zdarza po wybudzeniu ze śpiączki. Zdolność mówienia szwankuje pierwsza.

Kirscha osadził w miejscu widok mózgu, w całej okazałości zanurzonego w formalinie w słoju stojącym na ławce. Wokół słabo oświetlonego pokoju biegły półki całe zastawione podobnymi słojami. Każdy zawierał jakiś okaz: mózg, płód, płuca albo inne organy wewnętrzne. Doktor Brenner interesował się mózgiem. Napisał kilka prac na temat urazów głowy i ich skutków.

- Ma też sugestywne sny - odezwał się Kirsch. - Koszmary. Możliwe, że śni w nich o urazach w okolicach ust, co może być bardzo znamienne.

- Naprawdę? A dlaczego?

- Stwierdziłem, że ma to związek z wymuszonym milczeniem, niemożnością odezwania się. A czasami z silnym poczuciem winy.

Brenner zmarszczył brwi.

- Jej sny mnie nie interesują. - Zapalił lampę nad stołem.

- Ale zgadzam się z pańskimi konkretnymi obserwacjami. Jak pan wie, moim zdaniem doznała obrażeń, gdy wpadła w śpiączkę. W takich przypadkach objawy neurologiczne mogą przybrać niemal każdą formę. - Urwał, z zachwytem wbijając wzrok w większy ze stojących przed nim dwóch mózgów. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć przez grube szkło. Ostatnie ślady koloru wywabiono z tkanki chlorem, teraz włóknista tkanka miała barwę kremowej bieli. - W każdym razie obecnie pacjentce nic nie grozi.

Właściwie pod względem fizycznym już doszła do siebie.

- Jak rozumiem, chce ją pan wypisać.

- Jeśli jej stan się nie pogorszy. Zostanie jeszcze przez parę dni na obserwacji. Z tymże nie ma sensu trzymać tu chorej, jeżeli nie potrafimy jej pomóc.

- Przecież ona nie ma dokąd pójść.

- Ktoś się w końcu po nią zgłosi. Organizacje poszukujące zaginionych osób czy coś takiego. Gazety na pewno chętnie zamieszczą jej zdjęcie. Tymczasem może zamieszkać w jakimś domu pomocy dla ubogich kobiet.

Istniało trochę takich placówek prowadzonych przez organizacje kościelne bądź zarządy miast. W większości obowiązywał regulamin więzienny bądź wojskowy, pensjonariuszki musiały zarabiać na swoje utrzymanie. Często dochodziło tam do samobójstw. Większość kobiet, z którymi rozmawiał Kirsch, wolała życie ulicznych.

Mógł zrobić tylko jedno.

- Chciałbym zbadać tezę o psychiatrycznej, nie zaś po prostu neurologicznej przyczynie amnezji.

Brenner wyglądał na lekko urażonego.

- Nigdy nie słyszałem o zaburzeniu psychiatrycznym, które wprawia chorego w stan śpiączki. Może czegoś nie doczytałem.

Odwrócił się ku drugiemu, wyraźnie mniejszemu preparatowi mózgu. Podniósł słoik i wpatrzył się w tkankę rakową nad prawym płatem skroniowym.

- Może mamy do czynienia ze skutkami wstrząsu.

Brenner obrócił słoik w dłoni. Mózg podskoczył.

- Wie pan, że nie została zgwałcona? W istocie nie dostrzegłem śladów aktywności seksualnej w ostatnim czasie - oświadczył.

Kirsch bezwiednie wyobraził sobie scenę badania - nieprzytomną pacjentkę rozciągnięto na stole, a Brenner, mrużąc oczy, zaglądał dziewczynie między uniesione nogi, gmerając w niej krótkimi paluchami.

- A przy tym - dodał Brenner - nie jest niewinną dziewczyną. Prawie na



pewno już rodziła. I nie ma obrączki.

- Napastnik mógł ją zabrać.

- Zostałby ślad. Niczego nie znalazłem.

Kirsch nagle zrozumiał obojętność Brennera - dziewczyna od Einsteina nie była w jego mniemaniu przyzwoitą kobietą, Tym żalonym istotom często przytrafiały się różne nieszczęścia, które zazwyczaj ściągali im na głowy mężczyźni, lecz to one do tego doprowadzały.

- Przecież to chyba jasne, że doznała głębokiego urazu - stwierdził Kirsch.

- Nic w tej historii nie jest jasne, doktorze. Policja nie dopatrzyła się znamion przestępstwa.

- Więc jak w takim razie tłumaczą..

- Uważają, choć nie wiem, czy słusznie, że ta kobieta to wariatka. Mieli już podobne przypadki. Wariatka może wskoczyć do jeziora pod koniec października. Pewnie sobie ubzdurała, że jest środek lipca - uśmiechnął się z wyższością Brenner.

- To bardzo wygodna teoria, gdyż zwalnia ich z prowadzenia śledztwa.

Brenner wyjął pióro z kieszeni i zaczął pisać w dzienniku.

Niczego nie można usunąć z tego oddziału bez odpowiedniej notatki. W końcu uniósł wzrok.

- Jeszcze coś?

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym, żeby pacjentkę przeniesiono do kliniki na obserwację.

Pióro Brennera zawisło na chwilę w powietrzu.

- Rozumiem pańskie zainteresowanie, doktorze. Trudno o pacjentów bez powiązań. Ma pan mniej więcej wolną rękę.

- Zapewniam pana, że nie jest moim zamiarem...

- Oczywiście nic nam nie wiadomo, by miała do dyspozycji jakieś środki. By mogła zapłacić.

- Szpital zrezygnuje z pobrania opłaty.

- Za zgodą dyrektora naturalnie.

- To potencjalnie bardzo interesujący przypadek. Dyrektor na pewno się zgodzi.

Brenner popatrzył na Kirscha znad okularów, po czym wrócił do pracy.

- No dobrze, poproszę o skierowanie. Chcę zobaczyć jego podpis na wniosku.

Po wizycie w szpitalu głównym Kirsch wrócił do swego biurka w klinice, gdzie na suszce znalazł zaklejoną kopertę. Zawierała list od doktora Bonhoffera, który informował go o powrocie dyrektora w następny poniedziałek. Kirsch ma się stawić na spotkanie z nim z samego rana.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

O r a n i e n b u r g, 2 listopada Najdroższy Martinie, Właśnie się dowiedziałam o strajku komunikacji miejskiej w Berlinie. Mam nadzieję, że mimo to będziesz otrzymywał moje listy, że nie ugrzęzną na całe tygodnie na jakimś dworcu. Tato twierdzi, że powinnam uważać, co do Ciebie piszę, bo w którymś momencie strajkujący zaczną otwierać listy w poszukiwaniu pieniędzy, zwłaszcza jeśli sprawa jeszcze się przeciągnie. Uważasz, że strajkujący naprawdę ośmielą się naruszyć tajemnicę korespondencji? To straszne, że moje słowa, przeznaczone tylko dla Ciebie, mogliby powtarzać dla zabawy ci okropni ludzie. Wiem, że to głupie, ale ta myśl mnie prześladowuje.

Nie żebym miała Ci coś niezwykłego do powiedzenia. Te słowa powtarzano już miliony razy. Tyle że dla mnie są szczególne, bo płyną wprost z mojego serca, nigdy przedtem nikomu ich nie mówiłam i mam nadzieję, że nie powiem ich nigdy nikomu prócz Ciebie... no proszę! Już się pilnuję, by nie powiedzieć czegoś nie tak. Nie mam co mówić o "nadziei". Wiem, że nikt mi Ciebie w sercu nie zastąpi, z czymkolwiek by się to wiązało... A teraz pogrążam się w najprzeróżniejszych smętnych domysłach, choć nie mam po temu

najmniejszego powodu - choć powinnam być szczęśliwa. Wszystko przez ten głupi strajk!

A więc, najdroższy, zawiadom mnie najszybciej, jak będziesz mógł, że otrzymałeś mój list, żebym odzyskała spokój. Nie dostałam od Ciebie żadnych wiadomości od ponad tygodnia, a o tylu sprawach chciałabym z Tobą porozmawiać, o tylu rzeczach musimy zdecydować przed czerwcem. Wydaje się, że mamy jeszcze mnóstwo czasu, lecz jeśli sami nie poweźmiemy decyzji, inni zdecydują za nas. Już staję na głowie, żeby mama nie wzięła wszystkiego w swoje ręce. Wie dokładnie, jak powinien wyglądać ślub”panny z towarzystwa” i martwi się tylko o to, ”co ludzie powiedzą” i ”jak wypadnę”. Mierzi mnie to, a poza tym nie chcę niczego postanawiać bez zasięgnięcia Twojej rady. Mama już przygotowuje listę pism godnych zamieszczenia relacji z przyjęcia i na pewno zapewni sobie wsparcie taty, by wszystko poszło gładko. Naprawdę chcesz całą godzinę słuchać arii operowych przed kolacją? Mama strasznie pragnie się pochwalić znajomością z Ruth Jost-

- Arden, która bezsprzecznie śpiewa cudownie, ale przez całą godzinę? I czy naprawdę zależy Ci, by Twoja nieszczęsna oblubienica brnęła przez nawę z orszakiem jak wielka królowa mrówek? Wiem, że jako mężczyzna raczej nie będziesz się tym przejmował, mnie to jednak psuje humor.

Zastanawiasz się pewnie, czy pojechać do Reinsdorfu 13-go. Ja naturalnie będę tam w niedzielę, tak ja proponowałeś. Już od tak dawna nie widziałam się z Twoimi rodzicami. Przekaż im, że z radością się z nimi zobaczę.

Uważam, że pomysł postawienia pomnika ku czci poległych żołnierzy jest wspaniały. Jak inaczej upamiętnić Twojego drogiego brata Maksa i wszystkich pozostałych dzielnych młodzieńców? Niezbędne fundusze na pewno napłyną.

Muszę już kończyć, bo zaraz będą wyjmować listy.

HansPeter mnie podwiezie. Napisz do mnie, najdroższy, kiedy tylko będziesz mógł, albo kiedy Twoi biedni wariaci dadzą Ci trochę wolnego. Jeśli

nie dostaję listu, czuję się strasznie nieszczęśliwa. Mama twierdzi, że przez cały dzień jestem wtedy zła jak osa.

Twoja kochająca (tu znowu się powściągam - powinno być "uwielbiająca Cię!") Alma.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Widywał się z Maksem jesienią. Nad ranem podnosiły się wtedy mgły, roztaczając poświatę wokół latarni gazowych, trzeszcząc na przewodach tramwajowych, zacierając wyniosły zarys budynków mieszkalnych na Schonhauser Allee. Wspominał swego młodszego brata, gdy krańce alei ginęły w chmurach, tak że zdawała się mała i fragmentaryczna, niczym drzazga unosząca się w szarej otchłani - pełna detali, poplamiona i rozpadająca się od upływu czasu, ale osobna, jak fragment fryzu albo wydarta z książki ilustracja.

Przeważnie wspominał wakacje, które w chłopięcych latach spędzali wspólnie w Meklemburgii. Razem z Maksem schodzili nad jezioro i patrzyli, jak mgła unosi się znad wody i w kłębach srebrzystych nitek pierzcha ku niebu. Stali odwrócenii plecami do lasu, ścigając wzrokiem toczące się nad ziemią tumany, aż białe światło spowiło ich całkowicie i nie widzieli już nic innego. Była to ich tajemna zabawa. Wstawali wczesnym rankiem, nim ktokolwiek inny zdążył się obudzić, i brali łódź wiosłową (co wolno im było czynić wyłącznie pod okiem dorosłych). Max zawsze chwycił za wiosła i sunął aż do najgłębszego krańca jeziora. Niewidoczni dla niczyich oczu, w milczeniu unosili się na wodzie, czując się jak podróżnicy na krańcu świata.

Wyciągnąwszy się na dnie łodzi, mieli wrażenie, że się wznoszą, całkowicie swobodnie, z wolna zmierzając ku niebu. Czuli się odcięci od świata, lecz jednocześnie bliżsi sercu Stworzenia, dusze na progu Niebios. A kiedy mgła zaczynała się rozpraszać i brzeg znowu się do nich wyciągał, wracali na ziemię.

Max uwielbiał astronomię. Na dwunaste urodziny wuj Stefan ofiarował mu stary mosiężny teleskop. W pogodną noc Max patrzył przez niego godzinami, a nawet zabierał go ze sobą na wycieczki na wieś, bo jak twierdził, powietrze jest tu czystsze, a gwiazdy jaśniejsze. Rodzice wspierali jego pasję. Matka uczyła francuskiego w miejscowym gimnazjum, ojciec zaś prowadził rodzinną firmę wytwarzającą przybory matematyczne - kompasy, cyrkle, kątomierze. Naukę - zwłaszcza przedmioty ścisłe - wysoce sobie cenili. O religii prawie nie wspominali. Temat ten wywoływał niecierpliwie westchnienia albo lekceważące ojcowskie pomruki zza gazety. Kościoły po prostu zbyt często się myliły co do wszechświata. Ziemia wbrew pozorom nie jest płaska, a słońce nie obiega jej co dzień. Choć śludzy Boży głosili, że pozostają w bliskiej zażyłości z Najwyższą Istotą, po prostu usiłowali utwierdzić ludzi w powszechnym mniemaniu. Dopiero wyobraźnia, sceptycyzm i ścisła metodologia naukowa ujawniły, że mniemania te są fałszywe.

Kilka lat później, podczas wojny, pojechali do Meklemburgii po raz ostatni. Były to dni wymuszonych uśmiechów i niewypowiedzianych złych przeczuć. Max otrzymał powołanie do piechoty i niebawem miał ruszyć do Francji. Ich starsza siostra Frieda właśnie zaręczyła się z Julusem, porucznikiem marynarki.

Martin służył jako lekarz wojskowy w 9. Armii. Wtedy jeszcze ręce miał pewne i mógł przeprowadzać operacje. Brał udział w kampanii węgierskiej i akurat dostał urlop. Zjechali się wszyscy - jak się okazało, ostatni raz.

To był pomysł ojca - wakacje na Pojezierzu Meklemburskim, w pobliżu Schwerinu, dokąd jeździli od lat. Powiedział, że lepiej się ruszyć, niż czaić się po domu. Kirsch był pewien, że miał też inne powody - pod koniec wakacji pożegnania będą mniej uroczyste, mniej ostateczne. Tu łatwiej będzie pokonać strach, zwłaszcza matce, tchnąć optymizmem. Lasy i jeziora nie zmieniły się. Zawsze tu będą. W Meklemburgii wierzyli, że można żyć wedle własnej miary czasu.

Zarazem jednak ich radosne obrządki podszyte były niepewnością. Nawet frykasy były sztuczne - lemoniadę zaprawiano wódką, nie szampanem; cygara, które narzeczony Friedy ofiarował im w prezencie, okazały się wysuszonymi liśćmi kapusty nasączonymi nikotyną. Starano się nie mówić o wojnie, ale rewolucji w Rosji nie dało się pominąć milczeniem. Kirsch pamiętał, jak podczas śniadania wbiegła jego młodsza siostra Emilie z gazetą. W Moskwie i Sankt Petersburgu wybuchły walki. Car został zmuszony do abdykacji. Znaczyło to z pewnością, że wojna niebawem się skończy i chłopcy zostaną w domu. Wszyscy się tłoczyli, chcąc przeczytać te doniesienia, lecz Kirsch zauważył wyraz oczu ojca. Nastroje panujące w kraju nie były pokojowe, choć pokój proponowano. Dążono do zwycięstwa za wszelką cenę, choćby po to, by polegli nie zginęli na marne. Na ulicach wiwatowano, gdy łodzie podwodne otrzymały rozkaz zatapiania neutralnych statków na wodach sprzymierzonych, choć prawie na pewno skłoni to Amerykę do wojny.

W rodzinie Kirscha nie świętowano też początku działań zbrojnych. Defilady, maszerujące oddziały i śpiewy na ulicach stwarzały atmosferę wielkiego balu, na który ich nie zaproszono. Kiedy Martin oświadczył, że chętnie ruszy do boju, matka wymierzyła mu policzek i wybiegła z domu. W końcu okazało się, że ma zbyt słaby wzrok, by służyć na froncie. Niemniej w domu nadal spodziewano się wszystkiego najgorszego. Bali się jeszcze o Maksa, o blond włosach i zielonkawych oczach, który bez przerwy zadawał pytania, choć przecież wiedział wszystko. O chłopca, który wszystkich rozbawiał. I żadna pięta achillesowa nie zapewniała mu bezpieczeństwa.

Przez cały okres szkolenia czytał Alberta Einsteina. W Mecklenburgu pojawił się z naj nowszą książką profesora. Chętnie o niej rozmawiał - jak sądził Kirsch, pewnie dlatego, że w koszarach nikogo ten temat nie interesował, a może po to, by nie mówić o innych, poważniejszych rzeczach.

Ze wszystkich wielkich uczonych Einsteina Max darzył najgorętszym uczuciem. Jako dorastający chłopiec rzucał się na każdą książkę czy artykuł

wyjaśniający prace Einsteina, nawet jeśli strona matematyczna go przerastała. Gości egzaminował ze znajomości rachunku różniczkowego i prosił, by pomogli mu go rozszyfrować (co rzadko się zdarzało). Max uwielbiał Einsteina przede wszystkim dlatego, że obalał on ogólnie przyjęte idee - im bardziej nienaruszalne, tym lepiej. W oczach Maksa Einstein był obrazoburcą niszczącym fałszywe bożki uznanej mądrości, nawet te najzazdrośni jej strzeżone.

Jednym z pierwszych przedmiotów badań Einsteina był eter, święte pojęcie zarówno teologów, jak i uczonych od czasów Arystotelesa. Eter miał być wszechobecny we wszechświecie, niewidoczny i niewykrywalny, tak jak wszechobecny jest Bóg.

Pod względem naukowym była to substancja, przez którą przechodzą fale świetlne, tak jak fale dźwiękowe przechodzą przez powietrze, a fale morskie przez wodę. Musiał istnieć, gdyż proste eksperymenty dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że światło nie jest rzeczą materialną, lecz falowaniem, zakłóceniem przenoszącym się przez coś innego. Pary promieni świetlnych, rozchodzące się z dwóch wąskich szczelin, nakładają się na siebie, tworząc zmienne pasma - o większej jasności, gdy maksima i minima się zbiegają, oraz ciemności, kiedy maksima nakładają się na minima. Taki efekt mogą wytworzyć tylko fale. Ale co do tajemniczego eteru Einstein miał wątpliwości. Czy nauka może uznać istnienie czegoś, co wymyka się wszelkim próbom obserwacji?

- Dwa tysiące lat religii i dwieście lat nauki. - Kirsch wciąż miał przed oczami rozanieloną twarz Maksa. - Obalone za pomocą jednego równania.

Widząc, jak wielkim i dobrym udowodniano błąd, Max był wniebowzięty. Wtedy czuł się wolny, jakby zdjęto zeń ciężar.

Mógł wyobrazić sobie wszystko.

Wedle równania Einsteina światło nie jest falą, lecz strumieniem cząsteczek energii, które nazywał kwantami. Promień światła niczym seria maleńkich pocisków może się przenosić przez próżnię wszechświata bez

pomocy eteru. I w przeciwieństwie do fali te kwanty mają masę, tak jak przedmioty, które je wysyłają, co znaczy, że tak samo podlegają sile ciężenia. Promień światła przechodzący przez przedmiot posiadający masę, taki jak Słońce, zmienia kierunek, przez co obserwator błędnie sytuuje źródło, które go wysyła.

W pewnym okresie Martin Kirsch uważał to wszystko za fantastyczne urojenia. Jakże światło - najczystsza forma energii - może mieć ciężar? Masa i energia to dwie odrębne wielkości, jedna materialna i trwała, druga nieuchwytna; jakość, nie rzecz.

Przedmiot może być gorący, sam żar nie ma substancji. Do istnienia potrzebuje masy, tak jak myśl potrzebuje umysłu. Lecz Einstein stwierdził, że masa jest po prostu inną formą energii.

Odmawiał jej zwartości i trwałości, twierdził nawet, że nie różni się zasadniczo od otaczającej ją przestrzeni. Masa jest po prostu ogromnie skoncentrowaną energią. Max tłumaczył, że materialny wszechświat można sobie wyobrazić jako zmrożone światło.

U podstaw wszystkich rzeczy materialnych znajduje się niematerialność.

Max nie mógł wtedy wiedzieć, jak dalece niejednoznaczne kwanty Einsteina zmienią świat. Ani że sam uczoney zacznie pogardzać swym dziełem i poświęci się jego zniszczeniu. To była jeszcze melodia przyszłości.

W każdym razie Martin nie podzielał entuzjazmu Maksa dla nauki o świetle. Rozmawiając o niej, czuł się jak głupek, a wszak starszy brat chce być autorytetem dla młodszego. Słuchał i poświęcał temu zagadnieniu tyle uwagi, by Max nie musiał się powtarzać, bo wtedy Martin uważałby się za jeszcze większego głupka. Zastanawiał się nawet, czy w gruncie rzeczy nie o to Maksowi chodziło, czy nie to kryło się za jego nieustannym dążeniem do wiedzy - tajemna chęć prześcignięcia pierworodnego syna.

Później Kirsch się przekonał, że nie miał racji. Prawda zaświtała mu podczas ostatniej rozmowy z Maksem - wizja Einsteina nie była dla jego brata



tylko źródłem fascynacji. Kryło się za tym znacznie więcej.

Tego ostatniego ranka tylko we dwóch wypłynęli łódką na jezioro. Był to pomysł Maksa.

- Wymkniemy się o świcie, jak za dawnych lat. Znalazłem już łódkę.

Żadnych wyjaśnień. Jakby Martin winien wszystko zrozumieć, choć był dopiero chłodny początek kwietnia. Jakby nie wyrosli z chłopięcych lat i nic - ani czas, ani wojna - nie oddzielały przeszłości od terażniejszości.

Martin zakładał, że Max chce go zapytać, czego ma się spodziewać na froncie. Musiał się bać. Rekruci zawsze się bali, choć ukrywali to, jak mogli. Ale okazało się, że Max chce mówić tylko o książce Einsteina. Obnosił się z nią przez całą sobotę i niedzielę jak kaznodzieja z Biblią. Wyznał, że już prawie ją rozumiał.

Widział już dość wyraźnie, że wszystko we wszechświecie - materia, energia, przestrzeń i czas - to w gruncie rzeczy jedno, niczym olbrzymi węże, który wije się i skręca, połykając własny ogon.

- To ci chodzi po głowie? Olbrzymie węże?

Max uśmiechnął się, spoglądając na wodę. Słońce wzeszło.

Żółte promienie przecinały chmury.

- Po co mieć głowę, skoro nic po niej nie chodzi?

- A tobie chodzi Einstein, nawet teraz?

- Tak. - Max zmarszczył brwi, uderzając wiosłami. Odbite światelka tańczyły na jego twarzy, ozłacając bladą skórę.

- I mam nadzieję, że jakiś czas w niej zostanie.

Kirsch żałował, że to nie on siedzi przy wiosłach. Może by się rozgrzał. Ciekawe, co oni tu właściwie robią?

- Nie chodzi o to, żeby się wiele nauczyć - stwierdził Max.

- Raczej trzeba się oduczyć... zapomnieć, jeśli to twoim zdaniem lepiej brzmi. To o wiele trudniejsze. Musisz zawierzyć intuicji. Trzeba uznać to, co wydaje się niemożliwe.

Kirsch pamięta, że chuchał w dłonie.

- Na przykład?

Max przestał wiosłować i sięgnął do plecaka.

- Sam zobacz.

To była książka "O szczególnej i ogólnej teorii względności: (wykład przystępny)".

Kirsch się roześmiał.

- Mam to teraz przeczytać?

- Nie teraz. Jak wyjedziemy. To prezent.

Max wyciągnął książkę. Kirsch spojrzał na nią. Jego uśmiech z wolna zgasł.

- Zatrzymaj ją - rzekł. - Nie mam co się za nią brać.

- Skąd możesz wiedzieć, skoro jej nie czytałeś?

- Porozmawiamy o tym, kiedy wrócisz. Wtedy będziemy mieli mnóstwo czasu.

Na ułamek sekundy zapanowała cisza trwająca na tyle długo, by Kirsch zrozumiał, że jego brat nie spodziewa się wrócić, a książka, którą tak cenił, stanowi ostatni dar pożegnalny.

- Jasne, jasne - powiedział Max. - Ale mimo wszystko.

- Rzucił książkę na kolana brata i znowu ujął wiosła. - Będę się śmiał na myśl, jak wysilasz nad nią mózgownicę. Trzeba mieć w perspektywie coś zabawnego, gdy się tkwi po uszy w błocie.

Po raz pierwszy wspomniął o tym, co go czeka, po raz pierwszy przyznał, że przyszłość nie rysuje się różowo.

- A kiedy znowu się spotkamy, tak jak powiedziałeś, podyskutujemy o nieistnieniu czasu.

Kirsch przeczytał książkę dopiero parę lat później. Do tego czasu teorie Einsteina ponad wszelką wątpliwość potwierdziły obserwacje światła gwiazd przechodzącego przez masę Słońca.

Obserwacji tych można było dokonać jedynie podczas całkowitego zaćmienia Słońca. Dzięki nim niemiecki uczonec stał się najślawniejszym człowiekiem na świecie.

Ale szansa na dyskusję z Maksem już nie było. Dwa miesiące po ich wypadzie na jezioro, siódmego czerwca, armia brytyjska wysadziła w powietrze milion funtów materiałów wybuchowych pod pozycjami niemieckimi w Cieśninie Messyńskiej. Podporucznik Max Kirsch znalazł się wśród dziesięciu tysięcy ofiar, które zginęły w wyniku wybuchu. Jego huk słychać było w odległości pięciuset kilometrów, aż do granic Mecklenburga. Po Maksie nigdy nie znaleziono najmniejszego śladu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W domu w Reinsdorfie pokój Maksa mieścił się na górze.

Wszystko zostało tak jak w dniu wyjazdu, tylko niektóre z jego rzeczy trafiły tam z powrotem z innych części budynku: szylkretowy grzebień z wytłoczonym na nim jego imieniem, perłowobiała muszla łodzika, porcelanowa figurka terriera w okularach, którą dostał w prezencie i upchnął gdzieś, by na nią nie patrzeć.

Na komodzie, pod kątem do lustra, tak, by jej odbicie było widoczne od drzwi, znajdowała się oprawna w ramkę fotografia Maksa. Zrobiono ją na miesiąc przed jego wyjazdem na front - w mundurze kadeta stoi na niej jakby kij połknął, lecz wyraźnie widać w tym cień autoironii. Fotografia zbladła z czasem, tak że Max ma na niej białą karnację barwy munduru, a rysy lekko zaznaczają się w sepii. Lustro również zmętniało z czasem, toteż Max ginie w nim za zasłoną mgły.

Nikt nie zamierzał tworzyć z pokoju kapliczki. Stało się to stopniowo. Ponieważ nie znaleziono ani ciała Maksa, ani żadnego należącego do niego przedmiotu, uznano go za zaginionego w akcji. Pozostała nadzieja, że kiedyś

wróci, że dostał się do niewoli albo jak ta dziewczyna z Charité leży gdzieś w szpitalu dotknięty amnezją, nie pamiętając własnego nazwiska. Od czasu do czasu zaginieni powracali. Gazety pisały o żołnierzach, którzy uciekli ze wschodu, walczyli z Kozakami albo dostali się do niewoli Czerwonych. Rodzina nigdy do końca nie straciła nadziei, nie doznała kryzysu, z którego zdołałaby się wydobyć i ułożyć wszystko od nowa. Stan zawieszenia, pomiędzy żałobą i normalnym życiem, trwał latami.

Przez cały czas pokój Maksa pozostawał pokojem Maksa. Od czasu do czasu zmieniano pościel, choć nikt w niej nie spał, a oświetlenie gazowe zastąpiono elektrycznym, jak w całym domu. Ale to było wszystko. Nikomu do głowy nie przyszło, by jeszcze cokolwiek zmienić. Emilie nadal zajmowała maleńką pokamerę, w której spała jako dziecko, choć był to pokój o wiele za ciasny dla dorosłej kobiety. Kiedyś Kirsch ostrożnie zaproponował, by przeniosła się na górę, lecz siostra stanowczo pokręciła głową - tak jak jest, zupełnie jej wystarczy. A ponadto matka nadal przesiadywała w pokoju Maksa, zwłaszcza w czasie deszczu.

Emilie, dość niezgrabna szczupła blondynka, nigdy nie opuszczała Reinsdorfu. Objęła posadę nauczycielki w Wittenberdze i jak matka jeździła na rowerze codziennie tam i z powrotem, by nie marnować pieniędzy na pociąg. Nie uczyła francuskiego, tylko geografii i podstaw matematyki.

Przez parę lat przed wojną Kirscha łączyła z Emilie silna więź, silniejsza niż z najstarszą Friedą, a nawet z Makssem, który wiecznie siedział z nosem w książce. Była dzieckiem pełnym życia, niezwykle ciekawym świata. Gdy dorośli schodzili się na kolację, przysiadła w kącie jadalni z rękami wsuniętymi pod nogi, uważnie przysłuchując się rozmowie. Z czasem cała ta ciekawość gdzieś się rozmyła. Teraz Emilie zachowywała się z niezmierną powagą i rezerwą, a prostota jej ubioru i wyglądu wydawała się niemal przesadna, jakby jakikolwiek przejaw próżności zasługiwał na wzgardę. Patrząc na jej bladą ziemistą cerę i skromnie upięte włosy, trudno było uwierzyć, że niegdyś uchodziła za piękność.

Więź Emilie z bratem gasła, podobnie jak jej uroda. W pewnym momencie, może podczas tych długich powojennych lat, podczas których przeważnie go nie było, musiała uznać, że nie jest już odpowiednim dla niej powiernikiem. Zastanawiał się, czy nabrała do niego niechęci czy też w głębi duszy uznała, że ją porzucił, pozwalając, by dziewczęce lata spędziła w tym domu tak pełnym smutku.

W sumie z wioski Reinsdorf i pobliskich przysiółków w wielkiej wojnie zginęło czternastu młodych ludzi. Rodzina Keilów straciła obu synów - Ericha w 1917 i Fritza w 1918 roku; przy czym, dziwnym zbiegiem okoliczności, obaj polegli w wieku dwudziestu jeden lat i trzech miesięcy. Wszystkich upamiętniono na żelaznej tablicy w kościele. Lecz dziesięć lat później zaczęto snuć plany postawienia pomnika w środku wioski. Było to skomplikowane przedsięwzięcie. Należało zebrać pieniądze, kupić działkę, przyjąć projekt. Matka Kirscha działała w komisji nadzorującej, w której zajmowała się gromadzeniem funduszy, a także nawiązywała kontakty z artystami. W owym czasie pochłaniało to niemal wszystkie jej siły. Gdy Martin przyjeżdżał do domu, zawsze szczegółowo omawiano najnowsze postępy prac. Koniec tego tygodnia był szczególnie ważny dla sprawy pomnika - w sobotnie popołudnie w starym budynku szkolnym miał się odbyć koncert muzyki kameralnej w wykonaniu zespołu, który specjalnie w tym celu przyjechał z Lipska.

- Bach, Beethoven i transkrypcja Wagnera - rzekł jego ojciec owego ranka w drodze do kościoła. - Chyba "Zygfyrd".

- Świetny wybór - skwitował to Kirsch. Postanowił opowiedzieć rodzinie o wydarzeniach w Charite i uprzedzić, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zwolnią go z pracy. Ale nie nadarzyła się jeszcze okazja, by poruszyć ten temat.

- A tak, doskonały - odparł ojciec. - Proponowali na początek Rossiniego, zespół z tym wyszedł. Jakąś uwerturę. Niestety komitet... - Zniechęcony, pokręcił głową.

- Zbyt lekki?

- Zbyt włoski. Walczył po niewłaściwej stronie. Nawet na Mozarta się krzywili, bo nie był stuprocentowym Niemcem.

Już nie szydził z owego prostackiego myślenia, jak to miał niegdyś w zwyczaju. Wspomnienie wojny było jeszcze tak żywe, że żaden wyraz patriotyzmu, choćby i najbardziej idiotyczny, nie mógł podlegać krytyce. Tylko ci, którzy złożyli najwyższą ofiarę, mieli prawo do wysuwania zastrzeżeń. O dziwo, nigdy z tego przywileju nie korzystali.

- Nie jestem pewien, czy van Beethoven był stuprocentowym Niemcem - rzucił Kirsch. - Czy jego rodzina nie pochodziła z Flandrii?

- Możliwe.

Ojciec przystanął i obejrzał się niespokojnie. Panie szły z tyłu, kryjąc się pod jednym parasolem. Matka Kirscha kroczyła sztywno, jakby przytłaczał ją ciężar zimowych ubrań.

Ojciec ruszył dalej, uznając temat za zamknięty.

- Szkoda, że nie będzie Friedy. Rzadko ją widzujemy. Ioczywiście Juliusa.

Kirsch przyznał, że to szkoda, choć ostatnio mało kto go widywał. W tym samym roku, w którym zginął Max, okręt Juliusa został ostrzelany przez brytyjski krążownik, a choć Julius przeżył, jego szczęśliwa gwiazda zgasła. Wybuch urwał mu lewą rękę i zniekształcił całą sylwetkę tak okropnie, że od tej pory nie chciał pokazywać się publicznie. Kirsch słyszał, że podobno we Francji założono specjalne zakłady dla weteranów zwanych tam gueulescassees - o zmasakrowanych twarzach - by nikt nie musiał na nich patrzeć. Ale z tego co było mu wiadomo, w Niemczech takie domy nie istniały. Oszpeceni inwalidzi przemykali się po ulicach albo, jak Julius, niczym widma kryli się w cieniu i mroku. Woleli, by myślano o nich w czasie przeszłym, niż oglądano w obecnej postaci.

Wybrany model pomnika wystawiono przed kościołem.

Wymalowany akwarelą spoczywał na sztalugach. Obeliski i rzeźbione

bloki wapienia odrzucono na rzecz potężnej płyty granitowej. W ciemnej skale wyżłobiono krzyż maltański - w uproszczonej wojskowej wersji - pod którym widniały słowa: ZA BOGA I OJCZYZNĘ.

Nowy pastor był niski, gruby i miał rumiane oblicze. Pomny, że głównym przedmiotem życia parafii jest teraz sprawa pomnika, tematem kazania uczynił ofiarę - ofiarę Chrystusa, ofiarę Abrahama ze swego syna, ofiarę poległych w boju. Ofiara sięga równie daleko w głąb czasu jak Stworzenie i przynosi odnowę, głosił, tak jak spadłe jesienne liście użyźniają ziemię, umożliwiając nadejście wiosny. Był bardzo rad z tego porównania, sądząc po uśmiechu, z jakim je wygłaszał, kołysząc się na kłębach paluchów. Kirsch wpatrywał się w model, słysząc tylko krople spadające z dachu i skrzypienie butów pastora. Wyobraził sobie imię i nazwisko Maksa wyryte w granicie, uwieczniające jego oddanie i szczytną śmierć, która nie poszła na marne, co stwierdzono jednoznacznie, by nie było naj mniej szych wątpliwości. Pomnik miał być widomym znakiem, że Max i inni oddali życie za tę właśnie ziemię pod stopami Germanii. Przelali krew w jej fundamenty niczym tony ludzkiego cementu, a ziemia z kolei dała na to dowód.

„Za Boga i Ojczyznę”. Kirsch dziwił się, że jego matka przystała na to stwierdzenie. Bohaterem Maksa był wszak Albert Einstein, zatwardziały pacyfista, który gardził wojskiem i drwił ze wszystkiego, co było z nim związane. W każdym razie nie wiadomo, co Bogu przyszło z tej ofiary ani jak ogólnoeuropejska wojna mogłaby służyć Jego interesom, takim czy innym. Niektóre pomniki rozsądnie nie mieszały do tego Boga. Polegli zginęli po prostu „za Ojczyznę”, co wydaje się stwierdzeniem bardziej zasadnym, choć wybór przyimka nasuwa pewne wątpliwości.

Zważywszy, że większość żołnierzy została zmobilizowana, dokładniej byłoby powiedzieć, że polegli w s ł u ż b i e Ojczyzny.

A nawet na r o z k a z Ojczyzny, Ojczyzna bowiem celowo wystawiła swych synów na niebezpieczeństwo, nie pytając ich o zdanie.

Kirsch spojrział wzdłuż nawy na rzędy stroskanych twarzy, na frau Keil i rolnika herr Kehlitza, którego syn zginął pod Mons w pierwszym miesiącu wojny, i przyszło mu do głowy, że nie chodzi tu o upamiętnienie. Pomnik nie wspomogł ich pamięci. Rodzice najbardziej pragnęli być dumni, chcieli, by w ich synach upatrywano bohaterów, którzy ofiarowali swe życie w świadomym i niezbędnym akcie sarnopoświęcenia. Nie mogli być dumni ze zwykłych ofiar, nawet nieskazitelnych. Śmierć ofiary nie miała znaczenia ani celu.

A przez to z jakiegoś powodu była nie do zniesienia.

Pewnego wieczoru, gdy projekt dopiero co dostarczono i jeszcze czekał na akceptację, Kirsch podzielił się tymi zastrzeżeniami z Emilie. Nie może mówić w imieniu innych poległych, ale co do Maksa, pomnik kompletnie chybia celu. Za nic w świecie nie chciałby widzieć czegoś tak brutalnego i bombastycznego w środku wioski. Emilie nakazała mu natychmiast ściszyć głos ze względu na matkę.

- Ona tego pragnie. Nie wtrącaj się.

Wychyliwszy dwa kieliszki brandy, Kirsch śmielej upierał się przy swoim.

- Słowo daję, nie chcę, żeby moje nazwisko było na tym okropnym kawałku skały.

Emilie podeszła i wyszarpnęła mu z ręki kieliszek, wylewając sobie połowę jego zawartości na suknię.

- Wolałabym, żeby tam było twoje imię, a nie Maksa - rzekła. - Wtedy nikogo by to nie obchodziło.

Po chwili straszliwej ciszy Emilie przeprosiła, zapewniając go, że nie mówiła poważnie, że ją poniosło. Przyjął jej przeprosiny, uśmiechem rozpraszając zatroskanie.

Nigdy więcej nie wspomniął już o pomniku.

Po mszy pospieszyli do domu i przygotowali się do obiadu.

Kirsch złapał parasol i wybiegł z domu, by osłonić Almę, która właśnie



przyjechała taksówką. Na dworze ze zdumieniem stwierdził, że przestało padać, a przez chmury przedziera się słońce.

Musiał osłonić oczy, patrząc, jak narzeczona wysiada.

Miała na sobie elegancki tweedowy kostium, na który nałożyła płaszcz przeciwdeszczowy, a głowę osłoniła trójgraniastym kapelusikiem z piórkiem, w którym wyglądała jak amazonka z operetki o życiu pasterskim. Blond włosy były świeżo ułożone w fale. Oparła mu rękę na ramieniu i nadstawiła policzek do pocałunku. Jej skóra pachniała różami.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś o tej gazecie?

- O czym ty mówisz?

- Nie widziałeś zdjęcia? - Wyciągnęła z torby egzemplarz „Die Berliner Woche”. - Wczorajsze wydanie. Hansowi Petterowi rzuciło się w oczy.

Takiej prasy Alma sama nie kupowała, był to tygodnik ilustrowany pełen zagadek kryminalnych i skandalizujących opowieści. Przerzuciwszy kilka stron, podała go Kirschowi. Nagłówek krzyczał: DZIEWCZYNA OD EINSTEINA - ŚLADY PROWADZĄ

DONIKĄD - POLICJA ZBITA Z TROPU. Poniżej zamieszczono fotografię. W świetle flesza pokazano siedzącą na łóżku dziewczynę, która jedną ręką przyciskała do piersi koc. Zdjęcie pochodziło sprzed paru dni, gdyż nie ścięto jej jeszcze włosów. Zadraśnięcia i zadrapania na twarzy były ciemno i brzydkie, ale nie zdołały zaćmić ślicznie wydętych warg ani mrocznego błysku jej oczu.

- Nie tu, tutaj.

Palcem w rękawiczce Alma wskazała dwie fotografie na dole strony. Obie zrobiono przed szpitalem. Na jednej widniał inspektor Hagen podczas zorganizowanej naprędce konferencji prasowej. Gębę miał rozdziawioną, ręce uniesione w geście poddania, jakby wyprztykał się już ze wszystkiego; na drugim pokazano go na tylnej kanapie samochodu, jak przez boczne okienko rozmawia z mężczyzną w białym fartuchu. Twarz prawie całkiem zniknęła w

błysku flesza, który odbijał się w okularach fotografowanego. Podpis głosił: Inspektor Hagen zasięga informacji u dr.

Martina Kirscha, wybitnego psychiatry przydzielonego do opieki nad przywiezioną pacjentką.

- Czyż to nie wspaniałe? - rzekła Alma. - Mój narzeczony jest wybitny. I wie o tym cały świat.

Kirsch potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Skąd wzięli moje nazwisko?

Przez uchylone okno wbijał się wzrokiem do wnętrza samochodu jak zbieracz autografów.

- Nie bądź taki skromny - rzekła Alma. Czytając, czuł, że bacznie mu się przypatruje. - Ładna jest, co?

- Kto?

- A jak sądzisz?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli komuś podobają się posiniaczone kobiety. - Złożył gazetę. - Mogę ją pożyczyć?

- Możesz ją zatrzymać. - Gdy skierowali się ku domowi, ujęła go pod ramię. - Prawdę mówiąc, spodziewałam się, że będziesz bardziej zadowolony.

Pomyślał o czekającej go rozmowie z Bonhofferem i potrząsnął głową.

- No niestety.

- O co chodzi?

- Takie głupstwa tylko szkodzą.

- Pacjentce czy...? Bo jeśli to prawda, co mówią, że biedna dziewczyna straciła pamięć i nie wie, kim jest, takie fotki mogą tylko pomóc.

Nim zdążył wytłumaczyć, w kuchennych drzwiach pojawiła się matka, wyciągając ramiona na powitanie.

Stół nakryto najlepszym koronkowym obrusem. Srebra, których nie używano od lat, lśniły w bladym zimowym słońcu. Podczas posiłku odbyło się

przyjacielskie przesłuchanie. Matka Kirscha chciała wiedzieć wszystko o przygotowaniach do ślubu, ledwo pozwalając Almie skosztować potraw.

- Zastanawialiście się, gdzie będziecie mieszkać? - zapy~ tała.

- Martin pani nie mówił?

- Martin nic mi nie mówi. Jestem jego matką.

- Znalazłam śliczny domek w Zehlendorfie niedaleko Wannsee. - Alma uśmiechnęła się, odkrawając kawałek kartofla. - Nie jest jeszcze na sprzedaż, ale rozmawiałam z właścicielami. Tymczasem będziemy musieli wynająć mieszkanie w mieście.

- Martin zawsze pracował w Berlinie - rzekła matka.

- Nie wiem, co on w nim widzi. Z tego co czytałam, wygląda na miasto brudne i niebezpieczne. Co pani ojciec o tym sądzi?

Alma rzuciła Kirschowi przepaszające spojrzenie.

- Niestety, podziela pani zdanie. Ciągłe powtarza, że stolica wymaga gruntownej czystki.

- Lekarz musi iść tam, dokąd go wzywa obowiązek, Klaro - rzekł ojciec. - Nie tam, gdzie mu się podoba okolica.

Matka wzruszyła ramionami.

- Czy w Wittenberdze naprawdę nie ma wariatów? Albo w Lipsku? Czy też ich szaleństwo jest zbyt nudne i prowincjonalne?

Wśród ogólnego śmiechu Kirsch sięgnął po kieliszek. Ojciec wydobył z piwnicy butelkę rieslinga, którego całą skrzynkę nabył dawno temu, zapewne z okazji jakiejś fety, lecz po tylu latach wino znacznie straciło na smaku.

- Nie ma wolnych posad - rzekł Kirsch.

- A nie mógłbyś wykładać na uniwersytecie?

Alma położyła mu rękę na ramieniu.

- Zawsze uważałam, że Martin jest urodzonym nauczycielem.

Matka skinęła potwierdzająco.

- Był wspaniałym chirurgiem wojskowym. Nadal przechowuję list od

jego dowódcy, pułkownika Schada. Napisał, że Martin był najlepszym lekarzem w jego jednostce. - Odwróciła się do syna. - Nie rozumiem, dlaczego rzuciłeś tę specjalność, Martinie. Dobrzy chirurdzy zawsze mają wzięcie.

Kirsch nigdy nie wyjaśnił rodzinie, dlaczego naprawdę porzucił medycynę konwencjonalną. Sądzi, że po prostu zainteresował się nową dziedziną, jak to mężczyźni w tej rodzinie mieli w zwyczaju, nie oglądając się na konsekwencje finansowe.

- Sam dla siebie jest naj surowszym krytykiem - rzekła Alma.

Potrząsnął głową.

- Wcale nie.

- Z pewnością nie będzie musiał pracować dłużej w klinice, jeśli nie zechce. - W ustach Almy zabrzmiało to jak wyrok.

- Ten jego artykuł na przykład...

- To nic takiego - rzekł Kirsch, ponieważ nie było to nic takiego, a przynajmniej niewiele. Jego jedyny wkład do literatury psychiatrycznej opublikowano w "Rocznikach psychiatrycznych", wydawanym w Monachium nowym piśmie o śmiesznym nakładzie.

- W każdym razie mój ojciec powiedział...

- Twój ojciec czytał mój artykuł?

Alma ścisnęła go za ramię.

- Oczywiście. Zrobił na nim wielkie wrażenie. Pokaże go paru osobom.

Rodzice wymienili zadowolone spojrzenie.

- Jakim osobom? - zapytał Kirsch.

Alma uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Komuś z kręgów medycznych. Jego przedsiębiorstwo zajmuje się przecież wytwarzaniem leków. - Spojrzała na talerz i zaczęła dziobać widelcem mięso. - Wspiera też wszelkiego rodzaju instytucje medyczne.

Kirsch już miał im powiedzieć, że nie zamierza odejść z Charite, że doktor Karl Bonhoeffer jest zapewne najwybitniejszym psychiatrą w Niemczech

i niewielu znajdzie się bardziej doświadczonych mistrzów. Ale potem pomyślał o wezwaniu, które otrzymał na następny ranek, i porzucił swój zamiar.

- Dobrze, że się nim zajmiesz, Almo - rzekła matka.

- Martin ciągle siedzi z nosem w książce, za to jeśli idzie o zdobywanie pozycji w świecie...

Ojciec chciał dolać Almie wina, lecz z uśmiechem zakryła kieliszek dłonią.

- Zabawne, że w chłopięcych latach to Maksa uważano za myśliciela - powiedział. - Martin był niby umysłem praktycznym. Sądziłem, że zostanie inżynierem albo zajmie się interesami. Zawsze rozbierał wszystkie mechanizmy, żeby zobaczyć, jak działają. - Zaśmiał się i nalał sobie kolejny kieliszek wina.

- Nadal mamy w domu zegary, które wskazują zupełnie nieprawdopodobną godzinę, a to dzięki młodzieńczym pasjom Martina. Czy nie tak, Klaro?

Matka już nie słuchała. Wpatrywała się w koronkowy obrus, z roztargnieniem gładząc go palcami. Ojciec skrzywił się, jakby nagle uzmysłowił sobie, że powiedział coś niewłaściwego. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Matka gwałtownie zaczerpnęła oddechu i uniosła wzrok w górę, ku pokojowi Maksa.

Komitet się postarał, by stary budynek szkolny sprawił na gościach jak najprzyjemniejsze wrażenie. W rogach płonęły lampy parafinowe. Zimowe bukiety z gałązek wierzby i jaśminu umieszczono po obu stronach drzwi i w rogach sali. U spodu estrady rozwieszono światła rampy, by cienie muzyków tańczyły z tyłu za ścianą. Wystawiono starą flagę cesarską. Lecz gdy muzycy stroili już instrumenty, większość krzeseł ciągle stała pusta.

Matka Kirscha była zrozpaczona.

- Może pogoda zatrzymała ludzi w domu - łudziła się.

- Powiedz im, żeby jeszcze nie zaczynali.

Stała przy drzwiach z programami w ręce, za nic nie chcąc wejść do

środka. W nagrodę za jej wytrwałość przyjechał na rowerze jeden jedyny spóźnialski, który zaraz wyszedł, nie płacąc. Kiedy w końcu dała się przekonać, by wejść i usiąść, nie pozostała spokojnie na swoim krześle, lecz podrywała się po każdym utworze i znowu wychodziła, by sprawdzić, czy na zewnątrz ktoś nie czeka.

Sama muzyka wydawała się dziwnie nie na miejscu. Większość wykonawców stanowili szczupli młodzieńcy w okularach, których komisja poborowa odrzuciłaby jako niezdatnych do służby wojskowej już to ze względu na wątłość organizmu, już to na zły wzrok. Utwory, które grali, tchnęły smutkiem i wytwornością, które nijak się miały do placu apelowego, nie mówiąc już o polu bitwy. Weterani, wieśniacy i miejscowi notable, którzy zasiedli na widowni, tkwili nieruchomo na składanych krzesłach, wpatrując się tępo w estradę. W pełni zdawali sobie sprawę, że takie przejawy wysokiej kultury przesądzą o wyższości cywilizacji niemieckiej, niemniej woleliby, żeby zagrano coś bardziej do słuchu.

W sumie, pomyślał Kirsch, wyszłoby lepiej, gdyby wystąpiła orkiestra dęta, tyle że Max nienawidził orkiestr dętych i zawsze zatykał uszy, kiedy któraś maszerowała w pobliżu.

Wreszcie zespół uklonił się po raz ostatni, publiczność powstała i odśpiewała hymn narodowy. Potem wszyscy się rozeszli, z ulgą porzucając niewygodne krzeselka. Przy drzwiach umieszczono skarbonkę na ewentualne dalsze datki wspomagające fundusz budowy pomnika, lecz większość ludzi uznała, że złożyli wystarczającą ofiarę, płacąc za bilet.

Tylko pastor, który wparował, nie próbując nawet kupić biletu, najwyraźniej nie podzielał ogólnego nastroju rozczarowania.

- Piękna uroczystość, frau Kirsch - rzekł, żwawo podnosząc się ze swego miejsca. - Powinniśmy urządzać ją co roku.

- Mieliśmy raczej nadzieję, że jeden koncert wystarczy - powiedział ojciec. - Będziemy musieli jeszcze to przemyśleć.

- Ależ to było piękne - pochwaliła Alma. - Nigdy tego nie zapomnę.

Matka Kirscha rzuciła jej zdziwione spojrzenie, po czym uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- W takim razie warto było - rzekła. - Choćby tylko dlatego.

Jedno za drugim wyszli z budynku szkoły i spacerem szli przez wioskę w gęstniejącym mroku. Minęli miejsce, gdzie miał stanąć pomnik - był to trójkątny trawnik, meta wyścigów rowerowych, które Kirsch z bratem urządzali sobie w chłopięcych latach.

Alma znowu ujęła go pod ramię.

- Ile pieniędzy jeszcze potrzeba? - zapytała cicho.

- Na pomnik? Paręset marek. Problem polega na tym, że im dłużej sprawa się przeciąga, tym większe fundusze będą musieli zgromadzić.

Alma przyciągnęła go bliżej do siebie.

- Powiedz mamie, żeby się nie martwiła. To godna sprawa.

Ręczę, że pieniądze się znajdą.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy Kirsch wrócił wieczorem do swego wynajętego pokoju, szczerze zaciągnął zasłony. Zdjąwszy marynarkę, sweter i koszulę, obrócił się do lustra. Mały siniak na ramieniu pogłębił się i szerniał, skóra wokół nakłucia zrobiła się sucha i połyskliwa.

Mięsień bolał, jakby wstrzyknięto weń kawałek lodu. Sprawdziły się jego obawy - tkanka podskórna obumierała. Takie niebezpieczeństwo nosło aplikowanie sobie salwarsanu, jak i każdego środka zawierającego arszenik. Wiązało się to z wielogodzinnymi mdłościami, skurczami i wymiotami, a prócz tego zastrzyk należało wykonać w ścisłym obrębie ściany żyłnej. Wszelki płyn wyciekający w przyległą tkankę spowoduje jej obumieranie.

Istniały też zagrożenia dla samej żyły - salwarsan może powodować

skrzepy w miejscu wstrzyknięcia, co prowadzi do spuchnięcia i podrażnienia naczyń, a stąd już prosta droga do zakażenia. I może właśnie do niego doszło. Mrużąc oczy w mdłym świetle żarówki, pomacał żyłę odłokciową, sprawdzając, czy jest wrażliwa, ale trudno było wyczuć cokolwiek pod przygniatającym brzemieniem bólu.

Obecnie większość lekarzy podaje ten lek pod postacią kroplówki. Zastrzyki są zbyt ryzykowne. Lecz Kirschowi normalne procedury medyczne nastroczały wielu trudności. Inny lekarz mógłby się nie zgodzić na przepisanie mu leku, a już na pewno nie bez badania. Na tajemnicy lekarskiej nie można polegać.

Medyk leczący się na chorobę zakaźną, nawet w fazie utajonej, staje się pożywką dla plotek. Wieści o takiej przypadłości wyciekają niekoniecznie za pośrednictwem samych lekarzy, ale poprzez pielęgniarki i sekretarki. Ponadto niektórzy medycy uważają za swój obowiązek zawiadamianie władz o zakaźnych przypadkach, zwłaszcza gdy sądzą, że istnieje poważne ryzyko rozprzestrzenienia się choroby. Inni wyznają pogląd, że osobom zakażonym powinno się zabronić zawierania związków małżeńskich pod groźbą ujawnienia ich choroby, póki badania krwi nie dadzą negatywnych wyników przez kilka lat z rzędu. W sumie Kirsch uznał, że prościej i bezpieczniej jest leczyć się samemu, nawet jeśli musi kupować proszek od nielicencjonowanych sprzedawców i własnoręcznie przygotowywać zastrzyki, a także trzymać rtęć i bizmut pod umywalką na wypadek wystąpienia owrzodzeń czy uszkodzeń skóry.

Światło elektryczne było zbyt słabe. Zapalił lampę parafinową i ściągnął resztę ubrania. W jego przypadku pierwszy objaw zakażenia pojawił się w czasie wojny w postaci małych okrągłych opuchlizn po wewnętrznej stronie palców. Brązowawe i nabrzmiące, coś pośredniego między oparzeniami od pokryw a pęcherzami, niezbyt mu przeszkadzały, a na pewno nie bolały.

Utrzymywały się przez kilka tygodni, po czym zeszły, nim zdążył się



nimi zaniepokoić. Dopiero po paru miesiącach wystąpiły dalsze symptomy: gorączka, bóle stawów, a także zaogniona czerwona wysypka pod pachami i na piersi. Nawet wówczas nie przyszło mu do głowy, że zaatakowała go śmiertelna choroba, że przez jego ciało niczym robale przebiegają krętki blade, mnożąc się, gromadząc i skupiając w grudki w jego gruczołach i naczyniach krwionośnych, wytwarzając kanały w jego systemie nerwowym i oblegając mózg.

Z tego samego zakażenia leczył w szpitalu polowym setki mężczyzn, nawet oficerów austriackich, których przysyłano na mocy specjalnych rozkazów naczelnego dowództwa, gdyż nie ufali własnym chirurgom. Choroby weneryczne powodowały znacznie większe straty wśród żołnierzy frontowych niż jakiegokolwiek inne, z wyjątkiem zapalenia płuc w miesiącach zimowych. Tyle że pierwotne i wtórne objawy syfilisu były odmienne u każdego pacjenta i łatwo je było pomylić z innymi, mniej poważnymi dolegliwościami. W każdym razie skoro tylu mężczyzn umierało od ran, leczenie przypadłości, które mogą się okazać śmiertelne dopiero za dwadzieścia lat, nie było najważniejszą troską lekarza wojskowego. Nawet chorych z wyraźnymi otwartymi ranami, charakterystycznymi dla drugiej fazy, wilgotnymi wrzodami rojącymi się od laseczek, nie izolowano ani nie podejmowano wobec nich szczególnych środków ostrożności. Nie starczało na to czasu.

Kirsch nie wiedział, kiedy dokładnie choroba dostała się do jego krwiobiegu ani od kogo spośród pacjentów mógł się być zarazić. Chirurgi często zacinali się skalpelem w salach operacyjnych, a w pośpiechu zazwyczaj zanedbywano higienę. Ale ciągle o tym myślał. W snach widział twarz nosiciela - to jeden z tych, który przeżył zabieg na stole operacyjnym, a potem padł na froncie. Kirsch poznał go po mundurze i okrwawionej twarzy.

Może złapał choróbsko gdzie indziej, w bardziej zwyczajnych po temu okolicznościach, lecz szankry - tak w medycynie, jak się później dowiedział, nazywano te małe brązowe obrzmienia - pojawiały się zazwyczaj blisko miejsca zakażenia. Dlatego przeważnie występowały w pachwinie albo na genitaliach.

W jego wypadku nabrzmiały na wewnętrznej stronie dłoni.

W drugiej fazie choroby dokuczały mu bóle głowy i gorączka.

Męczyły go przez parę dni, po czym ustępowały i znowu funkcjonował normalnie. Gorączce towarzyszyły koszmary, wizje tak wyraziste, że wydawały mu się bardziej rzeczywiste niż wszelkie wspomnienia z życia na jawie. W tych snach pacjenci, których twarze, jak sądził, dawno zapomniał, czekali na niego wszędzie, gdzie się tylko pojawił, bezkrysi, z ranami otwartymi bądź zaszytymi tylko częściowo. Przyglądali się jego pracy przy stole operacyjnym albo gapili się nań z końców korytarzy. Nocami i o świcie trzymali wartę na terenie szpitala. Ścierając skroploną parę z szyby czy lusterka do golenia, widział twarz trupa. Bał się ich nawet na jawie. Unikał ciemnych pokojów czy pustych klatek schodowych. Zawsze stawał w pobliżu światła i jeśli to było możliwe, w czyimś towarzystwie, choć wyraźnie stał się małomówny i niechętnie otwierał usta.

Czasami w snach widział Maksa. Brat stał na brzegu rowu odwadniającego, który biegł skrajem terenów szpitalnych. W tamtych czasach miał jeszcze twarz, choć już okrywała ją śmiertelna bladość. Kiedyś przyniesiono na noszach mężczyznę, któremu całkiem oderwało nogi. Kirsch od razu się zorientował, że nie ma dla niego ratunku. I przez chwilę on również był Maksem.

Ręce zaczęły mu się trząść najpierw przy posiłkach, potem gdy się golił brzytwą i wreszcie w sali operacyjnej. Drzenie pojawiało się w momentach zupełnie nieprzewidywalnych i zaraz przechodziło. Nie potrafił stwierdzić, czy to kolejny objaw choroby czy też wysiadają mu nerwy, czy przyczyna jest neurologiczna czy psychologiczna, ale utrata panowania nad ciałem przerażała go jeszcze bardziej niż wizje, bo drżenia nie dało się ukryć.

Wówczas sięgnął po leki: brał niezbędne składniki z zasobów szpitalnych i późną nocą, w zaciszu swego pokoju, przygotowywał mieszankę z potasu, jodyny, bizmutu, rtęci i arszeniku.

Najgorsze objawy drugiej fazy choroby zanikły parę miesięcy po zawieszeniu broni. Być może całkowicie się wyleczył. Lecz bardziej prawdopodobne było, że wszedł w etap zwany w podręcznikach "okresem utajenia", który może trwać od kilku tygodni do trzydziestu lat. U jednego na czterech pacjentów występują objawy trzeciej fazy w postaci zniekształcających guzów i ran; organy wewnętrzne zostają wyżarte, a potem pojawia się paraliż postępowy, szaleństwo, ślepotą i śmierć. W trzeciej fazie leczenie jest najbardziej uciążliwe i ma najmniejsze szanse powodzenia.

Kirsch nie wiedział, po której stronie się znajduje. W różnych okresach wyniki badań okazywały się zarówno pozytywne, jak i negatywne.

Ostatnio jednak zaczął odczuwać szczególny niepokój. Powróciła sztywność stawów. Miewał napady gorączki, tak że nocą niekiedy budził się z koszmarów obłany potem. Na skórze w pasie i na brzuchu pojawiły się słabe czerwono-brązowe plamy wielkości odcisku kciuka.

Stał teraz w zielonkawym świetle lampy parafinowej i śledził wzorzec odbarwienia, wykręcając się w tę i w tę. Plamek było więcej niż ostatnio, zwłaszcza na bokach. Zachodziły na siebie, coraz ciemniejsze i bardziej czerwone. Niektóre lekko nabrzmiały. Tylko plecy i ramiona pozostały czyste, choć zarys mięśni i kości wydawał się przesadnie wydatny, jak na modelu anatomicznym. Tracił na wadze, tłuszcz podskórny topniał codziennie.

Alma zauważyła to tamtego wieczoru. Objęła go przy pożegnaniu na dworcu w Berlinie.

- Nie pracuj tak ciężko - rzekła, przez płaszcz przesuwając mu ręką po plecach. - Nie zamęczaj się. Przrzekasz, że się będziesz oszczędzał?

Przrzekł.

- Zaczekaj, aż się pobierzemy. Utuczę cię jak prosiaka na konkurs. Dwa razy dziennie będziesz jadł stek z kluskami.

I pocałowała go z niezwykłą niecierpliwością, tuląc się do niego, aż ostatni pociąg do Oranienburga omal nie wyjechał ze stacji, jakby

podświadomie chciała go przepuścić i zostać na noc w mieście.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Doktor Bonhoeffer stał przy oknie, spoglądając na spowite mgłą wierzby porastające teren przed głównym budynkiem szpitala. Ta część, gdzie mieli gabinety jego koledzy uprawiający medycynę konwencjonalną, wychodziła na południowy zachód, stąd gęste kępy wierzby przybrały barwę miedzianozłotą. Szpital, wyższy od kliniki, skupiał na sobie promienie wieczornego słońca, co wyglądało tak frapująco, że przechodnie aż przystawali.

Wojskowy wygląd budynku próbowano złagodzić różnymi gatunkami roślin pnących, lecz nie przydały mu one uroku, a patykowate konary, które przyrosły do cegły, pokryły ją jedynie cienką warstwą, spod której i tak przeświecały surowe mury. Co gorsza, stale utrzymująca się wilgoć od północnej strony wypaczyła futryny, tak że mimo podwójnych szyb zawsze od okien wiało.

- Chciałem dać panu ostrzeżenie z wyprzedzeniem - rzekł.

- By mógł się pan ubiegać o inną posadę. - Nachmurzył się, patrząc na swe odbicie w lustrze. Miał sześćdziesiąt cztery lata, wysokie, zryte głębokimi zmarszczkami czoło i widmowo białe, zawsze porządnie uczesane włosy. - Niestety, tylko taki termin wchodzi w rachubę. W tej sprawie mam bardzo niewiele do powiedzenia.

Nie dali mu nawet sposobności, by się wytłumaczył.

- Możemy się umówić na Boże Narodzenie? Będzie pan miał dosyć czasu, by załatwić sprawy dotychczasowych pacjentów. Naturalnie radzę nie podejmować się leczenia nowych.

Kirsch zrozumiał, że był naiwny. Dyrektor nie chciał się wdawać w oficjalne postępowanie dyscyplinarne. Było to kłopotliwe dla wszystkich. Co więcej, Martin dostałby w takim wypadku możliwość obrony własnej pozycji i

podważenia opinii przełożonych. Mógłby nawet wynająć adwokatów. O ileż łatwiej jest uzyskać rezygnację w zamian za przyzwoitą opinię i nieskazitelne akta.

- Panie dyrektorze, wiem, że otrzymał pan niekorzystne doniesienia na mój temat - rzekł. - Ale chciałbym odpowiedzieć na wytoczone wobec mnie oskarżenia.

- Oskarżenia?

- Mam chyba do tego prawo.

Bonhoeffer westchnął.

- Nie chodzi o oskarżenia, doktorze. Rzecz w tym, czy nadaje się pan na to stanowisko, a ponadto zachodzi szersza kwestia cięć w budżecie.

- A ten incydent z siostrą Ritter... eksperyment doktora Mehringa.

- Ach, to... na to możemy spuścić zasłonę.

- Jeśli złożę rezygnację.

- Jeśli poszuka pan posady gdzie indziej, składając wymówienie we właściwym czasie. Skoro pan to uczyni, nie będziemy dalej drażnić tej sprawy. - Bonhoeffer usiadł przy biurku, kładąc rozłożone dłonie na stosie papierów. - Szczerze mówiąc, dziwię się, że chce pan marnować swe talenty w zawodzie, w który pan już nie wierzy. Przeczytałem pański artykuł. Publikując go, składa pan rezygnację. Powinienem był wcześniej zdać sobie z tego sprawę, ale nie miałem pojęcia, że swe pomysły zechce pan zastosować w praktyce.

Cięcia, których w ostatniej chwili dokonał redaktor "Roczników psychiatrycznych", zaostrzyły język artykułu, który stał się bardziej bezkompromisowy, niż Kirsch zamierzał, lecz jego wymowa pozostała niezmienna - klasyfikację chorób psychicznych przeprowadzono w sposób nienaukowy. Dziewiętnastowieczni pionierzy tej dyscypliny postanowili oprzeć ją na zasadach medycyny ogólnej. Przejęli jej założenia i metody. Uznali za pewnik, że zachodzi wyraźny podział między ludźmi psychicznie chorymi i zdrowymi, że istnieje określona liczba konkretnych dolegliwości psychicznych i

że można je zaszeregować zgodnie z dokładnie rozgraniczonymi objawami. Przyjęli też, że przyczyny tych chorób okażą się biologiczne, a zatem możliwe do wyleczenia za pomocą leków bądź zabiegów chirurgicznych.

Z tego powodu przez pierwsze dziesięciolecia rozwoju nowoczesnej psychiatrii zachowanie pacjentów chorych umysłowo poddawano zmuszonej analizie, przypisywano do odpowiedniej kategorii i szufladkowano. Z takiego sposobu myślenia wzięła się dzisiejsza różnorodność psychoz: schizofrenia, schizotaksja, paranoja, lekki stan maniakalny, zaburzenie osobowości, depresja neurotyczna, depresja psychotyczna, depresja inwolucyjna - a każdy rok przynosił nowe typy i podtypy, aż można ich liczyć na dziesiątki. Jeśli zachowanie pacjenta nie pasuje gładko do istniejącej kategorii, zazwyczaj po prostu tworzy się nową: może paranoidalny podtyp depresji albo depresyjny podtyp paranoi.

Wszystko to wyglądało racjonalnie jak w zegarku, ale nie odpowiadało rzeczywistości. Zgodnie z doświadczeniem Kirscha, definicje najczęściej diagnozowanych psychoz różniły się w zależności od miejsca i czasu. Zdaniem wielkiego Emila Kraepelina schizofrenia, czyli dementia praecox, jest chorobą upośledzającą intelekt, zdolność rozumowania; wedle czołowego szwajcarskiego psychiatry, Eugena Bleulera, dotyka sfery poznawczej i emocjonalnej; Kurt Schneider zaś, wielce podziwiany współczesny uczyony, uważa, że jest to zaburzenie powodujące halucynacje i urojenia - kiedy wyobraźnia szaleje. Kirsch zauważył te różnice już jako student. Podczas lat praktyki zetknął się z równie uderzającym brakiem konsekwencji w historiach chorób swych pacjentów.

O tym traktował jego artykuł. Kirsch opisał pięćdziesięciu pacjentów szpitali berlińskich, którym diagnozę więcej niż raz stawiali różni psychiatrzy. Prześledził zapisy leczenia wszystkich z wyjątkiem siedmiu. Tak jak się spodziewał, diagnozy często były ze sobą sprzeczne, nawet jeśli stawiali je najszacowniejsi specjaliści. Doszedł do niechybnego wniosku, że gmach

nowoczesnej psychiatrii został zbudowany na piasku. Jak można zdiagnozować różne choroby, skoro lekarze nie są zgodni co do symptomów? A skoro nie można zdiagnozować poszczególnych chorób, czy da się ustalić leczenie dla każdego pacjenta? Może mechanizm działania umysłu różni się od sposobu funkcjonowania ciała, ten ostatni bowiem można zanalizować, funkcję po funkcji, organ za organem? Może odbiegającego od normy zachowania - a już to pojęcie nie poddaje się dokładnej definicji - nie należy postrzegać jako objawu czegoś innego, części szyfru, który odczytać zdoła tylko wysoko wykwalifikowany specjalista?

Biorąc pod uwagę wszystkie te zawilości, Kirsch doszedł do przekonania, że najlepszym przewodnikiem po labiryncie umysłu pacjenta jest sam pacjent. On ze swej pozycji najlepiej wytłumaczy swoje zachowanie, swoje przeżycia. Ale z doświadczeń Kirscha wynikało, że pacjent jest ostatnią osobą, do której by się zwrócono. Bo naturalnie pacjent jest obłąkany.

Bardziej konstruktywne propozycje wycięto z opublikowanego artykułu. Z jakiegoś powodu redaktor znalazł miejsce tylko na krytykę istniejącej metodologii psychiatrycznej. W owym czasie Kirsch nie protestował, gdyż była to krytyka poparta dowodami. Teraz wszakże widział, jak bardzo się naraził środowisku.

- Dyskusja ze stanowiskiem kolegi to jedno - rzekł Bonhoeffer - a systematyczne podważanie zasad jego pracy to już całkiem co innego.

- Wtrąciłem się nie dlatego, by zakwestionować zasady, panie dyrektorze. Byłem przekonany, że życiu sierżanta Stoehra zagraża niebezpieczeństwo.

- Doktor Mehring powiada, że pod tym względem był pan w błędzie. I jestem skłonny mu uwierzyć, ponieważ on zna sposób postępowania, a pan nie.

- Przeczytałem wszystkie dostępne materiały na temat insulinowego leczenia śpiączki. Mam dane z sanatorium Lichterfelde wykazujące niezbiecie, jak niebezpieczna jest to metoda.

Bonhoeffer odepchnął się od biurka.

- Dlaczego zajmuje się pan terapią, którą uważa pan za nieskuteczną?

- Bo została zastosowana wobec jednego z moich pacjentów z uszczerbkiem dla niego.

- Albo z pożytkiem. Jeszcze za wcześnie, żebym o tym wyrokować, nie uważa pan? Czy też całkowicie odrzuca pan możliwość, że się pan myli?

Kirsch miał wrażenie, że sarkazm Bonhoeffera jest wymuszony. Powściągnął nerwy.

- Nie wątpię, że dzięki terapii sierżant Stoehr stanie się bardziej uległy. Już osiągnięto ten efekt. Co nie jest równoznaczne z poprawą stanu jego zdrowia psychicznego ani zmianą na lepsze pod jakimś innym względem.

- Zapomina pan, dlaczego przywieziono do nas sierżanta Stoehra. Bez wątpienia stanowił zagrożenie dla otoczenia.

Wystarczy, że kuracja doktora Mehringa zmniejszy to zagrożenie, a już okaże się warta zastosowania.

- Może ze względu na społeczeństwo, lecz nie na pacjenta.

- Rozumiem. Więc dobro społeczeństwa nie ma dla pana znaczenia.

- Ma, ale nie ja jestem za nie odpowiedzialny. Ja odpowiadam za pacjenta.

Bonhoeffer potrząsnął głową. Kirsch wyczuwał jego rozczarowanie, że obiecująca kariera schodzi na manowce.

- Zanim zajął się pan psychiatrią, był pan chirurgiem wojskowym, czyż nie? W czasie wojny.

Obumarła tkanka na ramieniu Kirscha zaczęła pulsować. Instynktownie zakrył ranę dłonią.

- Owszem.

- Łatał pan młodych ludzi, których panu przynoszono, tak?

- Tych, którzy mieli szczęście.

- I odsyłał ich pan z powrotem na front, gdzie bez wątpienia wielu potem zginęło. Zgadza się? - Kirsch nie odpowiedział. - Czy to leżało w ich



najlepszym interesie? Czy też w interesie zmagających wojennych, ojczyzny, społeczeństwa?

- Ja ich nie wysyłałem.

Ból stawał się teraz dotkliwszy, pulsujący i palący. Kirsch czuł go w żyłach.

- Może dla nich lepiej by było, gdyby pozwolił się pan ranom nieco zaognić albo wykonał parę zapobiegawczych amputacji. Nadal by żyli.

- Ja ich nie wysyłałem.

Bonhoeffer przyglądał mu się bacznie.

- Nie. Tylko pozwolił pan ich wysyłać. Tego wymagał pański obowiązek.

Kirsch się podniósł. W jego koszmarach zawsze zarażał go ktoś, kogo odesłał. To była naturalnie zemsta. Jedna śmierć za drugą. Quid pro quo.

Z trudem zdołał utrzymać równowagę.

- Czy mogę odejść, panie dyrektorze?

- Tak to teraz jest, doktorze. Nic się nie zmieniło. Służby medyczne, czy to cywilne, czy wojskowe, przede wszystkim mają obowiązek zadbać o zdrowie społeczeństwa. Dobro zdrowych obywateli nie zawsze można podporządkować chorym. Powinien pan to zrozumieć.

Nawet w tym momencie Kirsch się zastanawiał, czy gdyby całkowicie wycofał się ze swych pozycji, uratowałby skórę.

Bonhoeffer wygłaszał swe twierdzenia jakby pod przymusem, co by świadczyło, że nie jest do nich całkowicie przekonany.

- Panie dyrektorze, nie mnie wdawać się w rozważania o dobru społeczeństwa, dobru zdrowych obywateli. Mogę zajmować się tylko tym, co widzę, jednym pacjentem naraz. A cała reszta to... - Przez chwilę szukał właściwych słów, choć pulsujące skronie nie pozwalały mu się skupić -... abstrakcja.

Znalazłszy się sam w gabinecie, Kirsch zaczął pisać pismo, w którym składał rezygnację. Czubek pióra posuwał się nierówno po papierze. Skrobał i

drapał, po czym wysechł kompletnie.

Kirsch potrząsała nim gwałtownie, ale okazało się, że zbiorniczek jest pusty.

W którymś z pokoiów wypoczynkowych grał gramofon.

Dźwięk smyczków roznosił się po dziedzińcu, jakby dobiegał z dna morza. Kirsch nasłuchiwał, usiłując wychwycić melodię.

Choć zamknął oczy, Bonhoeffer tkwił przed nim nadal, wpatrując się weń znad okularów. ”Tylko pozwolił pan ich wysłać”.

Co powie Almie? Jak jej to wytłumaczy? Niełatwo mu będzie znaleźć nową posadę. Zakrył twarz dłońmi. Może nie powinien rezygnować, tylko walczyć, aż go wyrzucą z hukiem, i pociągnąć za sobą Heinricha Mehringa? Oddałby tym społeczeństwu przysługę.

Wyjrzał na dziedziniec, przez zasłonę splątanych gałęzek ku oknom po przeciwległej stronie. Kątem oka zauważył, że coś się porusza. Pobiegnął wzrokiem dalej. Przed kuchniami, częściowo zakryty schodami pożarowymi, stał mężczyzna w brązowym filcowym kapeluszu. Nie należał do personelu, lecz jego wygląd - workowaty źle dopasowany garnitur, sposób, w jaki włożył ręce głęboko do kieszeni marynarki - coś Kirschowi przywodził na myśl. Potem sobie przypomniał: ten człowiek był wśród reporterów wystających przed Charitę. Krępy mężczyzna o piaskowych włosach i rumieńcu popękanych żyłek na policzkach. Rozmawiał z kimś za progiem. Nieznajomy skinął głową, po czym obrócił się i odszedł. I wtedy Kirsch dojrzał, że zamyka za nim drzwi Robert Eisner.

Najwyraźniej dziewczyna od Einsteina nadal stanowiła łakomy kąsek dla reporterów. Da się z niej wycisnąć jeszcze parę centymetrów na kolumnie, może nawet zamieszczą jej fotografię. W duchu usłyszał trzask flesza, na jego jaskrawym tle ujrzał ciemne źrenice, blade policzki, posiniaczone piękne usta. Zamknął oczy, czując dotyk warg dziewczyny i słodki zapach jej skóry.

Chciał, by została jego pacjentką, co teraz nie wchodziło w grę.

Bonhoeffer pewnie by się nie zgodził, nawet przed incydem z siostrą Ritter. Jego zdaniem amnezja jest schorzeniem neurologicznym, nie psychicznym.

Co Max by na to powiedział? Co by Max zrobił? Kirsch oparł czoło o szybę. Maksa zafascynowałoby powiązanie z Einsteinem, prawdziwe czy urojone. A i dziewczyna była w jego typie - drobna, ciemna, skromna, lecz bezpośrednia w języku i sposobie bycia, odrzucająca konwencjonalne nużące pretensje. Maksowi to by się spodobało, i to bardzo.

Muzyka z gramofonu rozbrzmiała głośnie, po czym raptownie ucichła. Kirsch poczuł, że z pewnością nie jest już sam. Wyczuł nacisk na deski podłogowe pod stopami, usłyszał równy oddech, na pewno nie swój.

- Co mogę zrobić? - zapytał głośno.

Ale Max już mu powiedział.

W dolnej szufladzie biurka znalazł butelkę atramentu i napełnił wieczne pióro. Wziął do ręki przygotowany formularz, w którym wyrażono zgodę na przyjęcie dziewczyny do kliniki i zwalniano jej obecnych opiekunów z wszelkich zobowiązań finansowych. Na dole Kirsch starannie podrobił podpis Bonhoeffera, wzorując się na jego notatce służbowej do personelu przypiętej na ścianie w korytarzu.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Następnego dnia, dwa tygodnie po znalezieniu nadal anonimowej pacjentki, doktor Brenner przekazał ją klinice psychiatrycznej Charité. Zgodnie z poleceniem Kirscha umieszczono ją w pojedynczym pokoju na drugim piętrze na oddziale kobiecym. Była to wąska klitka, gdzie starczało miejsca tylko na umywalkę, dwa żelazne łóżka i małą szafkę na ubranie. Okno wychodzące na podwórze osłaniały kraty. Poprzednia lokatorka, frau Wassermann, którą przeniesiono do prywatnego zakładu dla obłąkanych pod miastem, odczuwała irracjonalny strach przed zarazkami. Podczas pobytu w klinice kradła ze

sklepów środki czyszczące; kilkakrotnie zastano ją też na szorowaniu podłogi czy zlewaniu ścian pokoju karbolem i środkiem dezynfekcyjnym. Mimo intensywnego wietrzenia w powietrzu nadal unosił się ich zapach. W klinice były też inne pojedyncze pokoje, lecz obecnie wszystkie zajmowali pacjenci. Kirsch polecił umyć podłogę. Kupił woreczki z lawendą i zawiesił je nad drzwiami oraz nad żelaznymi łózkami, by powietrze bardziej nadawało się do oddychania. Potem, po namyśle, zatrzymał się też przy straganie na Grenadierstrasse i kupił potpourri różanych pączków, które umieścił na parapecie umywalki między kurkami.

Wpis pacjentki nastroczał trudności, gdyż jej tożsamość była nieznana. Kirsch zarejestrował ją w aktach jako „Pacjentkę E”, od Elżbiety, jak mu się przedstawiła w Tanguero. Niestety, ponieważ nie mógł wytłumaczyć swego rozumowania, reszta personelu uznała, że E oznacza Einsteina, parę gazet bowiem nadal określało ją jako „dziewczynę od Einsteina”. To miano podkreślało jeszcze jej rozgłos, czego Kirsch chciał za wszelką cenę uniknąć, ale póki nie wyłoni się coś właściwszego, nie mógł nic poradzić.

- Jak mamy się do pani zwracać? - zapytał tego pierwszego popołudnia.

Choć w gabinecie zabiegowym znajdowały się fotele, usiadła na zwykłym krześle stojącym przy małym stoliku. Kirsch zajął drugie.

- Proszę powiedzieć, co tylko przyjdzie pani do głowy - rzekł. - Musimy jakoś panią nazywać.

Spojrzała na swoje ręce. Pielęgniarki przebrały ją w szarą wełnianą sukienkę, co najmniej o numer za dużą. Jej szczupła postać ginęła w grubych fałdach. Była bledsza niż przedtem’

- koralowe wargi, bezkrwiste policzki lśniące niczym atlasowa suknia ślubna. Jedno oko nadal miała podpuchnięte, a na szyi fioletowawe ślady zadrapania.

Milczała.

- Zazwyczaj nie możemy wybierać sobie imion. Robią to za nas inni. Czy

podoba się pani jakieś imię?

Po raz pierwszy tego dnia spojrzała mu prosto w twarz.

- Maria - rzekła. Żrenice miała ciemne jak gagat. - Może być?

Maria. Matka Przenajświętsza. Święta Dziewica.

- Naturalnie.

Przed oczyma stanął mu obraz doktora Brennera gmerającego między jej rozchyłonymi udami. Jego ruchliwe paluchy.

„Nie dostrzegłem śladów aktywności seksualnej w ostatnim czasie”.

Odchrząknął, czując w ustach smak środka dezynfekcyjnego.

Wyjął notatnik i na górze czystej kartki napisał: Maria. W tym momencie jego uczucia nie były ważne. Ważne było dokładne ustalenie, co pacjentka robiła i jakich wydarzeń nie pamiętała.

Zgodnie z literaturą, wzorzec utraty pamięci wyraźnie wskazuje też na jej przyczynę - wstrząśnienie mózgu, zatrucie alkoholem, guz, demencję, uraz psychiczny lub (co jest kwestią sporną) hipnozę.

- Wiem, że policja już panią przesłuchiwała, ale chodzi o to, żeby nic nam nie umknęło.

- Teraz jestem pana? - Dziewczyna spuściła wzrok, machając nogą. Pod stołem dojrzał jej szczupłe białe kostki, częściowo skryte w czarnych wełnianych skarpetach. - Pan się zajmuje moim przypadkiem?

- Tak.

- Zmienił pan zdanie.

- Widzę, że pamięta pani naszą rozmowę. To dobrze.

- Dlaczego?

- Amnezja następową wskazuje na uszkodzenie mózgu.

Zazwyczaj nie jest uleczalna.

- Nie? A dlaczego?

- Dlaczego nie jest uleczalna?

- Dlaczego zmienił pan zdanie?

Kirsch odłożył ołówek.

- Wolałaby pani kogoś innego? Mogę się o to postarać.

Dziewczyna się nachmurzyła.

- Ktoś z... zrobił mi zdjęcie. W tym drugim szpitalu, w łóżku.

Podniosłam wzrok, a on tam s... stał. Flesz mnie oślepił. To świństwo, nie uważa pan? Na zrobienie z... zdjęcia trzeba mieć pozwolenie, tak?

- Trzeba. Niestety, gazety zazwyczaj nie zwracają sobie tym głowy.

- Gazety?

- Reporterów zaciekawiła pani historia. Uważają, że może okazać się pani księżniczką albo szpiegiem. Najlepiej nie zwracać na nich uwagi.

- A pan za kogo mnie uważa?

Kirsch uśmiechnął się i otworzył teczkę.

- Biorę pod uwagę wszelkie możliwości - rzekł i natychmiast zaczął się zastanawiać, czy tak jest rzeczywiście. - A teraz chciałbym, żeby pani coś obejrzała.

Wyjął stosik pocztówek i położył go na stoliku przed dziewczyną. Pałace Hohenzollerów, monumentalne, pokryte sadzą, ukazano w barwach sepii. Wyjątkiem był pałac w Sanssouci pomalowany cienką warstwą żółci, zieleni i nieprawdopodobnie jaskrawego błękitu. Żeby znaleźć te widokówki, musiał się nachodzić po miejskich targach i zejść specjalnie do księgarni geograficznej Schroppa.

- Znalaziono panią w pobliżu tych miejsc - rzekł.

Pierwsza pocztówka pokazywała kościół, którego dziwna walcowata wieża wznosiła się wysoko w powietrze niczym bogato zdobiony komin fabryczny. Druga przedstawiała solidną barokową rezydencję o kamiennych schodach od frontu, po bokach gęsto porośniętą bluszczem. Na trzeciej widać było na jeziorze barkę, koło której przepływała łódź wiosłowa.

- Najbliższa wioska nazywa się Caputh. Jeździ się tam popływać na łódkach. Może pani też po to tam przyjechała.

Przesunął kartki po stole.

Na trzeciej widniała nazwa miasteczka. Wypisano ją na tabliczce nad mołem, gdzie latem cumowały parowce pasażerskie.

Maria wzięła ją do ręki, marszcząc brwi.

- Caputh. Dziwna nazwa. Jak kaput. - Ale się nie uśmiechnęła.

- Pamięta je pani? Może kościół?

Podniósł pierwszą pocztówkę. Wieża była bardzo oryginalna, dziewczyna musiałaby ją zapamiętać, lecz interesowała ją tylko nadbrzeżna barka.

- Miałam bilet.

- Bilet na łódkę?

- Nie wiem... Trzymałam bilet.

Barka niczym szczególnym się nie wyróżniała. Mogła cumować wszędzie. Kirsch wypytywał Marię dalej, niczego więcej jednak nie pamiętała. To samo się powtórzyło, gdy poprosił, by opowiedziała mu o znajomych miejscach w Berlinie, o swym dzieciństwie, miejscu urodzenia, szkole i odebranym wykształceniu, o rodzinie, sympatiach. Czasami otwierała usta, jakby już, już coś sobie przypominała, jakby za chwilę miał nastąpić przełom. Potem jej twarz przesłaniał cień i myśli, które właśnie zaczęły nabierać kształtu, pierzchały bez śladu.

Rzadziej się jąkała. Na tym polegała jedyna wyraźna poprawa. Z drugiej strony mniej przebywała tu i teraz, jeszcze chętniej milcząco zapadała w głąb siebie. Ta zmiana niepokoiła Kirscha.

- Starczy na dzisiaj - rzekł w końcu. - Jutro znowu porozmawiamy. Tymczasem mam dla pani zadanie. - Znowu sięgnął do teczki i wyjął z niej szkicownik oraz kilka ołówków. - Chciałbym, żeby pani coś mi narysowała, cokolwiek przyjdzie pani do głowy. Im więcej rysunków, tym lepiej. Przyniosę pani tyle papieru, ile tylko będzie trzeba. Zrobi to pani dla mnie?

Skinęła głową, patrząc w milczeniu, jak Kirsch się podnosi.

Zebrał pocztówki z Poczdamu, potem zmienił zdanie i położył je z

powrotem na stole. W tej samej chwili dziewczyna sięgnęła po szkicownik. Na mgnienie oka jego palce musnęły wierzch jej dłoni, którą szybko cofnęła.

Odchodząc korytarzem, nadal czuł dotyk jej skóry, jakby przeskoczyła między nimi iskra.

Pracował do wieczora, krążąc między swym gabinetem i księgozbiorem podręcznym z tyloma tomami, ile tylko zdołał unieść.

Jedna historia choroby zainteresowała go szczególnie. Pacjenta, nazwanego Hansem J., zatrzymano, gdy wałęsał się bez celu po targu w Norymberdze. Początkowo wzięto go za włóczęgę, lecz później się okazało, że nie wie, kim jest ani skąd się tu wziął.

Zabrano go do miejscowego szpitala, by stwierdzić, czy nie ma jakichś obrażeń. Po długim przesłuchaniu przez policję i personel medyczny oznajmił, że nazywa się Peter Kleist i że sam jest wywiadowcą policyjnym. Przybył tu z Berlina w pogoni za przestępcą, niejakim Schwarzem. A choć jego opowieść była wyraźnie niespójna - w policji berlińskiej nie służył żaden Kleist - zatrzymany z coraz większym przekonaniem twierdził, że mówi prawdę. Pielęgniarkom i innym pacjentom drobiazgowo opowiadał o sprawach, które rozwiązał.

Tydzień później odkryto jego prawdziwą tożsamość. Okazało się, że Hans J. jest kawalerem i ma posadę urzędnika bankowego w małym miasteczku w Szwabii, odległym o jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Pewnego popołudnia jak zwykle wyszedł z banku na obiad, po czym zniknął. Przez pewien czas żywiono obawy, że utopił się w pobliskiej rzece - podobno widziano go na moście - miejscowa policja nawet szukała go w jej nurtach.

A choć Hans J. wrócił do poprzedniego życia, nadal cierpiał na okresową utratę pamięci, aż w końcu zwolniono go z banku.

Nadspodziewanie szybko zapomniał też o wypadku do Norymbergi, a gdy rok po owym wydarzeniu badał go psychiatra, w ogóle tego epizodu nie pamiętał.



Pewne opracowanie wskazywało, że takie przypadki dokumentowano już wcześniej - dwa we Francji, jeden w Szwajcarii, kilka w Anglii. Autor określał tę przypadłość mianem "fugi psychogennej" stanowiącej rzadki typ amnezji. Cierpiący na nią nagle wyruszają w niespodziewaną podróż, często trwającą całe dni. Dodatkowo tracą wszelkie pojęcie o swej tożsamości i czasami przyjmują nową, fikcyjną. W każdym przypadku badania okoliczności ujawniły epizod urazu psychicznego, do którego doszło tuż przed wystąpieniem amnezji. Hans J. na przykład owego ranka otrzymał list od długoletniej przyjaciółki, która odrzuciła jego oświadczenia. Później został oskarżony, choć nie skazany, za sprzeniewierzenie pieniędzy pracodawców przez kilka miesięcy przed zniknięciem. A choć te przypadki były nieliczne, dowody wskazywały, że ucieczka była nie tylko sposobem na uniknięcie bolesnych czy kłopotliwych zdarzeń, lecz reakcją obronną, która miała chronić ową osobę przed samobójczymi czy też morderczymi impulsami. W kilku przypadkach do samobójstwa, prawdziwego bądź udawanego, doszło po powrocie do normalnego wzorca życiowego. W jednym, wyraźnie kontrowersyjnym przypadku (kontrowersyjnym o tyle, że władze nie uwierzyły w amnezję oskarżonego) zdradzony mąż podjął próbę morderstwa.

Do historii choroby Hansa J. dołączono dłuższe uzupełnienie, które Kirsch właśnie czytał, gdy zadzwonił telefon. Odezwał się inspektor Hagen. Pytał, czy nastąpiła poprawa stanu pacjentki.

- Zasadniczo nie.

- Zasadniczo?

- Nadal nie pamięta nic albo prawie nic. Przypomina sobie, że miała bilet na statek albo na pociąg.

- Koło Poczdamu?

- Chyba tak.

- W takim razie na pociąg. O tej porze roku parowce nie kursują. Gdzie kupiła bilet?

- Nie pamięta.

Inspektor zamilkł, słysząc było szmer stłumionych głosów.

Kirschowi przyszło do głowy, że rozmowie mogą się przysłuchiwać inni.

- Czy pańskim zdaniem, doktorze, jest umyślowo chora?

- Może to termin prawniczy, inspektorze. Ale nie medyczny.

Hagen westchnął.

- Pan wie, o co mi chodzi. Czy jest normalna? Czy przyczyną całego tego incydentu może być niezrównoważony umysł?

Kirsch przypomniał sobie, co Brenner powiedział o policji i wybranej przez nią teorii: że jego pacjentka przez cały czas była chora na umyśle. Nikt jej nie porwał ani nie zaatakował, toteż policja nic więcej nie może zrobić, a odwiedzający nie mają się czego obawiać. Kirsch byłby całkiem zadowolony z takiego obrotu rzeczy, gdyby to oznaczało, że zostawią go w spokoju.

- Jakiś uraz psychiczny może wchodzić w grę. Uważam, że to bardzo prawdopodobne.

- Uraz? - Hagen był rozczarowany. Chciał usłyszeć, jasno i wyraźnie, że dziewczyna jest umyślowo chora, z tym że to niebezpieczna droga kończąca się zamknięciem w zakładzie dla obłąkanych. - A kto mógł spowodować ten uraz? Jeżeli w ogóle jest taka osoba?

- Jeśli będę coś wiedział, na pewno dam panu znać.

Hagen jeszcze nie skończył.

- Może to samobójstwo? Brał pan taką ewentualność pod uwagę? Może rzuciła się z mostu?

- A dlaczego miałyby to zrobić?

- Ma dziecko, a nie nosi obrączki. To może być wystarczający powód.

- Urodziła przynajmniej rok temu, inspektorze. A najprawdopodobniej jeszcze wcześniej.

- Poczucie winy potrafi dopaść człowieka zniecka.

- Nie wiemy nawet, czy dziecko żyje.

Kirsch poczuł w ramieniu silne ukłucie bólu. Cała lewa strona jego ciała stała się zimna i ciężka, jakby obracała się w kamień.

\_ To chyba dobrze, że z takim oddaniem broni pan swojej pacjentki, doktorze - rzekł Hagen. - Przestrzegam tylko przed wyciąganiem pochopnych wniosków. Może ta dziewczyna rzeczywiście padła ofiarą napaści, ale z tak dziwnym przestępstwem jeszcze nie miałem do czynienia.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gdy Kirsch wrócił do domu tego wieczoru, frau Schirmann właśnie ryglowała frontowe drzwi. Drzwi do jej mieszkania były otwarte, a smród kotów i rybiego kleju bił od nich do holu.

- Bałam się o pana, doktorze. Już miałam dzwonić na policję.

Wyjrzała na mroczną ulicę; opierając rękę o ościeżnicę, odsłoniła ciężką srebrną bransoletę na chudym przegubie. Kirsch nie wiedział, ile gospodyni może liczyć sobie lat - pewnie z siedemdziesiąt pięć. Miała kiedyś męża, który zmarł przed laty.

- Często pracuję do późna. Nie powinna się pani niepokoić.

Pomógł jej zamknąć drzwi.

- Herr Bronsteina zabrali do szpitala. Jacyś ludzie włamali się do jego sklepu.

Kirsch nie znał żadnego Bronsteina, lecz nie było w tym nic dziwnego. Frau Schirmann często raczyła go opowieściami o ludziach, zapewne miejscowych, z którymi przestawała, nie bacząc, że Kirsch nigdy przedtem o nich nie słyszał. Wieści, prawie zawsze niepomyślne, dotyczyły głównie śmierci i chorób. Kiedyś syn frau Hammerstein wygrał na loterii ładną sumkę, ale i ta wiadomość okazała się złą, gdyż odsłaniała jego tragiczny pociąg do hazardu.

Przykro mi - powiedział, wchodząc na schody prowadzące do jego pokoju na pierwszym piętrze. - Miejmy nadzieję, że prędko wróci do zdrowia.

- Podobno nigdy nie wróci do zdrowia - rzekła frau Schirmann. - A jego żona nie da sobie rady z prowadzeniem sklepu.

Nie ma pojęcia o muzyce.

Kirsch przystanął.

- O muzyce?

- Osiem złamanych żeber i twarz spuchnięta jak balon. Przebili mu płuco.

- Handlował artykułami muzycznymi?

Frau Schirman uniosła ku niemu mętne źrenice.

- Mały sklepik na górze Grenadierstrasse. Ma wystawę wyłożoną czerwonym aksamitem.

Wiedział, gdzie to jest. To tam kupił płytę gramofonową owego wieczoru, gdy po raz pierwszy ujrzał Marię. Usiłował sobie przypomnieć człowieka, który go obsługiwał, lecz w pamięci pozostały mu tylko prostokątne okulary.

- A tak, rzeczywiście. Proszę pozdrowić ode mnie herr Bronsteina.

Kirsch dalej szedł po schodach, frau Schirmann jednak ciągle tkwiła w miejscu.

- Doktorze, wcześniej ktoś chciał się z panem widzieć.

Spotkał go pan?

- Kto chciał się ze mną widzieć?

- Jakiś Bucher. Powiedział, że zaczeka na pana w samochodzie.

Kirsch nie zauważył przed domem żadnego samochodu.

Nazwisko Bucher też nic mu nie mówiło.

- Czego chciał?

- Miał coś dla pana, ale nie chciał zostawić. Potężne chłopisko. Nie chciałam go wpuścić. Źle zrobiłam?

Zaświtało mu, że kiedyś miał w klinice pacjenta, paranoidalnego schizofrenika, który bywał agresywny. I nazywał się Bucher. A może Buchner?

- Nie, frau Schirmann - uspokoił ją. - Trzeba uważać.

Kirsch miał wąskie biureczko ze składanym blatem, które kupił w sklepie

z używanymi meblami na Kurfiirstendamm. To jedyny sprzęt, który mógł zamykać na klucz z wyjątkiem szafy, a był pewien, że pani Schirmann ma do niej klucz. W biurku trzymał listy od Almy, stary album z wycinkami, pamiątki i stare fotografie, których nie chciał oglądać, ale żał mu było je wyrzucać. Tu chował też salwarsan, igły oraz książkę, którą dostał od Maksa owego ostatniego ranka w Meklemburgii: „O szczególnej i ogólnej teorii względności: (wykład przystępny)”.

Wziął do ręki książkę - biblię Maksa - i uważnie przewracał kartki. Do lektury przystąpił po wyjeździe Maksa na front, niebawem jednak ją odłożył. Może i jest przystępna, lecz nie mógł poświęcić jej należytej uwagi. Ponadto nie chciał tracić czasu na dzieło pacyfisty, którego lojalność wobec ojczyzny trudno było dostrzec, a poświęcenie swych rodaków lekceważył.

Jeden zwłaszcza incydent wrogo nastawił Kirscha przeciw niemu. Dwa miesiące po wybuch wojny dziewięćdziesięciu trzech najwybitniejszych niemieckich uczonych i badaczy podpisało się pod listem otwartym zatytułowanym „Apel do kulturalnego świata”. Opublikowano go we wszystkich czołowych dziennikach i przetłumaczono na dziesięć obcych języków. Celem listu była obrona sprawy Niemiec za granicą, usprawiedliwiał też naruszenie neutralności Belgii. Wyjaśniano w nim, że jest to wojna obronna, którą na Niemcach wymusiły wrogie obce siły. List podpisała większość kolegów Einsteina, również jego mistrz, Max Planck.

Praca Plancka na temat energii kwantowej miała zasadnicze znaczenie dla dzieła Einsteina. To Planck ściągnął Einsteina z powrotem do Niemiec ze Szwajcarii, gdzie był zupełnie nieznany, to Planck opowiadał się za szczególną teorią względności i pomógł zyskać dla niej uznanie w świecie naukowym. Niemniej Einstein nadal nie chciał złożyć swego podpisu. Jego nazwisko znajdowało się pod lewicowymi apelami o stworzenie zjednoczonej Europy i traktatami, które winą za wybuch wojny obarczały dziwaczne męskie ego. Zdaniem Einsteina dla wojny nie ma żadnego usprawiedliwienia, jest

pozbawiona wszelkich aspektów moralnych. To tylko szaleństwo, od początku do końca zbiorowy obłąd, w którym zarówno wolna wola, jak i własny interes ulegają zaćmieniu. Tymczasem wojna się ciągnęła i z czasem poniechano wszelkich prób przeorania świadomości, jakby sam Einstein przestał dostrzegać sens takich działań. Niemcy - a właściwie cała Europa - to jeden wielki dom wariatów. A nawet nauka nie zna sposobów uleczenia szaleństwa.

Ale Einstein nie wyjechał. Nie powrócił do Szwajcarii, nie przyjął posady w neutralnej Holandii, gdzie życie było lżejsze.

Najwyraźniej dom wariatów miał swoje uroki. W tym czasie ukończył ogólną teorię względności, jak dotąd swe najważniejsze dzieło.

Skłócony z otoczeniem, skazany był na dyskusje wyłącznie naukowe, lecz te ograniczenia nie zamąciły jego wizji ani nie stępiły inteligencji - już prędzej je wyostrzyły.

Na polach bitew zamarły ostatnie walki. Kirsch czuł się oszołomiony, zagubiony. Nikt nie potrafił wytłumaczyć nagłego paraliżu na froncie zachodnim, podobnie jak nikt nie umiał wyjaśnić, dlaczego wojna wybuchła. Z pewnością nie podjęli się tego generałowie. Słowo "klęska" nigdy nie przeszło im przez usta. Mówiono wyłącznie o zdradzie - wojska, klas pracujących, a nade wszystko o dwóch milionach zabitych. Wojna nie może się skończyć, gdyż jeszcze jej nie wygrano. A do zwycięstwa zmierzać będą zawsze.

Ludzie domagali się wyjaśnień. Kirsch domagał się wyjaśnień.

Przede wszystkim chciał wiedzieć, na co to było. Każdy skutek ma przyczynę - tak mówił mu rozum - ale jaka była przyczyna tej wojny? Zawsze uważał, że europejska cywilizacja przewodzi światu w przemyśle, sztuce i nauce. I do czego przywiodła świat?

Tu właśnie na scenę wkracza Albert Einstein, człowiek, który miał rację, podczas gdy reszta ludzkości się myliła. Prorok, którego przepowiednie się spełniły.

Dla Kirscha wszystko zaczęło się od wydania *Berliner Illustrierte*

Zeitung” z 14 grudnia 1919 roku. Nadal przechowywał je w albumie z wycinkami. Całą jego stronę tytułową wypełniało zdjęcie Alberta Einsteina. Wzrok miał spuszczone, ręką w zamyśleniu podpierał brodę. Poniżej biegł podpis:”Nowy gigant w dziejach świata: Albert Einstein, którego badania, całkowicie zmieniające naszą wizję natury, równają się odkryciom Kopernika, Keplera i Newtona”.

Teorie Einsteina dotyczące światła wreszcie zostały potwierdzone obserwacyjnie. Brytyjscy astronomowie odnotowali odchylenie światła gwiazd przez przyciąganie grawitacyjne Słońca dokładnie w stopniu, który przewidział Einstein. Doniosła o tym każda gazeta w Berlinie. Okazało się wszakże, iż prasa niemiecka nie była pierwsza. Gazety w Ameryce i Wielkiej Brytanii rozpisywały się o tym już od wielu dni. I nie miało znaczenia, że fizyk jest Niemcem ani że jego odkrycia nie mają żadnych zastosowań praktycznych - prasa amerykańska uprzedzała, że teorię Einsteina rozumie zaledwie dwunastu ludzi na ziemi. Ważne było to, że wywróciła do góry nogami dotychczasowe widzenie świata. Dawne pewniki mechanicznego wszechświata, szczytowe osiągnięcie myśli europejskiej, okazały się fikcją. Zastąpił je wszechświat, którego naturę umysł ludzki może uznać, tak jak uznaje dowód matematyczny, lecz nie jest w stanie w pełni go pojąć, a tym bardziej odczuć, podobnie jak nieskończoności czy celowości Bożego działania. Stało się to udziałem jedynie samego Einsteina oraz dwunastu anonimowych Oświeconych, o których pisał”New York Times”.

Kirsch był wśród ciżby tłoczącej się, by zobaczyć genialnego uczonego. Przeciskał się wśród tłumów, które przyciągały jego wykłady na uniwersytecie berlińskim. Chętni przybywali tysiącami. O Einsteinie głośno było wszędzie. W barach i w ogonkach do sklepów ludzie, którzy nigdy nie zastanawiali się nad naturą światła czy siły ciężenia, dyskutowali o znaczeniu jego prac. W mroku zadymionej sali kinowej Kirsch oglądał kroniki - każdemu pojawieniu się Einsteina towarzyszyło mrowie ciekawskich. W kolejce do niego ustawiali się

mężowie stanu, koronowane głowy, gwiazdy filmowe. Kirsch bacznie śledził jego triumfalne wizyty w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku, potem wyjazdy do Skandynawii, Ameryki Południowej i Japonii - Einstein na setnym z kolei podium, Einstein schodzący z trapów statków oceanicznych albo sunący kabrioletem, Einstein kreślący wykresy na tablicach, uśmiechający się bądź ściskający dłonie. Zawsze zwrócone miał ku sobie morze twarzy, coś na kształt plażowiczów pływających się w jaskrawym blasku południowego słońca. Wrogowie Einsteina, nacjonaści i antysemita, zaczęli go nazywać "żydowskim świętym". Pod koniec roku był najsłynniejszym człowiekiem na świecie.

Kirsch nie radował się ze sławy Einsteina. Dla niego było to zawłaszczenie praw należnych bratu. Max był pierwszy, na długo przed tymi milionami. Instyktownie wyczuł prawdziwość Einsteinowskiej wizji, wchłonął ją i zrozumiał, jeszcze zanim dotarła do gazet. Przewidział przyszłość. Ostatnie dni i tygodnie życia spędził we wszechświecie Alberta Einsteina.

Wtedy właśnie Kirsch wreszcie na nowo się zabrał do lektury książki. Wiedział już na pewno, że Max nie wróci. Teraz tylko Einstein może być przewodnikiem Kirscha po swym dziwnym nowym wszechświecie. Jeśli młody lekarz chce poznać jego tajemnice, zobaczyć to, co ujrzał Max, będzie musiał podróżować sam.

Einstein powiedział, że gdy był dzieckiem, przestrzeń i czas tworzyły powszechnie uznany system odniesienia, niewidzialne pudełko, w którym obracały się galaktyki i krążyły planety. Kilometr zawsze był kilometrem niezależnie od tego, gdzie dokonywano pomiarów, a czas upływał w tym samym tempie w całym wszechświecie. Każdy przedmiot, każdą pozycję i trajektorię można było mierzyć wedle tej bezwzględnej skali. Ruch czy to przedmiotów czy obserwatorów niczego nie zmieniał. Wizja ta oparta była na codziennych doświadczeniach ludzi, których życiem z regularnością zegarka rządziło następstwo dnia i nocy, przyływów i odpływów oraz ustalona geografia planety Ziemi. Tym wszechświatem rządziły Newtonowskie prawa



ruchu i ciężenia, mechanizm niebieski, zrównoważony, dokładny i przewidywalny. Nic nie działo się w nim bez powodu, każdy skutek miał przyczynę. W tym wszechświecie by poznać przyszłość, wystarczyło znać przeszłość.

Lecz kiedy Einstein był studentem, na świętym pojęciu bezwzględnej skali zaczęły się pojawiać rysy. Obserwacje pola magnetycznego, nauka o falach świetlnych i elektrycznych były trudne do wytłumaczenia. Najpierw w Berlinie, a potem w Ameryce fizycy przeprowadzali eksperymenty mające zmierzyć wpływ ruchu Ziemi na prędkość światła. Wiedzieli, że Ziemia obiega Słońce z prędkością trzydziestu kilometrów na sekundę, obracając się jednocześnie wokół swej osi. Korzystając z triangulacji, porównali prędkość światła płynącego z Ziemi w kierunku jej orbity z promieniami światła zmierzającymi w przeciwnym kierunku. Przypuszczali, że prędkość planety zwiększy o tę wartość prędkość światła w jednym kierunku i zmniejszy w przeciwnym.

W mechanicznym wszechświecie, gdzie czas i miejsce miały stałe wartości, prędkości musiały się sumować. Prędkość człowieka maszerującego w jadącym pociągu była w odniesieniu do świata zewnętrznego po prostu sumą prędkości jego marszu oraz toczącego się pojazdu. Doświadczenia wszakże przyniosły inne wyniki - niezależnie od prędkości źródła światła i kierunku jego ruchu samo światło dociera do obserwatora zawsze z tą samą prędkością. Światło - a w istocie całe spektrum promieniowania elektromagnetycznego, od fal radiowych do promieni Roentgena - nie zachowuje się zgodnie z Newtonowskimi prawami odnoszącymi się do ruchu. Jego prędkości nie dodają się ani nie odejmują.

Albert Einstein, pracujący samotnie w Szwajcarii, odważył się zadać pytanie, czy problem nie polega na samym bezwzględnym układzie odniesienia. Przecież w sumie jest to, tak samo jak eter, abstrakcyjny konstrukt umysłu ludzkiego nie istniejący w konkretnej rzeczywistości. Wszechświata nie otacza żadne niewidzialne pudło, w jego środku nie tyka zegar. Te pojęcia należą do

metafizyki. Lecz światło to co innego. Daje się zmierzyć i podlega obserwacji. A jego prędkość w próżni jest zawsze taka sama. Jak wyglądałby model wszechświata zbudowany na prawach odnoszących się do światła?

Odległość, jaką przebywa poruszający się przedmiot, oblicza się, mnożąc prędkość przez czas. Pociąg jadący z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę w ciągu pół godziny przebędzie trzydzieści kilometrów. Ale światło nie zważa na odległość czy czas. Jego prędkość pozostaje taka sama, nawet gdy promieniujący je przedmiot pędzi przez przestrzeń z ogromną prędkością. Na co więc oddziałuje ten dodatkowy ruch, ruch promieniującego ciała? Skoro nie na prędkość światła, to wyłącznymi pozostającymi składnikami równania są z jednej strony przestrzeń, z drugiej czas. To one muszą się zmienić, one są miejscowe, elastyczne, względne. Einstein zdawał sobie sprawę, że ruch nie odbywa się niezależnie od czasu i przestrzeni, na co by wskazywał zdrowy rozsądek. Ruch zmienia czas i przestrzeń.

Wyliczenia Einsteina zachwiały fundamentalnymi zasadami obserwacji naukowych, które uznawano nie zmiennie od czasów Galileusza. To właśnie urzekło Maksa. Przez setki lat astronomowie usilnie starali się poprawić dokładność swych przyrządów pomiarowych, teleskopów, astrolabiów i sekstantów, by się dowiedzieć, że odległości między dwoma punktami nie da się zmierzyć w sposób obiektywny. Odległość nie jest po prostu relacją między dwoma punktami. Obejmuje też obserwatora, którego związek z tymi punktami ma bezpośredni wpływ na wynik pomiaru. Przedziały czasu również nie mają absolutnej wartości, gdyż przepływ czasu bezpośrednio zależy od relacji między przedmiotem i obserwatorem. To co człowiek uważał za wszechświat, było w istocie jedynie subiektywnym postrzeganiem wszechświata dokonywanym ze szczególnego układu odniesienia.

Max opowiadał o tym objawieniu wieczorami podczas kolacji.

Jednym tchem wygłaszał monologi, choć tylko ojciec udawał, że je rozumie. Reszta rodziny uważała te perory za wytwór wybujałej wyobraźni,

zarwanych nocy bądź początków choroby gorączkowej. W tym dziwnym nowym wszechświecie zegary w ruchu chodziły wolniej niż zegary w spoczynku. Czas na równiku płynął wolniej niż na biegunach. Różni obserwatorzy stwierdzali, że ciąg dwóch zdarzeń jest odmienny, inni uznawali, że przebiegają one równocześnie. Ich sposób postrzegania był niejednakowy, ale wszyscy mieli rację. Jeśli wymiary czasoprzestrzeni są względne, właściwych odpowiedzi może być tyle, ilu jest obserwatorów.

Szczególne teoria względności została opublikowana, gdy Kirsch był jeszcze chłopcem. Wówczas nie krzyczały o tym nagłówki, tłumy gapiów nie cisnęły się, by ujrzeć wizjonera, który ją stworzył. Sceptycyzm, który wyrażała rodzina Kirscha, był zjawiskiem powszechnym. Nawet wielu fizyków zakładało, że Einstein zajmuje się tylko teoretycznymi problemami obserwacji astronomicznych, nie zaś istotą samej rzeczywistości. Dopiero kiedy rozszerzył pojęcie względności na prawa siły ciężenia, najważniejszej siły we wszechświecie, zaświtało im, że tworzy całkowicie nowy model Stworzenia, którego fundamentalną zasadą jest prędkość światła. Ruch bowiem wpływa na czas i przestrzeń, z obserwacji zaś wynika, że siła ciężenia wpływa na ruch. Wystarczy upuścić jabłko, by to dostrzec.

Przez jedenaście lat Einstein pracował, by wyprowadzić równania, zonglując prawami ruchu Newtona i nową geometrią zmiennej przestrzeni. Prace nad ogólną teorią względności ukończył w 1916 roku, gdy na froncie zachodnim trwały ogromne ofensywy. Kiedy pod Verdun i nad Sommą ścierały się armie, rozpaczliwie próbując dokonać zmiany hipotetycznych granic na hipotetycznej mapie Europy, Einstein zatopiony był w pracy: spokojnie odzierając czas i przestrzeń z wszelkiej obłąkanej rzeczywistości. W tym nowym modelu Stworzenia materia i przestrzeń stanowiły część pojedynczego kontinuum, tkanki istnienia biegnącej nieprzerwanie przez wszechświat, łączącej się w różne formy, lecz nigdy nie podlegającej rozkładowi. Geometrią rządziło prawo ciężenia, a prawem ciężenia masa. Wszelkie stałe punkty

odniesienia odrzucono, co było nieuchronne: gdyż czas i przestrzeń są zaledwie artefaktami pola grawitacyjnego. Ziemia nie krąży dookoła Słońca dzięki tajemniczej niewidzialnej sile przyciągania, ale dlatego, że przestrzeń i czas zniekształcają obecność gwiazdy. Ziemia sunie przez zakrzywioną przestrzeń i zakrzywiony czas niczym tramwaj jadący po zakrzywionych szynach na zakręcie w Schönhauser Allee.

Tego dzieła dopełnił Einstein w Berlinie po latach pracy, w której docierał do granic wiedzy naukowej. Tworzył nowy świat: akurat gdy stary wyruszał na wojnę, wypleniał zbędne pewniki metafizyczne, kiedy młodzież Europy posyłano na śmierć w ich obronie. Czy Max dostrzegał tę ironię? Czy dlatego ofiarował bratu książkę Einsteina? Czy też było w tym coś więcej? Co wobec odkryć przedstawionych na jej stronicach, wobec ich skali i cudowności ludzkie straty miały wydawać się drobne i nieznaczące, a zatem łatwiejsze do zniesienia:

\*

Kirsch nadal przeglądał książkę, gdy usłyszał pukanie na dole.

Było pół do jedenastej. Czekał, by frau Schirmann wygramoliła się ze swego pokoju i otworzyła drzwi, ale z holu nie dochodził żaden dźwięk. Tylko stukanie zabrzmiało ponownie, tym razem głośniej. Rozległ się szcęk rygli, lecz frau Schirmann nadal tkwiła u siebie.

Podszedł do okna. Widok od frontu przesłaniał mu kamienny balkonik i konar drzewa. Przy krawężniku stał zaparkowany samochód, na jego czarnej karoserii lśniły krople deszczu. Odłożył książkę i wyszedł na podest.

- Frau Schirmann? Otworzy pani?

Pukanie rozległo się po raz trzeci. Kirsch pospiesznie zszedł po schodach, zastanawiając się, co zamyśla jego gospodyni. Czy boi się po napadzie na herr Bronsteina? Czy też zmyła już makijaż i nie chce się pokazywać, jak ją stworzyła natura?

Już, już miał odsunąć rygiel, lecz nagle się zawahał. Było późno, za późno na wizyty towarzyskie.

- Kto tam?

Usłyszał zgrzyt żwiru na kamiennym podłożu.

- Doktor Kirsch? - To był męski głos.

- Czego pan chce?

- Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Bucher.

Zachodziłem już wcześniej.

Bucher. Kirsch nadal nie był pewien, czy to nie tamten paranoidalny schizofrenik. Zapalił światło.

- Czy my się znamy?

Nieznajomy napał na drzwi. Rygle lekko drgnęły.

- Mam zaproszenie od doktora Fischera. Chce, żebym zaczekał na odpowiedź.

- Od doktora Fischera? Nie znam żadnego doktora Fischera.

- Doktor Eugen Fischer, dyrektor Instytutu Antropologii Cesarza Wilhelma.

Kirsch słyszał nazwisko Fischera, wiedział, że to wybitny naukowiec, choć nie znał jego prac. Orientował się tylko, że niektóre dotyczą małżeństw międzyrasowych w południowej Afryce.

- On na pewno pana zna, doktorze.

W głosie nieznajomego dźwięczała uraza, w której Kirsch wyczuł nutkę fałszu.

Zawahał się, po czym otworzył drzwi. Gość wszedł, zdejmując kapelusz. Był młodszy niż Bucher, jakim go zapamiętał Kirsch, i o wiele elegantszy.

- Doktor Fischer wyjeżdża do Monachium jutro po południu i pyta, czy może się pan z nim przedtem spotkać. - Nieznajomy uśmiechnął się, odsłaniając wyraźnie zachodzące na siebie siekacze. - Przepraszam, że tak bez uprzedzenia.

Wręczył mu kopertę i cofnął się, podczas gdy Kirsch zapoznawał się z jej zawartością. Było to zaproszenie na obiad do hotelu Adlon..Pański artykuł wywarł na mnie wielkie wrażenie i bardzo chciałbym go z Panem

przedyskutować przed moim wyjazdem”. Kirsch zdumiał się. Od początku uważał, że jego rozprawka jest zbyt krótka i błaha, by wywrzeć wrażenie na kimkolwiek. Ale potem przypomniał sobie, jak Alma mówiła, że ojciec pokazał jego artykuł ” pewnym ludziom”, oraz o instytucjach naukowych, które wspierał swoimi pieniędzmi.

- Znajdzie pan jutro czas, doktorze?

Kirsch złożył list. Hotel Adlon chlubił się najlepszą restauracją w Berlinie.

- Proszę powiedzieć doktorowi Fischerowi, że będę zaszczycony - odparł.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Od otwartych drzwi kuchni buchnęła woń obsmażanego mięsa. Miły dla ucha zgiełk przytłumiał przeraźliwe skwierczenie oraz szcęk garnków i patelni. Kirsch:żałował, że nie zadbał bardziej o wygląd. Kołnierzyk miał nieświeży, a garnitur nie zdążył oddać do uprasowania. Zgniecenia na kamizelce układały się w równoległe fałdy na podobieństwo rozciągniętej harmonii.

Co gorsza, miał kolejną złą noc. Zdołał usnąć, ale dręczyły go koszmary, w których ciągle był w biegu, spieszył na ważne spotkania, jeździł ekspresami pędzącymi przez tunele i zatłoczone dworce, a to wszystko przy akompaniamencie zgrzytu kół na stalowych szynach.

Główny kelner wprowadził go do jadalni. Tam liczni kelnerzy we frakach krążyli między stolikami lub stali na baczność przy płonącej wielkiej kłodzie drewna. Kirschowi zaburczało w brzuchu. Ni z tego, ni z owego zapach pieczonego mięsa pobudził jego apetyt. W stołówce Charité nigdy mu się to nie zdarzało. Cuchnęło tam zawsze starym tłuszczem i gotowaną kapustą; była to woń stała i nieusuwalna, jakby przez lata wsiąkła w ściany.

Zaprowadzono go do stolika przy oknie, z którego rozciągał się widok na Pariser Platz. Samochody sunęły jeden za drugim po alei, przejeżdżając pod

łukami Bramy Brandenburskiej. Kirsch odmówił aperitifowi i rozejrzał się po sali. Adlon był znany ze znakomitej klienteli. Przed wojną gościł kajzera i cara Rosji, w późniejszych latach Henry'ego Forda i Rockefellerów, Marlenę Dietrich i Alberta Einsteina. Jego sława była tak wielka, że Hollywood nakręcił o nim film z Gretą Garbo w roli głównej.

Tutaj zatrzymywał się też ojciec Almy podczas swych rzadkich wypadów do stolicy, co nasunęło Kirschowi myśl, że celowo zostaje wprowadzony do zamożniejszej, wyższej sfery społecznej, jak przystoi przyszłemu zięciowi Ottona Siegla.

Kirsch nie rozpoznał żadnego z biesiadników. Jego wzrok spoczął natomiast na wysokim brodatym mężczyźnie, starszym od niego o dobre dwadzieścia lat, który wkroczył właśnie do sali z ręką w kieszeni kamizelki i poufale zwrócił się do głównego kelnera.

- Znakomity doktor Kirsch. Miło mi pana poznać.

Kirsch się podniósł.

- Witam, doktorze Fischer.

Mimo tyczkowatej postury i wielkich dłoni jego gospodarz sprawiał szelmowskie wrażenie ze względu na wysokie czoło, odstające uszy i wąski podbródek, który nikał w obramowaniu potężnej brody. Gorąco uścisnął dłoń Kirscha, drugą rękę kładąc mu na łokciu. Przedłużał tym sposobem powitalny gest, jakby chciał podkreślić, że nie jest to bynajmniej zdawkowa uprzejmość.

- Mam nadzieję, że ten lokal panu odpowiada. Nie jest zbyt daleko od kliniki?

- Dziesięć minut spacerkiem.

Usiedli, Fischer rozwinął serwetkę i wziął do ręki kartę dań.

- Przeszedł się pan. To doskonale. Nawet myśliciel winien zażywać ruchu. Zbyt wielu to zaniedbuje. To samo dotyczy jedzenia. Uczeni z upodobaniem się głodzą.

Kirsch otworzył kartę dań i z niedowierzaniem przeczytał ceny.

- Niektórzy chyba nie mają wyboru.

Fischer się roześmiał.

- Pozwoli pan, że ten kłopot wezmę na siebie. Mam nadzieję, że apetyt panu dopisuje. - I zaczął wypytywać głównego kelnera, jak się okazało, o imieniu Konrad, o serwowane dziś potrawy.

Przez dziesięć minut rozmawiali o jedzeniu i zwyczajach doktora Fischera. Kirsch czuł się jak ulubiony siostrzeniec, z którym przy dobrym posiłku dobrotliwy wuj dzieli się życiową mądrością. W istocie Fischer odnosił się doń z taką zażyłością, że Kirsch zaczął się zastanawiać, czy nie jest on w jakiś sposób spokrewniony z Sieglami i czy w związku z tym nie będzie niebawem spokrewniony także z nim. Dopiero gdy zabrali się do pasztetu z sarniny, Fischer poruszył temat jego artykułu.

- Odważnie pan sobie poczyna - rzekł. - Bo trzeba mieć odwagę, by głosić radykalne poglądy, zwłaszcza w naszej konserwatywnej profesji medycznej.

- Zwróciłem tylko uwagę na parę niekonsekwencji diagnostycznych.

- Niekonsekwencji, które podważają podstawy nowoczesnej psychiatrii w takim kształcie, w jakim uprawiają ją pańscy przełożeni. - Fischer rozłamał bułkę świeżego chleba i wręczył Kirschowi większą część. - Człowiek mający na względzie własny interes bardziej przezornie wybierałby sobie przedmiot badań. Jak każdy machnąłby ręką na niekonsekwencje.

Pasztet był przepyszny. Kirsch musiał się powściągać, by nie mówić z pełnymi ustami.

- Zdziwiło mnie, że nikt wcześniej się tym nie zajął.

Fischer chrząknął z uznaniem. Jadł, mówił, gestykulował i w ogóle czynił wszystko z niezwykłym przejęciem, wręcz niecierpliwie.

- Status. To pięta achillesowa całej branży. - Nożykiem do masła zataczał małe kręgi. - Psychiatria za wszelką cenę chce zdobyć własną pozycję, równorzędną z konwencjonalną medycyną. Ale medycyna konwencjonalna opiera się na stuleciach badań anatomicznych. Czy mamy takie badania



dotyczące działań umysłu? Nie. I długo jeszcze nie będziemy nimi dysponować.

- Pojawił się kolejny kelner, który nalał wina. - Lecz dawanie do zrozumienia, że psychiatrzy zbyt się pospieszyli, a nawet sugerowanie, że zasadnicze założenia tego całego interesu nie mają solidnych podstaw, to już, doktorze, herezja.

Fischer miał rację. Jak Bonhoeffer nazwał jego artykuł?..

Praktycznie złożeniem pisemnej rezygnacji.

Fischer podniósł kieliszek do nosa, zakręcił nim parę razy, po czym uśmiechnął się. Kirsch przez chwilę miał wrażenie, jakby starszy uczony był poprzedniego dnia w gabinecie Bonhoeffera i podsłuchiwał całą rozmowę. Bawił się nóżką kieliszka, usiłując odgadnąć, ile Fischer naprawdę wie.

- Czy coś szczególnego skłoniło pana... Mam wrażenie, że to jakaś pilna sprawa.

Na chwilę Fischer przestał żuć. Znowu się uśmiechnął, po czym rozparł się na krześle, strzepując okruszki z podółka.

- Ma pan rację, że kryje się w tym pewien cel. - Mlasnął językiem o podniebienie. - Chciałbym przedstawić panu pewną propozycję, jak sądzę, interesującą.

Jak stwierdził, wnioski Kirscha oparte są na zbyt małym materiale badawczym. Niekonsekwencje diagnostyczne można zbyć jako nietypowe i niereprezentatywne. Sprawa inaczej by wyglądała, gdyby wśród ludności niemieckojęzycznej przeprowadzono nowe badania, zakrojone na szerszą skalę i trwające dłużej.

- Tak obszernego materiału dowodowego nie będzie można lekceważyć. Zmusi to branżę do ponownego zastanowienia się nad stosunkiem do nieprawidłowości umysłowych. Co daje nadzieję na prawdziwą zmianę.

Kirsch pomyślał o sierżancie Stoehrze i innych pacjentach poddawanych eksperymentatorskim terapiom Heinricha Mehringa - terapiom na choroby wyodrębniane i szeregowane w tym samym duchu, w jakim średniowieczni

teologowie wyróżniali rozmaite typy demonów, i z takim samym poszanowaniem faktów obserwacyjnych. Myślał o "poprawie stanu pacjentów", do których rzekomo doprowadzają, oraz o nieprzemyślanych teoriach na temat istoty samych chorób, które niechybnie w wyniku tych terapii powstaną.

- To byłoby potężne przedsięwzięcie - rzekł. - Wymagałoby niemal powszechnej współpracy, wkładu wielu różnych instytucji. - Fischer spoglądał nań wyczekująco. Kirsch sięgnął przez stół i dolał sobie wina. - Nie sądzi pan chyba, że ja mógłbym się tego podjąć? To niemożliwe.

- Otrzyma pan wynagrodzenie oczywiście. Instytut Antropologii zamówi u pana badania. I opublikuje je.

- Instytut Antropologii?

- Albo jakiś medyczny. Zamówiliśmy mnóstwo badań: genealogii rodzinnej, pomiarów czaszek, grup krwi. Prowadzimy coraz więcej prac interdyscyplinarnych, nie mówiąc już o przekraczaniu granic. To działanie międzynarodowe. Czas, by ludzie nauki przestali żyć w gettach intelektualnych i zespolili swoje wysiłki dla wspólnego dobra. Chyba zgodzi się pan ze mną?

- Tak, ale...

- Proponuję panu równowartość rocznej pensji. Z góry.

Fischer niezwykle starannie zaczął smarować kolejną kromkę chleba, dając Kirschowi czas na zastanowienie się, czy wszystko to w istocie zaaranżował zakulisowo Otto Siegel.

- Proszę wybaczyć, sądziłem, że zajmuje się pan antropologią.

- Owszem. Z tym że nie bez przyczyny badam początki ludzkości. Podobnie jak pan sądzę, że aby chronić rasę, trzeba wpierw ją zrozumieć.

- Rasę?

Fischer napoczął swój płat pasztetu.

- Rasę nordycką. Tę, do której wszyscy należymy. Odwołuję się do psychiatrii, gdyż uważam, że wiele form chorób umysłowych jest dziedzicznych. Można się było tego spodziewać.

W końcu inteligencja przechodzi z pokolenia na pokolenie, nie mówiąc o ułomnościach fizycznych. Pańska praca zawiera szereg przykładów chorób psychicznych, w których jest to rodzinne, zwłaszcza typu schizofrenicznego.

Kirsch się nachmurzył.

- To może być przypadek. Nie dysponuję dostateczną liczbą.,

- Właśnie, przypadek. Otóż to. Ale znacznie szersze badania mogą ustalić tę sprawę raz na zawsze. Informacji nigdy za wiele, racja?

- Chyba tak.

Kirsch sączył wino, myśląc, jak bardzo przydałaby mu się roczna pensja płatna z góry. Będzie musiał coś zrobić po odejściu z Charité. Tym zleceniem doskonale wytłumaczy zmianę pracy.

To oczywiste, że zrezygnuje z czynnego uprawiania psychiatrii, by skupić się na badaniach akademickich. Zrozumie to Alma, jej rodzina, a także ewentualni przyszli pracodawcy.

- Mogę zapytać - rzekł - czy zna pan Ottona Siegla?

Fischer spojrzał na niego pustym wzrokiem.

- Mojego przyszłego teścia.

Fischer potrząsnął głową.

- Nie wiedziałem, że jest pan zaręczony. Gratuluję, przyjacielu.

- Dziękuję, Ale myślałem, że może...

Zanim jednak Kirsch zdążył wytłumaczyć, co miał na myśli, pojawili się kelnerzy, pchając wózek, na którym spoczywał pieczony udziec jagnięcy, przyrumieniony i lśniący.

Fischer delectował się mięsem, pochłaniając je prawie bez dodatków i wygłaszając uwagi na temat znaczenia ochrony systemu trawiennego w miarę jak latka leca.

- Trawienie jest jak sumienie - oznajmił. - Kto źle się z nim obchodzi w młodości, temu na starość odpłaci się bezsennymi nocami.

Kirsch musiał przyznać, że zazwyczaj spożywa posiłki w pośpiechu,

zwłaszcza w pracy.

- Rozumiem to - odparł Fischer. - Z pewnymi potrawami lepiej uwinąć się szybko, zwłaszcza z tymi, które podają w szpitalach. Już samo otoczenie odbiera apetyt. A ktoś taki jak pan zawsze pędzi do pacjentów.

- Nie poświęcam im ani w połowie tyle czasu, ile by należało. Coraz częściej mnie to przytłacza.

Fischer złożył ręce przed sobą, zginając drżące palce.

- Ale pociągają pana zapewne ciekawsze przypadki, te bardziej niezwykle. Chyba można się z nich wiele nauczyć.

- Każdy przypadek jest niezwykle. Im bardziej się w niego zagłębię, tym staje się osobliwszy. Jak ludzie.

- Weźmy przypadek, o którym pisano w gazetach, tej dziewczyny znalezionej w lesie. To dopiero ciekawa sprawa.

- Zależy, co z niej jeszcze wyniknie.

- Dziewczyna całkowicie utraciła tożsamość, do tego była naga. A jednak nie ma śladu napastowania seksualnego. Jakby celem była właśnie ta tożsamość. Żywcem wyjęte z powieści kryminalnej.

Kirsch wytarł sos z talerza.

- Tak to tylko wygląda w gazetach. W istocie mamy do czynienia ze zwykłym przypadkiem amnezji.

- No nie. Zwykłym? Jak w takim razie pan to wytłumaczy?

- Nie mogę. Na razie.

- Na pewno ma pan jakąś teorię. Każdy, z kim rozmawiam, przedstawia swoją teorię, nawet mój kierowca.

Biorąc pod uwagę wszystkie przypuszczenia, jakie snuły gazety, Fischer mógł nie zdawać sobie sprawy, że historie indywidualnych przypadków choroby chroni tajemnica lekarska. Kirsch zastanawiał się, jak oględnie dać mu to do zrozumienia, lecz Fischer jakby czytał w jego myślach.

- A, racja. Wciąż jest pańską pacjentką. Nie wolno panu powiedzieć ani

słowa więcej. Nie powinienem był tak ciągnąć pana za język.

- Pańska ciekawość jest całkowicie naturalna. - Kirsch rozejrzał się po sali. Część gości zdążyła już wyjść, a reszta rozsiadła się wygodnie, sącząc kawę lub koniak bądź pociągając cygara. - Gdyby mi pan obiecał...

- Oczywiście, drogi przyjacielu, oczywiście. Nie pisnę ani słówka. Nazwijmy to konsultacją zawodową. Przecież nie ma w tym nic złego.

- Chyba nie.

- Nie chciałbym polegać na doniesieniach prasowych. Nie można wierzyć żadnemu ich słowu.

- W takim razie... - Kirsch skończył jeść i odsunął talerz.

- Moim zdaniem amnezję spowodował jakiś rodzaj urazu. Nie jestem tylko pewien, czy do urazu doszło tuż przed znalezieniem jej. Mogła też odbyć podróż. Znamy takie przypadki, kiedy amnezji towarzyszy nagła ucieczka. Nazywamy to fugą psychogenną.

Wiemy, że pacjentka nie jest rodowitą Niemką.

- Naprawdę? - Fischer przysunął się bliżej. - Więc skąd pochodzi?

- Trudno powiedzieć. Skądś ze wschodu, sądząc po akcencie. Może z Rosji albo z Bałkanów.

Fischer z wolna skinął głową.

- Więc zgadza się pan z policją. Inspektor... jak mu tam?

- Hagen?

- A tak. Uważa, że dziewczyna uciekła z zakładu dla umysłowo chorych. Nie doszło do zbrodni, w lesie nie było żadnego szaleńca.

Kirsch wzruszył ramionami.

- Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć. Nie mam absolutnie żadnych informacji na ten temat.

Fischer odchylił się do tyłu, ułożył sztucę na talerzu i wcisnął palce do kamizelki.

- Mam na ten temat własną teorię, którą zapewne z łatwością pan obali.

- A mianowicie?

Fischer wziął wykałaczkę i zaczął nią dłubać pomiędzy górnymi zębami.

- Okaże się oszustką podającą się za kogoś innego.

Kirsch zaśmiał się, choć wcale mu nie było do śmiechu.

- Jak może się podawać za kogoś innego, skoro nie ma tożsamości?

- To przyjdzie z czasem. Nie pamięta pan Anny Anderson?

Kobiety, którą Wyciągnięto z kanału Landwehr? Półtora roku później oznajmiła, że jest wielką księżną Anastazją.

Kirsch znał tę historię. Po nieudanej próbie samobójczej kobietę odwieziono do szpitala dla umysłowo chorych w Dalldorfie, gdzie odmówiła podania nazwiska. Dopiero później oświadczyła, że jest córką cara Mikołaja II i parę lat wcześniej przeżyła masakrę rodziny carskiej z rąk bolszewików. Choć nie mówiła ani po rosyjsku, ani po francusku - czyli w językach, którymi posługiwały się rosyjskie wyższe sfery - kilku wygnanych rosyjskich arystokratów i dworzan potwierdziło tożsamość Anastazji i ślubowało jej wierność. Ruszyła machina, pozyskiwano datki, wysuwano żądania finansowe, nawet gdy berlińska prasa bez najmniejszych wątpliwości ustaliła, że Anderson jest polską robotnicą nazwiskiem Franciszka Szczankowska, która od dawna cierpiała na zaburzenia umysłowe. Kobieta wraz z grupą doradców miała zbić fortunę na opowieściach o swym świetnym pochodzeniu.

- Podobieństwa same się narzucają - zauważył Fischer.

- W dzisiejszych czasach by dobrze zarobić, wystarczy przyciągnąć uwagę prasy. A pańskiej pacjentce już się to udało.

Kirsch stracił kontenans. Zdarzali się cudacy, którzy udawali chorobę umysłową, by zyskać chwilę sławy, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że rolę tę mogłaby odegrać Maria.

Fischer przez chwilę przyglądał się młodszemu koledze, po czym lekceważąco machnął mu ręką tuż przed nosem.

- To tylko taki pomysł. Nie ma o czym mówić. - Z wewnętrznej kieszeni

marynarki wyciągnął złotą papierośnicę.

- Zapali pan, doktorze?

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kirsch długo się zastanawiał nad teorią Eugena Fischera.

Maria w żadnym razie nie mogłaby udawać śpiączki, i to tak głębokiej, że doktor Brenner wątpił, by zdołała się z niej wybudzić. Poza tym podobieństwa do przypadku Anderson były niezaprzeczalne: amnezja, domniemanie, że o mały włos by utonęła, nikogo, kto by ją rozpoznał. Anderson i pacjentka Kirscha były też nieco zbliżone do siebie wyglądem i liczyły mniej więcej tyle samo lat, łączyło je także zainteresowanie prasy - reporterzy i fotografowie nadal czyhali przed kliniką, nagabując przechodzący personel. To wszystko nadawało całej sprawie posmak przedstawienia, rozrywki dla gawiedzi. W rozwoju wydarzeń Fischer wyczuł manipulację i teraz Kirsch również odnosił takie wrażenie. Czy naprawdę natknął się na Marię w szpitalu przypadkiem? To pytanie dręczyło go podczas codziennych obchodów, w świetlicy i przy pracy w gabinecie. Czy też wybrano go do tej roli w ramach jakiejś intrygi? Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym silniej czuł obecność niewidzialnych sił, niczym mała planeta wciągana w orbitę potężnej, lecz niewidocznej gwiazdy.

Gdy tylko nadarzała się sposobność między długimi godzinami terapii i pisaniem niezliczonych raportów, obserwował Marię, próbując się dowiedzieć, czy ktoś się z nią kontaktuje. Klinika była teoretycznie bezpieczna, istniały obawy, że pacjenci się oddalą, nie strzeżono ich jednak jak w więzieniu. Personel i dostawcy krążyli tu przez cały dzień, podobnie jak odwiedzający. Kirsch przypatrywał się Marii w jadalni, gdzie zazwyczaj samotnie spożywała posiłki. Przyglądał się jej w bibliotece, dokąd chodziła po obiedzie i kartkowała książki, na każdej stronicy zatrzymując wzrok ledwie przez parę sekund. Patrzył, jak spacerowała po trójkątnym kawałku trawy i drzew, który uchodził

za ogród, albo siadywała na ławce, gdzie zimowe słońce rzucało promienne cętki na jej skórę. Kiedyś z okna na drugim piętrze ujrzał, jak podszedł do niej mężczyzna. Miał w ustach papierosa i brązowy filcowy kapelusz nasunięty na oczy. Kirsch wspiął się na palce, by lepiej widzieć. Był pewien, że to reporter, którego już zoczył na rozmowie z Robertem Eisnerem przed szpitalną kuchnią, Lecz właściwie nie był pewien, gdyż osobnik ten skrywał twarz. Ale jeśli cokolwiek zaszło między nim i Marią, trwało zaledwie kilka sekund, mężczyzna bowiem zaraz uchylił kapelusza i oddalił się żwawym krokiem.

Kirsch polecił pielęgniarkom, by donosiły mu o każdym takim wydarzeniu oraz przekazywały całą korespondencję do wglądu. Od tego momentu niemal co rano lądowały na jego biurku przesyłki do Marii adresowane na któryś z jej prasowych przydomków: "Poczdamska pacjentka", "Pani jeziora" czy "Dziewczyna od Einsteina". Po części były to listy miłosne pisane pod wrażeniem fotografii Marii zamieszczonej w gazetach.

Gdy ujrzałem Twoją twarz, pomyślałem, że wróciła do mnie moja ukochana Susanne. To cud, że jesteś tak do niej podobna.

Przysięgam, że mogłabyś być jej siostrą, choć nic mi nie wiadomo, by miała siostrę. Umarła na gripę trzynaście lat temu i od tej pory jestem sam.

W jednym liście, pisanym drżącą ręką, zapytywano, czy Maria nie nazywa aby Elsa Miihlhausen, która jako półroczne niemowlę została wykradziona z kołyski w 1895 roku i od tamtej pory ślad po niej zaginął. Maria była za młoda, by pasować do tego opisu. Autor innego listu twierdził, że poznał ją podczas seansu.

Kirsch zamierzał nawet pójść tropem tego śladu, ale zdał sobie sprawę, że to rzekome spotkanie odbyło się w odmiennym stanie świadomości. Przyszło też kilka sprośnych listów, wszystkie anonimowe. W jednym proponowano, by Maria dokonała najrozmaitszych aktów seksualnych, i pytano o cenę każdego z nich (kolejne miały być najwyraźniej płatne coraz wyżej). Inny list zawierał rysunek nagiej kobiety, przypuszczalnie Marii, która odbywa stosunek z



mężczyzną odzianym w surdut, z gwiazdą Dawida na czole. W następnym proszono o zdjęcie, załączając pewną kwotę pieniędzy. O ile Kirsch zdołał się zorientować, zaden nie pochodził od współnika znającego prawdziwą tożsamość Marii, chyba że używał on szyfru. Nie wiedząc, co zrobić z listami, włożył je do specjalnego pudełka na dokumenty, które wsunął pod biurko.

Odwiedzał Marię codziennie. Gdy tylko mógł, przynosił jej pocztówki, które wtykał za boazerię w jej pokoju, tak że niebawem spała w otoczeniu charakterystycznych obiektów Berlina.

Ustawiał je w odpowiednim otoczeniu, łóżko zaś miało stanowić hipotetyczny środek miasta: Tiergarten opierał się o okno w jednym kącie pokoju, zdobna kolumnadą fasada Galerii Narodowej pod kontaktem w drugim, pomiędzy nimi Brama Brandenburska, gmach opery, katedry i kościoły. Pomyślał sobie, że jeśli zdoła rozbudzić jej orientację w okolicy, przypomni sobie następstwo zdarzeń i ich cel. Szukał też pocztówek z widokami Grenadierstrasse i Tanguero, ale nie znalazł ani jednej.

Początkowo Maria traktowała tę dodatkową dekorację pokoju ze zdziwieniem i obojętnością, później zaczęła w niej budzić lekkie rozbawienie. Zachęcony tą reakcją Kirsch przerzucił się z charakterystycznych obiektów Berlina na inne przedmioty - róże statki oceaniczne i lokomotywy, psy, koty i konie. Ale

,  
mijały dni i nie następowała żadna poprawa, w każdym razie amnezja się nie cofnęła. Maria usiłowała cośkolwiek sobie przypomnieć, odpowiadać na pytania, które od niechcienia jej zadawał (Czy była kiedyś nad morzem? Czy miała psa? Jaka. Jest jej ulubiona rasa?), lecz im usilniej się starała, tym bardziej była zagubiona i smutna. Zaczynała się jąkać, nerwowo splatała ręce na podołku. Widział, jak do oczu napływają jej łzy, gdy usiłowała znaleźć odpowiedź, fragment konkretnej prawdy, która dałaby jej poczucie, że naprawdę żyje. W nagłym przebłysku dostrzegał wirującą pod jej stopami ciemność i

rozumiał, że musi przerwać: zmienić temat i przywrócić dziewczynę do teraźniejszości. Wciąż trapiło go irracjonalne przekonanie, że Maria powoli umiera, tak jakby trawiło ją śmiertelne zakażenie. Pozbawiona przeszłości za wszelką cenę starała się uwierzyć w to, że naprawdę istnieje, że nie jest wytworem wyobraźni, widmem ani wspomnieniem, które zapomina się po przebudzeniu.

Pielęgniarki mówiły mu, że wciąż dręczą ją koszmary. Opowiadały, że mówi przez sen, czasami w obcym języku, czasami po niemiecku. Ale jej słowa nie układały się w żadne sensowne zdania. Kiedyś Kirsch, przybywszy do kliniki głęboką nocą, nasłuchiwał przed drzwiami Marii. Usłyszał, jak mamrocze coś przez sen i przez parę minut chodzi po pokoju, po czym wraca do łóżka. Nigdy nie słyszał, by krzyczała, choć pielęgniarki twierdziły stanowczo, że jej się to zdarza, zwłaszcza przed światem. Chciały dać jej coś na uspokojenie, Kirsch jednak zabronił. Uznał, że może przynajmniej w snach, choćby i dręczących, wie, kim jest.

Potem pewnego dnia zaczęła rysować. Siadywała boso w świetlicy kobiecej ze szkicownikiem opartym na kolanach.

Z okna rozciągał się widok na kanał i dalej, na łukowaty dach dworca Lehrter. Wiatr od zachodu niósł stukot pociągów przejeżdżających przez zwrotnicę i gwizdy, które rozchodziły się po całym mieście niczym przenikliwe wezwania do modlitwy jakiejś zmechanizowanej religii. Maria otrzymała gruby wełniany szal, którym się szczelnie opatulą, zanurzając w jego fałdach usta i brodę. Może z tego właśnie powodu, a może dlatego, że wyglądała na pochłoniętą pracą, rzadko któraś pacjentka do niej podchodziła.

Szkiecowała prawie każdego ranka. Na koniec zamykała szkicownik, wkładała buty, starannie zawiązywała sznurowadła i wracała do pokoju. Tu w pierwszej kolejności odkładała szkicownik i ołówki na miejsce - na górną półkę podniszczonej szafki w rogu.

Rysowała twarze. Pokrywała całe kartki obliczami, które przez chmury cienia unosiły się ku światłu. W tych rysunkach widać było pewną biegiłość. Zręczne linie nakreślały kontury - fizjonomie spoglądające wzwyż lub uchwycone z profilu; stare, znękanе troskami albo młode, pełne wyczekiwania, ale wszystkie miały w sobie coś niepewnego, ulotnego, jakby zdawały sobie sprawę, że są niepełne, albo dziwiły się, jak je pochwycono w ów dziwny dwuwymiarowy świat.

Niektóre twarze się powtarzały: dziewczynki z głową owiniętą szalem i dwóch mężczyzn. Jeden, młody, mógł być sympatią albo bratem. Miał wąskie oczy, szerokie czoło i piękne delikatne usta zaciśnięte, jakby pogrążony był w rozważaniach. Maria rysowała go kilkakrotnie pod różnym kątem. Wyraz jego twarzy się zmieniał, lecz zawsze był na niej cień troski. Kirsch zastanawiał się, czy to nie ów nieznajomy, którego widział w ogródku przyszpitalnym.

- Jak go nazwiemy? - zapytał. - Jakie imię do niego pasuje?

Nie chciała nadać mu imienia.

- To pisarz - wydobyła tylko z siebie.

Drugi mężczyzna był stary. Miał ciemne oczy, pełne wargi i rozwiane białe włosy niczym starotestamentowy prorok albo renesansowe wyobrażenie Boga. I jego nie potrafiła nazwać.

Przeglądając szkicownik, Kirsch spostrzegł, że Maria w ogóle nie rysuje swego otoczenia. Nie uwieczniła nikogo z pacjentów ani personelu. Kreśliła wizje oglądane oczyma duszy, utrwałała oblicza zapamiętane z przeszłości. Tak jakby w klinice w ogóle nie było ludzi. Nie na to liczył.

- A może autoportret? - zaproponował.

- Dlaczego?

- Chciałbym mieć pani autoportret.

Autoportret mógłby przywrócić jej poczucie tożsamości. Pokazać, jak sama siebie widzi.

Maria potrząsnęła głową.

- Nie ma tu luster.

To prawda - nie wolno ich było ustawiać ze względów bezpieczeństwa. Przez lata działania kliniki parokrotnie się zdarzyło, że pacjenci tłukli lustra wytrąceni z równowagi widokiem własnego odbicia. Odłamkami stłuczonego szkła ranili się, a nawet używali ich jako broni. W kobiecej łazience zostawiono dwa lustra, ale były małe i mocno przykręcone do ściany.

- A gdybym pani przyniósł? - Kirsch wyrysował w powietrzu kwadrat obramujący jej twarz. - Takie duże. Chyba wiem, gdzie je dostanę.

- Jeśli pan chce... - rzekła Maria, z roztargnieniem pociągając kosmyk włosów.

- Owszem, chcę - powiedział.

By to udowodnić, wymknął się w porze obiadowej i od handlarza meblami na Kurfiirstendamm kupił lustro w pozłacanej oprawie.

\*

Minął tydzień od obiadu z doktorem Fischerem, a Kirsch nie otrzymał jeszcze od niego żadnych wiadomości. Fischer nie potwierdził propozycji zlecenia, które wówczas wydawało się tak pilne, nie poinformował też Kirscha, jakie winien przedsięwziąć w związku z tym kroki. Kirsch się zastanawiał, czy antropolog mówił poważnie i czy naprawdę dysponuje odpowiednimi środkami. Zaczął podejrzewać, że Fischer może i ma pieniądze, lecz jest jedynie działającym na własną rękę ekscentrykiem, który zapala się do jakiegoś pomysłu, po czym porzuca go, gdy nadarzy się coś ciekawszego. Artykuł Kirscha potracił o jakiegoś jego intelektualnego bzika, toteż Fischer odszukał autora niezwłocznie jak człowiek, który nie wie, co zrobić z czasem. Kirsch już żałował, że rozmawiał z nim tak swobodnie o swej pracy i o Marii.

Usiadł wreszcie, by napisać rezygnację, kiedy wkroczył Robert Eisner z poranną prasą. Kirsch nie powiedział mu jeszcze o decyzji Bonhoeffera, mając nadzieję, że dyrektor z czasem odpuści, ale minęły już dwa tygodnie i nic nie wskazywało, by miał zmienić zdanie.

- List z Instytutu Antropologii, Teorii Ludzkiego Dziedziczenia i Eugeniki imienia Cesarza Wilhelma - oznajmił Eisner, patrząc na tył sztywnej białej koperty i rzucając ją na tacę dokumentów przychodzących.

Koperta była zapieczętowana. Kirsch odłożył pióro i sięgnął po nóż.

- Więc piszesz kolejny artykuł? - Eisner nadal krążył koło jego biurka. - Nie sądziłem, że zajmujesz się dziedzicznością ludzką.

- Nie zajmuję się - rzekł Kirsch, zerkając do środka, lecz nie wyjmując zawartości koperty. Spojrzał na zegarek. - Muszę lecieć.

Wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyszedł.

Fischer nie ograniczył się do wysłania pieniędzy. Załączył krótką listę szpitali psychiatrycznych oraz praktykujących lekarzy z Niemiec, Szwajcarii i Austrii chętnych do współpracy z Instytutem Psychiatrycznym Cesarza Wilhelma w zakresie wyszukiwania historii diagnostycznych. "Mój instytut nie zajmuje się indywidualnymi przypadkami - napisał w liście - więc nie powinni bać się złamania tajemnicy lekarskiej".

Wadlonie Kirsch starannie się wystrzegał składania jakichkolwiek deklaracji. Fischer wszakże najwyraźniej uznał, że młody lekarz jednoznacznie się zaangażował. Chciał, by Kirsch niezwłocznie nawiązał kontakt z wymienionymi instytucjami, formułując swe cele i metody. "Uważam, że jest to praca najwyższej wagi oraz że zaowocuje cenną publikacją. Mam nadzieję, że zdoła Pan wygospodarować na to czas ze swych codziennych obowiązków".

Przez dwa dni Kirsch nie zrobił nic. Doktor Bonhoeffer jasno wyłożył swój pogląd na jego pierwszy artykuł. Jeśli Kirsch oznajmi, że zabiera się do pracy nad poważniejszą publikacją w tym samym duchu, praktycznie wymierzy przełożonemu policzek.

Straci wszelkie szanse na rehabilitację. Kirsch musi zatem opowiedzieć się po którejś stronie - albo za którymś z szefów. Ale dzięki Heinrichowi Mehringowi i siostrze Honig tę decyzję już za niego powzięto.

Na trzeci dzień zrealizował czek.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Później tego dnia Kirsch doznał nagłego napadu gorączki. Choroba dopadła go w zatłoczonym tramwaju jadącym z Alexanderplatzu. Trzymał się uchwytu, czując zmęczenie w rozpalonym ciele przygniecionym ciężarem palta, lecz poza tym nic mu nie doskwierało. Wtem kierowca nacisnął hamulec.

Rozległy się zduszone okrzyki, jakiejś kobiecie wypadł z torby na zakupy słoik i potoczył się po podłodze. Potem wszyscy odzyskali równowagę i tramwaj ruszył dalej. Kirsch pochylił się, by podnieść słoik, który nadal się ku niemu turlał. Schwycił go zręcznie, etykietką do góry, na której widniały dwie czerwone lśniące wisienki: Kirschen. Skojarzenie z własnym nazwiskiem wywołało w nim wesołość. Odniósł wrażenie, że ktoś przypatruje mu się z wysokości i igra nim ze śmiechem, jak to czynili starożytni bogowie. Następnie ogarnęła go ciemność.

Usłyszał krzyki i ogłuszające dudnienie armat. Pomyślał, że musi znaleźć swe narzędzia chirurgiczne. Będą napływać ranni pokryci brudem i ziemią. Nie ma gdzie się schronić. Krzyknął, że potrzebuje światła, ujrzał tańczące w mroku promienie latarni.

Obok niego w pędzie przesuwały się blade twarze. Potem odzyskał jasność widzenia i stwierdził, że leży rozciągnięty na plecach na żebrowanej podłodze, a tłum pasażerów wpatruje się w niego.

Nikt nie pomógł mu wstać. Pewnie wzięli go za pijaka. Przecisnął się do drzwi i wysiadł na następnym przystanku, zapominając teczki. Jakiś młody człowiek rzucił mu ją, akurat gdy tramwaj ruszał. Teczka uderzyła w krawężnik i otworzyła się, rozrzucając papiery, pisma i pocztówki.

Kiedy dotarł do domu, cały się trząśł. Frau Schirmann, natknąwszy się na niego na schodach, zaproponowała, że wezwie lekarza, ale powiedział jej, żeby się nie przejmowała. To tylko lekka grypa, którą złapał w klinice. Zaraz mu

przejdzie.

Frau Schirmann obawiała się grypy z uwagi na swe słabe płuca. Miał zatem pewność, że starsza pani będzie się trzymać od niego z daleka. Gorączka męczyła go przez całą noc. Nad ranem przygotował sobie kolejną dawkę salwarsanu, lecz ręce zbytnio mu się trzęsły, by zdołał bezpiecznie wbić sobie igłę. Sfuszerowany zastrzyk może doprowadzić do zatrucia arsenikiem.

Powiedział sobie, że i tak nie potrzebuje salwarsanu. Najwyraźniej grypa rozłożyła jego organizm osłabiony wielogodzinną pracą w klinice i związanymi z nią napięciami. Główny szpital w Charitć pełen jest chorych, a to tylko parę kroków od kliniki.

Personel pomocniczy i dostawcy kręcą się po obu budynkach, roznosząc zarazki. Jego gorączka nie ma nic wspólnego z syfilisem czy niewyraźnymi brązowymi plamkami, które coraz gęściej występują mu na żebrach.

Koło południa frau Schirmann przyniosła mu chleb i wywar z warzyw, które zostawiła przed drzwiami. Wczesnym popołudniem gorączka opadła. Była niczym wspomnienie dawnej niemocy, ślad przeszłego cierpienia. Nie zapowiadała cierpienia, które dopiero miało nadejść.

Mimo wszystko Kirsch wolał się upewnić. Chciałby komuś zaufać, komuś, kto poznałby się na jego chorobie, lecz wnioski z tego płynące zachował dla siebie. Ale choć namyślał się długo i głęboko, nikt nie przychodził mu do głowy.

\*

Wrócił do kliniki we środę. Podczas jego krótkiej nieobecności szkice Marii nabrały nowych cech. Kirsch siedział wraz z nią jak zwykle w świetlicy, przeglądając szkicownik. Po raz pierwszy z włóknistej siatki cieniowania wyłaniali się inni pacjenci i personel Charitć: siostra Honig o charakterystycznej rumianej cerze, lecz z ciężarem smutku w zarysie brwi, czego przedtem nie dostrzegał; siostra Auerbach, ładniutka, acz pełna wyczekiwania, o ustach niecierpliwie zaciśniętych; doktor Mehring o głowie gładkiej niczym jajo,

sztynny i pełen dystansu, jakby wiedział, że łatwo może pęknąć. Poszukując nowych tematów, Maria nareszcie zaczęła rysować z natury. Kart szkicownika nie wypełniały już widma, wзирали z nich żywi ludzie.

Kirsch uśmiechnął się do siebie. To już jest swoisty postęp.

Choć przeszłość Marii nie rysuje się wyraźniej, dziewczyna przynajmniej łączy się na powrót z terażniejszością; zatykając uszy na zew wewnętrznego świata, coraz bardziej ciągnie do prawdziwego. Bał się tylko, by nie straciła poczucia rzeczywistości, pogrążając się w psychozie, gdy uświadomi sobie całą trudność swego położenia.

- Doskonale uchwyciła pani doktora Eisnera, podobieństwo jest uderzające. - Podniósł szkicownik. Doktor Eisner miał niepewną, skonsternowaną minę jak ktoś, kto przysłuchuje się rozmowie, nie mogąc się zdecydować, czy się do niej włączyć.

W widmowo białych oczach odznaczały się czarne punkciki źrenic.

- Czy to lekarz?

- A nie mówił pani?

Maria potrząsnęła głową.

- Czasami wkłada biały kitel, tak jak pan. A czasem nie.

Kirsch zastanawiał się, ile razy to się zdarzyło.

- Nie wiedziałem, że z panią rozmawiał.

Maria przekręciła głowę na bok. Snop światła z okna padł na jej policzek. Włosy, dość już długie, by można je związać w węzeł, miały miedziany poblask, iskrzyły się ogniem w mroku.

- A tak - odparła. - Udaje, że tylko przechodzi. Ale ja się na to nie nabieram. Jest strasznie ciekawski.

Kirsch się uśmiechnął.

- No myślę.

- Tak jak pan.

- Ja?



- Tak pan powiedział. Gdy przyszedł pan do szpitala.

Z ciekawości.

- No tak. - Kirsch się zarumienił. Chciałby ją zapewnić, że nie jest tylko interesującym przypadkiem, ewentualnym stopniem do kariery zawodowej, jak się zdarzało z chorymi, którzy znaleźli się w centrum uwagi opinii publicznej. Nie wiedział, niestety, jak to wyrazić.

Przewrócił kolejną kartkę szkicownika.

- Więc nie zrobiła pani autoportretu.

- Próbowałam i nic. Patrzę na siebie w lustrze, ale rysunek mi nie wychodzi. - Wzruszyła ramionami. - Nie mam do tego drygu. Rysuję pierwszą kreskę, a potem kłapa.

Obrócił kolejną kartkę, ostatnią. Była tam tylko jedna twarz - jego. Oczy miał spuszczone, skierowane gdzieś w bok. Cieniowanie odznaczało się szorstkością i energią, których nie zauważył w żadnym innym szkicu. Rysunek Maria wykonała w pośpiechu, jakby chciała uchwycić podobieństwo, zanim zatrze się jej w pamięci - jakby się bała, że oryginał niebawem zniknie. Kirsch miał wrażenie, że spogląda w lustro, tyle że bez bezwiednej pozy, którą zawsze przybiera się, patrząc na swe odbicie. Siedział oniemiały, zdumiony siłą wyrazu naszkicowanego oblicza ukazującego zmarszczone czoło, niespokojne wejrzenie.

- Mój Boże - rzekł z wymuszonym śmiechem - naprawdę ta smętnie wyglądam?

Maria skinęła głową. Potem wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

Za drzwiami coś zaszeleściło. Zamknęły się, lekko stukając o ościeżnicę. Z korytarza dobiegł tupot oddalających się stóp.

Zadzwieczał dzwonek na obiad. Maria odsunęła rękę.

- Muszę iść - rzekła.

Podniosła się i pospiesznie wyszła z pokoju. Kirsch zauważył, że zostawiła szkicownik.

Tego wieczoru zaczął sypać śnieg. Kirsch wyszedł z kliniki wcześniej niż zwykle, akurat na koniec wieczornego szczytu.

Wagon kolejki miejskiej wypełniony był do ostatniego miejsca.

Kirsch stał przyciśnięty do drzwi, potrącany przez innych pasażerów, którzy zionęli wonią tytoniu i mokrej skóry. W głowie mu się kręciło, nie mógł złapać tchu. Przez Alexanderplatz ciągnęły tłumy, nieme i stłoczone; ludzkie twarze na moment w całej pełni ożywały w błysku lamp ulicznych, by potem znowu zapaść się w cień.

Aż do dziś miał wrażenie, że pod przykrywką powagi badań naukowych i medycznych gra w jakąś grę. Ale teraz zabawa się skończyła.

Na wschód od Schönhauser Allee było spokojniej. Śnieg prószył już słabiej, gdy Kirsch spieszył przez Grenadierstrasse, przystanąwszy tylko, by zerknąć na zabita deskami witrynę sklepu ze sprzętem gramofonowym herr Bronsteina. Odłamki szkła lśniły jak bryłki lodu na kocich łbach. Parę minut później minął cmentarz żydowski i - tak jak przed dwoma miesiącami - wpatrywał się w dom z pokojami do wynajęcia.

Chwilę trwało, nim znalazł drzwi frontowe, gdyż trzeba było wejść do nich z boku budynku, po paru stopniach częściowo przysłoniętych przez kręte zardzewiałe schody pożarowe.

Dotarłszy wreszcie do wejścia, pociągnął za dzwonek, co nie dało wyraźnego rezultatu, toteż zaczął walić w drzwi pięścią.

- Jest tam kto?

Jego głos odbił się echem od murów alei, zbijając się w pojedynczy ton. W kamienicy naprzeciwko zgasły światła, porażając Kirscha w mroku.

- Czego pan chce?

Z okna na pierwszym piętrze wyglądał mężczyzna. Miał ogoloną głowę i nosił okulary.

- Chciałbym wynająć pokój.

- Wynajmuję tylko kobietom.

- To dla znajomej.

- Niech pan przyjdzie jutro.

Mężczyzna zatrzasnął okno.

- Zapłacę z góry - krzyknął Kirsch. - Chciałbym tylko obejrzeć. Jutro będzie za późno.

Gospodarz domu, Sebastian Mettler, modulował głos zgrzytliwie, jak Szwajcar. Mógł mieć najwyżej czterdziestkę, ale nosił się jak starzec - garbił się i człapiąc w górę po gołych deskach, jedną rękę przyciskał do boku. Frau Mettler, jego matka, otyła niewiasta z pincenez wciśniętym na nos, przyglądała się tym zmaganiom z otwartych drzwi ich mieszkania jakby w obawie, że wysiłek ten okaże się dla syna zabójczy.

- Mamy tylko jeden wolny pokój, od tyłu. Widok jest stamtąd niespecjalny.

Stali na drugim piętrze domu, gdzie Kirsch po raz pierwszy ujrzał Marię. Stojąca na stole lampa elektryczna rzucała cienie na wyblakłe tapety w kwietny wzór, którymi wyklejony był korytarz. Z sufitu zwisał wyłączony szklany żyrandol.

Mettler otworzył drzwi, do których przykręcona była mosiężna cyferka „2”. Zapalił światło i cofnął się, by zrobić przejście Kirschowi.

- Powiedziałem panu, że wynajmuję tylko...

- To dla mojej uczennicy.

- Uczennicy? - Mettler przesunął okulary do nasady nosa.

- Jeśli może pan za nią poręczyć...

Pokój był skromnie umeblowany, ale schludny. Kuty w żelazie kominek i gipsowe gzymsy przydawały mu spartańskiej dystynkcji. Kirsch obrzucił wzrokiem stół nakryty koronkowym obrusem, solidną szafę, krucyfiks zawieszony nad łóżkiem. Okno wychodziło na zamknięte podwórze, sznury do bielizny i płatki śniegu przecinające ciemność.

- Chciałbym pokój z widokiem na ulicę.

Mettler potrząsnął głową.

- Mam tylko ten jeden.

Kirsch wskazał drzwi oznaczone cyferką „3” po przeciwnej stronie korytarza. Wymalowano ją ciemną czerwienią, lecz położono tak cienką warstewkę farby, że przeświecało przez nią drewno.

- A ten?

- Zajęty. Na razie.

- Na razie?

- Mam zapłacone do końca miesiąca.

- Dziś jest dwudziesty dziewiąty.

- Więc jest zapłacone do czwartku.

- Czy tam ktoś jest?

Mettler zerknął na ukos przez podest.

- Nie mam pojęcia. Nikogo nie śledzę.

- Mogę zajrzeć?

- Po co? Już mówiłem, że jest zajęty.

- Jeszcze nie. - Kirsch otworzył portfel. - Chętnie wynagrodzę pana za kłopot. Zważywszy, że jest tak późno.

Mettler z wolna się wyprostował, w krzyżu złowieszczo mu zatrzęszczało. Końcem języka zatoczył kółko na wargach.

- Muszę przynieść klucz.

Kirsch wyjął banknot pięciomarkowy.

- Zejdę z panem, żeby nie musiał pan się fatygować z powrotem.

Dwie minuty później stał sam przed drzwiami do pokoju Marii. W ręce trzymał zimny ciężki żelazny klucz. U siłował wyobrazić sobie pokój. Czy jest tak skąpo umeblowany jak ten po drugiej stronie podestu? Panuje w nim porządek czy bałagan?

Czy znajdzie się tam dowód przestępstwa, jak podejrzewał doktor Fischer? A może tu zaczęła popadać w obłąd? Widział już takie pokoje, do

których za nic w świecie nie chciałby wejść ponownie.

Uzmysłowił sobie, że pewnie dlatego nie przyszedł tu wcześniej. Trudno to wytłumaczyć, skoro wiedział, gdzie Maria mieszkała. Musiałby odpowiedzieć na najprzeróżniejsze niewygodne pytania. Ta groźba nadal istniała. Lecz nie z jej powodu tak się ociągał - po prostu bał się tego, co może tu zastać.

Tyle go to kosztowało wysiłku, że zakręciło mu się w głowie.

Ciemnoczerwone drzwi rozmyły mu się przed oczami, kurcząc się i rozciągając, jakby były żywe. Ścisnął klucz, na chwilę przytknął zimny metal do policzka, po czym niezdarnie włożył go do dziurki.

Szaleństwo

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Skąd się tu wzięłam po tylu latach? To normalne, że domagasz się wyjaśnienia, i choć miałam dość czasu, by je przygotować, nadal nie wiem, jak najlepiej Ci je przekazać. Najprościej byłoby opowiedzieć Ci wszystko osobiście, ale ta myśl napawa mnie obawą. Nie jestem wymowna i trafna uwaga przeważnie przychodzi mi do głowy poniewczasie. Dlatego postanowiłam to wszystko napisać, bym przynajmniej rozważyła swoje słowa, nim wezmę za nie odpowiedzialność.

Po pierwsze, pragnę Cię zapewnić, że wzrastałam w dobrych warunkach. Moja rodzina należała do znaczniejszych w wiosce Orlovat, gdzie się wychowałam. Ojciec rodziny, Zoltan Draganović, był posiadaczem jednego z największych i najbardziej okazałych domostw, przeciwnie niż większość cofniętym od drogi, z dziedzińcem od frontu mającym chronić nas przed letnim pyłem i spojrzzeniami przechodniów. Od tyłu znajdowała się pobielana weranda i zagroda dla kurcząt i gęsi, a także sad, w którym rosły jabłonie i drzewa wiśniowe. Stało tam też kilka budynków gospodarczych, w których trzymaliśmy konie i stary powóz - przynajmniej ojciec nazywał ten pojazd powozem, choć w

istocie był to zwykły wóz druciarza.

Posiadaliśmy też ziemię, którą puściliśmy w dzierżawę.

Sam dom był przestronny, pomalowany na żółto, nad oknami o zielonych futrynach widniały gipsowe tarcze herbowe. Motywy heraldyczne, które w większości odpadły, były austriackie. A to dlatego, że rodzina Draganoviciow od strony matki miała w żyłach austriacką krew, jak często tłumaczył ojciec. Od wczesnego wieku rozumiałam, że to ważne dla niego, a zatem i dla mnie, ale niebawem się zorientowałam, że nie zawsze należy o tym mówić. Miałam zaledwie siedem lat, gdy nauczycielka zarzuciła mi, że zadzieram nosa, a chłopcy rzucali we mnie kamykami, kiedy nikt nie widział. Przez jakiś czas tak się bałam pójść do szkoły, że mdlałam albo udawałam chorobę - oblewałam się zimną wodą i mamrotałam jak w gorączce. Nabrałam takiej wprawy w ukrywaniu prawdy, że czasami napędzałam mamie śmiertelnego strachu, aż mi się robiło jej żal, a wtedy udawałam, że wracam do siebie. Nie powiedziałam tacie o kłopotach, na jakie mnie naraża, ani o chłopakach, którzy rzucali we mnie kamykami, bo bałam się, że pomaszeruje do szkoły i skręci im karki, czym groził każdemu, kto obrazi honor naszej rodziny. W zasadzie nie miałabym nic przeciw temu, żeby chłopaków podusić, lecz nie chciałam, by ojciec został za to ukarany. W owych czasach jeszcze mi na nim zależało.

W tamtych latach zazdrościłam mojej siostrze. Senka była o rok młodsza ode mnie, a choć zaczęła chodzić do szkoły, szybko zwolniono ją z zajęć i nie musiała uczęszczać na lekcje. Uczyła ją w domu nasza matka. Nie przypominało to jednak nauki szkolnej, gdzie wciąż na nowo trzeba coś przepisywać i czegoś uczyć się na pamięć. Jeśli pogoda pozwalała, całe dni spędzała na dworze, gdzie zajmowała się zwierzętami, a także poznawała nazlry roślin i owadów. Jeśli padało, uczyła się w domu szycia i haftu przy kuchni, na co chętnie bym zamieniła swoją zimną szkolną ławkę i ciągle odrabianie ćwiczeń z ortografii oraz zadań z matematyki. W domu uczyłam się tylko niemieckiego, na czym zależało tacie ze względu na nasze pochodzenie po kądzieli.

W owym czasie miał posadę w cesarskiej służbie celnej i wiele dni spędzał w Nowym Sadzie. Bardzo chciałam zyskać uznanie ojca, więc podczas jego nieobecności pilnie się uczyłam, żeby zobaczył, jakie robię postępy. Najbardziej byłam dumna, gdy brał mnie na ręce i nazywał swoją schlaue kleine Dame. To była pierwsza pochwała, jaką od niego usłyszałam, w naszej rodzinie bowiem było wiadomo, że kobieta winna urodzić swemu mężowi syna i póki go nie ma, potomstwo innej płci to zbytek, do tego kosztowny. Ale ponieważ dzięki biegłości w niemieckim zasłużyłam na ojcowską pochwałę, postanowiłam uczyć się gorliwie wszystkich przedmiotów, by się przekonał, że jest ze mnie jakiś pożytek i jeszcze przysporzę rodzinie dobrego imienia. Nie stałam się przez to bardziej lubiana w klasie, przynajmniej jednak mogłam się trzymać z dala od boiska, chłopaków i ich kamieni.

Myślałam, że Senkę, jako najmłodszą, wdrażano do zajmowania się domem i dlatego nie musiała się uczyć.

Prawdziwą przyczynę wyjawiał mi chłopak ze szkoły, który zamiast ciskać we mnie kamieniami, pewnego dnia postanowił obrzucić mnie obelgami. Twoja siostra jest niedorozwinięta, krzyknął i wykrzywił się ohydnie. Choć Senka wcale tak nie wyglądała, wiedziałam, że jego mina przedstawia okrutną prawdę. Po powrocie do domu tego dnia zrozumiałam wszystko i wstydziłam się, że wcześniej zazdrościłam młodszej siostrzyczce.

Od tamtej pory bardzo zbliżyłam się do Senki. Jej imię znaczy po serbsku "cień" i łączyła mnie z nią więź silna jak z cieniem. Kiedy nie wkuwałam, byłyśmy nierozłączne. Zaczęłam ją nawet trochę uczyć, co cieszyło matkę (lecz nie ojca, który twierdził, że marnuję czas). Podkszałcałam ją w czytaniu i rachunkach - nie za wiele, bo potrafiła się skupić jedynie na krótko, a nie umiałam przyciągnąć z powrotem jej uwagi. Ale czegoś tam się nauczyła, a ja próbowałam uczyć się od niej, zwłaszcza obchodzenia się ze zwierzętami. Gęsi za nią chodziły, swymi pomarańczowymi dziobami delikatnie chwytając ją za rękawy i rąbek spódnicy. Głaskała ich długie puchate szyje, na co nie

pozwalają nikomu innemu. Gdy ja tylko się do nich zbliżałam, syczały, stroszyły pióra, a czasami, jeśli nie były nastrojone towarzysko, przeganiały mnie z podwórka.

Powiedziałam, że Senka była moją jedyną siostrą, ale parę lat później się dowiedziałam, że kiedyś miałam jeszcze jedną. Pewnego letniego dnia podczas wizyty towarzyskiej rozmowa zesłała na szkarlatynę, która pojawiła się w pobliskiej wiosce. Kiedy moja matka nagle zamilkła, a ojciec popatrzył na nią, zorientowałam się, że ten temat jest dla niej bolesny. Wiedziałam, że szkarlatyny bardzo się obawiano, w przeszłości bowiem zabrała wiele dzieci.

Potem zapytałam babcię, czy ktoś z naszej rodziny zmarł na tę chorobę.

Na początku była bardzo zaskoczona i powiedziała, że młoda dama nie powinna zadawać takich pytań, co upewniło mnie, że rzeczywiście ktoś na szkarlatynę zmarł.

Powiedziałam, że umiem dochować tajemnicy i tej na pewno nie wypapłę, co najwyraźniej ją przekonało. Odparła, że szkarlatyna zabrała pierwородną córkę mamy jeszcze w niemowlęctwie, o czym nie powinnam z nikim porozmawiać, bo wtedy szkarlatyna na pewno powróci do naszego domu. Wówczas wydawało mi się to całkiem rozsądne. Nie mówi się o Złym z obawy, by go nie przywołać, i zakładałam, że ten środek ostrożności stosowano na podobnej zasadzie. Dopiero po latach zaczęłam się zastanawiać, dlaczego do brzemienia smutku moja rodzina postanowiła dołożyć jeszcze brzemie tajemnicy.

Babcia, zdradziwszy mi ten sekret, zaczęła się martwić, że będzie mnie on dręczył. By mnie pocieszyć powiedziała, że co Bóg jedną ręką zabiera, drugą oddaje. Ta myśl bardzo do mnie przemawiała, ponieważ dawała do zrozumienia, że we wszechświecie panuje sprawiedliwość i miły stopień symetrii - tak jak w algebrze, której zaczęłam się uczyć w szkole. W tej dziedzinie wiedzy równanie może być rozwiązane tylko pod warunkiem, że obie strony mają równą wartość. W tym wypadku by zrównoważyć równanie w odniesieniu do mojej matki, Bóg



dał jej mnie.

Dowodem jest moje imię, takie samo jak zmarłego dziecka. Ze smutkiem zauważyłam, że mojej siostry Senki równanie nie obejmuje, ale wiedziałam dlaczego - nie chodzi do szkoły, jak ja, a zatem nie ma pojęcia ani o algebrze, ani o Bogu.

Wtedy uznano już, że mam spore zdolności naukowe.

Zaczęłam robić znaczne postępy, gdy w szkole pojawił się nowy nauczyciel z Zagrzebia, nazwiskiem Bosković. Studiował na uniwersytecie, skąd wyniósł wiele nowych teorii na temat programu nauczania. Pewnego deszczowego dnia, kiedy nie miałam jeszcze jedenastu lat, pojawił się przed naszym domem w najlepszym surducie i poprosił o rozmowę z moim ojcem. Nie wiedziałam, o co chodzi, i złękłam się, że zrobiłam coś złego, za co zostanę ukarana bądź usunięta ze szkoły. Usiłowałam podsłuchiwać pod drzwiami gabinetu ojca, ale przegoniła mnie matka, która nakazała mi surowo, bym poszła do siebie i pozostała tam, póki mnie nie wezwą. Siedziałam więc w swoim pokoju bliska łez, a w rogu Senka śpiewała sobie i rysowała, co całkiem dobrze jej wychodziło. Widząc, że się martwię, zaproponowała, że narysuje mój portret.

Zdołała tym trochę mnie rozerwać, zwłaszcza że wyglądałam na nim jak ładna dorosła panna, co bardzo mi pochlebiło.

Z okna pokoju ujrzałam, że pan Bosković wreszcie wychodzi, więc zbiegłam na dół, choć po mnie nie posłano. Moi rodzice wrócili do gabinetu, gdzie toczyli burzliwą dyskusję, co wyraźnie słyszałam - matka rozgorączkowana mówiła błagalnym tonem, ojciec odpowiadał zadzierzyście. Ich spory zawsze miały taki charakter, bez względu na przedmiot. Kilka razy poruszono kwestię pieniędzy i czy uda się je sprokurować w odpowiedniej kwocie, co też mnie nie zdziwiło, z mojego bowiem doświadczenia wynikało, że jedynie na ten temat rodzice potrafią rozmawiać ze sobą dłużej niż minutę - chyba że chodziło o jakieś wyraźne mankamenty w rodzinie mojej matki, gdyż o tym mój ojciec mógł rozprawiać bez końca.

Okazało się, że wcale nie o to chodzi. Jak poinformowała mnie matka, nauczyciel zalecił, bym kontynuowała naukę w gimnazjum w Beekereku, gdzie dyrektorem jest jego znajomy. Wiązałyby się z tym duże wydatki, bo trzeba by płacić chesne, nie wspominając o kosztach codziennego dojeżdżania pociągiem do Beekereku, który jest odległy o jakieś trzydzieści kilometrów. Z tego powodu, dodał ojciec, raczej nie skorzystają z rady nauczyciela, co było dla mnie wielkim rozczarowaniem. Miałam dość wiejskiej szkółki, szyderstw chłopaków i lekcji, na których wykładano materiał o wiele za łatwy, zwłaszcza z matematyki. Beekerek co prawda nie był dużym miastem, w zasadzie w ogóle nie był miastem, niemniej podlotkowi wydawało się, że to wielki świat. Ze łzami pobiegłam do swego pokoju, ukryłam głowę w ramionach i nie chciałam unieść twarzy do światła nawet na prośbę Senki, która narysowała mnie w tej pozycji, nakładając cienie równie ciemne jak mój nastrój.

Niepotrzebnie tak się zamartwiałam. Nie wiem dokładnie, jak znaleziono pieniądze na gimnazjum, ale znaleziono. Wiem, że mama napisała do naszej ciotki Heleny w Belgradzie i po miesiącu otrzymała przychylną odpowiedź. Ojciec również akurat wtedy zmienił zdanie, a ja już sama powiązałam te dwa zdarzenia. Zapytałam nawet, czy to ciotka Helena przysłała pieniądze na moją naukę, lecz nakazano mi ostro, bym nie gadała bzdur.

Na tym stanęło i więcej już o tej sprawie nie myślałam.

Odtąd moim życiem zawładnęła szkoła. Do zajęć w gimnazjum musiałam się o wiele gruntowniej przygotowywać niż kiedykolwiek przedtem, zwłaszcza że byłam o parę miesięcy młodsza niż reszta klasy. Pozostałe godziny pochłaniały mi codzienne dojazdy pociągiem, tak że nie miałam czasu ani siły na zabawę. A ponadto ojciec wykazywał teraz większe zainteresowanie moją nauką, krytycznie przeglądając moje prace domowe (choć większość z nich, zwłaszcza z matematyki, była dla niego niezrozumiała) i wymagał od nauczycieli ciągłych sprawozdań z moich postępów. Co najgorsze, zaczął się przechwalać moimi osiągnięciami, opowiadając wszem wobec, że jestem

cudownym dzieckiem, najwspanialszym dziewczęciem w okolicy, co nie było prawdą, o czym Ty akurat dobrze wiesz.

Krótko mówiąc, poświęcał mi wiele uwagi, o którą niegdyś tak zabiegałam, a teraz stała mi się ciężarem, lecz zniosłabym to bez słowa, gdyby nie zaczął haniebnie zaniedbywać mojej siostry. Jakby miał bardzo ograniczony zasób ojcowskiej miłości, jeśli w ogóle ją miał, i postanowił przeznaczyć go dla mnie. Odzywał się do niej szorstko, złośliwie szydził z jej gapowatości i narzekał, że za dużo je jak na dzieciaka, który cały dzień nic nie robi - co było niesprawiedliwe, gdyż nader troskliwie zajmowała się zwierzętami, a kury i gęsi niosły się bardzo obficie, o czym z podziwem mówiła cała wioska. Kiedyś matka skarciłaby go za tak wzgardliwe zachowanie, ale teraz podupadła na zdrowiu i kiedy wracałam, często leżała już w łóżku.

Dobrze wiedziałam, co go tak gniewa. Senka była z Draganoviciow. Jako opóźniona w rozwoju nie stanowiła dobrej partii, właściwie w ogóle nie była żadną partią, co rzucało cień na nazwisko rodowe. To kolejny znak, że ród podupada i idzie w rozsypkę, jak tarcze herbowe nad oknami i utracone ziemie (choć mieliśmy jeszcze sporo gruntów, więcej niż sąsiedzi). Patrząc na Senkę, ojciec za każdym razem przypominał sobie o tym wszystkim, przeżywał też, że nie ma syna, który mógłby przywrócić świetność rodziny; póki matka żyje, nie narodzi mu się następca. Całą nadzieję pokładał zatem we mnie, ja byłam jego jedynym ratunkiem, ale nie miałam złudzeń - jeśli go zawiodę, będzie mnie traktował tak jak moją siostrę.

Dopiero podczas wojny poznałam prawdziwą naturę mojego ojca. Dotychczas trzymaliśmy gęsi na jajka, lecz parę dni przed Bożym Narodzeniem oznajmił, że będziemy musieli jedną zabić na święta. Kazał Sence wybrać najtłustszego ptaka i dopilnować, żeby ukręcono mu łeb, po czym matka wypatroszy go i nadzieje. Nieszczęsna Senka zamilkła, gdyż straszliwie bała się ojca. Wiedziałam, jak musiała się przerazić jego słowami, bo gęsi były jej przyjaciółkami i każdej nadała imię. Nie domyśliłam się jednak, co zrobi, a ona

wykradła się tej nocy i wyprowadziła je na pola - tak daleko, że sama wróciła dopiero o świcie. Chyba się bała, że inaczej mogłyby wrócić same, ponieważ nigdy nie wykazywały najmniejszej skłonności do ucieczki, a trzymano je za ogrodzeniem tylko dla ich bezpieczeństwa.

Rano poszłam do szkoły i o wszystkim dowiedziałam się dopiero po powrocie, późnym popołudniem. Gęsi zniknęły, a i Senka gdzieś się zawieruszyła. Ojca nie było w domu, matka znowu leżała w łóżku. W końcu znalazłam Senkę w nie używanej części stajni - nieużywanej, gdyż wtedy mieliśmy tylko jednego konia. Moja siostra trzęsła się w kącie, przykryta słomą dla ochrony przed zimnem. Bała się wejść do domu, a kiedy pomagałam jej się podnieść, zobaczyłam, co ją spotkało. WaJgę miała rozciętą, na rękach, nogach i ramionach ślady razów i siniaki. Na jej plecy wołałam nie patrzeć. Do tej pory ojciec rzadko podnosił na nas rękę. To raczej matka starała się trzymać nas w ryzach. Można by pomyśleć, że teraz za jednym zamachem nadrobił cały stracony czas.

W następnych dniach część gęsi wróciła do wioski.

Przypędzano je w stadkach z powrotem do nas, choć ojciec twierdził, że wiele ukradziono. Mieliśmy gęś na święta, tak jak chciał ojciec, tyle że Senka jej nie jadła. Od tego dnia w ogóle nie jadała wspólnie z nami, chyba że nie było ojca, któremu jak powiedział, sam jej widok odbiera apetyt.

Nadal się uczyłam, jeszcze pilniej niż przedtem, chociaż często działania wojenne zakłócały jazdę pociągów, tak że nie mogłam się dostać do szkoły. Teraz poświęcałam się nauce nie ze względu na ojca, lecz by stworzyć sobie warunki do ucieczki, gdy nadejdzie pora. Nie wiedziałam, dokąd się udam, ale na pewno gdzieś daleko i wezmę ze sobą Senkę. Zastanawiałam się tylko, jak damy sobie radę ze stadkiem jej gęsi, ponieważ jak powiada rzymska legenda, gęsi to hałaśliwe ptaki i chcąc nie chcąc, mogą podnieść krzyk.

Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, nie czułam właściwie nienawiści do ojca, choć w sumie na nią zasłużył.

Raczej powzięłam głębokie przekonanie, że jesteśmy krańcowo różni. Tak różni, że jeśli istotnie stanowimy rodzinę i w naszych żyłach płynie ta sama krew, więź ta znaczy niewiele, znacznie mniej, niż się przeważnie zakłada. Tego dnia postanowiłam oddzielić się od rodziny Draganoviciow. Nie była to decyzja trudna, nie uważam się też za wyrodną córkę - chcę tylko odciąć się od całego tego rodu, zwłaszcza od linii matki. Nie miałam i nigdy nie będę miała najmniejszego powodu, by się nią szczycić.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy otworzył drzwi, najpierw rzuciły mu się w oczy listki lawendy w wazonie z rżniętego szkła oraz stosik starannie złożonych halek na wiklinowym krześle. Na komodzie leżała sterta pocztówek, niezapisanych, jak się okazało - widoczki Berlina, takie, jakie kupował Marii. Obok ręczne lusterko i szczotka do kompletu, na której zostało jeszcze parę ciemnych włosów. Na łóżku leżała staromodna lalka o porcelanowej twarzy i orientalnych oczach, ubrana w tradycyjny chiński czerwonozielony strój.

Przy drzwiach stała para czarnych sznurowanych trzewików, takich, jakie miała na sobie Maria, gdy ją zobaczył przed sklepem muzycznym herr Bronsteina. Ustawione były równo obok siebie, z noskami na zewnątrz.

Wszystko na swoim miejscu. Wszystko jak trzeba. Nic nie podarto na strzępy. Niczego nie nabazgrano na ścianach. Ani śladu krwi. Z halek nadal unosił się świeży zapach pralni.

Tak rozmieściła swój dobytek, by jak najlepiej wykorzystać skąpą przestrzeń i wyeksponować tych kilka przyciągających oko rzeczy: lalkę, koronkowy obrus, ręczne lusterko wykładane macicą perłową. Nie opuściła pokoju w pośpiechu. Tak wszystko poukładała, by wróciwszy, zrobiło jej się miło na sercu. Ten pokój miał zrobić wrażenie. Ale na kim?

Prócz staromodnej lalki nic w pokoju nie nasuwało myśli o dziecku, nie

było nawet zdjęcia czy medalionu z kosmykiem włosów. Kirsch podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, wyobrażając sobie, iak tam stoi z kapeluszem w ręce, zablakany, szukając drogi. Śnieg przywierał do lamp i szczytu muru cmentarza. Zbierał się na chodnikach. Para skulonych sylwetek pospiesznie przeszła przez bramę, nie czyniąc najmniejszego szelestu.

Zamknął drzwi, podszedł do komody i po kolei otwierał szuflady. Zawierały głównie sztuki ubrania, czyste i poskładane, choć bardzo nieliczne, a prócz tego przybornik do szycia ze szpulkami kolorowych nici. Niektóre ubrania były połatane. Miała kilka par bawełnianych pończoch, czarnych i grubszych, jakich wystrzegały się dziewczęta z Tanguero. Metki z pralni nie pozwoliły mu się zorientować, z jakiego zakładu korzystała.

W szafie wisiały trzy sukienki w zwykłe wzory drukowane na ciemnym materiale, jedna miała plisowany dół. Żadna nie była opatrzona metką. Z boku leżał brązowy aksamitny kapelusz w kształcie hełmu, w którym widział ją na ulicy. Na metce widniał napis: "Herrmann Gerson, Werderscher Markt, BERLIN", lecz nie był to ostatni krzyk mody. Albo sprawiła go sobie w stolicy przed laty, albo kupiła używany, może na którymś ze straganów na Grenadierstrasse. Wisiało tam też palto i dojrzał sukienkę, którą miała na sobie w Tanguero.

Zamykając drzwi szafy, ujrzał swe nachmurzone odbicie w mętnym lustrze. W takim razie co miała na sobie podczas wycieczki do Poczdamu? Inny kapelusz, inne palto, inne buty?

Czy Alma nie powtarzała mu po wielekroć, że takie rzeczy kompletnie odmieniają kobietę? Rozejrzał się po pokoju, w nagłym przypiływie paniki dostrzegł jego pustkę. Nie było w nim nic osobistego, żadnej wyraźnej przeszłości. Parę przedmiotów, które sensownie rozłożył ktoś wyglądający nowego życia. Pusta scena gotowa na pojawienie się nowych aktorów.

Usiadł na łóżku. Czy może zaufać swym wrażeniom? Wygląd pokoju można też wytłumaczyć w inny sposób. Może Maria objęła go z bardzo

skromnym dobytkiem, gdyż w ogóle miała bardzo skromny dobytek. Albo zamierzała zatrzymać się tu tylko na krótko. Pościel była nieskazitelnie czysta. Obróciwszy poduszkę, znalazł kilka zagnieceń na bawełnianej poszewce. Przyłożywszy do niej głowę, wyczuł słaby zapach piżma.

Obcasem uderzył o coś twardego. Stało pod łóżkiem - to stary kufer podróżny, żółty brezent rozpięty na lakierowanym drewnie z czerwonymi inicjałami Z M D wypisanymi szablonem na przodzie. Wysunął go do światła. Spłowiata naklejka na wieku głosiła: "Hotel Sacher, Wiedeń". Z dołu dobiegł głuchy odgłos zamykanych drzwi. Nasłuchiwał chwilę, po czym otworzył zamki.

Pokrywa odskoczyła z ostrym trzaskiem, w nozdrza uderzył go zapach piżma, który znał aż za dobrze. Klękając na podłodze, wyciągał książki, po dwie naraz, obracając je grzbietem do światła. Były to podręczniki do matematyki, fizyki, chemii - stare niemieckie wydania. Tłumaczenie "Zarysu astronomii"

Johna F. Herschla opatrzone było licznymi notatkami ołówkiem.

Egzemplarz oryginalnego wydania "Zasady względności" Lorentza, prace Einsteina, Minkowskiego i Sommerfelda miały poniszczone grzbiety, tak że kartki wysypywały się, gdy otwierał te dzieła. Na co Marii takie książki?

Był tam też notatnik w twardej oprawie. Wypełniały go wyliczenia matematyczne - linijka po linijce, strona za stroną równań i symboli, wiele poprawionych albo wykreślonych. Kirsch rozpoznał zapis rachunku różniczkowego, te same zagadki matematyczne, do których niegdyś Max zasadał gości w Reinsdorfie.

Natychmiast przypomniał sobie, co przeczytał w gazecie - że w poczdamskim lesie w pobliżu miejsca, gdzie leżała nieprzytomna Maria, policja znalazła program czy też ulotkę. Informowała ona o publicznym wykładzie na temat "Obecnego stanu badań nad teorią kwantową", który profesor Albert Einstein miał wygłosić w sali filharmonii.

- I co ci mówiłem? - rzekł Max tak wyraźnie, jakby stał tuż obok niego.

- Nic mi nie mówiłeś - odparł Kirsch.

Z korytarza na dole dobiegło kaszlnięcie, a potem stłumione odgłosy kłótni gospodarza z matką. Kirsch wsunął notatnik pod palto i wrócił do kufra. Na samym dnie, pod podręcznikami, natrafił na jakąś rzecz pokaźnych rozmiarów owiniętą w biały kawałek materiału.

- Doktorze Kirsch? - zawołał Mettler ze schodów. Najwyraźniej za pięć marek można sobie kupić tylko określone przywileje. - Skończył pan?

Kirsch pospiesznie rozwinął materiał. W środku znajdował się stary album ze zdjęciami, z wytłaczaną skórzaną okładką.

Taki sam był w domu dziadka, spore solidne tomiszcze, które chowa się obok rodzinnej Biblii w specjalnym miejscu, gdzie nie uszkodzą go ani promienie słoneczne, ani niesforne łapska.

Z boku znajdowała się mosiężna klamra. Najwyraźniej uszkodzona. Musiał rozewrzeć ją obiema rękami.

Na dole herr Mettler westchnął głośno i zaczął dreptać po schodach, co parę stopni chrząkając z irytacją. Kirsch otworzył album.

Zdjęcia zabezpieczono narożnikami z posrebrzanego papieru. Na każdej karcie wyznaczyły mniejsze i większe prostokątne przestrzenie. Ale samych fotografii nie było. Zostały po nich tylko słabe cienie i ślady noża na powierzchni stronicy.

W połowie albumu znalazł miejsce po zdjęciach, które ktoś z rodziny najwyraźniej zrobił własnym aparatem. Małe fotki, kwadraty na parę centymetrów, umieszczono na kolejnych stronicach w równych odstępach. Przytrzymały je takie same narożniki, lecz nawet ich w kilku miejscach brakowało.

U dołu ostatniej strony Kirsch znalazł jedyną fotografię, która się zachowała. Dwie dziewczynki mające na oko z dziesięć, jedenaście lat, w chustce na głowie, karmiły stado gęsi. Jedna stała nieco z tyłu, trzymając w



dłoniach kawałek chleba. Druga, przykucnięta, głaskała ptaka i karmiła go. Obie z uśmiechem spoglądały w obiektyw. Któraś z nich mogła być Marią, A może żadna?

Mettler szedł przez podest, pokasłując, by dać znać, że się zbliża.

- Więc tego pan szuka?

Przyglądał się tej scenie przez grube szkła niepewny, czy winien upomnieć Kirscha za naruszenie prywatności.

Kirsch zamknął album.

- Proszę mi wybaczyć, herr Mettler - rzekł. - Ale coś mi się zdaje, że nie czyta pan gazet.

Mettler poprawił okulary.

- Gazet?

- Bo ma pan dość znaną lokatorkę.

Na imię miała Marija, tak jak powiedziała, tylko pisane na sposób słowiański - Marija Draganović. Przynajmniej takie nazwisko podała po przybyciu. Herr Mettler przyznał, że nie poprosił jej o okazanie paszportu. Przybyła na początku października z Zurychu, gdzie rzekomo studiowała. Polecono jej ten dom ze względu na czystość i dogodne położenie. Nie powiedziała, po co przybyła do Berlina. Zapłaciła czynsz za półtora miesiąca z góry, prowadziła spokojny tryb życia i przyjmowała niewielu gości - właściwie gospodarz nie pamięta, by ktokolwiek ją odwiedzał.

Marija - a więc zapamiętała jak należy. To dobry znak, dający nadzieję - chyba że jest wynikiem pomyłki, potknięcia w skądinąd bezbłędnej grze.

„Trzeba brać pod uwagę wszelkie możliwości, doktorze Kirsch”.

Wracając na przystanek tramwajowy przez zaśnieżone świetliste ulice, Kirsch jeszcze raz przebiegł myślą fakty. Jego pacjentka jest studentką matematyki z Zurychu, choć zważywszy na jej akcent, zapewne nie pochodzi z tego miasta. Marija Draganović. Nazwisko przydawało jej realności. Umieszczało ją z powrotem w świecie, w świecie poza Charité. To dobrze,

napomnił się, skoro celem leczenia psychiatrycznego jest przywrócenie pacjenta społeczeństwu. Z drugiej strony, wedle literatury przedmiotu, pacjenci cierpiący na fugę psychogenną zazwyczaj przybierają nową tożsamość. Hans J., urzędnik bankowy z Norymbergi, przysięgał, że nazywa się Otto Kleist i jest wywiadowcą policyjnym z Berlina. Kirsch zyska prawdziwą pewność, że nazwisko Mariji Draganović jest prawdziwe, dopiero gdy ujrzy je na oficjalnym dokumencie.

Marija Draganović. Dlaczego w Tanguero nie podała mu prawdziwego imienia? Dlaczego kłamała? Może by ukryć swe słowiańskie pochodzenie, jak to zwykły czynić kobiety lekkiej konduity? Czy też sądziła, że zatajając swą tożsamość, będzie bezpieczna?

Po prostu mu nie ufała. I tyle.

Pomyślał, że wróci do kliniki i opowie jej wszystko, czego się dowiedział. Lecz jak ten potok informacji na nią wpłynie? Historie przypadków fugi psychogennej nie były zachęcające. Hans J. po odzyskaniu tożsamości wrócił do swego domu w Norymberdze i do pracy w banku. Ale potem jego życie i psychika zaczęły się z wolna rozpadać. To samo stało się z Angielką, dwudziestoosmioletnią Ethel. Również ona odzyskała pamięć i wróciła do domu w Manchesterze. Jednakże w późniejszych wywiadach członkowie jej rodziny utrzymywali, że nie jest tą samą kobietą, stała się skryta i znikła na całe godziny bez słowa wyjaśnienia.

Któraś ciotka nawet stwierdziła, że Ethel jest oszustką, i doniosła na nią na policję.

Istota problemu polega nie na tym, że chory traci pamięć, lecz że jego umysł podejmuje decyzję, by zapomnieć, wymazać wspomnienia, których nie może czy nie powinien zachować.

Umysł Mariji mógłby ponownie powziąć tę samą decyzję. A wtedy zapomni również Kirscha.

Wróciwszy do siebie, Kirsch zrzucił ciężkie palto. Notatnik wylądował z

hukiem na podłodze, przy czym wypadło z niego kilka luźnych skrawków papieru. Kirsch przyklęknął, by je zebrać. Jeden okazał się starym listem. Choć papier pożółkł z latami dało się odczytać zgrabne kobiece pismo. Adres brzmiał: Fr: Mileva EinsteinMarić, Tillerstrasse 18, Berno, Szwajcaria.

Belgrad, 21 kwietnia 1903  
Kochana Milevo, korzystam z okazji, żeby napisać do Ciebie tych parę słów, bo dzieci śpią, Milivoj wyszedł i mam trochę spokoju. Powinnam była wcześniej Ci odpisać i podziękować za serdeczne życzenia, ale mam tyle pracy przy dziecku, że trudno mi podolać innym obowiązkom, zwłaszcza że i mała Julka wymaga należytnej uwagi.

Zdziwiło mnie Twoje pytanie o możliwość zaczepienia się w Belgradzie. Czy dobrze zastanowiliście się z mężem?

Szkoda naturalnie, że nie lubi swojej obecnej pracy, lecz takiej posady akademickiej, jakiej kiedyś szukał, tu nie znajdzie, nawet na uniwersytecie, który jak wiesz, nie ma najwyższego poziomu w dziedzinie nauk ścisłych. A szkoda byłoby Twoich zdolności matematycznych i innych, które zaprowadziły Cię na studia w Szwajcarii, żebyś skończyła tu jako zwykła nauczycielka matematyki.

Wiem, że gdy pytasz o takie sprawy, chodzi Ci o Lieserl. Proszę Cię jednak, byś w tej mierze postępowała ostrożnie i przestrzegała zawartych umów. Szczęściem udało się znaleźć ludzi, którzy okazali nam pomoc, i nie byłoby dobrze ani dla dziecka, ani dla wszystkich pozostałych, gdybyś miała się z nich wycofać. Na razie mogę Cię uspokoić o tyle, że mam dobre wieści z Orlovatu. Moja przyjaciółka Irena była tam przed tygodniem. Mówi, że dziecko wygląda zdrowo, apetyt mu dopisuje i jest zadbane. Co więcej, wkrótce będzie miało rodzeństwo, bo pani D. znowu jest przy nadziei i ma urodzić za jakieś półtora miesiąca. Jednakże ostatnio marnie się czuje i obawiają się o zdrowie tego dziecka tak samo jak ostatniego.

Skoro jesteś mężatką, a Albert zarabia na utrzymanie Was obojga, życzę Ci z całego serca, byś założyła własną rodzinę i porzuciła te dawne troski.

Milivoj i ja naturalnie bardzo się cieszymy, że planujecie się tu wybrać w tym roku, ale mam nadzieję, że nie zamierzasz w czasie swego pobytu obrócić wniwecz tego, co ustalono zgodnie z Twoimi życzeniami i ku zadowoleniu wszystkich.

Za parę dni napiszę więcej. Tymczasem przesyłam Wam obojgu najserdeczniejsze życzenia.

Twoja oddana przyjaciółka

Helena Savić.

Kirsch usiadł na łóżku. Wymienione w liście nazwiska nic mu nie mówiły. Tak czy tak, to historia sprzed trzydziestu lat, sprawy obcych ludzi, które już dawno pochłonął marsz historii - wspomnieniom tym w najlepszym razie brakuje treści.

Na co był Mariji ten stary list? Czy ktoś go jej dał? Czy też to jakiś skrawek prywatnej korespondencji, którą znajdujemy czasem między kartami cudzej zaczytanej książki, wart tyle co zakładka do niej?

Położył się. Był wyczerpany, lecz czuł nieokreślone podenerwowanie. Właściwie pokój Mariji powinien dodać mu otuchy - ze względu na czystość i porządek - tymczasem nie dodał.

Przyszło mu do głowy, że ten pokój jest upiorny, cmentarny, jak grób oczekujący lokatora.

Znowu spojrzał na list. Wiosna 1903. Przedwojenny świat, który ledwo pamięta. Świat, który już dawno odszedł na dobre.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Następnego dnia Kirsch otrzymał list od swego dawnego dowódcy. Nie miał wiadomości od Gustava Schada już od ponad dwunastu lat, ale pułkownik pozwolił sobie do niego napisać, przeczytawszy jego nazwisko w prasie.

Słyszałem, że przerzuciłeś się na psychiatrię. Cieszę się, choć wcale nie

jestem zdziwiony, że Ci się powiodło.

Po latach pracy w szpitalu w Essen Schad niedawno powrócił do stolicy, gdzie otworzył prywatną praktykę.

Miałem dość wdychania dymu i uznałem, że już czas odetchnąć tym słynnym powietrzem, które wy, berlińczycy, tak rozgłośnie opiewacie. Mam tu niewielu znajomych i chętnie powspominam stare złe czasy z dawnym towarzyszem.

Kirsch zanotował adres - Schad osiadł w Charlottenburgu, na zachodzie miasta, w dość szacownej dzielnicy zamieszkaney przez dotknięte reumatyzmem stare damy i żałośliwie skomlące psy. Choć zawsze szanował Schada, wątpił, czy znajdzie czas na tę wycieczkę. Podobne spotkania, mimo wzajemnego poklepywania się po plecach i wymienianych serdeczności, nieodmiennie przywoływały wspomnienia, do których w miarę możliwości wolałby nie wracać. I nic nie pomagała świadomość, że inni mieli te same odczucia. Niektórych dawnych towarzyszy chętnie ujrzałby znowu, lecz na ile się orientował, ci akurat nie żyli.

Przez cały ranek usiłował odrobić zaległości w papierkowej robocie. Rosła góra nienapisanych sprawozdań i nieudokumentowanych przypadków, a nowych pacjentów przyjmowano codziennie. Nie zaczął też pracy nad projektem dla doktora Fischera, choć antropolog tak pilnie wyglądał wyników. Przystąpił do dzieła od razu, waląc w swego starego adlera, jak szalony stukając w klawisze, bez przerw na poprawki, byle utrzymać tę gorączkę i ruch.

Skończył jedno sprawozdanie, włożył je do akt i zaczął drugie: "Wstępna ocena stanu pacjenta Josepha Grossmana".

Grossman był muzykiem, skrzypkiem w którejś z miejskich orkiestr symfonicznych. Miał czterdzieści siedem lat, był drobny i zaczynał łysieć. Jego gra stawała się coraz bardziej nierówna, tak że zaczynało to utrudniać prowadzenie prób. Dopiero wówczas zauważono też inne dziwactwa: rozmawiał (i jak się okazało, prowadził korespondencję) w sposób oderwany i chaotyczny,

zaczepiał obcych na ulicy i w pociągu, w domu komponował nonsensowną muzykę, a nutami zapisywał nie tylko sterty papieru, lecz pokrywał nimi ściany, drzwi, abażury i meble. Gdy jego gospodyni próbowała je zetrzeć, groził, że obetnie jej uszy.

Nieprawidłowości w zachowaniu Grossmana to podręcznikowe, wyraźnie rozpoznawalne oznaki schizofrenii. Kirscha zdziwiło tylko, że nikt tak długo ich nie zauważał. Mimo że muzyk pracował w dużej grupie ludzi, praktycznie nie miał przyjaciół, co zaczęło się zmieniać dopiero w klinice. Tu swoją grą przyciągał pacjentów, zwłaszcza Mariję. Wychodziła nawet na dwór i słuchała, nie odrywając wzroku od smyczka i palców grajka o poobgryzanych paznokciach, przesuwających się niczym kraby ze struny na strunę i z wolna siniejących z zimna.

Przez chwilę Kirschowi się wydawało, że z dziedzińca dobiegają go dźwięki skrzypiec Grossmana, a to tylko wiatr uderzał w bok budynku.

Pisał dalej, wystukał nazwisko pacjenta, po czym przerwał.

Palce miał sparaliżowane. Jego umysł nie potrafił już znaleźć odpowiednich słów. Było to tylko sprawozdanie, rutynowy zapis wstępnych ustaleń, tymczasowego wniosku. Ale nie mógł go napisać. Przeglądał notatki, usiłując w nich znaleźć jakąś myśl, jakiś sens. Beznadziejna sprawa. Wszystko co czytał, każdy zwrot, wszelkie profesjonalne obserwacje wydawały mu się dęte.

Sięgnął po notatnik, który wyjął z kufra Mariji. Wpatrzył się w całe linijki egzotycznych symboli i liczb. Nie było w nich nic poetycznego. Cała matematyka tego rodzaju jest próbą doprowadzenia świata do stanu równowagi, ukazania równoważności rzeczy z pozoru zupełnie odmiennych - przyspieszenia i siły ciężkości, energii i masy; dąży do zrównoważenia rzeczywistości w jednym punkcie podparcia wyrażonym za pomocą dwóch równoległych myślników, które tworzą znak równości. W fizyce teoretycznej to zadanie delikatne i olbrzymie, wręcz heroiczne, podróż w świat, w którym nic, nawet o

fundamentalnym znaczeniu, nie jest ustalone raz na zawsze, gdzie ludzkie postrzeganie i ludzki język mogą się okazać zarówno wrogami, jak i przyjaciółmi.

Lecz jaki jest cel poszukiwań Mariji? Jaki problem usiłuje rozwiązać?

A może nie ma tu żadnego problemu. Może to wszystko bzdury, jak muzyka, której notacjami Joseph Grossman zabazgrał całe swoje mieszkanie.

Max byłby wiedział. Dla niego to wszystko byłoby jasne, jak tyle innych rzeczy, które jego bratu wydają się mętne. Ale Max żył tylko w jego snach.

Na Unter den Linden zatrudniono bezrobotnych do posypywania żwirem oblodzonych chodników. Ci przygarbieni wychudzeni ludzie, zwerbowani spośród klientów noclegowni i garkuchni, machali łopatami za parę fenigów za godzinę.

W przeciwieństwie do siły roboczej, żwiru brakowało. Mężczyźni stali w kolejkach, by nabrać na łopaty żwir z małych kupek, które co jakiś czas wyładowywano wzdłuż drogi. Stali pochyleni, czekając na nadzianych przechodniów, i usypywali nieco żwiru przed sunącymi ulicą pieszymi, jakby rzucali liście palmowe zwycięskiemu bohaterowi, w nadziei, że dzięki swej uniżonej postawie dostaną napiwek.

Kirsch miał już puste kieszenie, gdy wyłoniły się przed nim czarne od sady kolumny gmachu opery. Ślizgając się w śnieżnej brei, pospiesznie przeszedł przez ulicę ku Akademii Nauk, uskakując przed sznurem taksówek. Ostry wschodni wiatr targał na nim ubranie, omal nie zrzucając mu kapelusza z głowy. Łatwiej byłoby mu utrzymać równowagę, gdyby wyciągnął ręce, lecz pod pachą mocno przyciskał notatnik.

Już na rogu FranzJoseph Platzu usłyszał nagły urywany sygnał klaksonu. Akurat zdążył zauważyć zielonego mercedesa, który nagle wynurzył się z za ciężarówki i najeżdżał na niego z szybkością samochodu wyścigowego. Kirsch skoczył na krawężnik, po czym stracił równowagę i całym ciężarem runął na kolano. Notatnik wypadł na ziemię, lądując grzbietem do góry. Kirsch rzucił się,

by go podnieść, niestety, szkoda już się stała. Atrament rozmazał się na stronicach, liczby i symbole pochłapały się i zatarły. Papier był marnej jakości. Nasiąknął wodą jak szmata, zbijając się w papkowatą masę. Mercedes śmignął naprzód, opryskując Kirscha śniegową breją. Zaklął głośno i obróciwszy się, w otwartym oknie zdążył jeszcze zobaczyć w okienku twarz kierowcy. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, o zwisającym wąsie i przekrwionych oczach. Wyglądał na zmieszanego, jakby wiedział, że winien jest przeprosiny, lecz nie ma na nie czasu.

Mercedes zahamował, ostro skręcił na plac i zniknął, zostawiając za sobą chmurę spalin.

Portier w Akademii Nauk obrzucił wzrokiem Kirscha, łypiąc niechętnym okiem na zabłocone spodnie i krople wody nadal ściekające z palta.

- Więc jak pan się nazywa?

- Doktor Martin Kirsch z kliniki psychiatrycznej Charité.

Portier westchnął i zniknął w swym pomieszczeniu, zostawiając Kirscha w holu. Wspaniałe marmurowe schody wiodły na pierwsze piętro, gdzie inny portier - krzepki mężczyzna o lśniącej łysinie - patrzył na niego z wyższością. Z korytarza dochodził odgłos prowadzonego wykładu. Wykładowca powiedział coś zabawnego. Hol na chwilę wypełnił szmer uprzejmego śmiechu.

A jeśli wykładowcą jest Albert Einstein? Istnieje taka możliwość. Na tej akademii przedstawiono wiele najwybitniejszych prac. Na myśl, że wielki uczoney mógłby tu być, mógłby w każdej chwili zejść ze schodów, serce Kirschowi zabiło mocniej.

- Doktor Kirsch?

Stał przed nim mężczyzna z pincenez nasadzonym na nos, spod marynarki wystawał mu kołnierzyk koszuli frakowej. Okazało się, że nosi nazwisko Klepper i pełni w akademii funkcję administracyjną.

Kirsch wyjął notatnik. Wyjaśnił, że zawiera on obliczenia, których dokonała jedna z jego pacjentek.



- Nikt w klinice nie potrafi powiedzieć, czy mają sens. Są zbyt skomplikowane. Ale któryś ze znakomitych członków akademii pozna się na nich od razu.

Klepper zerknął na notatnik, na pogniecione stronicie i rozmazany atrament.

- Nie bardzo rozumiem. Mówi pan o pacjentce chorej psychicznie.

- Tak.

- Ta pacjentka jest matematyczką?

- Studentką matematyki. A może fizyki.

- A więc... - Klepper zmarszczył brwi. Choć mógł mieć najwyżej trzydziestkę, jego ubiór i sposób bycia świadczyły o tęsknocie do powagi wieku średniego. - Szuka pan dla niej nauczyciela?

- Chcę się dowiedzieć, czy te obliczenia świadczą o zaburzeniu umysłowym. Chcę się dowiedzieć, czy pod względem matematycznym mają sens.

- Jeśli pańska pacjentka jest studentką, najlepiej zwrócić się do jej nauczycieli.

- To niestety niemożliwe.

Klepper wzruszył ramionami.

- No cóż, doktorze...

Kirsch poczuł, że strumień zimna przebiega mu po plecach.

Ktoś wchodził przez frontowe drzwi.

- Nazywam się Kirsch.

- Nasi członkowie nie udzielają zazwyczaj bezpłatnych konsultacji... - Spojrzenie Kleppera spoczęło na zabłoconych butach doktora. - Nikomu.

- To tylko parę minut. Dla fizyka.

. - Niestety, to wykluczone. Nasi profesorowie są niezmiernie zajęci. I chyba doskonale się pan orientuje, że ich czas jest cenny. - Klepper zrobił nieokreślony gest w stronę ulicy.

- Może spróbuje pan na uniwersytecie.

Kirsch odwrócił się i ujrzał, że stoi za nim mężczyzna w średnim wieku, o wysokim czole i z siwym wąsem.

- Dzień dobry, panie profesorze - rzekł herr Klepper.

- Czy mogę w czymś pomóc?

Profesor spojrział na Kirscha przepraszająco, a on przypomniał sobie pędzącego mercedesa, który omal go nie przejechał - i twarz kierowcy w oknie.

Profesor ściągnął grube skórzane rękawiczki i podał rękę Kirschowi.

- Max von Laue. Więc szuka pan fizyka?

Von Laue. Tuż przed wojną otrzymał Nagrodę Nobla za prace nad promieniami Roentgena. Napisał książkę o ogólnej teorii względności.

Kirsch przedstawił się i wyjaśnił cel swojej wizyty. Profesor z powagą skinął głową, przewracając kilka zawilgłych kartek.

Niestety hol był skąpo oświetlony i nawet mrużąc oczy, profesor niewiele mógł wyczytać.

- Proszę mi go zostawić - rzekł. - Będę się z nim obchodził bardzo pieczołowicie.

Wykład na górze dobiegł końca.

Atmosferę nabożnej ciszy na chwilę przerwały oklaski. To był świat Maksa, świat idei, czystej myśli, świat, do którego się urodził, ale go nie dożył.

Kirsch zostawił swoją wizytówkę i wyszedł, rzucając pożegnalne spojrzenie na marmurowe schody.

W świetlicy dla personelu rozmawiano głównie o awansie generała Schleichera z ministra wojny na kanclerza Rzeszy. Przeważał pogląd, że niebawem ogłoszony będzie stan wyjątkowy, gdyż nowy kanclerz nie zdoła zebrać w Reichstagu większości, dzięki której mógłby przeforsowywać ustawy. Inni twierdzili, że zostanie sklecona koalicja z bardziej pragmatycznym skrzydłem partii narodowosocjalistycznej, zostawiając Adolfa Hitlera na lodzie. Sytuacja gospodarcza ulegała poprawie, a poparcie dla nacjonalistów słabło.

Narodowi socjaliści zapewne już nigdy więcej nie dojdą do władzy.

Kirsch wrócił do swego gabinetu, gdzie dalej nadrabiał zaległości w papierkowej robocie, ale po paru godzinach oczy tak go rozboleły, że nie mógł już dłużej pisać. Ramię miał ciężkie i zimne, jakby z wolna obracało się w kamień. Od dawna już go nie oglądał. Wyszedł na podest i zapalił papierosa. Na dworze śnieg i breja w zapadającym zmierzchu przybrały sinawy odcień.

Po przeciwległej stronie kanału płonął chyba stos odpadów, od czasu do czasu wyrzucając płomień barwiące mgliste powietrze na żółto.

Na śniegu odcisnęły się ślady, zwierzęce i ludzkie. Po nocach wokół szpitala węszyły bezpańskie psy przyciągane unoszącymi się z kuchni zapachami, zwłaszcza gdy panował ziąb. Często przewracały kosze na śmieci, rozrzucając obierki i odpadki po dziedzińcu. Kirsch śledził wzrokiem ich kręte ścieżki, póki nie zapadła ciemność.

Wyszedł z kliniki koło ósmej. Powietrze na dworze było przenikliwie zimne i wilgotne. Błotnista breja na chodnikach zaczęła zamarzać. Śnieg pod nogami trzeszczał jak potłuczone szkło. Kirsch skulił się, chowając podbródek między klapy palta.

Przed głównym budynkiem szpitala zakręcił samochód. Kirsch widział, jak jego cień unosi się między ceglanymi murami. Zmrużył oczy, chroniąc je przed światłem reflektorów, gdy samochód zatrzymał się przy krawężniku tuż obok niego.

- Doktor Kirsch?

Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie. Kłęby spalin przesłaniały wnętrze. Potem ujrzał brodate oblicze o cerze wilka morskiego oraz wychyloną ku niemu kościstą postać.

- Doktor Fischer?

- Ależ nam się trafiło! Proszę wsiadać, proszę wsiadać.

Bucher i ja jesteśmy całkowicie do pańskiej dyspozycji. - Szofer Fischera wysiadł i otworzył przed Kirschem drzwi. - Proszę się pospieszyć. Strasznie

zimno.

Kirsch wgramolił się do środka.

- Nie spodziewałem się pana, doktorze. Czy myśmy się...

- Właśnie przyjechałem z Monachium. Pomyślałem, że wpadnę tu na wszelki wypadek. Dzwoniłem z dworca, ale nikt nie wiedział, gdzie pan jest.

Wjechali od razu na główną ulicę, kierując się ku wschodowi.

Po obu stronach czarne sylwetki wysokościowców rysowały się na tle ponurego miejskiego nieba. Jak na panujące warunki Bucher jechał szybko.

- Otrzymał pan czek? - zapytał Fischer.

- Tak, dziękuję bardzo.

- Mam nadzieję, że wystarczy na rozpoczęcie prac, o których rozmawialiśmy.

- Aż nadto. Właśnie sporządzam listę instytucji i lekarzy, do których moglibyśmy się zwrócić.

Tylko tyle przyszło mu do głowy, zważywszy, że w istocie nie zrobił nic.

- Przecież przysłałem panu taką listę.

- Pańska lista jest dobra na początek. Uważam, że powinniśmy nawiązać jak najszersze kontakty.

Fischer sięgnął do kieszeni i wyjął papierośnicę.

- Dobrze się orientuję, kto będzie chciał z nami współpracować. - Poczęstował Kirscha papierosem. - Niech się pan trzyma mojej listy. Oszczędzi to panu mnóstwo czasu.

Kirsch odmówił papierosa, zastanawiając się, skąd Fischer tak dobrze zna światek niemieckiej psychiatrii i według jakich kryteriów sporządził swoją listę.

Fischer pstryknął zapalniczką, osłaniając ręką płomień.

- Broń Boże, nie przynaglam pana. Nic podobnego. Niech pan sobie spokojnie pracuje.

Po północnej stronie Luisenplatzu zrównali się z tramwajem, obok nich przesuwały się smugi żółtego światła, ciemne zarysy głów i twarzy

wyglądających przez zamglone szyby. Kirsch odniósł wrażenie, że Fischer właśnie go przynagla. Ale być może po prostu zawsze w ten sposób stawia sprawę.

Fischer rozparł się wygodnie, zdejmując z języka okruch tytomu.

- A jak tam pańska szczególna pacjentka? Dowiedział się pan czegoś?

- Co nieco - rzekł Kirsch.

Fischer obrócił się ku niemu, wydmuchując chmurę dymu.

- A co takiego?

Bucher również mu się przypatrywał w lusterku wstecznym.

W świetle ulicznym Kirsch widział jego oczy.

Wzruszył ramionami.

- Jest studentką, przyjechała z Zurychu.

- Powiedziała to panu?

- Nie. Zgłosił się jej gospodarz. Zobaczył jej zdjęcie w gazetach. Nazywa się Draganović. Marija Draganović. Uznałem, że lepiej nie wydawać żadnych komunikatów.

- Bardzo rozsądnie. - Zaskrzybiało skórzane obicie, gdy Fischer mościł się wygodniej w fotelu.

- I nadal nic nie pamięta? Amnezja nie ustąpiła?

- Nie.

Fischer odwrócił się z powrotem do okna, nie zwracając uwagi na karetkę, które przemknęła obok nich z włączoną syreną, spiesząc do szpitala. Z uśmiechem zaciągnął się papierosem.

- Więc pańskim zdaniem moja teoria nie trzyma się kupy?

- Nie mam powodu przypuszczać, że to oszustwo, jeśli o to panu idzie.

Kto by na tym zrobił interes?

Fischer się zaśmiał.

- Zawsze ktoś robi interes, panie doktorze. Może pan by zrobił, gdyby właściwie do tego podejść. Gdyby prasa nie zmieniała tego w cyrk.

Wjechali teraz na szerszą, bardziej ruchliwą trasę, która pełniła funkcję dawnej granicy miasta. Bucher znowu przyspieszył, wyprzedzając tramwaj i podskakując na zwrotnicy.

- To ciekawy przypadek - rzekł Kirsch, niepewny, czy to Fischer miał na myśli.

- Niezwykłe. Może pan na nim zrobić karierę.

Ujrzał Mariję, jak siedząc w oknie, ze zmarszczonymi brwiami rysuje w szkicowniku. Zamknawszy oczy, poczułby zapach jej poduszki.

- Naturalnie - powiedział - wszystko zależy od tego, czy pozostanie moją pacjentką. Obawiam się, że to mało prawdopodobne.

- Mało prawdopodobne? Dlaczego?

Kirsch postanowił powiedzieć prawdę. Dużo dłużej i tak nie dałoby się jej ukryć.

- Bo doktor Bonhoeffer oczekuje, że złożę rezygnację.

Opowiedział Fischerowi o swym sporze z doktorem Mehringiem, o jego insulinowej terapii wprowadzaniem w śpiączkę i obrażeniach, jakich doznała siostra Ritter. Nie rozwodził się zbytnio na temat sierżanta Stoehra, nie opowiadał, jak silnie odczuł jego cierpienia, które obudziły w nim pamięć wojny. Bał się, że Fischer uzna go za wrażliwca.

Fischer słuchał w milczeniu. Był za stary, by walczyć na wojnie. Zapewne przeczekał ją bezpiecznie na jakimś uniwersytecie, współczując żołnierskiej doli. Może nawet zdolny był wyobrazić sobie frontowe przeżycia, ale został mu oszczędzony wstrząs prowadzący do odrętwienia i wizje, które nigdy nie zbledną.

- Więc sam pan widzi - zakończył Kirsch, gdy zatrzymali się na skrzyżowaniu - że moje dni w Charite są policzone.

A jeśli odejdę z Charite, będę musiał się pożegnać z tym przypadkiem.

Na rogu grupa policjantów schodziła z tyłu ciężarówki. Dwóch trzymało karabiny. Fischer gładził szczękę.

- Doktor Mehring jest Żydem, nieprawdaż?

- Nie mam pojęcia.

- Heinrich Mehring? Z całą pewnością. W pańskiej specjalności jest mnóstwo Żydów. Poczynając od doktora Freuda.

- Doktor Mehring na pewno nie jest freudystą.

- Nie żebym miał coś przeciwko nim. Wielu Izraelitów odznacza się wybitnymi zdolnościami analitycznymi, choć przejawiają niezdrową skłonność do abstrakcji. - Kiedy znowu ruszyli, jeden z policjantów poślizgnął się na lodzie. Pozostali wybuchnęli śmiechem. - Z drugiej strony spora ich liczba wyznaje mniej internacjonalistyczny światopogląd. I chyba roztropniej jest ich nie prowokować.

- Nie bardzo rozumiem - rzekł Kirsch.

Fischer uchylił okno i wyrzucił niedopałek papierosa.

\_ Mniejsza z tym - stwierdził. Pochylił się i poklepał Kirscha po ramieniu.

- Użyję swoich wpływów, które nie są małe.

- Miałem odejść do świąt. Wszystko zostało uzgodnione.

Fischer cmoknął z niezadowoleniem.

- Niech pan nie będzie taki w gorącej wodzie kąpany.

Zobaczmy, co się da zrobić. Wszystko może się jeszcze ułożyć.

Przejechali pod masywną kamienną wieżą Zionskirche.

Przez witraże przeświecały płonące światła, lecz wielkie drzwi były zamknięte. Parę minut później skręcali w Schönhauser Allee.

Kirsch wysiadł z samochodu, nie czekając, aż Bucher otworzy mu drzwi. Fischer z powątpiewaniem spojrzał na frau Schirmann, postukując kolejnym papierosem o papierośnicę. Kirsch podziękował mu za podwiezienie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Fischer.

- Z niecierpliwością czekam na wyniki pańskich prac. Bardzo mi na nich zależy. Proszę mi wierzyć, to ważniejsze, niż się panu wydaje.

Zapalił papierosa i zgasił zapałkę trzema niecierpliwymi machnięciami

nadgarstka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

W pewną niedzielę przed paroma laty, wyjeżdżając z domu w Reinsdorfie, Kirsch wziął swoje palto z kołka w holu. Poniewczasie zorientował się, że to wcale nie jego palto. Max miał niemal identyczne - ciemnoszare, dwurzędowe, obszyte przy kołnierzu czarnym filcem. Tyle że jak Kirsch się zorientował, usiłując je włożyć na stacji kolejowej, palto brata było parę numerów mniejsze. Od tamtej pory wisiało, nietknięte i nienoszone, w jego mieszkaniu w Berlinie. Kirschowi do niczego się nie zdało, ale też nie odwiózł go do Reinsdorfu. Wiele razy się napominał, że powinien to zrobić, lecz w końcu zawsze wychodziło mu to z głowy albo jakoś się nie składało. W istocie nie chciał, by jego wizyta zaczynała się od wspominków o Maksie. Wolał też nie rozwódzić się o tym, jak wszedł w posiadanie palta ani dlaczego nie przywiózł go wcześniej. Nieuchronnie, przynajmniej w umysłach najbliższych, zrodziłoby się wtedy pytanie, dlaczego tyle rzeczy Maksa nadal znajduje się w domu.

Nikt nie chciał przyznać, że ten problem istnieje, unikano go więc jak ognia, jakby śmierć Maksa nie była bezosobowym tragicznym zrządzeniem losu, nieszczęściem wojennym, lecz mroczną i wstydliwą tajemnicą, zbrodnią, w którą wszyscy oni są zamieszani.

Z palta unosił się stęchły zapach kamfory, a także woń przywodząca Kirschowi na pamięć słodycze, którymi ojciec zwykł częstować ich za dziecięcych lat podczas podróży. O ile się orientował, po śmierci Maksa nie oddano go już do pralni. Ale i tego Kirsch nie chciał zrobić. A jeśli w pralni go zniszczą? Jeśli puści czarna farba na kołnierzu albo zgubi się guzik? Nie chciał tego brać na siebie. A czy te środki piorące i woda nie usuną też czegoś z Maksa?



Palto wisiało zatem na wieszaku za drzwiami niezdatne nikomu; nie chroniło przed wiatrem ani deszczem, będąc jedynie niemym świadectwem bezmyślności Kirscha, który zabrał je z należącego mu miejsca i absolutnie nie był w stanie naprawić swego błędu.

Nareszcie w piątek na początku grudnia Kirsch zdjął palto Maksa, starannie oczyścił je szczotką, przełożył przez rękę i ruszył do pracy.

Mariję zastał w jej pokoju.

- Proszę to włożyć - rzekł, przytrzymując palto za ramiona. - Na dworze jest zimno.

Marija szkicowała jedną z pacjentek. Chętnie jej teraz pozowały, choć czasem ni z tego, ni z owego podnosiły się i odchodziły. Dziś przyszła kolej na frau Becker. Wdowa po pięćdziesiątce, w swych najlepszych latach uchodząca za piękność, lecz teraz ulubiona szkarłatna szminka nie przydawała jej urody. Siedziała na stołku i włożywszy ręce między kolana, cierpliwie przyglądała się pracującej artystce. Nic w jej wyglądzie nie wskazywało na zaburzenia umysłowe, które kazały jej pewnego dnia wyjść nago na ulicę w strachu, że spóźni się do kościoła.

Marija uniosła głowę znad szkicownika.

- Dokąd idziemy?

- Wychodzimy stąd. - Kirsch nadal trzymał rozchylone palto. W pokoju unosił się zapach starych kulek na mole w połączeniu z wszechobecną wonią środka dezynfekującego.

- Muszę tu zostać - rzekła - póki nie skończę.

- Chcę tylko, żeby pani przymierzyła palto. Wyjść możemy później.

- I Muszę tu zostać. - Dziabnęła ołówkiem w kierunku podłogi. - Jeśli się poruszę, zmieni się. I będę musiała zaczynać od nowa.

Mówiła o rysunku? A może z jakichś powodów była niezadowolona z Kirscha?

- To zajmie tylko chwilę.

Wpatrywała się w swą modelkę i rysowała dalej. Może bała się, że straci perspektywę, zmieni się kąt padania światła albo jej poczucie tych rzeczy. Może z powodu amnezji takie przelotne sprawy wydawały się jej cenniejsze, przywiązywała do nich większą wagę, Przypatrywał się jej przez moment, po czym złożył płaszcz na łóżku, przystając, by wygładzić zagniecenia.

- Przyjdę po panią o trzeciej - zapowiedział.

Gdy wrócił, siedziała w palcie na łóżku. Ujrzawszy go, podniosła się i stanęła na środku pokoju z rękami opuszczonymi po bokach. Kirsch zadrzał. Zdało mu się, że to Max spogląda na niego oczami dziewczyny, słaby jego cień nagle rozblęsnął w świetle niczym obrazek układający się w pryzmacie. Ale palto leżało gorzej, niż się spodziewał. Jeszcze jako młody chłopak Max był wyższy i szerszy w ramionach niż Marija. Palto wyglądało na cudze, podobnie jak ciężkie buty do kostek i workowata wełniana sukienka.

Przed szpitalem złapali taksówkę i pojechali przez most do centrum. Słońce przebiło się przez chmury, odbijając się w dachach i kocich łbach, tak że Kirsch musiał przysłonić oczy. Przejechali przez Unter den Linden i przeciskając się wzdłuż Wilhelmstrasse, mijali okazałe gmachy banków i instytucji rządowych. Marija siedziała w milczeniu, gapiąc się na przechodniów.

Czasami, spostrzegłszy kogoś, kto szczególnie zwrócił jej uwagę, klękała na siedzeniu, by obserwować go przez tylne okno.

A kiedy tylko zniknął, obracała się z powrotem i wbijała wzrok w kogoś nowego, jakby każda twarz była obrazem w galerii, ciekawym i wyjątkowym. Gdy zatrzymali się na Leipziger Strasse, by przepuścić tramwaj, w okno zastukał żebrak, potrząsając cynową puszką. Twarz miał całą w bliznach po poparzeniu, w miejscu lewego oka wpadniętą czerwoną szparę. Mariji nawet nie drgnęła powieka, wpatrywała się w niego, przyciskając ręce do szyby.

Wysiedli przy dworcu Anhalt. Tu wysiadali przyjezdni z Zurychu do Berlina. Było dość wczesne popołudnie, ale chodniki już się zapełniły biuralistami i urzędnikami wracającymi z pracy do domu. Kiedy Kirsch płacił

taksówkarzowi, Marija uniosła wzrok ku budynkowi, jego wyniosłemu portykowi i ogromnym ceglany łukom. Kirsch spostrzegł, że przełyka ślinę. Powinien był bardziej zatroszczyć się o jej strój. Po pierwsze, musi mieć szalik. Goła szyja wyłaniająca się z ciężkiego płaszcza po prostu wygląda źle.

- To tu mnie pan zostawi? - spytała.

- Co pani przyszło do głowy?

Wsunęła ręce głęboko do kieszeni.

- Nie odsyła mnie pan?

Podniósł klapy jej palta, osłaniając blady dekolt.

- Jakże mogę panią odesłać, skoro nie wiem, skąd pani przyjechała?

Włosy urosły jej już na tyle, że musiał je wysunąć spod kołnierza. Gdy otarły się o wierzch jego dłoni, uchwycił smugę jej zapachu, który chemiczna mieszanka kamfory i chloru przytłumiła, lecz nie zdusiła całkowicie - niczym kwiat kwitnący na śmietniku.

Z górnych schodów przypatrywały się im dwie kobiety. Jedna trzymała pod pachą jamnika. Jamnik szczechnął na Kirscha, odsłaniając żółte kły. Bez wątplenia obie niewiasty wietrzyły jakąś niestosowność. Marija bezsprzecznie nie była ubrana jak dama, a skoro nie jest damą, to kim jest?

Kirsch odwrócił się do taksówki.

- Zmieniłem zdanie. Jedziemy do Karstadt.

Dom towarowy Karstadt był największym budynkiem w Berlinie, olbrzymią fortecą z cementu i kamienia, o przysadzistych kwadratowych wieżach w południowych rogach wznoszących się na wysokość dwudziestu pięciu pięter. Ze względu na ścisłe trzymanie się form pionowych (w strukturze budowli nie było ani jednego zakrzywienia czy skosu) Kirschowi przywodził na myśl elektrownię, lecz Alma twierdziła, że tu mają największy wybór ubrań na co dzień i sprzętu gospodarstwa domowego. "Oczywiście nie przyszedłbym tu po suknię wieczorową - przyznała - ale w małych sklepikach traci się mnóstwo czasu na kupno zwykłych rękawiczek". Poprzedniego lata dwukrotnie

zaciągnęła go do ogrodu na dachu, gdzie orkiestra smyczkowa przygrywała klientom opychającym się ciastkami i kawą. Przy pierwszej okazji kupiła mu krawat, który za jej podszeptem włożył podczas wizyty u przyszłych teściów w Oranienburgu. Za drugim razem kupiła mu nożyczki do paznokci w skórzanym etui.

Marija najwyraźniej nigdy jeszcze nie jechała ruchomymi schodami. Kiedy stanęła na nich po raz pierwszy, nogi się pod nią ugiwały i obiema rękami trzymała się poręczy, rzucając ukradkowe spojrzenia na błyszczące płaszczyzny nad głową. Kirsch z trudem powstrzymywał śmiech, widząc niepokój na jej twarzy, gdy stopnie z przodu znikwały jeden za drugim pod stalowymi zębami przekładni. W końcu całkiem puściła poręcz, wyciągnęła przed sobą ręce jak linoskoczek i przeskoczyła przez próg, lądując dobre półtora metra za nim.

- Jeśli pani woli, możemy pójść schodami - rzekł Kirsch.

- Nie. - Wyprostowała ramiona. - Chcę spróbować jeszcze raz. Którędy tu się schodzi?

Nie musieli schodzić, ponieważ sklep z odzieżą damską znajdował się piętro wyżej. Na drugich schodach Marija trzymała się już tylko jedną ręką, choć od czasu do czasu, gdy maszyna drżała, dziewczyna opierała się na ramieniu Kirscha, by schwycić równowagę. Mając tak zajęta uwagę, nie widziała, że ludzie oglądają się za nią z niezadowoleniem. Kirsch nie miał pojęcia, co ich tak denerwuje - brak nakrycia głowy, makijażu, niestaranna fryzura czy też po prostu jej uroda, Marija bowiem nie miała prawa być tak piękna. Zdążając na coraz wyższe piętra wielkiego domu towarowego, Kirsch stwierdził, że ta powszechna konsternacja go bawi.

Pokazał Mariji kostium z brązowej wełny czesankowej. Alma ostatnio często nosiła kostiumy, raz włożyła nawet żakiet ze spodniami, jak Marlena Dietrich. Mariji wszakże się nie spodobał. Wybrała niebieską sukienkę na co dzień, w drukowany wzór, z bufiastymi rękawami i szczypankami w talii. Przyłożyła ją do siebie, obracając się w tę i w tę, gdy podziwiała swe odbicie

w lustrze.

- Niech pani przymierzy - rzekł Kirsch.

Podobne sukienki, tyle że znoszone i spłowiałe, wisiały w jej szafie w wynajmowanym pokoju.

- Po co? I tak nie mam za co jej kupić.

- I tak proszę przymierzyć. Zalecenie lekarskie.

Zaprowadził ją do przymierzalni i czekał na zewnątrz, słuchając szelestu materiału i cichego trzasku zamków, które dobiegały zza zasłon. Słyszał głosy, zgorszony chichot - dwie kobiety weszły razem do kabinki obok. Minęło go więcej kobiet, patrząc na sztuki ubrania, którymi miał obwieszony ręce. Uzmysłowił sobie, że jest najprawdopodobniej jedynym mężczyzną na tym piętrze.

Wyszła bosą z za zasłony. W porównaniu ze szpitalnym odzieniem ta sukienka wyglądała wdzięcznie i kobieco. Marija okręciła się, pod rozkloszowaną spódnicą ujrzał schodzące siniaki na łydkach. Schudła od czasu, gdy tańczyli razem. Miała teraz talię trzynastoletniej dziewczynki.

- Przydałyby się pani pończochy - rzekł, przywołując sprzedawczynię.

Dwie pary jedwabnych pończoch, pas, sukienka, czarne sznurowane półbuty - skompletowanie ubioru zajęło im prawie godzinę. Potem poszli na wyższe piętro i przymierzali kapelusze: kremowy pilśniowy z brązową wstążką, czarny w kształcie stożka, z zagięciem na górze, "w szwedzkim stylu", jak to określiła ekspedientka, dopasowany czarny, pilśniowy, który Kirschowi przywiódł na myśl hełm Merkurego, skrzydlatego posłańca, ze względu na czarne pióra przyczepione po bokach. Jeden po drugim wkładał na głowę Mariji, która stała przed lustrem, marszcząc nos. Wybór był trudny. Każdy kapelusz ukazywał ją w innym świetle - kremowy pilśniowy nadawał jej wygląd światowej szelmutki, w stożku wydawała się figlarką, w dopasowanym była delikatna i opanowana jak tancerka. Aura niewinności uwydatniała każdą minkę, przydawała blasku wszelkim niuansom jej postawy.

- Proszę wybrać - rzekł.
- Czy to jakiś sprawdzian? Część leczenia?

Nadal nie powiedział jej, dokąd się udają, a ona najwyraźniej postanowiła nie pytać.

- To nie sprawdzian. Ale musi pani w coś się ubrać. Nie może pani wyglądać jak więźniarka.

Zdjęła pilśniowy kapelusz i podała mu go.

- Nie mogę się zdecydować. Wszystkie są śliczne.
- Najnowsza moda.

Odwróciła się do lustra i bez najmniejszego zażenowania zadarła spódnicę, by wyprostować rąbek pończochy. Kirsch ujrzał odbicie dwóch ekspedientek szepczących do siebie za kontuarem.

- Te pończochy też są fantastyczne.
- Jedwabne.
- Nigdy nie miałam na sobie jedwabnych pończoch.
- Może były za drogie.

Opuściła spódnicę, strzepując klaczek, który przyczepił się do materiału.

- Mój ojciec nie był biedny. Miał rządową posadę i w święta nosił mundur.

Kirsch zastanawiał się, czy to były wyraźne wspomnienia czy też kolejne majaki.

- A gdzie jest teraz pani ojciec?

- Nie żyje. - Podeszła do kolejnego stoiska z kapeluszami, macając od niechcienia ronda. - Cała moja rodzina nie żyje.

- Wzięła do ręki czarny pilśniowy melonik. - A ten? Dobrze mi w tym?

- Może jak się będzie pani wybierała na wyścigi. Dlaczego pani uważa, że cała pani rodzina nie żyje?

Nasunęła melonik nisko na czoło, tak że przykrywał jej oczy.

- Byłam wczoraj na dziedzińcu. Jest tam ławeczka.

- Wiem. Widziałem tam panią.

- Ach tak. - Przyłożyła rękę do policzka.

- I?

- Pamiętam, jak znalazłam grób ojca. Śnieg i świeżo rozkopaną ziemię.

Chyba pochowano go w mundurze.

- Tylko tyle pani pamięta?

- Pamiętam, co czułam.

- Co? Pewnie smutek?

- Nie. Pamiętam bardzo wyraźnie. - Zdjęła melonik i włożyła niebieski słomkowy kapelusz w kształcie hełmu, z podwiniętym z przodu rondem w stylu, który zdaniem Almy był passe.

- Poczulałam się wolna.

Z Karstadt pojechali zatłoczonymi tramwajami do Alexanderplatzu, a potem ruszyli pieszo zwykłą trasą Kirscha: obok kramów na Grenadierstrasse, których było mniej niż zwykle, koło zabitego deskami sklepu muzycznego herr Bronsteina, dalej do stacji benzynowej i synagogi, gdzie samotny policjant obrzucał baczny wzrokiem procesję wiernych wchodzących do środka.

Nawet jeśli Marija rozpoznała okolicę, nijak nie dała tego poznać. W ogóle nie odezwała się ani słowem. Kroczyła równo, nie rozglądając się ani nie przystając, by spojrzeć, gdzie się znajduje.

Od czasu do czasu, gdy dochodzili do rogu, Kirsch zatrzymywał się, patrząc, czy dziewczyna nie zacuka się albo czy nie straci orientacji, ale za każdym razem maszerowała naprzód, nie oglądając się za siebie.

- Przed cmentarzem przystanęła. Brama była otwarta. W półmroku Kirsch widział kilka poruszających się postaci - może byli to dozorczy, którzy sprząтали zwiędłe kwiaty albo kopali nowe groby. Światelka ich papierosów unosiły się w ciemności.

- Szłam już tędy - rzekła Marija, a jej oddech zostawił w zimnym powietrzu smugę pary.

Herr Mettler długo nie otwierał. W końcu niechętnie uchylił drzwi na parę centymetrów.

- Czego tu znowu? Myślałem... - Zauważył stojącą na chodniku Mariję. Ściszył głos do szeptu. - A co ona tu robi?

- Chciałbym jeszcze raz obejrzeć ten pokój. Numer trzy.

W środku grało radio - urywane głosy i grzmot oklasków.

Mettler cofnął się od drzwi. Kirsch ujął Mariję pod rękę i zaprowadził ją do holu. Dyszała leciutko.

- Proszę nam tylko dać klucz, sami trafimy - rzekł Kirsch.

Mettler chrząknął i wrócił do swego mieszkania. Dobięły stamtąd odgłosy krótkiej narady, po czym gospodarz znowu się wyłonił, kiwając na Kirscha.

- Mam chętną na ten pokój - rzekł, chuchając na szkła i wycierając je rękawem. - Więc najlepiej niech od razu zabierze swoje rzeczy.

Stali w małej recepcji. Z kołków zwisały klucze. Wzdłuż ściany stały rzędem stare buty. Z kuchni dochodziła woń gotowanych ziemniaków.

Kirsch sięgnął do kieszeni.

- A jeśli zapłacę za następny tydzień?

Mettler potrząsnął głową. Ma na widoku dobrą lokatorkę, taką, która wynajmie pokój na długo. Kogoś takiego nikt nie chciałby stracić. W im bardziej zawile wdawał się wyjaśnienia, tym silniejszego Kirsch nabierał przekonania, że gospodarz kłamie.

- A jeśli zapłacę za dwa tygodnie z góry, żeby pan nie był stratny? Mariji lepiej będzie tutaj niż w klinice.

- Tutaj? Na stałe?

- Przynajmniej na kilka miesięcy.

- Nie, nie, to wykluczone.

- Dlaczego? Nie sprawiała najmniej szych kłopotów. Sam pan powiedział.

- To było przedtem. - Mettler zerknął w kierunku kuchni.



- Nikt tu takiej nie chce.  
- Nie rozumiem, o co panu chodzi.  
- Niebezpiecznie mieszkać z taką pod jednym dachem.  
- Mettler zrobił kółko palcem przy skroni. - Nigdy nie wiadomo, co jej strzeli do głowy. Po co są domy dla obłąkanych?

Kirsch otworzył portfel.

- Gotówką za miesiąc z góry. Od razu zostawię zadatek.

Mettler spojrzał w głąb holu.

- Gdzie ona się podziała?

Kirsch się odwrócił. Marija zniknęła. Jak również klucz do pokoju 3.

- Chyba musiała... - Podeszedł do podnóża schodów.

- Marijo?

Na ulicy butelka rozprysnęła się o kocie łby. Zaczął szczekać pies. Mettler pospieszył do frontowych drzwi i zamknął je na rygiel. Kirsch ruszył na górę po schodach.

Na ulicy rozległy się szybkie kroki.

- Marijo?

Nikt się nie odezwał. Nie chciał, by szła na górę sama. Pragnął posuwać się krok po kroku. Nagły przypływ wspomnień mógłby pociągnąć za sobą nieprzewidziane konsekwencje. Wolał nie ryzykować.

„A samobójstwo? Brał pan to pod uwagę? Mogła rzucić się z mostu”.

W jednym z pokojów na pierwszym piętrze zapaliło się światło. Kirsch popędził na drugie. Akurat gdy stanął przed pokojem numer 3, drzwi się zamknęły.

Chciała być sama. W końcu to jej pokój, a w każdym razie niegdyś go zajmowała. Nadal znajdowały się tam jej rzeczy: ubrania, książki, album ze zdjęciami. Zapukał delikatnie.

Po kostkach przeciągnął mu zimny powiew. Zastukał ponownie.

- Marijo? - Nasłuchiwał. Nic. Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte

na klucz.

W środku panowała ciemność. Pokój oświetlał tylko snop światła, który pobliska latarnia uliczna rzucała na sufit. Panował zaskakujący ziąb.

Nacisnął włącznik. Żarówka była wykręcona. Spod przymrużonych powiek spojrzął w ciemność. Mariji nie było w pokoju.

Okno otworzyło się bezszelestnie. Wydęły się firanki. Odległy ryk miasta dał się słyszeć głośniejsz.

Podbiegł do okna, otworzył je i wyjrzał na mały, okolony żelazną balustradą balkon. Lampy gazowe na dole świeciły niezwykle jasno. Kirsch musiał przysłonić oczy. Pod domem nie leżało pogruhotane ciało, nie zebrał się tłumek gapiów. Jakiś mężczyzna zapalał papierosa. Spojrzął na Kirscha i wyrzucił zapalną.

- Co się stało?

Marija stała obok niego.

- Co pani tu robi?

Skuliła się.

- Widziałam pana na dole. Czy to możliwe? Pamiętam, że pana widziałam.

Objął dziewczynę i przyciągnął do siebie. Wydała mu się niezwykle lekka. Podniósł ją, zaniósł do środka i postawił na podłodze.

- Myślałem, że cię straciłem.

Nadal obejmowała go za szyję, ukrywając twarz w fałdach jego palta. Znowu się do niej przysunął, czując nieważkość swego ciała, jak przed upadkiem.

Oczy miała mocno zaciśnięte, gdy ją całował, jakby w duchu wypowiadała życzenie. Potem ujęła jego twarz w dłonie, oddała mu pocałunek i znowu zamknęła oczy, kiedy ich ciała z wolna się rozluźniały. Zastygli tak na długo, stojąc w chłodnym mroku, pod ich stopami skrzypiały gołe deski. Kirsch nie zapytał nawet, co jeszcze zapamiętała. Teraz nie wydawało mu się to ważne.

Zdał sobie sprawę, że ta miłość nie jest jednak urojeniem, zachcianką ani porywem szaleństwa. To dar, ratunek.

Zadrzał. Był tu mały kominek, opał do niego już włożono, lecz minie sporo czasu, nim pokój się nagrzeje.

- Jestem strasznie głodna - rzekła Marija. - Moglibyśmy coś zjeść? Nie jadłam obiadu.

- Nie jadłaś obiadu? Dlaczego?

- Byłam zdenerwowana. Nie domyśliłeś się?

- Prawdę mówiąc, nie.

Co ze mnie za psychiatra? - pomyślał Kirsch. I zaraz sobie odpowiedział: Taki, który romansuje z pacjentką.

- Znam pewne miejsce - powiedział.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Skrzywił się, gdy Alma go objęła. Mroźna pogoda spowodowała zaognienie się rany na ramieniu. Pod ubraniem ciało miał nabrzmiałe i podrażnione.

- Co się stało? Co ci jest?

- Nic. Upadłem. Poślizgnąłem się na lodzie.

Był niedzielny ranek. Snopy oślepiającego słonecznego światła przedzierały się przez sklepienie dworca, znacząc ogromne wnętrza jasnymi cętkami.

- Bujasz.

Kirsch potarł bolące miejsce.

- Dlaczego tak uważasz?

- Wiem, co się stało - rzekła Alma. - Któryś z nich cię zaatakował, tak? Tata opowiadał mi o tym. Że personel zakładów dla obłąkanych ciągle jest napastowany.

- Bzdura. Zresztą to klinika, nie zakład dla obłąkanych.

Maszynista zagwizdał, Kirsch otworzył drzwi wagonu i podał Almie zdrowe ramię.

- To jeszcze gorzej - odparła. - W zakładach dla obłąkanych przynajmniej mają strażników. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś ci się stało.

Napominała go żartobliwie, ale dobrze wiedział, o co jej chodzi - Alma chciała, by jej przysły małż odszedł z kliniki i zajął się bardziej poważaną dziedziną medycyny, w której nieszczęście i upodlenie nie byłyby udziałem tak wielu pacjentów. Na poziomie teoretycznym psychiatrii niczego nie można by zarzucić. Lecz sami psychicznie chorzy byli naznaczeni i to piętno odciskało się na wszystkich, którzy mieli z nimi kontakt.

Kirsch pomyślał sobie, że to doskonała okazja, by powiadomić Almę, że odchodzi z Charité i zaczyna prowadzić badania dla doktora Fischera. Tyle że już nie było sensu. Postanowił zerwać zaręczyny. Skoro przestał zwodzić siebie, nie może dłużej zwodzić jej. Musi tylko się zastanowić, co powiedzieć Almie i kiedy.

Zaproponował, by spędzili dzień w Poczdamie. Powiedział jej, że chce choć na trochę wyrwać się z miasta. Zgodziła się chętnie, choć dopiero w pociągu okazało się, dlaczego tak łatwo mu poszło - przy okazji zatrzymają się w Zehlendorfie i obejrzą willę, w której mieliby zamieszkać po ślubie.

- Warto rozejrzeć się po okolicy - powiedziała. - Podobno niedługo będzie to najatrakcyjniejsza dzielnica Berlina. Mieszka tu mnóstwo sławnych ludzi. Zdjęcia z naszych przyjęć będą ukazywać się w prasie.

- Jeżeli zaprosimy prasę - rzekł Kirsch. - Ale nie zaprosimy.

Alma wyciągnęła szpilkę z kapelusza. Jej blond włosy były świeżo podkręcone i wydzielały słabą woń alkoholu.

- Mówisz jak tata.

- Naprawdę?

- Wiesz, co on sądzi o gazetach. - Wzruszyła ramionami.

- Jest strasznie...
- Reakcyjny?
- Staroświecki.
- Ujmując rzecz najogólniej.

Westchnęła i uściśnęła mu ramię, gdy pociąg nurknął pod tory kolejki. Za oknem buchały szare kłęby pary.

- Po prostu chce, żeby wszystko zostało po staremu. To chyba można zrozumieć. Dla nich zmiana zawsze oznacza utratę czegoś drogiego.

Kirsch pomyślał o swojej matce nadal samotnie płaczącej w pokoju Maksa i o siostrze Emilie nasłuchującej piętro niżej.

- Za późno - rzekł. Przejeżdżali przez plac załadunkowy.

Wieży i kominy miasta niknęły w oddali, ich ciemne zarysy odcinały się tle fałd chmur. - Nic nie zostanie po staremu. Czas może nie jest linearny, ale nie biegnie też kolidując.

Alma zmarszczyła nos i oparła się o Kirscha, czuł ciężar jej głowy na ramieniu.

- Mniejsza z tym. Zamieszkamy w Zehlendorfie i będziemy robić, co nam się spodoba.

Wyprostowała się, gdy wszedł konduktor. Parę minut później pociąg toczył się wśród płataniny płotów i błotnistych działek, których bruzdy nadal kryły śnieg i lód. Alma mówiła o przygotowaniach do ślubu. Choć powzięto już decyzje w najważniejszych sprawach, trzeba było jeszcze się zastanowić nad mnóstwem drobiazgów: bukietami ślubnymi, sukniami druhen, porządkiem nabożeństwa, oprawą muzyczną, a także planem rozsadzenia gości przy stole, który zmieniał się prawie codziennie, choć zaproszenia zostaną wysłane dopiero za parę miesięcy.

- Czy twoją siostrę Emilie dałoby się namówić, żeby sypała kwiaty? - Alma przykryła rękami jego dłonie. - Wiem, że będzie dużo starsza od innych dziewcząt, ale byłoby miło, gdyby uczestniczyła w ceremonii, nie sądzisz?

- Żeby sypała kwiaty? - Ten pomysł wydał mu się trochę niedorzeczny.

- Naturalnie uszyjemy jej suknię - dodała Ałma.

Kirsch się zastanawiał, czy przypadkiem nie o to naprawdę chodziło - by mieć pewność, że Emilie nie zepsuje wszystkiego, pojawiając się w niegustownym stroju prowincjonalnej nauczycielki.

- Ona jest dość nieśmiała. Nie lubi zwracać na siebie uwagi.

- Przecież jest nauczycielką. I gra na pianinie. Zagrała, gdy byłam u was po raz pierwszy. Naprawdę włożyła w to serce.

Kirsch pamiętał, że jego siostra wpadła wtedy w coś na kształt transu, jej ciało kołysało się, co zdarzało się też jego pacjentom w klinice w różnym stopniu oderwanym od świata.

- To co innego. Kiedy gra... odpływa.

- Jak to?

- Traci kontakt z rzeczywistością. - Spojrzał na Almę. Między jej brwiami pojawiły się dwie pionowe kreski. - Ale mogę ją zapytać.

Pociąg kołysał, tak że ich ciała lekko wpadały na siebie. Ałma siedziała tuż przy nim, ich uda się stykały, co w zasadzie było nie do pomyślenia w miejscu publicznym.

- Mniejsza z tym - rzekła - skoro jest nieśmiała. Prawdę mówiąc, czasami mam wrażenie, że nie odzywa się, bo mnie nie lubi.

W restauracji nad jeziorem panował taki hałas, że goście musieli do siebie krzyczeć. Choć większość lokali wokół Poczdamu zamknięto na zimę, ładna pogoda zachęciła berlińczyków do wypadu za miasto, toteż każdy stolik był zajęty. Kilku puciołowatych chłopców bawiło się na dworze, czekając, aż rodzice skończą się posilać. Pozostawieni bez nadzoru malcy wkrótce zaczęli się okładać pięciami i kopać, najmniejszy na próżno wrzaskiem wzywał pomocy.

Raz po raz Kirsch wędrował spojrzeniem ku jezioru. W oddali żaglówka halsowała pod wschodni wiatr.

- Jakie jaskrawe słońce. Przydałyby się ciemne okulary.

- Za długo siedziałeś z nosem w książkach - stwierdziła Alma. -  
Odwykłeś od widoku nieba.

Kirsch patrzył, jak łódka zmienia kurs, białe żagle się wydymają, a silnik rzeźbi w wodzie pienisty łuk. Parę lat wcześniej Albert Einstein opowiedział prasie, jak zapłonął nagłą miłością do żeglarstwa. W młodości miał inną pasję. Wtedy wolał wędrować po górach. Najlepiej mu się myślało na wysokich przełęczach Alp, podczas długich wędrówek z przyjaciółmi. Jednak ostatnio miał dość wyżyn. Góry zasłaniają widok. Teraz pokochał opustoszałe miejsca na ziemi, morze i równiny, rozległe, bezkresne widoki. Początkowo Kirscha zaskoczyły te doniesienia. Wydawało mu się, że majestat natury najpełniej widoczny jest w górach, wśród lodowców i niebosiężnych szczytów. Niezliczeni poeci i artyści tam znajdowali natchnienie. Lecz im głębiej wczytywał się w dzieło Einsteina, tym bardziej go rozumiał - zerwanie ze sposobem myślenia uprawianym przez całe tysiąclecie wymagało śmiałości i niezależności ducha. Fizyk nie potrzebował majestatu ani natchnienia, tylko pustki, o d d a l e n i a - miejsca, gdzie mógł rozmyślać nad tym, co dla ludzkości w jej masie było nie do pomyślenia. Na wodach mórz i jezior Einstein przybliżał się do doskonałej obiektywności, której tak pożądał. Czyżby Marija przybyła tu w poszukiwaniu tej samej palącej jasności? Może po to przyjechała do Berlina - by zerwać stare więzy i poświęcić się wiedzy i prawdzie? Kirsch zapragnął, by tak nie było. Gdyby bowiem Marija wszystko postrzegała jasno, również jego ujrzałaby bez osłonek.

- Myślałam tylko, że może chciałbyś odpocząć.

- Odpocząć?

- Zamiast włóczyć się cały dzień po bazylikach. Ale przecież wcale nie musimy. Możemy wylegiwać się na Lido i opychać pysznościami. - Wyciągnęła do niego rękę tak, że ich palce się splotły. - Ostatnio wyglądasz na zmęczonego. Zapracowujesz się, wszyscy to mówią.

- Wszyscy to znaczy kto?

Alma spojrzała na swój talerz i nabrała trochę warzyw na widelec.

- Rozmawiałam niedawno z Robertem.

- Ach, z doktorem Eisnerem.

- Nie bądź taki.

- Jaki?

\_ Nie wiem, co masz do Roberta. Nic ci złego nie zrobił.

- A co mówił?

Alma potrząsnęła głową. Najwyraźniej dręczyło ją to już od dawna.

- Wiem, że czasami udaje głupka, ale to naprawdę bardzo dobry chłopak. Znam go od lat. Zapomniałeś, że to dzięki niemu się poznaliśmy?

Kirsch nie odpowiedział. Wrócił myślą do piątkowego wieczoru - odprowadził Mariję do jej pokoju w klinice, gdzie spotkał Eisnera, który wystawał na korytarzu. A zazwyczaj wychodził z kliniki jak najwcześniej. "Widzę, że robimy postępy"

- rzucił z uśmiechem. Kirsch nie przystanął, by zamienić z nim choć słówko. Pognął prosto do łazienki, by sprawdzić w lustrze, czy nie ma na twarzy śladów szminki. Dopiero potem przypomniał sobie, że Marija przecież się nie maluje.

- Co on dokładnie powiedział?

Alma westchnęła.

- Powiedział, że bierzesz na siebie za dużo ciężkich przypadków. Wykańczasz się. Martwi się o ciebie. - Upiła łyk wody z lodem. - Na przykład ta dziewczyna, o której pisali w gazetach. Poświęcasz jej mnóstwo czasu.

Kirsch ujął widelec i pogrzebał w stojącym przed nim damu.

- Oczywiście. Nie mogę pozwolić, by prasa napisała, że wybitny doktor Kirsch sobie nie radzi.

- Nagle zaczęło cię obchodzić, co. pisze prasa? Mnie nie oszukasz, kochanie.

Alma odstawiła szklankę. Lód zabrzączał o brzeg.



- To trudny przypadek - rzekł Kirsch. - Ale chyba posuwam się naprzód.

Przy stoliku na przeciwległym krańcu sali rozległ się śmiech.

Powiedz jej teraz, pomyślał.

- Almo...

- Dziewczyna od Einsteina. Dlaczego tak ją nazywają? Czy to żart?

- Żart?

- Bo może jest strasznie głupia czy coś takiego.

- Nie jest głupia. To dlatego, że znaleźli ją...

- A tak nawiasem, jak ty ją nazywasz?

Kirsch sięgnął po swoją szklanekę.

- A jakie to ma znaczenie?

- Czy to sekret?

- Wymyśliliśmy jej imię, żeby od czegoś zacząć.

- Jakie imię?

Nie chciał jej tego powiedzieć. To tak, jakby brała coś, czego wolałby jej nie dawać. Z drugiej strony wystarczy, że spyta Roberta Eisnera.

- Marija. Sama je wybrała. Nie wiemy, jak się naprawdę nazywa.

Alma milczała przez chwilę. Potem uśmiechnęła się do narzeczonego pojednawczo i wyciągnęła do niego rękę.

- Masz fantastyczne podejście do pacjentów, poświęcasz się im bez reszty. - Przechyliła głowę na bok, przeciągając palcem po ścięgnach jego prawej dłoni. - Tylko nie posuwaj się za daleko. Nie powinni się spodziewać po tobie rzeczy niemożliwych. Nie powinienes się poświęcać. Co za dużo, to niezdrowo.

Kirsch ponownie zerknął na żaglówkę. Skręciła na południe, ku Caputh, niczym świetlisty biały okruch w oddali. Wyobraził sobie Mariję na pokładzie, jej twarz opromienioną słońcem, płynącą ku jakiemuś widnokręgowi, który na zawsze pozostanie poza jego zasięgiem.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Nie jestem typem męczennika.

Po obiedzie pogoda się popsowała. Gdy wracali na dworzec, złapał ich gwałtowny deszcz. Pociąg do Berlina był zatłoczony, uczestnicy jednodniowej wycieczki uciekali z łona przyrody wszyscy naraz, ich ociekające wodą płaszcze deszczowe i parasolki tworzyły kałuże na podłodze. Kirsch ustąpił swego miejsca starszej kobiecie i stanął w korytarzu, patrząc, jak połyskujące wody Haweli nikną między drzewami. Pierwsze słowa zamienił z Alną dopiero po wyjściu ze stacji końcowej.

- Zdążymy na kawę? - zapytał.

Salę taneczne były jeszcze zamknięte, przynajmniej te bardziej szacowne, w których bywała Alna. Ale uparła się - chce posłuchać muzyki i wypić coś na rozgrzewkę.

- Zabierz mnie do swojej ulubionej speluny - zażyczyła sobie.

- Nie mam jakiejś ulubionej. Po prostu w niektórych lepiej mi się siedzi.

- To weź mnie do takiej, w której ci się najlepiej siedzi.

- Niech będzie - odparł.

Za dnia Café Tanguero wyglądała straszliwie obskurnie - dokładnie było widać spłowiałe na brąz obrazki na ścianach, zakurzone szkło, obłazącą farbę ze śladami nikotyny. Klientela nie dopisywała - jakaś para paliła w kącie, samotny staruszek czytał gazetę. Nie grała muzyka i nikt nie tańczył. O tej porze zaglądały tu tylko prostytutki.

Usiedli przy stoliku, Kirsch tyłem do parkietu. Alna zamówiła lemoniadę i kieliszek likieru kminkowego. Kirsch jak zawsze piwo.

- Chciałaś spelunę - rzekł.

Alna była zaróżowiona, na linii jej włosów i we wgłębieniu szyi błyszczały drobniutkie kropelki potu.

- Prawdę mówiąc, nie tego się spodziewałam.

- A czego się spodziewałaś?

Wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem, czegoś bardziej... Nie pasujesz tu, Martinie. Straszne

brudy. - Spojrzała na popękany zażółcony sufit.

- Przydałoby się to wszystko porządnie wyszorować.

Kirsch wzruszył ramionami. Zawsze czuł się lepiej w tej zapuszczonej, zrujnowanej knajpie niż w schludnym świątku Almy, Tyle że ona tego nie zrozumie.

- Powinniśmy byli pójść do jakiejś porządnej kawiarni - rzekł.

- Mniejsza z tym. - Alma upiła łyk likieru kminkowego.

Po raz pierwszy Kirsch widział, by pociągnęła coś mocniejszego.

Skrzywiła się i przełknęła. - Przynajmniej wiem, gdzie się włóczę, kiedy mnie nie ma.

Powoli napływali goście. Na wąskiej estradzie za parkietem zapłonęły światła elektryczne. Pianista zaczął brzdąkać niezdarną przeróbkę "Najładniejszych nóg w Berlinie". Pojawiło się parę pracujących tu dziewcząt, między innymi Carmen.

Towarzyszył jej jeden ze stałych klientów, już po dopełnieniu transakcji, sądząc po pustym, zaspokojonym wyrazie jego oblicza.

Alma zamówiła następny kieliszek likieru i wypiła go.

- Zatańczmy - odezwała się.

- Tu?

- Dlaczego nie?

- Tu się nie tańczy.

- Dlaczego? Przecież to sala taneczna.

- Knajpa z parkietem. To nie to samo. Tak naprawdę nikt tu nie tańczy.

- No to co oni robią?

Carmen zaciągnęła swego klienta na parkiet. Już przykleili się do siebie, mężczyzna po kielichu z pewnym trudem powłóczył nogami, Carmen wtuliła wylakierowane na hełm włosy w jego szyję,

- Jeśli nie chcesz ze mną zatańczyć, poproszę kogoś innego.

- To nie jest dobry pomysł.

Ałma dopiła likier i podniosła się. Wskazała na szemranego typa przy barze.

- On się nada.

Kirsch chwycił ją za przegub.

- Dobrze, niech ci będzie, zatańczmy.

Niechętnie zaprowadził Almę na parkiet. Wszyscy goście mierzyli ją wzrokiem. Na pierwszy rzut oka było widać, że nie należy do tego towarzystwa. Była zbyt elegancka, zbyt młoda, zbyt czysta. Staruszek opuścił gazetę i wpatrywał się w tę szykowną damę, przesuwając językiem po przednich zębach.

Grali wolnego walca. Taniec Almy tak samo jak ona różnił się od podrygiwań reszty gości. Stali bywalcy Tanguero garbili się, potykali, gdyż chodziło im wyłącznie o przyklejenie się do drugiego ciała. Ałma tańczyła wyprostowana, jak królowa wytwornych balów. Kiedy się potknęła o złamaną deskę, z półmroku dobiegł rehotliwy śmiech.

Kirsch dostrzegł, jak się zaczerwieniła.

- Może powinniśmy...

- To nic.

Przycisnęła się do niego mocniej. Przetanńczyli kilka kawałków, aż po twarzach zaczął im spływać pot, ostro woniejący, z nutą kosmetyków. Kirsch tańczył z nią już wcześniej, w ekskluzywnych hotelach przy Unter den Linden i Friedrichstrasse, lecz nigdy w tak ciasnym uścisku, czując, jak ocierają się o niego jej jędrne piersi. Muzyka zwolniła, a Ałma przywierała doń całym ciałem, napiętym i twardym jak broń. Uniósłszy wzrok, ujrzał Carmen wpatrującą się w nich z kąta przy barze; widać było odsłonięte w szerokim uśmiechu jej żółte zęby. W Tanguero taniec to prawie zawsze wstęp - tak jak i w innych knajpach, do których zachodził, by się napić i pogapić.

- Musimy już iść - rzekł wreszcie - bo spóźnisz się na pociąg.

- Ojej - powiedziała z głową wtuloną w jego klapę. W jej oddechu wyczuwał alkohol. - I gdzie ja się wtedy podzieję?

Kirsch próbował się wyswobodzić z jej uścisku. Alma była podpita i niezwykle śmiała.

- Nie u mnie - rzekł. - Frau Schirmann w żadnym razie nie pozwala przyjmować kobiet. Poza tym ludzie mogliby gadać.

- Już gadają - zauważyła Alma, grożąc mu palcem.

- O tobie. Może już czas, żebym przeszła do czynów.

- Nie wiem, co na to twój ojciec.

Ujął ją za rękę i sprowadził z parkietu. Szczęściem orkiestra zrobiła sobie przerwę.

- Za bardzo przejmujesz się tatą - rzekła Alma. - On robi dokładnie to, co mu powiem. Zawsze.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

To doktor Mehring wpadł na pomysł cotygodniowej gimnastyki dla pacjentów, ale samo prowadzenie zajęć pozostawił innym członkom personelu. Podopieczni pod okiem dwóch pielęgniarek wychodzili na dziedziniec za budynkiem, gdzie ustawieni trójkami lub czwórkami odbywali ćwiczenia. Jeśli pogoda nie była zbyt wietrzna, z dużego nakręcanego gramofonu puszczano skoczną muzykę. Piskliwe dźwięki odbijały się echem od przyległego podwórza, tak że wewnątrz kliniki słychać było coś na kształt podwodnej orkiestry.

W poniedziałek rano wypadła kolej na kobiety. Z okna jadalni Kirsch patrzył, jak wychodzą rzędem przez drzwi od tyłu.

Tak jak miał nadzieję, Marija była między nimi, w starych butach i szarym palcie Maksa. Kirsch otworzył okno, starając się narobić jak najwięcej hałasu. Marija usłyszała go i uniosła wzrok. Podobnie jak parę innych kobiet. Kirsch pomachał ręką z wahaniem.

Marija uśmiechnęła się, po czym odwróciła oczy.

Pacjentki stanęły na swoich miejscach, w odstępach na odległość ramienia. Gramofon był nakręcony. Podmuch wiatru wionął Mariji kosmyk włosów na policzek. Kirsch patrzył, jak go odsuwa i zakłada za ucho. Ile czasu minie, zanim dziewczyna znowu spojrzy w jego stronę? Kiedy znowu będzie mógł się do niej uśmiechnąć, pomachać jej albo skinąć, pokazać, że nadal o niej myśli, że nie jest już sama? Stała w odległości niespełna stu pięćdziesięciu metrów od niego, lecz choć była tak blisko, miał poczucie straty i żalu - tak jak przez te dwa wolne dni. Zmarnowany czas, utracona miłość. Oparł się o framugę okna. Tak bardzo pragnął znowu objąć Mariję, przycisnąć ją do siebie, że aż zakręciło mu się w głowie.

Ktoś stał obok niego.

- I jak tam, było miło?

To Robert Eisner z gazetą pod pachą.

Kirsch się wyprostował.

- Tak, dziękuję.

- Jak się ma Alma?

„Nie rozumiem, co masz do Roberta. Nic ci złego nie zrobił”.

- Doskonale. W tych okolicznościach.

Eisner skinął głową ze zrozumieniem.

- Jasne. Oczywiście. Najważniejszy dzień w życiu każdej kobiety.

Zanim Kirsch zdążył zamknąć okno, Eisner położył rękę na parapecie i wyjrzał.

- Nie jest wam łatwo, co? Ty tu, a ona tam.

- O co ci chodzi?

- Tam. W Oranienburgu. Ma cały ślub na głowie. - Odwrócił się. - Dlaczego? A o co mi niby miało chodzić?

- O nic. - Kirsch miał nadzieję, że się nie zaczerwienił.

- W każdym razie Sieglowie panują nad wszystkim.

Na dziedzińcu gramofon grał jakąś żeglarską piosenkę. Pielęgniarki stały

na baczność, wspinając się na palce w rytm muzyki. Pacjentki wykonywały ćwiczenie, jedne w rytm, inne nie, a niektóre chwiałały się we własnym rytmie.

- A jak tam pacjentka E.? Jest jakiś postęp?

- Trudno powiedzieć.

- Podobno ustalono jej tożsamość.

Kirsch wsunął ręce do kieszeni fartucha. Nie przypuszczał, że wieść rozejdzie się tak szybko.

- Owszem.

- Kiedy to się stało?

- W piątek. Nie chciałem tego rozgłaszać. Wiesz, ci dziennikarze...

Eisner się przysunął. Kirsch poczuł zapach wody kolońskiej.

- Więc kim ona jest?

Kirsch podał mu dane Mariji. Powiedział, że gospodarz domu, wynajmujący umeblowane pokoje paniom, rozpoznał ją i zadzwonił do kliniki. Niedawno przyjechała ze Szwajcarii i zamieszkała właśnie tam, w kamienicy przy W örtherstrasse, N a razie wiadomo o niej tylko tyle.

- Zawiadomiłeś policję?

- Chyba będę musiał. Choć wiele im to nie pomoże. Dziewczyna nie pamięta, co się z nią działo.

Pielęgniarki podniosły ręce nad głowę i zaczęły nimi machać.

Pacjentki powtarzały ich ruchy. Nawet w zbyt obszernym płaszczu i za wielkich butach Marija poruszała się z gracją. Kirsch patrzył, jak jej rozprostowane palce z wdziękiem wyciągają się ku niebu bez cienia nieśmiałości.

- Więc po co przyjechała do Berlina? Ten jej gospodarz musi coś wiedzieć.

- Pewnie za pracą.

- Za pracą? Nie ma jej teraz zbyt wiele. A widziałeś jej ręce? To nie są ręce gosposi.

Kirsch zamknął okno.

- Pewnie szukała jakiejś pracy w biurze.

Odwrócił się do wyjścia, lecz Eisner postukał go gazetą po ramieniu.

- Mam pomysł, jak możemy się dowiedzieć. Zerknij na to.

Podał Kirschowi gazetę. Nagłówek na stronie czwartej drobnym drukiem głosił: AMERYKANIE WYNALEŻLI SERUM PRAWDY.

Tekst poniżej zajmował tylko dwa akapity. Chemicy z zakładów farmaceutycznych w Chicago prowadzili badania nad nową grupą środków uspokajających otrzymywanych z kwasu barbiturowego. Przypadkiem odkryli jego nieoczekiwane właściwości - pacjenci, półprzytomni po wstrzyknięciu nowych związków chemicznych, najwyraźniej nie potrafili udzielać kłamliwych odpowiedzi na pytania. Planowane są dalsze badania.

Kirsch oddał mu gazetę.

- Nie mówisz poważnie.

- Niby dlaczego?

- To tylko kaczka dziennikarska.

Eisner potrząsnął głową.

- Sprawdziłem to. Użyli barbituratu o krótkim działaniu, który od lat wykorzystuje się do znieczulania.

- Marija nie kłamie. Ma amnezję.

- Nie bądź taki pewny. A poza tym ten środek może również na to zadziałać. Pomyśl tylko: bezpośrednie dojście do podświadomości. Wyższe funkcje mózgu niczego nie zamęczają.

Możemy być świadkami wielkiego przełomu.

- Jesteś gorszy niż Mehring.

- Oczywiście będziemy działać powolutku. Zaczniemy od małych dawek.

Kirsch wyszedł.

- Wiem, skąd go wytrzasnąć - zawołał za nim Eisner.

- Pentobarbital sodu. Znalazłem dojście. Przejdziemy do historii.



Kirsch zatrzymał się przy drzwiach.

- Zapytaj doktora Bonhoeffera, co o tym sądzi. Może zgodzi się na twój eksperyment. Potem będziesz musiał się dogadać już tylko z moim trupem.

\*

Parę godzin później Kirsch znalazł w swojej skrytce list od doktora Bonhoeffera. Nie zdziwił go surowy ton, ale treść owszem. List stwierdzał, że doktor Mehring ponownie przeanalizował okoliczności, w jakich siostra Ritter doznała obrażeń, i całkowicie odwołuje postawione zarzuty. Siostra Honig również wycofała się z oskarżeń o napaść. Sama siostra Ritter obejmuje posadę w publicznym szpitalu w Friedrichsheinie i nie zamierza występować o żadne roszczenia. Nie ma zatem najmniejszego powodu, by doktor Kirsch składał rezygnację.

Sprawę tę może uznać za zamkniętą.

Kirsch natychmiast udał się do Bonhoeffera, by poprosić o wyjaśnienia. Nie usłyszał żadnych. Najwyraźniej doktor Mehring po prostu zmienił zdanie.

- Pewnie w końcu doszedł do wniosku, że działał pan w najlepszym interesie pacjenta tak, jak go pan rozumiał - usłyszał tylko.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Gabinet pułkownika Schada znajdował się przy bocznej ulicy od Bismarck Strasse, po której przechodziły liczne linie tramwajowe. Gęsto porastały ją też drzewa, ale już najbliższa okolica nie była tak szacowna, jak Kirsch się spodziewał. Schad przyjmował na pierwszym piętrze czarnej od sadzy kamienicy, od której odpadała żółta sztukateria, odsłaniając gołą cegłę. Róg budynku pokrywały rusztowania. Schad korzystał z usług recepcjonisty, lecz poza tym pracował sam.

- Chciałem mieć współnika - wyjaśnił, pokazując Kirschowi mieszkanie. - Kolegę, z którym przed laty byłem na praktyce. Niestety, nie wyszło.

Schad mocno się postarzał od ich ostatniego spotkania.

W przeciwieństwie do wielu mężczyzn po pięćdziesiątce, nie przybrał na wadze, a raczej schudł, jego pulchna żołnierska twarz wyciągnęła się i wyglądała niemal na wynędzniałą.

Zgolił wąs, włosy miał krótsze i bardziej posiwiałe niż w wojsku.

- Ma pan chyba dość pacjentów - zagadnął Kirsch.

- Jak na razie, głównie starsze panie i dzieci z chorobami dróg oddechowych. Niestety, berlińskie powietrze nie jest tak czyste, jak się powszechnie uważa.

Schad wprowadził Kirscha do gabinetu przyjęć, który był duży, lecz skąpo umeblowany. Prawie całą jedną ścianę zajmowały książki, drugą karty z atlasu anatomicznego. Aby pacjenci poczuli się swobodniej, naprzeciwko okna rozmieszczono symetrycznie cztery akwarele: sielskie scenki ukazujące łąki, zwierzęta gospodarskie i malowniczo wyglądające stodoły.

Przy niesłodzonej czarnej kawie rozmawiali o sprawach zawodowych: o latach, które Schad przepracował w szpitalu w Essen, doświadczeniach, jakie Kirsch wyniósł z psychiatrii, i różnych aspektach życia w stolicy. Nie poruszali tylko tematu wojny. Kirsch usiłował coś o niej napomknąć - w końcu byłoby nienaturalne, gdyby nie wspomnieli o tym ani słowem - ale kiedy przyszło co do czego, nie wiedział, co powiedzieć. Czuł, że jego dawny dowódca ma podobne opory. Może w tym milczeniu odnajdą jakąś ponurą wspólnotę.

Nareszcie Schad zerknął na zegarek.

- Naprzeciwko teatru Schillera jest całkiem znośna restauracja - rzekł. - Byłbym zaszczycony, gdyby przyjął pan moje zaproszenie na obiad. Za kwadrans mam pacjentkę, ale nie zejdzie mi długo. Frau von Hassell. Chroniczna symulantka, jak większość z nich.

- Moja wizyta nie ma charakteru całkowicie towarzyskiego, panie pułkowniku. Chciałem...

- Niech pan da spokój z tymi wojskowymi formalnościami.

Nie jestem już pułkownikiem.

- Chciałem zasięgnąć pańskiej porady jako pacjent.

Schad obrzucił Kirscha uważnym spojrzeniem. Potem skinął głową. Kirsch uzmysłowił sobie, że stary lekarz od razu się zorientował w naturze problemu. Okoliczności wskazywały na to aż nadto wyraźnie.

- Może pan polegać na mojej dyskrecji - oświadczył Schad.

\*

Gdy Kirsch się rozbierał, Schad opuścił grubą papierową roletę. Badanie trwało zaledwie parę minut. Rana na ramieniu zaczęła się już goić, obumarła tkanka stwardniała pod skórą na kleistą grudkę. Tyle że plamki na piersi i bokach pociemniały. Tu i ówdzie ciało nabrzmiało, przez skórę przebijały małe czerwone krostki, jakby krwawił podskórnice.

- Martwi się pan, że to oznaki początku trzeciej fazy?

Kirsch wbił wzrok w ścianę.

- A mam powody?

- Moim zdaniem nie. Ziarniaki powracają pod wieloma postaciami i w różnych miejscach ciała, ale nie tak. Ciekawe, że nic panu nie wyskoczyło na plecach. - Przesunął ręką po żebrach Kirscha. - Czy te wypryski są bolesne?

- Czasami trochę. Przeważnie rano. Tak jak siniaki.

- Może to są siniaki.

- Jak to możliwe?

Schad potarł podbródek.

- Tak mi przeszło przez głowę. Może się pan ubrać.

Usiadł za biurkiem, gdy Kirsch się ubierał. Wiedział, że powinien poczuć ulgę, lecz coś było nie tak - lekarz najwyraźniej uważał, że Kirsch sam się posiniaczył. Kiedy niezdarnie zapinał spinki, wyczuł, że pułkownik bacznie mu się przygląda.

- No tak. - Schad podparł podbródek czubkami palców.

- Co jeszcze pan zaobserwował?

- Co jeszcze?

- Objawy. Możliwe objawy.

Przed badaniem Kirsch zbyt pospiesznie zdjął krawat, którego węzeł zaciągnął się w ciasną kulę. Teraz z wysiłkiem usiłował go rozluźnić. Ale zbyt krótkie paznokcie nie chwytaly tkaniny.

- Nic poważnego. Nie mogę spać. Czasami mam koszmary.

Nic nadzwyczajnego.

- Kłujące bóle?

Kirsch potrząsnął głową.

- Brak czucia? Na przykład w członkach?

- Nie, w zasadzie nie.

- To dobrze. - Schad wziął ołówek z biurka. - A utrata odruchów warunkowych? Na przykład niekontrolowane ruchy czy coś w tym rodzaju?

Kirsch przypomniał sobie, że poprzedniego dnia stłukł szklankę. No i co z tego? To się może zdarzyć każdemu.

- Nie.

- Halucynacje?

Kirschowi udało się wreszcie rozplątać węzeł.

- Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Choć chyba nigdy nie można być pewnym.

Schad skrzywił wargi, co miało oznaczać uśmiech.

- Chyba tak. A teraz chciałbym, żeby pan spojrział na moją rękę. Proszę podejść bliżej.

Kirsch usłuchał. W tej samej chwili Schad szybko podciągnął roletę. Choć niebo było zachmurzone, światło poraziło Kirscha, tak że musiał odwrócić wzrok.

- Przepraszam. Musiałem sprawdzić. - Schad znowu opuścił roletę.

- Co takiego?

- Pański wzrok. Nie dostosowuje się od razu do światła, co?

Trochę to trwa?

To prawda. Ostatnimi czasy Kirsch ciągle przesłaniał oczy.

Był grudzień, a on często myślał o kupnie okularów słonecznych.

- Co to oznacza?

- Martinie, proszę usiąść.

Kirsch osunął się na krzesło.

- To poważny objaw kiły układu nerwowego. Świadczy o tym, że drobnoustrój dotarł do mózgu, zapewne poprzez układ nerwowy. Wedle mojego doświadczenia, zdarza się to trzem pacjentom na dziesięciu. Nie oznacza jeszcze, że choroba osiągnęła trzecie stadium ani że w ogóle do tego dojdzie. Natomiast istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że nastąpi upośledzenie pewnych funkcji organizmu.

W czasie wojny, gdy pojawiły się objawy wtórne, Kirsch badał patogenezę kiły układu nerwowego. Symptomy wyglądały jak katalog dopustów bożych - od bólów, zawrotów głowy i drętwienia we wczesnym okresie do udarów, paraliżu, otępienia i śmierci. Po drodze czekały jeszcze niepokojące zmiany osobowości, utrata pamięci, halucynacje i zanik zdolności umysłowych.

- Ile czasu jeszcze mi... - Zawahał się, nie wiedząc, jak sformułować pytanie. - Ile czasu jeszcze będę mógł pracować?

- Trudno powiedzieć. Od paru miesięcy do paru lat, może nawet dłużej. Wie pan przecież, że jest wiele zmiennych.

Tymczasem strzykawką do zastrzyków podskórnych pułkownik pobrał mu próbkę krwi. Co prawda na testach serologicznych nie można całkowicie polegać, ale przynajmniej zyska pewne pojęcie, jak licznie namnożyły się bakterie. Wyśle próbkę do miejscowego szpitala bez podawania nazwiska Kirscha. Wyników można się będzie spodziewać po Bożym Narodzeniu.

- A przez ten czas powinien pan założyć, że może zarażać.

Mówił pan, że jest kawalerem, tak?

Kirsch włożył buty. Ręce już mu się nie trzęsły, lecz i tak z trudnością

manipulował sznurówkami, zrobił pętle i mocno je zawiązał.

- Owszem. Nie ożeniłem się.

- Może to i lepiej w tych okolicznościach. - Schad ostrożnie przynosił krew do małej zamykanej fiolki. - Trudno to wyjaśniać bliskim. Zawsze zakładają najgorsze. Przynajmniej nie musi pan nikomu o tym opowiadać.

Schad miał rację. W tych okolicznościach małżeństwo nie wchodziło w grę, zaręczyny z Alną były wariactwem, a w każdym razie świadectwem szaleńczego optymizmu. A jednak uświadomił to sobie, dopiero gdy na jego drodze stanęła Marija. Wtedy przejrzał na oczy.

Schad zamknął fiolkę i ściągnął gumowe rękawiczki. Zza drzwi dobiegły dźwięki zwiastujące przybycie frau von Hassell.

Kirsch sięgnął po palto.

- Czy jest najmniejsza nadzieja na wyzdrowienie?

Schad z wolna skinął głową. Policzki lekko mu poczerwieniały. Prócz tego jego twarz nie wyrażała nic.

- Nadzieja jest zawsze - powiedział.

Tego wieczoru Kirsch zadzwonił do Almy do Oranienburga.

Musi się z nią zobaczyć, im szybciej, tym lepiej. O zerwaniu zaręczyn musi powiedzieć jej bezpośrednio, twarzą w twarz.

- Miło, że dzwonicz - rzekła, nim zdążył cokolwiek wyjaśnić. - Pewnie słyszałeś.

- O czym?

- O tatusiu. Na pewno z tego wyjdzie, bez naj mniej szych wątpliwości. Jest silny jak wół. Wszyscy tak mówią.

Otona Siegla zabrano do szpitala z powodu niedomagania serca - tak przynajmniej brzmiała diagnoza lekarska. Nie wiadomo, jak długo będzie musiał tam pozostać. Niemniej cała rodzina pospieszyła do łóżka staruszka.

- Mama strasznie się martwi - mówiła Alma. - Ale powtarzam jej, że tata wyjdzie z tego. Kiedy odwiedziłam go rano, siedział na łóżku, czytał gazetę i

klął pielęgniarki za to, że go tam trzymają. Wirywa się do domu.

Kirsch nie miał wątpliwości, że Alma jest znacznie bardziej przerażona od matki. Ukochany ojciec był dla niej człowiekiem niezastąpionym, a jego śmierć na pewno wstrząsnęłaby podstawami jej świata.

- Pewnie teraz przez jakiś czas nie będziesz mogła przyjeżdżać.

- Wiesz, jak bardzo bym chciała, tyle że mama naprawdę mnie tu potrzebuje. Myślę, że rozumiesz.

- Oczywiście - stwierdził Kirsch. - Powinnaś być tam, gdzie cię potrzebują.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Następnego ranka z Pruskiej Akademii Nauk pocztą pneumatyczną przyszedł następujący odręczny liścik: Szanowny Doktorze Kirsch, Przejrzałem notatki, które łaskawie zechciał mi Pan zostawić w zeszłym tygodniu. Chętnie pomówię o nich z Panem w możliwie jak najkrótszym czasie. Najlepiej byłoby, gdybyśmy spotkali się osobiście. W tym tygodniu każdego popołudnia wygłaszam wykład na uniwersytecie.

O każdej porze będę do Pana dyspozycji.

Z wyrazami szacunku

Max von Laue

Tego dnia do kliniki przyjęto kilku nowych pacjentów, tak że Kirsch mógł się udać na uniwersytet dopiero koło czwartej. Przez kwadrans zasięgał języka na wydziale fizyki, by się dowiedzieć, że profesor wygłasza wykład w innej części budynku. Zdążył akurat, gdy korytarze się wypełniały wychodzącymi studentami. Chodził od sali do sali, oglądał ustawione rzędami fotele i tablice pokryte wykresami i wzorami matematycznymi, wykładowców zbierających papiery albo rozmawiających z kolegami. W końcu znalazł von Lauego, który w głębokim zamyśleniu palił papierosa przy uchylonym oknie.

- Panie profesorze - rzekł Kirsch, wyciągając rękę - mam nadzieję, że przychodzę w porę.

- Jak najbardziej - odparł von Laue. - Dobrze, że pan wpadł. Miałem zamiar odwiedzić pana w Charité, ale nie byłem pewien...

- Tak wyszło najlepiej.

- Notatnik jest w moim biurze. Zajdziemy tam?

Von Laue odznaczał się staroświecką elegancją. Kirsch zauważył to już podczas ich pierwszego krótkiego spotkania.

W jego zachowaniu nie było protekcjonalności, nie dawał rozmówcy do zrozumienia, że jego czas jest wyjątkowo cenny.

- Powiedział pan, że go przejrzał.

- Tak. - Profesor wziął palto, teczkę i poprowadził Kirscha z powrotem na korytarz. - Czy dobrze zrozumiałem?

Te obliczenia zrobił pacjent psychiatryczny?

- Tak przypuszczam. Notatnik znaleziono w jej rzeczach.

Von Laue przystanął.

- W jej rzeczach? Pańska pacjentka jest kobietą?

- Czy to takie nieprawdopodobne?

- Powiedzmy, że niespodziewane.

- Ale to są obliczenia? Mają sens matematyczny?

- Cóż... - Von Laue wzruszył ramionami, jakby była to delikatna kwestia.

- Niektórzy twierdzą, że to fantazje. Piąty wymiar jako coś więcej niż konstrukt matematyczny... ta idea bezsprzecznie nie uzyskała szerokiego uznania. Lecz wywód przeprowadzono zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki.

Przechodzili przez hol wejściowy, kierując się na brukowany kocimi łbami dziedziniec. Ściemniało się. Wszędzie studenci spinali nogawki spodni klamerkami i wyjeżdżali rowerami na ulicę.

- Więc moja pacjentka musi być studentką fizyki.

- Tak mi się wydaje - odparł von Laue. - I do tego o bardzo rozległej



wiedzy. Studenci zazwyczaj nie zajmują się takimi problemami. Są zbyt eksperymentalne, zbyt... współczesne. Dlatego chciałbym wiedzieć, kim jest ta studentka.

- Tego nie mogę powiedzieć. To niezwykle przypadek. Cierpi też na amnezję.

- Amnezję, powiada pan?

,

W oczach von Lauego Kirsch dojrzał błysk, jakby poruszył sprawę mu wiadomą. Uczony zmarszczył brwi, po raz ostatni pociągnął papierosa, po czym wrzucił go do rynsztoka. Mimo ostrego grudniowego wiatru zimno najwyraźniej profesorowi nie doskwierało.

- Widzi pan, to niewłaściwy moment - rzekł po chwili.

- W tym cały kłopot.

- Niewłaściwy moment? Obawiam się, że nie bardzo...

- Zaraz to panu wyjaśnię. Obliczenia, które pan mi pokazał, są próbą sprowadzenia szeregu równań, równań opisujących prawa fizyczne, do jednego równania: prawa, z którego wyprowadza się inne. Pierwszy zestaw równań odnosi się do ruchu przedmiotów w polu grawitacyjnym: gwiazd, planet, asteroidów i tak dalej. Inny odnosi się do przedmiotów w polu elektromagnetycznym: atomów, elektronów. Te dwa zestawy praw wydają się wzajemnie sprzeczne, na tym polega trudność. Mamy inny zestaw praw dla ruchu dużych ciał i inny dla ruchu małych, co dla większości badaczy nie jest zadowalające ani nawet wiarygodne. To ważne zagadnienie, być może najważniejsze w fizyce.

Von Laue nie mógł o tym wiedzieć, lecz Kirsch już wcześniej zapoznał się z pracami poświęconymi tej tematyce, tak jak z pewnością przeczytałby je Max, który zagłębiałby się w nie z taką samą pasją. Gdy Albert Einstein udowodnił, że światło, jak wszystkie formy czystej energii, jest strumieniem cząstek i że te cząstki mają masę, ukazał wizję świata pełnego niepewności.

Obserwacje i eksperymenty udowodniły, że ma słuszość. Światło w istocie składa się z kwantów, kulek energii, które można przyrównać do maleńkich ziarenek piasku przenoszących się z ogromną prędkością. Była tylko jedna trudność - dawne eksperymenty, przedstawiające światło jako przenoszące się falowanie, coś na kształt falek rozchodzących się po wodzie, zachowały ważność. Wzorce zakłócenia nadal udowadniały, że światło jest falą, co Einstein uznał. Obliczenia matematyczne były nie do obalenia.

Po wnikliwym zbadaniu tego problemu i przeprowadzeniu najprzeróżniejszych eksperymentów fizycy musieli uznać to, co rozum i doświadczenie uważały za niemożliwe - że promień światła może być albo tym, albo tym zależnie od sposobu obserwacji. Dwie możliwości współistniały w ciągłym stanie dwuznaczności, spór rozstrzygano zależnie od wzajemnych relacji z obserwatorem. Płynące z tego konsekwencje były co najmniej niepokojące. Skoro o naturze rzeczy decyduje akt obserwacji czy też sposób jej przeprowadzania, jakże uczeni mogą dojść do ostatecznych wniosków? To tak, jakby zasady teorii względności zaczęły się odnosić już nie tylko do zagadnień czasu i miejsca, ale do samej materii wiedzy.

A na tym jeszcze nie koniec. Dawny planetarny model atomu, w którym elektrony krążą wokół jądra, tak jak planety krążą dookoła Słońca, podlegając tym samym prawom fizycznym, był skończony raz na zawsze. Młodzi uczniowie Einsteina - Niels Bohr, Werner Heisenberg, Erwin Schrodinger - niebawem wykazali, że prawa ruchu w ogóle nie odnoszą się do sfery subatomowej. Podobnie jak konwencjonalna geometria. Elektrony i kwanty światła nie mają stałych pozycji, jak przedmioty w większym świecie - jeśli w ogóle można powiedzieć, że są one przedmiotami. Ich pozycja zależy od sposobu obserwacji. Zdaje się, że mają wiele możliwych pozycji istniejących równocześnie. Ich zachowania nie można przewidzieć indywidualnie, a jedynie statystycznie, w masie.

Klasyczna fizyka twierdzi, że wszystko, nawet naj drobniejszy ruch

najdrobniejszej cząsteczki, zachodzi z jakiegoś powodu.

Jeśli jeden elektron zachowuje się inaczej niż inny, to dlatego, że działają na niego inne siły. Mając wystarczającą liczbę informacji, wszystko da się wyjaśnić, przynajmniej teoretycznie. Klasyczny wszechświat jest mechanizmem wprawionym w ruch na początku czasu, a każdy jego ruch został z góry ustalony. Młodzi apostołowie mechaniki kwantowej wyśmiewali się z tej koncepcji. Dowodzili, że w samej istocie energii i materii nie ma ogniwa łączącego przyczynę ze skutkiem. Wszechświat utworzony w oparciu o fizykę światła jest wszechświatem, w którym poszczególne wydarzenia zachodzą bez żadnej przyczyny. Po raz pierwszy zachowanie materii stało się nie tylko nieznanym, ale i niepoznawalnym. Rzeczywistość osadzona została nie na solidnej podstawie akcji i reakcji, lecz na ruchomych piaskach przypadku.

Wcześniej Einstein wykazał światu, że ośrodek wszelkiej materii jest niematerialny, teraz jego cenne kwanty wykazywały mu, że w ośrodku wszelkiego rozumu tkwi bezrozumność.

Tyle że dla wielkiego fizyka był to krok za daleko. Ku zdumieniu Bohra i innych postanowił okiełznać mechanikę kwantową. Jego bronią miał być nowy model matematyczny, który podporządkuje niesforną fizykę kwantową rygorystycznej przyczynowości wszechświata. Ujednoliconą teorią pola objawi ukryte prawa rządzące światem kwantów, podobnie jak rządzą one wszystkim innym. Einstein zamierzał dowieść, że w końcu wszystko jest poznawalne, a przypadkowość rzeczywistości kwantowej to iluzja.

Cztery lata wcześniej, nim notatnik Mariji zaprowadził Kirscha do Akademii Pruskiej, prasa berlińska koczowała przed nią, czekając na wieść o ostatecznym zwycięstwie Einsteina. Album z wycinkami Kirscha nadal pękał od zupełnie nieprawdopodobnych dziennikarskich prognoz - nieograniczonych źródeł energii, błyskawicznego przenoszenia się materii, nawet podróży w czasie. On sam wystawał w kolejkach przed redakcją "Berlin er Morgenpost", gdyż krążyły pogłoski, że w pierwszym wydaniu gazeta zamieści autoryzowany

raport (co okazało się nieprawdą).

Jak dotąd przełom nie nastąpił.

Czytając gazety i periodyki, Kirsch zastanawiał się często, po której stronie w tej wielkiej bitwie odmiennych rzeczywistości stanąłby Max. Czy chciałby, aby Einstein, jego bohater, wyłonił się z niej jako triumfator? Czy też dziwny świat kwantów okazałby się zbyt pociągający, by mu się oprzeć? W snach Kirscha zawsze unikał odpowiedzi na to pytanie, jakby wyrobił już sobie opinię, lecz nie chciał jej ujawnić.

Von Laue prowadził go przez wypełniony studentami dziedziniec. Było zimno.

- Powiedział pan, że to nie jest najlepszy moment na ujawnienie tych notatek - odezwał się Kirsch. - Co właściwie miał pan na myśli?

- Proszę o wybaczenie - rzekł von Laue. - Chyba nie wyraziłem się dość jasno. Chciałem powiedzieć, że ostatnio o zastosowaniu owego działu matematyki, geometrii pięciowymiarowej, do tego konkretnego problemu słyszałem z ust profesora Einsteina. Mówił o tym na wykładzie do członków Akademii Pruskiej. Było to w kwietniu. Pracę na ten temat opublikowano dopiero parę miesięcy temu. - Doszli do innego, mniejszego wyjścia. Von Laue otworzył drzwi. - A więc widzi pan, że te notatki musiał sporządzić albo jakiś czołowy fizyk, albo ktoś pozostający z nim w bliskim kontakcie. Tak w każdym razie przypuszczam.

Von Laue wprowadził Kirscha do swego gabinetu i zapalił światło. Pokój okazał się mniejszy, niż Kirsch się spodziewał, choć wygodnie urządzone. Ściany zastawione były półkami na książki, na podłodze leżał spłowieły perski dywan, stało tam też mahoniowe biurko, a na szafce na dokumenty widniał stary model Układu Słonecznego z kości słoniowej i mosiądzu. Von Laue wyjął kluczyk z kieszeni kamizelki, otworzył szufladę biurka i wyciągnął notatnik Mariji. Kirsch ochoczo go przekartkował. Z gęsto zapisanych stron spozierały nań litery i symbole, zamazane i niezrozumiałe, świadectwo kąpieli w kałuży,

którą im zafundował po drodze do akademii.

- Czy te obliczenia są skończone? Dowodzą czegoś? - zapytał wreszcie Kirsch.

Von Laue się uśmiechnął, siadając za biurkiem.

- W fizyce teoretycznej rzadko udaje się czegokolwiek dowieść, doktorze, to znaczy wykazać, że jest to prawda. Nie umiemy jeszcze przeprowadzić obserwacji pojedynczego atomu, tak jak nie potrafimy dotrzeć do gwiazd. - Otworzył drewniane okiennice i wyjrzał na szeroką aleję w kierunku FranzJoseph Platzu. - Jak często powtarzam swoim studentom, ludzka perspektywa narzuca tyleż ograniczeń naszej zdolności obserwacji, co naszej zdolności rozumienia. Trudno wyjść poza nią.

Prawdziwa obiektywność wymaga oddania i sporego poświęcenia.

Kirsch obrócił kartkę. Była sztywna i pokurczona, ale pismo wydawało się wyraźniejsze. Między stronice starannie włożono arkusz bibuły. Parę kartek dalej znalazł następny.

- Skoro niczego nie można dowieść - odezwał się - skąd pan wie, kiedy ma pan rację?

Von Laue patrzył na lampy uliczne. Migotały na tle kobaltowego nieba.

- To kwestia piękna. Szukamy elegancji, prostoty, oszczędności środków. Takie rozwiązania wybiera natura. Oczywiście trzeba mieć wyjątkową intuicję, by wiedzieć, gdzie należy szukać.

Większość błędzi we mgle własnych założeń. - Obrócił się.

- Niestety, praca pańskiej pacjentki jest niepełna. Brakuje ostatnich stron.

Kirsch nie zauważył wcześniej, że z notatnika została wydartą ostatnia część - jakieś dwadzieścia stron. Pociągnął za zwisające nitki oprawy.

- Nie wie pan przypadkiem, gdzie te brakujące kartki mogą się podziewać? - zapytał von Laue.

- Niestety nie. - Zapadła cisza. Po chwili Kirsch zbliżył się ku niemu i wyciągnął rękę. - Bardzo dziękuję panu za pomoc, profesorze. Nie chciałbym

zabierać więcej pańskiego czasu.

Cień rezygnacji przemknął po twarzy Lauego.

- Gdy pańska pacjentka wróci do zdrowia, z największą przyjemnością się z nią spotkam. Proszę się nie łudzić: jest osobą niezwykle inteligentną, zakładając naturalnie, że to ona dokonała tych obliczeń.

- Najpewniej tak. To jej charakter pisma.

Von Laue odprowadził go do wyjścia.

- Zapewniam pana, że jestem pełen szacunku i uznania dla płci pięknej. Tyle że podczas lat pracy jako fizyk poznałem jedynie dwie niewiasty, które z równą łatwością pojęłyby dzieło Alberta Einsteina. Jedna to Maria Curie, a ona otrzymała Nagrodę Nobla.

- A druga?

Von Laue się zawahał.

- Drugą była jego żona.

- Elsa Einstein?

Von Laue się zaśmiał.

- Nie. Elsa ledwo daje sobie radę z rachunkami domowymi.

Chodzi mi o pierwszą żonę.

- Nie wiedziałem, że był już żonaty.

- Niewielu ludzi o tym wie. Ożenił się przed laty w Szwajcarii. Ona i Albert studiowali na politechnice. - Von Laue otworzył drzwi. - Myślę, że nadal tam uczy.

- W Szwajcarii?

- W Zurychu. Udziela jedynie prywatnych lekcji, głównie młodym kobietom. Sabat czarownic, jak to nazywa Albert. - Po twarzy von Lauego przebiegł uśmiech. - Bardzo brakuje nauczycielek, zwłaszcza fizyki. Wiele uniwersytetów niestety nadal nie chce przyjmować kobiet.

- Zechce pan podać mi jej nazwisko? Jeśli to nie jest...

Von Laue wzruszył ramionami.

- Mileva. Mileva Marić.

Kirsch skojarzył je już po paru sekundach.

- To serbskie nazwisko - rzekł von Laue. - Mileva pochodzi z Serbii, z jakiejś zapadłej dziury.

Kirsch pospieszył z powrotem do kliniki. Była akurat pora kolacji i w budynku panowała cisza. Poszedł do swego gabinetu, zamknął drzwi i pogrzebał po kieszeniach w poszukiwaniu klucza do szafki na dokumenty. Odsunął na bok maszynę do pisania, wyjął akta Mariji i wyrzucił zawartość na biurko. Znalazł list między szkicami Mariji i zdjęciem z „Die Berliner Wache”, które otrzymał od Almy: Fr. Mileva EinsteinMarić, Tillierstrasse 18, Berno, Szwajcaria.

Gdy po raz pierwszy ujrzał to nazwisko, zastanawiał się, czy ktoś nie zrobił sobie żartu. „Doktor EinsteinKirsch” mógłby zwrócić się do niego Robert Eisner, chcąc mu dopiec. Ale teraz nie miał wątpliwości - list adresowany był do pierwszej żony Alberta Einsteina.

Przeczytał go ponownie. Kwiecień 1903. Einsteinowie zastanawiali się nad przenosinami do Serbii. Mileva niepokoiła się o pozostawione tam dziecko, Lieserl. Jej przyjaciółka Helena zapewniała ją, że dziewczynka ma należytą opiekę, i ostrzegła przed zerwaniem umów zawartych wcześniej „ku zadowoleniu wszystkich”.

To dziecko Milevy. Tak brzmi jedyne wiarygodne wyjaśnienie. Lieserl oddano do adopcji - sądząc z tonu listu, prywatnie i dyskretnie. Nie wiadomo, dlaczego ani w jaki sposób Marija weszła w posiadanie tego listu sprzed dwudziestu dziewięciu lat, a tym bardziej dlaczego przywiozła go ze sobą do Berlina.

Przyszła mu do głowy brzydka myśl. Jeśli list był dowodem niestosownego zachowania, można go było użyć jako środka szantażu. Może taki był zamiar - zagrozić Einsteinowi skandalem.

Eugen Fischer podejrzewał oszustwo - i nie on jeden. Nawet policja nie chciała traktować Mariji jako ofiary. Jeśli popatrzeć chłodnym okiem, Marija

zyskała publiczne zainteresowanie w sposób dziwny i wyrachowany, jakby wychodziła ze skóry, by zwrócić na siebie uwagę, a przy tej okazji zyskać sposobność do wywierania skutecznego nacisku.

Kirsch popatrzał na szkice leżące na jego biurku. Młodzieniec i starzec po raz kolejny wyłaniali się z delikatnego cieniowania. Czy młodzieniec był jej współnikiem? A jeśli tak, to co się z nim stało? Kirsch spojrział na szerokie czoło i piękne delikatne usta. Może nie miał tyle szczęścia co Marija, może jego nie znaleziono. Kirsch wyobraził ich sobie na jeziorze w łodzi wiosłowej - kłótnia, walka. A jeśli go zabiła i wyrzuciła trupa za burtę?

A jeżeli on nadal tam leży, niewykryta ofiara z kamieniami w kieszeniach, by obciążyć ciało?

Kirsch ujrzał w duchu Mariję ćwiczącą na dziedzińcu, jej blade ramiona, oczy spuszczone, gdy zakładała za ucho kosmyk włosów. Nie jest morderczynią. Nie byłaby zdolna do szantażu ani oszustwa.

Ale przecież go zwiodła. W Tanguero Powiedziała mu tam, że ma na imię Elżbieta.

Znowu wziął do ręki list. "Wiem, że gdy pytasz o takie sprawy, chodzi Ci o Lieserl".

Lieserl. Nie jest to urzędowe imię, nie wpisze się go w akcie urodzenia czy w paszporcie. To staroświeckie niemieckie zdrobnienie, czuły przydomek, jaki nadaje się dziecku.

Zerwał się na nogi, przewracając pustą filiżankę po kawie.

Stoczyła się z biurka i roztrzaskała na podłodze. Patrzył na skorupy, myśląc jedynie o Mariji, o ich krótkiej rozmowie w Tanguero. Zawahała się wtedy chwilę, nim mu odpowiedziała, uśmiechając się leciutko.

Dziewczynka imieniem Lieserl stała się kobietą zwaną Lisą, Elsbeth - bądź Elżbietą.

Myślał, że sobie z niego żartowała, wymyślając na poczekaniu imię, by go zmylić. Ale nie miał racji. W ogóle nie zamierzała go zwodzić. Powierzała



mu sekret. Jest dzieckiem z listu. Jest Lieserl.

Młodzieniec i starzec. Zamknął teczkę z dokumentami i schował ją do szafki. Od początku się zastanawiał, kim jest starzec.

Teraz już wiedział.

Następnego ranka najpierw zadzwonił na uniwersytet, lecz dopiero po paru próbach udało mu się zostawić wiadomość.

Wreszcie koło południa von Laue zatelefonował.

- Muszę się skontaktować z profesorem Einsteinem - rzekł Kirsch. - Chodzi o moją pacjentkę, o tę studentkę, - Z Albertem Einsteinem? Mówi pan poważnie?

- Zdaję sobie sprawę, że to niezmiernie trudna sprawa.

Kirsch usłyszał kroki, trzask zamykanych drzwi. Po źle przespanej nocy - kalejdoskopie wspomnień, snów i przypuszczeń - był zmęczony i zdenerwowany.

- Panie profesorze?

- Chce mu pan pokazać notatnik. O to chodzi?

Sądząc z tonu, von Laue miał się na baczności. Wzmianka o Einsteinie, chęć ujżenia go, spotkania z nim zmieniła wszystko.

- Nie. Nie chodzi o sprawę ściśle naukową.

- Więc dlaczego uważa pan, że to go zainteresuje? Profesor Einstein jest naukowcem. Nie zna się na psychiatrii.

- Sądzę, że ten szczególny przypadek, przypadek Mariji Draganović, zainteresuje go, gdy pozna wszystkie fakty. Ale zanim zwrócę się do niego bezpośrednio, chciałem zasięgnąć pańskiej rady.

Kusiło go, by opowiedzieć von Lauemu o liście Savić, o tym, co oznacza. Było to kuszące, choć niebezpieczne. A jeśli list został skradziony? Najwyraźniej była to prywatna korespondencja. A poza tym, patrząc obiektywnie, nie stanowiła żadnego dowodu.

- Draganović, powiada pan?

- To serbskie nazwisko. Ona chyba pochodzi z Serbii. Tak jak pierwsza żona profesora.

Zapadło milczenie. Przez chwilę Kirschowi wydawało się, że von Laue chce odłożyć słuchawkę.

- Proszę mówić dalej.

Kirsch usiadł.

- Moim zdaniem istnieje poważne prawdopodobieństwo, że profesor Einstein znał niegdyś moją pacjentkę. Może łączy ich coś, co by wyjaśniało jej obecność w Berlinie.

- Przepraszam, ale nie bardzo widzę...

- Profesor może być jedyną osobą, która byłaby jej w stanie pomóc.

Von Laue westchnął, jakby wszystko to już kiedyś słyszał.

- Doktorze, rozmawiamy o najsłynniejszym żyjącym człowieku. Czyżby pan o tym zapomniał?

- Zdaję sobie sprawę.,

- Twarz Alberta Einsteina znają wszyscy w każdym zakątku cywilizowanego świata. Kroniki filmowe nagrywają go dzień i noc, jego zdjęcie zamieszczono w każdej gazecie. Jako psychiatra musi pan wiedzieć, że przez to ciągle wystawienie na widok publiczny wielu ludzi czuje z nim bliskość, wręcz zażyłość.

Niemal co tydzień jakiś otumaniony biedak wysuwa wobec niego takie czy inne roszczenia.

\_ Niemniej sędzę, że w tym wypadku profesor powinien poznać pewne fakty. Oczywiście sprawa pozostanie wyłącznie między nami.

Von Laue długo nie odpowiadał.

- Chętnie bym panu pomógł, doktorze - odezwał się wreszcie. - Niestety, obawiam się, że to niemożliwe. Dziś po południu profesor Einstein wyjeżdża z żoną do Bremerhaven.

- Do Bremerhaven? Na długo?

- Rozumie pan chyba, że planów ich podróży nie należy rozgłaszać, nawet teraz, ze względów bezpieczeństwa. Albert jest nie tylko najślawniejszym na świecie uczonym. Jest też najślawniejszym Żydem. A do tego głośnym przeciwnikiem narodowego socjalizmu.

- Rozumiem.

- Doskonale. Za parę dni wypływają do Ameryki. Mają wrócić w marcu, lecz biorąc pod uwagę sytuację, raczej w ogóle nie wrócą.

Kirschowi przyszło do głowy, że może być to kłamstwo, wybieg pozwalający bez obrazy odmówić jego prośbie. Jednak von Laue dowiedział, że nie jest typem kłamczucha.

- Niestety, nic więcej nie mogę zrobić dla pana, doktorze, ani dla pańskiej pacjentki. Profesor Einstein w żadnym razie nie może odkładać wyjazdu. Jego wrogowie stają się z każdym dniem śmielsi i bardziej niebezpieczni. Żadne powiązania nie mogą odciągać go od pracy, a tym bardziej wystawiać na szwank jego bezpieczeństwa.

- Ale...

- Niestety, na tym muszę zakończyć tę rozmowę.

- Myślę, że to może być jego córka. Córka Einsteina, Elżbieta. Czy to nie zmienia całkowicie sytuacji?

W słuchawce zapanowała cisza.

- Żegnam pana, doktorze.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Marija nie widziała Kirscha od paru dni. Gdy ujrzała, że zmierza ku niej przez dziedziniec, od razu się zorientowała, że coś jest nie tak. Ręce wsunął głęboko do kieszeni, tak że kłykcie wypychały materiał, a z jego postawy przebijała sztywność, której Marija przedtem nie, dostrzegала.

- Chyba nie szkicujesz kliniki - powiedział.

Jak zwykle siedziała na ławce. Twarz miała zwróconą w stronę budynku, blok leżał jej na kolanach, lecz jeszcze nie zabrała się do dzieła. Popołudniowe słońce przebijało się przez chmury.

- A czemu nie? - rzekła.

Przez zmrużone oczy Kirsch spojrział na okratowane okna i ceglany mur przesłonięty tylko zwiędłymi resztkami pnących roślin.

- Są chyba ładniejsze widoki.

Przesunęła się na ławce, by zrobić mu miejsce, ale on przysiadł na poręczy. Marija spojrzała na arkusz papieru, narysowała zakrzywioną linię, czekając, aż Kirsch się odezwie. Linia zmieniła się w zarys kości policzkowej. Pod nią nakreśliła szczękę.

- Złe wieści? - zapytała.

- Nie - odparł. - Nastąpił postęp. Zdecydowany. Przy odrobinie szczęścia niedługo stąd wyjdiesz. Zaczнеш normalnie żyć.

Narysowała łuk brwi. Mężczyzny czy kobiety? Nie wiedziała.

Ścisnęło ją w żołądku.

- Dokąd mnie odsyłasz?

- Tylko tam, gdzie jest twoje miejsce. - Spojrział na nią po raz pierwszy, ale miała wzrok wbity w szkicownik.

- Tutaj schroniłaś się tylko na chwilę. Nie będziesz już nas potrzebować.

Narysowała ciemne przenikliwe oczy.

- A ty?

Koło okna na najwyższym piętrze kliniki przesunęła się postać w bieli. Ile jeszcze osób nas obserwuje? - zastanawiała się Marija. Doktor Kirsch pewnie głupio się czuje, mając taką widownię. A może właśnie o to mu chodzi - by inni zmuszali ich do zachowania dystansu?

- Marijo, wtedy u herr Mettlera... - Koniec jej ołówka zawisł w powietrzu.

- Zachowałem się niewłaściwie. Bardzo niewłaściwie.

- Doprawdy? Dlaczego?

- Jestem lekarzem. Moją rolą... moim obowiązkiem jest leczenie ciebie. Wszystko inne może tylko utrudnić twój powrót do zdrowia.

Czuła, że łzy napływają jej do oczu. Zaciśnęła zęby. Bała się, że gdy tylko spróbuje się odezwać, wybuchnie płaczem. Jakie to głupie, pomyślała. Kompletnie nienormalne. Zebrawszy wszystkie siły, skupiła się na rysowaniu, mocnymi dźgnięciami ołówka wypełniła źrenice i powieki.

- Postaraj się zrozumieć - ciągnął Kirsch. - W tej chwili masz prawo czuć się osamotniona. Taka jest przyczyna wszystkich twoich uczuć. Jak tylko ci się polepszy, wszystko ulegnie zmianie. Zapomnisz o klinice.

- I o wszystkich związanych z nią osobach. O to ci idzie?

- Tak.

- W zapominaniu jestem dobra.

Usłyszała, jak Kirsch wzdycha. Policzki jej płonęły, wiedziała teraz, jakim się stała dla niego ciężarem.

- A poza wszystkim... - Położył rękę na piersi. - Jestem zaręczony. A więc sama widzisz...

Zadrzała. Chciała uciec, ale gdzie się podzieje? Poza terenem kliniki świat zdawał jej się mgłą na pół zapomnianych obrazów, zniechęcający i samotniczy.

Podniosła się.

- Rozumiem, doktorze. Dziękuję, Postąpiła parę kroków w kierunku kliniki, lecz Kirsch położył jej rękę na ramieniu. Nie odważyła się odwrócić i na niego spojrzeć.

- Otrzymałem pewne informacje. - Mówił przyciszonym głosem, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. - Jeśli są prawdziwe, wszystko się zmieni. Widzisz, przez cały czas usiłowałem odtworzyć twoją przeszłość. Uznałem, że tylko w ten sposób pokonam twoją amnezję. Jednak myślę, że w twoim wypadku naprawdę ważna jest przyszłość. Powinniśmy walczyć o twoją przyszłość. Może być naprawdę wspaniała.

Delikatnie zdjęła jego rękę ze swego ramienia.

- Jak to możliwe?

- Daj mi trochę czasu. - Jego głos był znowu zwyczajny, jak głos lekarza, opanowany, tchnący spokojem, pozbawiony emocji. - Będę musiał wyjechać na jakiś czas. Wziąłem urlop za zgodą dyrekcji. Brakuje mi jeszcze paru danych, a nie dotrę do nich w Berlinie. Tymczasem... - Wręczył jej coś. Książkę.

- Przeczytaj to.

Zerknęła na tytuł na grzbiecie: „O szczególnej i ogólnej teorii względności (wykład przystępny)”. Co za dziwny podarunek, pomyślała - taki daje się obcemu. W żadnym razie nie jest to dar miłosny.

- Uznaj to za nowy początek - rzekł Kirsch.

Wzięła książkę, by nie wyjść na prostaczkę.

- Oczywiście, doktorze. Jak pan uważa.

Pisarz

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

I tak zaczęłam się uczyć. Nie dla zdobycia uznania czy dobrej opinii, lecz by zyskać niezależność. Nauka niebawem stała się całym moim życiem. Znalazłam w niej ucieczkę przed światem, a także zajęcie, gdy bowiem zatapiałam się w książkach, nie byłam sama, znajdowałam towarzystwo - towarzystwo świątłych umysłów, których pasja oświecała innych. Z najwyższą radością łowiłam uchem rozprawy tych wielkich postaci, z niechęcią odnosząc się do wtęptów codziennego życia. Przyznaję Ci się do tego, bo wiem, że zrozumiesz pokusy życia uczonego. Czasami myślę, że gdybym nie poszła tą drogą, natłok emocji przytłoczyłby mnie. Gniew, smutek i samotność czaiły się wszędzie. Wystarczyłoby, abym zeszła o krok z obranej zatraciłabym się w nich i w rozpacz. Czym bowiem są łzy kilku dobrych dusz wobec okrucieństwa tak wielkiej rzeszy?

Ale nie byłam szczęśliwa. Czułam się dumna ze swoich osiągnięć,

niezwykłych jak na młodą osobę mojej płci, lecz nic z tego nie miałam. Chciałam dzięki wiedzy być szczęśliwsza i obdarzyć trwałym szczęściem bliskie mi osoby. Jednak na razie sukcesy pogłębiały tylko moją samotność. Dziewczęta w szkole traktowały mnie jak pozbawionego wszelkich kobiecych powabów dziwoląga, bo tyle czasu poświęcałam matematyce i naukom ścisłym, chłopcy zaś uważali, że chcę się wybić za wszelką cenę. Dlatego przychyliłam się do poglądu, że nauka może przynajmniej zbliżyć mnie do Boga.

Myśli tej nie podsunął mi Kościół. Odniosłam wrażenie, że duchowni do zbyt dużej wiedzy odnoszą się podejrzliwie, zwłaszcza jeśli dotyczy świata natury. Twierdzą, że Bóg i jego Wielki Plan to tajemnice znajdujące się poza zasięgiem ludzkiego rozumu. Śmiertelnicy, wysuwając teorie na temat prawa naturalnego, grzeszą butą. Liczy się tylko wiara, ślepa czy nie, to już bez różnicy. Raz po raz powtarzali mi, że cała wiedza świata ani na krok nie zbliża duszy do królestwa niebieskiego, chyba że idzie o znajomość Pisma Świętego.

Na szczęście niektórzy nauczyciele gimnazjum mieli inny pogląd na naukę. Mój ostatni nauczyciel fizyki, doktor Stanic, uważał, że Bóg i prawa natury stanowią jedność, ponieważ charakter wszechświata jest wyrazem prawa naturalnego i wszystkich rzeczy mu podległych. A więc im lepiej będziemy rozumieć prawa naturalne, tym lepiej zrozumiemy Boga. W ten sposób ukazał mi nowy cel. Spostrzegłam, że ścieżka nauki i badań wiedzie nie tylko do zrozumienia, ale i do źródła wszelkiego dobra i miłości.

Te słowa były dla mnie wielką pociechą, a także bodźcem. Ojciec nigdy nie miał powodu narzekać, że pieniądze przeznaczone na moją edukację idą na marne, choć ciągle wypominał mi, jak się dla mnie poświęca. Czynił to tak często, że obawiałam się, by nie zabrał mnie ze szkoły, choć w owym czasie otrzymywałam już stypendium, które pokrywało większą część chesnego. Mniej bym się tym gryzła, gdybym wtedy wiedziała, iż przechwalał się swą mądrością w całej okolicy, utrzymując, że sam mnie uczył i że w jego rodzinie takie cudowne dzieci pojawiają się raz po raz.

Nie miał już innych powodów do zadzierania nosa, ponieważ z końcem wojny stracił posadę w służbach celnych. Decyzją wielkich mocarstw granica zniknęła, a wraz z nią posterunki celne. Bardziej pomyślna była dla mnie wiadomość, że nowe Królestwo Jugosławii przyjmie kobiety na wszystkie swe uczelnie, również medyczne i ścisłe.

Doktor Stanić przestrzegł mnie, że uniwersytety w Zagrzebiu i Belgradzie mają niski poziom nauk ścisłych, powinnam więc, jeśli to możliwe, odbyć studia za granicą. Ale wiedziałam, że ojciec w żadnym razie mi ich nie opłaci, gdyż odkąd stracił posadę, między nim i matką coraz częściej wybuchały kłótnie o pieniądze.

Już przy pierwszych ostrych słowach odchodziłam od stołu w przekonaniu, że z mojej obecności nic dobrego dla mnie nie wyniknie. Nadal się obawiałam, że ojciec zmieni zdanie co do mojej edukacji (która na razie przysparzała mu tylko kosztów) i każe mi iść do pracy. Całe dnie łowił teraz ryby w rzece albo pił z innymi bezrobotnymi. Zamiast szukać pracy - której było mało, a do tego poniżej jego godności - coraz więcej opowiadał o wielkich zyskach, jakie przyniesie realizacja kolejnych jego genialnych pomysłów. Jednym z nich była hodowla jedwabników na strychu i w budynkach gospodarczych. Pewnego dnia przyjechał z Nowego Sadu z koszem pełnym błyszczących brązowych kokonów, ale z żadnego nic się nie wylęгло. Następnie postanowił na naszej ziemi zasadzić winnicę i w tym celu zaorał dobrą łąkę, zmieniając ją w porośły chwastami ugór. A jeśli nawet (na szczęście) nie wcielał w życie kolejnych swych pomysłów, w domu i tak potrzebna była pomoc, zwłaszcza że matka coraz bardziej podupadała na zdrowiu. Kiedy wypływał temat pieniędzy, zazwyczaj zbierałam naczynia i znikałam w pomywalni, zwłaszcza gdy ojciec zaczynał gderać - że matka nie liczy się z pieniędzmi, co nie było prawdą; że jej rodzina nie dała mu obiecane go spadku; wylewał też inne skargi i żale.

Pewnego wieczoru wszakże dobiegły mnie ich glosy.



Wróciłam tego dnia ze sprawozdaniem ze swoich postępów w szkole, jednym z ostatnich. Kiedy bowiem otrzymam dyplom, będę musiała odejść, moja edukacja zostanie zakończona. Nie będzie można dłużej odkładać odpowiedzi na pytanie, czy mam kontynuować naukę.

Rodzice rozmawiali ściszymi głosami, co nie było niczym nadzwyczajnym, lecz rozbudziło moją ciekawość.

A więc, przyznam, podśluchiwałam pod drzwiami, wstrzymując oddech, by przypadkiem deski w podłodze pode mną nie skrzypnęły.

Tak jak się spodziewałam, rozmawiali o pieniądzach i czy powinni poprosić o więcej - od kogo, nie zdołałam się zorientować. Matka była przeciwna, bo już coś przyrzekli, ale ojciec nalegał. "Przecież nie obiecywaliśmy, że weźmiemy na siebie taki ciężar - usłyszałam wyraźnie.

- Nie mogą tego od nas oczekiwać. Poza tym mają kupę forsy. A my prawie nic".

Serce we mnie zamarło, bo wiedziałam aż za dobrze co to za ciężar. Byłam jednak ciekawa, kto daje nam pieniądze. Potem ojciec powiedział, że powinniśmy skłonić Helenę, by znowu za nami przemówiła, gdyż ona też ponosi pewną odpowiedzialność, przeciwko czemu zaproponowała moja matka, choć już nie tak gwałtownie. Zastanawiałam się, czy może chodzić o moją ciotkę Helenę, której nie widziałam już od ponad roku.

Mama nazywała ją "ciotką Heleną" z sympatii, wcale bowiem nie była naszą krewną. Jej mąż Milivoj, stary przyjaciel ojca z czasów szkolnych, zajmował posadę w ministerstwie i mimo całej zażyłości ojciec często za plecami nazywał go bufonem i skretyniałym marzycielem z powodu jego radykalnych poglądów politycznych. Mieszkali w Belgradzie i od czasu do czasu nas odwiedzali, Helena zaś niekiedy przyjeżdżała sama, miała bowiem krewnych pod Nowym Sadem. Moja matka okazywała jej szczególny szacunek. Ciotka Helena była kobietą bardzo wykształconą, drobną, elegancko ubraną, lecz utykała. Przed zamążpójściem studiowała w Szwajcarii, co robiło na mnie

wielkie wrażenie. Opowiadała mi o wielkich górach i lodowcach, które widywałam tylko w książkach, bo jak wiesz, w mojej ojczyźnie ziemia jest płaska niczym kacza łapa.

Kiedyś dodała szeptem, jakby to był sekret przeznaczony tylko dla moich uszu, że jeśli nadal będę osiągać tak świetne wyniki w nauce, też wolno mi będzie studiować na tamtejszej uczelni. Wiadomo bowiem, że mądre Serbki są mile widziane w Zurychu. Niektóre zdobyły tam dyplom, a do tego męża.

Zarumieniłam się, słysząc te słowa, gdyż byłam jeszcze za młoda, by myśleć o płci przeciwnej. W mężczyznach widziałam wyłącznie nauczycieli albo prześladowców o podrapanych kolanach, których lepiej unikać. Zastanawiałam się, czy przypadkiem drugi kieliszek jabłkowej rakiji nie uderzył jej do głowy.

Przynajmniej dwukrotnie, gdy byłam jeszcze bardzo mała, ciotka Helena przybyła z towarzyszką - ciemnowłosą małomówną panią, skromnie ubraną, ale przystojną.

Początkowo brałam ją za damę do towarzystwa albo za pokojówkę, bo przeważnie siedziała cicho w kącie, patrząc na bawiące się dzieci i uśmiechając się do nas serdecznie, kiedy tylko napotykała nasze spojrzenia. Chyba całkiem bym o niej zapomniała, gdyby jej melancholijna obecność nie wprawiała moich rodziców w dziwny nastrój. Zazwyczaj z ciotką Heleną nie mogli się nagadać - o wspólnych znajomych, wydarzeniach w Belgradzie, nawet o polityce. Lecz w obecności towarzyszkii ciotki Heleny rozmowa się rwała i często zapadała cisza - jakby wszyscy w pokoju zaabsorbowani byli czymś innym.

Kiedy wyjeżdżała, wracał beztroski nastrój - miałam wtedy wrażenie, że o włos uniknęliśmy jakiejś katastrofy.

Ilekoć widziałam tę panią, zastanawiałam się, co za wielki smutek kryje w sercu i dlaczego nikt nie chce o tym mówić.

Zawsze po jej wyjeździe pograżałam się w marzeniach o niej. Oczyma duszy widziałam, jak wchodzi do mojego pokoju, gdy śpię i gładzi mnie po

włosach, jak stoi w drzwiach, patrząc na mnie, a kontury jej sylwetki rysują się w świetle. Nabrałam przekonania, że kiedyś musiała mieć córkę, która zmarła, być może na szkarlatynę, jak wiele dzieci w moim wieku. I z tego powodu ma złamane serce.

Pamiętam, że miała na imię Mileva. Z ciotką Heleną poznały się na studiach w Zurychu. Nadal mieszkała w Szwajcarii, lecz miała rodzinę w wioskach Kać i Titel, oddalonych o dzień drogi od naszego domu. Dopiero parę lat później - i to od mojego nauczyciela herr Boskovicia - dowiedziałam się, że niegdyś cieszyła się w Serbii sławą najlepszej fizyczki, jaką wydał nasz kraj, oraz że była żoną wielkiego profesora Einsteina.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Mileva Einstein Marić mieszkała na zboczach Ziirichbergu w zamożnej dzielnicy willowej, tuż nad politechniką, gdzie po raz pierwszy spotkali się z Einsteinem trzydzieści lat wcześniej. Kirsch wędrował na piechotę, wlokąc się w górę po długich ciągach schodów przecinających kręte drogi. Przystawał tylko, by zaczerpnąć tchu. Niskie chmury kłębiły się nad szarymi wodami Jeziora Zuryskiego, rozpraszając się od czasu do czasu, by odsłonić gęsto zalesione pagórki na przeciwległym brzegu. Padał śnieg.

W dole tramwaje toczyły się po szynach pokrytych świeżą puchową pierzynką.

Pierwsza żona Einsteina była jedyną osobą znającą wszystkie fakty. Nikt inny - nawet sam Einstein - nie wiedział tyle o Lieserl. W końcu dziecko się urodziło, nim zawarli małżeństwo, w niewyjaśnionych okolicznościach. Tylko Mileva mogła stwierdzić z całą pewnością, kim jest ojciec. Z tego samego powodu najlepiej się orientowała, co się stało z dziewczynką i gdzie się teraz znajduje. To były przede wszystkim sekrety Milevy. Pytanie teraz, czy zachowa je dla siebie, czy też zechce się nimi podzielić.

Na Huttenstrasse pod numerem 62 stała solidna czteropiętrowa kamienica o tynkowanej fasadzie i kamiennej podmurówce. Wykończono ją w ponurej wersji art nouveau: nad drzwiami i w oknach widniały witraże, a balkony okalała kuta w żelazie balustrada o subtelnym wzorze. Kirsch nie był umówiony. Postanowił nie uprzedzać o swoim przybyciu. Listy łatwo było odłożyć na stronę, a przez telefon nie da się omawiać spraw delikatnej natury. Wszedł po schodach na trzecie piętro i zadzwonił do drzwi.

Otworzyła pokojówka, która wzięła jego wizytówkę i po krótkiej rozmowie ze swą chlebodawczynią wprowadziła go do salonu.

- Proszę czekać - rzekła. - Pani profesorowa Einstein przyjsć.

Mileva nadal używała nazwiska i tytułu byłego męża, choć byli już trzynaście lat po rozwodzie. Czy nadal żywi do niego uczucie? Czy też chce się tylko pławić w blasku jego sławy? Jeśli tak, jej manewr spalił na panewce. Poza Szwajcarią praktycznie nikt nie wiedział ani o istnieniu jej, ani synów z tego małżeństwa.

Wedle doniesień prasowych Elsa uważana była za jedyną żonę Alberta Einsteina. Co gorsza, powszechnie przyjmowano też, że córki Elsy z pierwszego małżeństwa są córkami Alberta Einsteina. Profesor tego nie prostował, co jest kolejnym dowodem na jego całkowitą obojętność względem sądów świata. A może Mileva nigdy całkowicie nie pogodziła się z rozwodem? Jeśli jest osobą religijną albo po prostu staroświecką, uważa więzy małżeńskie za nierozzerwalne aż do śmierci. A zatem ma prawo do nazwiska męża, to dla niej kwestia honoru.'

Pokój był widny i przestronny, o wysokim suficie i białych ścianach. Stały w nim meble z ciemnego drewna na wysoki połysk. Jeden kąt zajmowało pianino, pośrodku zaś ustawiono duży stół pełen starannie ułożonych książek i papierów. Na ścianach wisiały naj rozmaitsze sztychy i akwarele. Na kredensie nad grzejnikiem znajdował się rząd kaktusów w glinianych doniczkach.

Okna od sufitu do podłogi prowadziły na balkon. Na zewnątrz

rozpościerał się trawnik porośnięty drzewami owocowymi, a dalej widniały pokryte śniegiem dachy miasta.

Boczny stolik zastawiony był fotografiami rodziny Milevy.

Kobiety w sukniach z wysokimi kołnierzami skupiały się w starannie upozowanych grupach wokół brodatych ojców rodzin.

Pucołowate brzdące w marynarskich ubrankach wpatrywały się głupkowato w obiektyw. Na jednym zdjęciu - najstarszym, sądząc z plam na papierze - trzy pokolenia ustawione były w rzędach twarzami do przodu. Mężczyźni nie mieli marynarek, tylko same kamizelki, głowy kobiet owiązane były chustami. Po~dobnie jak strój, ich ogorzałe twarze świadczyły, że utrzymywali się z pracy na roli. Nowsze, wyraźniejsze zdjęcia me były już tak upozowane - pokazywały dziecko w ubranku do chrztu huśtające się na kolanie młodej kobiety, dwóch uśmiechniętych chłopców w strojach sportowych na leśnej ścieżce, przystojnego młodzieńca w oblanym słońcem ogrodzie z paniami stojącymi u jego boków. Kirsch szukał podobizny Alberta Einsteina, ale nie mógł jej znaleźć.

W młodym człowieku było coś znajomego: szerokie czoło, delikatnie zarysowane usta, czujne spojrzenie. Przypominał Kirschowi amerykańskiego gwiazdora filmowego, którego Alma nazywała młodym Valentino. Nagle mu zaświtało - nie widział jego twarzy na ekranie filmowym. Zna ją ze szkicownika Mariji.

„Jest pisarzem”.

Wziął zdjęcie do ręki i obrócił je. Na odwrocie nic me było napisane. Czy to ten sam człowiek? Przyjrząwszy mu się bliżej, nie był pewien.

W holu szafkowy zegar wybił połowę godziny. Przyłączyły się doń dzwony kościelne w całym mieście. Kirsch nie znał innego miejsca, w którym czas odmierzano by równie wytrwale. Zegarek był niepotrzebny.

- Widzę, że znalazł pan Eduarda.

W drzwiach stała kobieta w czarnej sukni. Była drobna, z jej szyi zwisał podwójny sznur pereł. Cienkie ciemne włosy, przetyte nitkami srebra, związała luźno na karku. Jej oczy przywodziły na myśl czarne szkło. Przyszło mu do głowy, że niegdyś czyniły z niej piękność, lecz wydatne usta i mocno zarysowana szczęka upodabniały ją do małpy.

Mileva Marić, przez szesnaście lat żona Einsteina. Być może matka Mariji. Kirsch starał się wypatrzyć wspólne cechy i znalazł pewne podobieństwo w wystających kościach policzkowych, oczach i wygiętych łukach brwi. Odłożył fotografię i wymamrotał formułkę powitalną, ale gospodyni nie było śpieszno do wymiany zdawkowych uprzejmości.

- To zdjęcie zrobiono przed trzema laty. - Zamknęła za sobą drzwi. Akcent miała taki sam jak Marija, choć nieco mniej wyraźny. - Tuż zanim musieliśmy go oddać. Trochę przytył od tamtej pory. W Burgholzli karmią go samymi kartoflami i kluskami.

Burghólzli to szpital psychiatryczny, najślynniejszy w Szwajcarii. Karl Jung pracował w nim przez wiele lat.

- To pani syn?

Mileva wskazała mu miejsce na kanapie, sama sadowiąc się w fotelu. Kirsch odniósł wrażenie, że się go spodziewała.

- Lekarze twierdzą, że ma zaburzenia schizoafektywne, Czy w tym się pan specjalizuje, doktorze?

Pomyślał sobie, że profesor von Laue przewidział jego wizytę i dał znać Milevie, bo dlaczego tak od razu przeszła do rzeczy? Chyba że po prostu taka jest: inteligentna, ekscentryczna, mocno zainteresowana psychiatrią i nieskora do pogaduszek.

- Interesowałem się tą dziedziną - odparł. - Ale szczerze mówiąc, mam wątpliwości, czy takie etykiety na coś się zdają.

Moim zdaniem nie mają dostatecznego uzasadnienia naukowego.

Ach tak. Czy ten sceptycyzm rozciąga się również na doktora Freuda i

jego koncepcje?

- Sądzę, że należy podchodzić sceptycznie do wszystkiego, czego prawdziwość nie została udowodniona. A jeśli idzie o chorobę umysłową.; Figlarny uśmiech przemknął przez usta Milevy.

- Sceptycznie nastawiony psychiatra? Rozumiem, dlaczego mąż zwrócił się właśnie do pana., Kirsch nie miał pojęcia, o czym jego interlokutorka mówi.

- Albert nie ma dobrego zdania o nowoczesnych teoriach psychiatrycznych. Uważa, że szaleństwo ma się we krwi, przechodzi ono z pokolenia na pokolenie jak... - Urwała, na jej wargi powrócił uśmiech. - Jak zwichnięte biodro. I nic tu się nie da poradzić, jedyne wyjście to nie mieć dzieci.

- Frau Einstein...

- Eduard z kolei jest wspaniałym uczniem. W istocie wie więcej o Freudzie niż ci, co go leczą. Powiedzieli mi, że w jego wypadku psychoanaliza jest bezużyteczna, Eduard za każdym razem ich przechytrza. - Mileva spojrzała na zdjęcie dwóch chłopców wędrujących przez las. W młodszym Kirsch rozpoznał Eduarda. - Zawsze miał niezwykłą wyobraźnię. W szkole nauczyciele mówili, że powinien zostać pisarzem. Wszystkie jego wypracowania były wybitne. Dyrektor uznał, że to on odziedziczył iskrę geniuszu Einsteina.

W albumie z wycinkami Kirscha znajdował się wywiad, którego Einstein udzielił przed trzema laty:”Wyobraźnia jest ważniejsza niż wiedza - stwierdził. - Wiedza jest ograniczona.

Wyobraźnia okrąży świat”.

- I powinien pan posłuchać, jak gra na fortepianie. - Mileva patrzyła na niego. - Ale pewnie jego ojciec już to wszystko panu opowiedział.

Zrozumiał wreszcie - Eduard Einstein od trzech lat przebywa w szpitalu psychiatrycznym. Z jakiegoś powodu ojciec nie jest zadowolony z metod leczenia, toteż postanowił przysłać z Berlina wybranego przez siebie psychiatrę. Mileva uznała, że to on, Martin Kirsch, jest właśnie owym psychiatrą. To byłoby jedyne wyjaśnienie.

- Obawiam się, że zaszło nieporozumienie - rzekł. - Nie miałem zaszczytu poznać profesora Einsteina.

Mileva spojrzała na niego.

- To nie on pana przysłał?

- Niestety nie.

Znieruchomiała na chwilę.

- W takim razie zapewne podjął pan pracę w Burgholzli.

A Eduard jest pańskim pacjentem.

Kirsch potrząsnął głową.

- Przybyłem tu w sprawie mojej pacjentki, która leży w klinice psychiatrycznej Charité w Berlinie. Nazywa się Marija Draganović.

Urwał, badając, jaki efekt wywoła to nazwisko; miał nadzieję, że dostrzeże jakąś oznakę uczucia czy troski. Tuż przed wyjazdem do Zurychu zapoznał się dokładnie ze wszystkimi szczegółami pierwszego ślubu Einsteina, które odnotowano w berlińskim ratuszu przy okazji rozwodu. Einstein i Mileva Marić pobrali się podczas ceremonii cywilnej w Bernie w Szwajcarii szóstego stycznia 1903 roku. Z dokumentów, które Marija Draganović złożyła w Biurze Rejestracji Cudzoziemców, wynikało, że przyszła ona na świat pięć miesięcy wcześniej.

W oczach Milevy dojrzał błysk. Ale jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Studentka matematyki - dodał. - Zna ją pani?

Mileva nie odpowiedziała. Bez słowa wyjaśnienia podniosła się i podeszła do drzwi. Kirsch po raz pierwszy zauważył, że lekko utyka, że jeden z jej butów ma podwyższoną podeszwę.

„To przechodzi z pokolenia na pokolenie, jak zwichnięte biodro”.

Najwyraźniej uznała rozmowę za zakończoną.

- Frau Einstein, zapewniam panią, że nie chcę wtykać nosa w pani prywatne sprawy. Ale jestem przekonany...



- Biljano! - zawołała Mileva w głąb korytarza, domagając się czegoś w niezrozumiałym dla Kirscha języku. Odwróciła się do gościa. - Napije się pan kawy, doktorze? - zapytała, a nim zdążył odpowiedzieć, skinęła głową i zniknęła za drzwiami.

Gdy po paru minutach wróciła, jej zachowanie zasadniczo się zmieniło. Jakby usiłowała zatuszować wcześniejszą wylewność.

Kirsch wyczuł pewną szorstkość, która nie wróżyła dobrze. Mileva zachowywała się tak, jakby Kirsch w ogóle nie wspomniał o Mariji.

Kiedy pokojówka nalewała kawę, opisał jej ten przypadek, pomijając dwa ważne szczegóły - zainteresowanie prasy i list znaleziony w rzeczach Mariji. Mileva słuchała, nie przerywając.

- Najwyraźniej jest Serbką z pochodzenia - rzekł, ujmując filiżankę obiema rękami. - A ponieważ na pewno studiowała matematykę tu, w Zurychu, myślałem, że może pani ją spotkała.

- Dziękuję, Biljano - powiedziała Mileva. Pokojówka wyszła. - Cukru, doktorze? Śmietanki?

- Nie, dziękuję. Pokazałem fragment jej pracy profesorowi von Lauemu z Pruskiej Akademii Nauk. Zrobił na nim wielkie wrażenie. Pytał nawet, kto ją uczył.

Rysy Milevy złagodniały.

- Von Laue to porządny człowiek. Ma poczucie honoru.

Czego nie można powiedzieć o reszcie z nich.

- Czyżbym się pomylił, pani Einstein? Nigdy nie słyszała pani o Mariji Draganović?

Utkwiła mroczne źrenice w jego oczach. Na chwilę ujrzał młodszą kobietę: głęboko uczuciową, inteligentną, ale niezdarną.

Być może ta niezdarność brała się z osamotnienia cudownego dziecka, które nie mogło tańczyć.

- Nie myli się pan, doktorze - odparła. - Panna Draganović była moją

uczennicą. Uczyłam ją jesienią przez parę miesięcy. Prywatnie. - Kiwnęła głową w stronę stołu na środku pokoju. To tutaj odbywały się lekcje, uczennica i nauczycielka siedziały obok siebie naprzeciwko okna. - Przykro mi, że niedomaga. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- To może być poważne. Cierpi na ostrą formę amnezji.

Sądzę, że przyczyna jest natury psychicznej. Jeśli szybko nie dowiem się czegoś więcej o przeszłości panny Draganović, choroba może przejść w stan trwały.

Kirsch był przekonany, że ta informacja przełamie wszelkie opory Milevy. Żadna normalna matka nie będzie patrzeć spokojnie, jak jej dziecko cierpi, bez względu na dzielącą je odległość.

Mileva milczała przez chwilę.

- Nie miałam pojęcia, że jest w Berlinie - odezwała się wreszcie. - Uznałam, że wróciła do domu. - Obróciła filiżankę na spodeczku. - Gdzieś pod Nowym Sadem. Nie podała mi adresu. Ale przypuszczam, że pochodzi skądś stamtąd.

- Spod Nowego Sadu?

- To w Jugosławii. W prowincji Wojwodina. Przed wojną była to część cesarstwa, cesarstwa austriackiego. Tyle że teraz wszystko się rozpadło.

- Czyż nie stamtąd pani pochodzi?

Mileva spojrzała nań bacznie. By uzyskać taką informację, trzeba się było trochę postarać.

- Nie. Urodziłam się w Titlu. To kawał od Nowego Sadu.

- Ale w Wojwodinie?

- Tak.

Mileva zachowywała kamienny spokój. Ani w jej twarzy, ani w głosie Kirsch nie dostrzegł śladu cierpienia. Rozczarowało go to.

- Pewnie miały panie wiele tematów do rozmowy - powiedział, gdyż nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Mileva potrząsnęła głową.

- Panna Draganović przychodziła tu po naukę, nie na pogawędkę.

Rozmawialiśmy o fizyce.

- O fizyce kwantowej?

- Chciała objąć posadę na uniwersytecie. Odziedziczyła trochę pieniędzy.

Jej ojciec niedawno zmarł.

Pamiętam, jak znalazłam grób mojego ojca. Śnieg, świeżo rozkopaną ziemię”.

- Czy przyjechała do Szwajcarii sama?

Pamiętam bardzo wyraźnie”.

- O tak, zupełnie sama.

Poczułam się wolna”.

Kirsch wyjął chusteczkę i przytknął ją do czoła. Droga pod górę wyczerpała go. Możliwość, że się pomylił, że Mileva nie ma mu nic ciekawego do powiedzenia, jeszcze bardziej nadwerżyła jego siły.

- Nic panu nie jest, doktorze?

- Nie, wszystko w porządku. Kiedy ostatnio widziała pani Mariję?

- Przed paroma miesiącami. We wrześniu czy w październiku.

- Gdzie się zatrzymała?

Mileva cmoknęła z niezadowoleniem.

- Zamieszkała w mieście. Nie pamiętam adresu. Gdzieś w okolicach Baschigplatzu.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Kirsch wyjął kopertę zawierającą fotografię Mariji zamieszczoną w „Die Berliner Woche”. Było to jedyne jej zdjęcie, jakie posiadał.

- To ona?

Mileva wpatrzyła się w wycinek.

- Mizernie wygląda.

Papier lekko drżał jej w ręce.

- Koniecznie muszę nawiązać kontakt z jej rodziną. Czy może mi pani w tym pomóc? Oczywiście to wszystko pozostanie między nami.

Mileva nadal wpatrywała się w zdjęcie.

- Powiedziałałam już panu wszystko, co wiedziałam.

- Nie pamięta pani nic więcej?

Oddała mu zdjęcie.

- Niestety nie.

Kirsch włożył wycinek z powrotem do koperty. Choć przez lata studiował ludzki umysł, nie był pewien, czy Mileva go okłamuje czy mówi prawdę.

- Pani profesorowo, czy Marija... wspomniała kiedyś o dziecku?

- O dziecku? O czym pan mówi?

- Tak tylko się zastanawiam.

- Marija nie jest mężatką. Co panu przyszło do głowy?

Jej oburzenie było szczere. Kirsch był rad, że udało mu się wykrzesać z niej jakąś reakcję, choćby drobną oznakę urazy. Musi pójść za ciosem.

- Dla nas wcale nie było oczywiste, że nie jest zamężna - rzekł. - W tym wieku może już być wdową albo rozwódką.

A zatem mieć dzieci.

Mileva wyraźnie odetchnęła.

- Mogę rozwiać pańskie wątpliwości. Z tego co mi mówiła, jasno wynikało, że nie jest mężatką.

- Nadal nie bardzo wiem, jak została pani uczennicą.

- Większość moich uczennic pochodzi z tamtych stron, z Bałkanów.

- A więc polecają panią sobie nawzajem.

- Nigdy nie musiałam się ogłaszać. Sądzę, że jestem znana w pewnych kręgach akademickich.

Kirsch włożył kopertę z powrotem do marynarki. Mileva mu nie ufa. Bo i dlaczego miałyby mu wierzyć? Nie może odgadnąć jego intencji ani docenić niezależności. Pewnie z czasem nabierze do niego zaufania. Ale właśnie czasu

mu brakuje.

- Czy Marija rozmawiała z panią o Berlinie?
- Nic takiego sobie nie przypominam.
- Dlaczego tam pojechała?
- Zadaje mi pan mnóstwo pytań, doktorze.
- Musiała coś mówić.
- Nie mnie.
- Czy pojechała spotkać się z profesorem Einsteinem? Czy tak to sobie

obmyśliła?

Mileva podniosła filiżankę i powoli w niej zamieszała.

- Musiałaby jechać kawał drogi, doktorze, tylko po to, żeby wysłuchać publicznego wykładu, zakładając przy tym, że dostanie bilet wstępu.

- Może chciała się z nim spotkać twarzą w twarz.

Ręka Milevy znieruchomiała.

- To by świadczyło o wielkiej arogancji z jej strony. Czas profesora Einsteina jest cenny. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo.

- Może czuła, że coś ich łączy.

Mileva zastygła na krawędzi fotela jakby w obawie, że przy najmniejszym ruchu spadnie na podłogę. Kirsch chciałby, żeby upadła.

- To byłby kolejny przejaw arogancji. Nie zrobiła na mnie wrażenia osoby bezczelnej.

- A jakie wrażenie na pani zrobiła?

- Dobrej studentki. Utalentowanej. Tacy ludzie często są... inni. Co Pan jedną ręką daje, drugą zabiera.

Kirsch wysunął się do przodu.

- W jakim sensie jest inna?

Mileva westchnęła i wyjrzała przez okno. Śnieg przestał padać, ale wiatr dał coraz mocniej. Uderzał we framugi, aż trzęsły się szyby.

- Mariji łatwo coś wmówić, doktorze. Jest typem marzycielki. Wręcz

fantastki. Wystarczy podsunąć jej jakiś pomysł i...

- Uniosła pięść i rozwarła ją, jakby wypuszczała małego ptaszka. - W nauce rozumie znaczenie niezbitych dowodów, niestety w innych sprawach...

Kirsch poruszył się w fotelu.

- A o czym dokładnie roiała?

- Och, wymyślała różne nieprawdopodobne sposoby, by znaleźć szczęście, rozpocząć nowe życie. Powiedziałabym, że szukała miłości. Była samotna. Tak, samotna. Tacy ludzie często uciekają od życia w wyobraźnię, co nie jest dla nich najlepsze. Wiodą spokojny żywot, lecz marzenia snują szalone. Musiał pan to widzieć w swojej pracy. - Mileva zerknęła na zegar tykający na kominku. - Niestety, przychodzi do mnie uczennica. Czy jeszcze o coś chciałby pan zapytać?

Mógłby pokazać jej list. Nie było w nim nic urojonego. Znajdował się w kieszeni jego marynarki. Mógłby ją zapytać, co on oznacza i skąd się wziął w rzeczach Mariji. Mógłby zapytać ją o Lieserl. Tylko po co? Teraz profesorowa ma na podorędziu wszelkie odpowiedzi i uniki.

- Jeszcze jedno. Czy pani syn, Eduard, również poznał Mariję?

Mileva znowu utkwiała w nim wzrok.

- Tak panu powiedziała?

Trudno było wytrzymać jej spojrzenie.

- Pamięta go całkiem wyraźnie. Na tyle wyraźnie, że naszkicowała jego postać.

Mileva niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Mój syn niedomaga. Musi pan to zrozumieć. Nie jest zdolny do normalnego związku z płcią przeciwną. Takie uwikłanie doprowadziło do pierwszego nawrotu jego choroby.

- A Marija...

- Mówiłam jej, żeby się trzymała od niego z daleka, ale nie usłuchała. Spotykała się z nim po kryjomu.

- W Burgholzli?

- Przebywał tam wtedy. Mieliśmy nadzieję, że wróci do zdrowia. Od jakiegoś czasu nie sprawiał kłopotu. Niestety później pogorszyło mu się jak nigdy przedtem. - Przyłożyła rękę do gardła. - Możliwe, że to przez Mariję. Sama nie wiem. Wtedy już jej nie uczyłam.

- Twierdzi pani, że mieli romans?

Niezamierzenie pytanie to zabrzmiało brutalnie.

- Nie, doktorze, niczego takiego nie twierdzą. Wiem tylko, że Eduard na swój sposób ją polubił. A ona...

- Ona...

- Nie zrobiła nic, żeby go zniechęcić. Nawet gdy jej wytłumaczyłam, jaki jest stan umysłu Eduarda. - Mileva ze smutkiem pokręciła głową. - Na pewno nie miała złych zamiarów. Może coś do niego czuła. Ale to wszystko razem nie wyszło mu na dobre.

- Wszystko razem?

Mileva nie próbowała niczego wyjaśniać.

- A więc rozumie pan, dlaczego nie chciałam... dlaczego nadal nie chcę odnowienia tej znajomości. Zdrowie mojego syna jest najważniejsze.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję, doktorze. Mam nadzieję, że nie będzie pan chciał leczyć jednego pacjenta kosztem drugiego.

Zegar w holu wybił czwartą. Mileva odłożyła filiżankę i podniosła się. Jej uczennica zjawi się lada chwila. Odprowadziła go do drzwi.

- Wraca pan zaraz do Berlina? Czy ma pan też tutaj inne sprawy do załatwienia?

Odparł, że najprawdopodobniej wyjedzie z samego rana. To właśnie chciała usłyszeć.

- Mam nadzieję, że pańskie metody okażą się skuteczne - rzekła, ściskając mu rękę - i panna Draganović wróci do domu.

- Czy mogę, oczywiście we właściwym czasie, przekazać jej pozdrowienia od pani?

Mileva się zawahała.

- Wziąwszy wszystko pod uwagę, doktorze, najlepiej byłoby, żeby nie myślała już o spędzonym tu czasie. Najlepiej dla wszystkich.

Nie było śladu żadnej uczennicy ani na schodach, ani przy wejściu do holu, ani na ulicy. Mileva usłyszała wszystko, co chciała usłyszeć, i powiedziała tyle, ile chciała powiedzieć. Kirsch był pewien, że mógłby się dowiedzieć od niej więcej. Ale obecność Mariji w Zurychu uznała za natręctwo, może groźbę, i do Kirscha miała ten sam stosunek. Czy naprawdę tak pilnie chroniła spokój ducha syna? Czy też honor rodziny? A może ani tego, ani tego? Czyżby trzeba było chronić Alberta Einsteina, jego reputację, nieskalane nazwisko?

Kirsch oczywiście mógłby ponownie odwiedzić Milewę, licząc, że będzie bardziej skora do współpracy. Był jednak pewien, że kiedykolwiek by przyszedł, o którejkolwiek godzinie, nigdy jej nie zastanie.

Przechodząc przez jezdnię, jeszcze raz spojrzął na kamienicę.

Dopiero po chwili się zorientował, że Mileva stoi w oknie - mała ciemna figurka częściowo przesłonięta odbiciem nieba.

Skinął jej głową, lecz ona po prostu stała tam niczym obramowany obraz, patrząc, jak gość odchodzi.

\*

Zjadł kolację w hotelu St Gotthard, a resztę wieczoru przepędził w starym kinie oddalonym o przecznicę od dworca. Siedział w ciemności przesyconej papierosowym dymem, patrzył na zdjęcia migające na połatanym, żółkłym ze starości ekranie i myślał o Mariji, a także o Milevie.

Jakże ona i Einstein kiedykolwiek mogli tworzyć parę? Ona przestrzegająca konwenansów, on wolnomyśliciel, ona podejrzliwa, on otwarty, ona wyniosła, on serdeczny i towarzyski. A nade wszystko ona skryta, on całe życie dążący do rozwikłania tajemnic. Max von Laue powiedział, że Mileva



rozumiała dzieło Einsteina i kiedyś z nim pracowała. Z notatnika Mariji wynikało, że nadal usiłuje podążać za jego myślą.

Po krótkim filmie pokazano kronikę. Kirsch wyprostował się, natężając uwagę, gdy na ekranie mignęła postać generała Schleichera. Pokazano go, jak z pochmurną miną spieszenie zajmuje miejsce na tylnym siedzeniu samochodu. Z komentarza wynikało, że generał nie zdobył większości w Reichstagu i podał się do dymisji. Na jego miejsce kanclerzem mianowano Adolfa Hitlera.

Kirsch rozpoznał hotel Kaiserhof, małe postaci w długich płaszczach przeciskające się z rozpostartymi ramionami przez kłębiący się tłum. Zdjęcia z defilady zwycięstwa brunatnych koszul i weteranów wojennych, szeregi maszerujące z Tiergarten wzdłuż Charlottenburger Chausee ku Bramie Brandenburskiej. Kirsch ledwo poznał tę okolicę. Jakby podczas jego nieobecności miastem zawładnęła obca horda. Formowały się orkiestry grające pruskie marsze. Przed ambasadą francuską manifestanci zatrzymali się, by odśpiewać starą wojenną pieśń, „Siegreich wollen wir Frankreich schlagen”, rycząc jak pijany ocean. Potem pomaszerowali dalej z płonącymi pochodniami - urzędnicy bankowi i pikolacy, pałający żądzą walki i przywrócenia Germanii honoru. Tymczasem brunatne koszule opanowały ulice, rozprawiając się z przeciwnikami, jak im się żywnie podobało, bez najmniejszego oporu z czyjejkolwiek strony.

Kirschowi przyszło na myśl, że jeśli Marija jest córką Einsteina, będzie musiał zachować tę wiadomość dla siebie. Nikt nie powinien poznać prawdy, zapewne nawet i sama Marija.

W prasie medycznej nie mogą się ukazać żadne publikacje, do gazet nie powinna się przedostać nawet najkorzystniejsza dla dziewczyny wzmianka. Cała historia musi pozostać tajemnicą, być może na zawsze.

Ale nadal chciał, by mimo wszelkich niebezpieczeństw okazała się prawdziwa. Teraz pragnął tego bardziej niż kiedykolwiek.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Klinika psychiatryczna Burghölzli położona była na południowych obrzeżach miasta, z jednej jej strony rozciągało się Jezioro Zuryskie, z drugiej wznosił się Ziirichberg. Był to budynek bardziej okazały niż Charité, o wyniosłej, wyłożonej kamieniem elewacji przywodzącej na myśl angielskie rezydencje. Działyńce były bardziej przestronne niż w jakiegokolwiek placówce w Berlinie, a z wyższych pięter rozciągał się imponujący widok, który zakłócała tylko ruchliwa linia kolejowa biegnąca wzdłuż jeziora.

Były też inne różnice. Burghölzli szczylił się oddziałem pierwszej klasy, jak na luksusowym statku pasażerskim, gdzie za dodatkową opłatą pacjentów umieszczano w apartamencie z całkowicie umeblowanym salonem i jadalnią. Pacjenci pierwszej klasy nie musieli też pracować na terenie szpitala ani w warsztatach, co innym chorym zlecano w ramach rehabilitacji. Wszystko to zorganizowano bardzo dyskretnie. Podobno pacjenci drugiej i trzeciej klasy nie mieli pojęcia o istnieniu uprzywilejowanej kasty. Być może, pomyślał Kirsch, wychodząc z taksówki, ta wiedza utrudniałaby skuteczne prowadzenie terapii.

Młodszy syn Alberta Einsteina rezydował w pierwszej klasie.

Kirsch wręczył swą wizytówkę pielęgniarce w recepcji, po czym poprowadzono go szeregiem korytarzy do południowej części budynku. Im dalej szedł, tym lepsze wydawało się powietrze, kuchenne wonie i odór środka dezynfekującego ustępowały delikatniejszym, przyjemniejszym aromatom: świeżo upranych firanek, pasty do podłóg, kwiatów. Bardziej przypominało to ekskluzywne prywatne kliniki i sanatoria, o których wieści obijały mu się o uszy. Pobudowano je niegdyś w całych Alpach szwajcarskich na potrzeby bogatych gruźlików, którym obiecywano czyste powietrze, wypoczynek i lekkie ćwiczenia fizyczne w sprzyjającym otoczeniu. Później wiele z nich przerzuciło się na opiekę psychiatryczną, proponując kuracje wodne i najnowsze terapie, a

także ciszę i spokój w dużych ilościach - za odpowiednią cenę.

W Szwajcarii obłąd, podobnie jak wojny sąsiadów, stał się pokaźnym źródłem dochodu.

Przeszli przez zamykane na klucz drzwi. Na przeciwległym krańcu budynku pierwszą pielęgniarkę zastąpiła inna. Wysoka, ruda, lekko piegowata. Gdy weszli po schodach, ona również zniknęła, zostawiając Kirscha na podeście. Stał tu parę minut, patrząc przez okno na pokryty śniegiem dziedziniec. Nie miał pojęcia, czy Eduard Einstein zechce się z nim widzieć, ale z doświadczenia wiedział, że ludzie zamknięci we wszelkiego rodzaju zakładach korzystają z każdej okazji urozmaicenia codziennej monotonii. Mógł też zwrócić się do jego lekarzy, lecz na pewno zasięgnęliby zdania Milevy, czego za wszelką cenę chciał uniknąć. Eduard był jego ostatnią szansą, jedyną pozostałą osobą, która miała styczność z Mariją w Zurychu i mogła znać prawdę o jej pochodzeniu.

Z pobliskiego pokoju rozległy się dźwięki pianina; w szybkim tempie to narastały, to gasły. Potem akordy, mocne, gwałtowne.

Kirsch wytężył ucho, lecz muzyka nagle ucichła. Usłyszał kilka taktów walca, które też urwały się na pojedynczej nucie powtarzanej wciąż na nowo, jakby pianiście nie odpowiadał strój instrumentu.

Wysoka ruda pielęgniarka pojawiła się z powrotem.

- Proszę ze mną - rzekła.

Eduard Einstein siedział przy pianinie odwrócony plecami do drzwi. Ubrany był w białą koszulę i luźne spodnie w kratkę podtrzymywane szelkami i solidnym paskiem. Włosy miał ciemne, szesane do tyłu. Pianino, nie jakiejś nadzwyczajnej marki, było kiepsko nastrojone w górnych rejestrach, ale Eduard grał dobrze, frazował delikatnie, w idealnej tonacji.

Pokój był przyzwoicie umeblowany, lecz panował w nim bałagan. Z kosza na śmieci wysypywały się papiery. Sterty gazet, wiele z Berlina, leżały porozrzucane na podwójnym biurku obok magazynów i periodyków.

Popielniczka była wypełniona po brzegi.

Na oparciu fotela wisiał jedwabny szlafrok. W pokoju było gorąco, żar rozchodził się od grzejnika stojącego pod oknem z podwójnymi szybami, które zabezpieczały kraty. W pokoju unosił się zapach stęchłego tytoniu przemieszany z wonią kosztownych wód kolońskich.

Dograwszy utwór do końca, Eduard wstał od instrumentu.

Głęboko zaczerpnął oddechu, aż poruszyły mu się ramiona, po czym wreszcie odwrócił się do gościa. Jego matka miała rację - przytył od czasu, gdy zrobiono mu zdjęcie w ogrodzie. Policzki miał pełniejsze. Rzucająca się w oczy górna warga aż prosiła się o wąż, lecz Eduard był gładko wygolony. Nadal wyglądał przystojnie - wysoki, ciemny jak matka, o takich samych wydatnych ustach i błyszczących oczach.

- Brawo - rzekł Kirsch.

Młodzieniec się uśmiechnął, nie podchwycił jednak jego spojrzenia.

- Partita d-mol. - Głos miał cichy i niepewny. - Nie wszyscy lubią Bacha. Uważają, że jest oschły.

- W niewłaściwym wykonaniu może zabrzmieć nieco mechanicznie.

Eduard opuścił wzrok na wzorzysty dywan na podłodze.

- Mój ojciec lubi Bacha. Gra na skrzypcach. Niezbyt dobrze. Nie tak dobrze, jak mu się wydaje, ale nikt mu tego nie powie. Każdy chce się pochwalić: "Grałem z wielkim profesorem Einsteinem". Nieważne, jak marnie to wychodzi. Aby tylko popisać się przed znajomymi.

Objął palce prawej dłoni lewą, aż trzasnęły kłykcie. Potem usiadł gwałtownie na skraju stojącej obok kanapy.

Kirsch zdjął palto i usiadł naprzeciw niego. Ludzie, którzy mieli styczność z Albertem Einsteinem, zawsze wspominali o nim przy pierwszej okazji. Nawet Max von Laue uległ tej pokusie już po paru minutach. Przy czym nie chodzi tu o popisywanie się znajomością ze znaną osobą - Eduard czy von Laue nie mieli takiej potrzeby. Po prostu Einstein był stale obecny w ich

myślach, stanowił jakby obiektyw, przez który patrzyli na świat.

- Czasami grywa też Mozarta - rzekł Eduard. - Zawsze gramy razem Mozarta. Niczego nowszego już nie tknie. Późniejsi kompozytorzy go denerwują. Beethoven czy Brahms... zwłaszcza Brahms.

- Za trudny?

- Nie. Zbyt wiele w nim emocji. Zbyt wiele uczucia. Ojciec za tym nie przepada.

Kirsch bacznie przypatrywał się młodemu człowiekowi - bezsprzecznie był utalentowany, lecz także świadom swej choroby psychicznej, wiedział, że różni się od innych. Te dwa elementy łączyły się ze sobą, wywołując nieśmiałość przerywaną bardzo wyraźnymi wybuchami gadatliwości. Kirsch zaobserwował to już wcześniej u swych najbardziej utalentowanych pacjentów i często się zastanawiał, czy talent powoduje odchylenie od normy, czy też nienormalność jest źródłem talentu.

- Z tego samego powodu nie chodzi do kina - mówił Eduard. - Smutne sceny wytrącają go z równowagi. Pod tym względem jest jak dziecko.

- Jak dziecko?

Eduard skinął potwierdzająco. Kirscha uderzyło, że wpatrywał się w podłogę wzrokiem ślepego.

- Dla niego nie ma znaczenia, że opowieść nie jest prawdziwa. O to mi idzie. Przeżywa ją tak samo, jakby działa się naprawdę. Ani mniej, ani więcej. Dlatego trzyma się z boku. Woli spokój. Uważa, że jest mu potrzebny, by widzieć. - Wsunął obie ręce między kolana. - Przyszedł pan, żeby postawić drugą diagnozę, doktorze?

- W pewnym sensie.

Eduard nie czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Stwierdzono u mnie zaburzenie psychoafektywne. Ale tylko dlatego, że lekarze nie potrafią uzgodnić opinii między sobą.

Początkowo doktor Zimmermann uznał mnie za schizofrenika, bo mam

zaburzenia myśli. Moje asocjacje umysłowe uległy rozluźnieniu i z tej przyczyny nie mogłem się spójnie wypowiedzieć.

- Przez chwilę przyglądał się Kirschowi, jakby prosił o odrzucenie tej diagnozy. - Doszedł też do wniosku, że przejawiam sprzeczne uczucia oraz postawy wobec otoczenia. Chodziło mu chyba o moją matkę.

- Pańską matkę?

- Zaatakowałem ją. Nie powiedziała panu? Chciałem ją tylko przestraszyć. Byłem zły. Mój ojciec jest taki sam. Nie umie powściągnąć gniewu. Już mówiłem, jak dziecko. Matka myślała, że chcę ją wyrzucić przez balkon. Od tej pory okno balkonowe jest zawsze zamknięte.

- Ach tak.

- Zdaniem doktora Bleulera zaburzenie toku myślenia i sprzeczność uczuć to dwa objawy schizofrenii.

Na ustach Eduarda pojawił się drżący uśmieszek. Po raz pierwszy Kirsch zauważył, że zęby ma trochę krzywe i poplamione nikotyną.

- Doktor Zimmermann jest uczniem doktora Bleulera - ciągnął Eduard. - Ale doktor Schuler nie. Jego zdaniem nie występują u mnie wyraźne objawy halucynacji, które uważa za konieczne do stwierdzenia schizofrenii. Twierdzi, że cierpię na zaburzenie nastroju, psychozę depresyjną, być może uwarunkowaną dziedzicznie. I chyba coś w tym jest. Moja matka często bywa przygnębiona. Pamiętam to od małości. - Prychnął głośno. - Poznał pan moją matkę?

- Tak.

- Podobno kiedyś była inna. Zanim mój ojciec wyjechał do Berlina. Była naprawdę szczęśliwa.

Przez chwilę wpatrywał się tępo w podłogę, po czym nagle uniósł wzrok.

- Tak, nie mogli dojść do porozumienia - rzekł, nachmurzywszy się. - Ale potem dowiedzieli się od Amerykanów o nowym zaburzeniu, schizoafektywnym. Wyglądało to na dobry kompromis: schizofrenia przeplatana

psychozą.

- Wszystko to panu wytłumaczyli?

Eduard mówił tak szybko, że Kirsch ledwo za nim nadążał.

- Ależ nie. Na odwrót. To ja im wszystko wytłumaczyłem.

- Przepraszam, nie...

- To ja zaproponowałem diagnozę. - Ręce Eduarda wysunęły się spomiędzy kolan i spoczęły na nich. - Mam więcej czasu na lekturę pism psychiatrycznych niż oni. - Skinął głową w kierunku zarzuconego papierami biurka. - Nie zostało mi nic innego do roboty poza czytaniem. Czytam przez cały dzień.

Eduard najwyraźniej łaknął rozmowy. To zupełnie zrozumiałe. Pielęgniarki ze szpitali psychiatrycznych, choć często pełne współczucia, nie są skłonne do pogawędek, zwłaszcza na bardziej uczone tematy, które pociągały Eduarda. Jeśli rzeczywiście odziedziczył geniusz ojca, był to geniusz bez wyraźnych celów, jakie stawiał sobie wielki uczone. Synem powodowała raczej niespokojna, nieukierunkowana siła, która oddalała go od otaczającego świata, lecz w zamian nie przynosiła żadnych korzyści.

Eduard pragnął jedynie zwrócić na siebie uwagę znamienitego ojca i przytrzymać ją możliwie jak najdłużej.

- Nie przybyłem tu, żeby postawić kolejną diagnozę, herr Einstein.

- Z pańskiej wizytówki wynika, że jest pan psychiatrą.

- Owszem.

- Więc może pan wydać drugą opinię. Albo trzecią.

- A komu miałbym ją wydać?

Eduard zrobił zdumioną minę.

- Mnie. Opinii nigdy za wiele. Im więcej, tym większa szansa, że któraś przypadnie mi do gustu.

- Obawiam się, że moja opinia nie będzie miała żadnej wartości. Ponadto...

Eduard przechylił głowę na bok.

- Co o doktorze Jungu sądzi się w Berlinie? Doktor Jung twierdzi, że to co nazywamy chorobą umysłową, w istocie jest wytworem nieświadomości, kryzysem, który zmusza nas, byśmy dostrzegli przeszkody na drodze naszego indywidualnego rozwoju. Uważa, że powinniśmy go wykorzystać.

- Tak czytałem.

- To co ludzie nazywają chorobą umysłową, w istocie jest nowym sposobem postrzegania. Sposobem, który im się nie podoba. To pocieszające, nie uważa pan, że obłąd ma jakąś dobrą stronę? Że jest sens w bezsensie?

Edward znowu się uśmiechnął niepewnie. Kirschowi zdało się, że wszystko robi jakoś niepewnie z wyjątkiem gry na pianinie. Mówił, połykając słowa, przerzucając się od jednej myśli do drugiej, jakby nie chciał, by ktokolwiek dokładniej je rozpatrzył.

Kirsch poczuł, że się poci. W pokoju było o wiele za gorąco.

Wyciągnął chusteczkę.

- O ile mi wiadomo - rzekł - w Berlinie nie ma zgodności co do poglądów doktora Junga.

Eduard się uśmiechnął.

- Przypuszczam, że czołowe miejsce zajmuje Freud, skoro już sobie wyrobił tam pozycję. Uważam, że jego pisma są bardzo przekonujące, zwłaszcza w kwestii analizy rodziny. Czytał pan "Totem i tabu"? - Zwarł mocno nasady dłoni i kurczowo nimi obracał, jakby wyciskając słowa spod skóry. - Freud powiada, że każdy syn instynktownie pragnie zabić ojca, zająć jego miejsce, naturalnie mając w związku z tym poczucie winy. Rolą ojca jest powściągnięcie instynktów syna, pokierowanie nim tak, by kroczył naprzód, wyszedł poza krąg rodzinny, zwłaszcza by wyrwał się ze szponów matki. Musi natchnąć go taką pewnością siebie, by śmiało ruszył w świat. Ale jeśli zabraknie ojca...

Kirsch dotknął czoła chusteczką. To nie tylko kwestia żaru w pokoju -



brała go gorączka. Wyczuł to po napinającej się skórze na ciemieniu i łamaniu w kościach. Eduard, wyrzucający z siebie opinie i idee jedną po drugiej, również był rozgorączkowany.

- Herr Einstein - rzekł Kirsch - przybyłem tu... Chciałem pana zapytać o Mariję Draganović.

Eduard nagle znieruchomiał. Albo udawał zdumienie, albo rzeczywiście był zaskoczony. Potem się uśmiechnął.

- O Mariję? Od miesiący nie miałem od niej żadnych wiadomości.

- A dokładnie?

- Przysłała mi pocztówkę z Berlina. W październiku. Tylko tę jedną pocztówkę, a potem już nic. - Eduard zmarszczył brwi.

- A skąd pan ją zna, jeśli wolno zapytać?

- Jest moją pacjentką.

- Pacjentką? - Kłykcie jego palców trzasnęły.

- Przeszła coś w rodzaju załamania. Usiłuję wyjaśnić okoliczności, w jakich do tego doszło.

Eduard podniósł się i podszedł do okna. Na parapecie stały dwa kaktusiki, takie same jak w salonie frau Einstein. Miały kopulasty kształt i skórkę pod kolcami w kolorze widmowej zieleni. Czy dlatego tak mocno podkreślono ogrzewanie - żeby kaktusy miały odpowiednią temperaturę?

- Jakie są objawy? - zapytał.

- Przede wszystkim utrata pamięci. Początkowo nie miała w ogóle pojęcia, kim jest. Nastąpiło pewne polepszenie, lecz przyczyna jej dolegliwości pozostaje nieznana. Możliwe, że ją napadnięto, ale policja nie ma pewności.

Eduard przykucnął przy wielkim żelaznym grzejniku.

- Gdzie ją napadnięto?

- W lesie pod Berlinem.

- A gdzie dokładnie?

- Gdzieś pod Poczdamem. Dlaczego?

Eduard z wolna pokręcił zaworem.

- Mnie pamięta.

- Na ile zdołałem się zorientować, łączyły was bliskie stosunki.

Eduard znowu się uśmiechnął.

- Wie pan, jest bardzo bystra. Jak moja matka za młodych lat. Początkowo matka nie chciała jej uczyć. Była zła, gdy ciotka Helena ją przysłała, lecz kiedy zobaczyła jej prace, nie mogła odmówić. Powiedziała, że taki umysł nie może się zmarnować.

Ciąży na nas odpowiedzialność.

- Odpowiedzialność? Tak dokładnie się wyraziła?

Eduard skinął potwierdzająco.

- Słyszałem, jak rozmawiała przez telefon.

Kirsch przypomniał sobie list: "Ale proszę Cię, byś pod tym względem była ostrożna i przestrzegała zawartych umów".

- Czy ta ciotka Helena to nie jest przypadkiem Helena Savić?

- Właściwie nie jest moją ciotką, tylko dawną przyjaciółką matki z czasów studenckich. To Austriaczka, która wyszła za Serba. Przeciwnie niż mama: Serbka, która wyszła za Niemca.

Miła i mądra kobieta. Wszystkie przyjaciółki mamy są mądre.

Ona mieszka w Belgradzie. Był pan kiedyś w Belgradzie, doktorze?

Kirsch potrząsnął głową.

- Jego nazwa oznacza "białe miasto". To ładne, prawda?

- Pańska matka powiada, że udzielała Mariji lekcji przez parę miesięcy, a potem przestała. Z jakiego powodu?

Eduard starł odrobinę brudu z dłoni.

- Bo nie miała już czego jej uczyć. Gdyby pan wiedział, czym się zajmuje...

Kirsch wiedział. Wyjaśnił mu to profesor von Laue.

- Chyba pracowała nad ujednoczoną teorią pola. Zwłaszcza nad geometrią

pięciowymiarową, której koncepcję rozważał pański ojciec.

Eduard się zarumienił.

- To pomysł mojej matki. - Podniósł się gwałtownie i podszedł do pianina. - Nadal śledzi wszystko, co robi ojciec.

Bezkrytycznie oczywiście. Czy kiedykolwiek wgłębiał się pan w fizykę kwantową, doktorze?

Kirsch za wszelką cenę chciał uniknąć kolejnych erudycyjnych rozważań Eduarda, lecz potem przypomniał sobie, że fizyka kwantowa wypełniała notatnik Mariji, że rodzaj i złożoność jej obliczeń zaciekały nawet Maksa von Lauego.

- Czytałem coś niecoś - odparł.

- Mój ojciec powziął ten pomysł. Powołał go do życia, a teraz chce się go wyrzec. Żałuje, że w ogóle się narodził. Twierdzi, że jeżeli mechanika kwantowa odpowiada rzeczywistości, to świat jest szalony. - Eduard uniósł wzrok ku brązowawej plamie na suficie. - A nic go bardziej nie przeraża niż obłąd.

- Nie jest w tym odosobniony - rzekł Kirsch.

- Wie pan, dlaczego mój ojciec uważa teorię kwantową za tak groźną? - zapytał Eduard. - Zna pan prawdziwą przyczynę?

- W te rejony już się nie zapuszczam.

- Zapewniam pana, że to kwestie tyleż instynktowne co intelektualne. Bohr i inni stworzyli świat, którego ojciec nie jest w stanie znieść. - Eduard wyciągnął palce i wygrał na klawiaturze pojedynczą nutę. - Teoria kwantowa powiada, że wszelka obserwacja polega na wzajemnym oddziaływaniu. Fizyk nie może wyjść poza rzeczywistość i obserwować jej obiektywnie, tak samo jak nie wyjdzie poza wszechświat ze stoperem i miarką. W świecie kwantowym obserwacja wszelkich rzeczy jest równoznaczna z kształtowaniem ich i póki się ich nie zobaczy, ich istota pozostaje płynna, potencjalna, lecz nie rzeczywista. Bohr powiada, że fizyka nie ma określać rzeczywistości, tylko uporządkować

ludzkie d o ś w i a d c z e n i e rzeczywistości, a to coś zupełnie innego. Zdaniem niektórych pośledniejszego. - Zagrał kilka pierwszych taktów melodii, po czym urwał. - A więc, jak pan widzi, fizyka kwantowa pozbawia uczonego bezstronności. A badacz nie może uciec od własnego człowieczeństwa. Jest częścią tego, co wypreparowujemy, czy mu się to podoba czy nie.

- Wynika z tego, że pragnie pan porażki własnego ojca - zauważył Kirsch. Eduard nadal siedział odwrócony do niego plecami.

- Oczywiście. Mam w tym własny interes.

- Nie rozumiem.

- Jeśli świat jest szalony, nie znajduję się w szczególnie niekorzystnej sytuacji. To cała reszta ludzi nie pasuje.

N a chwilę zapanowało milczenie. Eduard jakby na coś czekał. A może zapomniał, że nie jest sam. Momentami inteligencję młodego człowieka Kirsch odbierał jak nacisk, który go przygniatał. Może Eduard też tak ją odczuwał - nie jak zaletę, środek do osiągnięcia sukcesu lub szczęścia, lecz jak przyczynę osamotnienia, ciężar, którego nigdy z siebie nie zrzuci.

- Więc dlatego Marija udała się do Berlina? - odezwał się wreszcie Kirsch. - Żeby kontynuować studia?

- Być może.

- Czy też miała nadzieję, że odnajdzie ojca?

Eduard nadal tkwił nieruchomo.

- Myślałem, że jej ojciec nie żyje.

- Zależy, kim jest. Czy kim był.

Eduard westchnął.

- Nic tu nie mogę pomóc. Traci pan czas.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Bo Marija nie jest obłąkana.

- Nigdy tego nie twierdziłem. Tak czy tak, „obłąkanie” nie jest terminem medycznym, o czym pan z pewnością wie.

- W takim razie nie jest chora. Niedorozwinięta umysłowo.

Marija się zmienia, to proces, przygotowanie. Ciotka Helena to rozumiała. Ona wszystko rozumie.

- Przygotowanie do czego?

Eduard odpowiedział wzruszeniem ramion, jakby mógł zdradzić coś więcej, ale nie widział powodu.

- Dlaczego Marija udała się do Berlina? - zapytał ponownie Kirsch.

- Dowiedziałem się o tym, dopiero gdy dostałem od niej pocztówkę.

- Nie zwierzyła się panu?

Eduard zagrał pojedynczą nutę, całkiem głośno, po czym przebiegał palcami po klawiaturze, wygrywając kolejny fragment melodii.

- Zwierzenie się chorym umysłowo nie ma sensu. Nie potrafią dochować sekretu.

- Jakiego sekretu?

- Żadnego. To kwestia zasady i roztropności. - Melodia przerodziła się w walca, tego samego, który Kirsch słyszał, czekając na podeście.

- Bez urazy, doktorze. Muszę się przygotować do gry z ojcem. Choć on tyle nie ćwiczy. Spodziewam się go lada dzień.

Kirsch podniósł się z miejsca. Zgodnie z tym co powiedział profesor von Laue, Einstein jest teraz w Ameryce i wróci najwcześniej za miesiąc.

- Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić czas, hen Einstein - rzekł, ale Eduard, nie odrywając się od pianina, kiwnął mu tylko głową na pożegnanie. A może po prostu w rytm muzyki?

Na korytarzu przy drzwiach czekała rudowłosa pielęgniarka.

Gdy szli razem schodami, walc nagle ucichł.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Rozpoczynając studia na uniwersytecie w Zagrzebiu, zapomniałam już o

przyjaciółce ciotki Heleny. Wiedziałam tylko, że znalazły się pieniądze na moje chesne i na skromne utrzymanie oraz że ciotka Helena w jakiś sposób przyczyniła się do ich pozyskania. Nie prosiłam też o żadne wyjaśnienia w tej sprawie z obawy, by nie odebrano mi szansy nauki. Choć bowiem ojciec nadal przypisywał sobie zasługę moich sukcesów i chwalił się nimi przy każdej sposobności, nie mogłam w najmniejszej mierze liczyć na jego wsparcie. Po pierwsze, zaczął strasznie pić, nie tylko wieczorem, ale i w ciągu dnia. Coraz nadziej bywał trzeźwy, a jego nastrój zmieniał się gwałtownie i niespodziewanie. Nawet kiedy chwalił mnie w oczy, co zdarzało mu się od czasu do czasu, zwłaszcza jak sobie popił, nie czułam się pewnie. Zapraszał mnie na szklankę wina, bardzo ceremonialnie mnie traktując za plecami mamy. Potem opowiadał mi, jaka się ze mnie robi ładna dziewczyna i żebym na siebie uważała, by jakiś młody ladaco nie zwiódł mnie na złą drogę. Denerwowało mnie takie gadanie i pod byle pretekstem unikałam jego towarzystwa.

Późnym wieczorem, gdy był już zbyt pijany na takie uprzejmości, słyszałam, jak idzie po schodach na górę.

Kiedy stapał ciężko, zostawałam w łóżku. Ale czasami słyszałam, jak się skrada. Wtedy wyskakiwałam z łóżka i zamykałam się w ubikacji albo chowałam na strychu.

Wiedziałam bowiem, że kiedy zachowuje się cicho, chce powiedzieć mi dobranoc w moim pokoju, co mnie krępowało. W tamtych latach żyłam zupełnie jak kot, a przynajmniej tak to musiało wyglądać w jego oczach. Ponieważ tak jak kot wolałam zniknąć, niż znaleźć się sama w jego towarzystwie bez jakiejś wyraźnej możliwości ucieczki.

Umykałam tak, starając mu się broń Boże nie narazić.

Byłam bowiem pewna, że gdyby zabrał mnie ze studiów, zostałabym uwięziona na całe życie pod jego dachem.

Bo pamiętaj, że nie miałam absolutnie żadnych własnych środków utrzymania.

Przypuszczalnie większość dziewcząt w mojej sytuacji uciekłaby w małżeństwo. Ale prawdę powiedziawszy, niełatwo byłoby mi znaleźć męża w Orlovacie. Ojciec rzadko przyjmował gości, uważając się za kogoś lepszego od większości sąsiadów, a nas z kolei tylko od czasu do czasu zapraszali krewni. Przyjaźniłam się zaledwie z kilkoma koleżankami ze szkoły, które mieszkały w Bečkereku.

A do tego wcale nie miałam ochoty wychodzić za mąż.

Okoliczni mężczyźni byli wiejskimi prostakami, bez wykształcenia i krzty szacunku dla wiedzy - jak chłopcy, którzy kiedyś rzucali we mnie kamieniami - tylko wyższymi i bardziej pewnymi siebie. Dla nich każda młoda kobieta, która sama jeździ do miasta, albo już jest kurwą, albo niebawem się nią stanie, a za nic w świecie nie chciałam, by takie opinie doszły uszu mojego ojca. Wiedziałam bowiem, że największą hańbą jest mieć kurwę w rodzinie. Wpajano mi to od najmłodszych lat, nim jeszcze się dowiedziałam, co to słowo znaczy. (Babcia na moje pytanie odparła »ymijająco, że to taka Jezebel, co niewiele mi wyjaśniło, bo wiedziałam jedynie, że Jezebel to biblijna księżniczka, która oddawała cześć Baalowi i została wyrzucona przez okno).

Bardziej cieszyłabym się z tego wyjazdu, gdyby nie myśl o siostrze. Żał mi ją było zostawiać, dręczyło mnie też pewne poczucie winy. Senkę traktowano teraz w naszym domu jak służącą, znikwała, kiedy zjawiali się goście, i prócz mnie za całe towarzystwo miała zwierzęta, a czasami kilka kobiet, które przychodziły do pracy w sadzie. Bałam się, że beze mnie będzie się czuła samotna. Nie miałam już takich obaw, że ojciec będzie się nad nią znęcał jak kiedyś. Jej obecność już go nie złościła. Troszczył się o nią bardziej niż podczas wojny. Czasami jadała przy stole, dostawała nowe sukienki, buty i pończochy na zimę. Przypuszczam, że matka przypominała mu o ciąży na nim obowiązkach, a on spełniał jej życzenia, by ją ułagodzić. Jedynie Senka brała tę jałmużnę za dowody ojcowskiej miłości, odpłacając mu je na każdym kroku, by go zadowolić - chowała dla niego największe, najświeższe jajka, czyściła mu

fajkę, wzbijała poduszki na jego krześle. Chyba powinnam się była domyślić, że ta zmiana w jego zachowaniu miała też inne przyczyny, lecz Senka nic mi nie mówiła. Spędzałyśmy ze sobą mniej czasu, ponieważ miałam mnóstwo nauki. Pewnie nie chciałam widzieć tego, co się działo pod samym moim nosem. Gdybym to dostrzegła albo coś sobie uroiła, musiałabym głośno to powiedzieć - a wtedy wszystkie moje nadzieje obróciłyby się wniwecz.

Byłam w Zagrzebiu już z półtora roku, kiedy otrzymałam wiadomość od matki, że Senka dostała gorączki.

Nie prosiła mnie o powrót do domu, ale z jej listu wywnioskowałam, że jest wystraszona, bo pisała, że przeniosła się do pokoju siostry, by czuwać nad nią przez całą noc i uspokajać ją, gdyż bredziła w gorączce. Toteż następnego dnia gdy jechałam z małą walizką i kufrem książek - za półtora miesiąca miałam egzaminy z matematyki, a nie wiedziałam, jak długo mnie nie będzie. Prawdę mówiąc, bardzo mi zależało, by dobrze wypaść, z różnych względów. Przede wszystkim nie chciałam, by ludzie mówili, że kobiecy mózdek nie poradzi sobie w tak »ymagającej dziedzinie - a już podnosiły się takie głosy bez najmniejszych po temu powodów.

W domu sytuacja wyglądała inaczej, niż się spodziewałam. Senka już prawie wróciła do zdrowia, lecz rozchorowała się matka. Doktor, po którego ojciec posłał dopiero teraz, stwierdził zapalenie płuc. Ojciec chciał ją oddać do szpitala, lekarz jednak, który codziennie przyjeżdżał z Nowego Sadu, uznał, że podróż tylko pogorszyłaby jej stan (był luty i chwycił wielki mróz), a ponadto w szpitalu nie zrobiliby dla niej więcej, niż robi się teraz. Powiedział też, że matka postępowała bardzo niemądrze, przebywając tak blisko Senki, bo przy infekcjach najlepiej trzymać się od chorego jak najdalej. W tym samym czasie kilka naszych zwierząt padło bez wyraźnych powodów. Doktor napomknął dość ostro, że najprawdopodobniej od nich zaczęły się kłopoty. Nie podobało mi się takie gdybanie i wolałabym, żeby swe opinie zachował dla siebie. Postąpił niemądrze i niesprawiedliwie, obarczając nas winą w takich okolicznościach,



zwłaszcza że nie było wiadomo, gdzie zaraza wybuchnie ponownie ani z jaką siłą się objawi.

Na trzeci dzień, gdy zaniiosłam matce talerz rosółu, schwyciła mnie za rękaw i poprosiła, bym przy niej usiadła. Twarz miała bladą i wychudzoną. Po raz pierwszy ujrzałam zarys jej czaszki pod pomarszczoną skórą, okrągłe oczodoły i rzędy zębów ledwo przykrytych cienkimi wargami. Usadowiłam się z miską zupy i tacą na kolanach, myśląc, że tak przychodzi Śmierć, nie stukając do drzwi, lecz od wewnątrz. Kryje się w środku, czekając, by wyjść. Potem nie chciałam już patrzeć na matkę z obawy, że zobaczę nie moją matkę, a tylko Śmierć.

Wzięła mnie za rękę, powiedziała, że coś ją dręczy, i spytała, czy zechcę ją uspokoić, co obiecałam z całego serca. Wyznała, że bardzo się obawia o przyszłość, zwłaszcza Senki. Poprosiła, bym jej obiecała, że zajmę się siostrą i w miarę swoich możliwości zatroszczę o jej utrzymanie.

- Ty wyjdiesz za mąż i poradzisz sobie - rzekła.

- Ale biedna Senka kiedyś będzie miała tylko ciebie.

Jej troska wydała mi się nieco jednostronna. Jak już wspomniałam, nie miałam wielkich widoków na męża.

Byłam prawie tak samotna na świecie jak moja siostra i bezsprzecznie tak samo zależna od dobrej woli ojca.

Ugryzłam się jednak w język i obiecałam, że spełnię wszystko, o co prosi. Jakby na pocieszenie matka poklepała mnie po ręce i rzekła, że o mnie się nie martwi, gdyż gwiazdy mi sprzyjają i zatroszczą się o mój los. I od razu pomyślałam, jakie mam szczęście, że mogę się uczyć i znalazły się na to pieniądze, choć zastanawiałam się, czy zawdzięczam to tylko pomyślnemu obrotowi losu.

Następnego dnia matce nieco się polepszyło. Trochę się zaróżowiła, nabrała apetytu i ogólnie stała się bardziej ożywiona, więc myśleliśmy, że najgorsze minęło. Dwie noce później wróciła gorączka, jeszcze wyższa niż

poprzednio.

Matka majaczyła i wszystkich budziła swoimi krzykami.

Potem nagle znowu się uspokoiła, zasnęła i rano już nie żyła.

Nie sądziłam, by między rodzicami panowała wielka miłość, zwłaszcza ze strony ojca, skoro wiecznie skarżył się na matkę. Nie wyobrażałam ich sobie jako zakochanej pary, nawzajem sobie dogadzającej, o gorących uczuciach.

Lecz po śmierci matki ojciec sprawiał wrażenie, że stracił wszystko, co w życiu najważniejsze, jakby największą na świecie miłość spotkał tragiczny koniec. Płakał, jęczał i tak się zachowywał, że nie mogłam przy nim wytrzymać, więc wychodziłam przed dom i przeżywałam swój smutek z Senką. Bałam się, że siostra nie zrozumie, co się stało ani dlaczego. Siedziałyśmy skulone w kącie stajni, tuliłyśmy się i płakały, a stary koń przyglądał się nam, przestępując z nogi na nogę. Gdy musiałyśmy wreszcie wrócić do domu, gęsi zebrały się wokół nas, idąc tuż za nami jak kondukt żałobników. Żadna wówczas na mnie nawet nie syknęła ani nie okazała najmniejszej wrogości, co doceniłam w mej rozpacz.

Nie ma co rozpisywać się o tamtych dniach, tyle że na mnie spadło urządzenie pogrzebu, z czego byłam zadowolona, bo miałam jakieś zajęcie. Zauważyłam też, że starając się pocieszyć siostrę w jej smutku najlepiej, jak umiałam, sama również doznawałam sporej pociechy.

Własny ciężar łatwiej znosić, biorąc na barki cudzy, co z pewnością zdążyłeś zauważyć.

Obawiałam się, że bez kobiety do gotowania i sprzątnięcia wszystko pograży się w chaosie. Najęłam więc do prowadzenia domu wieśniaczkę z okolicy, szanowaną wdowę nazwiskiem Maja Lukić. Pracowała już dla mojej matki jako niania i pomoc do domu i zawsze dobrze się sprawiała. Ojciec z wolna odzyskiwał spokój ducha i jakiś tydzień po tym, jak złożyliśmy matkę do grobu, zapytał, czy aby nie powinnam wracać na studia do Zagrzebia.

Wkrótce potem pożegnałam się z Senką i pojechałam z powrotem do

miasta, szczęśliwa, że mogę się poświęcić nauce, ale dręczyło mnie jakieś złe przeczucie, którego nie potrafiłam w pełni wytłumaczyć. Ojciec zachowywał się spokojnie, znacznie spokojniej niż kiedykolwiek wcześniej, a Senka całkowicie wróciła do zdrowia. Coś mi jednak mówiło, że ten spokój jest kruchy jak cienka warstwa lodu na stawie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Robert Eisner obcasem wyważył szufladę, pomagając sobie przy tym śrubokrętem. Szafka na dokumenty zazwyczaj nie była zamknięta na klucz. Przedtem sięgał do niej, nie uciekając się do tak drastycznych technik. Czasami był ciekaw, jakich metod leczniczych używa Kirsch (który był znacznie lepiej zorientowany w nowościach naukowych niż on). Zazwyczaj podbierał koledze materiały piśmienne i formularze, gdyż dużo bliżej było mu do gabinetu Kirscha niż do szafki dwa piętra niżej. Tym razem jego motywy były finansowe. Eisner się zdziwił, że Kirsch przed wyjazdem do Szwajcarii zamknął swoją szafkę na klucz. Uznał to wręcz za prowokację. Po tym wszystkim co Eisner dla niego zrobił, Kirsch nie ma prawa do własnych sekretów.

Szarpnięciem otworzył górną szufladę. Wyskoczyła z prowadnicy i opadła na szufladę niżej. Eisner zastygł, nasłuchując. Głupio będzie, jeśli go zaskoczą w gabinecie Kirscha ze śrubokrętem i rozwaloną szafką, ale było pół do siódmej i większość pacjentów, a także personelu, jadła kolację. Zgasił górne światło. Korzystając z lampy na biurku, wsunął szufladę na miejsce i zaczął przeglądać teczki z dokumentami.

Przede wszystkim rzucił mu się w oczy list od doktora Eugena Fischera z Instytutu Cesarza Wilhelma. Kirsch najwyraźniej załatwił sobie lukratywne zlecenie. "Uważam, że jest to praca najwyższej wagi i że zaowocuje cenną publikacją". Eisner prychnął.

A więc to tak - czek na okrągłą sumkę i cenna publikacja.

Zastanawiał się, czym Kirsch zasłużył sobie na takie wyróżnienie. Musiał za nim przemówić ojciec Almy. Czy jest jakieś inne wyjaśnienie? Chyba że Fischer przeczytał nazwisko Kirscha w gazetach: "Wybitny psychiatra przydzielony do opieki nad przywiezioną pacjentką". A to ci dopiero. "Wybitny psychiatra".

Co za niesamowity szczęściarz.

Za drzwiami rozległy się głosy. To pielęgniarki. Eisner zamknął szufladę i wziął książkę, starając się wyglądać jakby nigdy nic. Pielęgniarki się zaśmiały, stukot ich butów zabrzmiał głośniejszy, po czym ucichł w głębi korytarza.

Eisner ponownie otworzył szafkę. Początkowo de Vriesowi wystarczały ustne informacje o tym przypadku - wrażenia, spostrzeżenia, plotki - za które płacił zaskakująco dobrze. Eisner mówił mu wszystko, co wiedział, ale nie było tego dużo, gdyż Kirsch ostatnio zrobił się niezmiernie skryty i nieufny. Lecz teraz reporter stał się bardziej wymagający. Żądał faktów, wyciągów z karty choroby, szczegółów.

- Mam je ukraść? - zaprotestował Eisner.

- Oczywiście, że nie - odparł de Vries. - Niech pan je tylko wypożyczy. Za opłatą.

Teczka pacjentki E. była najgrubsza w całej szufladzie. Eisner wysypał zawartość na biurko: gazety, widokówki Berlina, szkice ołówkiem i węglem. Z ciemnego cieniowania twarzy wyłaniały się niczym duchy z grobu - a to miłe siwowłose staruszki, a to bożyszczki kobiet z namysłem marszczące brwi. Oto lśniący łysina Heinricha Mehringa, a także siostra Auerbach o pomalowanych połyskliwą szminką wargach, które zamierzał całować, jeśli nie trafi się nic lepszego. Znalazł też podobiznę samego Kirscha. Jego portret był większy od innych, rysy naszkicowano śmielszą kreską. Miał smutną minę. Czym się smucił? Nie ma większego szczęściarza.

Czegoś wszakże brakowało. Gdzie są notatki? Sprawozdania z wywiadów, diagnozy formalne i nieformalne? Gdzie adnotacje o podawanych

lekach i terapii? Teczka pacjentki E. nie zawierała zapisu choroby. To zbiór pamiątek. Jakby pacjentka E. wcale nie była pacjentką.

Skoro nie jest pacjentką, to kim jest?

Zadzwoił telefon. Eisner podskoczył. Ktoś spostrzegł, że siedzi przy biurku Kirscha - może sam Kirsch. Eisner zerknął przez ramię na wąskie okno, tak brudne, że nic nie było przez nie widać - ale czy rzeczywiście?

Telefon dzwonił i dzwonił, aż nagle raptownie ucichł. Eisner znowu usiadł, przykładając dłoń do walącego serca.

Na dole teczki leżało jakieś pokwitowanie. Zaliczka za miesięczny czynsz datowana na tydzień przed Bożym Narodzeniem.

Na dole jednak nie było nazwiska gospodyni Kirscha, frau Schirmann. Ten wynajmujący nazywał się Mettler, a jego lokal znajdował się na Wortherstrasse.

Kirsch trzymał mapę miasta ze spisem ulic w górnej szufladzie biurka. Wortherstrasse. Słyszał już tę nazwę. Z mapy wynikało, że ta ulica znajduje się gdzieś na północ od Alexanderplatzu - w istocie bardzo blisko mieszkania Kirscha. Po co Kirsch miałby wynajmować dwa mieszkania oddalone od siebie zaledwie o parę ulic?

I wtedy sobie przypomniał.

Kirsch napomknął kiedyś o umeblowanych pokojach wynajmowanych tylko kobietom. To tam zatrzymała się dziewczyna od Einsteina, nim utraciła pamięć. Dlaczego Kirsch opłaca za nią czynsz? I jak długo to trwa? Od tygodnia? Miesiąca? Roku?

Żarówka w lampie stojącej na biurku bzyczała przenikliwie.

Nagle rozbłysła jaśniej i zgasła z głośnym trzaskiem. Eisner siedział w ciemności, rozmyślając o Kirschu i Mariji Draganović.

Usiłował się połapać, o co w tym wszystkim chodzi, zorientować się, co przeoczył.

Pewne aspekty tej sprawy były niesmaczne, by nie rzec - dziwne. Kirsch

wszak zawłaszczył dla siebie ten przypadek, skupiając na sobie całą uwagę, gdy tylko spostrzegł, że sprawa ta budzi zainteresowanie prasy, i rzucał się na reporterów niczym początkująca aktorka w wieczór premiery. Eisner uznał, że kolega działał we własnym interesie. Sławny psychiatra może się cenić. Prywatne kliniki dobrze zapłacą za możliwość umieszczenia znanego nazwiska na liście personelu. Czy kryje się w tym coś więcej? Czy prócz zależności pacjentlekarz przewija się tu jakiś inny wątek, o którym Eisner nic nie wie?

A jeśli tak, ile de Vries byłby skłonny za to zapłacić?

Drzwi domu z umeblowanymi pokojami do wynajęcia uchylono ledwo na parę centymetrów, a przytrzymujący je łańcuch był tak gruby, że dałoby się nim udusić osła. Noc nastąpiła zimna i wilgotna, mróz już połyskiwał na kocich łbach, które stawały się zdradziecko śliskie.

- Jestem reporterem z „Berliner Morgenpost” - wygłosił Eisner najlepsze kłamstwo, jakie przyszło mu do głowy. - Chciałem się dowiedzieć czegoś o pańskiej dawnej lokatorce, fraulein Draganović.

Mettler, przepasany zatłuszczonym kucharskim fartuchem, spojrzał na niego zmrużonymi oczyma zza zaparowanych szkieł.

W nocne powietrze popłynęła mdląca woń gotowanego mięsa.

- Nie mam nic do powiedzenia - rzekł, przykładając ramię do drzwi.

- Zapłacę. - Eisner wyciągnął z kieszeni trzy banknoty pięciomarkowe, obracając nimi tak, by Mettler zdołał je dojrzeć.

Drzwi pozostały uchylone. Łańcuch zachrzęścił o drewno.

- Herr Mettler?

- A co pan chce wiedzieć?

- Tylko to, co powiedział pan doktorom w Charité. O pańskiej lokatorce.

- Niech pan ich zapyta.

- Chodzi panu o doktora Kirscha? - Mettler nie odpowiedział. - Niestety, wyjechał z kraju. Nie wiadomo, kiedy wróci.

A poza tym wie pan, jacy są lekarze. - Przesuwając palcem po kciuku,

rozłożył banknoty jak wachlarz. - Dziesięć minut pańskiego czasu. Przyrzekam, że nie będę przytaczał pańskich słów.

Nikt się nie dowie, że tu byłem.

Nadjeżdżała ciężarówka, żółte reflektory migotały na drzewach alej, długie cienie wysuwały się na drogę niczym szpony.

Poprzez ryk silnika Eisner słyszał krzyki.

Mettler zdjął łańcuch i otworzył drzwi. Ledwie Eisner zdążył wejść, znowu je zamknął i zarygłował na górze i na dole. Eisnerowi przyszła do głowy nieprzyjemna myśl, że teraz jest tu uwięziony. Przygarbiwszy się, obrzucił wzrokiem hol, odnotowując w pamięci spłowiałą zieloną tapetę w kwietny wzór, rząd pustych skrytek i w kącie szafkowy zegar, któremu brakowało jednej wskazówki. Z kuchni dochodził ohydny smród - nie przyrządzanych potraw, tylko kości wygotowywanych na rosół. Od razu przyszli mu na pamięć Carl Grossmann, Georg Haarmann i inni sławni mordercy, którzy warzyli ciała swych ofiar, by przerobić je na pasztety sprzedawane potem w słoikach.

Gospodarz zamknął drzwi od kuchni i wyciągnął rękę po zapłatę.

- Nie szpieguję swoich lokatorów - oznajmił. - Póki płacą, mogą robić, co im się żywnie podoba.

Eisner wręczył mu banknoty i czekał, aż zaprosi go do pokoju, lecz rozmowa najwyraźniej miała się odbyć w holu. Mettler rzucił okiem na pieniądze, po czym schował je w fałdach fartucha.

- O to między innymi chciałem zapytać. Czy płaciła?

- Pokój nadal jest na nią wynajęty.

- Dzięki doktorowi Kirschowi. On za nią płacił?

- Umawiał się w jej imieniu.

- To bardzo miło z jego strony. Doktorzy jednak przeważnie tak się nie zachowują, co? - Mettler się nie odezwał. - Od jak dawna umawia się za nią?

- Jego pan musi zapytać.

Mettler przypatrywał się Eisnerowi, oblizując szare siekacze,

najwyraźniej z myślą o posiłku. Jego zachowanie było podejrzane, jakby coś ukrywał. Może chodziło o lokatorki tego przybytku.

Zapewne nie wszystkie były żądnymi wiedzy młodymi damami przybyłymi do Berlina w celu dalszego kształcenia.

- Chciałbym zobaczyć jej pokój, jeśli wolno.

Jeżeli Kirsch i dziewczyna są już kochankami, w pokoju będzie na to jakiś dowód. List miłosny, fotografia - książka, znając Kirscha. Książka ze znamiennej dedykacją.

- Po co? - zapytał Mettler.

- Chciałbym się czegoś o niej dowiedzieć. Który to numer?

- Trzeci.

- Łóżko jest pojedyncze czy podwójne?

- Pojedyncze. Wszystkie pokoje mają pojedyncze łóżka.

Wynajmuję tylko paniom.

Zerknąwszy na schody, Eisner nie dojrzał ani promyka światła.

- Które piętro?

- Pokój wynajęty to pokój prywatny. To nie targ.

- Oczywiście. Chcę się tylko rozejrzeć. Daję pięćdziesiąt marek. - Z kuchni dobiegł syk. Eisner wyciągnął ostatni z po - ~ siadanych banknotów. - Ta dziewczyna straciła zmysły, na miłość boską. Jej to nie zrobi różnicy.

Mettler prychnął i osadził okulary na nosie.

- Sześćdziesiąt. I niczego pan nie ruszy.

- Zgoda.

Mettler obrzucił wzrokiem pieniądze.

- Przyniosę klucz.

Wrócił do kuchni. Do holu buchnęła kolejna fala odorów gotowanej tuszy. Eisner przyłożył chusteczkę do nosa i odwrócił się, Jego wzrok padł na list wystający z jednej z przegródek - pod numerem 3.

List zaadresowany był do Mariji Draganović. Nosił zagraniczny stempel i



znaczek, na którym wyraźnie widniało: ZURICH.

Czy to pismo Kirscha? Trudno powiedzieć.

Nie było czasu do namysłu. Wziął list, wsunął go do portfela, a portfel włożył do palta.

Pojawił się Mettler z kluczem w ręce.

- Wie pan co? - rzekł Eisner, przysuwając się z powrotem do drzwi. - Może przyjdę kiedy indziej. I tak zabrałem już panu mnóstwo czasu.

W pociągu Eisner wyjął kopertę. Wyciągnął list, choć wagonem tak kołysało, że dało się przeczytać zaledwie kilka słów naraz. Pismo było ściśle i niestaranne, z wieloma przekreśleniami, aczkolwiek od czasu do czasu powracało do zasad szkolnej kaligrafii. Wtedy litery stawały się starannie nakreślone i proste, lecz zaraz przechodziły z powrotem w bazgraninę.

Nie tylko charakter pisma budził zdziwienie. Koperta zaadresowana była na Mariję, list natomiast zaczynał się od nagłówka "Kochana Elżbietko". Czy to pomyłka? - zastanawiał się Eisner.

A jeżeli nie, jak brzmi właściwe imię?

Wysiadł na Friedrichstrasse. Nad dworcem założono nowe światła elektryczne. Okrągłe i białe, były osadzone w pobielonym suficie niczym rząd niewidzących oczu. Ponownie wyciągnął list i zaczął czytać:

Zurych, 1 lutego

Kochana Elżbietko, myślałem, że nie odpisałaś na mój list, a jeśli nawet odpisałaś, nie doręczyli mi Twojej odpowiedzi. Nie chciałem pisać ponownie, bo cóż mogę napisać, skoro jestem śledzony? Zazwyczaj daję swoje listy tutejszej pielęgniarki, która jest do mnie życzliwie nastawiona.

Nadaje je poza szpitalem za pieniądze, które jej wręczam, ale możliwe jest też, że najpierw pokazuje je dr. Zimmermannowi. Nie wiem, czy mogę jej ufać. Toteż tym razem list wysyłam sam, podczas jednej z naszych wypraw do miasta. W okolicy jest sklep ze słodyczami, przed którym wisi skrzynka pocztowa. Zawsze prowadzą nas do środka, byśmy popatrzyli na słodycze,

jakbyśmy byli dziećmi, a jeśli ktoś ma kieszonkowe, może sobie trochę kupić. Żałosne ćwiczenie, niemniej uczestniczę w tej komedii.

Czekałem na Twój powrót z Berlina, głęboko wierząc w powodzenie Twojej misji. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że o mnie zapomniałaś, lecz obawiałem się, że porzuciłaś wszelką nadzieję na sukces i wróciłaś do Wojwodiny. Wiele o Tobie myślałem, nie przyszło mi jednak do głowy, że zachorujesz, a raczej że wmówią Ci chorobę, by trzymać Cię w garści i mieć pewność, że będziesz cicho.

Obawiałem się, że w tym niespokojnym mieście będziesz narażona na niebezpieczeństwa, ale nie zdawałem sobie sprawy, że mogą być aż tak wielkie. Świat się zmienia.

Ignorancja jest bezpieczniejsza od wiedzy, nakłada mniejsze brzemię niż prawda. Mimo wszystko liczę, że nie będziesz miała do mnie pretensji o to, że powiedziałem Ci, co wiem. Widziałem, jak wielką miałaś tego potrzebę, choćby ze względu na dziecko.

Wcześniej dzisiejszego dnia, gdy ćwiczyłem na pianinie, przybył doktor z Berlina, psychiatra nazwiskiem Kirsch.

Powiedział, że przeszłaś załamanie, lecz także iż napadnięto Cię w lesie, co wzbudziło moje podejrzenia. Mówił, że choć masz amnezję, mnie pamiętasz, a w to akurat potrafię uwierzyć. Przez chwilę czułem się szczęśliwy, bo, przyznaję, od dawna myślałem, że o mnie zapomniałaś.

Bąłem się nawet, że postanowiłaś pojechać do Ameryki, sama. Gdybym mógł się znowu z Tobą spotkać, wszystko bym Ci wyjaśnił. Obawiam się, że bez mojej pomocy przytłoczą Cię wątpliwości.

Doktor z Berlina zadawał najprzeróżniejsze pytania.

Przede wszystkim chciał się dowiedzieć, dlaczego tam przybyłaś, co powinien wyjaśnić prywatny detektyw, gdyby go wynajęto. Wypytywał, co wiesz i skąd, czy możesz udowodnić swoje roszczenia i czy istnieje groźba wybuchu skandalu. Postanowiłem opowiedzieć ojcu o Tobie, kiedy się z nim

zobaczę, choć to nie będzie łatwe. O tych rzeczach nadal nie powinienem mówić. Ponadto zajmuje go tylko sprawa kwantów, tych ziaren szaleństwa, które rozsiał po świecie, a teraz chce je na nowo zamknąć pod kluczem, tak jak pan”Rochester zamknął swą nieszczęsną obłąkaną żonę. Ale znajdę sposób, ze względu na Ciebie, byś uwolniła się przynajmniej od dręczących Cię obaw.

Ciekawe, czy ten Kirsch naprawdę Cię leczy, tak jak twierdzi. Czy rzeczywiście jest psychiatrą? Wygląda na nieszczęśliwego człowieka i ręce mu się trzęsą, choć stara się to ukryć. Niemożliwe, żeby bał się mnie, czegoś się jednak boi. Za wszelką cenę pragnie poznać prawdę o Tobie, jakby od tego zależało jego życie. Nigdy wcześniej nie widziałem lekarza tak pochłoniętego swym przypadkiem, pragnącego przede wszystkim zdobyć wiedzę, a nie wydać osąd i przepisać receptę. Jak na medyka sporo wie o fizyce, co nieczęsto się zdarza.

Mimo wszelkich wątpliwości przyjemnie nam się rozmawiało. Nie czułem się w jego towarzystwie”zakałą rodziny” - a może on sam też jest”zakałą”? Wyczułem coś w tym rodzaju. Absolutnie nie jest podobny do tutejszych lekarzy. Gdy zadaje pytanie, chce poznać opinię, a nie osądzać - chodzi mi o ocenę stanu umysłu i stopnia czy charakteru obłądzenia. Dyskutował ze mną jak równy z równym, przez co trudno mi było mieć się na baczności.

Miałem ochotę wszystko mu opowiedzieć, ale oczywiście nie zrobiłem tego. Coś czuję, że jeszcze się z nim zobaczę. Wie, że mógłby się jeszcze niejednego dowiedzieć - o Tobie i o mnie.

Często o Tobie myślę, Lieserl. Kiedy rano otwieram oczy, widzę przed sobą Twoją twarz. Tak więc wiem, że śniłem o Tobie, choćby sen wymknął mi się z pamięci.

Wyobrażam sobie, jak jedziesz przez wielkie miasto oświetlona blaskiem wystaw i mijanych lamp ulicznych.

Wyobrażam sobie, jak czytasz przy oknie - może właśnie rękopis, który Ci dałem. Bez wątpienia krzywisz się na tę niechlujną prozę i dziwaczną

opowieść, która zapewne dla ludzi zamkniętych w więzieniu zwykłych. postrzeżeń nie będzie przedstawiała wielkiego sensu. Wyobrażam sobie, że Ci się spodoba, a przynajmniej zechcesz doczytać ją do końca. Bo jeśli jej nie skończysz, na pewno nie zrozumiesz, co przeczytałaś. I pamiętaj, ciągle liczę, że wymyślisz tytuł.

Tęsknię za Tobą i marzę, byś wróciła do Zurychu, choć wątpię, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. Jeśli nie, żądam, byś spaliła to, co Ci dałem, pod żadnym bowiem pozorem moje pisanie nie może wpaść w ręce tych, którzy uciszą mnie raz na zawsze.

Muszę teraz iść, bo mnie nakryją.

Zawsze Twój, Eduard.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kirsch odniósł wrażenie, że krewni i znajomi Einsteina złożyli ślubowanie. Na pytania o życie prywatne fizyka czy miejsce jego pobytu odpowiadali milczeniem albo unikami. Ci którzy wiedzieli najwięcej, byli najbardziej małomówni. Ci którzy nie wiedzieli prawie nic - dziennikarze, politycy, duchowni - swobodnie wypowiadali się na temat sposobu jego rozumowania i zakamarków duszy. Nadal najlepszym źródłem informacji wydawał się Eduard Einstein. Choroba i odosobnienie musiały osłabić jego stanowczość i poczucie lojalności. Mógłby wyjawić to, czego nie powinien. Ale czyż jego opowieściom można wierzyć?

Na świat patrzył w sposób niezwykły i niepokojący, zabarwiony manią prześladowczą i paranoją, choć całość skrywał pod warstewką naukowego obiektywizmu. Mógł powiedzieć, co tylko odpowiadało jego zamiarom.

Kirsch wszystko załatwiał właściwymi kanałami, ukrywając prawdziwy powód swego zainteresowania. Napisał listy do dyrektora Burgholzli, Hansa Wolfganga Maiera, i do doktora Jakoba Schulera, prosząc o pomoc przy

ustalaniu diagnozy. Nie wspomniał o Eduardzie Einsteinie. Bał się, że o jego przypadku, nie będą chcieli rozmawiać, zważywszy, że chodziło o pacjenta pierwszej klasy i syna tak sławnego człowieka.

Po dwóch dniach przeprowadził się do pokoju, którego okna wychodziły na ulicę. Czytał gazetę i patrzył na potoki pieszych i sznur samochodów, regularnie krążące tramwaje, punktualnie otwierane i zamykane sklepy, a wszystko to w rytm chóru dzwonów odmierzających czas co pół godziny i co godzinę. Wyobrażał sobie, jak młody Einstein, spoglądający z okien politechniki, obserwuje te konwencjonalne miary czasu i wyobraża sobie inne - może wszechświat, w którym czas nie jest wyraźnie linearny, lecz posuwa się jak wahadło, przyspieszając i zwalniając, potem zmieniając kierunek na odwrotny, cofając się do punktu, od którego rozpoczął bieg - a wraz z nim cofają się prawa fizyki. Albo wszechświat, w którym tempo upływu czasu odpowiada biciu ludzkiego serca, tak że sekundy skracają się w momentach podniecenia czy wysiłku i rozciągają podczas wypoczynku, wydłużając się do nieskończoności wraz z ostatnim uderzeniem serca.

Albo wszechświat, w którym obrót i orbity poszczególnych planet są nieregularne jak ruch cząsteczek subatomowych. Długość każdego dnia i nocy byłaby nieprzewidywalna, podobnie jak następstwo pływów i pór roku. Zegary słoneczne byłyby bezużyteczne. Nie wynaleziono by zegarów, gdyż nie dałoby się ich zsynchronizować. Zamiast zegarków ludzie nosiliby astrolabia i sekstansy, by mierzyć wysokość Słońca i gwiazd. Rytm i struktura życia związane byłyby nie ze spekulatywną abstrakcją, lecz z uchwytą rzeczywistością.

„A gdy wrócimy, podyskutujemy o nieistnieniu czasu”.

Tak powiedział Max ostatniego dnia nad jeziorem, spodziewając się sprzeczeki ze swym nieoświeconym bratem. To były niemał ostatnie jego słowa, które Kirsch zapamiętał. Przez lata dręczyło go, że utkwiał mu w pamięci ten właśnie fragment rozmowy - błahe i bezosobowe. A jeśli to prawda, że czas nie

istnieje? Że to tylko użyteczna konwencja omyłkowo podniesiona do rangi absolutu? Świat pełen jest niewyraźnych abstrakcji czczonych jako absoluty. Cywilizacja nie została zbudowana na względności, a tym bardziej na mechanice kwantowej. Powstała na fundamentach wiary. Wszyscy powtarzają wszak, że człowiek musi w coś wierzyć. Trzeba się za czymś opowiedzieć. Bo inaczej co by się stało z lojalnością, obowiązkiem, poświęceniem? Co z moralnością? Co z miłością?

Patrząc na Zurych z okna pokoju hotelowego, Kirsch po raz setny powtarzał w myślach ten spekulatywny argument. Wraz z książką Einsteina był to dar pożegnalny Maksa. I gdy się w nim zagłębił podobnie jak w książce, stawał mu przed oczyma Max - żywa, ruchliwa obecność, która tylko na chwilę zniknęła mu z oczu.

W nocy sny miał klarowne i wyraziste. W nocnych koszmarach wracał na front, słyszał grzmot armat w oddali, na noszach przynoszono rannych. Śniło mu się, że nie ma narzędzi, którymi mógłby przeprowadzać operacje. Gdzieś je zapodział, co było wykroczeniem, za które groził sąd wojskowy - to tak jakby żołnierz zgubił karabin. Śniło mu się, że Karl Bonhoeffer umarł, a stanowisko dyrektora Charité objął doktor Mehring oraz że Mehring chce, by jego pacjentów poddano nowemu eksperymentalnemu leczeniu z zastosowaniem elektryczności bezpośrednio do mózgu. Częściej śnił o Mariji. Widział ją tańczącą w Tanguero z wysokim przystojnym mężczyzną. Dopiero po przebudzeniu uświadamiał sobie, że był to Eduard Einstein. Marija miała na sobie błękitną suknię i pończochy z Karstadt. Wszystko było tak jak przedtem. Lecz gdy zapytał ją, co się stało, jej odpowiedź zagłuszyła hałaśliwa gra orkiestry. Potem biegli na pociąg do Poczdamu i Marija obudziła w Kirschu zazdrość, wypływając łódką sam na sam z Maksem. Zniknęli we mgle, a Kirsch, słyszał tylko słabe echo ich śmiechu. Potem sam się dziwił, że okazał taką naiwność, bo bezsprzecznie Max był dużo lepszą partią dla Mariji niż on. Kiedy jednak łódka przybiła z powrotem do brzegu, Mariji nie było już na pokładzie, a

w miejsce Maksa siedział starzec o twarzy tak zniekształconej, że nie można było na niego patrzeć.

Niewykluczone, że takie wizje niebawem będą go prześladować na jawie, tak jak było w czasie wojny. Trzeba być przygotowanym. Mimo zbyt pobudzonej wyobraźni może jeszcze działać normalnie. Przynajmniej na razie nie musi nikogo wtajemniczać w swoje sprawy.

Pewnego ranka gdy schodził na śniadanie, pikolak wręczył mu telegram. Wysłała go sekretarka doktora Bonhoffera, frau Rosenberg.

WAKAT NA STANOWISKU ZASTĘPCY DYREKTORA STOP  
NIEZWŁOCZNIE WRACAĆ DO BERLINA STOP

Kirsch usiadł przy stole pod oknem i policzył słowa. Może opłatę telegraficzną liczy się teraz od zestawu dziesięciu słów albo pięciu. Tak czy tak, liczba wyrazów była niewystarczająca, dwa zestawione ze sobą zdania zostawiały pole do wszelkiej interpretacji. Najwyraźniej na stanowisku doktora Mehringa powstał wakat, toteż Kirsch winien przerwać pobyt w Szwajcarii i wrócić do Berlina. Czy ma zastępować dyrektora, póki nie znajdą odpowiedniego kandydata? Czy Mehring pożegnał się z posadą na dobre, czy też wzięł tylko urlop? Jeśli tak, wystarczyłyby cztery słowa: MEHRING CHORY STOP WRACAĆ NIEZWŁOCZNIE STOP

Na dworze znowu sypał śnieg, lekkie płatki padały z zamglonego nieba. Przytknął filiżankę z kawą do ust, jego warga lekko drżała na zębach. Może frau Rosenberg nie chciała telegraficznie rozgłaszać wieści o stanie Mehringa. Może uznała ten sposób komunikowania się za niestosowny do udzielania prywatnych informacji, czy to osobistych, czy zawodowych.

MEHRING WYSIADA STOP WRACAĆ ZARAZ STOP

Wyrwał mu się nerwowy śmieszek. Był zły na Mehringa za jego zmianę frontu w całej tej historii z siostrą Ritter, lecz rezygnacja zaspokajała jego żądę odwetu lepiej niż choroba.

Gdyby Mehring miał na oku nową posadę w innej klinice, chciałby

pozałatwiać wszystkie sprawy w Charité, a nie zostawiać cały ten bałagan w zawieszeniu. Jednego Kirsch był pewien - nie zapraszano go do objęcia posady zastępcy dyrektora. Wśród personelu byli klinicyści z dłuższym stażem i większym doświadczeniem.

Na razie nie chciał wyjeżdżać z Zurychu. Musi jeszcze wiele się dowiedzieć, uzyskać informacje, które mogłyby zabezpieczyć przyszłość Mariji. Ale jaki ma wybór? W obecnej sytuacji to on podejmuje decyzje dotyczące Mariji i sposobu jej leczenia. Lecz jeśli nastąpią przetasowania personelu, i to może ulec zmianie.

Heinrich Mehring nie jest jedynym psychiatrą, który chciałby wypróbować nowe metody uspokajania obłąkanych pacjentów.

Tuż po śniadaniu zadzwonił do Burgholzli i poprosił doktora Schulera.

- Miałem nadzieję zobaczyć się z panem przed powrotem do Berlina.

Schuler się kajał. Jeśli nawet otrzymał list, jego zawartość uszła mu z pamięci. Za nic w świecie nie chciał się okazać nieuprzejmy wobec kolegi po fachu, toteż zaprosił Kirscha do szpitala już na popołudnie. "Z pewnością będziemy mogli panu pomóc - rzekł. - Wielce podziwiam doktora Bonhoeffera, któremu nasza specjalność tyle zawdzięcza".

Kirsch ruszył na piechotę. Wziął małą piersiówkę, by mieć czym rozgrzać się na mrozie, i pomaszerował wzdłuż wschodniego brzegu Jeziora Zuryskiego. Droga zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał, toteż gdy doszedł do przedmieść, światło już przygasało, ostatnie promienie słońca padały na pokryte śniegiem góry południowego łańcucha. Przystanął na pustej leśnej drodze, by złapać dech. Jezioro na dole przybrało odcień błękitnozielony.

Pociągnął łyk brandy i stanął, wsłuchując się w ciszę, którą przerywał tylko jego oddech. Nasłuchiwał pilnie jakiejś innej oznaki życia, ale panowała martwa cisza. Nagle oblało go gorąco. Włosy na karku miał wilgotne.

Sięgnął po chusteczkę. Szukanie po kieszeniach kosztowało go tyle wysiłku, że stracił dech. Oczy zasły mu mgłą, czerwono-



- czarne wirujące kłęby przesłoniły drogę i niebo. Musiał się oprzeć o słup telegraficzny. Przyszło mu do głowy, że znowu śni, leżąc nieruchomo na swym hotelowym łóżku. Miasto na dole było zwidem zamieszkanym jedynie przez widma i wspomnienia. Wśnił się w życie profesora Einsteina, duchem wdarł się do miejsca, gdzie nadal dźwięczała echem jego obecność, a ludzie, z którymi się stykał, żyli teraz, jakby zastygli w bursztynie tych cennych dni.

Głęboko zaczerpnął oddechu. Strzałki światła pływały w rzece krwi. Nie śnił. Winien był wysiłek i alkohol. Może też chwyta go gorączka. Wyprostował się, znowu widział wyraźnie. Na karku czuł zimny pot.

Gwizd lokomotywy odbił się echem w całej dolinie. Kirsch zląkł się, że będzie spóźniony. Ruszył dalej, przyspieszając kroku. Właśnie minął zakręt, gdy zdał sobie sprawę, że z jego prawej strony coś się rusza - jakiś człowiek podążał w tym samym tempie, trzymając się z pięćdziesiąt metrów od niego. Kątem oka Kirsch wyraźnie widział szczupłą postać - sylwetka młodego człowieka rysowała się wyraźnie na tle odległych plam światła.

Skoro jednak Kirsch się odwrócił, dojrzał tylko drzewa.

Stado ptaków zanurkowało nieopodal, ich skrzydła przecięły powietrze. Kirsch przygarbił się i pomaszerował dalej. Mężczyzna nadal szedł za nim trop w trop. Poruszał się bezszelestnie, kryjąc się w cieniu kolejnego drzewa, nie zostawiając najmniejszego śladu, niczym myśliwy ścigający zwierzynę. Nie próbował się wszakże ukrywać. Chciał, by Kirsch wiedział, że nie jest tu sam.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI**

Doktor Jakob Schuler był szczupłym wytwornym mężczyzną o palcach przyozdobionych złotymi pierścieniami, z przyprószonym siwizną czarnym wąsem i schludnie zaczesanymi rzadziejącymi włosami. Ciasno przylegające okulary nadawały mu wygląd mądrej sowy, co musiało robić wielkie wrażenie na pacjentach.

Był już w takim wieku - tuż przed sześćdziesiątką - że pracował nie tylko z poprzednim dyrektorem, słynnym Eugenem Bleulerem, ale też otwarcie się z nim nie zgadzał.

- Za dużo czasu zmarnował na Freuda. - Mówił szybko, głosem urywanym, lecz głośnym. - Zawsze starał się go ugłaskać, opowiadając, jaki jest ważny. Kopernik umysłu i takie bzdury.

Szli długim korytarzem; Schuler podpierał się laską, poły jego białego fartucha powiewały.

- Bleuler miał głębokie poczucie niepewności, absolutnie nie był w stanie zająć wyraźnego stanowiska. Bał się, że zostanie wtrącony w otchłań pomiędzy n i e w i e r z ą c y c h. Wie pan, jak to jest z Freudem.

- Trzeba być z nim albo przeciw niemu?

- Właśnie.

Ta część budynku była jasno oświetlona i gwarna, kręciło się tu mnóstwo personelu. Pacjenci drugiej i trzeciej klasy jedli kolację w jadalni - w tym czasie oddziały i inne miejsca sprzątano i przeszukiwano. Regulamin kliniki surowo zabraniał alkoholu, tytoniu i innych używek bez specjalnego zezwolenia lekarza. Choć całe wnętrze wydawało się nieskalanie czyste, w powietrzu unosił się lekki odór fekaliiów, którego nie zdołał stłumić silniejszy zapach chloru.

- Można wyznawać tę szczególną w i a r ę - rzekł Schuler - jeśli pacjent płaci pięćdziesiąt franków za godzinę, ale w takim zakładzie jak ten to tylko kłopot. Pacjenci nie lubią mówić o swych impulsach seksualnych, zwłaszcza jeśli wciąga się w to ich matki. - Obeszli posługacza, który na kolanach zmywał gąbką ciemną rozbryzganą plamę ze ściany. - Zasadnicze podejście nie budzi moich zastrzeżeń. Freud słusznie duże znaczenie przypisuje dzieciństwu. Lecz jego zseksualizowany model rodziny wydaje mi się doktrynerski.

Karl Bonhoeffer miał podobny pogląd na teorie Freuda. Może dlatego Schuler chciał pomóc Kirschowi w jego dociekaniach, musiał tylko nabrać pewności, że tożsamość pacjentów zostanie należycie utajniona.

- Stopień subiektywności przy stawianiu diagnozy w tych badaniach jest stałym powodem tarć - przyznał. - Historia rodziny rzuca nieco światła na zagadnienie dziedziczności. Wciąż czytam, że zaburzenia umysłowe przechodzą z pokolenia na pokolenie, ale przydałyby się jakieś konkretne dane.

- Zamierzam się skupić wyłącznie na kryteriach diagnostycznych - rzekł Kirsch. - Chcę ustalić, czy są jednolite, a także czy obecna klasyfikacja chorób umysłowych spełnia wymogi naukowe.

Schuler zmarszczył brwi, gumowy koniec jego laski przy każdym niepewnym kroku piszczał na kamiennej podłodze.

- A jeśli stwierdzi pan, że nie spełnia? Czy wtedy całkowicie zarzucimy psychiatrię?

- A dlaczego?

Schuler zrobił zdumioną minę.

- Doktorze, twierdzimy, że jesteśmy lekarzami, że uprawiamy tę gałąź medycyny, bo potrafimy wykryć konkretne choroby.

Gdybyśmy nie wiedzieli, na co ludzie chorują, na co byśmy się zdali?

Kirsch przypomniał sobie, co powiedział doktor Fischer, kiedy się poznali: "Status. To pięta achillesowa całej branży".

Schuler wyciągnął klucz z kieszeni.

- Póki nie zaczęliśmy nazywać obłędu chorobą podatną na leczenie, przynajmniej potencjalnie, większość cierpiących trzymano w ukryciu jak wstydlivy sekret. Zakała i tak dalej. Choroba nie naznacza takim piętnem. Medycyna, choćby w najbardziej podstawowym zakresie, daje nadzieję.

- Chodzi mi tylko o większe ujednoczenie metod diagnostycznych. Chcę wypracować obiektywny układ odniesienia.

- Rozumiem - odparł Schuler. - Obiektywny układ odniesienia. Wszystkim nam by się przydał.

Dawniejsze akta Burgholzli trzymano w zatęchłej piwnicy razem ze stertami spisanych na straty szpitalnych mebli. Były tam ławki, tablica i parę

żelaznych biurek, jakich Kirsch nie widział od czasów szkolnych. Szybko obeszli całe gospodarstwo, Schuler objaśnił koledze system katalogowania, po czym udali się do jego gabinetu, przestronnego pomieszczenia, którego ściany obstawione były mnóstwem roślin doniczkowych. Schuler wyjaśnił, że jego szpital chlubi się nie tylko rozległymi ogrodami, lecz także oranżerią, gdzie uprawia się tropikalną roślinność. Niestety, jeden z pacjentów, wyrzucając rzeczy z okna na piętrze, stłukł kilka szyb, więc aby bardziej delikatne rośliny nie doznały uszczerbku, trzeba je było wnieść do budynku, póki nie skończy się naprawa.

- Stwierdził, że ogrodnictwo to wspaniała terapia dla różnych typów pacjentów - rzekł, podnosząc z krzesła doniczkę z fikusem i zapraszając Kirscha do zajęcia miejsca - póki widzą rezultaty swych wysiłków. Niestety, późny przymrozek powoduje niewypowiedzianą rozpacz.

- Nie hodujecie przypadkiem kaktusów? - zapytał Kirsch, patrząc na masy żółkniejącego listowia.

- Kaktusów? O Boże, nie. Warunki są nieodpowiednie, nawet w oranżerii.

- Schuler ustawił fikus na biurku, gdzie tylko częściowo przesłaniał mu twarz. - Choć jeden z tutejszych pacjentów ma piękne okazy. Ojciec przywiózł mu je z Ameryki.

Dlaczego pan pyta?

- Chyba je widziałem. Jeśli mówi pan o Eduardzie Einsteinie.

- Owszem. Skąd pan...

- Odwiedziłem go w zeszłym tygodniu. Półprywatnie - wyznał.

Możliwie najogólniej Kirsch wyjaśnił swe zawodowe zainteresowanie przypadkiem Draganović, nie wymieniając Mariji z imienia.

- Skoro już tu byłem, pomyślałem, że zapytam, jak herr Einstein ją pamięta, ponieważ się znali. Powinienem był najpierw skontaktować się z doktorem Meierem, ale nie chciałem mu zawracać głowy taką błażostką.

Schuler prychnął, takie zawodowe postępowanie na skróty wzbudziło

jego niezadowolenie.

- Herr Einstein chętnie z panem rozmawiał?

- Do pewnego stopnia. Jednak pewne jego uwagi były zaskakujące. Nadal nie jestem pewien, w co wierzyć.

Schuler westchnął.

- Obecnie ten przypadek prowadzi doktor Zimmermann.

Chyba powinien pan z nim pogadać.

Schuler ujął słuchawkę i kilkakrotnie zatelefonował w różne miejsca budynku. Parę minut później do pokoju wszedł doktor Zimmermann z notatnikiem w ręce. Był dwadzieścia lat młodszy od Schulera, drobny, gładko ogolony i mizerny. Nosił okulary, głowę okrywała mu ciężka, pofalowana grzywa ciemnych włosów. Małżowinę lewego ucha miał obandażowaną.

Ochoczo potrząsnął dłonią Kirscha.

- Słyszałem, że właśnie przyjechał pan z Berlina - rzekł, unosząc brwi, co przydało znaczenia jego słowom.

- Tak, przed paroma dniami.

Zimmermann z powagą skinął głową.

- I jak tam wygląda sytuacja?

Bez wątpienia oglądał te same kroniki i czytał te same doniesienia prasowe co Kirsch - wie, że Hindenburg powołał Hitlera na kanclerza Rzeszy, widział tłumy i marsze z pochodniami, których sam Kirsch nie był świadkiem. Brak akcentu nasuwał myśl, że Zimmermann jest Niemcem z pochodzenia.

- Doktor Kirsch nie przyjechał tu, by rozprawiać o polityce - wtrącił się Schuler. - Interesuje go nasz pacjent, Einstein.

- Herr Einstein, cóż... - Zimmermann na próżno rozglądał się za wolnym krzesłem. - To bezsprzecznie ciekawy przypadek. Wyraźne zaburzenia psychiczne w połączeniu z wybitną inteligencją i wiedzą. Sądząc po wynikach, które osiągnął na studiach, doskonale pisze. A tak dobrego pianisty nie mieliśmy od lat.

Z dyskusji, która się następnie wywiązała, wynikało niezbiecie, że panowie Schuler i Zimmermann różnie oceniają charakter choroby Eduarda, co zresztą młody Einstein wyraźnie dawał do zrozumienia. A jeśli powodowało to między nimi konflikt, strannie go ukrywali, przynajmniej na użytek pacjenta.

- Eduard przez parę lat studiował medycynę - rzekł Zimmermann. Przycupnął teraz na krańcu stołu, między drzewkiem kauczukowca a miniaturową akacją. - To bardzo utrudnia postawienie diagnozy. Zna najprzeróżniejsze symptomy i dowolnie je wykazuje.

- Robi to dla zabawy - dodał Schuler. - Umie manipulować ludźmi, biernie, acz skutecznie. Pod tym względem przejawia kobiecą osobowość.

- Ma niejednoznaczny stosunek do psychiatrii, podobnie jak do wielu innych rzeczy - powiedział Zimmermann. - Najwyraźniej ten temat bardzo go interesuje, choć równocześnie chętnie przyjmuje postawę sceptyczną, jakby cała ta dziedzina była oparta na błędnych przesłankach.

Kirsch skinął głową.

- Właśnie to wyczułem, kiedy go zobaczyłem.

- Tę postawę przejął od ojca - ciągnął Zimmermann - co jak sędzę, stanowi źródło problemu. Czego nie akceptuje ojciec, nie zaakceptuje i on, a przynajmniej nie całkowicie. Na swoje nieszczęście Eduard ma talenty i skłonności natury artystycznej, które nie interesują ojca, z wyjątkiem muzyki. Widzi pan, przed jakim problemem go to stawia.

Z początku Kirsch nie widział. Nie rozumiał, skąd Eduard wziął się w życiu Mariji. Syn Einsteina posiadał wiedzę, lecz obdarzony też był wyobraźnią i Kirsch wyczuwał, że bywa figlarny, a nawet złośliwy.

- Przed jakim? - zapytał.

Zimmermann wcisnął okulary na nos.

- Eduard albo się uważa za przeciwnika ojca, skazując się na przegraną, gdyż jego ojciec jest niezrównanym gigantem intelektualnym, albo odrzuca wszystko, co pomogłoby mu zbudować własną pozycję w świecie, można by

rzec, że wręcz niszczy swoją tożsamość. - Otworzył teczkę i wyjął z niej plik papierów luźno związanych kawałkiem niebieskiej wstążki. - Oto teksty Eduarda, nazywa je aforyzmami filozoficznymi. Umieszcza je od czasu do czasu w swoich listach, ale jest na tyle próżny, że zachowuje kopie.

Wręczył Kirschowi papiery. Wypełnione były schludnym pismem, jakby je mozolnie przepisano. Jedno zdanie było podkreślone: "Najgorsze, co może nam się przytrafić, to spotkać człowieka, w porównaniu z którym nasze życie i wszelkie wysiłki są nic niewarte". Przewróciwszy kartkę, znalazł kolejne podkreślone zdanie: "Najgorsze, gdy los nic ci nie przeznacza i nie jesteś niczym przeznaczeniem".

- Wzruszające albo ckliwe - odezwał się Schuler. - Zależy, co kto lubi.

Zimmermann włożył papiery z powrotem do teczki.

- Jest też książka. Paręset stron.

Schuler zmarszczył brwi, jakby Zimmermann wyrwał się z czymś, co powinno pozostać w tajemnicy.

- Co za książka? - zapytał Kirsch.

- Chyba jakaś powieść. Mówił parę razy, że coś pisze, ale mu nie wierzyliśmy. Potem pielęgniarka widziała, jak zawija rękopis. Niestety, gdy poszliśmy sami się przekonać, tekst zniknął.

Pewnie go komuś dał. Przykra sprawa.

Kirsch nie wierzył własnym uszom. Kilkaset stron wynurzeń tego rozgorączkowanego umysłu, nawet chaotycznych, pozwoliłoby mu wnikać w osobowość Eduarda głębiej niż lata analizowania.

Obaj specjaliści książkę mieli tuż przed nosem, ale jej nie widzieli, ponieważ nie wierzyli w jej istnienie.

- Czy orientują się panowie, o czym pisał?

- Rzecz dzieje się w szpitalu psychiatrycznym, a bohater jest psychiatrą.

Nic więcej nie wiemy.

Zważywszy na zainteresowanie Eduarda psychiatrią, można się było tego

spodziewać. Może w fikcyjnym świecie dokonywał wyborów, na które nie odważał się w życiu.

- Twierdzi pan, że źródłem zaburzeń Eduarda są jego stosunki z ojcem? - zapytał Kirsch.

Zimmermann skinął głową.

- A czy profesor Einstein zdaje sobie z tego sprawę?

Schuler wzruszył ramionami.

- Wysyłamy sprawozdania matce Eduarda. Zakładamy, że przekazuje je jego ojcu, ale...

Zimmermann i Schuler wymienili spojrzenia. Zimmermann dotknął bandaża na uchu.

- Nie zauważyliśmy żadnych... oznak zainteresowania. Oczywiście profesor jest bardzo zajęty.

- Bez wątplenia Eduard czuje się opuszczony - rzekł Schuler. - Odrzucony jako niezdatny do niczego. Dlatego gardzi ojcem. I na równi go ubóstwia. Taka sprzeczność uczuć jest szkodliwa, zwłaszcza dla wrażliwego młodego człowieka.

- To niszczy jego umysł - dorzucił Zimmermann. - A co najgorsze, on chyba o tym wie.

Ta analiza miała sens nawet bez uciekania się do ścisłych zasad freudowskiej psychoanalizy. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że dzieci często się obwiniają za nieobecność rodzica czy zaniedbania z jego strony, choć takie reakcje wydają się irracjonalne. Dodajmy do tego ojca przewyższającego wszystkich ludzi na ziemi, nieskazitelną istotę, którą uwielbiają miliony, a dojrzymy bez trudu, że poczucie winy czy niższości łatwo może stać się bardzo głębokie. Jedyne leczenie, jakie może się powieść, polega na zmianie natury wzajemnych stosunków. Między ojcem i synem trzeba stworzyć więź ożywczą w miejsce obecnej niszczącej, zanim szkody staną się nieodwracalne. Postawa taka wymaga poświęcenia i czasu.



- Na ile się orientujemy, profesor Einstein nie zgadza się z żadnym z naszych stwierdzeń - ciągnął Schuler. - Uważa on, że choroba umysłowa syna nie ma żadnego związku z nim. Jest dziedziczna, jak kiła wrodzona, tylko trudniej uleczalna. Matka Eduarda powiedziała nam, że profesor niezwykle się lęka dziedzicznego obłądu, co jest wszak obawą zupełnie irracjonalną, Gdy przed paru laty jego drugi syn, Hans Albert, zaręczył się ze starszą od siebie kobietą, profesor wynajął prywatnego detektywa, by zbadał jej przeszłość. A kiedy się okazało, że przez krótki czas była leczona psychiatrycznie, ze wszystkich sił sprzeciwiał się małżeństwu.

- Z pewnością miał swoje powody - wtrącił Kirsch.

- Najwyraźniej uważa, że rodzina Mariców szaleństwo ma we krwi. Toteż związek z kobietą, na której ciąży to samo przekleństwo...

- Przecież może mieć rację.

Schuler wzruszył ramionami.

- Matka Eduarda ma skłonność do napadów depresji. Przynajmniej tak powiada Eduard. A jego ciotka, Zorka Marić, przebywała tu, w Burgholzli, przez dwa lata w czasie wojny. Alkoholizm i jakieś załamanie, choć zgodnie z historią choroby, prawdopodobnie związane z urazem.

- Niezależnie od tego, czy kłopoty pacjenta są dziedziczne czy nie - dodał Zimmermann - łatwiej byłoby je leczyć, gdyby zmniejszyło się jego poczucie odrzucenia. Eduard sprawia znacznie więcej kłopotu, odkąd się dowiedział, że jego ojciec może wyjechać z Europy na zawsze.

Kirschowi stanął przed oczyma Eduard, jak samotnie w pokoju ćwiczy na pianinie w oczekiwaniu wizyty ojca - wizyty, do której na razie nie doszło.

- Rzeczywiście wyjeżdża na zawsze?

- To bardzo możliwe - odparł Zimmermann. - Frau Einstein mówiła, że zaproponowano mu w Ameryce bardzo lukratywne posady. Najwyraźniej Eduard się dowiedział, choć ukrywano to przed nim.

- Przechwycił list od ojca - rzekł Schuler. - Okazało się, że robił to od

jakiegoś czasu. Przeglądał papiery matki, myszkował. Ona uważa, że je ukradziono.

Kirsch wyprostował się na krześle.

- Listy?

- Tak przypuszczamy. To się zdarzyło przed paroma miesiącami. W każdym razie myśl o wyjeździe ojca z Europy kompletnie wytrąciła Eduarda z równowagi. Zarazem wpływa też na jego stosunki z matką.

Na korytarzu zadźwięczał dzwonek elektryczny. Schuler wyciągnął zegarek z górnej kieszonki marynarki i wstał, tłumacząc, że śpieszy się na zebranie.

- Proszę mnie zawiadomić, gdy będzie pan chciał zacząć poszukiwania w archiwach. Zapewnię panu całkowity dostęp do nich i odpowiednie miejsce do pracy. Tymczasem proszę przekazać doktorowi Bonhoefferowi wyrazy mego naj głębszego szacunku.

Doktor Zimmermann odprowadził Kirscha do wyjścia.

Wieczorny posiłek dobiegł końca, pacjenci, szurając nogami, w milczeniu wracali do swoich pokojów; niektórzy obrzucali nieznanego czujnym spojrzeniem, lecz większość patrzyła przed siebie oszołomionym wzrokiem, w którym brakowało nadziei.

Ogólna atmosfera była spokojniejsza niż w Charité, może dlatego, że pensjonariuszom podawano więcej środków uspokajających.

- Mam nadzieję, że na coś się przydaliśmy - rzekł Zimmermann. - Chciał pan wiedzieć, czy herr Einstein jest wiarygodnym źródłem informacji, ale obawiam się, że niestety nie.

Zbyt wiele dzieje się w jego głowie.

- Najwyraźniej martwi się pan o niego.

Zimmermann przytaknął.

- Żeby to się tylko nie skończyło samobójstwem. Być może już pragnie palmy męczeńskiej z rąk ojca.

- Może taki los miał spotkać psychiatrę z jego powieści - podsunął Kirsch. Zimmermann wzruszył ramionami.

- Tego się już chyba nigdy nie dowiemy.

Kirsch znowu wyobraził sobie Eduarda przy pianinie. Grał tak dobrze, z takim zrozumieniem, że trudno było dopuścić myśl, iż nie jest zupełnie zdrowy psychicznie. To najlepszy dowód na rozczłonkowanie ludzkiego umysłu - jedna część działa na najwyższym poziomie, druga całkowicie zawodzi. W której części znajdowała się jego twórczość pisarska? Czy autorem zaginionego rękopisu jest Einstein geniusz czy też Einstein szaleniec?

- Ostatnie pytanie - powiedział. - Skoro Eduard może dowolnie zaprezentować odpowiednie symptomy, skąd wiadomo, że całe jego zachowanie od początku nie jest farsą? Czy możliwe, że to po prostu wołanie o pomoc? Sposób na przyciągnięcie uwagi ojca?

- Wszystko jest możliwe, lecz dotychczas w całej mojej pracy nie spotkałem się z niczym takim. Wystarczy popatrzeć, jak pogorszył mu się charakter pisma, by wiedzieć, że coś jest nie w porządku. Poza tym zachowuje się gwałtownie.

- Na przykład?

- Wybucha gniewem, trzaska drzwiami, wali pięściami w klawiaturę przez dziesięć minut bez przerwy. Zaatakował też matkę, gdy próbowała go powściągnąć. Usiłował zepchnąć ją z balkonu.

- Powiedział, że chciał ją tylko nastraszyć.

- To nie wszystko. Jego matka uczy młode kobiety matematyki, muzyki i czego tam jeszcze. Eduard wkraczał w czasie tych lekcji kompletnie nagi. Ściany sypialni miał wyklejone obrazkami pornograficznymi. Matka nikomu nie pozwalała tam wchodzić, nawet pokojówce.

Doszli do głównego wejścia. W pustej przestrzeni rozbrzmiewało echo zamykanych drzwi.

- Moja pacjentka w Berlinie była jedną z uczennic Milevy Einstein. Ale

nadal nie wiem, jak Eduard ją poznał.

Zimmermann zmarszczył brwi.

- Jak się nazywa pańska pacjentka?

- Marija Draganović, - Kirsch kiwnął w kierunku teczki, którą Zimmermann nadal trzymał pod pachą. - Czy Eduard kiedykolwiek o niej wspominał?

Zimmermann zastanawiał się chwilę.

- Wydaje mi się, że nie, choć oczywiście...

- Jest Serbką, pochodzi z tego samego regionu co jego matka.

- Tak, wiem. Pamiętam ją całkiem wyraźnie.

Kirsch pomyślał, że się przesłyszał.

- Słucham? Chyba nie poznał jej pan osobiście?

- Ależ naturalnie. Przebywała tu przez pewien czas jako pacjentka. Na oddziale pierwszej klasy. Nie wiedział pan o tym?

- Nie. Nie wiedziałem.

- Eduarda umieszczono tu już wcześniej - rzekł Zimmermann. - Pewnie tutaj się poznali.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Marija leczyła się psychiatrycznie, jeszcze zanim przybyła do Berlina. Dowód na to spoczywał w jej teczce. A już ktoś gdzieś chyba pytał, czy przypadkiem wcześniej nie trafiła do szpitala psychiatrycznego. Najwyraźniej inspektor Hagen miał rację - nie da się ustalić, po co Marija przyjechała do Niemiec, ani nawet zrekonstruować zdarzeń poprzedzających jej znalezienie.

Nie ma co się zastanawiać nad ciągiem przyczynowoskutkowym, jak to się dzieje w śledztwie dotyczącym zwykłej zbrodni. Nie było zbrodni, motywów ani celu. Tylko urojenie.

Kirsch zapoznał się z teczką w gabinecie doktora Zimmermanna, podczas

gdy sam Zimmermann kręcił się po pokoju, udając, że jest zajęty. Zbiór dokumentów był szczupły, ale kompletny. Wszystkie fakty dotyczące tego przypadku - daty, godziny, obserwacje, procedury - zanotowano wiernie i podpisano. Konkretne informacje. Dane. Obiektywny fakt. Tego właśnie szukał: wglądu w stan umysłu Mariji, solidnych podstaw nowego początku. Jednakże nie na taki nowy początek liczył.

Stawiła się do szpitala we wrześniu. W notatkach nie było wzmianki o skierowaniu ani o osobie towarzyszącej. Najwyraźniej przybyła sama. Skarzyła się na bezsenność, lunatyzm, napady paniki, okresowe utraty pamięci, po których przez parę minut czuła się dezorientowana. Badanie wstępne przeprowadził niejaki doktor Vogt. Ponieważ nie było dowodów na uraz głowy, przede wszystkim zaczął podejrzewać guz mózgu, lecz prócz utraty pamięci nie znalazł innych objawów, które by uzasadniały tę diagnozę - Marija nie cierpiała na bóle głowy, nie ogarniała jej senność ani nie czuła mdłości, co z całą mocą podkreślała. Lekarz odnotował, że pacjentka wydaje się pobudzona, „choć na zewnątrz stara się okazywać spokój”. Następnie doktor wysunął hipotezę, że przeszła atak nerwowy spowodowany napięciem emocjonalnym, na co najlepszym lekarstwem jest całkowity wypoczynek w spokojnym otoczeniu. Za poradą doktora Vogta zarezerwowała sobie pokój w sekcji pierwszej klasy na parę dni później.

Utrata pamięci. Tak było napisane, czarno na białym. Czy dalej na to cierpiała? Czy okresy amnezji się wydłużały, aż przeszły w stan ciągły, co Kirsch zaobserwował w Berlinie?

Czytał dalej. Podczas pobytu Mariji w szpitalu nie zdarzyło się nic szczególnego. Prócz wypoczynku i ćwiczeń uspokajających zaczęła serię zabiegów hydroterapeutycznych. Burghólzli został właśnie wyposażony w sprzęt potrzebny do tej nowej modnej formy leczenia. Na ile Kirsch się orientował, polegała ona na tym, że pacjentów ciasno owiniętych w mokre prześcieradła zanurzano w wodzie o różnej temperaturze. Zimmermann

powiedział, że u chorych cierpiących na paranoję i schizofrenię postępowanie takie zmniejsza niepokój i urojenia, a także działa uspokajająco bez użycia leków. Kirsch wierzył w odprężające właściwości dłuższego zanurzenia w wodzie. Doznanie okresowej nieważkości z pewnością jest korzystne. Ale trudno mu było uwierzyć, że przynosi trwałe skutki. W każdym razie hydroterapię Mariji przerwano po pierwszym zabiegu. Powodu w notatkach nie wyłuszczone. Stwierdzono jedynie, że "odmówiła dalszego leczenia", "głośno wyrażała niezadowolenie" i wykazywała oznaki wewnętrznego cierpienia.

Ostatnia notatka, którą napisał doktor Vogt, stwierdzała tylko: "Po okresie poprawy pacjenta ponownie okazuje niepokój i osłabienie koncentracji. Zaleca się dokładne badanie psychiatryczne, poczynając od przyszłego tygodnia". Wtedy Marija opłaciła już rachunek za pobyt gotówką i opuściła szpital. Nie zostawiła adresu do korespondencji.

Vogt ani razu nie podważył twierdzenia Mariji, że jest chora, sam wszakże też nie zauważył żadnych konkretnych objawów.

Świadectwa zaburzeń były wyrywkowe i pochodziły wyłącznie z relacji.

Do zakładów psychiatrycznych zgłaszało się sporo osób, by w dyskretnym otoczeniu powrócić do zdrowia. Wypoczynek pod okiem lekarza był bardzo popularny wśród ludzi zamożnych, choć raczej nie wybraliby oni Burgholzi, gdyż przebywało tam zbyt wielu pacjentów naprawdę chorych psychicznie. Marija mogła przez przypadek trafić do szpitala, do którego parę tygodni wcześniej powrócił Eduard. A jeśli nie był to zbieg okoliczności, to co nią powodowało? Jakaś dziwna fascynacja? Czy też zrobiła to z wyrachowania? Może Marija, tak jak Kirsch, wyczuła słabość, którą da się wykorzystać, by tylnymi drzwiami dojść do prawdy?

Ewentualności mnożyły się, niepożądane, lecz nieustępliwe.

Nawet po upływie tak długiego czasu żadnej nie można było wykluczyć. Eugen Fischer uważał, że Marija jest zamieszana w skomplikowane oszustwo. Nawet tę teorię nadal należało brać pod uwagę.

Kirsch zdjął okulary i potarł oczy. Dlaczego Marija pojechała do Berlina? Skąd taki pomysł? Może przez cały czas w jego umyśle wszystko kręciło się wokół Einsteina? Czyżby Kirsch wypracował scenariusze niemające oparcia w faktach?

Zamykając teczkę, zorientował się, że Zimmermann wpatruje się w niego zza swego biurka.

Uśmiechnął się nerwowo.

- Znalazł pan to, czego szukał?

Na dworze mimo późnego popołudnia było zdumiewająco jasno. Śnieg promieniował fosforyzującym blaskiem, tak że widziało się drogę nawet przy ciemniejącym niebie. Pojedyncza para opon ciężarówki wyźłobiła równoległe linie w krętej powierzchni drogi.

Kirsch zapomniał o człowieku, którego zoczył wcześniej wśród drzew, lecz gdy wyszedł zza zakrętu za szpitalem, znowu go ujrzął, jak oparty o pień sosny pali papierosa.

- Długo ci zeszło - powiedział.

Kirsch nawet się nie zdziwił. Pamiętał mgliście, że z tym człowiekiem się umówił.

- Przykro mi - odparł.

Max odrzucił papierosa i wyszedł na drogę. Na ramiona miał narzucone stare palto. Przez te wszystkie lata ukrywał się tu, w neutralnej Szwajcarii, nieuchronnie ciążąc ku dawnemu rewirowi Alberta Einsteina w Zurychu. To była ich tajemnica, tylko ich dwóch, której Kirsch dochowywał tak ściśle, że prawie o niej zapomniał.

- Dlaczego ciągle tu siedzisz? - zapytał Max.

Kirsch przygarbił się i maszerował dalej.

- Ze względu na pacjentkę. Muszę zrozumieć parę rzeczy.

- Tylko Marija zna odpowiedzi. Ty ich tu nie znajdziesz.

- Może się dowiem, kim jest.

- Raczej kim była.
  - Nie widzę różnicy. Na czym ona polega?
  - A kim według ciebie powinna się okazać Marija?
- Max lubił zadawać niewygodne pytania.
- Lieserl. Chcę, żeby była Elżbietą Einstein.
  - Dlaczego?
  - Jak możesz zadawać mi takie pytania? Właśnie ty?
  - Myślisz, że dzięki temu wyzdrowieje?
  - Tak.
  - Jak Eduard Einstein. On cieszy się znakomitym zdrowiem.
  - To co innego.

Max wzruszył ramionami. Do psychiatrii, ogólnie biorąc, miał stosunek sceptyczny, podobnie jak jego bożyszcze. Zdaniem Maksa to w ogóle nie była pełnoprawna gałąź medycyny.

- Niezmiernie się dla niej poświęcasz. Jeśli się okaże, że masz rację, będzie ci wdzięczna do grobowej deski. Podobnie jak jej ojciec.

Stali teraz tuż nad jeziorem, gdzie szara masa wody przechodziła w mdłe niebo. Jakby się znaleźli przed wielkim niedokończonym murem. Tylko las i miasto rysowały się w całej pełni.

- Nie dlatego tu przyjechałem - rzekł Kirsch. - Szukam faktów. Dość mam domysłów. Potrzebuję solidnej hipotezy.

Max ciaśniej owinął się paltem. Kirschowi zrobiło się głupio, że zabrał je z domu, nie pytając brata o pozwolenie.

- Wdzięczność to jest coś - zauważył Max. - Przynajmniej dziewczyna będzie cię pamiętać. Gdy odejdiesz.

- Nie o to chodzi.

Max zapalił kolejnego papierosa. Kiedyś nie palił. Ale teraz był starszy.

- Ao co?

Kirsch kroczył dalej bez odpowiedzi. Po paru sekundach uzmysłowił



sobie, że brat już nie dotrzymuje mu kroku. Obejrzał się przez ramię. Max stał przy drodze z rękami opuszczonymi po bokach.:

- Nie zostało ci wiele czasu - rzekł.

\*

Kirsch obudził się w pokoju hotelowym. Błękitne światło poranka sączyło się przez szparę w zasłonach. Panowało lodowate zimno. Przez chwilę zwidziało mu się, że Max wpatruje się w niego z kąta. A to tylko płaszcz deszczowy zwisał z wieszaka w szafie. Kirsch opuścił głowę na poduszkę i podciągnął przykrycie pod brodę. To zdecydowanie był sen. Z całą pewnością z Burgholzi wziął taksówkę. Dokładnie pamięta, jak doktor Zimmermann zamawiał ją telefonicznie.

Usiłował sobie przypomnieć dźwięk głosu Maksa, szczegóły rysów jego twarzy. We śnie jednak panował zbyt gęsty mrok, by wyraźnie je widzieć. Pamiętał tylko ciemną postać odcinającą się na tle śniegu. I czy to na pewno był głos Maksa? Chyba nie rozpoznałby go już wśród innych.

Wyjął płaszcz deszczowy z szafy i przewiesił przez oparcie krzesła.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY**

Jeszcze tego ranka Kirsch usiadł przy biurku w swoim pokoju hotelowym i napisał list do Almy. Nie była to idealna forma porozumiewania się, zważywszy na to, co miał jej przekazać. Ale z powodu choroby ojca nie było wiadomo, kiedy się znowu zobaczą, a nie wypadało wzywać jej do Berlina, by zerwać zaręczyny. W liście mógł przynajmniej jasno się wytłumaczyć. Wyłuszczał powód bez obawy, że Alma mu przerwie. W ten sposób sama dowodnie się przekona, że zerwanie leży w jej najlepszym interesie. To tchórzliwy wybór, lecz nie miał innego. I tak już za długo czekał. A dlaczego? Gdyż przez cały ten czas coś mu mówiło, że jego uczucia do Mariji nie są prawdziwe. To przelotna fanaberia, ułuda powstała w dogodnej pustce jej

amnezji. Kiedy jednak zaczął mu się wyłaniać prawdziwszy obraz Mariji, doszedł do przekonania, że to jego miłość do Almy oparta jest na kruchych podstawach. Pokochał jej wyobrażenie: dziewczyny czystej, zdrowej i prężnej naprzód niczym słońce na bezchmurnym niebie.

Zaczął od tego co najłatwiejsze - zaadresował kopertę. Potem dopiero po trzech nieudanych próbach udało mu się zapełnić pół strony. Ale jego wyjaśnienia, zamiast za każdym razem nabierać spójności i siły przekonywania, stawały się coraz bardziej wątle i chaotyczne. „Jestem chory - pisał - i najprawdopodobniej już nie wyzdrowieję”. Nie napisał, co to za choroba.

„Wątpię, czy będziemy mogli mieć dzieci”. Na pewno nie będzie z nim szczęśliwa. Sama z czasem dojdzie do tego wniosku. Nie wspominał o miłości. Wiedział, że miłość tylko zamąciłaby sprawę. Jednak bez słowa o uczuciach wszystko, co napisał, wydawało się puste i fałszywe, jakby kto inny mu to podyktował.

Spojrzał na zegarek. Pora się zbierać. Włożył niedokończony list do koperty, którą zostawił na biurku. Dokończy później lub, co bardziej prawdopodobne, zacznie od początku. Kiedy doszedł do holu, postanowił w ogóle nie wysyłać listu. Po powrocie pojedzie specjalnie do Oranienburga i sam jej wszystko wytłumaczy.

Przynajmniej tyle Almie się należy.

Niestety, po wyjściu Kirscha pokojówka wzięła list i przekazała go odźwiernemu, który przykleił znaczek i wysłał z resztą poczty, dopisując tę usługę do rachunku Kirscha. On sam zorientował się, co zaszło, dopiero po powrocie.

Gdy przybył do Burgholzli, słońce zaczęło się przecierać przez chmury, oblewając białym światłem powierzchnię jeziora. Worańzerii panował mrok, ponieważ szklany dach przykrywała warstwa śniegu. Kilka szyb z jednej strony było rozbitych, na tle nieba odłamki szkła wyglądały jak połamane szpony. Tylko tamtędy przeświecało słońce.

Eduard doglądał rzędu krzewów w glinianych donicach, owijając szmatką końce gałęzi. Był w rozpiętym palcie narzuconym na piżamę i czerwony szlafrok. Rozwichrzone włosy opadały mu na czoło.

- Kamelie. Zaczynają już rozkwitać. - Pokazał Kirschowi kawałeczek różowego płatka wychylającego się z fałd woskowatego zielonego pączka. - Wystarczy, że raz chwyci porządny mróz, i już będzie po nich.

Jego oddech tworzył w powietrzu obłoczki pary.

- Wejźmy do środka - rzekł Kirsch. - Zaziębi się pan tutaj.

Eduard zaczął owijać pączek.

- Nie sądziłem, że jest pan lekarzem ogólnym. Ma pan takie uprawnienia?

- Zanim zostałem psychiatrą, byłem chirurgiem.

- Naprawdę? Dlaczego pan się przerzucił?

Kirsch się przygarbił. Eduard był w wojowniczym nastroju.

Zaskoczyło go to.

- Czy musi być powód?

- O, to jest ciekawe pytanie. Czy umysł ludzki należy do świata fizyki klasycznej czy kwantowej? Czy istnieje jednoznaczna przyczyna każdej myśli, każdego pragnienia? Czy też powstają spontanicznie?

- Powiedzmy, że potrzebowałem zmiany.

- Nie musi pan zdradzać mi swoich sekretów. - Eduard dalej owijał pączek, rozrywając koniec szmatki i zawiązując ją na węzeł. - Ja z tym skończyłem, bo nie znosiłem zwłok. Po paru sekcjach zaczęły mi się śnić. I ten potworny smród. Nawet formaldehyd nie zdołał go stłumić. Wie pan, o co mi chodzi.

- Owszem.

- Nie mogłem się go pozbyć. Miałem uczucie, że wsączył mi się do mózgu, do umysłu. Gdy kładłem się spać, zionął od poduszki. I od innych ludzi, żywych. Dlatego zacząłem od nich stronić. Nie chciałem nim wonieć.

Na froncie składowali trupy w najbliższej dostępnej piwnicy i trzymali

tam do pochówku. Podczas wielkich ofensyw przeciw Rosjanom piwnice zawsze się zapępniały - choć kładli po trzy ciała jedne na drugich - i musieli upychać je do namiotów.

Posługacze owijali zwłoki w prześcieradła, jeśli akurat się znalazły. W ich braku ubierali zmarłych ponownie i przykrywali im głowy workami. Tak czy tak, w ciągu paru dni mdlący zapach zawsze przenikał do szpitala polowego. I zaraz wszystko wokół cuchnęło śmiercią i żadna ilość chloru ani fenolu nie zdołała stłumić tej woni. Widzieli kruki i wrony obsiadające dach w miarę napływu rannych. Eduard miał rację - ten zapach prześladowuje człowieka przez całe życie. Wbija się w zmysł powonienia na zawsze i powraca z nagłą odrażającą siłą za najmniejszym przypomnieniem czasu lub miejsca, w którym się go poczuło.

- Jeśli idzie o umysł, skłaniam się do ujęcia kwantowego - ciągnął Eduard. - Czyż tworzywem myśli nie jest elektryczność? I czy elektrony nie są kwantami? W każdym razie nie wierzę, że mózg działa w sposób czysto mechaniczny. Przyczyna i skutek. Tik, tak. Musi być coś więcej.

- Chodzi panu o duszę.

Eduard cmoknął z niezadowoleniem.

- Siły nadprzyrodzone to żadne wyjście. Jeden zestaw pytań bez odpowiedzi wymieniamy na inny.

- W takim razie o co panu chodzi?

Eduard dotknął palcem liścia kamelii. Koniuszek zaczynał żółknąć. Niebawem opadnie.

- Problemem jest język. W świecie kwantów są rzeczy, na które nie mamy słów. Nie potrafimy przedmiotów, które krystalizują w czasie i przestrzeni, nazwać. tylko na podstawie obserwacji ani położenia i formy istniejących potencjalnie, lecz nie w rzeczywistości. Język ludzki nie rozpoznaje takich widmowych stanów bytu. Przedmiot w danym czasie może się znajdować tylko w jednym miejscu. Istnieje albo nie. Ale to nie jest świat kwantowy, z którego

zbudowane są wszystkie inne. Niels Bohr powiedział, że w odniesieniu do atomów może się posługiwać tylko jednym językiem: językiem poezji.

Kirschem zaczęły już wstrząsać dreszcze.

- Chciałbym zadać panu kilka pytań, herr Einstein. Czyba nie ma pan nic przeciwko temu?

Eduard sięgnął do kieszeni po kolejny kawałek szmatki. Usiłował oderwać pasek, lecz materiał zwijał mu się w rękach.

- Nie ma pan scyzoryka? Albo nożyczek?

Kirsch nosił scyzoryk w górnej kieszeni marynarki, głównie do ostrzenia ołówków. Miał rękojeść z kości słoniowej zżółkłą ze starości. Zawahał się, po czym wyjął go, otworzył i wręczył Eduardowi.

- Mniejsza z tym. Domyślam się, dlaczego rzucił pan chirurgię. - Eduard ważył scyzoryk w dłoni. - Krojenie trupów nie jest taką prostą sprawą. To beczeszczenie. Na zajęciach z anatomii studenci śmiali się i nadawali im przydomki... znaczy zwłokom. Dzień dobry, Kasper, jak się masz, Molly. Trochę mięsa, mówili, jak u rzeźnika, tylko nie tak świeże. Trzymaliśmy je w chłodniach, ale latem było w nich za ciepło. Śniło mi się, że wracają, szerniały i pokiereszowane po zajęciach. - Przyłożył ostrze do dłoni. - Z żywymi chyba jest inaczej. Nie pojawiają się w koszmarach sennych, skoro nadal żyją.

- Raczej nie.

- Czyba że umrą na stole. - Eduard złożył materiał, naciągnął go na ostrze i ciął, aż sukno się przedarło. - Strasznie jest mieć czyjeś życie w swoich rękach. A jeśli popełni się błąd?

- Sięgnął po kolejny pączek kamelii, pocierając kciukiem o jego powierzchnię. - Może pan usiądzie, doktorze? Taki pan błądy.

Pod tylną ścianą stało kilka brezentowych leżaków. Kirsch zastanawiał się, czy nie przynieść sobie któregoś, ale pojął, że dziwnie by wyglądało, gdyby on siedział, a Eduard się krzątał.

Doktor Bonhoeffer powiedziałby, że takie zachowania podważają

podstawę stosunku lekarza i pacjenta.

- Wiedziałem, że pan wróci - rzekł Eduard. - Chce pan znowu porozmawiać o Mariji, tak?

- Jeśli można.

- Jak najbardziej. Lubię rozmawiać o Mariji. Dzięki temu lepiej ją pamiętam. Ładna jest, nie uważa pan?

- Owszem.

- I bardzo mądra, choć nie widać tego na pierwszy rzut oka.

Gdy się na nią patrzy, wydaje się tylko niewinna, jak przybysz z lepszego świata. Człowiek głupio się czuje, że nasz świat nie jest taki. A powinien być.

- Pańska matka powiedziała, że Marija łatwo ulega wpływom i daje sobą kierować.

Eduard prychnął.

- Matka się wstydzi.

- Czego?

Eduard się odwrócił i podszedł do następnej rośliny, pochylając się, by powąchać kwiat, choć jeszcze się nie rozchylił.

- Eduardzie?

Wzruszył ramionami.

- Już mówiłem: świat nie jest taki jak należy. Tylko o to mi chodziło.

Kirsch wyciągnął papierosa i zapalił. Potrzebował faktów.

Przyczyny i skutku. Tego musi się trzymać.

- Gdy poprzednio rozmawialiśmy, nie powiedział mi pan, że Marija była tu pacjentką. Dlaczego?

- Myślałem, że pan wie. - Eduard wrócił do pracy.

- Umieściłem ją w swojej opowieści. Można powiedzieć, że była moją żoną.

Kirsch patrzył, jak Eduard odcina kolejny kawałek materiału. Był rad, że scyzoryk naostrzył już jakiś czas temu.

- Doktor Zimmermann powiedział mi o pańskiej książce.

Na dworze dwaj robotnicy w kombinezonach wyszli z za rogu budynku, niosąc drabinę. Zatrzymali się przed oranżerią. Pierwszy zajrzał przez szybę.

- Akcja dzieje się w szpitalu psychiatrycznym - rzekł Eduard.

- Tego się domyślałem.

- Książka jest o psychiatrze, który zakochuje się w pacjentce.

Robotnicy oparli drabinę o bok oranżerii. Rozległ się głośny stukot.

- Ciekawe założenie - powiedział Kirsch. - Dlaczego to zrobił?

- A dlaczego człowiek się zakochuje? Bo znajduje kogoś, kto daje mu to, czego pragnie albo potrzebuje. Kogoś, kto go oswobadza.

- Rozumiem. A jak to się kończy?

- Niestety, nieszczęśliwie. Zakończenie musi być wiarygodne, bo inaczej czytelnik czuje się oszukany. Nieprawdopodobne zakończenie zepsuje najlepszą opowieść. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

- Niby dlaczego?

Eduard zaczął owijać następny pączek.

- Może to opowieść kwantowa, doktorze. Proza zamiast poezji. Pomyślał pan o tym?

Kirsch strącił popiół z papierosa do pustej doniczki. Eduard igrał z nim, usiłował wytrącić go z równowagi. Bez wątplenia takie same zagrywki stosował wobec Mariji. W tym znajdował uciechę, ujście dla swej spaczony, niespokojnej błyskotliwości.

- A pan, Eduardzie? Czy naprawdę po to pan tu przybył, by zebrać informacje do książki?

- Faktografia jest ważna. Dla scenerii. Sceneria również musi być przekonująca. Obecnie czytelnicy tego oczekują. Gotowość do zawieszenia niewiary, tak to nazywają. Czytelnicy muszą uwierzyć.

- A Marija? Skąd ona się tu wzięła?

Eduard nie odpowiedział. Znowu wyglądał na całkowicie pochłoniętego

cennymi kameliami. Pączki były teraz owiązane niczym obandażowane pięści wojowniczo wymachujące w powietrzu.

Jeden z robotników na dworze trzymał drabinę. Drugi wspinał się po niej. Widać było tylko jego stopy i kostki.

- To Hermann - odezwał się Eduard, nie podnosząc wzroku. - Zaburzenie maniakalnodepresyjne. Czasami pozwalają mu przyjść i posłuchać, jak gram na pianinie. Nadzwyczaj lubi Schuberta. Również Mozarta, ale muszę wtedy uważać, żeby nie zaczął podskakiwać.

Z dachu spadła sterta śniegu. Pomieszczenie rozdzielił snop słonecznego światła. Nad nimi pojawiła się twarz Hermanna, skupiona maska, z której wystawał język. Kirsch odnotował kilkuniedniowy zarost, opadłą szczękę, włosy jak u wiejskiego głupka.

- Pilnują, żeby dach się nie zawalił - wyjaśnił Eduard.

- To już się zdarzyło przed paroma laty, gdy napadało za dużo śniegu.

Po raz pierwszy Kirsch zwrócił uwagę, że ramownica oranżerii trzeszczy.

- Proszę mi opowiedzieć więcej o swoim pisaniu - powiedział. - Pokazuje pan komuś teksty?

- Zazwyczaj nie.

- A uczennicom pańskiej matki?

Eduard potrząsnął głową.

- Słyszałem, że się lubiliście. Choćby z fraulein Anką Streim i Mają Schucan. Grał pan dla nich. Chodziliście na tańce.

To wszystko znalazł w teczce Eduarda: przychodził pod koniec lekcji i dawał krótkie recitale. Mileva go zachęcała. Była dumna z młodszego syna i robiła, co mogła, by ponownie nie zagłębił się w introspekcję i nie wpadł w depresję, czego doświadczył na uniwersytecie. Uczennice Milevy przeważnie uznawały, że Eduard jest czarujący. Towarzyszył im w wycieczkach i wieczornych wypadach na miasto. Niestety z czasem przestał być taki miły. Ataki zazdrości i "nieodpowiednie zachowanie" uniemożliwiły nawiązanie



jakiegokolwiek romansu.

Eduard wzruszył ramionami.

- Te związki nie trwały długo, co? - ciągnął Kirsch.

- Chyba gdy pojawiła się Marija, zląkłeś się, że będzie tak samo. - Przysunął się, usiłując przybrać możliwie najłagodniejszy ton. - Dlatego dałeś jej list, Eduardzie? Ten znaleziony w pokoju matki, w którym jest mowa o Lieserl.

Czekał na jakąś reakcję, ale Eduard nie okazywał zmieszania ani niczemu nie zaprzeczał. Nie było w nim śladu emocji.

- Zastanawiałam się, jak Marija weszła w jego posiadanie.

Sama na pewno go nie wzięła. Nie miała nawet okazji. Teraz jestem pewien, że nie dała go jej twoja matka. Zostajesz tylko ty.

Hermann dalej wspinał się po drabinie; oparłszy stopę na dachu, zmiatał śnieg. Robotnik na ziemi ziewnął.

- Gdyby była twoją siostrą - rzekł Kirsch - wszystko wyglądałoby inaczej. Tak to sobie wyobrażałeś? Zostałaby z tobą.

Już na zawsze, cokolwiek by się zdarzyło, stanowiłaby część twojego życia. I nie musiałbyś z nią romansować. Uniknąłbyś tego wszystkiego.

Eduard nie odpowiedział. Pracował dalej, z wyrazem niezwykłego skupienia na twarzy owijając kawałkiem materiału coraz to nowe pączki. Kirscha kusilo, by go zapytać, czy naprawdę wierzył, że Marija jest jego siostrą - czy nadal w to wierzy.

Ale podjeżdżając na wzgórze, uświadomił sobie, że nawet opinia Eduarda wyjaśniłaby niewiele. Tylko jego matka zna prawdę, lecz nie chce jej ujawnić. Jednakże warto byłoby wiedzieć, w co wierzy sama Marija.

Leżał bezsennie w swoim pokoju hotelowym, gdy nagle go olśniło - to Eduard pociąga za wszystkie sznurki. To on za - szczepił w Mariji myśl, że jest z Einsteinów, tak jak on. Z pozoru stanowiła doskonałą kandydatkę na Lieserl: mniej więcej w tym samym wieku, wychowana w tej co trzeba części świata,

obdarzona zdolnościami matematycznymi. A ponieważ oboje rodzice nie żyją, nikt by nie utracił tego pomysłu, gdyby Marija się do niego przekonała.

Byłaby to historyjka absolutnie wiarygodna., Dziecko znane pod imieniem Lieserl zostało poczęte i urodzone poza małżeństwem. W owym czasie Albert Einstein usilnie szukał pracy. Nie przyznano mu jeszcze obywatelstwa szwajcarskiego, o które wy\_ stąpił. Zarówno on, jak i jego przyszła żona byli cudzoziemcami, którym władze z byle powodu mogły cofnąć wizy. Jakikolwiek skandal pociągnąłby za sobą katastrofalne skutki. Formalnie rzecz biorąc, Albert nadal podlegał obowiązkowi służby wojskowej w Niemczech. Toteż Mileva pojechała z powrotem do Serbii, by tam w tajemnicy urodzić dziecko. Jej przyjaciółka i krajanka Helena Savić postarała się o dyskretną adopcję. Niewykluczone, że miał to być tymczasowy układ. Być może Einsteinowie zamierzali sprowadzić córkę z powrotem do Szwajcarii, gdy się tu pobiorą i urządzą. A może tylko jedno z nich tego pragnęło. Ta sprawa zapewne się przyczyniła do rozpadu małżeństwa. Niezależnie od tego jak wyglądała prawda, honor rodziny został ocalony. Lieserl pozostała w Serbii ze swą adoptowaną rodziną - jak ujęła to Helena Savić, ”ku zadowoleniu wszystkich”.

Marija powiedziała, że stojąc nad grobem ojca, poczuła się wolna. Ze względu na swe predyspozycje psychiczne łatwo mogła uwierzyć, że została adoptowana. A czyż matka Eduarda nie dała wyraźnie do zrozumienia, że Marija jest fantastką?”Co Pan jedną ręką daje, drugą zabiera”.

- Czy uwierzyła, Eduardzie? - zapytał Kirsch.

- W co? - Eduard szukał kolejnych pączków, ale wszystkie były już owiązane.

- Że jest Lieserl, twoją siostrą.

Eduard potrząsnął głową.

- Nie mam siostry.

- Więc dlaczego dałeś Mariji list? W jakim celu?

Eduard spojrział na swoje ręce i scyzoryk. Zaczął składać i rozkładać ostrze. Teraz, gdy do oranżerii wpadało więcej światła, Kirsch dostrzegł, że Eduard ma przekrwione i podkrążone oczy. Zastanawiał się, jakie leki podają mu na zaburzenie schizoafektywne. Tak był skupiony na Mariji, że nawet nie zapytał.

- Eduardzie...

- Ojciec pana przysłał, tak?

- Już ci mówiłem, Eduardzie: Marija jest moją pacjentką.

Potrzebuję twojej pomocy.

Eduard się odwrócił, trzymając otwarty scyzoryk w dłoni.

- Czy to ważne, co ja mówię? Czy to ważne, co ja myślę?

- Żyłś z nią blisko.

- Już jej nie ma. Jest... nikim. Spóźnił się pan.

Postąpił krok bliżej i Kirschowi przemknęło przez myśl, że Eduard ugodzi go scyzorykiem. Ale młody człowiek uniósł głowę i przyłożył czubek ostrza do swego gardła, do tętnicy szyjnej, przyciskając nóż tak mocno, że skóra aż zbieła. W uszach Kirscha zabrzmiały słowa doktora Zimmermanna: "To się może skończyć samobójstwem". I to od noża, który dał mu Kirsch.

Z góry rozległ się zwierzęcy skowyt. Obaj mężczyźni instynktownie unieśli wzrok. Hermann musiał ich obserwować. Leżał rozciągnięty na dachu z twarzą przyciśniętą do szkła, waląc w nie tak mocno rozplaszczonymi dłońmi, że cała oranżeria się trzęsła.

Kirsch skoczył naprzód, chcąc chwycić Eduarda za przegub, lecz ten okazał się szybszy - sprytnie odsunął się na bok, unosząc stopę jak matador. Kirsch przeleciał obok, potrącając doniczkę, i zwałił się na ziemię.

Eduard spojrział na nóż, który nadal trzymał w dłoni. Zamrugał, jakby nie był pewien, skąd go wziął. Potem starannie złożył ostrze i oddał scyzoryk.

- Dzięki doktorze - rzekł. - Teraz muszę poćwiczyć na pianinie. Ojciec się denerwuje, jak nie ćwiczę. Do widzenia.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Była to mieszanka sodu i siarki - dziesięć gramów żółtawego proszku na dnie nieoznakowanej buteleczki. Sanitariusz w głównym szpitalu zapewnił go, że to na pewno to. Eisner musi tylko zrobić dwuipółprocentowy roztwór przy użyciu sterylizowanej wody i wstrzyknąć go do żyły. Pentobarbital w proszku jest trwały i można go przechowywać w nieskończoność, lecz roztwór należy zużyć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Po tym czasie zacznie korodować szkło.

- Dwieście pięćdziesiąt miligramów - rzekł sanitariusz.
- To maksymalna dawka. Zależy naturalnie od ciężaru ciała.
- Naturalnie.
- Nie wolno jej przekroczyć. Za dużo i za szybko może doprowadzić do wstrząsu.
- Jak długo działa?
- Zależy. Koło piętnastu minut.

Eisner był rozczarowany. Piętnaście minut to za krótko na przesłuchanie, które sobie zaplanował. Zastanawiał się, ile dawek pentobarbitalu można bezpiecznie podać i w jakich odstępach czasu, ale nie chciał, by sanitariusz nabrał jakichś podejrzeń. Wręczył mu pieniądze i wrócił do kliniki. Będzie postępował metodą prób i błędów. Zdążył już przynieść z magazynu odpowiednią liczbę igieł i strzykawek. Zdobył też zestaw wag aptecznych z drugiej ręki, a także menzurę. Tylko skąd wziąć wyjałowioną wodę?

Po południu poszedł do kuchni i zagotował czajnik, po czym wlał wodę do czystego dzbanka do kawy. Nikt nie zauważył, że w środku nie było kawy. Zaniósł dzbanek do swojego gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Siedząc przy biurku, przygotował roztwór na trzy strzykawki, które natychmiast napełnił. Pragnął zacząć jak najszybciej, bezpieczniej jednak było poczekać do wieczornej

ciszy po kolacji. Nie chciał, by mu przerywano, wolał też niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi.

Podniecała go myśl o dokonaniu własnego drobnego przełomu w medycynie. Kirsch nie będzie zachwycony, że dokonuje eksperymentów pod jego nieobecność, ale co może poradzić?

Człowiek mający tyle sekretów nie powinien się tak szarogęścić.

Jak na przykład wytłumaczy swej narzeczonej opłacanie czynszu w lokalu herr Mettlera?

Podniósł strzykawkę do światła. Płyn był przezroczysty i bezbarwny, z pozoru nie szkodliwy jak woda. Eisner już od jakiegoś czasu nie robił zastrzyków. Trzeba wbić się w żyłę tak, by igła nie wyszła drugą stroną. Należy też uważać, by nie przebić się do otaczającej tkanki, gdyż mogłoby to spowodować najprzeróżniejsze komplikacje. Chyba dobrze będzie przypiąć pacjentkę.

Lepiej, żeby nie podrzuciła ręką.

Przycisnął tłok, aż na końcu igły wezbrała pojedyncza kropla płynu. Trzeba uważać, by nie wstrzyknąć powietrza. Bańka mogłaby rozerwać naczynia krwionośne i po dotarciu do mózgu spowodować udar. Całe postępowanie byłoby bezpieczniejsze za zgodą i przy współudziale Martina. Gdyby coś poszło nie tak, wina spadłaby na niego.

Kłopot z Kirschem, uznał Eisner, polega na tym, że w świętoszkowaty sposób obchodzi się ze swymi pacjentami, ale co najgorsze, nie chce się z nikim dzielić. Zagarnia dla siebie ciekawe przypadki i traktuje je jak prywatne poletko. Rzadko omawia swe koncepcje. Nie pozwala innym się wykazać, co najwyraźniej widać w tej historii z dziewczyną od Einsteina. Samolubny niewdzięczny typ. Wszak to Robert poznał go z Alną. Robert wprowadził go do domu Sieglów. I choćby z tych powodów zasługuje na trochę więcej szacunku.

Barbiturat może nie zadziałać. Może nie otworzyć podświadomości lub skłonić pacjentkę do udawania, co podobno się zdarza. Ale żaden naprawdę

obiektywny obserwator nie będzie mu czynił zarzutów, że chciał wypróbować tę metodę. To dzięki takim eksperymentom, nawet i nieudanym, wiedza ludzka posuwa się naprzód.

Kirsch za nic w świecie nie chciał się zgodzić na ten eksperyment. Po moim trupie, powiedział. Cóż, to żaden kłopot, bo od jakiegoś czasu nikt go nie widział żywego czy umarłego.

Marija spała w łóżku, gdy do pokoju wszedł posługacz.

- Mam panią sprowadzić na dół do doktora Eisnera.

Po zmroku męska obsługa zazwyczaj nie zjawiała się w skrzydle kobiecym. Marija sądziła, że dotyczy to wszystkich z wyjątkiem lekarzy. Widząc, jak posługacz stoi w drzwiach i obrzuca wzrokiem przyczepione do ścian obrazki, uznała, że ma rację.

Odwróciła się do niego plecami, choć oczy miała otwarte.

- Jestem zmęczona - rzekła. - Chcę spać.

Posługacz nazywał się Jochmann. Był to przysadzisty mężczyzna o byczym karku i gburowatym obejściu. Zauważyła, że pacjenci go unikają.

- To ważna sprawa - powiedział. - Idziemy.

Leżała nieruchomo. Postanowiła nie ruszać się ani nie odpowiadać. Eisner nie był jej lekarzem. Nie wierzyła w ani jedno słowo posługacza.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Myślała, że sobie poszedł. Tymczasem po chwili w pokoju rozległy się jego ciężkie kroki. Pomyślała, że powinna zawołać o pomoc, ledwie wszakże tylko otworzyła usta, poczuła jego łapsko na karku. Jochmann wcisnął twarz Mariji w poduszkę, wykręcił jej rękę na plecach i przytrzymał. Rzuciła się przez chwilę, lecz przygwaździł ją siłą i ciężarem. Zdołała przekręcić głowę na bok, by złapać dech.

Z wysiłkiem rozluźniła mięśnie. By ją zgwałcić, musi mieć przynajmniej jedną rękę wolną. Będzie miała szansę, jeśli tylko zacznie się rozpinać. Ale nie puszczał jej. Trzymał mocno, aż poniechała wszelkiego oporu, wtedy podniósł ją na nogi.

- Nie ma co utrudniać - odezwał się. - Dla pani dobra.

Wyprowadził ją na korytarz. Miała wrażenie, że to dla niego codzienność, zwyczajna sprawa. Czy dlatego wszyscy posługacze wyglądają tak krzepko?

- Moim lekarzem jest doktor Kirsch - powiedziała, kiedy prowadził ją na korytarz. - On jest moim lekarzem.

- No to teraz ma pani dwóch - rzekł Jochmann. - Prawdziwa z pani szczęściara. Dwa razy tyle lekarzy, dwa razy szybciej pani wyzdrowieje.

Poprowadził ją jakimiś tylnymi drzwiami, którymi nigdy wcześniej nie chodziła. Po paru kondygnacjach puścił jej ramię.

Schodzili coraz niżej, aż dotarli do ciepłej, słabo oświetlonej piwnicy, w której po ścianach biegły rury i rozchodził się silny zapach oleju opałowego. Cementowy pył i sadze przyklejały się jej do podeszew stóp. Mogła biec, lecz jak daleko by dobiegła?

Mogła krzyknąć, ale kto by ją usłyszał?

- Jesteśmy już prawie na miejscu - zapewnił Jochmann.

Pchnął ciężkie wahadłowe drzwi, przytrzymując je, by mogła przejść. Po drugiej stronie znajdowało się puste pomieszczenie do połowy wyłożone kafelkami. Wzdłuż jednej ściany zamontowano zlewy. Pośrodku pokoju stało żelazne łóżko z przymocowanymi do ramy pasami. Doktor Eisner siedział w nogach, wsunąwszy ręce między kolana. Dyndał nogami jak znudzony uczeń. Na widok Mariji zeskoczył na podłogę.

- Gdzie jest doktor Kirsch? - spytała.

Eisner wyglądał na lekko urażonego.

- W tej chwili trudno mi powiedzieć. Wziął jakiś urlop.

- A kiedy wróci?

- Słusznie czuje się pani trochę zaniedbana. Ale teraz wszystko się zmieni. - Eisner odsunął się od łóżka. - Proszę się położyć.

Ucieczka

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Nie ukończyłam studiów w Zagrzebiu. Nie z lenistwa i nie dlatego, że mnie rozczarowały. Nawet nie z tęsknoty za domem, choć bardzo często byłam sama. Powodem było to, co się stało w Orlovacie wiosną ostatniego roku nauki. Nawet teraz trudno mi o tym myśleć, a tym bardziej opowiadać, choć muszę, jeśli masz zrozumieć, z jakich przyczyn się tu znalazłam i czego winnam się od Ciebie dowiedzieć.

Tego roku mocno padało. Wracając pociągiem na Wielkanoc, widziałam całe połacie zalanych gruntów. Niekiedy nie było wiadomo, gdzie kończą się pola i zaczyna niebo, co wyglądało pięknie, choć jak wiedziałam, oznaczało głód i nędzę dla chłopów, których plony gniły. Zawiadomiłam o swoim przyjeździe, ale nikt nie czekał na mnie na stacji, mimo że znowu lalo i zaczynało się zmierzchać. Przeszłam więc sama przez wioskę, przeskakując przez kałuże na błotniste skrawki ziemi, aż stanęłam przed podwórkiem domu Draganoviciow.

Frontowe drzwi nie były zamknięte na klucz. W kuchni paliła się lampa, lecz w domu nie zastałam nikogo. Położyłam walizkę i poszłam na tyły, myśląc, że przynajmniej znajdę Senke doglądającą inwentarza. Konia nie było.

Gęsi i kurczaki rozproszyły się po podwórku i sadzie, niektóre pierzchły za płot, inne zbiły się w stadko pod drzewami na skraju pola. Wtedy zaczęłam się bać. Senka nigdy nie pozwoliłaby swemu ptactwu wałęsać się po gospodarstwie. Zapędziłaby je do komórek, gdzie miało ciepło i bezpiecznie. Tymczasem w kurniku siedział tylko jeden chudy wynędzniały ptak. Usiłowałam zgarnąć jej ukochane gęsi, ale syczały tylko albo uciekały i absolutnie nie chciały mnie słuchać, żebym nie wiem jak się przymilała i dmuchała im w piórka.

Potem przypomniałam sobie o gospodyni, Mai Lukić, i ruszyłam do jej



domu. Uszłam może ze dwadzieścia metrów, gdy się pojawiła, spiesząc drogą w ubraniu równie mokrym i zabłoconym jak moje. Kiedy weszliśmy do środka, powiedziała mi, że Senka zaginęła wczorajszego dnia.

Maja i paru wieśniaków przetrząsali okolicę, lecz jak na razie nie natrafili na żaden jej ślad. Byłam pewna, że kryje się za tym coś więcej, Senka bowiem nie uciekłaby bez powodu. Zapytałam, gdzie jest ojciec i czy w jakiś sposób się do tego przyczynił.

W owym czasie nie znałam dobrze Mai Lukić. Kiedy byliśmy z Senką dziećmi, piekła dla nas herbatniki i owinięte w muślin chowała w gałęziach drzew. Tyle zapamiętałam. Ale przestała dla nas pracować, gdy poszłam do szkoły, i od tej pory rzadko ją widywałam. Jako gospodyni w naszym domu zarabiała pieniądze, których bez wątpienia potrzebowała, do tego zarobku się przyzwyczaiła. Nie dziwota, że bała się źle mówić o swym pracodawcy ze strachu, by jej nie odprawił. Niemniej wymijające odpowiedzi Mai były dla mnie nie do przyjęcia i zapytałam ją wprost, czy ojciec nie chciał ukarać biednej Senki za jakieś rzekome przewinienie, a jeśli tak, to z jakim skutkiem.

Maja Lukić zapewniła mnie, że nic takiego się nie stało, a przynajmniej nic jej o tym nie wiadomo. Z drugiej strony przyznała, że gdy ojciec pił w samotności, czasami pomstował na Senkę, obwiniając ją o śmierć naszej matki. W tym stanie upojenia uważał, że to wszystko przez nią - tylko dlatego, że zdaniem doktora choroba zaczęła się wśród zwierząt, a potem Senka zawlokła ją do domu.

Maja Lukić wypowiadała się powściągliwie o tych wybuchach gniewu, ale ja aż nazbyt łatwo wyobrażałam sobie, jak były gwałtowne. Senka podważała wartość i pozycję Zolidna Draganovicia, samo jej istnienie stanowiło dla niego otwartą ranę - była bowiem z jego krwi i kości i nic nie mógł na to poradzić. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie jeszcze powodu cała chwała, która spadała na niego z racji moich szkolnych sukcesów, nie zdołała zrekompensować braków Senki i ten bilans nigdy się nie wyrówna. Teraz

naturalnie znam tego przyczynę.

Nadal nie byłam zadowolona z wyjaśnień Mai Lukić dotyczących zniknięcia Senki, o czym jej powiedziałam.

Po chwili wahania zaprowadziła mnie do salonu, gdzie jak powiedziała, sprzątała poprzedniego ranka. Od śmierci matki rzadko był używany, lecz zawsze paliło się na kominku, żeby nie pachniało stęchlizną. Maja wzięła nasz rodzinny album, który jak zwykle był na biurku, i pokazała mi go. Powiedziała, że podniosła go z podłogi, gdzie leżał otwarty, i odłożyła z obawy, by Senka na niego nie nastąpiła. Nie rozumiałam, o co jej chodzi, ale potem otworzyłam album i zobaczyłam, co nawyprawiał mój ojciec. Usunął wszystkie zdjęcia Senki, nawet te z chrztu.

Ze wspólnych fotografii rodzinnych, które robiliśmy w zakładzie w Nowym Sadzie, starannie wyciął jej postać żyłką. Na niektórych zostało tylko jej ramię albo pasmo włosów opadające parę centymetrów na ramię. Na jednym zdjęciu matka trzymała Senkę na kolanach, obejmując ją w pasie. Absolutnie nie można było usunąć Senki, nie obcinając przy tym matce ramienia. Ojciec poradził sobie w ten sposób, że odciął Sence głowę. Teraz nasza matka trzymała na kolanach bezgłową lalkę, uśmiechając się przy tym, jakby to był żart.

Widok tego nowego okrucieństwa nappełnił mnie taką nienawiścią, jakiej nigdy przedtem nie odczuwałam. Nie jestem gwałtowna z natury - nie bardziej niż inni. Jednak w tym momencie tylko krwawa pomsta mogłaby uśmierzyć gniew, jaki czułam w imieniu siostry. Wiem, że to samolubny odruch - odwet miał złagodzić poczucie winy z powodu mojej nieobecności i braku troski. Na szczęście ojciec przepadł jak kamień w wodę. Opuścił wioskę pod jakimś pretekstem, a po prostu jak zwykle chciał się upić, czego nawet Maja Lukić nie zdołała ukryć.

Nie było szans na znalezienie Senki w ciemności, ale już o pierwszym brzasku znowu ruszyliśmy jej szukać. Była niedziela i choć wielu ludzi z wioski bogobojnie poszło do kościoła, by modlić się o pomyślność dla swych zbiorów i

portfeli, tylko kilku przyszło nam pomóc, mimo że deszcz już ustał. Bez wątplenia reszta uznała, że Senka, będąc niespełna rozumu, ruszyła gdzieś przed siebie i zapewne sama wróci. Ja się jednak nie łudziłam. Z drżeniem serca ruszyłam nad rzekę w towarzystwie dwojga ludzi z okolicy.

Tu moim zdaniem groziło największe niebezpieczeństwo, bo woda szybko przybierała. Stary kamienny most wyglądał jak jaz, spienione fale przepływały pod łukami. Bałam się, co by się stało z Senką, gdyby wpadła, ponieważ żadna z nas w dzieciństwie nie nauczyła się porządnie pływać, jako że w naszych stronach nie ma po temu okazji.

Szliśmy w dół rzeki. Ja przepatrywałam jeden brzeg, a towarzysząca mi para - kuzyn Mai Lukić z żoną - drugi. Tuż koło wioski rzeka wije się na długości niespełna kilometra. Wędkarze często chodzą tam na ryby, mają bowiem cień, a na płytkich wodach połów jest łatwiejszy. Lecz tu rzeka wystąpiła z brzegów, zalewając łąki i lasy brzozowe po obu stronach. Brodziłam po kolana przez błotniste skłębione wody, obawiając się, że wir mnie wciągnie, tak czepliwy i zdradziecki był grunt pod moimi stopami. Wkrótce straciłam z oczu moich towarzyszy na przeciwległym brzegu rzeki, ale słyszałam, jak wykrzykują imię Senki, co ja też czyniłam. Nasze głosy nie niosły się daleko. Woda wsiąkała już w glebę, jakby wciągając dźwięk. Z tyłu w lepkiej ciemności widziałam, co zostało po ulewie, i panika owładnęła mną niemal całkowicie.

Wołałam imię Senki, aż straciłam głos, a z moich ust wychodziło tylko łkanie. W głębi serca wiedziałam już, że nigdy mi nie odpowie.

Potem rozległ się okrzyk kuzyna Mai. Dojrzał coś.

Pobiegłam ku niemu między drzewami, potykając się i upadając. Musiałam wyglądać jak wariatka, przemoczona od stóp do głów i cała oblepiona błotem, lecz na kilka chwil błysnęła mi nadzieja.

Kuzyn Mai nadal znajdował się na przeciwległym brzegu rzeki. Wskazywał na kępę wierzb po swojej stronie.

Kiedy tam brnęłam, stado wron poderwało się znad drzew i odleciało.

Chwilę później ujrzałam coś na kształt starego 1 poskręcane prześcieradła, które wplątało się w najniższe gałęzie. Dopiero gdy ujrzałam ciemne włosy unoszone przez wodę, zorientowałam się, że to moja siostra. Nie żyła, utonęła, a jej ciało wezbrane wody zanosło w dół rzeki. Leżała na plecach z ramieniem lekko uniesionym, jedną ręką przysłaniając oczy niczym klasyczne marmurowe posągi bólesci, które strzegą grobów wielkich ludzi.

Nie wiem, jak długo tam spoczywała - chyba z dzień, bo wrony napoczęły już jej biedną, obróconą ku górze twarzyczkę i usta. Mimo upływu dziesięciu lat widok ten nadal mnie prześladowuje.

Nie pamiętam, co działo się potem, jak wyglądała kolejność rzeczy ani co ja robiłam i mówiłam. Na parę minut czy też godzin straciłam głowę. Wiem, że Maja Lukić znalazła nas, że ona i jej kuzyni zdjęli biedną Senkę i zakryli jej twarz. Pojawili się inni, by pomóc ją nieść, potem przyszło więcej ludzi, przybył nawet wioskowy ksiądz; wszyscy proponowali pomoc albo na własne oczy chcieli zobaczyć straszliwe widowisko. Położyli Senkę na kuchennym stole, ale ksiądz powiedział, że trzeba ją przenieść w chłodniejsze miejsce, zaczęła się bowiem już rozkładać i będzie rozkładać się szybciej, bo jest mokra. Wybuchł spór, dokąd ją zanieść i czyja posiadłość byłaby najstosowniejsza. Najchłodniejszym miejscem był kościół, lecz ksiądz powiedział, że może tam spocząć, dopiero gdy wyjaśnią się okoliczności jej śmierci. Owinęli ją więc prześcieradłem i zanieśli do jakiejś innej części wioski. Nigdy więcej już jej nie widziałam.

Jedyną osobą nieobecną podczas tych narad był nasz ojciec. Zdenerwowana Maja Lukić napominała, że jako głowa domu on ma prawo podejmować decyzje dotyczące córki, ale nikt nie poszedł go poszukać. Chyba z cichą satysfakcją rządzący się we dworze, do którego przeważnie nie mieli przystępu. W końcu zatem sama Maja Lukić zarekwirowała konia, dwukólkę i udała się do przyległej wioski, zostawiając mnie samą w domu. Potem wielokrotnie zapewniała mnie, jak jej przykro z powodu takiego postępu,

powinna była bowiem ze mną zostać. Jeszcze przez całe lata obwiniała się za to, co się stało. Nie mam jednak do niej pretensji. Zatrudnił ją mój ojciec, nie ja.

Starła się bronić praw i honoru rodziny oraz nazwiska Draganoviciów, co w takim miejscu jak Orlovat liczy się najbardziej, bardziej nawet niż życie.

Długo siedziałam w kuchni - nie potrafię powiedzieć jak długo. Chyba co najmniej z godzinę, gdyż kiedy się poruszyłam, słońce stało tak nisko na niebie, że przeświecało przez powalę chmur. Zapaliłam lampę nad stołem. Potem podniosłam się, poszłam do pomywalni i zdjęłam brudną sukienkę. Stałam w koszuli przed lustrem, ścierając czarne błoto z twarzy i rąk i splukując włosy pod kranem. Nie wiem, dlaczego to robiłam.

Koniecznym było się oczyścić, zetrzeć z siebie wszelkie ślady tego dnia. Ponadto chciałam mieć jakieś zajęcie, by nie myśleć. Szorowałam się i szorowałam do czerwoności.

Stamtąd, z pomywalni, zobaczyłam, jak mój ojciec wchodzi przez bramę na podwórze, ciągnąc za sobą konia. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że nadal nie wie, co tu się wydarzyło, bo nucił pod nosem, a nawet chichotał, jakby przypomniawszy mu się nieprzyzwoity żart.

Wspominałam już wcześniej, że instynktownie starałam się nie zostawać sam na sam z tym człowiekiem. Ale zimny gniew, który czułam w tym momencie, i gwałtowna chęć zemsty przytłumiły mój zwykły odruch samozachowawczy. Zapewne powinnam była wymknąć się tylnymi drzwiami. Gdybym tak zrobiła, wszystko potoczyłoby się inaczej. Z pewnością nie trafiłabym tutaj i nie spisywałabym dla Ciebie tej historii. Najprawdopodobniej nasze drogi nigdy by się nie skrzyżowały.

Lecz, jak się zapewne domyślasz, nie wymknęłam się.

Natomiast spokojnie odłożyłam szczotkę do szorowania, przeszłam przez kuchnię i wzięłam największy nóż, jaki tam znalazłam.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Berlin, 3 lutego

Szanowny Panie Profesorze, od ostatniego raportu dowiedziałem się następujących rzeczy w interesującej Pana sprawie.

Wiadomy przypadek przydzielono obecnie dr. Martinowi Kirschowi (ur. 1890, Wittenberga, Saksonia). Kirsch służył jako chirurg wojskowy w czasie wielkiej wojny, w 9. armii na froncie wschodnim. Otrzymał kilka odznaczeń, zanim we wrześniu 1918 r. został zwolniony jako psychicznie niezdalny do służby wojskowej. Krążyły pogłoski, że raz uniknął sądu wojskowego (z niejasnych przyczyn) tylko dzięki osobistej interwencji swego dowódcy, płk. Gustava Schada.

Zdaniem kolegów dr. Kirscha, odznacza się on intelektualną butą, natomiast jest bierny politycznie. Bywa nielojalny i niesubordynowany. Zachowanie takie byłoby lekkomyślne, gdyby nie miał znajomości w bogatych i wpływowych kręgach - jest zaręczony z córką przemysłowca Ottona Siegla. Skłonny pójść na rękę, jeśli okaże się to korzystne pod względem zawodowym bądź finansowym.

Dr Kirsch wykazuje niezwykle zainteresowanie przypadkiem Draganović, podobno kosztem innych obowiązków. Być może dlatego, że sprawa przyciągnęła publiczną uwagę (patrz załączone wycinki). Kirschen najwyraźniej jest ambitny i zdany na własne siły, wykorzysta ten przypadek dla swoich celów.

Dr Kirschen niedawno wyjechał do Zurychu, rzekomo w celu przeprowadzenia badań dla czasopisma naukowego. Odwiedził tam szpital psychiatryczny Burgholali, gdzie zgodnie ze szpitalną dokumentacją, we wrześniu zeszłego roku przez parę tygodni przebywała frdulein Draganović.

Na razie nie jestem w stanie ustalić powodów jego wizyty.

Jednakże zważywszy, jak uparcie i konsekwentnie dąży do wyświetlenia przeszłości swej pacjentki, nie można wykluczyć, że wierzy w związek między

Panem i nią. Jeśli zdobędzie dowody na jego istnienie, być może będzie chciał je wykorzystać dla swoich celów.

Należy się liczyć z takim rozwojem wydarzeń. Gotów jestem przedsięwziąć wszelkie niezbędne kroki, by Panskie interesy nie doznały uszczerbku w tej mierze.

Uniżony sługa, H. de Vries.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Nikt nie odezwał się do niego, gdy szedł przez budynek, toteż Kirsch nie był przygotowany na widok, który go przywitał, kiedy otworzył drzwi swego gabinetu. Pokój był pusty. Szafka na dokumenty zniknęła. Na biurku nie było nic - zabrano maszynę do pisania, papiery, teczki. Półki, normalnie uginające się pod ciężarem książek i czasopism, ogołocono ze wszystkiego. Otworzył szuflady biurka - został tylko stary paragon z księgarni Speyera & Petersa oraz ogryzek połamanego ołówka. Zabrano nawet biały fartuch, który zawsze wisiał na haczyku za drzwiami. Podniósł słuchawkę, by zadzwonić do frau Rosenberg, ale telefon był głuchy. Pociągnął za przewód i znalazł dwie kępki gołego drutu.

Teczka Kirscha przedstawiała teraz jedyny dowód na to, że kiedykolwiek był psychiatrą. Czyżby Bonhoeffer znowu zmienił zdanie? Czy wpłynęła kolejna skarga? Nigdy nikogo nie zwolniono in absentia, lecz Kirschowi już raz praktycznie podziękowano za pracę. Już by go tu nie było - oczyściłby biurko, opróżniłby półki (co oni zrobili z książkami?) - gdyby doktor Mehring nieoczekiwanie nie wycofał się ze swych zarzutów.

Na dworze lało równo. Przycisnął teczkę do piersi. Dłonie miał lepkie. A może tylko wyobrażał sobie, że Mehring zrezygnował ze swych oskarżeń? Albo mu się to przyśniło? Jego sny były tak żywe, tak związane z troskami na jawie, że patrząc wstecz, trudno powiedzieć, czy w ogóle były snami. Poszukał telegramu, który otrzymał w Zurychu. Może to też mu się przyśniło. Pogrzebał

w teczce, potem kolejno opróżnił kieszenie. Franki szwajcarskie nadal miał w portfelu, ale po telegramie ani śladu.

WAKAT NA STANOWISKU ZASTĘPCY DYREKTORA STOP  
NIEZWŁOCZNIE WRACAĆ DO BERLINA STOP

Rozpaczliwie pragnął się pozbyć doktora Mehringa i jego szarlatańskich eksperymentów, chciał działać po swojemu, by nikt się do niego nie wtrącał. I tak się właśnie stało. Nigdy się nie zastanawiał, czy rzeczywiście może do tego dojść. Krople deszczu skapnęły mu z brody, mocząc kołnierzyk. Granica między postrzeganiem i wyobraźnią jest krucha, lecz znaczenie ma kluczowe. Aż nazbyt dobrze wiedział, co się dzieje, gdy zaczyna się zacierać.

Głos Maksa wyszeptał mu do ucha: "Masz mało czasu".

Ruszył do gabinetu Bonhoeffera. U dołu schodów rozmawiały dwie pielęgniarki. Zanim zdążył je pozdrowić, rozdzieliły się i odeszły. Przechodząc przez oddziały, dostrzegł spojrzenia, jakie rzucali mu inni członkowie personelu, nikt jednak nie uśmiechnął się na powitanie, a tym bardziej się nie odezwał.

Lekarz z zewnątrz osłuchiwał pacjentowi klatkę piersiową. Uwagę skupiał na stetoskopie, lecz pacjent wpatrywał się w Kirscha, jakby zobaczył ducha, zaciskając rękę na krawędzi żelaznego łóżka.

Jak długo go nie było? Planował tydzień, ale może jego nieobecność się przeciągnęła? Miał poczucie, jakby zniknęła przerwa czasowa. Czy dlatego usunięto jego rzeczy, że nie było go taki kawał czasu? A może nikogo oficjalnie nie zawiadomił o swoim wyjeździe? Może to również była część snu? Bonhoeffer i jego personel mieli prawo przypuszczać, że po prostu zniknął.

Przed gabinetem zastępcy dyrektora przystanął. Jeśli Heinrich Mehring jest w środku, Kirsch dowie się, na czym stoi, w tę czy we w tę.

Zapukał cicho, potem głośniejszym głosem, nie było jednak odpowiedzi.

Wskazówki jego zegarka pokazywały dziewiątą. Mehring mógł być na obchodzie albo w piwnicy, przeprowadzając eksperymenty insulinowe, dzięki którym jego pacjenci staną się mniej "skomplikowani" - tylko jacy wtedy będą?



Otworzył drzwi. Nie był w tym gabinecie od wielu miesięcy.

Pamiętał zapach tureckiego tytoniu, szezlong z żółtymi poduszkami z chwościkami, podbarwione akwaforty z widokami Budapesztu i Wiednia na ścianie, a w rogu lekko erotyczną scenę handlu niewolnikami, częściowo przesłoniętą drzewkiem kauczukowca. Serce w nim zamarło - wszystko z wyjątkiem poduszek było nadal na miejscu.

Zostawił uchylone drzwi i wszedł do środka. Panował tu chłód.

Zamiast dymu tytoniowego rozchodził się zapach środka dezynfekującego. Rzuciwszy okiem na oszklone półki biblioteczne, ze zdumieniem stwierdził, że Mehring posiada wiele tych samych książek co on. Nawet poustawiał je w tym samym porządku. Tu książka Eugena Bleu1era o schizofrenii, dalej autobiografia filozoficzna Karla Jaspersa i egzemplarz "Dialogów z Einsteinem"

Aleksandra Moszkowskiego. Kirsch zdjął Moszkowskiego z półki i przekartkował, natrafiając na notatki ołówkiem. Więcej notatek znalazł w książce Emila Kraepelina "Zaburzenie maniakalnodepresyjne i paranoja" - to on je porobił.

Wie przynajmniej, co się stało z jego książkami - Mehring je zabrał. Pewnie uznał, że krnąbrnemu podwładnemu nie będą już potrzebne. A co z jego papierami, zapiskami? Kirsch podszedł do szafki na dokumenty i wysunął szuflady. Bez wątplenia znajdowały się tam jego papiery. Podszedł do biurka. Na tacce z dokumentami przychodzącymi leżały listy adresowane do doktora M. Kirscha.

Podniósł słuchawkę. Operator połączył go z wewnętrznym telefonem frau Rosenberg.

- Mówi doktor Kirsch.

- Dzień dobry, panie doktorze.

- Mój gabinet został...

Co się właściwie stało z jego gabinetem?

- Czy coś panu nie odpowiada?

Usiadł za biurkiem.

- Moje rzeczy. Wszystkie zostały przeniesione do gabinetu zastępcy dyrektora.

- Tak.

Najwyraźniej uznała, że żadne wyjaśnienie nie jest potrzebne.

- Chodzi o to, że... - W słuchawce panowała cisza. - Moja szafka na dokumenty została otwarta. Przed wyjazdem zamknąłem ją na klucz.

- Jest pan pewien?

Nie był już niczego pewien. W każdej chwili mógł się obudzić.

Ale gdzie i kiedy?

„Może to opowieść kwantowa”.

- Tak, absolutnie.

- Czy czegoś brakuje?

- Nie zauważyłem, tyle że... - Spozrzegł biały fartuch wiszący za drzwiami. - Gdzie jest doktor Mehring?

Frau Rosenberg zawahała się.

- Doktor Mehring już u nas nie pracuje.

- A gdzie jest?

- Złożył rezygnację.

Kirsch spojrział na obrazki i szeszlony zdziwiony, że Mehring ich ze sobą nie zabrał.

- Nie wiedziałem.

- Czy mogę jeszcze czymś służyć?

- Dlaczego złożył rezygnację?

- Musi pan zapytać dyrektora. Nie ma go w tej chwili.

W głosie frau Rosenberg wyczuł wahanie, którego nigdy przedtem nie słyszał, jakąś obcość. Dawniej była do niego nastawiona przyjaźnie, niczym pobłażliwa ciocia.

- Czy jeszcze coś? - zapytała ponownie.

Spojrzenie Kirscha padło na dużą kopertę na wierzchu tacki.

Z przodu widniał nadruk "Uniwersytet Humboldta w Berlinie".

- Nie, dziękuję - powiedział, odwieszając słuchawkę.

Otworzył kopertę. Zawierała krótki artykuł opublikowany przez Instytut Psychiatrii oraz napisany na maszynie list. Wbrew jego oczekiwaniom wszakże list nie pochodził od profesora von Lauego.

Szanowny Doktorze Kirsch, Mam nadzieję, że Pańskie badania posuwają się zgodnie z planem oraz że niebawem będzie mógł Pan przystąpić do zbierania danych. Ostatnie wydarzenia na froncie politycznym bardzo poprawiły widoki na zreformowanie branży psychiatrycznej, zarówno w Niemczech, jak i poza nimi. Pańskie prace nabrały jeszcze większego znaczenia dla zmiany przestarzałych i wyrachowanych postaw.

Załączam artykuł - można by nazwać go manifestem - który właśnie opublikował mój przyjaciel i kolega, dr Emst Rudin. Za zgodą władz egzemplarze rozesłano do kadry wszystkich zakładów psychiatrycznych. Jak wskazuje dr Rudin, interwencyjne podejście w medycynie psychiatrycznej nie zdało egzaminu. Jest to dziedzina wiedzy oparta głównie na niesprawdzonych założeniach i wątpliwej klasyfikacji. Jako taka, proponuje tylko złudną nadzieję (leczenie etc.). Na dłuższą metę metodą ograniczenia przypadków chorób umysłowych może być wyłącznie wprowadzenie programów higieny umysłowej i społecznej. Tylko one opróżnią nasze zakłady dla psychicznie chorych i ochronią przyszłe pokolenia. Niemcy mają teraz rząd, który gotów jest wziąć na siebie tę odpowiedzialność, oczywiście przy pomocy odpowiednich ośrodków naukowych.

Niewątpliwie będzie Pan rad, widząc, że dr Rudin obficie cytował z Pańskiego wstępnego studium opublikowanego w "Rocznikach psychiatrycznych", w którym wykazuje Pan nienaukowy charakter obecnego podejścia do schizofrenii. Mam nadzieję, że przekona to Pana ostatecznie o

wadze Pańskiej pracy.

Z serdecznymi pozdrowieniami dr Eugen Fischer.

Był to jego fartuch, ale wyczuł w nim coś nieznanego.

Wydawał się ciaśniejszy i miał jaskrawszy odcień bieli. Pachniał detergentem. Kirsch uświadomił sobie, że pod jego nieobecność wyprano go i wykrochmalono.

Nałożył kitel i ruszył do skrzydła kobiecego. W świetlicy trwały zajęcia z szycia, pacjentki w szarych fartuchach siedziały w kręgu z głowami pochylonymi nad robotą. Nie było między nimi Mariji Draganović. Poszedł na górę do jej pokoju. Nowa pacjentka, kobieta o zmierzwionych włosach, leżała na dodatkowym łóżku, lecz na dawnym łóżku Mariji nie było pościeli ani koców. Materac zwinięto. Otworzył szafę - jej ubrania zniknęły.

- Gdzie ona jest?

Kobieta oparła się na łokciach. Włosy miała długie i siwe jak wiedźma z bajek.

Kirsch wskazał na goły stelaż.

- Marija. Wie pani, gdzie ona jest?

- Och, nie - odparła kobieta, spuszczać nogi z łóżka.

- Teraz moja kolej, doktorze. Już tak długo czekam.

Natknął się na siostrę Auerbach, która paliła papierosa przed pralnią, wydmuchując dym przez małe okienko naprzeciwko kuchni. Widząc go, wyrzuciła papierosa i podniosła stos prześcieradeł.

- Szukam fraulein Draganović - powiedział. Pielęgniarka zrobiła skonsternowaną minę. - Pacjentki E.

- Wiem, o kogo panu chodzi, doktorze. Nie ma jej tu.

- Nie ma?

- Zabrali ją. Przed paroma dniami. - Siostra Auerbach przechyliła głowę na bok, przyjmując stroskaną pozę, ani przekonującą, ani szczerą. - Nie wiedział pan?

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Żołnierze oddziałów szturmowych nazywali się teraz "policją pomocniczą". Trzech z nich trzymało straż przed wejściem do Tragic; przechadzali się tam i z powrotem, trzymając kciuki zatknięte za pasy. Gdy podjechała karetka, zebrali się wokół niej, jakby szukali kontrabandy. Załoga wyszła z tyłu, niosąc człowieka na noszach. Jeden z żołnierzy ściągnął z niego koc, inny trącił go karabinem. Dopytywali się, czy ma siniaki albo połamane kości. Kirsch usłyszał, jak ktoś powiedział "wyrostek robaczkowy", i nosze przepuszczono.

W szpitalu było ciszej niż zwykle. Personel chodził koło swoich zajęć, milcząc zacięcie. Pracownicy wypełniali swe obowiązki żwawo, porozumiewając się ze sobą stłumionymi głosami tylko w razie konieczności. Choć Kirsch był doktorem psychiatrii, nie miał prawa do odwiedzin poza wyznaczonymi godzinami.

Niemniej nikt mu tego nie wytykał, nawet gdy pytał o oddział, na którym przebywała Marija.

Według siostry Auerbach, Marija zachorowała przed trzema dniami. Dostała wysokiej gorączki i zaczęła majaczyć. Kiedy pojawiło się krwawienie z nosa, posłano po lekarza. Obawiając się, że zapadła na jakąś chorobę zakaźną, zalecił, by przeniesiono ją z kliniki do głównego szpitala. Tu diagnoza uległa zmianie.

U Mariji stwierdzono reakcję alergiczną, choć pielęgniarka nie wiedziała, co ją spowodowało.

Kirsch znalazł Mariję na oddziale kobiecym dla łżej chorych.

Osiem identycznych łóżek o białych żelaznych ramownicach stało po obu stronach przejścia, pomiędzy nimi znajdowały się identyczne białe stoliki. Wolne były tylko dwa łóżka. Marija spała na boku. Miała na sobie nocną

koszulę z podwiniętymi rękawami, jedna ręka spoczywała na pościeli.

Stał, wpatrując się w dziewczynę. Chciał usiąść obok niej i wziąć ją za rękę, ale nie było krzesel. Którąś z pacjentek na samym końcu męczył uporczywy suchy kaszel. Odbijał się echem od gołych ścian i lśniącej drewnianej podłogi.

Całe miesiące upłynęły od dnia, w którym znalazł Mariję w szpitalu, i oto znowu tu są, a odstęp czasowy między tymi dwoma wydarzeniami skurczył się do rozmiarów maleńkiego okruszka. Marija miała teraz dłuższe włosy, z jej twarzy zniknęły sińce, lecz pod każdym innym względem była taka sama. Wszystko było takie samo. Żadne jego dociekania ani chytne sztuczki niczego nie dały. Pewne fakty materialne wyszły na światło dzienne, ale same w sobie tłumaczyły bardzo niewiele, a obiecywały jeszcze mniej. Umysł Mariji, podobnie jak jej losy, pozostawał zagadką. Kirsch miał dość informacji, by snuć teorie i domysły, za mało natomiast, żeby zrozumieć, tym bardziej zaś uleczyć.

A czas gonił - i jego, i ją. Im dłużej bowiem pozostawała bez wspomnień, tym trudniej będzie je odzyskać. Wspomnienia bowiem jak sny się rozwiewają, jeśli nie wracamy do nich myślą.

Przysiadł na skraju łóżka. Szkicownik Mariji leżał na stole.

Wziął go do ręki i przekartkował. Na każdej stronie był jego portret, jego i nikogo innego. Zapomniała nawet o staruszkę i bożyszczu dam. Czy było to świadectwem postępu, oznaką, że urojenie, które rozbudził Eduard Einstein, słabnie? Czy też dowodem pogorszenia?

Uchwyciła go w różnych pozach i nastrojach: jak siedzi, stoi, uśmiecha się, marszczy brwi, jest ożywiony czy zamyślony.

W miarę jak przewracał kartki, rysunki stawały się bardziej schematyczne, byle jakie, był na nich coraz mniej podobny do siebie. Ostatni szkic to zaledwie parę kresek zawieszonych w przestrzeni. Kołnierzyk i okulary oddane były bardziej szczegółowo niż twarz. Potem następowały już tylko czyste kartki.

Marija się poruszyła. Cerę miała woskowo bladą, włosy splątane, ale widząc ją ponownie - widząc życie w ciemnych oczach, brwi, zarys ust - poczuł, że serce szybciej mu uderza.

- Dzień dobry - powiedział. Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek, lecz jej twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. - Wróciłem. - Uzmysłowił sobie, że pozostałe kobiety, przysłonięte kocami, przypatrują się im. - Przykro mi, że tak długo mnie nie było.

Przyłożyła rękę do ust, przesuwając opuszkami palców po wargach.

- Długo?

- Parę tygodni. Dłużej, niż planowałem. Gdybym wiedział...

Wyciągnęła przed siebie ręce, poruszając palcami, wbijając sobie paznokcie w dłonie.

- Obudziłam się? - spytała.

Rozstawił parawan, by oddzielić ich od reszty pacjentek, po czym znowu usiadł.

- Oczywiście, że się obudziłaś. Marijo?

Nie odpowiedziała. Nadal rozwierała i zaciskała pięści, jakby palce były dla niej kompletną nowością.

- Nie powinnam być tutaj - rzekła. - Powiedziałam im: muszę pojechać w pewne miejsce. Ktoś na mnie czeka.

- Kto czeka? Eduard?

Przerzuciła nogi przez brzeg łóżka.

- Muszę wracać.

Nigdy przedtem nie sprawiała wrażenia tak zdezorientowanej. Zapewne był to skutek jakiegoś leku przeciwbólowego. Przypuszczał, że musieli jej coś takiego podać.

- Marijo? Wiesz, kim jestem, prawda?

Podniósł szkicownik, pokazał jej swój portret na pierwszej stronie.

- To ja, doktor Kirsch, Martin Kirsch.

Zerknęła na szkic, potem na niego.

- Martin - powtórzyła. - Zdało mu się, że dojrzał na jej twarzy błysk uśmiechu. - Pisarz.

Po drugiej stronie parawanu rozległy się kroki.

- Kto to rozstawił?

Parawan złożono z trzaskiem i oparto o ścianę, - Doktor Kirsch. - Był to doktor Brenner z siostrą oddziałową. - Co pan tu robi? Godziny odwiedzin są od drugiej do czwartej.

Kirsch się odsunął, gdy siostra oddziałowa zaczęła się krzątać przy łóżku.

- No, tylko spokojnie - powiedziała, unosząc przykrycie.

Marija położyła się posłusznie i zamknęła oczy. Pomyliła Kirscha z Eduardem. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

- Wyzdrowieje, doktorze? - zapytał Kirsch.

- Mam nadzieję, że w pełni dojdzie do siebie, choć przez - pewien czas było z nią kiepsko. Jej stan poprawia się z każdym dniem.

- Co jej było? - zapytał Kirsch.

Brenner przyjrzał mu się bacznie.

- Miałem nadzieję, że właśnie pan mi coś wyjaśni.

- Powiedziano mi, że miała reakcję alergiczną.

Brenner zerknął przez ramię. Najwyraźniej nie chciał, by ktokolwiek usłyszał jego słowa.

- To jedno podejrzenie. Owszem, opuchlizna, wysypka. Nie znając konkretnych faktów, możemy tylko zgadywać.

Brenner nigdy nie odzywał się tak niechętnym, wręcz oskarżycielskim tonem.

- Jakich konkretnych faktów?

- Historii leczenia na przykład - odparł Brenner. - Przydałaby się. Posłałem po nią do administracji pańskiego oddziału, ale nikomu nie chciało się szukać.



- Bardzo mi przykro. Nie było mnie. W każdym razie nie podawano jej żadnych leków. Absolutnie żadnych.

Brenner przejechał krótkimi paluchami po prostych włosach.

- Dziękuję, siostrze - rzekł.

Siostra oddziałowa przestała utykać pościel Mariji i odmaszerowała.

Brenner przysunął się bliżej.

- Leczenie pańskich pacjentów to pańska sprawa, doktorze. Za żadne skarby nie ośmieliłbym się wtrącać w pańskie eksperymenty. Proszę tylko nie obrażać mojej inteligencji.

- O czym pan mówi?

Brenner ujął przegub Mariji i obrócił go, by odsłonić przedramię po wewnętrznej stronie. Ciało wokół łokcia było spuchnięte, z wyraźnymi śladami krwotoku podskórnego. Wtedy Kirsch zrozumiał - dwie plamy zaschniętej krwi wskazywały, gdzie wkłuto się w żyłę odpromieniową.

- Pierwsze słyszę. Jest absolutnie pewien?

Znajdowali się na tyłach kliniki. Eisner, w 'samej koszuli, usiłował naprawić swój rower. Pojazd stał między obu lekarzami kołami do góry, tylne koło wciśnięte było między pręty ogrodzenia.

- Widziałem na własne oczy - rzekł Kirsch. - Co najmniej dwa zastrzyki.

- Niedawne?

- Bardzo niedawne. Skąd one się wzięły?

Eisner mocował się z łańcuchem, usiłując nałożyć go na zębatkę.

- Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo brakuje nam personelu, Martinie? Ledwo dajemy sobie radę. A ty co robiłeś?

- Więc nie wiesz, co się stało?

- Mogę się tylko domyślać.

- I co wymyśliłeś?

- Może ktoś chciał ją uspić. I wykorzystać. - Eisner spojrzał w górę poprzez szprychy przedniego koła. - To pewnie nie pierwszy raz, Martinie. A

może coś jej sprzedali. Wiesz, jak to jest. Z magazynów podbiera się środki uspokajające, opiaty. Tam gdzie ostatnio pracowałem, posługacze najzwyczajniej handlowali narkotykami.

- Nie wydaje mi się. Marija nie mogłaby zapłacić. Nie ma pieniędzy.

- Może nie chodziło im o pieniądze.

Eisner puścił łańcuch i spojrzął na swoje ręce. Były pokryte sadzą i smarem. Prychnął z niesmakiem. Dopiero od niedawna zaczął jeździć do pracy na rowerze. Przedtem używał stylowego, lecz rozpadającego się, przedwojennego adlera. Silnik w końcu padł, a koszt wskrzeszenia go przekraczał możliwości doktora.

- Wspominałeś coś kiedyś o kwasie barbituratowym - rzekł Kirsch. - O serum prawdy. Chciałeś przeprowadzić eksperyment.

- Owszem. A ty za nic nie chciałeś się zgodzić. Nie mów, że zmieniłeś zdanie. - Eisner z pochmurną miną spojrzął na rower. - Znowu będę musiał rozłożyć to cholerstwo. A niech to szlag.

- Nie zmieniłem zdania. Uważam, że nie zdołałeś się powstrzymać. Mam rację?

- Skądże. Dziwię się, że w ogóle pytasz. - Eisner wytarł dłonie w szmatę.

- A może to Mehring.

- Mehring? Co ci przyszło do głowy?

- Daj spokój, Martinie. Przecież nigdy za tobą nie przepadał. A pacjentka E., cóż... - Wziął śrubokręt i przyjrzał się wkrętowi. - Wszyscy wiedzieli, że jej przypadek jest dla ciebie ważny. Dla w y b i t n e g o doktora Kirscha. Może na pożegnanie chciał ci wszystko zepsuć.

Kirsch mocno oparł się o barierkę. Nie chciał myśleć o Heinrichu Mehringu.

- Nie wierzę w to. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Eisner uniósł ku niemu wzrok. Blade oczy patrzyły nieruchomo.

- Jak uważasz.

Znowu zabrał się do naprawy roweru, używając śrubokrętu, by nałożyć łańcuch na trybik.

Kirsch zbliżył się o krok. Kropla potu wystąpiła mu na skroń i pociekła po policzku.

- Jeśli się dowiem, że to twoja sprawka, będziesz tu skończony.

Eisner westchnął i podniósł się. Już miał coś powiedzieć, lecz Kirsch nie chciał tego słyszeć. Przyłożył mu rękę do piersi i pchnął.

Eisner stracił równowagę. Cofnął się o krok, potknął o rower, upadł na niego niezgrabnie i rozciągnął się jak długi. Kirsch się odwrócił i odszedł.

- A tak nawiasem mówiąc, gratuluję awansu! - krzyknął za nim Eisner. - Idealnie się nadajesz.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY**

Robert Eisner podniósł się i dalej dłuwał przy rowerze pewien, że nawet jeśli Kirsch się odwróci, nie zauważy zaczerwienionych policzków ani trzęsących się rąk. Próbował nawet zagwizdać, ale z wyschniętych ust wyszedł tylko syk. Dopiero gdy Kirsch całkiem zniknął mu z oczu, podniósł się, poszedł do swego gabinetu i podniósł słuchawkę.

Nie mógł się zdecydować, co zrobić z dokumentacją ani z tajemniczym listem z Zurychu. Gdyby przekazał je prasie, wywołałby skandal, lecz naiwnością byłoby sądzić, że upadek Kirscha na pewno przyniósłby korzyść kolegom. Zbadano by dokładnie przebieg wydarzeń. Rola Eisnera w całej tej historii wyszłaby na jaw. Mogłoby to oznaczać koniec jego kariery albo jeszcze coś gorszego. Poza tym Kirsch był wszak jego przyjacielem, a przynajmniej za takiego dotychczas go uważał. Przyjaciele u władzy są bardziej przydatni niż spadający w hierarchii, nawet jeśli podważają poczucie własnej wartości swych kumpli.

Z tym że Kirsch najwyraźniej nie jest już jego przyjacielem.

Rozwaga nakazywała, by uderzył, póki jeszcze może. Dość pomyśleć, co się stało z Heinrichem Mehringiem. Uciekł z kraju, bo grożono mu śmiercią. A wszyscy wiedzą, kto stał za tymi groźbami.

Centrala go połączyła. Po drugiej stronie zadzwonił telefon.

Eisner miał poczucie, że zaraz popełni czyn przełomowy, że spali za sobą mosty. Jednakże Kirsch nie pozostawił mu wyboru.

- De Vries.

- Eisner.

Zatrzeszczał mebel, de Vries się wyprostował albo właśnie wygodniej rozsiadł w fotelu.

- Co mogę dla pana zrobić, doktorze?

Eisner przykrył mikrofon ręką. Skórę na czubkach palców miał zabarwioną na czarno. Jego dłonie cuchnęły smarem i sadzą.

- Idzie raczej o to, co ja mogę zrobić dla pana.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI**

Cała wioska Reinsdorf pojawiła się na nabożeństwie poświęcenia pomnika. Kirsch nie mógł znaleźć miejsca w nawach, toteż przysiadł na końcu jednej z ławek wciśniętych między przedsionek kościoła i starą chrzcielnicę. Po mszy wierni wyszli na słońce, kierując się ku rozstajom dróg, gdzie miała się odbyć uroczystość odsłonięcia pomnika. Kirsch zdołał dogonić rodzinę dopiero poza terenem kościoła. Ze zdumieniem ujrzał, że matka ma na sobie nowiutkie dwurzędowe palto. Było długie, czarne, z szerokimi mankietami, paskiem i wielkimi guzikami w talii i na ramionach.

Do tego odpowiedni czarny kapelusz i płowe futerko wokół szyi.

Nigdy jeszcze nie widział jej w tak modnym stroju. Kroczyła z mężem pod rękę, trzymając głowę wysoko uniesioną, jakby się wybierała na przyjemny wieczór w operze.

Siostra Kirscha, Emilie, szła parę kroków z tyłu. Zauważył, że umalowała usta. Towarzyszył jej chudy nieznajomy koło trzydziestki, sztywny jakby kij połknął. Z kieszeni kamizelki zwisał mu złoty zegarek z dewizką. Krążył na obrzeżach towarzystwa, trzymając się w takiej pełnej szacunku odległości od Emilie, że Kirsch zastanawiał się przez chwilę, czy ten sztywniak rzeczywiście z nią przyszedł.

- Przedstawiam ci Reinharda - odezwała się w końcu Emilie. - Mój brat Martin.

Nieznajomy się zatrzymał, wyciągnął rękę i skłonił się ceremonialnie.

- Reinhard Poppel. Jestem zaszczycony.

Wymienili uściski i szli dalej, widząc już przed sobą pomnik okryty ciemnoczerwonym aksamitem. Wieśniacy przyciskali kapelusze, gdyż po otwartej przestrzeni hulał porywisty wiatr.

- Jak rozumiem, pan również był na froncie.

Dopiero po chwili Kirsch się zorientował, że Reinhard Poppel zwraca się do niego.

- Na froncie? A tak, w pewnym sensie.

Poppel wpatrzył się w bok pomnika.

- Niestety, ja byłem zbyt młody.

Emilie zbladła. Miała zażenowaną minę. Kirsch z trudem powstrzymał śmiech.

- No cóż, Niestety - rzekł.

Po twarzy Emilie przebiegła iskra gniewu. Oczy jej się zwęziły, jakby chciała mu zakomunikować: "Czy mam do końca życia pozostać starą panną?".

Kirsch założył ręce za plecy i począł zadawać Poppelowi uprzejme pytania. Okazało się, że herr Poppel jest inspektorem z wydziału edukacji i poznał Emilie podczas wizytacji.

- Uderzyło mnie od razu, jak uważnie słuchała jej klasa, jak pilne były dzieci - powiedział. - Nawet dziewczęta z prawdziwym entuzjazmem uczyły się

matematyki.

- To pana dziwi?

- Rzadko wykazują takie zainteresowania, zwłaszcza że później matematyka nie będzie im potrzebna.

- Zapomina pan o rachunkach domowych - zauważył Kirsch, patrząc w przestrzeń.

- W istocie. Ale to była lekcja geometrii, nie arytmetyki.

Euklides na nic się nie przyda w spiżarni.

- Mleko się od niego kwasi.

Herr Poppel zaśmiał się uprzejmie, rad, że tak miło mu się rozmawia ze znamienitym bratem ukochanej.

- Emilie jest wybranką losu - dodał. - Bez wątpienia znalazła swoje prawdziwe powołanie.

W głębi duszy Kirsch w to wątpił. Miał wrażenie, że Emilie zawsze pragnęła być wirtuozką, ukończyć którąś z wielkich szkół w Berlinie czy Dreźnie i objeżdżać świat z koncertami - co pewnie by jej się udało, gdyby nie wojna.

Wieśniacy utworzyli wokół pomnika szerokie półkole; rodzice trzymali dzieci na rękach albo mocno obejmowali je za ramiona, jakby lękali się, co będzie, jeśli zanadto się zbliżą. Poppel nie stał już przy nich. Kirsch wpatrywał się w twarze widzów. Ze względu na siostrę miał nadzieję, że zachował się w miarę sympatycznie. W końcu dojrzał Popplą, który rozmawiał z mężczyzną w brunatnym mundurze. Za nimi z ciężarówki zeskakiwali kolejni żołnierze SA.

- A co oni tu robią?

- To orkiestra - odparła Emilie. - Tylko oni zgodzili się zagrać bez zapłaty.

Obok pomnika pojawił się emerytowany generał broni w paradnym mundurze, ściskając dłonie miejscowych notabli oraz członków komitetu nadzorującego. Gdy kościelne dzwony wybiły dwunastą, przy akompaniamencie

umiarkowanych oklasków odsłonięto granitową płytę. Naga, z gruba ciosana masywna bryła zupełnie nie pasowała do schludnych domów i wiejskich zabudowań. O kamień oparty był jeden jedyny duży wieniec. Generał wygłosił krótkie przemówienie na temat obowiązku upamiętniania poległych. Jego głos ginał w porywach wiatru. Wojskowy stwierdził, że wznoszenie takich pomników, choć haniebnie późne, odgrywa zasadniczą rolę w przywracaniu godności narodowej, co obecnie ma miejsce w całych Niemczech. Na te słowa brunatni zaklaskali, a za nimi część zgromadzonych. Potem generał odczytał listę czternastu poległych bohaterów Reinsdorfu, łącznie z ich stopniem oraz nazwą i numerem pułku. Niektórzy z obecnych wyjęli chusteczki. Małe dziecko zapłakało w ramionach matki, bo dojrzało człapiącą przez drogę kaczkę i zapragnęło jej dotknąć. Kiedy orkiestra dęta zagrała „Ich hatt' einen Kameraden”, robiono zdjęcia dla miejscowej prasy.

- Myślałem, że nie zebraliśmy dość pieniędzy - rzekł Kirsch.

- Nie sądziłem, że wystarczy.

- Nie wystarczyłoby - odparła Emilie - bez wsparcia Almy.

- O czym ty mówisz?

Emilie rzuciła mu gniewne spojrzenie i przyłożywszy palec do ust, dała znak, by przysunął się bliżej.

- Jej ojciec dołożył resztę - wyjaśniła. - W zeszłym tygodniu.

Kirsch zachwiał się na nogach. Postanowił nikomu nie mówić o zerwaniu zaręczyn, zanim nie porozmawia z Alną. Dwukrotnie telefonował do domu w Oranienburgu, zostawiając wiadomość, lecz Alma nie oddzwoniła. Zapewne czuje się urażona, a może odebrała jego list jako zniewagę. Albo w ogóle nie wierzy w jego chorobę. Choć sam to napisał, i jemu takie wyjaśnienie wydawało się niewiarygodne. Nadal zamierzał ją odwiedzić i wszystko jej opowiedzieć: że dzięki zerwaniu zaręczyn uniknie nieszczęścia. Nie dziwota, że Alma nie chce się zgodzić na spotkanie, które ma jedynie uspokoić jego sumienie, a jej przynieść dalsze upokorzenie. Kirsch musi po prostu pojechać do Oranienburga,

stawić się u jej drzwi i zobaczyć, co będzie dalej.

- Jesteś pewna, Emilie? Jesteś pewna, że to ojciec Almy?

Emilie przytaknęła.

- Pięćset marek. Kto inny mógłby je wpłacić?

- Nic mi nie powiedziała.

- Oczywiście, że nie, Martinie. Po co miałaby ci mówić, skoro doskonale wiedziała, że się dowiesz?

A więc taka była reakcja Almy: dobroczynność, litość, łaskawość. Nie widziała powodu, by jego rodzina cierpiała tylko dlatego, że on jest czarną owcą. Ale to wydawało się zbyt skomplikowane jak na Almę, zbyt wyrachowane. Gdy tak stał, wpatrując się w pomnik, nagle naszała go myśl, że Alma po prostu nie przyjęła do wiadomości tego, co jej napisał. Uznała, że coś mu strzeliło do głowy z powodu przepracowania, a i stałe obcowanie z umysłowo chorymi też się mogło do tego przyczynić. Siedziała w domu, czekając na kolejny list od niego, w którym wycofa się ze słów wyrażonych w pierwszym. Tymczasem wszystko pozostanie po staremu.

Emilie potrząsała głową.

- Wiesz, Martinie, czasami wydaje mi się, że niezbyt dobrze znasz swoją narzeczoną.

Komitet nadzorujący zorganizował poczęstunek w dawnym budynku szkolnym. Podano kanapki, sałatkę ziemniaczaną, piwo dla panów i poncz dla pań. Orkiestra na dworze grała marsze.

Generał potrząsnął jeszcze paroma dłońmi i wyszedł po dziesięciu minutach, ale atmosfera ogólnego zadowolenia utrzymywała się. Czternastu poległych bohaterów Reinsdorfu przynajmniej umieściło ich wioskę na mapie, a nowoczesny styl pomnika czynił większe wrażenie niż wapienne obeliski i krzyże, które wzniesiono w okolicy. Kirsch wziął sobie piwo i przechadzał się po sali, kiwając głową starym kolegom z dzieciństwa. Od czasu do czasu przyjmował gratulacje z okazji małżeństwa, które miał niebawem zawrzeć.



Uwagę skupiała na sobie jego matka, gdyż powszechnie było wiadomo, że to ona doprowadziła całe przedsięwzięcie do pomyślnego końca. Otaczali ją co wybitniejsi członkowie społeczności, a rozmowę przerywały prośby, by uśmiechnęła się do obiektywu. W pewnym momencie ujęła męża za rękę i ustawiła go do zdjęcia, pozując z nim ramię w ramię. Od dawna Kirsch nie widział ich tak spokojnych i szczęśliwych we własnym towarzystwie, a matki tak pogodnej. Pomnik połączył miejscowych. Przypomniwał im, że wioska jest rodziną. Cierpieli jako jedność i upamiętniają swych poległych jako jedność. A teraz, widząc nazwiska czternastu bohaterów wycięte w kamieniu, mieli wrażenie, jakby zginęli tu, oddając krew za te mury, domy, za tę ziemię, i zginęli śmiercią zwycięską, ponieważ te mury, domy i ziemia - wszystko się ostało.

Po jakimś czasie orkiestra przestała grać i muzycy weszli do środka. Kirsch obojętnie minął ich w drzwiach, choć odstąpili, żeby go przepuścić, szczerząc zęby w uśmiechu niczym psy dopraszające się pochwały za udane sztuczki. Spojrzał na zegarek - jeszcze godzina i będzie musiał ruszyć na stację. Ledwo zapalił papierosa, zorientował się, że matka wyszła za nim.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Wiem, że masz swój udział w zdobyciu dla nas tych pieniędzy.

- Nie, absolutnie...

- Niełatwo było ci prosić Almę o pośrednictwo. Jesteś taki dumny, a nikt nie lubi zebrać.

- Mylisz się. O niczym nie miałem pojęcia.

Nie słuchała.

- Prawdę mówiąc, nie byłam pewna, czy pochwalasz ten pomysł. Wiem, co sądzisz o wojnie... - Pobiegnęła spojrzeniem do pomnika. Z odległości stu metrów przywodził Kirschowi na myśl asteroidę, która właśnie spadła i zaryła się w ziemię.

- Oczywiście, że pochwalam - rzekł.

- Porozmawiamy przy kolacji. - Matka ścisnęła go za ramię i odwróciła się do budynku szkoły. - Dostałam taki miły list od Almy. Zostajesz, prawda?

Tego wieczoru po kolacji Kirsch zakradł się na najwyższe piętro. Był pewien, że Max będzie na niego czekał, by dać upust swemu niesmakowi wobec wydarzeń dnia: zakłamanego marnowania dobrego kamienia, nieprawdopodobnego bełkotu o honorze narodowym. Kirsch pragnął go zapewnić, że absolutnie się z nim zgadza. Lecz gdy wszedł do pokoju Maksa, stwierdził, że w nim też zaszła zmiana. Łóżko przestawiono pod przeciwległą ścianę, dawną narzutę zastąpiła kapa w kolorach pastelowego błękitu, zieleni i różu. Zamiast starych, spłowiałych aksamitnych zasłon wisiały teraz nowe, z jaskrawej bawełny w drukowane zygzaki. Na podłodze leżał świeżo kupiony dywan, a wiekową komodę, do której złożono tyle rzeczy Maksa, przesunięto w róg.

Cały blat szczelnie pokrywały szczotki do włosów, spinki, grzebienie, nożyczki do paznokci oraz srebrne puzderko, z którego wystawał puszek do pudru.

A więc tu spała teraz Emilie. Po trzynastu latach wyprowadziła się wreszcie z pakamery. Na komodzie stały jej rzeczy, jej ubrania wisiały na drzwiach. Zajęła pokój dla siebie, wykorzystując wszystko na własne potrzeby, wedle swego gustu.

Nad łóżkiem zawisała półeczka na książki. Były to głównie powieści i zbiory poezji. Na grzbietach widniały leśne motywy tłoczone złotem: Goethe i Schiller, Balzac i kilku pisarzy, o których Kirsch nigdy nie słyszał.

Co się stało z książkami Maksa, jego ubraniami, zabawkami z dzieciństwa? Czy wyniesiono je na strych? Czy też sprzedano, by wspomóc fundusz budowy pomnika? Najprawdopodobniej to ostatnie, takie bowiem posunięcie wydawało się stosowne. Wątpił, by przyniosło ono wiele pieniędzy. Ubrania były stare, zabawki przeważnie popsute, książki mało poczytne. Większość ludzi kupiła je zapewne z sympatii. Niebawem znowu je wyrzucą,

ponieważ nie są do nich przywiązani uczuciowo. Wystawią je na śmietnik albo cisną do pieca na odpadki. I nikt nie odczuje ich braku.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Nowe stanowisko Kirscha zostało potwierdzone listownie.

Przejął pacjentów Heinricha Mehringa. Wypakował dokumenty złożone w pudle w kącie gabinetu i przejrzał je, jeden po drugim.

Zapisy leczenia za pomocą śpiączki insulinowej znalazł w specjalnej tece opatrzonej własnym zamkiem, który wyłamał, nigdzie bowiem nie znalazł śladu klucza. Mehring był dokładny.

Każdy etap leczenia starannie odnotowano: dozy, pory podania, reakcje, wszystko zgodnie z uprzednio ustalonym harmonogramem. Podobnie badano pacjentów, pytania i bodźce zostały znormalizowane dla celów porównawczych. Zgodnie z kryteriami Mehringa zachowanie pacjentów w miarę leczenia stawało się stosowniejsze. Pretensje paranoidalne i urojeniowe były coraz mniej wyraźne. W niektórych przypadkach pacjenci zaprzeczali, że kiedykolwiek je wysuwali. Niemal wszyscy chętniej wykonywali powierzone im zadania, zarówno intelektualne, jak i fizyczne, a także wyrażali chęć powrotu do społeczeństwa..Pacjenci, którzy ponownie pragną zadowolić innych, dają najlepszą nadzieję na powrót do pożytecznej egzystencji w przyszłości”

- napisał Mehring po pewnej szczególnie owocnej sesji.

Kirsch odnalazł kartę choroby sierżanta Stoehra. O incydencie z 30 Października, w którym odniosła obrażenia siostra Ritter, Mehring napisał:”Sesja zakończona przed dopełnieniem procedur. Patrz załącznik”. Ale Kirsch nie znalazł żadnego załącznika.

Wrzucił całą teczkę do pieca. Sam się sobie dziwił, w końcu dane to wyniki badań, lecz gdy to zrobił, poczuł niezwykle zadowolenie. Następnego dnia kazał usunąć z laboratoriów Mehringa całe wyposażenie: łóżka, kroplówki,

zapasy roztworu glukozy.

Samą insulinę przesłał do głównego szpitala z notką, by sprawdzono, czy nie jest zanieczyszczona.

Pacjenci natomiast zostali. Nieuleczalnych schizofreników, zwłaszcza uznanych za niebezpiecznych dla otoczenia bądź przejawiających skłonności samobójcze, zazwyczaj przenoszono do zakładów dla umysłowo chorych, gdzie byli stale pod działaniem środków uspokajających. Aby zatrzymać ich w klinice, należało podjąć jakąś formę leczenia dającą szansę na wyzdrowienie. Notatki Mehringa skupiały się jednak na objawach odbiegających od normy, zebranych dla ustalenia nierozpoznanej jeszcze choroby. Nie obchodziły go historie jego podopiecznych. Zupełnie pomijał fakt, że przebyte doświadczenia mogły doprowadzić pacjentów do skrajnych czy kłopotliwych zachowań. Kirsch nie wiedział, od czego zacząć.

Reszta personelu nie pomagała mu. Może z powodu pozycji Kirscha podwładni trzymali się na odległość, szybko wypełniając polecenia, lecz nie wykazując inicjatywy. Czuł się, jakby znowu był w wojsku, w tamtejszej hierarchii służbowej. Robił obchód oddziałów, warsztatów i świetlic, usiłując znaleźć czas dla każdego pacjenta, słuchać i zapisywać, ale było ich zbyt wielu, musiałby wysłuchać zbyt licznych opowieści. Choć prześladowały go sugestywne sny i ataki gorączki, pracował dłużej niż zazwyczaj bez żadnych widocznych rezultatów. Żałował, że klinika nie znajduje się w Szwajcarii, w jakiejś ślicznej jak z obrazka dolinie, gdzie przynajmniej mógłby przepisać czyste powietrze i ćwiczenia fizyczne, jak w tych prywatnych zakładach, które niegdyś uznawał za szopkę. Obecnie klinika zapewniała jedynie schronienie i bezpieczeństwo - a i to w coraz mniejszym stopniu.

Wypisywał pacjentów, gdy tylko było to możliwe, bez słowa sprzeciwu ze strony kolegów. Zwolnienia szeregowych pracowników uznano za cięcie kosztów. Było powszechnie wiadomo, że od kliniki, jak i od wielu innych zakładów tego rodzaju wymaga się zmniejszenia wydatków. Redukcje personelu

zaczęły się już w szpitalu głównym.

Część rodzin była rada, że nie grozi im już niebezpieczeństwo ze strony dotkniętych chorobą bliskich oraz że najlepszym lekarstwem jest dla nich czułość i troska. Większość wcale nie była zadowolona. Często wprost odmawiali zabrania krewnych. Niektórzy pacjenci w ogóle nie mieli rodziny, a przynajmniej tak bliskiej, by zapewnić im dach nad głową. W tych wypadkach nadzieje na znalezienie opieki były jeszcze mniejsze niż na wyzdrowienie. Nigdy przedtem niedostatek współczucia dla umysłowo chorych nie uderzył Kirscha tak mocno.

Codziennie zaglądał do Mariji, choć godziny odwiedzin były sztywne i ograniczone, a otoczenie nie zachęcało do prywatnych rozmów. Po tygodniu doktor Brenner wypisał ją. Potwierdził, że objawy fizyczne w końcu zniknęły, a stan umysłu wydaje się stabilny. Jedynie amnezja pozostała. Za wstawiennictwem Kirscha ponownie przyjęto ją do kliniki.

Tego samego dnia Kirsch otrzymał kolejne pismo od doktora Fischera, w którym gratulował mu awansu i prosił o informacje: Z przyjemnością zawiadamiam, że komisarz do spraw zdrowia i służb medycznych w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy przyjął zalecenie Instytutu Cesarza Wilhelma względem ponownego określenia pierwszoplanowych celów psychiatrii. Wszystkie zakłady psychiatryczne otrzymają nakaz sporządzenia list pacjentów, dawnych i obecnych, którzy wykazują bądź wykazywali w przeszłości objawy nieuleczalnych chorób umysłowych albo neurologicznych. Zgodnie z zasadą zapobiegawczą należy je odtąd uważać za wrodzone, a zatem w jakimś stopniu dziedziczne.

Listy pacjentów powinny uwzględniać chorych na wszelką formę:

- schizofrenii - zaburzeń maniakalnodepresyjnych - epilepsji - dziedzicznej ślepoty i głuchoty - poważnych zniekształceń ciała - dziedzicznego alkoholizmu - wrodzonego upośledzenia umysłowego.

Takie informacje umożliwią państwu ochronę całej ludności, a także

przyszłych pokoleń przed wyniszczeniem i cierpieniami wiążącymi się z chorobami dziedzicznymi.

Jako lekarz pracujący w jednej z najbardziej szanowanych niemieckich placówek leczniczych winien Pan niezwłocznie przystąpić do tego dzieła. Szczera chęć wsparcia tej inicjatywy da przykład innym i zapewni Panu dalsze zaufanie i wsparcie władz.

Frau Rosenberg oznajmiła mu, że dyrektor rozmawia przez telefon. Kirsch oświadczył, że zaczeka. Przez dziesięć minut siedział bez słowa w sekretariacie, podczas gdy pani Rosenberg stuknęła niepewnie w klawisze maszyny do pisania, najwyraźniej unikając jego wzroku. Kiedy wreszcie dopuszczono go przed oblicze dyrektora, ujrzał, że starszy pan stoi przy oknie, zmagając się z zasuwką. Na popielniczce tlił się porzucony papieros.

Kirscha uderzyło coś niezwykłego w wyglądzie przełożonego, choć sam nie wiedział, co to takiego.

- Przeklęty przeciąg - wymamrotał Bonhoeffer. - Proszę usiąść, doktorze.

Kirsch nadal stał. Wręczył Bonhoefferowi list. Dyrektor spojrzał na niego z powątpiewaniem, po czym wyjął okulary z górnej kieszonki marynarki. Wtedy Kirsch uzmysłowił sobie, co go zaniepokoiło - Bonhoeffer nie miał na sobie białego kitla. Rozejrzał się po pokoju, usiłując go umiejscowić. Ale jedyny biały kitel w tym pomieszczeniu on miał na sobie.

Bonhoeffer oddał mu list.

- Wiem o żądaniach komisji. Niemniej jestem wdzięczny, że informuje mnie pan na bieżąco.

- Domagają się listy. Pacjentów dawnych i obecnych.

- Najwyraźniej.

- Po co? Po co to wszystko?

Bonhoeffer spojrzał na Kirscha znad okularów.

- Niech pan zapyta tego swojego doktora Fischera.

- Doktora Fischera? Prawie go nie znam.

N a czole Bonhoeffera pogłębiły się zmarszczki.

- To dziwne. Odniosłem wrażenie, że on zna pana całkiem dobrze. I nie tylko ze słyszenia.

Przesunął list z powrotem po blacie biurka. Kirsch schował go niechętnie. Jego znajomość z Fischerem miała charakter zbyt skomplikowany, by wyjaśnić ją w paru słowach.

- Po co to? - zapytał ponownie.

Dyrektor przyglądał mu się bacznie.

- Nazwiska z list zostaną przekazane do odpowiednich placówek. A kiedy, nie wiem.

- Do jakich placówek?

- Zapewne do szpitali chirurgicznych. Bez wątpienia psychiatria w naszym rozumieniu zostanie skreślona jako dziedzina medycyny. - Bonhoeffer usiadł przy biurku i zaczął przekładać papiery. - Naturalnie przymusowa sterylizacja będzie wymagała zmiany prawa, podobnie jak eutanazja, ale sądzę, że zostanie wprowadzona niebawem. Oczywiście będą musieli znaleźć chirurgów. - Sięgnął po papierosa, przyjrzał się koniuszkowi, po czym rozgniół go na popielniczce.

- Choć to raczej nie będzie żadną przeszkodą. Nasi koledzy z głównego nurtu medycyny nigdy nie wierzyli w wartość psychiatrii.

- Nie zamierza pan iść im na rękę? - Kirsch oparł dłonie na biurku. Bonhoeffer wpatrzył się w nie jakby ze strachem, że zaraz zacisną mu się na gardle. - Nie da im pan tych list?

- Naturalnie podporządkuję się prawu.

- Prawo mnie nie interesuje.

Bonhoeffer się zaśmiał.

- Niech pan uważa. Bo prawo zainteresuje się panem.

Kirsch przysięgłby, że budynek kołysze mu się pod stopanu.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał Bonhoeffer. - Taki pan blady. I wygląda

pan na zmęczonego.

- Nie pójdę na to.

- Może pan jednak usiądzie?

- Lepiej będzie zamknąć klinikę. Opróżnić ją, jeśli coś takiego ma spotkać naszych pacjentów.

- Opróżnić klinikę? - Bonhoeffer przechylił głowę na bok.

- Czyż pan już tego nie zaczął? Czyż od początku nie było to pańskim zamiarem?

- Moim zamiarem? Moim zamiarem... zawsze było...

Kirsch nie chciał usiąść, lecz nogi się pod nim ugięły. Czuł ogień na klatce piersiowej, jakby skóra kurczyła mu się na żebrach, naciągając się i rozdzierając. Bonhoeffer zaproponował mu szklankę wody, lecz Kirsch odmówił.

- Dyrektorze, nie może pan oddać tych akt. To nie do pomyślenia.

- Przeciwnie. Zorientuje się pan, że sprawę dokładnie przemyślano. Dziedziczne zdrowie rasy europejskiej. Chyba pan czegoś nie doczytał.

- Nie mogą nas zmusić do posłuszeństwa.

- Na drodze prawnej jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu.

- Więc musimy wykorzystać ten czas.

Bonhoeffer odchylił się na krzesło. Trudno mu było rozszyfrować Kirscha. Z początku był oddany pracy i dociekliwy, stopniowo jednak zaczął lekceważyć autorytety i uznane procedury - takie przynajmniej zdanie o nim wyrobił sobie Bonhoeffer.

Z czasem doszło u niego do całkowitego rozpadu moralnego.

Arogancja Kirscha podsycala jego ambicję i bezwzględność.

Heinrich Mehring musiał uciekać, gdyż grożono śmiercią jemu i jego żonie. Powszechnie twierdzono, że to sprawka potężnych przyjaciół Kirscha.

Teraz Kirsch chciał się zachować godnie, nie bacząc na konsekwencje. Czy zmienił zdanie, czy też Bonhoeffer całkiem błędnie go oceniał?



- Nie bardzo rozumiem - rzekł. - Jak wykorzystać czas?

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Nikt w klinice się nie zdziwił, gdy nowy zastępca dyrektora wziął na siebie całą odpowiedzialność za sporządzenie listy. Kiedy personel psychiatryczny otrzymał notatkę Kirscha, w której polecał przejrzanie akt, wielu sądziło, że awansowano go właśnie po to, by bez szemrania spełnił żądanie ministerstwa. Notatka nakazywała niezwłoczne działanie. Wszelkie dokumenty odnoszące się do dawnych czy obecnych pacjentów, którzy spełniali kryteria określone przez komisarza do spraw zdrowia, mają zostać przekazane jak najszybciej. W razie niepewnej diagnozy - zwłaszcza przy podejrzeniu schizofrenii bądź zaburzenia maniakalnodepresyjnego - również trzeba zgłosić odpowiednią teczkę. Nie należy też pomijać dokumentów dotyczących zmarłych. Ewentualni żyjący krewni - bracia, siostry, dzieci i wnuki - mogliby stać się rozsadnikami upośledzenia umysłowego i szaleństwa, zagrażając przyszłym pokoleniom.

Kirsch mniej konkretnie wypowiadał się na temat losu samych pacjentów. Podkreślał tylko konieczność zebrania i przekazania danych, danych, które komisarz do spraw zdrowia i służb medycznych wykorzysta przy wytyczaniu sposobów postępowania w przyszłości. Niemniej miał świadomość, że podniosą się głosy sprzeciwu. Choroba umysłowa to przekleństwo, które rodziny zawsze starały się ukryć. Piętnowanie wrodzonego obłądu było odruchem głęboko zakorzenionym. Psychiatrycy przez lata zabiegali o zmianę tej postawy, o powierzanie im tajemnic rodzinnych, tak jak powierza się je lekarzom. Przekazanie władzom tajnych informacji - nazwisk, adresów i historii choroby - zniszczyłoby to zaufanie na zawsze.

Tuż po wysłaniu polecenia służbowego Kirsch zabrał się do pracy na szczycie budynku, na cuchnącym stęchlizną strychu, gdzie najstarsze akta

trzymano w popleśniałych tekturowych pudłach i w pakietach owiązanych tasiemką. Wiele liczyło niemal sto lat i pochodziło jeszcze sprzed pierwszej klasyfikacji chorób umysłowych dokonanej przez Emila Kraepelina. Kirsch przeszukał całość, wyciągając wszystko, co w oczach ministerstwa mogłoby świadczyć o chorobie psychicznej. Okazało się to trudnym zadaniem. Zaburzenia maniakalne, zniechęcenie czy alkoholizm występowały w większości przypadków, podejrzenie epilepsji w setkach innych. By mieć pewność, że nie przeoczył żadnego przypadku choroby dziedzicznej, musiał zabrać wszystkie dokumenty.

W ciągu dwudziestu czterech godzin zaczęły napływać pierwsze akta od kolegów Kirscha. Niektórzy dostarczali je osobiście, inni wkładali do jego przegródki przed świetlicą z dołączonymi notatkami. "Oto przypadki z ostatnich trzech lat. Dalsze zbadam niezwłocznie". Pod koniec drugiego dnia ich stos urósł na wysokość ponad pół metra. W sumie żaden z kolegów nie zaprotestował. Nikt nie poprosił o dokładniejsze wyjaśnienia ani nie zapytał nawet, kiedy otrzyma dokumenty z powrotem. Dane napływały bez zastrzeżeń i ograniczeń. W notatkach przyklejonych bądź przypiętych do akt podawano kolejne informacje: "Pielęgniarki opiekujące się herr Góschlem kilkakrotnie znalazły przy nim alkohol. Co więcej, donoszę, że jego ojciec ma cerę pijaka".

Inni byli jeszcze bardziej skrupulatni: "Technicznie rzecz biorąc, pod względem rozwoju intelektualnego pacjent ten przewyższa idiotę. Ale wiem z pewnego źródła, że przynajmniej jedno z jego rodzeństwa jest mongoidalne".

Pod koniec tygodnia Kirsch zgromadził wszystkie dane potrzebne do sporządzenia całościowej listy. Wątpił, czy kiedykolwiek ułożono podobny spis. W zestawieniu z metrykami urodzenia i świadectwami ślubu z urzędów stanu cywilnego można było nie tylko śledzić postęp wcześniej odnotowanych chorób psychicznych, lecz przewidzieć też ich występowanie w przyszłości.

Aż kusilo, by się wtrącić. Zapobieganie wszak jest lepsze niż leczenie, zwłaszcza że na choroby te nie ma lekarstwa. Gdyby zakłady psychiatryczne w

całym kraju były równie drobiazgowo, kiedyś można by wrodzone choroby umysłowe całkowicie wyeliminować, jak ptaka dodo czy niedźwiedzie, które niegdyś włóczyły się po wielkich niemieckich kniejach.

Tego dnia po kolacji Kirsch siedział samotnie w swoim gabinecie, czekając, aż w klinice ucichnie. Pogoda temu nie sprzyjała.

Porywiste podmuchy wiatru uderzały w okna i z trzaskiem waliły o dach. Deszcz lał z przerwami, krótko i gwałtownie. Burze zawsze wytrącały pacjentów z równowagi. Wielu wpadało w takie przerażenie, że trzeba im było podawać środki uspokajające.

W innych dzikość żywiołów wyzwała dzikie porywy.

Skrzeczeli, bełkotali i tańczyli. Burza była mistrzem, przejściowym bóstwem, któremu oddawali cześć. Niekiedy pogoda pobudzała do przemocy i samookaleczenia. Kirsch, wezwany do paru pacjentów, którzy zachowywali się niespokojnie, polecił, by światło pozostawić zapalone godzinę dłużej.

Koło północy w sypialniach wreszcie zapanowała cisza. Starając się robić jak najmniej hałasu, Kirsch zszedł do pomieszczeń kuchennych i przyciągnął stamtąd wózek. Wyładował go aktami i zatargał tylnymi schodami do piwnicy. Przy słabym świetle elektrycznym zaczął rozpalać pod kotłem, porzewiając łopata wrzucając węgiel do paleniska. Była to brudna robota. Węgiel długo nie chciał się rozżarzyć, rozchodziły się tylko kłęby czarnego dymu, który buchał Kirschowi w twarz i osadzał smugi sadzy na okularach. Dziewięć razy kursował z dołu na szczyt budynku, by przydźwigać stare dokumenty. Nie mógł wziąć zbyt wiele na raz.

Wózek stawał się ciężki i trudny do manewrowania, jego żelazne kółka łomotały o stopnie schodów. Hałas niósł się przez budynek niczym wystrzał artyleryjski. Kirsch mógł przystąpić do dzieła dopiero po godzinie zmagania.

Na pierwszy ogień poszły jego własne dokumenty. Pomieszały się podczas przenosin z dawnego gabinetu. Parę szkiców Mariji znalazł między listami od Eugena Fischera. Inne opisy przypadków były porozdzielane i

rozproszone. Ale to nieważne.

Zamierzał spalić wszystko. Z pobytom w Charité, obojętne jak długim i z jaką diagnozą, teraz należało się ukrywać, a nic lepiej temu nie pomoże niż wrzucenie akt do pieca. Z dymem miały pójść też wyniki jego badań łącznie z danymi, które zebrał i przeanalizował do artykułu w "Rocznikach psychiatrycznych".

- Zapewne tego nie pochwalasz - odezwał się na głos do cienia migoczącego z tyłu na ścianie. Cień nie odpowiedział, lecz patrząc, jak się porusza po poczeriałym od sadzy murze, Kirsch odniósł wrażenie, że potrząsa głową.

Gdy po wszelkich świadectwach jego działalności w psychiatrii została kupka popiołu, zaczął wrzucać pozostałe dokumenty, teczka po teczce, plik za plikiem. Zwłaszcza stare papiery zajmowały się z trudem. Syczały i podskakiwały niczym gotujące się mięso. Palenisko zatykało się od popiołów, więc Kirsch musiał bezustannie je rozgrzebywać, by ogień nie wygasł. Pracował długo, aż pot strużkami pociekł mu po czole. Ostatnią rzeczą, którą cisnął w ogień, był jego biały kitel. Nie będzie go już potrzebował. Jego rezygnacja na piśmie spoczywała w przegródce doktora Bonhoeffera, czekając, aż zjawi się rano.

W toalecie doprowadził się w miarę możliwości do porządku i ruszył do skrzydła kobiecego. Z końca korytarza dobiegało chrapanie dyżurnej pielęgniarki. Druga gdzieś zniknęła. Kirsch przystanął przed drzwiami pokoju Mariji, zapukał delikatnie, po czym wszedł do środka.

Siedziała w nogach łóżka przy zgaszonym świetle, wpatrując się w noc. Miała buty na nogach, stare palto Maksa narzuciła na ramiona. Szkicownik spoczywał na podolku.

- Jesteś gotowa? - zapytał.

Wyszli przez pomieszczenia kuchenne. Była już prawie piąta, niebieski poblask w bruzdach odległych chmur zwiastował rychłe nadejście świtu.

Taksówka czekała. Jechali w milczeniu przez puste, umyte deszczem ulice. Kirsch czuł pustkę i dziwne uniesienie, oba te uczucia oddzielnie, a jednak proporcjonalnie względem siebie, niczym przedmiot i jego odbicie. Po raz pierwszy od lat nie był już psychiatrą, medykiem, a Marija przestała być jego pacjentką, Siedziała obok, jej twarz rysowała się w rytm mijanych świateł ulicznych. Ponownie uderzyło go, jak mało o niej wie. Każda odpowiedź podsuwała następne pytania, a niezależnie od tego, na ile pytań odpowiedział, jądro Mariji, jej istota pozostawały poza jego zasięgiem. W tej nieuchwytności był rodzaj mocy. Zorientował się, jak bardzo go ona urzeka, prowokuje, by zgłębił granice swego pojmowania, dojrzał nieskończoność, której nigdy nie pozna. Gdyby nie spotkał dziewczyny od Einsteina, co by się z nim stało? Często zadawał sobie to pytanie. Ale nadal nie znał odpowiedzi.

\*

Otworzyli sobie drzwi do domu herr Mettlera i weszli na górę, nie zapalając światła. Na podeście drugiego piętra przez dziurę w dachu woda skapywała do metalowego wiadra. W pokoju czuło się wilgoć. Zbyt długo stał niezamieszkanym i nieopalanym. Kirsch ukląkł i spróbował rozniecić ogień. Pod węglem leżały skrawki starych gazet, lecz tak jak dawne akta w Charité, nie chciały się zająć.

- Zaraz się tu ogrzeje - powiedział, zapalając trzecią zapalkę.

Marija usiadła na łóżku, obrzucając wzrokiem pokój, nijakie meble i tych parę rzeczy: porcelanową lalkę, szczotkę do włosów, ręczne lustro, buty przy drzwiach - które rzekomo należały do niej. Za chwilę jej spojrzenie padnie na miejsce, w którym się obejmowali i całowali z Kirschem, tuż przy oknie, gdzie goła podłoga trzeszczała. Wysiłkiem woli stał odwrócony do tego miejsca plecami, choć niezmiernie go korciło, by odświeżyć wspomnienie tamtej chwili widokiem paru przypadkowych szczegółów: wzoru na zasłonach, wysokości sufitu, okuć na oknie.

W pierwszej chwili oboje mieli wrażenie, że zaczynają od nowa, że

wbrew wszelkim przeciwnościom dostali drugą szansę. Teraz pamięć tamtego wydarzenia ciążyła im, ganiąc za nierealistyczne marzenia.

Na kominku jęzor ognia przesunął się po węglach. Przed chwilą Kirschowi było zimno, teraz jego skóra płonęła.

Marija wsunęła ręce pod uda.

- Czy skończyłam już z kliniką? Wrócę tam jeszcze?

- Nie. O tym nie ma mowy. Możesz ją uważać za drugi dom, ale nie jest już tam bezpiecznie. Ten kraj nie jest bezpieczny.

Za parę dni Marija otrzyma nowy paszport i adres. Kirsch wytłumaczył już sytuację w ambasadzie jugosłowiańskiej. Zgodzili się odszukać dokumenty Mariji w Belgradzie i powiadomić Kirscha o najważniejszych sprawach odwrotną pocztą. Da jej pieniądze na powrót do domu, gdziekolwiek by on był. Tam odnajdzie sąsiadów, kolegów, przyjaciół. Powiedzą jej wszystko, co powinna wiedzieć.

- Przede wszystkim musisz wyjechać - rzekł Kirsch. - Im szybciej, tym lepiej.

- A ty?

- Ja złożyłem rezygnację. Nic pożytecznego tam nie działałem.

- I co teraz z tobą będzie?

Kirsch musiał się oprzeć o gzyms kominka. Zawroty głowy zazwyczaj zdarzały mu się dopiero w środku dnia. Nauczył się je przewidywać i ustawiać się tak, by nikt ich nie zauważył. Tym razem jednak atak go zaskoczył.

- Może rozpocznę gdzieś prywatną praktykę. Tak przeważnie postępują starzy lekarze wojskowi - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

- Gdzieś? Nie tutaj?

- Z Berlinem też muszę się pożegnać.

Chciałby jej o tym wszystkim opowiedzieć: o liście z ministerstwa, o artykule, który napisał do "Roczników psychiatrycznych", o swym bracie Maksie i pomniku ku czci poległych na wojnie, a przede wszystkim o doktorze

Schadzie i próbie na kiłę układu nerwowego, która wypadła pozytywnie. Kusiło go, by się z nią podzielić tym wszystkim choćby po to, by zrozumiała, dlaczego nie może z nią pojechać. W jej życiu, jakkolwiek się ono potoczy, nie ma już miejsca dla niego. Ale też nie może obciążać Mariji zbyt wielkim brzemieniem własnych spraw. Na pewno już nic szczególnego do niego nie czuje. Jak dobrze pójdzie, będzie go uważała za zimnego mózgowca, tak skupionego na funkcjach i działaniach umysłu, że stracił wszelką zdolność odczuwania. To wyjście lepsze, prostsze, sensowniejsze.

- Muszę zmienić otoczenie - oznajmił. - Dwanaście lat w jednym miejscu to za długo. - Poklepał marynarkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni po portfel. Zaczynało mu się kręcić w głowie. To wszystko przez ten dym i bezsenną noc. - Weź trochę pieniędzy na najpilniejsze potrzeby. Sklepy otwierają za parę godzin. Wszystko dostaniesz na Grenadierstasse. Herr Mettler powie ci, jak tam trafić. - Wyciągnął banknoty. Czuł się głupio, jakby robił coś wstrętnego. - Chyba już czas na mnie.

- Położył pieniądze na komodzie. - Wrócę, gdy przyjdzie twój paszport.

Trudno mu było iść normalnie, z podniesioną głową. Kiedy dotarł do drzwi, miał taką mgłę przed oczami, że nie widział klamki. Choć słyszał za sobą głos Mariji, nie rozumiał słów.

Jak tylko wymaca klamkę, wyjdzie na korytarz. Co z oczu, to i z serca. Nie chciał, by zobaczyła, że zatacza się jak pijany.

- Odpocznij - rzekł. Z trudem poruszał szczęką i językiem. - Przed podróżą. To będzie długa podróż.

Przed oczyma miał teraz ciemność, skłębioną ziarnistą plątaninę kwadracików i trójkącików niczym gryzmoły uczniaka. Utrzymałby się na nogach, gdyby mgła choć na chwilę się rozproszyła, gdyby wniesiono odrobinę światła. I wtedy upadł. Instynktownie wyciągnął ręce, by się osłonić, lecz uderzył dłońmi o żelazne ramy. Łóżko. Kiedy się go uchwycił, łóżko również upadło.

Spuściwszy wzrok, dojrzał pod sobą płynącą wodę - na powierzchni lśniącej szerokiej czarnej rzeki poruszały się punkciki światła. Nie był pewien, czy wrzasnął na głos czy w duchu.

Ktoś ujął go za przeguby i wyciągnął na molo. Eduard Einstein.”Może to opowieść kwantowa”. Wtedy Kirsch zorientował się, że śni.

Gdy tak leżał na ziemi, ciężko dysząc, Heinrich Mehring wyjął chusteczkę i starannie wytarł ręce. Chusteczka zrobiła się czarna od popiołu.

- To pański przypadek, doktorze Einstein - powiedział i odwrócił się. Z oddali dobiegał kobiecy płacz.

- Kirsch dowiedział się później, że gorączka trwała trzy dni.

Temperatura podnosiła mu się i opadała z różną intensywnością, powodując rozmaite skutki. Na jawie czuł się zagubiony i oszołomiony, sny za to miał jasne i wyraziste. Wspomnienia stały się niepewne, ulegały ciągłym zmianom. Ludzie, których uważał za zmarłych, pojawiali się przy łóżku, spokojnie wyjaśniając powody jego pomyłki. Widział, jak żywych kładą na wieczny spoczynek i grzebią pod drewnianym krzyżami lub granitowymi nagrobkami. Choć oblewał się potem, wstrząsały nim dreszcze, a głowę przeszywały nieznośne bóle, starał się pamiętać, w jakim miejscu i czasie się znajduje, zachować w umyśle porządek konkretnych rzeczy, w które mógłby uwierzyć, katalog spraw naprawdę rzeczywistych. Trzymał się kurczowo swego poczucia świata zewnętrznego i miejsca, które w nim zajmował, nękany obawą, że jeśli sobie odpuści, utraci je na zawsze.

Marija opiekowała się nim. Przynajmniej tego był pewien.

Prawie zawsze, gdy się budził, była przy nim, siedziała na łóżku, przynosiła jedzenie na tacy albo spała na podłodze przykryta kocem. Nieraz kiedy otwierał oczy, znajdował się z powrotem u frau Schirmann, w otoczeniu swych książek i papierów, ale przestał wierzyć w te wizje głównie ze względu na obecnych w pokoju ludzi, choć oni nie zwracali na niego uwagi. Był wśród nich Eduard Einstein. Grzebał w jego papierach, gorączkowo poszukując listu,



który ukradł swojej matce. Pojawiali się też członkowie rodziny Kirscha, nawet jego starsza siostra Frieda, której nigdy przedtem nie widział w Berlinie. Siedzieli w ciernych kątach pokoju, ojciec za gazetą, niczym żałobnicy czuwający przy trumnie.

We śnie poprosił swego brata Maksa, by sprowadził pułkownika Schada. Znajdowali się z powrotem w klinice, w podziemiach, wśród wyposażenia Mehringa. Ale jakiś czas później pułkownik Schad rzeczywiście się zjawił. Nakazał Mariji, żeby otworzyła okno, bo jest tu zbyt gorąco, a jego głos odbijał się echem jak w ceglany bunkrze. Kirsch chciał mu powiedzieć, że tu nie ma okien. Przebywają wszak w piwnicy. Potem poczuł, że w pokoju zrobiło się chłodniej, i stwierdził, że znalazł się z powrotem u herr Mettlera.

- Nie więcej niż dwadzieścia trzy stopnie. I nie za dużo koców. - Był to zdecydowanie głos Schada, żwawy, lecz łagodny. - Dużo płynów, najlepszy byłby czysty rosół, i aspiryna dwa razy dziennie, by rozcieńczyć krew. Wróć za dwa dni. Och, a to na usta. Stosować co parę godzin.

Po chwili Schad zniknął - Kirsch uznał, że był to kolejny sen.

Albo halucynacja. Trudno rozróżnić. Potem Marija znalazła się obok niego, delikatnie smarując mu popękane usta wazeliną.

Końce palców miała chłodne - jak pamiętał, jej dotyk zawsze był chłodny - i czuł jej oddech na policzku. Oba odczucia z pewnością były prawdziwe, lękał się jednak odwrócić i spojrzeć na nią, by ona też nie zniknęła.

We śnie pojawił mu się Max. Siedząc na brzegu łóżka, przeglądał egzemplarz książki Einsteina, który Marija przyniosła ze sobą z kliniki.

- Chyba tego nie przeczytała - odezwał się Kirsch.

Max nie uniósł wzroku.

- Nie bądź głupi - rzekł. - Ona tego nie potrzebuje. Coś ty sobie myślał?

Kirsch chciał zapytać, o co mu właściwie chodzi, lecz Max już zniknął, zabierając ze sobą książkę.

Ostatni raz widział Mariję przynajmniej dzień później. Stała przy oknie.

Wilgoć okryła szkło, wionąc chłodem. Na środku pokoju stał stary kufer podróżny. Wieko było otwarte.

- Marijo? - wyskrzecztał.

Nie uniosła wzroku. Przez szczelinę w zasłonach wyglądała na ulicę w dole.

Odchrząknął.

- Co się stało?

Podeszła do łóżka. Na stole stygła miska zupy.

- Nic. Musisz zjeść.

- Na co patrzysz?

Wzięła talerz i łyżkę.

- Herr Mettler powiada, że to po prostu kolejny dziennikarz.

- Dziennikarz? A jak wygląda?

- Nijak.

Nie chciała o tym rozmawiać, póki nie skończy jeść. Potem musiał opróżnić pęcherz, a potem znowu zachciało mu się spać.

- Wychodzę na chwilę - rzekła Marija, przykrywając go.

- Po sprawunki. Zaraz wracam.

O ile Kirsch się orientował, nigdy już nie wróciła.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY**

Zgodnie z obietnicą pułkownik Schad ponownie zjawiał się na Wórtherstrasse. Marija nie wracała już od paru godzin. Nie miał pojęcia, gdzie się podziewa.

- Może poszła poszukać nowego pokoju. Pewnie miała dość spania na podłodze.

Osluchiwał stetoskopem płuca Kirscha. Z zadowoleniem stwierdził, że najgorsze już minęło, przynajmniej na razie.

- Powiedziałyby mi - upierał się Kirsch. Zsunął nogi z łóżka. - Muszę ją odnaleźć.

Schad powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Nigdzie pan nie pójdzie, doktorze. Jest pan tak osłabiony, że byle zaziębienie może przynieść fatalne skutki.

- Coś się stało. Musiała się zgubić albo...

Kirsch usiłował się podnieść. Myślał jasno, lecz czuł się pusty w środku, jak lalka z papier machć. Co się stało z jego ubraniem, butami?

- Martinie. - Schad spoglądał na niego wyrozumiale.

- Ona wie, co ci jest. Na co chorujesz. Nie mam pojęcia skąd. Ja' jej nie powiedziałem. Pewnie się domyśliła. I trudno się dziwić, że nie chciała trzymać się zbyt blisko... - Westchnął. - Ostrzegałem cię. Nawet naj bliżsi zakładają najgorsze.

Kirsch dostrzegł swe odbicie w drzwiach szafy. W rozpiętej koszuli znamiona na jego ciele były wyraźnie widoczne. Pokrywały klatkę piersiową, układając się w długie zakrzywione linie niczym odnóża gigantycznego kraba.

- Chyba sam się wygadałem - stwierdził.

Schad chrząknął i ponownie przyłożył stetoskop.

- I bardzo dobrze się stało.

Kirsch wiedział, co Schad miał na myśli - że Marija była jego kochanką. Mylił się pod tym względem, co nie znaczy, że pod innymi nie miał racji.

- Takie gorączki przechodzą - powiedział pułkownik.

- Można się było tego spodziewać. Pański organizm walczy z zakażeniem. Tym razem wygrał.

Kirsch podziękował mu i poprosił o rachunek, ale Schad nie chciał słyszeć o przyjęciu zapłaty. Cieszył się, że mógł oddać mu przysługę ze względu na dawne czasy.

- A poza tym powinien pan podziękować młodej damie.

Świetna z niej pielęgniarka. Był pan w dobrych rękach. Bez dwóch zdań.

Gdy tylko Kirsch był w stanie utrzymać się na nogach, zaczął jej szukać. Obszedł wszystkie domy z pokojami do wynajęcia we wschodniej dzielnicy. Ani śladu Mariji. W następnych dniach pytał w szpitalach, klinikach, zakładach dla psychicznie chorych.

Wielu ludzi słyszało o dziewczynie od Einsteina, ale nikt jej nie widział. Pytał w komendzie głównej policji, oglądał nawet zdjęcia kobiet o nieustalonej tożsamości, których zwłoki znaleziono w mieście. Zajrzał do każdej spelunki wokół Alexanderplatzu i wzdłuż Kurfiirstendamm, wspomagając się swą fotografią z „Die Berliner Woche”. Chwytając się ostatniej deski ratunku, spróbował zwerbować do współpracy berlińską prasę. Kiedyś ta sprawa zafascynowała dziennikarzy. Teraz wreszcie pojawił się w niej zwrot. Lecz ci, z którymi rozmawiał, nie chcieli pisać o zaginięciu Mariji ani w ogóle o zaginięciach. „Dziś są na tapecie ważniejsze sprawy - oznajmił mu któryś. - Mamy szczęście być świadkami historycznych wydarzeń”.

Co dzień zaglądał na Wortherstrasse w nadziei, że Marija wróciła albo zostawiła dla niego wiadomość. Nadal opłacał czynsz za jej pokój. Nie wróciła jednak ani nie przysłała żadnej wiadomości. Pod koniec marca zaszedł tam, akurat gdy od krawężnika odjeżdżała wyładowana meblami ciężarówka. Kiedy usiłował zatrzymać pojazd, kierowca omal go nie przejechał. Okazało się, że odwozi meble na licytację. Mettler sprzedał swój dobytek i wyjechał. Nowi właściciele na razie nie zamierzają się wprowadzić. W następnym tygodniu okna w budynku zabito deskami.

Parę dni później pojechał pociągiem do Poczdamu. O tej porze roku parowce jeszcze nie kursowały, zatem Kirsch przed stacją wypożyczył rower i popedałował na południe krętymi ścieżkami wzwyż Telegraphenbergu. Wieża Einsteina stała na jej drugim końcu, paręset metrów za szczytem. Gładka i biała, wznosiła się z lesistego wzgórza niczym kiosk gigantycznej łodzi podwodnej. Okna były ukośne, zakrzywione i jednolite w formie, jakby ewolucyjne siły prędkości ruchu nadały im możliwie najwydajniejszą postać. Tylko na szczycie

srebrzysta kopuła, pod którą stał wielki pionowy teleskop, zdradzała element czysto funkcjonalny.

Einstein podobno nie interesował się zbytnio budynkiem stworzonym na jego cześć. Nie działała na niego ekspresjonistyczna wrażliwość architekta. Przyjeżdżał tu tylko od czasu do czasu, choć pełnił funkcję prezesa fundacji, która zarządzała budowlą.

Kirsch wszakże był pewien, że Marija zawitała tam. Wieża była jedynym miejscem w Berlinie ochrzczone nazwiskiem Einsteina. Dziewczyna zapewne ciepło się ubrała i zmieszała z wycieczkowiczami, dla których Telegraphenberg był ulubionym miejscem całodziennych wypadów, choćby ze względu na widoki, czyste powietrze i ozdobne ogrody założone na szczycie. Może w dzień po jej przyjeździe znaleźli ją tam chłopcy na rowerach.

Może, zastanawiał się Kirsch, pojedzie tam znowu, niekoniecznie wiedząc dlaczego, jej umysł bowiem został odcięty od podnoszących na duchu pewników czasu liniowego. Natomiast wszystko się w nim powtarzało. Toczyło się w cyklu: kryzys, amnezja, powrót do zdrowia, kryzys i tak aż do śmierci.

Dziś jednodniowi wycieczkowicze nie dopisali, choć deszcz zelżał i słońce przedzierało się przez chmury. Drzwi wieży były zamknięte na klucz ~ zabezpieczone łańcuchem. Przy jednym rogu budowli stało rusztowanie. Kawał brezentu trzepotał na wietrze, ciężkie liny uderzały o ziemię.

Kirsch zjeżdżał zboczami po przeciwnej stronie. Ścieżki były strome i śliskie. Szybko nabierał tempa, koła podskakiwały na zakrętach. Hamulce roweru były niebezpiecznie śliskie. Ilekroć je przyciskał, omal nie przerzucało go przez kierownicę. Musiał hamować również pedałami. Przez kilka minut z trudem utrzymywał równowagę, nim ścieżka wreszcie się wyrównała.

Przestał pedałowac i zatrzymał się. Zdażył już zajechać głęboko w las, gdzieś na południe od Telegraphenbergu. Okolicę skąpo porastały wysokie drzewa. Z ich gałęzi kapały krople deszczu, stukając ukradkiem o zasłaną liśćmi ziemię. Kirsch nasłuchiwał, obracając głowę w tę i we w tę. Ciągłe miał

wrażenie, że ktoś go obserwuje. Przypomnił sobie młodego pastora z Reinsdorfu, który żołnierzy poległych na wojnie przyrównywał do spadłych liści. Zawsze uważał, że to marna metafora, błędna i nijaka.

Ciszę przerwał huk wystrzału. Oddano go co najmniej sto metrów dalej. W okolicach Berlina polowano, nie zawracając sobie głowy pozwoleniami. Zaszczekał pies. Kirsch usłyszał krzyk mężczyzny. Potem zapadła cisza. Na gałęzi drzewa, najwyżej jakieś trzy metry nad nim, siedział skulony ptak - wrona albo gawron. Czarne pióra miał zmierzwiłone, zwłaszcza na szyi. Kirsch klasnął w dłoń, ale ptak nie odleciał. Chory albo oszołomiony, wpatrywał się weń, nie bacząc na nic.

Żwirowana ścieżka przeszła w drogę gruntową. Kirsch pedałowal zawzięcie, koła roweru zapadały się coraz głębiej w błoto.

Czarna woda wezbrała z ziemi, wypełniając koleiny, rozbryzgując się na jego twarzy i ubraniu, aż poczuł ją na wargach. Uniósł się z siodełka, całym ciężarem opierając się na pedałach, by utrzymać równowagę. Pojawiły się przed nim czarne kałuże, wielkie jak leje po pociskach. Las w nich tonął.

Przejechał tak z półtora kilometra, lecz dalej się nie dało.

Zsiadł i pchał rower, okrążając kałuże, zapadając się w poszycie i paprocie, często gubiąc ścieżkę, by odnaleźć ją parędziesiąt metrów dalej. Rzepy i powoje czepiały się jego spodni i rękawów.

Las powinny przecinać drogi. Prędzej czy później na jakąś natrafi. Zerknąwszy na zegarek, stwierdził, że jeździ już od godziny, kiedy jednak spojrzal uważniej, przekonał się, że wskazówki stoją w miejscu.

Nareszcie dojrzał na niebie smugi złota. Wywnioskował z tego, że zmierza na południowy zachód. Chyba dotarł już blisko jeziora. Zszedł ze ścieżki i skręcił na zachód, by jak najszybciej zobaczyć lustro wody. Grunt pod jego nogami zaczął się wznosić, po czym znowu opadł. W tej części lasu drzewa zagłuszał bluszcz. Przetrwały tylko sosny i wierzby.

Dom ujrzał, dopiero gdy dobrnął do rogu ogrodu. Stał na małej,

malowniczo ukształtowanej porębie, oszalowany czerwonobrazowymi deskami, o białych okiennicach. Szeroki taras na dachu, do którego prowadziły zewnętrzne schody, oraz oryginalne okno w kształcie iluminatora na parterze nadawały budynkowi wygląd nadmorskiej willi. Kirsch widział go już przedtem w gazetach i czasopismach architektonicznych. Z wyjątkiem fundamentów, zbudowany był w całości z oregońskiej sosny i galicyjskiej jodły, stanowiąc przykład stylu Bauhaus. Choć nigdy nie podano jego dokładnej lokalizacji, Kirsch wiedział, gdzie się znajduje. Dotarł na przedmieścia Caputh. Był w ogrodzie letniego domu Alberta Einsteina.

W swoim albumie nadal miał wycinki. Zgromadził też inne fotografie: Einsteina przed balkonowym oknem w otoczeniu wybitnych gości albo spoglądającego z tarasu ku jezioru, z fajką w ręce. Spodziewał się, że dom będzie większy i piękniejszy - nie okazały, lecz elegancki i przytulny. Miał odbijać ciepło i mądrość właściciela. W rzeczywistości wydawał się skurczony, ciasny, jakby nieobecność Einsteina odebrała mu ducha.

Trawniki zarosły koniczyną i chwastami. Na ścieżki wdarł się mech. Rośliny w skrzynkach na kwiaty - kwitnące na zdjęciach - zwiędły. Kirsch położył rower i podszedł do cementowej werandy. Zbliżając się, złowił uchem słaby dźwięk, stłumione uderzenie, coś jakby leniwe dudnienie maszyny.

Zewnętrzne schody pokrywała warstewka śliskiej wilgoci. Jedna z poręczy podestu w połowie drogi na górę była złamana.

Taras na dachu tonął pod stertami liści. Z boku leżał zwinięty parasol. Widok na pobliskie jezioro - pas szarej wody - zasłaniały drzewa. Kirsch zadrżał. Zimne i mokre ubranie przylegało mu do ciała.

Znowu rozległ się hałas. Dobiegał z wnętrza domu. Na tarasie znajdowały się drzwi prowadzące do środka, lecz były zamknięte na klucz. Kirsch obszedł budynek od północy, zaglądając za okiennice. Wszędzie panowała ciemność.

Na podjeździe stał brudny zielony mercedes ze złożonym dachem. A więc ktoś jednak był w domu. Ale nie mogli być to Einsteinowie. Albert Einstein

ukrywa się za granicą. Państwo zajęło jego rachunki i cały dobytek. Pronazistowska gazeta wyznaczyła za niego nagrodę, 50 000 dolarów, za żywego czy umarłego.

Kirsch podszedł do frontowych drzwi. Już miał zastukać, gdy zauważył, że drewno przy zamku jest rozszczepione. Pod klamką dojrzał duży odcisk zabłoconej stopy. Drzwi zostały wyłamane.

Wystarczyło pchnąć je ramieniem, by dostać się do środka.

Ciemny wąski korytarz z parkietem układanym w szachownicę. Zapach wilgoci i stęchlizny. Ściany i sufity były z drewna.

Wąskie schody prowadziły na pierwsze piętro. Uchylone drzwi wiodły do piwnicy. Kirsch ruszył na tył domu, skąd przez okiennice dobywały się smugi światła.

Złodzieje by się tu nie obłowili. Nieliczne meble były proste.

Brakowało serwantki, na której pyszniłyby się rodowe srebra.

Wszedł do kuchni. Obok młynka do pieprzu leżała rozerwana torba mąki. Tysiące małych mrówek roiło się na blacie i w zlewie.

Poczuł lekki przeciąg na karku. Hałas dochodził zza wewnętrznej ściany: nonszalancki stukot, ironiczne wezwanie. Na kuchennym stole leżały noże, lecz żaden nie był dość ostry, by posłużyć jako broń. Wyszedł na korytarz. Zaszleściły papiery. Ktoś był w przyległym pokoju. Kirsch ostrożnie uchylił drzwi.

Słoneczny blask poraził mu oczy. Szyby były potłuczone.

Okiennice zwisały na jednym zawiasie. Kołysały się, uderzając o żelazną balustradę na zewnątrz. Pokój - mała pracownia - został splądrowany. Książki i papiery leżały porozrzucane na podłodze. Za zwykłym drewnianym stołem jakiś mężczyzna na czworakach zbierał je pospiesznie. Kirsch rozpoznał go dopiero po chwili.

- Profesor von Laue?

Profesor wystraszony uniósł wzrok.



- Kim pan jest? Czego pan chce?
- Martin Kirsch. Z Charité. Nie poznaje mnie pan?

Profesor nadal się w niego wpatrywał. Kołnierzyk odpiął mu się od koszuli, odsłaniając fałdę ciała na karku.

- Drzwi były...
- Czego pan chce? - powtórzył von Laue.
- Szukam kogoś.
- Kogo?
- Pacjentki. Byłej pacjentki. Tej, która pana zainteresowała.
- Tej studentki?
- Zaginęła.

Von Laue zmarszczył brwi, potem potrząsnął głową, wyraźnie uspokojony.

- Tu jej pan nie znajdzie. W tym domu nikt już nie mieszka.
- Widzę.

Profesor położył stos dokumentów na biurku. Kirsch uświadomił sobie, że musiał go nieźle wystraszyć.

- No cóż - rzekł von Laue. - Cóż. Mniejsza z tym. Niech mi pan pomoże zebrać te papiery. Przyda się pan. Mogą wrócić w każdej chwili.

- Kto? Kto może wrócić?

- A jak pan myśli? Musimy zanieść je do samochodu. Na razie złożę to wszystko w jego mieszkaniu, zanim nie znajdę bezpieczniejszego miejsca. Niech pan poszuka jakichś pudeł czy czegoś takiego. - Von Laue spojrzał na niego. - Na co pan czeka?

Kirsch wypełnił polecenie. Pod schodami znalazł starą walizkę, a w spiżarni skrzynki na warzywa. W pracowni pospiesznie zapełnili je papierami.

- Książki też? - zapytał Kirsch.
- Wszystko, na czym są jakiekolwiek notatki. Innych rzeczy nie.

Przez parę minut pracowali w milczeniu. Kirsch wyczuł, że von Lauemu

jest głupio z powodu okazanej mu wrogości. Czuł, że starszy pan chce to jakoś naprawić.

- Dlaczego akurat tutaj szukał pan swojej pacjentki?

- zapytał wreszcie.

Kirsch przerwał na chwilę pakowanie, by otrzeć pot z czoła.

Chciał jedynie trafić w miejsce, gdzie znaleźli ją ci chłopcy na rowerach. Tylko tak mógł się do niej zbliżyć. Żaden inny sposób nie przychodził mu do głowy.

- Znaleziono ją jakieś półtora kilometra stąd. - rzekł.

- Może szła na spotkanie z ojcem.

Von Laue westchnął i zaczął przeszukiwać półki.

- Porządny z pana człowiek, doktorze. Widzę, że chciał pan dobrze. Ale lepiej poświęcić siły na coś innego. - Wyjął tom, uważnie przeczytał napis na grzbiecie i odstawił go. - Niech pan mi wierzy: z tych dociekań nic nie będzie.

- Skąd ma pan tę pewność?

Luźne kartki upadły Kirschowi do stóp, na stertę zaścielającą już podłogę. Gdy schylił się, by je podnieść, zabrakło mu tchu.

Von Laue kartkował książkę.

- Ludzie myślą, że prace Alberta Einsteina dotyczą odległych gwiazd i galaktyk. Nie podejrzewają nawet, że jego odkrycia mają coś wspólnego z nimi. Zapominają, że wszyscy jesteśmy częścią wszechświata. Stanowimy wyraz jego praw fizycznych tak samo jak wszystko inne, czy nam się to podoba czy nie. A zatem zmiana sposobu pojmowania kosmosu pociąga za sobą zmianę sposobu pojmowania człowieka. A to wiele znaczy.

Kirsch pakował książki. Trzymał w ręce egzemplarz pracy, którą podarował mu Max: „o szczególnej i ogólnej teorii względności: (wykład przystępny)”. Max musiał w jakimś stopniu podzielać pogląd von Lauego. Bo z jakiej innej racji wybrałby taki prezent dla swego brata, chirurga wojskowego?

- Chce pan powiedzieć, że profesor Einstein nie znalazłby czasu dla

własnej córki?

Von Laue się uśmiechnął.

- Czas to ważna kwestia, lecz nie w tym sensie, w jakim pan go rozumie.

- Więc w jakim?

Na niebie chmury zasłoniły słońce. W pokoju nagle zrobiło się ciemniej. Von Laue spojrział przez okno w las. Przez chwilę Kirschowi się zdawało, że ktoś stoi tam w mroku, przyglądając się im.

- Jak by pan wytłumaczył tę niesłychaną zdolność pojmowania? - zapytał von Laue. - Studiował pan umysł ludzki, doktorze. Jakim sposobem Albert Einstein widzi to, co dla całej reszty jest niewidoczne? Rozumie to, co dla innych jest niezrozumiałe?

- Zapewne jest inteligentniejszy.

Von Laue potrząsnął głową.

- Inteligentniejszy niż Poincaré? Inteligentniejszy niż Max Planck? Wątpię. Wątpię, czyby się z tym zgodził. Różnica, zasadnicza różnica, polega na niezależności jego myślenia. Na sceptycyzmie, jeśli wolałby pan tak to ująć. Jakimś sposobem posiadał umiejętność oderwania się od wszelkich założeń, wszelkich pojęć ogólnych, nawet najgłębiej osadzonych w ludzkiej umysłowości. Pozwoliło mu to ustalić, co jest rzeczywiste i uchwytnie, a co nie. Liniowa przestrzeń i czas absolutny były nie tylko nienaruszalnymi pewnikami, doktorze. Stanowiły podstawę racjonalnego myślenia. Nigdy nikomu nawet do głowy nie przyszło, by je podważyć. Einstein nie tylko wykazał, że są złudne. On to widział jak na dłoni.

Kirsch czuł, że ma rozpalone czoło, gorączka łagodnie pulsowała mu w skroniach.

- Nie przeczę, że jest wyjątkowy. Tylko nie widzę...

- Ależ przeczy pan. Wyobraża pan sobie, że to niezwykle spojrzenie można uzyskać bez poświęcenia, bez zmiany. Ale tak odkrywa się prawdę. By postrzegać świat, trzeba wykroczyć poza niego. Ewangelie powiadają: prawda

cię uwolni. A powinny mówić: prawda w y r ó z n i c i ę s p o ś r ó d r e s z t y.

Co Eduard Einstein powiedział podczas ich pierwszego spotkania?”Marija się zmienia”.

- To wszystko są kwestie naukowe - rzekł Kirsch. - Nie mają nic wspólnego...

Von Laue potrząsnął głową.

- Nie chce mnie pan zrozumieć. Niemniej sędzę, że wie pan, o co chodzi.  
- Zdjął dwa tomy z półki, dierzając po jednym w każdej ręce. - Jeśli instynktywne pojmowanie czasu i przestrzeni nie jest oparte na żadnych niewzruszonych zasadach, wówczas konwencje, wedle których funkcjonuje ludzkie społeczeństwo, również ulegają podważeniu. Honor, społeczność, ojczyzna, Bóg. Na czym opierają się te pojęcia? Na trwałych i uchwytnych podstawach? Na czymś absolutnym, jak prędkość światła? Czy też na założeniach tak wątpliwych, że racjonalny umysł w ogóle nie wie, od czego zacząć? - Zapakował książki, po czym otworzył szufladę w stole. Znajdowały się tam kolejne papiery.

- W świecie sceptyka prawda i pewność są nierozzerwalnie związane. A niech się pan rozejrzy wokół siebie. Czy tak jest w naszej rzeczywistości?

Kirsch przyłożył rękę do twarzy. Pocił się. Zamknąwszy oczy, ujrzął pomnik w Reinsdorfie, lśniący czarny granit i bijące w oczy bezczelne kłamstwo: ZA BOGA I OJCZYZNĘ.

- Ale nie musi tak być - powiedział. - Ludzie mogą poszerzać swoje horyzonty.

Von Laue się roześmiał.

- Tylko czy chcą? Drogi panie, dla większości ludzi życie jest do zniesienia tylko dzięki złudzeniu. Moim zdaniem na tym polega tragedia ludzkiej doli. Ludzie muszą się dopatrywać znaczenia tam, gdzie na rozum biorąc, wcale go nie ma. Inaczej co by ich łączyło? Pozrywałyby się więzi międzyludzkie. Społeczeństwo by się rozpadło i każdy sam musiałby stawić

czoło obojętności wszechświata. A tego nade wszystko pragną uniknąć, za to gotowi są zapłacić każdą cenę, nawet zginąć na wojnie.

Poryw wiatru dmuchnął w ścianę domu. Okiennica uderzyła o framugę. Von Laue podniósł jedno z pudeł.

- Skończmy z tym jak najprędzej. Nie chcę być tutaj po zmroku.

Wyszedł do samochodu. Kirsch wrócił do pracy, zgarniając całe naręcze papierów do małej skórzanej walizki. Usiłował nie myśleć o Mariji, która wędrowała do tego domu w nowej sukni i nowych butach w nadziei, że spotka Alberta Einsteina, jakim przedstawiały go kroniki filmowe: współczującego proroka, dobrotliwego ojca. Usiłował nie myśleć o niczym.

Już prawie skończywszy, natrafił na plik nieotwartych przesyłek pocztowych. Zawierał rachunki, kilka zaproszeń w kopertach z tłoczonymi nagłówkami, a także czasopisma naukowe, sądząc z wagi. Na dole znajdowała się gruba biała koperta z nazwiskiem i adresem Einsteina wypisanymi schludnie kobiecą ręką. Jak wynikało ze stempla pocztowego, przesyłkę nadano 26 października z urzędu pocztowego C w pobliżu mieszkania Kirscha. Pamiętał, gdzie zobaczył ją wcześniej.

W środku znajdował się plik kartek zapisanych tym samym sbludnym charakterem pisma. Składały się na pełny notatnik.

Na ostatniej stronie widniał szkic wielkości kilkunastu centymetrów kwadratowych. Przedstawiał Alberta Einsteina stojącego za katedrą z miłym uśmiechem na twarzy.

Pierwsza strona zaczynała się od słów: "Skąd się tu wzięłam po tylu latach?".

Światło

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Zachowałam się głupio, uznając, że takie chuchro jak ja da sobie radę z

mężczyzną postury Zoltdna, nawet pijanym, a musiałam być zupełną już kretynką, wyobrażając sobie, że starczy mi charakteru, by zatopić mu nóż w sercu. Chciałam, by umarł. Moją siostrę doprowadził do śmierci tak niechybnie, jakby sam ją utopił. Ale jakiś instynkt powstrzymał moją żądzę zemsty, nie pozwolił, bym rzuciła się na Zoltdna, gdy tylko otworzył drzwi, co byłoby najmądrzejszą i najbardziej skuteczną formą ataku. Nie litość mnie powściągnęła, a tym bardziej nie strach. Było to przeczucie - nieznajome, lecz przemożne, niczym guz w ciele - że odbieranie życia innej istocie jest obce mojej naturze, że jeśli raz uczynię taki krok, zmienię się na zawsze. Moje dawne "ja" zaniknie i zacznę nowe istnienie, w którym będę musiała zapomnieć o historii i więzach krwi, a choć umysł być może pozostanie żywy, serce zamilknie na zawsze.

Stałam w kuchni z nożem w ręce, wahając się, czy przekroczyć ten próg nowego, ponurego istnienia. Tak wyglądała sytuacja, kiedy Zoltan Draganović wszedł z podwórza.

Przystanął i patrzył się na mnie, z początku zaskoczony, potem urażony i w końcu rozbawiony, a te trzy emocje walczyły o lepsze w jego ogłupiałym mózgu.

- Co to ma znaczyć? - wybełkotał w końcu. Potem oczy mu się zwężyły i widziałam, jak usiłuje sobie wytłumaczyć tę nieoczekiwaną wrogość. - Rozmawiałaś z siostrą? Co ci powiedziała?

Co mogłaby mi powiedzieć, gdyby jeszcze żyła? Albo gdybym nie była zapatrzona w siebie i zapytała ją? Domyślałam się, tyle że po czasie. Nadal jednak nie potrafiłam o tym mówić, nawet wtedy. Jakaś część siebie nadal się łudziłam, że jestem w błędzie.

Zoltan się przybliżył. Wymierzyłam w niego nóż, celując w gardło. Jedno mocne pchnięcie, powiedziałam sobie, i wykrwawi się na śmierć jak zaszlachtowane jagnię. Staralam się wykrzesać z siebie to źdźbło siły woli. Ale osłabiło mnie poczucie własnej winy - wszak Sence zgotowano ten los przy

moim milczącym współudziela.

Zoltan wyczuł, że niebezpieczeństwo minęło. Zaśmiał się, gdy machnęłam mu nożem przed nosem.

- To mój dom - rzekł, rozwierając ramiona.

- Jeśli go chcesz, musisz go sobie wziąć. - Zatoczył się ku mnie, wystawiając pierś na cel, prowokując mnie do ataku.

Powiedziałam mu, że nie chcę jego domu. Lecz nie mogłam powiedzieć głośno, czego naprawdę chcę - zmienić przeszłość i zostać u boku siostry, tak by nie spotkało jej nic złego, słyszeć, jak się śmieje, wspinając się po gałęziach jabłunki, albo siedzieć z nią w sadzie, dzieląc się sekretami dzieciństwa, a nade wszystko mieć wewnętrzną pewność, że słusznie mi ufała. Niestety na to wszystko nie miałam już wpływu i nawet śmierć Zolidna nie odmieni biegu rzeczy.

- Więc czego chcesz, moja panno? - zapytał. - Co cię tak rozwścieczyło? - Przechylił głowę na bok, jakbym była ciekawą zagadką, którą właśnie zaczyna rozwiązywać. - Czyżbyś była zazdrosna o siostrę?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, nucił się, chcąc J.ryrwać mi nóż, który zdążyłam cofnąć na tyle szybko, że przecięłam mu dłoń. Wrzasnął i uderzył mnie w twarz tak mocno, że zatoczyłam się na stół. W głowie mi się zakręciło, poczułam smak krwi w ustach. Pchnął mnie na blat, po czym jedną ręką uniósł mi nogi z podłogi, tak że upadłam na stół, na ten sam stół, na którym zaledwie parę godzin wcześniej leżało rozciągnięte ciało mojej siostry.

Potem zwałił się na mnie całym ciężarem, aż poczułam strach, że mnie zmiażdży i uduszę się pod nim. Lampa nad stołem bujała się tak, że cały pokój się kołysał. Zoltan gadał przez cały czas, mówił, że nie zawracałby sobie głowy moją siostrą, gdyby wiedział, że ja jestem chętna, i więcej takich rzeczy, których nie słyszałam. Bo nawet szamocząc się z nim, czułam, że wycofuję się z tego czasu i miejsca, uciekam w zapomnienie, gdzie nic mnie nie dotknie, gdzie nie ma konsekwencji ani straszliwej świadomości popełnionych czynów, bo nie ma

wiedzy. Z tego miejsca stępionej wrażliwości przyglądałam się mężczyźnie i kobiecie szarpiącym się ze sobą na stole przy świetle rozkołysanej lampy - i widziałam tylko to. Mężczyzna nie miał nazwiska i kobieta też go nie miała. A stół był jedynie stołem, lampa rzucała na nich cienie, tak że nie było widać, czy ich uściski to pieszczoty kochanków czy zażartych wrogów zwartych ze sobą w walce na śmierć i życie.

Ledwo podniosłam się na nogi, wróciła Maja Lukić.

Zapewne odgadła, co się tu stało. Owinęła mnie płaszczem, wzięła moją walizkę i zaprowadziła prosto do siebie, zachodząc od tyłu. Nie byłam wówczas w stanie dyskutować z nią, ale naturalnie bała się, by ktoś nas nie zobaczył na głównej ulicy, choć zapadał już zmrok. Później zezłościła mnie niesprawiedliwość takiego kroku. Maja Lukić jednak nie była głupia. Dobrze wiedziała, na jakim świecie żyje oraz że jeśli kobieta raz straciła cześć, choćby została zniewolona, już nigdy jej nie odzyska. Tak prymitywnie okrutnymi prawami rządzi się społeczność, w której wyrosłam, gdzie mężczyźni sławią nowoczesność i dobrodziejstwa oświecenia (któż by nie korzystał z kolei parowej, nie zażył najskuteczniejszego lekarstwa czy też nie założył elektryczności w domu, skoro istnieje taka możliwość?), lecz sercem tkwią w przeszłości, w mrokach przesądów. Jak dobrze rozumiem Twoją chęć, by wyrwać się z tego nierozumnego zgniłego starego świata, potrzebę wyzwolenia się zeń!

Wątpię, czy Maja Lukić podzielała te poglądy, ale naprawdę się o mnie troszczyła. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej ucieknę z wioski. Już od jakiegoś czasu uważała, że Zoltanowi pomieszało się w głowie, i nieraz chciała rzucić posadę gospodyni. Bała się, że Zoltan prędzej mnie zabije, niż dopuści, bym go oskarżyła. Dała mi wszystkie pieniądze, jakie miała w domu, i następnego dnia wysłała mnie do Belgradu z listem polecającym do swej powinowatej. Nie sprzeciwiłam się jej. Nie miałam gdzie się podziać. Nie mogłam zostać w Orlovacie ani dalej studiować w Zagrzebiu bez pieniędzy



Zoltana. Bałam się też, że mnie tam odszuka. Krótko mówiąc, w moim ówczesnym stanie ducha najlepiej było racjonalne decyzje pozostawić innym. Nawet pamięć mnie zawodziła, nieraz budziłam się, nie wiedząc, gdzie jestem, myśląc, że Senka - a nawet matka - nadal żyją oraz że wciąż istnieje rodzina, do której niegdyś należałam.

Svetlana Lukić była siostrą zmarłego męża Mai. Prowadziła sklepik z sukniami obok katedry Świętego Sawy i w głębi serca była dobrą kobietą, choć sztywną i mającą swoje przyzwyczajenia. Nade wszystko uwielbiała koty, co było niefortunną słabością, gdyż nie mogła trzymać ich w domu, by nie zostawiały sierści na sukniach albo nie podrapały materiału pazurami. Karmiła za to bezdomne koty gniezdzące się na terenie katedry.

Staralam się jak mogłam przysłużyć jej w sklepie. Nie miałam smykałki do igły, ale pomogłam jej uporządkować rachunki, w których panował taki bałagan, że była zdana na łaskę i niełaskę każdego inspektora podatkowego. Potem, mniej więcej po miesiącu, zaczęłam się rozglądać za posadą nauczycielki, którą znalazłam bez trudu, bo nauczycielek matematyki bardzo brakowało. W następnych latach usiłowałam w miarę możliwości kształcić się dalej. Dzięki wstawiennictwu mego opiekuna naukowego z Zagrzebia uzyskałam dostęp do najważniejszych bibliotek akademickich i prawo do uczęszczania na pewne wykłady na uniwersytecie w Zagrzebiu, dzięki czemu zaspokajałam żądze wiedzy z dziedziny fizyki oraz zaskakujących odkryć na tym polu. Moje samokształcenie nie mogło zastąpić właściwych studiów, lecz wymogi związane ze śledzeniem postępów w tej nauce i rozważania jej tajemnic przynosiły mi w owych czasach spokój, choć nie był to spokój całkowity.

Wybiegam jednak zbyt daleko naprzód. Muszę ci opowiedzieć więcej o owej ulewnej wiosnie, gdy umarła moja siostra, choć nie będzie to łatwe. Prócz mnie chyba tylko Maja Lukić wie wszystko. Niebawem Ty też będziesz wiedział. Widzisz, wyjawiam Ci swe długo strzeżone sekrety w nadziei, że w zamian Ty wyjawisz mi pewną tajemnicę.

Tylko o to Cię proszę.

Nadal mieszkając u Svetlany, zaczęłam otrzymywać listy od Mai Lukić. Otwierałam je zawsze z ciężkim sercem, wiedząc, że będą zawierały wieści o ludziach i rzeczach, o których chciałam zapomnieć, wyjąwszy oczywiście moją nieszczęsną siostrę. Maja poinformowała mnie, że ciało Senki zostało przeniesione do Nowego Sadu, stolicy prowincji, i pochowane w rodzinnym grobowcu Draganovićów. Do dziś dnia się zastanawiam, dlaczego Zoltan zadał sobie tyle trudu. Przypuszczam, że chciał zachować pozory. Teraz, gdy jego córka nie żyje, może obsypać ją wszelkimi honorami świata, zaskarbiając sobie jego współczucie. Żałuję, że nie było mnie tam, by ją pożegnać po raz ostatni, a jeszcze bardziej mi żal, że nie spoczęła na wieczność gdzie indziej, w lepszym towarzystwie.

Stało się dla mnie jasne, że tak jak ja czułam się w pewnym sensie odpowiedzialna za los Senki, tak Maja Lukić czuła odpowiedzialność za mnie. Z jej listów, nieskładnych, lecz szczerych, wywnioskowałam, że dręczy ją poczucie winy. Może moje skąpe odpowiedzi pogłębiały jej wyrzuty sumienia, bo coraz usilniej starała się mnie uspokoić. W tym duchu zaczęła napomykać, potem dawać do zrozumienia, a w końcu upewniać mnie, że Zoltan Draganović nie jest moim ojcem, co potwierdzają stosowne dokumenty. Powtórzyła coś, co słyszałam już od mojej babki - że moja matka wcześniej miała dziecko, które zachorowało na szkarlatynę. Zupełnie zapomniałam o tamtej historii, uznawszy ją za jakieś dziecięce rojenia.

Dla świata ja byłam pierworodna. Zachorowałam na szkarlatynę, gdy miałam pół roku, ale wyzdrowiałam.

To tyle. Jednakże Maja Lukanović opowiedziała inną historię.

Była wówczas zatrudniona w naszym domu i widziała pierworodną na skraju śmierci. Mówiła, że moja matka była w strasznym stanie, niepokieszona. Potem Maję odprawiono na ponad dwa tygodnie. Nikogo nie dopuszczano do domu, nawet księdza, co było niezwykle, ponieważ niemowlęciu w zagrożeniu

życia udzielano chrztu, by jego dusza została zbawiona. Podjąwszy na nowo swe obowiązki, Maja znalazła dziecko w świetnym stanie - tyle że inne."Ta dziewczynka była co najmniej dwa lata starsza - pisała. - Miała okrągłą buzię i ciemniejsze oczy". Jej zdaniem wyjaśnienie było tylko jedno: zostałam adoptowana w tajemnicy - albo by pocieszyć matkę w smutku, albo ze względu na Zoltdna, który się obawiał, że inaczej może nie mieć już dzieci. Z drugiej strony Maja nie miała pojęcia, skąd się tam wzięłam ani kim tak naprawdę są moi rodzice.

Maja Lukić lękała się, że ta nowina zdenerwuje mnie albo urazi nawet po tym, co się wydarzyło. Co innego bowiem, gdy człowiek się dowiaduje, że nie jest dzieckiem swego ojca, ale nie być też dzieckiem swojej matki to już zupełnie inna sprawa. Kiedy czytałam ten list, poszczególne fragmenty układanki, które zastanawiały mnie od dzieciństwa, ułożyły się w całość. Przez lata czułam się obco w rodzinie Draganowiciów. Nareszcie poznałam tego powód. Byłam wstrząsnęta, że moje uczucia znalazły tak nagle i zdecydowane potwierdzenie. Poczulałam jednak też ulgę, większą, niż Maja Lukanović mogłaby przypuszczać.

Mogłam zapewne domagać się od Zoltdna, by wyjawiał mi prawdę. Ale za nic w świecie nie chciałam się z nim kontaktować, a tym bardziej zdradzić mu miejsca zamieszkania. W końcu, jakieś dziewięć lat później, otrzymałam wiadomość z Orlovatu, że zmarł w wyniku udaru. Jego adwokat przybył z Nowego Sadu, by pozalać wszystkie sprawy, lecz jedyny testament, jaki znalazł, sporządzony został przed śmiercią mojej matki. Ponieważ Zoltan nie miał innych żyjących krewnych, reszta spadkowa, po uregulowaniu zobowiązań wobec dłużników, przypadnie mnie. Wartość odziedziczonego majątku była wyższa, niż się spodziewałam, bo choć Zoltan regularnie przepijał swą marną emeryturę oraz opłaty dzierżawne za należące do niego grunty, pozostały one jego własnością. Ponadto pozostawił pewien majątek rodzinny oraz dom.

Wróciłam do Orlovatu, by objąć spadek. Sprzedałam nieco gruntów za

korzystną cenę, po czym zajęłam się domem. Nie miałam chęci przeglądać papierów Zoltdna, ale oświadczono mi, że to mnie nie ominie, toteż w końcu się do tego zabrałam. W dokumentach panował taki bałagan, że miałam ochotę wrzucić wszystko w ogień. W pewnym momencie natknęłam się na szereg pism z banku w Nowym Sadzie, najstarsze pochodziły sprzed dziesięciu lat. W każdym bank informował ojca, że otrzymał wpłatę z banku w Zurychu. Trzy razy do roku wpływały pieniądze od pani EinsteinMarie w kwocie wystarczającej na opłacenie moich studiów uniwersyteckich. Co więcej, przekazy przestały przychodzić akurat w czasie, gdy porzuciłam studia i przenieśliśmy się do Belgradu.

Wyobrazasz sobie, jak mnie to zaciekało. Przypomniałam sobie milczącą towarzyszkę ciotki Heleny i wra- żenie, jakie jej obecność wywierała na moich rodzicach.

Przypomniałam sobie zwłaszcza to, czego się później dowiedziałam o jej osiągnięciach i sławie. Wtedy właśnie, siedząc samotnie w tym samym pokoju, w którym niegdyś siedziała frau Einstein jako nasz gość, ośmieliłam się uwierzyć w opowieść Mai Lukić.

Parę tygodni później odszukałam w Belgradzie ciotkę Helenę. Nie widziałam jej od wielu lat, ale pamiętała mnie i złożyła mi wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca.

Powiedziałam jej, że w związku ze zmianą mojej sytuacji zamierzam teraz kontynuować studia za granicą. Zapytałam ją, dokąd powinnam się udać i u kogo wziąć niezbędne korepetycje, bym mogła z powrotem wkroczyć w świat akademicki. Wysłuchiła mnie uważnie i jak mi się wydawało, nie bez pewnej przyjemności. Niedługo potem, tak jak się spodziewałam, zaproponowała, bym pojechała do Zurychu i zgłosiła się do jej znajomej nauczycielki. Nie muszę ci mówić, kim ona była.

Nie powiedziałam ciotce Helenie prawdy, w każdym razie nie powiedziałam całej. Nade wszystko pragnęłam ponownie podjąć studia. Znowu

chciałam się zmagać z dziwnymi i pięknymi zagadkami, dążyć do ostatecznego i absolutnego oświecenia, którym się teraz zajmujesz. Zdobyć tę nagrodę, jeśli można ją zdobyć, bezsprzecznie stanowi najwyższe osiągnięcie ludzkości. Nic nie jest ważniejsze ani bardziej godne wysiłku. Niemniej ja podążam do Zurychu i przybywam do Berlina w celu bardziej zwyczajnym - by poznać swoje pochodzenie i dowiedzieć się wreszcie, czy opowieść Mai Lukić jest prawdziwa. Tylko Ty możesz mi pomóc. Inni, którzy mogliby przemówić w tej sprawie, będą milczeć, póki Ty się nie odezwiesz.

Taką masz nad nimi władzę. Zostałeś obdarzony podwójnym błogosławieństwem - nie tylko władzą nad ludzkimi umysłami, ale także ich lojalnością i miłością, co wynika nie tylko z Twojej wielkiej mądrości, lecz także z dobroci i miłosierdzia. Ufając w to, oddaję swój los w Twoje ręce pewna, że dla Ciebie, jak dla nikogo na świecie, podtrzymywanie kłamstwa jest nie do przyjęcia, choć dla ludzi bardziej ograniczonych i mniej pryncypialnych byłoby ono wygodne.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Le Coq sur Mer, Belgia, kwiecień 1 Słońce leje się promieniami przez zasłone mgły, aż bledną cienie. Morze jest nieruchome, nienaturalnie spokojne, widnokraj stapia się z białym niebem. Z werandy Villa Savoyarde Albert Einstein patrzy, jak policjant z wydziału dochodzeniowo-

- śledczego chodzi w tę i w tę wzdłuż brzegu. Ma na imię Gilbert i całymi godzinami patroluje plażę oraz wysokie wydmy otaczające willę. Zamachowiec mógłby przybić do brzegu łodzią, wyjaśnił Elsie któregoś dnia. Prócz tego odzywa się z rzadka.

Głównie pali papierosy i wpatruje się w statki rybackie telepiące się na przybrzeżnych wodach, gdzie łowią krewetki.

W oddali widać zarysy promów kursujących między Ostendą i Anglią.

Inny policjant zawsze tkwi w domu. Ma nazwisko flamandzkie, a zatem nie da się go wymówić. Siedzi w holu, wypijając niezliczone ilości kawy, i obserwuje podjazd. Gdy tylko pojawiają się goście, podrywa się na nogi i zatrzymuje każdego, kogo nie rozpoznaje. Mieszkańców Le Coq poproszono, by nie zdradzali miejsca pobytu Einsteina, lecz nie na wiele się to zdało. Co dzień coraz więcej spacerowiczów wędruje plażą; jedni udają, że interesuje ich wyłącznie przyroda, inni gapią się bezczelnie albo pstrykają fotki. Gilbert i jego koledzy wyraźnie stają się coraz bardziej nerwowi. Często sprawdzają broń i przyciszonymi głosami rozmawiają z przełożonymi o konieczności wytyczenia granic patrolowanego terenu. Na wydmach dochodziło do sprzeczek z reporterami, ekipą kroniki filmowej, nie wspominając już o kilku delegacjach akademików.

Po niespełna trzech tygodniach in situ wyczuwa się atmosferę oblężenia. Elsa całe godziny spędza na górze, zamknięta w swojej sypialni. Bez wątplenia nie zabawią długo w tej gościnie, której udzielił im król Belgii. Nazistowskie Niemcy są zbyt blisko, ich długie łapska sięgają zbyt daleko. Praca stała się niemożliwością.

Osobista sekretarka Einsteina, fraulein Dukas, nieładna chuda kobieta o kruczonych włosach, uniosła wzrok znad stenogramu.

Einstein zatrzymał się w połowie dyktowania listu do lorda Rutheforda w sprawie zbliżającej się wizyty w Wielkiej Brytanii.

Okolicznościowe wykłady w Oksfordzie i Glasgow. Rutheford prosi o potwierdzenie dat.

Fraulein Dukas bez pytania ponownie odczytuje ostatnią linijkę: „Zamierzam przybyć do Dover najpóźniej 26 maja...”.

Zazwyczaj to ona zajmuje się terminarzem. Czynności i zobowiązania swego chlebobawcy oraz jego małżonki zna na pamięć.

Jednak niektórych czynności nie może za niego zaplanować, pewne zobowiązania tylko on może ocenić.

Podróż do Zurychu powinien był odbyć już dawno temu. Obiecał przyjechać w maju. Na jak długo? Na trzy dni? Cztery? Elsa chce, by zatrzymał się w hotelu, lecz byłoby to zachowanie grubiańskie i zbyt świętoszkowate. W swoim mieszkaniu na Huttenstrasse Mileva ma zupełnie wystarczający pokój gościnny. Z drugiej strony istnieje niebezpieczeństwo, że sprowadzi Eduarda z Burgholzli, by jak najpełniej wspólnie wykorzystać czas. Ojciec i syn będą grali duety, co przejdzie bez zgrzytów, oraz rozprawiać o psychiatrii i literaturze, co już nie będzie takie miłe. Albert za wszelką cenę postara się unikać rozmów o ostatecznych rozstaniach. W wywiadach prasowych nigdy ani słowem nie wspomniał o zamiarze osiedlenia się w Ameryce na stałe. O Krainie Wolności publicznie zawsze wypowiadał się lekceważąco. Niemniej raz na zawsze chciałby się pożegnać z komplikacjami Starego Świata, zrzucić brzemień troski o niego, zarówno publicznej, jak i prywatnej. Stary Świat, jak jego dawne życie, rozprasza tylko uwagę niczym swędzące miejsce, w które nie może się podrapać.

Myśl, by oddzielić się od niego oceanem, staje się coraz bardziej kusząca.

Trzy dni i trzy noce. Po tym czasie Mileva zaczyna tracić dobry humor. Wychodzą na wierzch zadawnione urazy. Nad radością i dumą z jego wizyty stopniowo zaczyna górować jej wewnętrzne poczucie krzywdy. Mileva męczennica. Każde spotkanie musi zwieńczyć jakaś aluzja do złamanych obietnic czy zaniedbania. W tym sensie ich młodszy syn jest znakomitym orężem, żywym wyrzutem. Dwa lata temu Mileva bez zapowiedzi zjawiała się w Berlinie na weselu młodszej córki Elsy, przywożąc złe wieści o stanie umysłu Eduarda. Ale w jego rodzinie nie było chorób psychicznych. A jej młodsza siostra Zorka przez całe życie leczyła się w szpitalach psychiatrycznych. Teraz mieszka w Nowym Sadzie z czterdziestoma kotami.

Trzy dni i dwie noce. Tyle powinno wystarczyć.

Einstein odwraca się do fraulein Dukas.

- Chciałbym przybyć do Dover najpóźniej...

Na stole leży stos nieotwartej poczty. Bogactwo znaczków z różnych krajów robi jeszcze większe wrażenie niż zazwyczaj, lecz jedna brązowa koperta szczególnie przyciąga uwagę Einsteina. Nie ma na niej znaczków. Nie wypisano nawet jego nazwiska, tylko słowa "Villa Savoyarde".

- A to od kogo?

Fraulein Dukas unosi głowę znad notatnika, odpędzając naprzykrzającego się komara.

- Dostarczył to posłaniec na motocyklu. Chciał oddać panu osobiście, ale detektyw Dejaeck.

Kiwnęła głową w kierunku holu. Koperta była zapieczętowana woskiem i opatrzona napisem "Do rąk własnych". Fraulein Dukas nie otwiera przesyłek opatrzonych napisem "Do rąk własnych".

Einstein rozdziera kopertę. Wie, od kogo jest. Tylko de Vries przesyła mu korespondencję przez prywatnego kuriera.

- Jedną chwilkę - powiada Einstein, zanosząc list do środka.

W salonie przystaje, nasłuchując. Szelest dochodzący z holu mówi mu, że detektyw Dejaeck czyta gazetę. Elsa jest na górze.

Zegar podróżny na kominku tyka cichutko dwa razy na sekundę.

Jeszcze przed rozpoczęciem lektury Einstein czuje wyciągające się ku niemu macki przeszłości. Może za oceanem go nie dosięgną. Czy jednak gdy wyląduje w Princeton, swej wybranej przystani, nie znajdzie starych grzechów w bagażu czekających tylko, by je wypakować?

Ostatni raport de Vriesa pod głównymi względami był uspokajający. W sprawie Draganović nie odkrył znamion spisku, chęci oszustwa czy szantażu. Jeśli ktoś z osób będących w kręgu jego zainteresowania konspirował, byłby to psychiatra Mariji Draganović, osobnik ambitny, lecz o chwiejnej psychice, którego ofiarność wobec pacjentki wywołała komentarze. Krążyły plotki, że łączy ich romans, że jego przywiązanie wykracza poza zainteresowanie zawodowe, ale nic bardziej niepokojącego. Nadal pozostaje możliwość, że



pretensje dziewczyny są urojeniem, że gdzieś, zapewne w Zurychu, usłyszała opowieść o Lieserl Einstein i uznała ją za własną historię. Upośledzone umysły często snują takie fantazje, zapewne by przywrócić sobie poczucie własnej wartości podkopane kompleksem niższości czy osamotnieniem. Jednakże berliński psychiatra nie dopatrywał się takiej skłonności u Mariji Draganović, nie stwierdził śladu zaawansowanej psychozy. Einstein również nie odniósł wrażenia, że dziewczyna jest psychicznie chora. Gdyby była obłąkana, w ogóle nie ruszyłby tej sprawy.

Jakkolwiek wygląda prawda, obecnie dziewczyna nie przebywa w Charité. De Vries przypuszcza, że nigdy więcej się już nie pojawi, a w każdym razie nie narobi dużego szumu. Wszelkie obawy Einsteina są najwyraźniej bezpodstawne.

Uczony osuwa się na kanapę, opierając jedną rękę na skraju siedzenia. Mimo wszystko chciałby poznać szczegóły. Nadal wielu rzeczy jeszcze nie wie, a te luki mogą się kiedyś połączyć w coś groźnego niczym pozostałości niedokładnie wyciętego guza.

Jeśli dziewczyna nie kłamie i nie jest szalona, musiała się po prostu pomylić. Lieserl nie żyje od lat. Przynajmniej tak mu powiedziano. Usiłuje sobie przypomnieć, kiedy Mileva go o tym powiadomiła, dokładne okoliczności. Ale nie może.

Na dole ostatniej strony widnieje przyklejone małe zdjęcie, jakie znajduje się w paszporcie i składa do biura paszportowego, gdzie zapewne de Vries je pozyskał. Tę twarz Einstein pamięta.

Marija była w tłumie w sali filharmonii. Zauważył ją, gdy tylko zaczął swoje wystąpienie. Na jego publiczne wykłady zazwyczaj przychodziły ładne kobiety, lecz coś w jej twarzy przykuło jego uwagę. Spoglądał na nią co chwila. "Czy my się znamy?"

- zapytał, kiedy przedarła się do niego przez tłum. Nie były to zręczne słowa. Wyszedł z nią chyba dlatego, że zapewne już się kiedyś spotkali i to

nieuchwytnie wspomnienie, nęcące i urocze, odżyło mu właśnie w pamięci.

Jakież to ma znaczenie? Marija nie stanowi już zagrożenia, nie wybuchnie z jej powodu skandal, który uniemożliwiłby mu osiedlenie się w Ameryce. Zniknęła i nigdy nie wróci. Tylko fotografia nie daje mu spokoju - i poczucie, że zna tę dziewczynę, co niegdyś tak go zafrapowało. Czy rozpoznał własne dziecko? O to chodzi?

Przezesuje palcami długie siwe włosy. Dlaczego Mileva miałyby go okłamać? By go skrzywdzić? Ale nie czuł się skrzywdzony, ani odrobinę. Wieść o śmierci Lieserl, prawdziwa czy fałszywa, nie miała najmniejszych konsekwencji praktycznych. Czy właśnie ten fakt umożliwił oszustwo - w istocie ułatwił je?

Do raportu dołączony jest list adresowany do dziewczyny. De Vries dopisał notkę: "Wysłał to pacjent przebywający na stałe w klinice psychiatrycznej Burgholzli. Nazywa się Eduardem, na razie jednak nie byłem w stanie ustalić jego dokładnej tożsamości". Einstein już ją zna. To niewątpliwie charakter pisma jego syna.

Zaczyna czytać. Od morza wieje coraz silniej, w domu robi się chłodno. Musi zapalić fajkę i włożyć marynarkę. Zegar tyka na kominku. Eduard. Nigdy nie myślał o Eduardzie, założywszy, że żyje gdzieś we własnym świecie, niezdolny do knucia intryg. Czy ktoś go teraz napuścił? Dostarczył mu informacji o sprawach, o których normalnie nie miałby pojęcia? Pod jego nieobecność dawne żale się rozjątrzyły, przybierając rakowatą postać.

Skończywszy lekturę, drze list oraz raport de Vriesa i wrzuca strzępy do ognia. Potem znowu wychodzi na werandę.

Fraulein Dukas bierze do ręki notatnik i ołówek. "Zamierzam przybyć do Dover najpóźniej 26 maja" - odczytuje podyktowaną wiadomość.

Einstein siada, osłaniając oczy od słońca. Niebawem przeszłość odejdzie w cień. Niebawem. Jego życie stanie się lżejsze, bardziej przejrzyste. W Princeton dokona wielkich rzeczy. Poskromi młodoturków mechaniki kwantowej, w

badaniach naukowych zapanuje zdrowy rozsądek. Ocali ich sens raz na zawsze.

Gdy tylko odzyska wolność.

Podnosi fajkę z popielniczki. Ogień w główce wygaś. Wciąga zimne, przesiąknięte smołą powietrze.

- Najpóźniej pierwszego czerwca. Będę musiał wyjechać na dłużej, niż początkowo zamierzałem.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Orlovat, 28 kwietnia

Szanowny Panie Doktorze, proszę o wybaczenie, jeśli ciekawość, która skłoniła mnie do napisania tego listu, przysporzy Panu choćby najdrobniejszych przykrości. Wyjechałam z Berlina przed miesiącem. Przez ten czas starałam się robić to, co mi Pan zalecił: zapomnieć o tym mieście i o wszystkim, co się tam zdarzyło. Lecz o pewnych sprawach muszę się dowiedzieć, inne zaś chciałabym Panu przekazać. Choć bowiem nie jestem już Pańską pacjentką i nie ponosi Pan za mnie najmniejszej odpowiedzialności, obawiam się, że mój nagły wyjazd mógł Pana zaniepokoić albo też nabrał Pan niewłaściwego mniemania o moich uczuciach bądź stanie umysłu. Często z wdzięcznością myślę, jak wiele czasu mi Pan poświęcił, jaką otaczał mnie troską i opieką, a ja w zamian zakłóciłam tylko Pański spokój.

Najpierw chciałabym się dowiedzieć, czy dobrze się Pan czuje i czy gorączka już Pana nie męczy. Pański znajomy, dr Schad, zapewnił mnie, że Pan wyzdrowieje, a mam powody przypuszczać, że jego przewidywania były słuszne. Spadła Panu temperatura, wreszcie zaczął Pan jeść i spokojniej spać, bez gwałtownych koszmarów, które tak mnie przestraszyły w czasie pierwszych dwóch dni.

Żałuję teraz, że nie zostałam dłużej, by się upewnić, że z Panem wszystko w porządku, ale mam nadzieję, że gdy pozna Pan prawdę, nie będzie mnie Pan

oceniał zbyt surowo.

Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedział Pan, że nie działał niczego pożytecznego w Charite. Miałam wrażenie że w swoim mniemaniu zawiódł mnie Pan, a Pańskie wysiłki poszły na marne. Otóż chciałam oświadczyć, że Pan się myli. Gdyby wyzdrowiał Pan nieco wcześniej albo gdybym ja nieco później wyjechała z Berlina, sam by się Pan o tym przekonał. Dziś, gdy piszę te słowa, pamięć prawie mi wróciła. Pewnych chwil, pewnych epizodów z niedawnej przeszłości nadal nie pamiętam wyraźnie, ale jest ich coraz mniej i ich liczba ciągle się zmniejsza.

Odzyskałam solidne poczucie tożsamości bez uciekania się do zmyśleń czy wspomnień z drugiej ręki. Potrzebowałam do tego siły umysłu, która pozwoliłaby mi stawić czoło temu, co mój najgłębszy instynkt chciał zagrzebać w najskrytszym miejscu. Teraz wiem, że tę siłę zyskałam dzięki Panu. Z oddalenia widzę wyraźnie, że bez Pana nadal egzystowałabym jedynie jako duch samej siebie. Być może z czasem nauczyłabym się grać tę rolę, lecz nigdy bym nie odżyła.

Opiekując się Panem w domu herr Mettlera, zaczęłam odzyskiwać utraconą wiedzę. Powracała stopniowo, nieuporządkowana. Początkowo prawie tego nie zauważałam. Owej pierwszej nocy, gdy Pan spał, przeszukałam pokój, w którym niegdyś mieszkałam, i obejrzałam dokładnie swój rzekomy dobytek. Znalazłam kufer podróży i przejrzałam jego zawartość: książki naukowe, zarazem robiące tak potężne wrażenie i tak znajome, liczne pocztówki, które kupiłam, lecz ich nie wysłałam, album do zdjęć z pustymi ramkami - wskazówka, że w mojej przeszłości kryje się smutek, który mnie dopadnie, jeśli nadal będę ją odkrywać. Stopniowo pamięć o tych rzeczach i ich znaczeniu dla mnie zaczęła odżywać jak coś, co ma się na końcu języka, choć nie można sobie tego przypomnieć.

Nie starałam się też o to zbyt usilnie. Snułam te myśli w wolnych chwilach przed snem, a także gdy nie zajmowałam się sobą i swoim pacjentem,

za które to zajęcie byłam bardzo wdzięczna. Czy pan wie, że frau Mettler pozwoliła mi korzystać ze swojej kuchni, a nawet pomagała przygotowywać jedzenie, kiedy się dowiedziała, jak ciężko jest Pan chory? W okolicy orientowałam się dość dobrze i trafiłam do dr. Schada, do którego poszłam zgodnie z Pańską prośbą. Któregoś dnia w drodze powrotnej z Grenadierstrasse bez namysłu poszłam nawet na skróty. To powinno było mi uzmysłwić, że pamięć mi wraca, ale fakt ten dotarł do mnie dzięki bardziej konkretnej przesłance.

Potraktowałam poważnie Pańskie słowa, że w Niemczech nie mogę już czuć się bezpiecznie, choć nie wiedziałam, jaką dokładnie postać owo niebezpieczeństwo może przybrać. Herr Mettler powiedział mi tylko, że ludzie znikają i że nie powinnam wychodzić po nocach. Posłuchałam jego rady i nawet jeśli odważałam się wyjść na ulicę za dnia - kiedy przyznaję, wszystko wyglądało normalnie - starałam się mieć na baczności. Przypuszczam, że gdyby chciano mnie porwać, najpierw musiano by mnie dopaść i obezwładnić. Toteż unikałam wyludnionych ulic i alei, a także regularnie zerkałam przez ramię, by sprawdzić, czy nikt za mną nie idzie. Czasami cała się trzęsłam na widok tego czy innego przechodnia, którego twarz wydawała mi się znajoma. Spostrzegłszy, że ktoś mi się przypatruje, często musiałam zbierać wszystkie siły, by nie odwrócić się i nie zacząć uciekać. Potem zauważyłam kogoś, kto nie szedł za mną, tylko obserwował dom. Widziałam go, wychodząc rano po chleb i mleko. Snuł się koło bramy cmentarza żydowskiego - nieprzyjemny typ o rumianej cerze i baczynym, przenikliwym spojrzeniu. Gdy wróciłam, stał tam, nie na widoku, lecz za bramą, krążąc bez celu od macewy do macewy, z rękami w kieszeniach prochowca.

Herr Mettler uznał, że to najprawdopodobniej reporter.

Powiedział, że reporterzy już wcześniej zachodzili do jego domu, zadając bezczelne pytania. Ten człowiek jednak nie wyglądał jak ktoś, kto chce o coś zapytać. Raczej sprawiał wrażenie myśliwego, który cierpliwie czeka, aż

zwierzyna wyjdzie z kryjówki.

Wróciwszy do pokoju, podeszłam do okna. Nie zauważyłam mężczyzny, co nie znaczyło, że odszedł. Trochę się bałam, powtarzałam sobie jednak, że mój strach jest bezsensowny, że człowiek ten zapewne przyszedł na grób bliskiej osoby. W głębi duszy już chyba myślałam o ucieczce, bo zastanawiając się, o co w tym wszystkim może chodzić, podeszłam do szuflady w komodzie, w której trzymałam czyste halki i koszule. Bez zastanowienia wyciągnęłam spomiędzy nich paszport i plik banknotów. Schowałam je tam wiele miesięcy temu. Dopiero patrząc na nie, zorientowałam się, co zrobiłam - przypominałam sobie.

Doktor Schad przyszedł tego samego dnia. Słusznie obdarzył go Pan zaufaniem, był bowiem bardzo troskliwy i dokładnie tłumaczył mi, co mam robić. Zapytałam go o zasadniczą przyczynę Pańskiej choroby i czy to, co powiedział Pan w gorączce, jest prawdą. Zapewne mając na względzie ochronę Pańskiego życia prywatnego, był bardzo oszczędny w słowach. Niemniej najwyraźniej w jego opinii ta wiadomość musiała być dla mnie wielkim wstrząsem, na tyle silnym, by zmienić moje uczucia wobec Pana. Potem stwierdził, że jestem dość młoda, by znaleźć sobie kogoś innego. Widocznie odniósł wrażenie, że jestem dla Pana czymś więcej niż pacjentką. Nie wyprowadzałam go z błędu, choć momentami miałam na to ochotę. Bo opuściłam Pana tak nagle nie z powodu Pańskiej choroby.

To z powodu pocztówek, pocztówek, które musiałam kupić, lecz ich nie wysłałam. Było to rankiem czwartego dnia. Chcąc kupić coś do jedzenia, wyszłam z domu od tyłu, przez kuchnię herr Mettlera. Jak zwykle udałam się do małej piekarni na końcu Tresckowstrasse, ale tam zabrakło chleba, toteż poszłam kawałek Prenzlauer Allee, szukając innej. Zaraz minęłam trafikę. Przed drzwiami wystawiono pocztówki z Berlina, takie, jakie miałam w pokoju - dokładnie te same widoki dokładnie tych samych miejsc, a także inne. W tym właśnie sklepie je kupiłam.

Przystanąłam bezwiednie, niemniej przystanąłam.

Zaczęłam oglądać pocztówki, zwłaszcza te nowsze, kolorowe. Robiłam to z upodobaniem od wyjazdu z kraju.

Prócz ulic i pomników na niektórych kartkach widniały obrazki zwierząt: psów, koni, kotów o długiej sierści, z kokardami na szyi. Wybrałam pocztówkę z kotami i poszłam za nią zapłacić. Wtedy przypomniałam sobie, dla kogo mają być te pocztówki, dla kogo kupowałam wszystkie poprzednie. Stałam w sklepie jak wryta, a wspomnienia napływały jedno po drugim, pytania i odpowiedzi mnożyły się z taką prędkością, że w głowie mi się zakręciło.

Zostawiłam pocztówkę i wybiegłam na ulicę. Teraz roilo się na niej od ludzi idących do pracy. Tłoczyli się w tramwajach i tłumnie ciągnęli po chodnikach w kierunku stacji przy Alexanderplatzu. Paszport i pieniądze miałam w palcie. W tej ludzkiej masie czułam się bezpiecznie, rzesza przechodniów osłaniała mnie i skrywała. Powrót na Wortherstrasse mógłby przekreślić wszelką szansę ucieczki. Ci, którzy za mną chodzili, przyszliby po mnie i Pańskie ostrzeżenia na nic by się nie zdały. A zatem gdy doszłam do Alexanderplatzu, kupiłam bilet kolejki podziemnej do stacji Poczdam, a stamtąd pojechałam tramwajem do dworca Anhalt. Siedem minut później odchodził pociąg do Monachium. Ten łut szczęścia zdawał się potwierdzać słuszność mojej decyzji. Kupiłam bilet i czym prędzej wsiadłam.

Zrozumie Pan zapewne moją chęć wyjazdu, jeśli powiem Panu, że wszystkie te pocztówki przeznaczone były dla dziecka. To o niej przypomniałam sobie w tym sklepiku, a nie miała ode mnie wiadomości od pięciu długich miesięcy. To moja córka, Anna. Ma dziewięć lat. Parę dni po moim wyjeździe z Berlina znowu byliśmy razem. I już nigdy więcej się nie rozstaniemy.

Jest mi bardzo przykro, że coś tak cennego zostało wyparte z mojej świadomości. Często czuję się winna, że moja miłość do Anny nie oparła się

spowijającej mnie ciemności. Cóż to za matka, co zapomina o własnym dziecku? Powtarzam sobie, że zbyt często na tym świecie zapomina się o dzieciach oraz że niewinne istoty nieraz porzuca się wbrew woli. Dobra opinia społeczeństwa to nakaz, któremu mało kto ma siłę bądź odwagę się oprzeć.

Splotem nieszczęśliwych okoliczności Anna przez większość swego życia wychowywała się z dala ode mnie. Nawet w dzisiejszych czasach trudno jest matce nieślubnego dziecka uzyskać posadę nauczycielki. Teraz Anna mieszka ze mną. Przeniosłyśmy się z powrotem na wieś, do wioski, gdzie się urodziłam. Tu potrzeba zatrudnienia personelu może przeważać nad niechęcią władz szkolnych, tak mi przynajmniej dano do zrozumienia. W każdym razie nigdy się już z Anną nie rozstaniemy.

Często mnie Pan pytał, dlaczego przyjechałam do Berlina. Teraz mogę Panu powiedzieć, że to z jej powodu.

Chciałam rozwiązać cień, który padał na życie Anny od momentu jej urodzenia, choć ona nigdy nie zdawała sobie z tego sprawy i zawsze będę ją przed tym chronić. Proszę o wybaczenie, że nie wyjaśniam tego dokładnie w liście.

Jeśli będziemy mieli okazję się spotkać, niczego przed Panem nie ukryję. Na razie powiem tylko, że mi się nie udało. Pytania pozostają bez odpowiedzi, choć nie dręczą mnie już tak jak niegdyś. Zastanawiam się, czy nie zawdzięczam tego Panu, jak zresztą wielu innych rzeczy.

W każdym razie widzę teraz wyraźniej, że ten cień dotyczy mnie i tylko mnie. Umrze wraz ze mną i zniknie. Nie ujrzy go ani Anna, ani ci, co przyjdą po niej, nawet we snach.

Wielcy ludzie powiadają, że światło staje się światłem naprawdę, gdy ktoś je widzi. Podobnie nie przynosi hańby sprawa, o której nikt nie wie.

Marzę sobie samolubnie, że kiedyś Pan tu do nas przyjedzie. Anna jest ślicznym bystrym dzieckiem, miłym i ciekawym świata. Z prawdziwą radością uczyłaby się od Pana.



Nawet jeśli dano nam niewiele czasu, z chęcią wykorzystam każdą godzinę i otoczę Pana wszelką troską. Powiedział Pan, że w Berlinie nic Pana nie trzyma. Może w tej nieprawdopodobnej cichej przystani znajdzie Pan spokój, którego Pan pragnie i na który niewątpliwie zasługuje.

Jeśli nie, zapewniam Pana o mojej nieskończonej wdzięczności i miłości.

Pańska oddana

Marija.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Pociąg wjechał do Belgradu, łoskocząc na potężnym żelaznym moście. W tym białym mieście Kirschowi przede wszystkim rzuciły się w oczy zatłoczone nabrzeża i porośnięte lasami zbocza zwieńczone sylwetkami kościołów. Typowe południowe miasto zabudowane przysadzistymi domami o czerwonych dachówkach.

Dopiero z taksówki dojrzał niezbywalne wspaniałości stolicy - szerokie bulwary i pałacowe budowle zwieńczone kopułami, o bogato zdobionych fasadach. Po ulicach poruszało się znacznie więcej furmanek i powozów niż ciężarówek j samochodów.

Ludzie ubrani byli z żałobną powagą, współczesna moda najwyraźniej tu nie dotarła. W popołudniowym Upille miasto, zapadłe w letarg, sprawiało prowincjonalne wrażenie - nastroszone i napawające pewną grozą. Mężczyźni mieli noże u pasa, by tym skuteczniej pomścić najmniejszą zniewagę na honorze.

W recepcji hotelu Moskwa Kirsch przejrzał miejską książkę telefoniczną. Była to cienka broszurka zawierająca zaledwie parę tysięcy nazwisk, choć portier wertował ją długo, jakby chciał podkreślić jej wagę.

- Centrala automat - rzekł, wskazując kabinę telefoniczną na przeciwległym krańcu sali. - Absolutna dyskrecja.

Kirsch znalazł nazwisko i numer, którego szukał. Wszystko to, łącznie z adresem, zapisał na skrawku papieru.

- Wie pan, gdzie to jest? - zapytał.

Portier zerknął na karteluszek.

- Tak, tak. - Machnął ręką za prawe ramię. - Ulica Kataniceva.

- A jak tam trafić?

Portier zrobił niepewną minę, jakby podawanie tak dokładnych informacji cudzoziemcowi mówiącemu po niemiecku zakrawało na zdradę.

- Chwileczkę - rzekł, po czym wezwał pikolaka.

Z kieszeni spodni pikolak wyciągnął wyświechtany plan miasta i zaprowadził Kirscha na plac. Jak wynikało z mapy, ulica Kataniceva leżała na południe od centrum, za dużym budynkiem użyteczności publicznej umiejscowionym w parku. Kirsch kupił mapę i wskoczył do tramwaju jadącego w kierunku południowym. Pasażerowie gapili się na niego, gdy szukał pieniędzy na przejazd, wyciągając banknoty dinarowe, na których widok konduktor tylko potrząsnął głową. Kobiety przechodząc obok niego, odwracały wzrok. Mężczyźni wpatrywali się weń bez słowa przeprosin. Woń bijąca z jatki dobitnie uświadomiła mu, że jest daleko od domu.

Duży budynek użyteczności publicznej okazał się kościołem, wielkim, białym i zwieńczonym kopułą w stylu prawosławnym.

Mury niedawno odmalowano, toteż gdy wyszło słońce, Kirsch musiał przysłonić oczy. Po niebie latały jerzyki, ich przeraźliwe krzyki były słabo słyszalne na otwartej przestrzeni. Przy wrotach siedziała staruszka sprzedająca pamiątki i talizmany. Kirsch zatrzymał się, by kupić pocztówkę.

Przy ulicy Kataniceva stały domy kilkupiętrowe, z czerwonymi dachówkami i fasadami zdobionymi sztukaterią; jedne wyglądały zwyczajnie, inne udekorowane były płaskorzeźbami cherubów i klasycznych urn. Domostwa te, niegdyś imponujące, w potężnej erze przemysłowej prezentowały się już tylko cudacznie. Pod numerem 10 znajdowała się jedna z większych posesji,

cała obrośnięta zwiędłym czerwonym winem. Jego włókniste pnącza niczym szkieletowe palce oplatały każdy występ, każdą wypukłość. Okiennice na górze były otwarte, ale skądinąd dom popadał w ruinę i wyglądał na niezamieszkały.

Kirsch zadzwonił. Po kamiennej podłodze niepewnie zaszurały stopy. Otworzyły się drzwi.

- Dobro jutro. - Kirsch zdjął kapelusz. - Frau Helena Savić?

Widział tylko blady owal twarzy kobiety i solidny srebrny krucyfiks zawieszony na szyi. Zamrugła na jego widok, nie wiadomo, czy ze zdziwienia czy też raziło ją światło.

- Nazywam się Kirsch, doktor Martin Kirsch.

Wyciągnął wizytówkę. Drzwi uchyliły się jeszcze o parę centymetrów. Kobieta, cała w czerni, również głowę owinęła czarną chustą. Była w średnim wieku, takim jak ciotka Helena, choć nie spodziewał się, że będzie ubrana jak zakonnica.

Ciotka Helena rzekomo urodziła się w Austrii i mówiła po niemiecku od dziecka, co potwierdzał jej list do Milevy Einstein-

- Marić, lecz ta kobieta najwyraźniej go nie rozumiała. Spojrzawszy w dół, Kirsch ujrzał parę wielkich filcowych kapci i szmatę, którą zapewne froterowała podłogę.

- Frau Helena Savić - powtórzył. - Jest w domu?

Kobieta wzięła wizytówkę.

- Moment - rzekła i gestem zaprosiła go do środka.

Hol miał ten sam wygląd zaniedbanej elegancji. Ładna tapeta w paski była spłowiała i obłaziła, plamy czarnej pleśni wypełzły na sufit, duże lustro w pozłacanej oprawie utleniło się i zmatowiało. Kobieta - zapewne gospodyni - zniknęła na górze. Kirsch usłyszał głosy: mężczyzny szorstki i poirytowany oraz kobiety, która na coś nalegała. Nasłuchiwał trzeciego głosu, drugiej niewiasty, ale nic takiego nie doszło jego uszu. Trzydzieści lat minęło, odkąd Helena Savić napisała list do Milevy Marić.

Może rozeszła się już z Milivojem. Jeśli tak, Kirsch miał nadzieję, że nadal się ze sobą kontaktują.

Właśnie za pośrednictwem ciotki Heleny Marija ponownie spotkała się z Milewą. Powiedział mu o tym Eduard Einstein.

Wyjawiał też, że matka miała o to żal do Heleny. Kirsch nie dziwił się Milewie - Helena wszak mieszała się w rodzinne sprawy, rozdrapując starą wstydliwą ranę, przywoływała do życia dawnego niechcianego upiora. Mileva musiała teraz myśleć o innych dzieciach, broniła też własnego spokoju ducha. Miała również na względzie słynne nazwisko Einsteina, którego trzymała się nawet po rozwodzie.

„Proszę Cię, byś w tej mierze postępowała ostrożnie i przestrzegała zawartych umów”. Tak Helena napisała do Milevy przed trzydziestoma laty. Z jakichś powodów zmieniła zdanie. Nagły przypływ wyrzutów sumienia? Przebudzenie religijne? Czy też stały za tym motywy materialne? W 1903 roku Albert Einstein pracował w urzędzie patentowym, obecnie jest najsłynniejszym uczonym na świecie. Rozglądając się po zapuszczonym holu, wdychając zapach stęchlizny i zastarzałego alkoholu, Kirsch wyobrażał sobie, jak zalęgła się myśl o zarobku. Gdyby Einsteinowie przyjęli Mariję, zapewne jakoś by się odwdzieczyła. A jeśli Mileva nie zechce uznać prawdy, milczenie też ma swoją cenę.

Kirsch postanowił, że prawda będzie jego darem dla Mariji.

Upewni się, że Zoltan Draganović nie jest jej ojcem, że jest córką Einsteina i powinna nosić jego nazwisko. Założył, że Helena Savić sprzymierzy się z nim w tej sprawie. Eduard mówił, że Helena jest dobra i mądra. Rozumiała wszystko.

Na górze otworzyły się drzwi. Na szczycie schodów pojawił się mężczyzna. Grubas o kwadratowej szczęce, musiał mieć z metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Zawiązywał pasek pikowanego szlafroka, który był na niego za krótki. Spojrzał w dół i zmarszczył brwi, jakby stanął przed nadzwyczaj

nieprzyjemnym wyzwaniem.

- Dzień dobry, doktorze... - Zerknął na wizytówkę Kirscha, odcyfrowując ją z wyraźnym trudem.

- Kirsch, Martin Kirsch.

- Kim pan jest? Pewnie którymś z jego ludzi.

Milivoj Savić mówił po niemiecku z wyraźnym słowiańskim akcentem.

- Przyjechałem tu z własnej inicjatywy.

Mężczyzna z trudem trzymał się na nogach, choć starał się ukryć ten fakt. Gospodyni przesunęła się obok niego i zeszła po schodach, mamrocząc coś pod nosem.

- Czy ktoś jest chory?

- Przybyłem tu w sprawie Mariji Draganović. Chciałbym porozmawiać z frau Savić, jeśli to możliwe.

Herr Savić prychnął i wygiął plecy, jakby chciał ukryć swój stan.

- Mojej żony obecnie tu nie ma.

- A kiedy można się jej spodziewać?

- Za dwa, trzy dni. Jest w Nowym Sadzie, w odwiedzinach...

- Savić uczeplił się ręką poręczy -... u znajomych.

To wszystko, na co go było stać. Odwrócił się niepewnie i ruszył z powrotem do pokoju. ‘

- Powiem jej, że pan był - rzekł, zamykając drzwi.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Licząca pięćdziesiąt trzy lata Helena Savić, drobna i siwa, siedziała przyoknie kawiarni” U Królowej Elżbiety” nad szklanką zimnej herbaty. Czekala.

Gdy jako dziecko mieszkała w Austrii, prątki gruźlicy zaatakowały jej stawy, a zwłaszcza lewe kolano. Z tej przyczyny miała krótszą nogę. Jak jej

przyjaciółka Mileva Marić, która cierpiała na wrodzone przemieszczenie biodra, ona również przez całe życie nosiła but ortopedyczny. Był brzydki, czarny, ciężki i w żaden sposób nie dało się go zamaskować. Można było najwyżej ukryć to paskudztwo pod długimi spódnicami, dlatego nosiła je, choć już dawno wyszły z mody. Wiedziała, że ją postarzają, a latem wygląda w nich nieco śmiesznie, ale też Belgrad to nie Wiedeń, a tym bardziej Paryż. Odkąd zaś Milivoj stracił pracę w Ministerstwie Finansów, i tak brakowało jej pieniędzy na modne fatalaszki. Dopiero teraz, gdy już było za późno, żałowała, że nie ma czegoś elegantszego, kostiumu szytego na miarę ze spódnicą do połowy łydki. Takie stroje oglądała czasami w magazynach mody. Właśnie dziś chciała znowu wyglądać młodo.

Wpatrywała się w plac koło teatru, mrużąc oczy przed światłem. Cienka chmurka przesuwiała się cicho po słonecznej tarczy.

Helena mocniej ścisnęła porysowaną skórzaną torbę, którą trzymała na podolku.

Torba należała do Julki, naj starszej córki Heleny. Spotkanie z Albertem umówione było już dwa tygodnie temu - wtedy w każdym razie przyszedł telegram - ale dopiero dziś rano zaczęła się zastanawiać, do czego włożyć listy, te listy, które trzymała zamknięte w biurku. Julka była już dorosła, zamężna i pracowała jako wolontariuszka w państwowym szpitalu. Torba nie była jej potrzebna, lecz Helena i tak się martwiła, że córka może być do niej przywiązana z jakichś względów uczuciowych. Jak wytłumaczy Julce, że zabrała jej własność? Zarumieniła się na samą myśl.

Przejechał wóz, podkowy zastukały na starych, jeszcze tureckich kocich łbach. Zegar za barem wskazywał pół do drugiej.

Bez sensu wybrała stolik przy oknie. Albert tu nie usiądzie, bo byłoby go widać od ulicy. Teraz jednak jest już za późno. Jeśli się przesiądzie, zwróci uwagę na siebie, a przy okazji na Alberta.

Kelnerzy i tak byli dość czujni - krążyli koło niej z kartami dań,

przywozili ciastka na wózku, proponowali specjalności kuchni.

Zastanawiała się przez chwilę, czy go rozpoznają. Od czasów gdy był tu stałym gościem, minęło dwadzieścia pięć lat. Oczywiście, że go poznają - twarz Alberta jest znana na całym świecie.

Mniej pewne było, czy on ją rozpozna.

Na stole leżał nóż. Wychyliła się do przodu, usiłując uchwycić swe odbicie w ostrzu. Jakże wyda się Albertowi zmieniona, jakże stara i zniszczona - przez czas, rodzenie dzieci, a nade wszystko przez powolną nieubłaganą utratę nadziei. Czasami żałowała, że w ogóle wyjechała z Austrii albo że, jak Mileva, nie znalazła sobie męża w Szwajcarii, gdzie życie jest łatwiejsze.

Albert nigdy nie zaakceptował Milivoja Savicia. Uważał, że jest dla niej zbyt głupi, zbyt ograniczony. Powiedział jej to prawie w oczy. Nie zniechęcił Heleny. Raczej czuła się mile połączona, że Albert tak wysoko ocenia jej inteligencję. Również jego związek z Milewą Marią przysporzył Helenie zmartwień, choć z zupełnie innych powodów. Albert nigdy nie rozumiał Milevy.

Nie pojmował, w jaką otchłań nieszczęścia potrafi się stoczyć, nie ogarniał jej niezmiernie potrzeby miłości.

Nim pojawił się Albert, Mileva zdążyła już prawie pogodzić się z losem starej panny. Była ładna na swój sposób, ale nieszczęściem utykała, a także odznaczała się nieśmiałą melancholijną naturą. Nie potrafiła tańczyć ani słodkimi słówkami zdobyć serca wybranka. Jedynym mężczyzną, któremu starała się dogodzić, był jej ojciec, Milos Marić, i tu przynajmniej jej się udało. Mileva była jego ulubienicą, największym powodem do dumy. Oczywiście póki nie splamiła jego honoru.

Co Albert widział w Milevie? Na pewno nie znajomość rachunku różniczkowego ani zdolność do zrozumienia jego doświadczeń i teorii - choć wśród kobiet stanowiło to wyjątkową rzadkość. Może po prostu opiekowała się nim całym sercem, czuł się miło i dobrze w jej towarzystwie, a ona oddała mu się całkowicie i bez zastrzeżeń? Ale była też matka Alberta. Pogardzała małą

serbską kuternogą, jak ją kiedyś nazwała. Szkalowała ją i wyszydzała tak złośliwie, że wieści o złym języku pani Einstein regularnie doprowadzały Milewę do łez. Co czyniło ją jeszcze bardziej pociągającą w oczach Alberta. Patrząc wstecz, Helena widziała to wyraźnie - wszystkich chciał trzymać na dystans.

Narzucał go sobie nawet w stosunku do własnych instynktów i pragnień. Bez wątpienia trudno mu było się przeciwstawić własnej matce, najważniejszej kobiecie w jego życiu. Dlatego właśnie czuł, że musi to zrobić. Chciał wyjść zwycięsko z tej próby.

Nie dostrzegał tylko - czy też nie chciał dostrzec - jak miłość zmieniła życie Milevy, jak wszystko skupiało się na Albercie i od niego zależało. Największym na to dowodem było poczęcie Lieserl. W Wojwodinie taką plamę na honorze rodziny zmazywało się krwią. Nawet narzeczon, który pospieszył się z dopełnieniem nocy poślubnej, mógł skończyć z poderżniętym gardłem. Dla ciężarnej kochanki wygnanie i niesława były jeszcze najmniejszą karą. Może Milevy to nie obchodziło, bo już przebywała na wygnaniu. Wielki wszechświat Einsteina stał się jej ojczyzną, jej światem.

Telegram od Alberta brzmiał bardziej jak wezwanie niż zaproszenie. Nie dawał do zrozumienia, że przyjedzie do Belgradu.

Zapewne nie chciał się spotkać z Milivojem albo obawiał się jego niechęci. Mąż Heleny nie mógł sobie poradzić po utracie pracy.

Może Mileva opowiedziała Albertowi o awanturach, które wyprawiał po pijanemu, doprowadzając się do takiego stanu, że całymi dniami nie wychodził z domu. W takim razie szkoda, że jej o tym opowiedziała. To są sprawy wyłącznie między nimi.

Milivoj, mimo wszystkich swych wad, zawsze był porządnym człowiekiem.

Podszedł kelner i zabrał szklankę Heleny. Zbyt była zajęta myślami, by go powstrzymać. Wrócił z rachunkiem. Wyciągała pieniądze z portmonetki, gdy



do kawiarni wkroczył jakiś nieznajomy. Jego twarz była pomarszczona i pokryta piegami jak u wiejskiego chłopca, ale miał na sobie czystą koszulę i modny dwurzędowy garnitur. Zdjął kapelusz i metodycznie rozejrzał się po sali, przesuując wzrok od stolika do stolika. Potem wbił w Helenę przenikliwe spojrzenie bladych oczu.

Portmonetka wysunęła się jej z dłoni i upadła na podłogę.

Helena schyliła się, by ją podnieść, a wtedy torba niemal całkiem ześlizgnęła się jej z podołka. Kiedy Helena ponownie podniosła wzrok, nieznajomego już nie było.

Przed kawiarnią zatrzymał się zakurzony niebieski samochód.

Przechodziła tamtędy akurat grupka młodych kobiet rozmawiających szeptem. Przystanąły przy oknie i spojrzały na pojazd.

Potem się odwróciły i odeszły, chichocząc i ściskając się nawzajem za ramiona. Przybył Albert. Dziewczęta musiały widzieć, jak podjeżdża - starzec niezmiernie podobny do profesora Einsteina. Nie przyszłoby im do głowy, że to rzeczywiście profesor Einstein, przecież nie pojawiłby się w tym małym serbskim miasteczku, gdzie nie ma ani teleskopów, ani uniwersytetu, który mógłby wzbudzić jego zainteresowanie. Ponadto Albert był zbyt sławny, jako żywa legenda nie ukazałby się w cielesnej postaci w konkretnym miejscu i czasie. Helena zdała sobie sprawę, że niczym bóstwo religii monoteistycznej, stał się wszechobecny.

Był wszędzie i nigdzie. Zastanawiała się, czy nie to stanowiło od początku jego cel, tajemne pragnienie zaostrzające jego nienasyconą ciekawość.

Miał na sobie czarny kapelusz z szerokim rondem, o wysokim denku, wygięty na górze jak nakrycie głowy kowboja. W zębach ścisnął fajkę. Krawat w paski był związany w mały niedbały węzeł.

Podszedł do Heleny, machając fajką na powitanie. Siadając, zdjął kapelusz. Włosy miał dłuższe i bardziej rozwichrzone niż kiedyś, przetykane siwizną i srebrnymi nitkami, a pierwotny kolor zachował się tylko nad uszami.

Najwyraźniej druga frau Einstein nie dbała o niego tak jak pierwsza.

- No to jestem - odezwał się.

Natychmiast pojawił się kelner, wręczając mu kartę dań.

- Kawa - rzekł Einstein, oddając mu kartę. - Dwie filiżanki.

Można by sądzić, że nie było go parę godzin, a nie dwadzieścia lat. Grzebał w kieszeni, szukając zapalek. Z jego ubrania bił silny zapach tytoniu. Kiedyś, choć dysponował skromnymi środkami, wydawał się Helenie eleganckim młodzieńcem; teraz był wyraźnie zaniedbany. Uznała, że nie troszczy się już o pozory.

Uzmysłowiła sobie, że gapi się na niego.

- Albercie - rzekła. - Kochany Albercie.

Kochany? Co ona mówi? Oblała się rumieńcem - jak podfruwajka poproszona do pierwszego w życiu tańca.

- Miło cię widzieć.

Albert uśmiechnął się z pobłażaniem, jego ciemne oczy błyszczały. Zapalił zapalkę, po czym przytknął ją do główki fajki.

Dym? który wypuścił, miał zaskakująco owocowy zapach. Dużo przyjemniejszy niż ostry chemiczny smród, który wydzielają papierosy jej męża.

Einstein jakby czytał w jej myślach.

- Amerykańska mieszanka - powiedział, wrzucając zapalkę do popielniczki. - Nazywa się "Objawienie". Przy takiej nazwie... - Wsunął kciuki do kieszonki kamizelki i rozejrzał się po kawiarni. - Zmienił się ten lokal.

- Jest taki sam. Trochę bardziej obskurny. - Helena obrzuciła wzrokiem porysowane meble, niegdyś białe, a teraz pożółkłe bawełniane firanki i pomazaną boazerię, niechlujnie polakierowaną, tak że jej braki stały się jeszcze bardziej widoczne. - Nie remontowano go od lat. Nie ma pieniędzy.

- Pamiętam tylko ten lokal - rzekł pogodnie Albert.

- Zawsze podawali tu doskonałą kawę.

Helena była pewna, że kawa sprawi mu zawód, jak i cała ta kawiarnia, która mocno podupadła na podobieństwo miejscowej klasy średniej. Przed wojną Nowy Sad miał pewne znaczenie strategiczne jako miasto graniczne. Most przez Dunaj był najważniejszym przejściem do cesarstwa austrowęgierskiego.

Służby celne i wojsko zapewniały wiele miejsc pracy, a także możliwości handlu. Obecnie Nowy Sad tkwił gdzieś w środku Jugosławii i był miastem targowym, na które przypadało nieproporcjonalnie dużo wspaniałych posesji; stał się po prostu ostatnim przystankiem przed Belgradem.

- Będzie mi tego brakowało - dodał Albert. - Amerykanie umieją robić tytoń. Ale sztuka parzenia kawy jest im kompletnie obca.

Helena słyszała, że Albert wraca do Ameryki. Czy naprawdę wyjeżdża na stałe?

- Gdzie się zatrzymałeś? - zapytała. - Na Kisackiej?

- Albert zrobił zdziwioną minę, jakby ta nazwa nic dla niego nie znaczyła.  
- W domu Mariciów?

- Aha. - Albert się nachmurzył. - Nie. Teraz mieszka tam Zorka.

Postukał fajką o zęby, jakby wnioski płynące z tego stwierdzenia chciał wyrazić alfabetem Morse'a. Albert nigdy nie okazywał szczególnych względów młodszej siostrze Milevy, ona z kolei zawsze się go bała. Przeżycia czasu wojny okaleczyły ją psychicznie (na myśl o nich Helenę nadal przechodził dreszcz). Chyba żaden mężczyzna, a już na pewno nie Serb, nie chciałby poślubić kobiety, którą zgwałciła banda żołdaków, nawet zakładając, że była chętna. To wszakże nie powód, żeby jej unikać. Przez całe życie nie skrzywdziła nawet muchy.

- Skoro mieszka sama, na pewno znalazłoby się miejsce dla gościa - rzekła Helena.

Albert w zamyśleniu ssał fajkę.

- W tym domu jest podobno mnóstwo kotów. Przygarnia bezdomne

zwierzaki z ulicy. Służba dostaje szału, a matka jest zbyt stara, by ją powstrzymać.

- I tak chętnie by cię przyjęła.

- Hotel w zupełności wystarczy. Zresztą i tak jutro wyjeżdżamy.

- Wyjeżdżacie? To nie przyjechałeś tu sam?

Albert wyrzwał przez okno. Taksówka nadal czekała.

- Muszę podróżować z obstawą. Nalega na to Elsa i moi amerykańscy chlebodawcy. Dziś nawet po plaży spaceruję z ochroną.

- On cię ochrania?

- Gdy mu za to płacą. Tym razem wykonuje inne obowiązki. Elsa za każdym rogiem widzi hitlerowskich agentów.

- Tajniak. - Pomysł ten wydał się Helenie nieprawdopodobny i przewrotny. Kto chciałby zabić Alberta Einsteina?

- Czy ma broń?

- Nie sądzę. - Albert uważnie przyjrzał się główce fajki.

- Nie da się z nim porozmawiać, ale przynajmniej nosi mój bagaż. Moje plecy są wdzięczne za brak zatrudnienia, za to mój język jest skonsternowany.

Przyniesiono kawę i dzbanuszek mleka. W Zurychu, gdzie wszyscy razem studiowali, Helenie wydawało się, że Albert żyje o kawie - kawie, tytoniu i kiełbaskach, i to nie zawsze najlepszej jakości. Mileva się obawiała, że skończy się to rachityzmem, toteż zaczęła mu gotować, by zupełnie nie stracił zdrowia. Wszystko to obróciło się przeciw niej, gdy Albert powiedział matce, by przesyłała paczki żywnościowe na adres Milevy. Myśl, że mieszkają razem, obraziła poczucie przyzwoitości frau Einstein. Od tego momentu stosunki między obiema paniami bardzo się pogorszyły.

- Przyniosłaś listy? - zapytał Albert, nalewając kawę.

Helena się zarumieniła. No to sobie pogadali. Rozmowa była krótka, uprzejma, lecz bez śladu serdeczności. Choć nie widziała się z Albertem od czasu jego rozvodu, żywiła nadzieję, że dawny przyjaciel z przyjemnością

odnowi stare wspomnienia.

- Mam tu wszystkie. Niektóre naturalnie zaginęły. - Albert przypatrywał się jej w milczeniu. - Nie rozumiem, na co ci one. W końcu to listy Milevy.

- Mileva też chce je z powrotem.

- Oddasz je Milevie?

Albert przesunął ku niej filiżankę. Było to głupie pytanie.

Listy zostaną zniszczone - zawierają zbyt wiele informacji o nieszczęśliwym małżeństwie, zbyt wiele informacji o nieślubnym dziecku, którego Albert nigdy nie widział. Wraz ze sławą i pieniędzmi przysłała paranoja. Nie ma innego wyjaśnienia.

Helena podniosła filiżankę i znowu ją odstawiła.

- Naprawdę nie masz się czego obawiać. Mnie można wierzyć.

Albert upił kawy i skrzywił się - albo dlatego, że słowa Heleny sprawiły mu przykrość, albo kawa była nienadzwyczajna, czego się zresztą spodziewała.

- Co do tego nie mam wątpliwości. Ale gdyby coś ci się stało? Komu dostałyby się listy? A gdyby cię obrabowano?

- Mogę je zniszczyć tak samo jak ty, jeśli o to ci idzie.

Albert sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął białą kopertę.

- Nie mogę cię o to prosić. Kiedyś będą miały dużą wartość.

To byłoby nie w porządku.

Oparł kopertę o solniczkę, jak się stawia kartę urodzinową, Helena spojrzała na nią i zorientowała się, że próbuje oszacować jej grubość.

- Dlaczego teraz?

- Naprawdę nie wiesz? - rzekł. - Chodzi o tę historię z Mariją Draganović.

Wycięłaś mi niezły kawał.

Wyglądał na poirytowanego. Helena przypomniała sobie, jaki jest porywczy, jego nagłe wybuchy gniewu przerażały Milewę, choć mówiła o nich tylko szeptem. Nie był silnym mężczyzną, lecz od wczesnych lat umiał wykorzystywać dla swych celów siłę ciężkości. Każdy kto go zdenerwował,

narażał się na zrzucenie ze schodów - dzieci, służące, nawet żona. Mileva opowiadała, że w takich chwilach Albert stawał się innym człowiekiem, niepanującym nad swymi emocjami, ofiarą namiętności i przemocy, których skądinąd tak się obawiał i którymi tak pogardzał.

- Nie chciałam ci wyciąć kawału, Albercie. Dobrze poradziłam bardzo inteligentnej dziewczynie. Szukała nauczycielki, więc od razu pomyślałam o Milevie. I tyle.

Albert z wolna potrząsnął głową.

- Przestań udawać, Heleno. Mileva wszystko mi powiedziała. Wiem, kim jest Marija Draganović.

Helena czuła, że krew odpływa jej z twarzy. Nie ona wymyśliła to kłamstwo. Mileva się uparła. "Powie mu, że Lieserl nie żyje" - napisała w liście do Heleny. Owego roku Albert pojechał do Palestyny, owego roku wygłosił wykład na rozdaniu nagród Nobla w Szwecji. Dziesięć lat temu. "Niech już nie myśli o swojej córce, tak będzie najlepiej dla niego i dla niej". Chciała, by Helena dochowała tajemnicy.

- Przykro mi, Albercie. Zrobiłam tylko to, o co prosiła Mileva. Chciała, żebym nigdy nie wspomniała słowem na ten temat, i tak też było. - Albert ssał fajkę. - A poza tym nigdy nie pytałeś mnie o Lieserl. Ani trochę się nią nie interesowałeś.

Nie chciała robić Albertowi przykrości, choć na to zasługiwał.

Pod tym względem zawsze był jak dziecko. Poczucie winy odzywało się w tych, którzy usiłowali przywołać go do porządku.

- Przyjechała do Berlina - rzekł. - Wbiła sobie do głowy, że odnajdzie ojca.

- Mileva musiała jej powiedzieć. Janie pisnęłam słówka, Albercie, przysięgam.

Albert potrząsnął głową.

- Wiem, wiem. To Eduard. Znalazł jakieś stare listy w mieszkaniu

Milevy. O Lieserl. Nie wiem kiedy. Pewnie lata temu.

- Pociągnął nosem. - To teraz wiesz, dlaczego tu jestem.

Helena przycisnęła torbę.

- Co się stało?

- A co się miało stać?

- W Berlinie.

- Nic.

- Nic?

Albert wzruszył ramionami.

- Przyjechała do letniego domu. - Odsunął od siebie filiżankę z kawą, z niesmakiem plaskając językiem o podniebienie. - Więcej tu nie przyjdę. Inaczej to kiedyś wyglądało.

Szkoda.

- I co było potem?

Albert znowu wziął fajkę, ale już zgasła. Spojrzał obojętnie na główkę, jakby mu nie zależało na wydobyciu z niej dymku.

- Zaszło nieporozumienie. Zagadnęła mnie na wykładzie publicznym. Kobiety często to robią. Nie miałem pojęcia, kim jest. Powiedziała, że ma na imię Elżbieta. Uczyła matematyki.

Więc zaprosiłem ją do siebie. Ostatnio przyjmuję mnóstwo gości. Za dużo.

Opowieści o życiu Alberta w Berlinie doszły uszu Milevy, a niektóre także Heleny. Jego drugie małżeństwo - z kuzynką, Elsą - było najwyraźniej równie burzliwe jak pierwsze, lecz małżonków łączyły słabsze więzi. Żona nie miała naj mniejszego wpływu na Alberta. Nie pozwalał jej się do niczego wtrącać. Wychodził i wracał, kiedy mu się żywnie podobało, jadł wtedy, kiedy miał ochotę, i tam, gdzie mu przyszła fantazja, przyjmował, kogo chciał. W Caputh chodziły nawet słuchy, że Elsa musiała całkiem się wynieść z domu, by Albert mógł swobodnie zapraszać wielbicielki, bez zażenowania i obaw, że ktoś

mu przeszkodzi. Szeptali o tym Milevie do ucha życzliwi. Chcieli tym sposobem dać do zrozumienia, że lepiej jest jej bez niego. Takie gadanie tylko złościło Milewę. Świadczyło o braku lojalności. Albert zasługuje na lepszych przyjaciół. Przez te wszystkie lata od rozwodu Helena ani razu nie słyszała od Milewy złego słowa o jej byłym mężu.

- Więc przyjechała tam. Zapewne byłeś sam.

- Pracowałem. Chciałem z powrotem zabrać się do pracy.

Nie masz pojęcia, ile się teraz ode mnie wymaga, Heleno. Kiedyś, w Zurychu, życie wyglądało zupełnie inaczej. Byłem wtedy wolnym człowiekiem.

Helena poczuła się nieswojo. Albert zawsze miał opinię niestałego w uczuciach, nawet gdy się dopiero co poznali, uchodził za kobieciarza. Wówczas Helena uważała, że bardziej pozował na uwodziciela, niż rzeczywiście chciał zdobywać niewieście serca. Teraz, kiedy sława przydaje mu atrakcyjności i uważa, że może sobie pozwolić na więcej niż zwykły śmiertelnik, ma wiele możliwości, by odgrywać tę rolę w życiu.

Marija miała być kolejnym podbojem, przelotną miłostką.

Czy aż tak niefrasobliwie traktował swoich "gości"? Czy zawsze odbywało się to w ten sam sposób? Ulubione miejsce w domu - może w bawialni na górze, gdzie stała szeroka kanapa?

- Wy tłumaczyła się? Dowiedziałeś się, kim jest, zanim...

- Powiedziała, że jest Lieserl. Wyobrażasz sobie? Ni z tego, ni z owego. Sądziłem, że mnie szantażuje. A co innego miałem sobie pomyśleć? Dzięki tobie.

Helena wyobraziła to sobie - Marija pełna nadziei, rozradowana, nie mogąca wykrztusić słowa, ale z sercem na dłoni; on tłumaczący to wszystko uniesieniem ślicznej młodej wielbicielki omdlewającej z zachwyty. Jakże to musiało mu pochlebiać. I jak go podniecić. A potem figa', panna osadziła go, wysuwając dziką pretensję, która musiała być bezpodstawna.

- Byłeś wściekły?



- Pogoniłem ją.
- Po schodach?
- Co takiego?
- Poraniła się. Tak powiedziała Mileva.
- Upadła. Padało. Stopnie były mokre.
- Stopnie...
- Pobiegłem za nią, ale uciekła. Pewnie myślała...

„Myślała, że ojciec chce ją zgwałcić”. Helenie zrobiło się słabo. Nie chciała już tego słuchać, Albert jednak gadał jak najęty, chcąc się usprawiedliwić.

- Ukradła moją łódź. Wskoczyła i odepchnęła się. Wiedziałem, że przepuszcza wodę, niestety, ta dziewczyna nie chciała słuchać. - Postukał fajką w popielniczkę, by ją opróżnić. Niewypalony tytoń rozsypał się, podobnie jak popiół. - To wariatka. Wiosłowała tak szybko, że mało nie zemdlała. Dałem jej odpłynąć.

- Dalej nie wiedziałeś, kim ona jest?

- A skąd? Bredziła coś bez sensu. Trochę zaczęło się to wszystko układać, kiedy się dowiedziałem, że jej psychiatra pojawił się w Zurychu.

Z drugiego końca sali przypatrywał im się miejscowy notabl z małżonką. Mężczyzna miał oburzoną minę, jakby obecność geniusza w kawiarni stanowiła niezасłużony zamach na jego pozycję, - To wszystko wytrąciło mnie z równowagi - rzekł Albert.

- Ładnych parę dni nie mogłem dojść do siebie. To się nie może powtórzyć.

Helena wzięła się w garść.

- Przykro mi, że sprawiła ci kłopot. Mam nadzieję, że nic złego się nie stało.

Albert westchnął. Oddech miał mdlący i obrzydliwy. Wyjął kapciuch i zaczął z powrotem nabijać fajkę.

- Teraz rozumiesz, Heleno, dlaczego stałem się taki ostrożny. Tylu ludzi chce obrzucić kamień kamieniami. - Zachichotał z tego kalamburu ze swego nazwiska. - Stałem się wielkim bożkiem. Jedni czują, że powinni mnie czcić, inni chcą mnie obalić.

Przyszedł kelner, by zabrać filiżanki. Zanim Helena zdołała się powstrzymać, chwyciła kopertę, by jej nie zgarnął. Kiedy znowu uniosła wzrok, Albert się uśmiechał.

Po odejściu kelnera położyła kopertę z powrotem.

- Kiedyś grała tu muzyka - rzekł Albert. - Co się stało z grajkami?

- Walce wiedeńskie wyszły już z mody. Wiele tu się zmieniło, Albercie.

- Miło było po prostu posiedzieć tu i posłuchać - powiedział. - Nie trzeba było ciągle trajkotać. - Spojrzał na zegarek.

- Czas na mnie.

Helena położyła przed nim torbę z listami.

- Tu są wszystkie.

- A tak - rzucił niedbale Albert, jakby listy wyleciały mu z pamięci. -  
Dzięki.

Założył torbę na ramię i podniósł się. Torba wyglądała na nim trochę komicznie, gdyż pasek był nieco za krótki na dorosłego, ale Einstein zupełnie się tym nie przejmował.

- Albercie. - Helena wychyliła się i położyła mu rękę na ramieniu. - Nie gniewaj się na mnie. O Mariję. Nie miałam prawa stać jej na drodze. Nie chciałam stwarzać problemów.

Poklepał ją po ręce.

- Problemy są po to, by je rozwiązywać. Życie bez nich byłoby nudne.

Helena uśmiechnęła się z przymusem. Czowała, że traci coś cennego, tym razem na zawsze.

- Nie podnoś się - powiedział Albert. - Najlepiej będzie, jak wymknę się niepostrzeżenie. Szkoda, że nie mogę zostać, ale przed wyjazdem mam jeszcze

jedno spotkanie.

Znowu nałożył ten dziwny czarny kapelusz i ścisnął fajkę zębami.

- Mogę zapytać z kim?

- A, z kimś. - Albert wyciągnął drobne z kieszeni i z uśmiechem położył je na stole. - Niech zostanie anonimowy.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Kirsch mruga gwałtownie i budzi się. Jakaś staruszka lekko potrząsa go za kolano i mówi do niego, choć on nie rozumie.

Zasnął w pociągu. Wyprostowuje się jak należy i poprawia okulary, widząc, że przyglądają mu się inni pasażerowie. Brakuje mu tchu, poci się, tak że koszulę ma całkiem moką.

Staruszka kiwa głową i rozsiada się wygodnie, tłumacząc reszcie, że młodemu człowiekowi śniło się coś koszmarnego. To pewnie od żołądka. Inni się śmieją.

W przedziale panuje gorąc i duchota. Kirschowi trudno jest oddychać. Stara jeszcze coś mówi, gdy Kirsch niepewnym krokiem wychodzi na korytarz, szarpiąc kołnierzyk koszuli. Stara pokazuje na siatki bagażowe nad siedzeniem. Przypomina mu, by nie zapomniał swojej walizki. Czyż ona nie wie, że stracił ją w powodzi? Dopiero w połowie korytarza uświadamia sobie, że powódź tylko mu się śniła.

Po wizycie na ulicy Kataniceva wyjechał z Belgradu pierwszym pociągiem. Nie było sensu czekać na Helenę Savić. Mogła nie wracać przez parę tygodni albo już nigdy więcej się tam nie zjawić. A nawet gdyby przyjechała, nie wiadomo, czy chciałaby z nim rozmawiać. Ale podróż z Berlina wyczerpała go. Powinien był parę dni wypocząć.

W Nowym Sadzie zawiadowca stacji informuje Kirscha, że na północny wschód biegnie lokalna linia kolejowa prowadząca przez Titel. Sądząc z dużej

mapy na ścianie, dowiezie go parę kilometrów od Orlovatu. Tyle że ostatni pociąg już odjechał. Kirsch będzie musiał przenocować.

- Polecam hotel Królowa Maria - powiada zawiadowca.

Mówi doskonale po niemiecku. - Najstarszy w całej prowincji i najlepszy.

- Przed wojną nazywał się Królowa Elżbieta, z tym, że ona była Bawarką, więc...

Przepraszająco wzrusza ramionami. Najwyraźniej nie jest entuzjastą federacji jugosłowiańskiej. Kirsch marszczy brwi. Już to kiedyś słyszał. Potem przypomina sobie: tak jak hotel, Marija miała kiedyś na imię Elżbieta. Lieserl. Czy zawiadowca o tym wie? Czy to miał być żart?

- Nie rozumiem.

Zawiadowcy rzędzie mina.

- Bez urazy, proszę pana. - Robi gest w kierunku ulicy.

- Taksówka pana zawiezie.

W całym mieście ciężkie brzękliwe dzwony wybijają godzinę drugą.

Marija Draganović słyszy je z sali recepcyjnej hotelu Królowa Maria. Ich tony rozchodzą się po całym placu, podrywając do lotu stadko gołębi. Marija składa ręce na podołku i czeka. Czeka tak już od pół godziny, czując, jak ze zdenerwowania żołądek podchodzi jej do gardła.

Dziesięć dni temu otrzymała list od Milevy Einstein. Marić z Zurychu. Mileva pytała, jak Marija się miewa, a także powiadamiała, że jej były mąż, Albert, wybiera się do Nowego Sadu i chce się z nią spotkać. Pragnie się upewnić co do stanu zdrowia Mariji oraz wyjaśnić wszelkie nieporozumienia, do których mogło dojść w Berlinie. W parę dni po tym liście przyszedł telegram. Miała odpowiedzieć odwrotną pocztą. Spotkanie odbędzie się dziś o drugiej.

Jest jej gorąco w prostej szarej sukience i ciężkich butach podróżnych. Frontowe drzwi otworzono na oścież i podparto, by wywołać przeciąg. Po przeciwnej stronie ulicy dziecko przykucnęło na kocich łbach, bawiąc się bąkiem. Marija widziała je przedtem z rodzeństwem, które dokądś zabrała

matka. O malcu najwyraźniej zapomniano. Ale on się tym nie przejmuje. Całą uwagę skupia na bąku, któremu przygląda się na czworakach, niemal dotykając policzkiem ziemi, rozplaszczony, jakby bączek był jakimś maleńkim drewnianym bóstwem pokazującym swą złudną moc.

Wspomnienia Mariji o Caputh nadal są niepełne, stanowią oderwane fragmenty, ostre i raniące niczym kawałki rozbitego lustra. Popłynęła parowcem. Był to już sam koniec sezonu - rzędy pustych foteli, zamglone słońce połyskujące na szarej wodzie. Poszła ścieżką przez las, ze zdziwieniem wdychając duszne żywiczne powietrze. Wachlowała się mapą, którą sobie kupiła.

Spomiędzy złożów mapy ciągle wypadło ogłoszenie o wykładzie Einsteina. W końcu podniosła je i wetknęła za dekolt. Caputh znajdowało się dalej, niż z początku sądziła. Suknia zaczęła ciążyć Mariji, powiewające fałdy oblepiały jej nogi. Z drogi w pobliżu domu wyjechał samochód. Kobieta o niedbale upiętych siwych włosach, siedząca na fotelu pasażera, rzuciła jej pogardliwe spojrzenie.

Cały dom trzeszczał jak okręt. Przy drzwiach znajdowało się miejsce na buty. Zasapana, chwiejąc się na nogach, ściągnęła w holu botki. Salon znajdował się na górze. Z tarasu na dachu schody prowadziły do ogrodu, białe barierki odcinały się na tle ciemniejącego nieba. Narzuta w szkocką kratę przykrywała leżak.

- Elsa pojechała do Berlina na całe popołudnie. Po sprawunki i takie tam.

Byli sami. Cieszyło to Mariję. Mieli z Einsteinem mnóstwo do omówienia, winni wyjawić sobie wiele tajemnic. Dobrze, że nikt ich nie podsłucha.

Nie otrzymał jej listu, choć wysłała go ekspresowo przed trzema dniami. Powiedział, że na pocztę nie można polegać. Co chwila strajkuje. Ponadto przychodzi do niego mnóstwo listów od prywatnych osób. Czyta tylko to, co podsunie mu osobista sekretarka. Gdy zaczęła go naciskać, by jednak sprawdził

korespondencję, zirytował się.

- Co takiego miałaś mi do powiedzenia, czego nie mogłabyś powiedzieć teraz?

Wielu rzeczy nie mogła mu powiedzieć. Właśnie dlatego wszystko to opisała - by postawić mu przed oczami całą tę historię. Wtedy zrozumie swą córkę, ujrzy ją w takim świetle, w jakim chciała mu się pokazać. Spacer rozgrzał ją. W pokoju było duszno, a ciężki zapach drewna przyprawiał ją o lekkie mdłości.

- Czy mogę zaczerpnąć trochę powietrza?

Podniosła się i podeszła do okna balkonowego. Rączka nie chciała się przekręcić. Einstein rozbawionym okiem obserwował z kanapy jej zmagania.

- Zdejmij żakiet - powiedział. - Chcę ci się przyjrzeć.

Wtedy powiedziała sobie, że to całkiem normalne. Co w tym dziwnego, że ojciec chce popatrzeć na swe nigdy niewidziane dziecko?

Powiedziała, że chce jej się pić. Potrzebuje trochę czasu, by zebrać myśli. Einstein wyszedł, po czym powrócił z czymś ciemnym i słodkim w kryształowym dzbanku. Miał na sobie luźne spodnie i koszulkę tenisową. Biały materiał podkreślał jego opaleniznę.

Nie wiedziała, jak zacząć. Było jej strasznie wstyd. Poczula się słabo. Zdjęła żakiet. Gruba bawełniana bluzka przywierała jej do skóry. Potem oboje znaleźli się na kanapie. Einstein zapytał ją o wykład. Czy rozumiała, o co chodzi? Czy nie poświęcił zbyt wiele czasu równaniom pola? Czy jasno przedstawił geometrię różniczkową? Odniosła wrażenie, że Einstein tak naprawdę nie ma pojęcia, kim ona jest ani dlaczego tu przyszła. A wydawało się, że w sali filharmonii rozpoznał ją od razu. Wystarczyło, że wymieniła swoje nazwisko, a już odciągnął ją na stronę. "Musimy porozmawiać - rzekł. - Im szybciej, tym lepiej. Miałem nadzieję, że mnie odszukasz".

Przełknęła napój. Zapięło ją w gardle. Einstein poklepał ją po kolanie.

- Więc co chciałaś mi powiedzieć?

W którymś momencie straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, myślała, że śni. Była w Orlovacie. Wszędzie zalane grunty, rzeka ciemna i wezbrana, wrony dziobiące usta jej siostry uwięzionej w wierzbowych gałęziach. Kuchenny stół z bujającą się w górze lampą. Głos w jej głowie mówiący: "To nie ja. Mnie tu nie ma".

- Nie ma co mdleć z mojego powodu. - Twarz Einsteina znajdowała się tuż przy niej. Jego oddech cuchnął tytoniem.

- Zapewniam cię, że równie wysoko cenię panie, które kochają się z pełną świadomością.

Szklanki się przewróciły i stłukły na podłodze. Elżbieta Einstein. Nazywam się Elżbieta Einstein. Jestem Lieserl. Twoją córką.

Pamięta, że wykrzyczała te słowa w duchu. Ale czy na głos?..

Potem ciemność. Na próżno usiłowała się dogrzebać tej chwili.

Pamięta jedynie smak krwi w ustach. Nie ma pojęcia, skąd się tam wzięła.

- Sprytna mała zdzira.

Na jego białej koszulce tenisowej koszulce, tuż nad sercem, widniała krwawa smużka.

Znajdowali się na zewnątrz, na tarasie. Marija dostrzegła łódź wiosłową kołyszącą się na falach. Ręka Einsteina otaczała jej ramię. Uścisk miał silny, niczym marynarz. Jakby wbił w nią szpony.

- Kto cię do tego namówił?

Wyrwała się, dotarła do szczytu schodów, ale czuła mężczyznę za plecami. Potem upadła, wyciągając ramiona w ziejącą pustkę. Najprawdopodobniej przekoziółkowała na dół. Przez panikę przedarł się ból. Pamięta, że zadała sobie pytanie: "Czy złamałam rękę?". Dłonie miała otarte i zakrwawione.

Schody pod nią drżały. Zbiegał na dół, ciężkie kroki waliły w drewno.

Potem w łodzi, gdy serce biło jej tak, że nie mogła złapać tchu, obejrzała się na dom - ani śladu Einsteina. Pusto. Dokąd poszedł? A potem chłodna woda

wezbrała u jej stóp. Zatapia ją.

Utonie w tym ciężkim ubraniu. Pociągnie ją na dno niczym ołowiany całun. A jeśli Einstein dostrzeże pływającą Mariję? A jeśli będzie ją ścigał wzdłuż brzegu? Musi bardziej się oddalić. Musi zniknąć mu z pola widzenia.

Słońce już dawno zaszło. Woda miała kolor łupka, jej powierzchnię lekko wzburzył nasilający się wiatr. Marija zdarła z siebie ubranie, wymiotując wodą, gdy łódka wypłynęła spod niej. Ostatnią rzeczą, jaką pamięta, był wstrząs z zimna, kiedy jej głowa zapadła pod powierzchnię jeziora, przelotne uczucie strachu przed mrokiem toni.

Dzwoni telefon. Marija podnosi wzrok. Podchodzi do niej staruszek, który pracuje w recepcji. Prawie cały personel hotelu Królowa Maria wydaje się za stary na swe stanowiska.

- Panna Draganović?

Kiwa głową.

- Przed hotelem czeka na panią samochód.

Wygląda na ulicę. Chłopiec z bączkiem poszedł sobie. Jego miejsce zajął samochód, czarny i lśniący. Ktoś czeka na tylnym siedzeniu, paląc fajkę.

\*

Kamienice w Nowym Sadzie nie różnią się od belgradzkich, tyle że są starsze. Czas i siła ciężenia pozbawiły je kształtu, tak że nie strzelają już pionowo w górę, co odarło je z godności. Ulice: są szerokie, pozbawione drzew i puste. Kirsch przypuszcza, że mieszkańcy Nowego Sadu tkwią głównie w domach, uciekając przed żarem. Jadąc do centrum miasta, wyobraża sobie, że obserwują go zza łuszczących się okiennic.

Wóz zaprzężony w konia, wyładowany po brzegi baryłkami piwa, częściowo zagradza drogę. Kierowca taksówki chce go wyprzedzić, musi jednak zwolnić tak, że ledwo pełźnie po jezdni.

Samochód jadący z przeciwnej strony zachowuje się tak samo.

Kiedy się mijają, Kirsch spostrzega Mariję na tylnym fotelu obok



starszego pana w czarnym kapeluszu o szerokim rondzie.

Z początku go to nie dziwi. Ostatnimi czasy gdy myśli o Mariji, często widzi ją przed oczami, przynajmniej przez parę sekund.

Podobnie w ostatnim roku wojny widywał widma poległych żołnierzy. Ujrzał już Mariję biegnącą po zatłoczonym peronie, wielokrotnie dostrzegał jej odbicie w szybach wystawowych. Potem z gwałtownym drzeniem serca uświadamiał sobie, na co naprawdę patrzył. Napływały otaczające go widoki i dźwięki. A Marija znikała.

Lecz tym razem nie znika. Odwraca głowę, patrząc wprost na niego. Kirsch uśmiecha się do niej. Ona nie odpowiada mu uśmiechem. Minę ma wstrząśniętą, jakby tym razem to ona żyła, była istotą z krwi i kości, a on martwą zjawą.

Gdy odjeżdżają, starszy pan wychyla się do przodu ciekaw, co też tak zainteresowało jego towarzyszkę. Kirsch spostrzega jego twarz.

Nalegał, by nazywała go Albertem. Jak dotąd Marija w ogóle się do niego nie zwraca, bo nie wie, co powiedzieć. Tytułowa - nie go to akurat najmniejszy problem. Profesorowi najwyraźniej wystarcza, że dziewczyna od czasu do czasu skinie bądź pokręci głową, wybąka "tak" lub "nie". Z początku czuła się zagubiona, niebawem jednak w zachowaniu Einsteina dostrzegła wręcz cień uniesienia - wyczuwa je w jego głosie, a i pociąga z fajki z takim zadowoleniem, jakby spadł mu ciężar z piersi. Najwyraźniej nie był pewien, jak Marija się zachowa podczas ponownego z nim spotkania, i z ulgą stwierdził, że nie czuje doń wrogości. W Berlinie doszło do nieporozumienia, powiada Einstein, za które chce dać zadośćuczynienie przed wyjazdem do Ameryki. Nic nie wspomina o amnezji dziewczyny - może go o niej nie poinformowano, a może w nią nie wierzy. Dziękuje Mariji uprzejmie za poświęcenie czasu na podróż z Orlovatu. Wie, że to męczące przedsięwzięcie, zważywszy na stan serbskich dróg. Jakby byli starymi przyjaciółmi.

Samochód prowadzi nieznajomy w dwurzędowej marynarce.

Jego blisko osadzone oczy obserwują w lusterku Mariję, która nie ma wątpliwości, że te oczy śledziły ją już wcześniej.

- Kto to jest? - pyta cicho, by kierowca jej nie podsłuchał.

- To de Vries. Nie przejmuj się nim. Głównie ma przeciwdziałać grawitacji.

- Przeciwdziałać grawitacji?

- Nosi moje bagaże.

Przed nimi na jezdnię wytacza się wóz. Kierowca hamuje.

Znajdują się na rogu ulicy Kisackiej, w połowie drogi na dworzec. Z przeciwka nadjeżdża inna taksówka. Jest tak wąsko, że ledwo zdołały się minąć.

Kirsch powiada kierowcy, by się zatrzymał, lecz ten nie rozumie. Taksówkarzowi wydaje się, że Kirsch ma zastrzeżenia co do trasy.

- Tam kopią - mówi, machając kciukiem przez ramię, po czym zakreśla ręką kręgi. - Objeżdżam.

Z tylnego okienka Kirsch widzi, że taksówka Mariji przyspiesza, wzbijając kłęby kurzu.

- Tędy.

Pokazuje palcem w kierunku samochodu, ale kierowca potrząsa głową. To nie jest kierunek do hotelu Królowa Maria.

Wysuwa podbródek w stronę rozpościerającej się przed nimi drogi i naciska klakson, jakby miało to przyspieszyć przejazd.

Kirsch się waha. I po co ma za nią jechać? Marija nie potrzebuje już jego pomocy. Odnalazła ojca albo to on ją odnalazł. Nie rozdziela się więcej. Ona i jej córka pojedą z nim do Ameryki, gdzie ich sekrety staną się nieistotne. I będzie to bezbolesna emigracja, bez konieczności zrywania jakichkolwiek więzi.

Kirsch kładzie rękę na ramieniu taksówkarza. Kierowca naciska na hamulec.

- Tędy - powiada Kirsch. - Za nimi.

Kierowca rzuca przekleństwo i zawraca. Taksówka Mariji skręca w

prawo, w boczną uliczkę. Kobieta z koszem na głowie patrzy, jak przejeżdża obok niej.

- Tędy. W tym kierunku!

Kierowca ma dość. Przystaje i każe Kirschowi wysiąść. Jak dla niego ten zwariowany cudzoziemiec może się przespacerować. Kirsch bierze swoją walizkę i rozgląda się. Wokół ani śladu taksówek, nie ma żadnego pojazdu. Nie ma wyboru, dalej musi iść pieszo.

Na zardzewiałej tabliczce na rogu widnieje napis: „Almaska”. Ulica jest wąska, na rozpadających się fasadach domów czernieją smugi sadzy. Ta uliczka donikąd nie prowadzi. Może tu jada. Może to jest punkt docelowy Mariji.

Sto pięćdziesiąt metrów dalej wznosi się kościół otoczony drzewami - wysoki barokowy budynek o spadzistym czerwonym dachu i białej dzwonnicy. Kirsch biegnie naprzód, szukając tablicy z nazwą hotelu, szkoły, czegoś, co tej wyprawie nadawałoby sens, lecz są tu tylko domy, piekarnia z opuszczonymi żaluzjami, rdzewiejące balkony, obłaząca farba - i kościół.

Narodziny, małżeństwa i zgony. Na co im kościół? I nagle świta mu w głowie - kościoły prowadzą księgi parafialne.

Kościół nadaje imię. Czy tu Marija otrzymała swoje?

Jakie jednak znaczenie ma teraz ten dawny obrzęd, stary i bezużyteczny? Co to obchodzi Alberta Einsteina? Może Marija potrzebuje wizy do Ameryki. Może musi udowodnić Amerykanom, kim naprawdę jest.

Kirsch opiera się o framugę. Od biegu się zadyszał i dostał zawrotów głowy. Ze środka dochodzi szczekanie. Psie pazury truchtają po kamiennych płytach. Drzwi drżą, szczękają rygle.

Ulica Almaska wychodzi na mały plac. Wokół kościoła rozciąga się cmentarz okolony żelaznym ogrodzeniem. Wiatr porusza gałęzmi drzew. W przeciwległym rogu placu mężczyzna przepasany fartuchem rozsuwa markizę. Śruba wydaje piskliwy dźwięk.

Kirsch nie był tu nigdy w życiu, ale to miejsce wydaje mu się znajome.

Przez chwilę ma poczucie, że znowu śni, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. A potem widzi, jak przechodzą przez bramę cmentarza i kroczą między grobami - Albert Einstein i jego pierworodne dziecko.

Przystaje. Tym razem Marija nie podnosi wzroku. Jej ojciec coś mówi, a ona słucha w skupieniu. Co takiego jej powiada?

Kirsch chciałby to usłyszeć. Pragnie, by wiedziała, że przyszedł choćby tylko po to, by się z nią pożegnać.

Wtedy spostrzega drugi samochód. Zaparkowany po przeciwnej stronie drogi, z pracującym silnikiem. Niski krępy mężczyzna stoi parę metrów dalej, paląc papierosa. Lustruje wzrokiem ulicę. Jego zachowanie, postawa, twarz - wszystko to wydają się Kirschowi dziwnie znajome, choć z początku nie ma pojęcia skąd.

Reporter. Ten, którego widział z Robertem Eisnerem. Kręcił się koło kliniki. Co on tu robi?

Kirsch zwalnia kroku. Reporter musi tu być ze względu na Einsteina. Cóż innego by go tutaj sprowadziło? Jak jednak znalazł uczonego? I skąd wiedział, gdzie szukać?

„... zauważyłam kogoś... obserwował dom... nieprzyjemny typ o rumianej cerze i baczym, przenikliwym wejrzeniu. Gdy wróciłam, stał tam, nie na widoku, lecz za bramą, krążąc bez celu od macewy do macewy”.

Mariję śledzono i trop zawiódł do Einsteina. Czy to wyłącznie łut szczęścia? Czy też wszystko przewidziano, zaplanowano, wszystkiego się spodziewano?

Kto powziąłby taki plan? Kto miałby cierpliwość, dane, środki? Nie zwykły dziennikarzyna. Nie ktoś, kto pracuje dla gazety, tylko ktoś, kto pracuje dla państwa. Tajny policjant, szpieg.

Mogli byli zatrzymać Mariję w Niemczech, ale ją wypuścili.

Kirsch zatrzymuje się jak wryty. Nagle wszystko staje się jasne.

Marija na nic im nie była potrzebna w Niemczech. Einstein nigdy by nie

wrócił do Rzeszy. Natomiast w mieście w Wojwodinie, w którym niegdyś przebywał, mógłby się poczuć bezpiecznie.

Zarzuciłby środki ostrożności. Dziewczyna od Einsteina jest przynętą, wabikiem.

A teraz i on tu się znalazł. Akurat w porę, by być świadkiem zamachu na Alberta Einsteina.

Spojrzenie nieznanego zatrzymuje się na Kirschu. Mruży oczy. Ze zdziwienia czy z obrzydzenia? W tym momencie wyparowują ostatnie wątpliwości. Popychany siłą przeznaczenia Kirsch zaczyna biec, choć nie po to, by jak najszybciej oddalić się od zamachowca, lecz właśnie ku niemu.

\*

Hans de Vries rozpoznaje Martina Kirscha parę minut po tym, jak Kirsch rozpoznał jego, i po chwili namysłu dochodzi do tego samego wniosku. Kirsch jest ambitny i niezrównoważony umysłowo - jak to mówią, w gorącej wodzie kąpany. Zauważono, jak obsesyjnie się skupił na przypadku Draganović, zagarniając go dla siebie, co świadczy o oportunizmie niezwykłym w jego profesji. Dla oportunisty obecność Alberta Einsteina w Nowym Sadzie stanowi gratkę, której nie można przepuścić, daje bowiem okazję do dalszego awansu, zaskarżenia sobie względów nowego reżymu, nie mówiąc o pięćdziesięciu tysiącach marek, które obiecują pronazistowskie gazety. Wystarczy zabić Alberta Einsteina i uciec przez granicę.

Jakiegokolwiek wątpliwości co do takiego rozumowania znikają na widok Kirscha, który rusza ku niemu biegiem z zaciśniętymi zębami, jakby się gotował do uderzenia. Kiedy dzieli ich jakieś dziesięć metrów, de Vries sięga do wewnętrznej kieszeni. Jednak nie ma w niej Walthera PPK. Uświadamia sobie, że zostawił pistolet w schowku. Trzy dni służby w charakterze kamerdynera i szofera profesora Einsteina przytłumiły jego zdolność wyczuwania niebezpieczeństwa. Uczony najwyraźniej nie bierze pod uwagę możliwości, że zostanie zaatakowany, jego olimpijska pewność siebie stępiła czujność de

Vriesa.

Detektyw stoi przy samochodzie po niewłaściwej stronie - po stronie kierowcy. Może powinien zanurkować po broń.

Z trzaskiem otwiera drzwi i od razu się orientuje, że popełnił błąd. Kirsch rzuca się na nie, przyciskając do ramy de Vriesa, który nie ma punktu oparcia. Nie może odepchnąć od siebie Kirscha. Nagle rozlega się dźwięk dzwonów, ciężkich, donośnych, lecz nie w jego głowie, tylko nad nim. W kościele ćwiczą dzwonnicy. Kirschowi spadły okulary. Zwisają komicznie zjednego ucha.

Znowu trzaska drzwiami, mocniej. De Vries czuje, że pęka mu żebro, i krzyczy.

Chwieje się. Kirsch puszcza drzwi. Cofa się i wymierza de Vriesowi cios w bok głowy, która odbija się od dachu samochodu niczym koścista piłka futbolowa.

Albert przystaje w połowie drogi do południowych drzwi i rozgląda się, jakby usiłował ustalić, gdzie się znajduje.

- Wiele czasu minęło - powiada. - Mileva kiedyś mi pokazała, ale nie jestem pewien...

Wyciąga fajkę najpierw w jedną stronę, potem w drugą, po czym chrząka z wyraźną satysfakcją i rusza w kierunku dzwonnicy, która lśni olśniewającą bielą w zamglonym świetle słonecznym. Cmentarz jest mały, lecz porządnie utrzymany, między grobami w równych odstępach rosną cisy i szerokolistne drzewa.

Kwiaty, niektóre zwiędłe i zbrązowiałe, mówią o spokojnej więzi między żywymi i zmarłymi.

Przechodzą jakieś pięćdziesiąt metrów.

- To tutaj - rzecze Albert. - W tym miejscu.

Prowadzi Mariję do grupy nagrobków tuż przy kościelnym murze. Widnieje na nich nazwisko MARIĆ. Wskazuje jeden.

U wezłowania stoi gliniany wazon z peoniami. Wyglądają świeżo,

podobnie jak sam nagrobek.

- To Milos Marić - powiada Albert. - Mój były teść. Tu skończyłaby Mileva, gdyby nie...

Nie kończy zdania. Nie musi. Zachodząc w ciążę, Mileva splamiła honor rodziny. W oczach ojca stała się zwykłą kurwą.

W tym momencie Marija uświadamia sobie, co tak naprawdę mówi Einstein: "Nie ja wyznaczam te zasady. Nie mają ze mną nic wspólnego".

Albert się odwraca i odchodzi kilka kroków, wpatrując się w kolejne nagrobki. Parę metrów dalej, częściowo przesłonięte rozrastającymi się cisami, znajduje się kolejne skupisko grobów rodzinnych. Tu nagrobki są gorzej utrzymane - większość kamieni jest zniszczona i zwietrzała, wykute w żelazie krzyże pochyliły się pod naporem natarczywych korzeni. Do prostego drewnianego krzyża przybita jest mała mosiężna tabliczka. Widnieją na niej litery: S. D. To jedyny spośród grobów Draganowiciów, u którego podnóża stoją kwiaty, co prawda zwiędnięte i zbrązowiałe.

Dla Mariji rodziny Draganowiciów i Mariciów dzieli trzydzieści lat i półtora tysiąca kilometrów. Ale tu, na tym cmentarzu, oddalone są od siebie zaledwie o parę metrów ziemi. Tutaj stały się przyjaciółmi, sąsiadami, prochem z tego samego prochu - tyle że jej nie wolno było o tym wiedzieć.

Albert wpatruje się w drewniany krzyż.

- Wiesz, kto tu leży?

- Aty?

Albert wkłada ręce do kieszeni.

- Zapomniałem imienia. Jak ono brzmi?

- Senka.

- Ach tak. Utonęła? To ona, prawda?

- Tak.

W końcu Albert zdejmuje kapelusz.

- Powiedziała mi, że to ty. Znaczy moja żona. Powiedziała, że Lieserl nie

żyje. Utonęła. Więc jak stwierdziłaś...

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiła?

- Czyż to nie oczywiste?

Honor rodziny. To chce powiedzieć. Wszystkiego tego dokonano w obronie honoru rodziny Mariciów. Lecz kłamstwo byłoby konieczne tylko wtedy, gdyby Albert groził rozgrzebaniem tej sprawy, odszukał córkę i chciał ujawnić światu jej istnienie.

A gdzie są na to dowody? Być może Mileva powiedziała byłemu mężowi, że nie ma już córki, bo to właśnie chciał usłyszeć. Byłoby to jedno obciążenie mniej, jedna mniej więź łącząca go z codziennym życiem.

Albert wyjmując z płaszcza kopertę. Marija orientuje się od razu, że zawiera pieniądze. Prezent pożegnalny. W zamian za jej milczenie.

Marija przykuca, by zabrać zwiędłe kwiaty. Zostawiła je przed paroma miesiącami, w drodze do Szwajcarii.

- Nigdy nas nie odwiedziłeś, tak jak Mileva. Nigdy o nic nie pytałeś. Nie byłeś ani trochę ciekaw?

Albert potrząsa głową, wkłada kapelusz i odwraca się. Przez chwilę Marija myśli, że już ją tu zostawi, ale starszy pan ponownie kieruje na nią wzrok.

- Moja droga, a czego, na litość boską, miałbym być ciekaw? - Wskazuje na niebo, słońce, światło. - W porównaniu z tym?

Dziadek. Marija czekała na właściwy moment, by mu powiedzieć. "Dlatego cię szukałam; Chciałam, żebyś o tym wiedział".

Teraz jednak z przeraźliwą jasnością dostrzega, że właściwy moment nigdy nie nadejdzie.

Albert znowu coś mówi o okolicznościach i jej prawie do uzyskania wyjaśnień, ale bicie dzwonów zagłusza jego słowa. Na całym placu rozbrzmiewa ich zgiełk - bo nie są to melodyjne uroczyste akordy, lecz donośne mechaniczne grzmoty, które wstrząsają powietrzem. Albert wyciąga kopertę, po



czym pochyła się i rzuca ją na podolek Mariji. I wtedy Marija spostrzega Martina Kirscha - tym razem nie ma wątpliwości - który biegnie ku nim przez cmentarz.

Hansowi de Vriesowi wydaje się, że w rynsztoku roi się od czarnych mrówek. Są ich miliony, kłębiąca się masa przykrywająca wszystko, tyle że w przeciwieństwie do mrówek, które widywał przedtem, te nie idą w jednym kierunku, nie mają określonej linii marszu. To mrówki pogrążone w chaosie, celowym i pracowitym, lecz pozbawionym myśli przewodniej, ich wysiłki skazane są na jałowość i konflikt zmierzający do tego, by cała kolonia wymarła.

Czuje ich odnóza na grzbiecie dłoni, maleńkie szczytce zatapiają się w jego ramionach.

Z wysiłkiem podnosi się na kolana. Samochód obok niego stoi na stromej pochyłości. De Vriesem targa niepokój, czy na pewno zaciągnął hamulec ręczny i czy samochód nie zsunie się, zanim...

Zanim co? Potem sobie przypomina - zanim zdoła odzyskać pistolet, pistolet, którego potrzebuje, by zabić Martina Kirscha.

Staje na nogi i kładąc się na fotelu kierowcy, otwiera pokrywę schowka.

Walther jest ciężki i solidny. Już wzięwszy go do ręki, de Vries czuje się spokojniejszy. Kiedy wychodzi, samochód opada na koła niczym przechylona łódź, która t. wolna ustawia się dnem do dołu. Detektyw mruga, czując, że w oku ma coś lepkiego, co zakleja mu powiekę. Pociera ją. Palce ma zakrwawione.

Rozgląda się po placyku. Dzwony kościelne dzwonią, ale wokół nikogo nie widać. Gdzie się podział Eilstein? Od jak dawna go nie ma? Przychodzi mu do głowy, że uderzenia w dzwony obwieszczają śmierć Einsteina. A może nie jest jeszcze za późno.

Może to wezwanie o pomoc.

Śpieszy na cmentarz. Lewe oko zakrywa mu krzepnąca krew.

Słyszy przed sobą krzyki. Einstein stoi nieruchomo, Kirsch biegnie ku niemu z uniesioną ręką. Czy trzyma coś w dłoni? Nóż?

Broń?

De Vries widzi, że Einstein na niego patrzy. Profesor stoi w miejscu jak przymurowany. Wskazuje na Kirscha, jakby mówił: "Zrób coś!". De Vries unosi walthera, ściskając go obiema dłońmi. Wcześniej strzelał z niego tylko raz, ponad rok temu, w dniu, w którym go kupił. Poszedł do lasu i kroił do zgniłych jabłek, pudłując za każdym razem. Powinien ćwiczyć, ale pociski są drogie. A jeśli nie trafi w Kirscha, tylko w profesora?..

Kirsch chwyta Einsteina za ramię. De Vries nie ma chwili do stracenia. Musi strzelić. Natychmiast.

- Boże, zmiłuj się.

Celuje trzęsącymi się dłońmi.

Ciało opada w nienaturalny sposób, jakby osłabła sieć niewidzialnych sił, które dotąd utrzymywały je w zwartej wyprostowanej postaci. Koordynacja, forma i ukierunkowanie rozpadają się w bezkształtnym chaosie. Na chwilę Kirsch odzyskuje równowagę, a na jego twarzy maluje się pytanie, lecz zaraz osuwa się na kolana.

Albert biegnie do bramy. Jest tam pokrwawiony de Vries, który wrzuca coś do kieszeni płaszcza. Mariji świta, że to on musiał strzelić. Pomylił się. Wszystko na nic.

Marija podbiega do Kirscha, pomaga mu się ułożyć na plecach. Nie widzi rany. Musi być gdzieś pod płaszczem. Usiłuje ją znaleźć, ale Kirsch łapie Mariję za ramię niczym ślepiec.

- Nic mu nie jest? - Twarz ma śmiertelnie bladą. - Nic mu nie jest?

Tylko to go obchodzi. Dzwony przestały bić. Z placu Mariję dobiega trzask zamykanych drzwi samochodu, pomruk silnika.

Kirsch z trudem chwyta oddech, przewraca się na bok. Marija pomaga mu się ułożyć - przypomina sobie, że to musi być ten bok. Leżąc na nim, ma mniejszą szansę utopienia się we własnej krwi. Trzeba wezwać karetkę, trzeba odwieźć Kirscha do szpitala. Cmentarz jest pusty, ale w kościele na pewno są

ludzie. Ktoś przecież uderza w dzwony.

- Zaraz wrócę. Leż spokojnie. Leż teraz spokojnie.

Kirsch nadal zaciska ręce na jej ramieniu. Marija łagodnie je odrywa i krzyżuje mu pod brodą.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Słońce świeci jaskrawym blaskiem. Pada mu prosto w twarz, niemal go oślepiając. Czy został postrzelony? Chyba tak. W każdym razie lepsze to niż pocisk artyleryjski. Lepsza kula niż szrapnel. Kulę łatwiej wyjąć, rana jest mniej poszarpana. Trudno tylko zatamować krwawienie.

Już widzi chirurga rozcinającego na nim ubranie, pielęgniarki czyszczące ranę szczypcami i watą. Zaraz podadzą mu chloroform albo morfinę, by uśmierzyć ból. Gdyby tylko serce nie waliło mu tak mocno. Nie chce zemdleć. Pragnie wiedzieć na pewno, że się nie spóźnił.

Przewraca się na plecy. Widzi teraz podwójne słońce, żółte i gorące. Pielęgniarki ubrane są jak siostry zakonne. Spod masek i habitów widać tylko ich oczy, czujne, lecz pozbawione wyrazu. Z ukłuciem bólu Kirsch uświadamia sobie, że przypadek Draganović zostaje wreszcie zamknięty. Nic już nie może zrobić.

Usiłuje się pocieszyć myślą, że pewnego dnia, gdy nadejdzie właściwa pora, a Marija będzie daleko, opíše tę historię w czasopiśmie psychiatrycznym. Można z niej zaczerpnąć nauki, ludzie mądrzejsi od niego wyciągną z tej lekcji wnioski.

Okno zasłania biała firanka wydymająca się na wietrze jak żagiel. Jeden z chirurgów nachyla się nad Kirschem, brwi ma zmarszczone. Jego wargi poruszają się pod maską, Kirsch jednak nie słyszy najmniejszego dźwięku.

Zamyka oczy. Wkrótce zdaje mu się, że się unosi, i to nie w mrocznej wodzie swych koszmarów, lecz na połyskującym przejrzystym morzu. Na

brzegu rozbrzmiewają głosy, niektórych nie słyszał już od wielu lat. Wołają do niego. Tyle chcą się dowiedzieć, a on ma im wiele do powiedzenia. Czekali tak długo.

Nadal ma nadzieję, że nie dotrze do nich zbyt szybko. Chce nieco dłużej zostać z Mariją. Chce wiedzieć, że wszystko jest już w porządku. Chce zajrzeć dziewczynie w twarz i zobaczyć jej uśmiech - taki jak przy ich pierwszym spotkaniu. Chce dostać na pamiątkę jej fotografię czy narysowany portret. Usiłuje do niej zawołać, szczękę wszakże ma sztywną, martwą. Jego usta nie wypowiedzą jej imienia. A zresztą jak ona ma na imię? Marija czy Elżbieta? Jakie imię wybierze teraz, skoro wybór należy do niej?

Kiedy budzi się ponownie, dziewczyna siedzi obok niego, trzymając go za rękę. Jego ciało jest tak ciężkie, że nawet obrócenie głowy wymaga wysiłku. Gdy tym razem wypowiada jej imię, brzmi ono głośno i wyraźnie.

Pochyla się nad nim.

- Jestem przy tobie. Leż spokojnie.

W drugim końcu pokoju pielęgniarka przechodzi od łóżka do łóżka, roznosząc pościel. Na chwilę unosi wzrok, po czym wraca do pracy. Pobielony sufit jest sklepiony jak w katedrze czy średniowiecznym zamku. Przez otwarte okna widać drzewa. Potem Kirsch sobie przypomina.

- Nic mu się nie stało? - pyta. - Czy jemu nic się nie stało?

- Absolutnie. nic.

- Śledzono cię. To była zasadzka.

Potakuje, na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu.

- Dobrze, że tam byłeś. Inaczej by zginął. Uratowałeś mu życie.

Nie przyszło mu to wcześniej do głowy. Uratował życie Alberta Einsteina. Więcej już nie można od człowieka wymagać. Nawet Max byłby z niego dumny - Max najbardziej ze wszystkich.

Przez chwilę nie czuje najmniejszego bólu. Jest mu niezwykle lekko.

- Wreszcie cię odnalazł. Twój ojciec.

- Tak.

Przytyka mu do ust szklanę wody. Kirsch uświadamia sobie, że w istocie chce mu się pić. Pije ostrożnie, lecz i tak woda ścieka mu po policzku.

- Pojedźcie z nim do Ameryki. Ty i twoja córka. Tam jest bezpieczniej.

Marija odbiera mu szklanę i stawia na nocnym stoliku. Gdy znowu na niego spogląda, uśmiecha się jak należy.

- Dobrze. Tylko będziesz musiał pojechać z nami.

- Ja?

Obejmuje jego dłonie obiema rękoma.

- Mój ojciec uważa, że to dobry pomysł. Pojedziesz, jak ci się polepszy?

Często wyobrażał sobie Amerykę i życie Mariji w tym kraju.

Oczyrna duszy widzi ją teraz, jak siedzi na werandzie białego szalowanego domu. Jest zatopiona w pracy, w ręku trzyma ołówek, a na kolanach ma rozłożony notatnik, taki sam jak berliński. Przez otwarte okno widzi ojca, który przechadza się, pykając z fajki, w oczekiwaniu na rezultaty jej dociekań. Na podwórku dziewczynka skacze przez skakanę, licząc pod nosem. Zwiędłe liście szeleszczą na trawie pod jej stopami. On idzie ścieżką, prowadząc rower. Marija unosi ku niemu wzrok i uśmiecha się.

- Jak mi się polepszy - powiada Kirsch, zamykając oczy.

\*

Marija wychodzi ze szpitala pół godziny później. Policjant siedzący w korytarzu nawet nie drgnie. Złożyła już jego przełożonym oświadczenie, w którym stwierdza, że na cmentarz przysła sama, by odwiedzić grób siostry. Nie zna ani ofiary, ani zamachowca, podobnie jak przyczyny sporu. Jak dotąd nikt nie podważył jej zeznań. Może to się teraz zmieni i miejscowi śledczy okażą się dociekliwi, skoro jeden z uczestników zmarł. Ale Marija wątpi w to. Śmierć nieznanego cudzoziemca jest dziwna, lecz nic poza tym. Nie zagraża spokojowi miasteczka. Tymczasem jej ojciec i jego anioł stróż już dawno zdążyli się oddalić.

Jej córka przybywa pod opieką Mai Lukić, akurat gdy Marija wychodzi na ulicę. Z tej uroczystej okazji dziewczynka ma na sobie nową niebieską sukienkę, ciemne włosy przewiązane wstążką. Marija przykuca i mocno przytula córeczkę.

- Była bardzo grzeczna przez całą drogę - powiada Maja.

- Uwielbia podróże pociągiem.

- Marzyłam, żeby ją poznał - rzecze Marija. Nie chce płakać przy dziecku, ale trudno jej powstrzymać łzy, trudno ukryć smutek i drżenie głosu.

- Kto taki? - pyta konspiracyjnym szeptem Maja Lukić.

- Chodzi ci o tego sławnego uczonego?

Marija zaczerpuje głęboki oddech. Podnosi się, strzepuje kurz ze spódnicy.

- Nie. Nazywał się Martin Kirsch. - Bierze córkę za rękę i odchodzi z nią.

- Był lekarzem.

Droga Elzbieto, dołączam te ostatnie zapiski, by przypomnieć Ci o mojej prośbie i nakłonić Cię, abyś nie osądzała zbyt surowo tego niesfornego 11Ytworu wyobraźni; który niebawem będzie już tylko istniał - jeśli w ogóle istnieje - wyłącznie w Twoim umyśle z wyłączeniem wszystkich innych na świecie. To Twoja opowieść w więcej niż jednym tego słowa znaczeniu, gdyż tkwisz i w jej środku jako postać, i na zewnątrz niej jako czytelniczka. Mam nadzieję, że wiedząc o tym, nie będziesz urażona moim tupetem, ponieważ czytelnik, podobnie jak uczonego, kształtuje to, co widzi, zgodnie ze swymi zmysłami, doświadczeniem i założeniami. A więc Ty i ja musimy jak rodzice podzielić się odpowiedzialnością za kształt, jaki przyjęła ta nasza latorośl, choć została poczęta w tak niesprzyjających okolicznościach.

Mam nadzieję, że doktor Kirsch był Ci przyjemnym towarzyszem na tych licznych stronicach. Prawdę mówiąc, nie spotkałem jeszcze podobnego mu psychiatry. Takim psychiatrą chciałbym zostać, gdybym tylko miał spokojniejsze. usposobienie i bardziej uporządkowany umysł.

Zgodziłbym się nawet ponieść taką samą śmierć, w pewnym sensie szczęśliwszą niż wiele sytuacji życiowych. Każdy chyba wolałby umrzeć za wielką sprawę, nawet złudną, niż żyć bez marzeń.

Ufam, że Niels Bohr i jego sprzymierzeńcy docenią moją powieść. Ale mój ojciec będzie czuł do niej odrazę każdym nerwem swej istoty. Dlatego pilnie ją przed nim ukrywaj. Wyprze się swego udziału w kształtowaniu jej charakteru, podobnie jak zaprzecza, że ukształtował mnie, a skoro o tym mowa, również Ciebie. Bez wahania nazwie ją dziełem szaleńca, widząc, jak jej postaci - Ty, ja i doktor Kirsch - istnieją równocześnie w różnych miejscach jak kwanty, które tak zdecydowanie chce namierzyć. Tyle że on szaleństwem nazywa wiele rzeczy, które go nie obchodzą. Może łatwiej mu je odrzucić, niż zaakceptować. Jednakże inna część mnie pragnie, by zobaczył, co napisałem, choćby go to zmieniło, i poznał choć ułamek ceny zapłaconej za jego wolność.

Mam nadzieję, że uczciwie przedstawiłem własny charakter, swoje zachowanie oraz istotę mojego zaburzenia.

Patrząc wstecz, widzę całkiem wyraźnie swoje dziwactwa, jakby okazywał je całkiem inny człowiek. Niemniej ciężko jest opisywać poważniejsze potknięcia, których oczywiście się wstydzę, zwłaszcza wiedząc, że z upływem czasu będą coraz częstsze i trudniejsze do zniesienia. Cieszę się tylko, że zdołałem skończyć tę opowieść, nim moje leczenie tutaj zacznie się na dobre. Wysiłek ten wymagał natchnienia - natchnienia, którym Ty mnie obdarzyłaś.

Pozostaje mi jeszcze wymyślić tytuł. Jego wybór pozostawiam Tobie. Zgodzę się na każdą Twoją propozycję.

Nie jest to wielka łaska, ale niewiele więcej mogę Ci zaofiarować, bo w tym miejscu nie dysponuję żadną władzą ani majątkiem, mam tylko trochę ubrań, muzykę i swoje myśli. Przynajmniej Ty, Elżbieto, lepiej niż ktokolwiek inny wiesz, jaka moc kryje się w dane imienia, czy to moc dobra czy zła.

Cokolwiek się zdarzy, pamiętaj mnie takim, jakim byłem.

Zawsze Twój

Eduard.

### **Nota historyczna**

Po uchwaleniu ustawy o zapobieganiu rodzenia potomstwa obciążonego chorobą dziedziczną, ogłoszonej 14 lipca 1933 roku, około 400 000 ludzi poddano w Niemczech przymusowej sterylizacji. Większość była pacjentami szpitali psychiatrycznych i innych zakładów dla umysłowo chorych. W latach 1939-45 dalsze 250000 umysłowo i fizycznie upośledzonych osób zostało zamordowanych w ramach tajnej operacji T-4. Główni twórcy nazistowskiego programu czystości rasowej, w tym doktor Eugen Fischer, nigdy nie stanęli przed sądem.

Po ostatecznym wyjeździe ojca do Ameryki w październiku 1933 roku stan psychiczny Eduarda Einsteina pogorszył się gwałtownie. Pozostałe trzydzieści dwa lata życia spędził jako pacjent szpitala psychiatrycznego Burghölzli w Zurychu, gdzie poddawano go różnorodnemu leczeniu, w tym za pomocą śpiączki insulinowej oraz elektrowstrząsami. Nigdy więcej nie ujrzął ojca.

Przybywszy potajemnie do Nowego Jorku, Albert Einstein objął posadę w Instytucie Studiów Zaawansowanych w Princeton w stanie New Jersey. Tu całkowicie pochłonęła go praca nad teorią jednolitego pola z pominięciem wszelkiej innej problematyki. Na parę godzin przed śmiercią w kwietniu 1955 roku nadal dokonywał w szpitalu obliczeń.. Zdaniem dzisiejszych fizyków, ten ponad dwudziestopięcioletni trud nie zaowocował większymi odkryciami naukowymi. Jednak główne założenia mechaniki kwantowej nie zostały jak dotąd podważone.

W 1986 roku podano do publicznej wiadomości tajną dotychczas korespondencję między Einsteinem i Milewą Marić. Po raz pierwszy ujawniono



istnienie córki, która urodziła się tej parze na rok przed ślubem. Lieserl (Elżbietka), bo takie imię jej nadano, przysłała na świat 27 stycznia 1902 roku albo w okolicach tego dnia, prawdopodobnie w Titlu, wiosce w ówczesnej austrowęgierskiej prowincji Wojwodina. Istnieją dowody na to, że była upośledzona umysłowo. Jej los pozostaje nieznany.

Podziękowania.

Pragnę złożyć wyrazy wdzięczności za wydatną pomoc przy dokumentacji tej książki. Winien je jestem Barbarze Wolff z Archiwum Alberta Einsteina w Żydowskiej Bibliotece Narodowej i Uniwersyteckiej oraz Osikowi Mosesowi z Einstein Papers Project z Caltech w Pasadenie. Chciałbym też, by podziękowania przyjęła Alice Meyer za wspomnienia z okresu międzywojennych Niemiec; Claudia i Heiko Geithnerowie, a także Jonathan i Clare Schererowie za pomocne komentarze do pierwszego szkicu powieści; Christopher Zach za liczne bezcenne uwagi i propozycje; Peter Straus, Stephen Edwards i Laurence Laluyax za gorące słowa zachęty, a także James Gurbutt, który dał tej książce szansę.

Na koniec pragnę podziękować moim rodzicom, Peterowi i Dorothy Singtom, za dodawanie mi otuchy i niezmienne wsparcie w lepszych i gorszych chwilach.